

MICHAEL GRUBER

Księga powietrza i cieni

Z angielskiego przełożył
Zbigniew Batko

Świat Książki

Tytuł oryginału TOE BOOK OF AIR AND SHADOWS

Redaktor prowadzący Elżbieta Kobwińska

Redakcja merytoryczna Mirosław Grabowski

Redakcja techniczna Julita Czachorowska

Korekta

Irena Kulczycka Grażyna Henel

Copyright © 2007 by Michael Gruber

All rights reserved

Copyright © fbt the Polish translation by Bertelsmann Media sp. z o.o.,
Warszawa 2009

Świat Książki

Warszawa 2009

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie Piotr Trzebiecki

Druk i oprawa GGP Media GmbH, Pössneck

Oprawa twarda Oprawa broszurowa

ISBN 978-83-247-1503-9

ISBN 978-83-247-0836-9

Nr 6784

Nr 6128

Dla E.W.N.

*Święto się skończyło.
Aktorzy moi, jak ci powiedziałem,
Były to duchy; na moje rozkazy,
Na wiatr się lekki wszystkie rozplynęły.
Jak bezpodstawna widzeń tych budowa,
Jasne pałace i wieże w chmur wieńcu,
Święte kościoły, wielka ziemi kula,
Tak wszystko kiedyś na nic się rozplynie,
Jednego pyłku na ślad nie zostawi,
Jak moich duchów powietrzne zjawisko.
Sen i my z jednych złożeni pierwiastków;
Żywot nasz krótki w sen jest owinięty -*

William Szekspir,
Burza, akt IV, scena 1,
Pierwsze Folio, 1623
przeł. Leon Ulrich

PODZIĘKOWANIA

Autor pragnie podziękować szanownemu panu Thomasowi D. Selzowi z kancelarii Frankfurt Kurnit Klein i Selz za pomoc w wyjaśnianiu zawiłości prawa własności intelektualnej oraz za widok z okna jego biura, który jest jedynym elementem łączącym go ze specjalistą od prawa autorskiego opisanym w tej powieści.

Stukają klawisze i oto na małym monitorze pojawiają się słowa, lecz kto je będzie czytał nie mam pojęcia. Mogę już być wtedy martwy jak, powiedzmy, Tołstoj. Albo Szekspir. Jakie znaczenie ma dla czytelnika, czy ten, kto napisał dane słowa, jest jeszcze wśród żyjących? Najwyżej takie, że jeżeli czytamy książkę żyjącego autora, możemy, przynajmniej teoretycznie, machnąć do niego list, nawiązać osobisty kontakt. Myślę, że wielu czytelników tego pragnie. Niektórzy piszą wręcz do fikcyjnych postaci, co jest jeszcze bardziej niesamowite.

Ale ja nadal żyję, choć w każdej chwili sytuacja może się zmienić, co zresztą jest jednym z powodów, dla których to piszę. Z pisaniem jest tak, że autor nigdy nie wie, jaki będzie los tego, co w pocie czoła smaruje na papierze, tak przydatnym do rozmaitych celów, nie tylko do układania słów w określonym porządku. Zresztą te maleńkie ładunki elektromagnetyczne, które generuję na swoim laptopie, też nie są odporne na brutalne działanie czasu. Bracegirdle nie żyje z całą pewnością; zmarł od ran odniesionych w bitwie pod Edgehill podczas angielskiej wojny domowej gdzieś pod koniec października 1642 roku. Tak przynajmniej uważamy.

W każdym razie zdążył jeszcze przed śmiercią popełnić pięćdziesięciodwustronicowy manuskrypt, który w znacznym stopniu spieprzył mi życie lub nawet wręcz mnie go pozbawił choć tego ostatniego jeszcze nie wiem. A może winien był raczej profesorek Andrew Bulstrode, który rzucił mi ten rękopis na kolana, a potem został zamordowany. Mógłbym też obwiniać Mickeya Haasa, kumpla jeszcze z czasów studenckich, który skierował do mnie Bulstrode'a. Mickey, o ile mi wiadomo, wciąż żyje. Ta dziewczyna, czy raczej kobieta, też ponosi pewną odpowiedzialność, bo mam poważne wątpliwości, czy wdałbym się w to wszystko, gdybym nie zobaczył w czytelni Brooke Russell Astor w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej jej długiej białej szyi wystającej z kołnierzyka i rozpaczliwie nie zapragnął jej pocałować.

Należałoby także winić Alberta Crosettiego, jego niezwykłą mamę i jeszcze bardziej niezwykłą dziewczynę Carolyn o ile była jego dziewczyną - a także te wszystkie odkrycia, ich interpretatorów, deszyfratorów tekstu Bracegirdle'a, no i moją nemezis, bez której...

Nie mogę też pominąć rzeczywistych złoczyńców, choć tak naprawdę nie wolno mi ich winić. Złoczyńcy po prostu są, istnieją, tak jak rdza, nudni i niemal chemicznie czysti w swym tępym prymitywizmie, swojej chciwości i pysze. To nadzwyczajne, jak łatwo takich typów unikać i jak często z tej możliwości nie korzystamy. Nie wspominam już o Marii, królowej Szkocji (skoro mowa o głupocie), i jeszcze jednym spisku na jej koncie, nawet jeśli jej winą w tym wszystkim było tylko to, że istniała. I oczywiście winię też swojego ojca, tego starego oszusta. Czemu by nie? Winię go za całą resztę.

Widzę, że źle się do tego zabrałem. Okay, skupmy się jeszcze raz i przynajmniej uporządkujmy fakty, a zaczniemy od zidentyfikowania autora, czyli mnie, Jake'a Mishkina, prawnika z zawodu, specjalistę od własności intelektualnej, czyli, innymi słowy, prawa autorskiego. Wiem, że lada chwila mogą mnie zabić gangsterzy. Są oczywiście prawnicy, którzy mają powody spodziewać się fizycznego zagrożenia jako czegoś, co nieodłącznie towarzyszy ich profesji. Ja nie zostałem prawnikiem tego rodzaju - i właściwie była to kwestia świadomego wyboru. W młodości znałem niezłe to środowisko, mam więc podstawy podejrzewać, że paru takich prawników rzeczywiście załatwiono, toteż wybierając specjalizację, upewniłem się,

że nie będę miał do czynienia z ludźmi, którzy noszą przy sobie spluwy. Nawet w dziedzinie prawa autorskiego spotyka się czasami (a może i częściej) wariatów, ale kiedy takie typki klną i grożą, że zabiją prawnika i jego klienta, to jest to niemal zawsze czysta retoryka.

Nawet wtedy ich nienawiść skierowana jest na prawników procesowych, a ja nie jestem jednym z nich. Nie mam do tego predyspozycji, gdyż jako człowiek spokojny wierzę, że prawie wszystkie sprawy sądowe, zwłaszcza te dotyczące własności intelektualnej, są głupie, często wręcz groteskowe, i że ludziom rozsądnym dla rozstrzygnięcia sporu wystarczyłoby dwadzieścia minut rozmowy. Inaczej rozumuje prawnik procesowy. Ed Geller na przykład, nasz starszy wspólnik (dla którego profesjonalizmu żywię, nawiasem mówiąc, najwyższy szacunek), zadziorny, agresywny, pewny siebie i antypatyczny, mógłby posłużyć za wzór bohatera każdego złośliwego dowcipu o prawnikach, a jednak, o ile mi wiadomo, nigdy nie słyszał świstu wystrzelonej w jego stronę kuli ani nie wdawał się w spory z rabusiami, podczas gdy ja doświadczyłem ostatnio obu tych przyjemności.

Muszę tu powiedzieć, że prawo własności intelektualnej dzieli się z grubsza na przemysłowe, dotyczące znaków firmowych i patentów, a także oprogramowania, oraz na autorskie, które obejmuje wszelkie dziedziny sztuki muzykę, piśmiennictwo, filmy, różnego rodzaju wizerunki, Myszkę Miki itd. (Tu instynktownie uderzam w klawisz, który dodaje do imienia tego małego gryzonia sakramentalne ©, po czym szybko kasuję ów znaczek, bo pisze to wszystko, jakkolwiek to nazwiemy, całkiem nowy ja). Moja firma, Geller Linz Grossbart i Mishkin, jest kancelarią specjalizującą się w prawie autorskim i choć wszyscy wspólnicy opanowali pełne spektrum spraw związanych z tą dziedziną, można powiedzieć, że każdy z osobna ma swoją specjalność. Marty Linz obskakuje telewizję i film, Shelly Grossbart muzykę, Ed Geller, jak już wspomniałem, jest naszym specem od prawa procesowego. A ja zajmuję się literaturą, co oznacza, że spędzam z pisarzami wystarczająco dużo czasu, aby sobie uświadamiać, że nie jestem i nigdy nie będę jednym z nich. Wielu moich klientów mówiło mi, zwykle protekcyjnym tonem (przypisując zresztą tę złotą myśl przeróżnym autorom), że w każdym prawniku tkwi stłamszony poeta. Nie przejmuję się tym zanadto, bo wszyscy ci ludzie są bezradni jak kocięta wobec realnego świata, rozumianego jako przeciwieństwo świata wyobrażonego.

Kiedy chcę, potrafię się też zdobyć na gryzącą ironię, co nie zdarza się często, bo, szczerze mówiąc, cholernie podziwiam pisarzy. To znaczy ich umiejętność wymyślenia historyjki i zapisania jej tak, że ktoś inny, całkiem obcy, może ją przeczytać, zrozumieć, a nawet obdarzyć fikcyjne postacie prawdziwymi uczuciami! Czy mieliście kiedyś pecha podróżować zapchanym do ostatniego miejsca samolotem lub pociągiem i siedzieć naprzeciw pary pacanów opowiadających kawały? Z nudów człowiek ma ochotę poderżnąć sobie gardło, prawda? Albo ich zabić. Chodzi mi o to - być może się powtarzam - że cholernie trudno jest opowiedzieć historię, która będzie się trzymać kupy. Jeden z moich klientów powiedział mi, że aby napisać opowiadanie, trzeba zacząć od wszystkiego, co się nam w życiu przydarzyło, a potem wyciąć to, co nie pasuje do całości. Był to oczywiście żart. Choć mam wrażenie, że właśnie coś takiego robię teraz.

Być może jednak przesadzam ze skromnością. Zawód prawnika nie jest pozbawiony pierwiastka twórczego. Piszemy mnóstwo i choć większość tego interesuje tylko innych prawników, tu także opowiada się historie, ustala miejsce akcji, projektuje scenografię, wykorzystując w tym celu fakty i hipotezy tworzące tło sprawy. Młody Karol Dickens zaczynał jako sprawozdawca sądowy i specjaliści od jego twórczości twierdzą, że właśnie to doświadczenie ukształtowało jego wrażliwość na ludzkie dramaty, widoczną w późniejszych powieściach. Poza tym prawie wszystkie te książki traktują o zbrodniach, popełnianych najczęściej w białych rękawiczkach. Źródłem mojej wiedzy w tym względzie jest Mickey Haas, a on się na tym zna, bo jest profesorem literatury angielskiej na Uniwersytecie Columbia. I od niego także zaczyna się ta historia.

Ile powinniście wiedzieć o Mickeyu? No więc przede wszystkim trochę już wiecie, bo tylko określony typ dojrzałego mężczyzny pozwala innym na to, by zwracali się do niego zdrobniałym imieniem jak do ucznia. Nie uważam, aby „Jake” było zdrobnieniem tego samego rodzaju. Mickey jest z pewnością moim najstarszym przyjacielem, ale nie całkiem poważnym człowiekiem. Być może gdyby był poważniejszy, spławiłby profesorka i cała ta afera w ogóle by się nie wydarzyła. A tak wylądowałem ostatecznie w wiejskim domu Mickeya nad jeziorem Henry, w głębi Parku Stanowego Adirondack, gdzie jestem... gdzie się w pewnym sensie ukrywam,

choć z trudem zmuszam się do użycia tak dramatycznego określenia. Powiedzmy, że przebywam w miejscu odosobnienia. Warownym miejscu odosobnienia, dodajmy.

Znam Mickeya (lub Melville'a C. Haasa, jak informują napisy na grzbietach jego licznych książek) od lat młodzieńczych, to znaczy od drugiego roku studiów na Uniwersytecie Columbia, kiedy to odpowiedziałem na ogłoszenie faceta poszukującego współlokatora do pokoju na Sto Trzynastej Ulicy w pobliżu Amsterdam Avenue. Było typowe dla Mickeya, że umieścił swoje ogłoszenie w witrynie chińskiej pralni przy Amsterdam Avenue, a nie w siedzibie zrzeszenia studentów czy w uniwersyteckim biurze kwaterunkowym. Kiedy go później zapytałem, dlaczego tak postąpił, odpowiedział, że chciał znaleźć współlokatora w środowisku ludzi, którzy mieli fachowo wyprane i wyprasowane koszule. Co dziwne, akurat ja nie należałem do tej kategorii społecznej; miałem jedną eleganczką koszulę od De Pinny, odziedziczoną po ojcu, i wstąpiłem do tej małej pralni po to, żeby mi ją wyprasowali przed rozmową z przyszłym pracodawcą.

W tym czasie, wkrótce po wyprowadzce z domu, wynajmowałem pokój w obskurnej czynszowej kamienicy. Miałem osiemnaście lat i byłem biedny jak mysz kościelna; płaciłem piętnaście dolców dziennie za pokój z możliwością korzystania ze wspólnej kuchni i łazienki na parterze. Oba te pomieszczenia cuchnęły, każde inaczej, ale oba nieprzyjemnie, i ów fetor rozchodził się po całym domu. Tak więc byłem nieco zdesperowany, a tu nagle ktoś proponował mi miłe mieszkanie z dwiema sypialniami i widokiem na katedrę; i choć panował tam mrok, jak zwykle w mieszkaniach z długimi korytarzami, było ono względnie czyste, Mickey zaś sprawiał wrażenie przyzwoitego faceta. Widywałem go już wcześniej na terenie kampusu. Zwracał na siebie uwagę: był wielki, niemal tak wielki jak ja, rudy, z długą górną wargą i wylupiastymi niebieskimi oczami jakiegoś późniejszego Habsburga. Nosił tweedowe marynarki, flanelowe spodnie, a kiedy było chłodno - oryginalną, miękką i ciepłą kurtkę marynarską z wielbłądziej wełny, z kapturem. Mówił, starannie artykułując słowa, uroczo się zacinając, z charakterystycznym dla anglofila akcentem, jakim posługiwali się na Columbii ci profesorowie literatury angielskiej, którzy mieli nieszczęście urodzić się w Stanach Zjednoczonych.

Pomimo tych osobliwości Mickey był, jak większość nowojorskich przemądrzalców i w odróżnieniu ode mnie prostakiem. Pochodził z... nie przypominę sobie nigdy nazwy tego miasta. Nie Peoria, ale coś podobnego. Kenosha. Ashtabula. Może Moline. Jedno z tych środkowozachodnich miast przemysłowych. W każdym razie podczas pierwszej rozmowy wyznał mi, że jest „dziedzicem małego imperium biznesowego”, które zajmuje się produkcją suwaków przemysłowych. Pamiętam, że zapytałem go, co to takiego, na co się roześmiał i powiedział, że nie ma pojęcia, ale zawsze wyobrażał sobie, że chodzi o olbrzymie zamki błyskawiczne długości pociągu towarowego. Tak naprawdę wielkie pieniądze zrobił pradziad Mickeya, a jego ojciec i wujowie zasiadali tylko w radzie nadzorczej, grali w golfa i byli filarami społeczeństwa. Prawdopodobnie w całym państwie są tysiące takich rodzin, potomków ludzi, którzy zgromadzili fortuny, zanim pojawiły się podatki i globalizacja, a zachowali je dzięki bezpiecznym inwestycjom i pomimo szokującej rozrzutności.

Potem rozmowa nieuchronnie zesłała na mój temat; zainspirowany szczerością Mickeya i wyczuwając, że oczekuje on od swego współlokatora nieco wielkowiejskiej egzotyki, powiedziałem mu, że jestem potomkiem Isaaca Mishkina, dyplomowanego księgowego, buchaltera mafii, znanego śledczym federalnym i kręgom zorganizowanej przestępczości stąd do Las Vegas jako „Izzy Buchalter” albo „Izzy Rachmistrz”. Na co Mickey zareagował w sposób typowy: „Nie wiedziałem, że istnieli żydowscy gangsterzy”. Opowiedziałem mu o Syndykacie Zbrodni, o takich postaciach jak Louie Lepke, Kid Reles i Meyer Lansky, który był mentorem i protektorem taty. Wtedy to po raz pierwszy, jak mi się wydaje, wykorzystałem historię swojej rodziny jako dobry punkt wyjścia do rozmowy i od tamtej chwili wyżyłem się poczucia wstydu, które prześladowało mnie przez cały okres nauki w szkole średniej. Dlaczego mogłem to ujawnić Mickeyowi? Bo było oczywiste, że nie miał pojęcia, co to wszystko oznacza, uważał to za rodzaj egzotycznego kolorytu, jakbym się urodził w cyrku albo w taborze cygańskim. Było też oczywiście coś więcej.

A więc jesteś Żydem? Pytanie całkiem naturalne z jego strony; wiedziałem, że jest zaskoczony, kiedy odpowiedziałem, że nie, że tak naprawdę nie jestem.

Teraz słyszę warkot motorówki na jeziorze odległy, jednostajny pomruk. Jest środek nocy. Nikt przecież nie łowi ryb o tej porze. A może jednak? Ja sam nie jestem wędkarzem. Pewnie są ryby, które żerują w ciemności, jak komary, a może nocne wędkowanie to coś w rodzaju łowienia w przerębli dziwaczny, lecz rozpowszechniony wśród masochistycznych fanatyków sport.

Już jestem z powrotem. Wyszedłem na werandę, ściskając pistolet w dłoni, i zacząłem nasłuchiwać, ale nic do mnie nie dotarło. Musiał to być jakiś silnik, który włącza się automatycznie w którymś z letnich domków. Jest ich tu kilkadziesiąt, rozrzuconych i zapewne pustych teraz, między latem a sezonem narciarskim, dźwięk zaś, jak mi wiadomo, może się nieść po wodzie zdumiewająco daleko, zwłaszcza w taką cichą noc jak ta. Wziąłem też latarkę i włączyłem ją, kretyn jeden, stając się idealnym celem dla każdego, kto mógł się czaić w ciemności. Choć oni nie chcieli mnie po prostu zastrzelić, o nie, to byłoby za proste. Niebo zasnuła gruba warstwa chmur i zanim zdążyłem sobie uprzytomnić swoją głupotę, stwierdziłem przestraszony, że gęsty mrok nad jeziorem całkowicie pochłania wąską smugę światła z mojej latarki. Podziałało to na mnie przynębiająco: nikła smużka światła zagubiona w morzu ciemności. Czyżby to było małe *memento mori*? Czy tylko przypomnienie skrajności mojej obecnej izolacji?

Przeczytawszy to, co dotąd napisałem, muszę stwierdzić, że wciąż jestem pogrążony w zamierzchłej przeszłości; jeśli nie będę się pilnował, cała ta relacja stanie się drugim *Tristramem Shandym* i nigdy nie dotrę do pieprzonego sedna.

Podsumowując: tamtego popołudnia zaspokoilem głód egzotyki Mickeya, ładując jego akumulatory jeszcze innymi szczegółami ze swego życia osobistego. Nie, tak właściwie to nie byłem Żydem (tu przypis o kryterium, według którego decydujące jest pochodzenie matki), bo moja matka była katoliczką, a w tamtych czasach katolicyzmu, która poślubiła innowiercę, groziła ekskomuniką, chyba że zawarła układ z Kościołem, co polegało przede wszystkim na uroczystym przyrzeczeniu, że dzieci będą chowane w wierze katolickiej. Tak więc wszyscy, ja, mój starszy brat Paul i siostra, najmłodsza z naszej trójki, zaliczyliśmy obowiązkowy rytuał: chrzest, naukę katechizmu, pierwszą komunię, a my chłopcy dodatkowo

ministranturę. I naturalnie żadne z nas nie wytrzymało w wierze, może z wyjątkiem Paula, choć ten nagrzeszył jak sukinsyn, zanim się ostatecznie nawrócił i poczuł powołanie.

A najsmaczniejszy kąsek? Okay, jeszcze jedna retrospekcja. Sądzę, że mam na to czas, bo nagle uświadomiłem sobie, że oni nie byliby tacy głupi, żeby przepływać się w ciemności przez jezioro, bo niby dlaczego mieliby to robić? A więc mam prawdopodobnie przed sobą całą noc. W każdym razie wrócimy do mojego ojca, wtedy osiemnastoletniego brooklyńskiego cwaniaczka, początkującego bukmachera. Na nieszczęście dla jego kariery był to rok 1944 i powołano go do wojska. Oczywiście poszedł z tym do specjalistów od takich spraw, ale powiedzieli mu, że musi wstąpić do armii, chyba że chce, by taki jeden przebił mu soplami bębenki w uszach, to oni chętnie mu w tym pomogą. Odmówił.

Mniej więcej po roku tato trafia do sztabu III Armii jako szyfrant, co dla bystrego żydowskiego chłopca jest zajęciem wprost idealnym, pracą czystą i pod dachem. Nigdy nie słyszał huku wystrzału, poza tym jest już marzec 1945 roku, dla amerykańskich wojsk w Europie zaczyna się właśnie najatrakcyjniejsza część II wojny światowej. Wehrmacht na dobrą sprawę zaniechał walki na Zachodzie i całe legiony Niemców ciągną potulnie do jenieckich klatek. Amerykańscy żołnierze szybko odkrywają, że za amerykańskie papierosy mogą mieć wszystko antyki, pamiątki rodowe, dziewczęta, napoje wyskokowe w nieograniczonych ilościach - i tato chwyta w lot, że oto nadarza się absolutnie wyjątkowa okazja zgromadzenia kapitału.

Stacjonował w Ulm, a jego oficjalne obowiązki - kodowanie komunikatów przeznaczonych do wysyłki drogą radiową nie były zbyt uciążliwe. Skupił się więc głównie na operacjach czarnorynkowych oraz przekazywaniu paliwa i żywności z magazynów wojskowych pozbawionej środków do życia i wygłodniałej rzeszy cywilów. Nie miał kłopotów ze stworzeniem organizacji, bo w Niemczech nie brakowało w tym czasie przestępców bez zajęcia. Ludzie ci po prostu pozbywali się hurtem pięknych nazistowskich insygniów, które nosili przez dwanaście lat, i bardziej nęcili ich okazje, jakie stwarzał wolny rynek, niż sponsorowany przez państwo gangsterizm. Ojciec mógł im oczywiście pomóc w uzyskaniu zaświadczeń denazyfikacyjnych, używał też do ukrycia drobnych kradzieży swych niezwykłych

talentów w zakresie księgowości. Bez skrupułów wykorzystywał dla własnych celów byłych gestapowców. Myślę, że mile go łechtał widok tych facetów potulnie słuchających rozkazów Żyda; od czasu do czasu wydawał cichcem któregoś z nich władzom albo, co gorsza, działającym wtedy w podziemiu organizacjom żydowskich mścicieli. Dzięki temu trzymał pozostałych w ryzach.

Choć oficjalnie zakwaterowany w koszarach III Armii, większość czasu spędzał w apartamencie hotelu „Kaiserhof” w Ulm. Jednym z dziwactw ojca jest to, że nigdy nie wchodzi do budynków publicznych głównym ani żadnym normalnym wejściem, tylko zawsze korzysta z drzwi kuchennych. Myślę, że przejął ten nawyk od mafiosów z lat czterdziestych, którzy zachowywali się podobnie, gdy wchodziłi, powiedzmy, do „Copy” czy „El Morocco”. Mogło to mieć coś wspólnego z bezpieczeństwem, a może robili tak tylko dlatego, że po prostu było im wolno; kto odważyłby się ich powstrzymać? W każdym razie pewnego zimowego wieczoru 1946 roku, wracając z nocnego klubu i wchodząc do hotelu kuchennymi drzwiami, minął grupę grzebiących w kubłach na śmieci kobiet. Jak zwykle zignorował je, a one zignorowały jego, z wyjątkiem jednej, która podniosła znad odpadków wzrok i powiedziała: „Daj papierosa, Joe”.

Spojrzał i oto dostrzegł tę twarz tylko częściowo zasłoniętą przez brud i szmatę owiniętą wokół głowy. Widziałem zdjęcia zrobione w tamtym okresie: to zdumiewające, ale matka wygląda na nich jak młoda Carole Lombard, blondwłosa i wręcz groteskowo urodziwa. Zaledwie tydzień wcześniej skończyła siedemnaście lat. Oczywiście dał jej papierosa i oczywiście zaprosił ją do apartamentu, gdzie wzięła kąpiel, przyjęła nylony i przebrała się w czyste rzeczy. Nie mógł się nadziwić. Jak taka istota mogła przeżyć w Niemczech w 1945 roku? Nieco później, kiedy była już czyściutka i promienna, otulona różowym jedwabnym szlafrokiem, a on próbował dostać od niej jak zwykle coś za coś, zrozumiał, dzięki czemu przetrwała. Miała pistolet i wycelowała go weń zdecydowanym ruchem, oświadczając, że wojna czy nie wojna, ona jest porządną dziewczyną, córką oficera, że zastrzeliła już trzech mężczyzn i jego też zastrzeli, jeśli będzie nastawał na jej cnotę. Patrzył na nią zdumiony, oczarowany, zafascynowany. Były to w końcu czasy, kiedy za pół kilo cukru człowiek mógł wydymać hrabinę. Tymczasem tej dziewczynie udało się obronić

swe ciało przed zgrają włóczęgów się dipisów, zbiegłych więźniów, mętów z jednej pokonanej armii i połączonych sił trzech armii zwycięskich. Musiała mieć niemało ikry. To jedno z ulubionych słówek taty „ikra”. Według niego moja siostra zgarnęła cały jej zapas przeznaczony dla nas trojga; ja i mój brat bez wątpienia cierpieliśmy na jej niedobór.

Tak więc pod groźbą pistoletu dał za wygraną, wypili drinka, zapalili i opowiedzieli sobie wzajemnie o swoim życiu, jak to nastolatki, którymi w gruncie rzeczy byli. Nazywała się Ermentrude Stieff. Jej rodzice nie żyli, ojciec, oficer, zginął latem 1944 roku, matkę zabiła przypadkowa bomba w ostatnich tygodniach wojny. Zdarzyło się to w Ratzbonie. Ermentrude wędrowała przez chaos ostatnich dni Rzeszy, taszcząc walizkę, którą ukrywała w szafce w szpitalu. Taka przezorność była powszechna w tamtych czasach; jeśli więc komuś przydarzyło się coś takiego jak jej, człowiek nie zostawał całkowicie pozbawiony środków do życia. Czasem podróżowała z grupkami uchodźców i wtedy nawiązywała przyjazne stosunki na dwa sposoby, w zależności od składu grupy. W pierwszym przypadku odpowiednim rekwizytem była żółta gwiazda, taka, jaką naziści kazali nosić Żydom, w drugim wąski pasek czarnego materiału z wyhaftowanym napisem DAS REICH, noszony na rękawie przez żołnierzy 2 Dywizji Pancerniej SS. Nigdy nie powiedziała tacie, skąd wzięła żółtą gwiazdę, ale odznakę jednostki SS dostała od hauptsturmführera Helmuta Stieffa, poległego za *Vaterland* w Normandii i pochowanego w końcu na cmentarzu w Bitburgu, co wiele lat później postawiło prezydenta Reagana w bardzo kłopotliwej sytuacji. Cała ta historia mówi sporo o przebiegłości obojga moich rodziców, a także, jak sądzę, o moim charakterze, toteż wtedy, w mieszkaniu na Sto Trzynastej Ulicy, postanowiłem zainteresować nią Mickeya, a może zwyczajnie zaimponować nowemu znajomemu. Była to historia z rodzaju tych, które wielu ludzi woli przemilczeć. Nawiasem mówiąc, matka zaprzeczała, jakoby w ogóle doszło do takiego uroczego spotkania. Twierdziła, że poznała tatę na tańcach i początkowo wzięła go za dżentelmena. Nigdy nie przeszukiwała kubłów na śmieci ani nikogo nie zastrzeliła. Nie ukrywała, że jej ojciec był oficerem SS, ale nie omieszkała też wytłumaczyć nam, dzieciom, różnicy pomiędzy Waffen a Allgemeine-SS lub w ogóle formacją SS jako taką, czyli ludźmi odpowiedzialnymi za obozy koncentracyjne.

W Waffen-SS służyli po prostu dzielni żołnierze, walczący z okropnymi ruskimi komuchami.

Zagubiłem się w tych dygresjach. Bo właściwie kogo w ogóle obchodzi wszystkie te okoliczności? Myślę, że jedno jest pewne: w rękach moich rodziców prawda była zawsze bardzo plastycznym materiałem. Manipulowali nie tylko zamierzczyłą przeszłością, ale też nieraz spierali się zaciekle o zdarzenia z poprzedniego wieczoru. To bardzo wczesnie ukształtowało we mnie cyniczny stosunek do faktów historycznych, a moja obecna sytuacja, co wyznaję bez cienia ironii, jest w pewnym sensie sytuacją ofiary różnych wersji wydarzeń sprzed czterech stuleci.

Tak czy inaczej musimy teraz przeskoczyć do przodu o jakieś dwa-dzieścia lat. Jak już mówiłem, zostałem ekspertem od prawa autorskiego, a Mickeyowi udało się osiąść o rzut kamieniem od miejsca, w którym się poznaliśmy, bo jest profesorem literatury angielskiej na Columbii. Mickey, jak się wydaje, znakomicie funkcjonuje w kręgach krytyki literackiej. Do niedawna był prezesem Stowarzyszenia Miłośników Współczesnego Języka, co uważam za wielką sprawę. Cieszy się też szacunkiem - w różnym stopniu zaprawionym zazdrością i niechęcią - większości szkół interpretacyjnych, na które podzielił się dzisiejszy świat literatury. Przedmiotem jego badań są dramaty Williama Szekspira; właśnie dzięki temu poznał Bulstrode'a, który wykładał gościnnie na Columbii jako oksfordzki szekspirolog. I pewnego dnia, jak sobie wyobrażam, przyszedł do Mickeya i zapytał: „Słuchaj, stary, nie znasz przypadkiem jakiegoś specjalisty od prawa autorskiego?”, a Mickey odpowiedział: „Tak się składa, że znam”. Albo coś w tym stylu.

Niech no sobie przypomnę ten dzień. Był to jedenasty października, środa, dość chłodno. Wyczuwało się, że lato odeszło na dobre. Zanosiło się na deszcz, więc ludzie, wśród nich i ja, chodzili w płaszczach nieprzemakalnych. Widzę ten swój płaszcz, beżowy, marki Aquascutum, jak wisi na wieszaku w kącie mojego gabinetu, który jest raczej mały jak na gabinet współnika, ale dość wygodny. Nasza kancelaria znajduje się na Madison i ze swojego okna widzę jedną z wież katedry Świętego Patryka, będącą dla mnie niemal jedynym łącznikiem z religią dzieciństwa. Mój pokój jest umeblowany bezpretensjonalnie, w umiarkowanie nowoczesnym stylu przywodzącym na myśl kabinę Jean Luca Picarda na statku

kosmicznym „Enterprise” z filmu *Star Trek*. Na ścianach wiszą dyplomy i licencje oraz trzy zdjęcia w chromowanych ramkach. Pierwsze to wykonany parę lat wcześniej przez zawodowego fotografa portret moich dwojga dzieci. Na drugim widać mnie, jak biegnę obok dwukołowego rowerka, na którym uczy się jeździć mój syn Niko; jest to całkiem niezła fotka, zrobiona przez jego matkę. Jedyna rzecz w gabinecie, o której można powiedzieć, że jest niezwykła, to trzecie zdjęcie, przedstawiające rośłego, krótko ostrzyżonego i ubranego w czerwono-biało-niebieski kostium ciężarowca, który trzyma wysoko nad głową wielką sztangę. Sztanga jest tak obciążona, że wygina się lekko na końcach, bo atleta startuje w wadze najcięższej i podnosi ponad dwieście czterdzieści kilogramów. Dokładnie dwieście czterdzieści jeden. Ten mężczyzna to ja, a zdjęcie zostało zrobione podczas igrzysk olimpijskich w Meksyku w 1968 roku, gdzie startowałem w barwach Stanów Zjednoczonych. Był to większy ciężar, niż udało mi się kiedykolwiek wcześniej podnieść w podrzucie, i miałem szansę na brązowy medal, ale spieprzyłem rwaniem i dostał go Joe Dube. Od tamtego czasu kontynuuję treningi, oczywiście nie tak intensywne, ale jeszcze dziś potrafię podrzucić trochę ponad ćwierć tony.

Kompletnie bezużyteczna umiejętność i dlatego właśnie to lubię, dlatego się tym zająłem. Zacząłem jako dziesięciolatek z zestawem własnoręcznie wykonanych ciężarów i dźwigałem je przez cały okres nauki w liceum i studiów. W tej chwili mam prawie metr dziewięćdziesiąt i ważę mniej więcej sto kilo, obwód karku czterdzieści pięć centymetrów, sto trzydzieści dwa w klatce i proporcjonalna reszta ciała. Wielu uważa mnie za tęgiego, choć z pewnością tęgi nie jestem. Odkąd pojawił się Arnold, ludzie mają tendencję do mylenia ćwiczeń z hantlami dla poprawy rzeźby ciała ze sportowym podnoszeniem ciężarów. Są to dwie całkowicie różne dyscypliny. Ciężarowcy prawie nigdy nie szczyją się zgrabnymi, pięknymi sylwetkami, które mają więcej wspólnego z brakiem podskórnej tkanki tłuszczowej niż z siłą. Każdy poważny sztangista wagi ciężkiej mógłby złamać Mistera Universe na kolanie - oczywiście tylko teoretycznie. Już dawno zauważyłem, że rośli, silni ludzie są z reguły łagodnego usposobienia, chyba że biorą sterydy, co jest dziś, niestety, coraz bardziej powszechnym zwyczajem. Ja sam pozostaję jednak bezsterydowo łagodny.

Widzę, że znów uciekłem w dygresje. A próbowałem tylko usytuować swoją osobę w określonym, całkiem zresztą normalnym dniu. Ranek spędziłem na spotkaniu poświęconym pirackim poczynaniom Chińczyków, którzy kopiują na T-shirtach okładki płyt rockowych przypadek coraz częstszy w mojej prawniczej praktyce. Innymi słowy, spokojne spotkanie w godzinach pracy, przygotowywanie ekspertyzy i delikatne sugestie, że zakładanie sprawy może się okazać stratą czasu, bo proceder nielegalnego kopiowania okładek płyt jest nieuchronnym kosztem, jaki ponosimy, robiąc interesy w naszym zdegenerowanym świecie. Po tym spotkaniu wróciłem do swojego gabinetu - była za dwadzieścia dwunasta i właśnie myślałem o wyjściu na lunch, ale kiedy przechodziłem obok biurka sekretarki, ta przywołała mnie gestem dłoni. Moją sekretarką jest pani Olivia Maldonado, młoda kobieta, efektowna i jednocześnie kompetentna. Wielu mężczyzn z firmy jej pożąda, ale w kancelarii Geller Linz Grossbart i Mishkin obowiązuje żelazna zasada, że nie zadajemy się z personelem zasada, którą w całej rozciągłości popieram. To niemal jedyny przypadek mojej wstrzeźliwości pod tym względem i choć to może głupie, jestem z siebie dumny.

Pamiętam, że zawsze ubierała się w stylu, jaki szczególnie lubiłem: szara spódniczka, dość obcisła, i ciemnoróżowy sweter typu kardigan, z dwoma rozpiętymi u góry guzikami. Perłowymi guzikami. Lśniące ciemne włosy zaczesywała do tyłu i spinała bursztynowym grzebieniem, odsłaniając maleńki brązowy pieprzyk na szyi. Roztaczała wokół siebie niłą irysową woń.

Dowiedziałem się, że ktoś na mnie czeka; nie był umówiony, czy znalazłbym dla niego chwilę? Niejaki pan Bulstrode. W naszym fachu takie niezapowiedziane wizyty są rzadkością w końcu nie sąsiadujemy z biurem poręczyciela kaucji - byłem więc zaintrygowany.

Wszedłem do gabinetu, usiadłem za biurkiem i po chwili pani M. wprowadziła klienta niskiego, korpulentnego mężczyznę z aktówką. Bulstrode ubrany był w trzyczęściowy garnitur z wytartego brązowego tweedu, a na małym, podobnym do żelka nosie tkwiły okulary w rogowej oprawie. Podniszczony gabardynowy płaszcz przewiesił przez ramię, na nogach miał porządne ciemnowiśniowe buty, w górnej kieszonce wzorzystą chusteczkę; rzadkie, przydługie włosy o tabaczkowym odcieniu zaczesywał gładko na łysinę, co mogło świadczyć o pewnej próżności. Jego

twarz była zaczerwieniona aż po korzonki włosów. Kiedy ścisnąłem mu dłoń (miękką i wilgotną), zmrużył oczy o bezbarwnych rzęsach. Typowy profesor, pomyślałem i nie myliłem się: przedstawił się jako Andrew Bulstrode, rzeczywiście profesor, do niedawna w Oksfordzie, teraz na kontrakcie w Columbii. Profesor Haas był uprzejmy dać mi pańskie nazwisko...

Poprosiłem, żeby usiadł, i po krótkiej konwencjonalnej wymianie zdań zapytałem, co mogę dla niego zrobić. Odpowiedział, że potrzebuje rady specjalisty od prawa autorskiego. Zapewniłem go, że dobrze trafił. Spytał, czy może mi przedstawić pewną hipotezę. Nie lubię hipotez, bo kiedy klient nimi operuje, to należy się spodziewać, że nie będzie szczerzy, jeśli chodzi o konkrety. Ale skinąłem głową. Przypuśćmy, powiedział, że odkryłem manuskrypt zaginionego dzieła literackiego. Kto ma do niego prawa? Odparłem, że to zależy. Czy autor nie żyje? Tak. Zmarł przed 1933 rokiem czy po nim? Przed. Spadkobiercy lub osoby, którym zapisał manuskrypt? Nie ma. Poinformowałem go, że w myśl amerykańskiej znowelizowanej ustawy o prawach autorskich z 1978 roku nieopublikowane rękopisy, które powstały przed pierwszym stycznia 1978 roku i są dziełem autora zmarłego przed rokiem 1933, z dniem pierwszym stycznia 2003 roku stają się własnością publiczną. Mina trochę mu zrzedła, kiedy to usłyszał, wywnioskowałem więc, że oczekiwał innej odpowiedzi; miał nadzieję, że to on mógłby uzyskać prawa do swego znaleziska. Zapytał, czy nie orientuję się przypadkiem w przepisach obowiązujących w Wielkiej Brytanii, na co odpowiedziałem mu z satysfakcją, że owszem, znam je, gdyż nasza firma konsultowała się w tej sprawie wielokrotnie ponad szarym bezkresem Atlantyku. Otóż Brytyjczycy są dla twórców łaskawszy niż Amerykanie: prawa autora do dzieła nieopublikowanego są bezterminowe, jeśli zaś dzieło zostało ogłoszone drukiem lub wystawione w formie widowiska, zachowuje on do niego prawa przez pięćdziesiąt lat od daty pierwszego wydania lub premiery. Ponieważ w naszym przypadku autor nie żyje, ciągnąłem, copyright obowiązuje przez pięćdziesiąt lat od roku kalendarzowego, w którym nabrały mocy szczegółowe postanowienia ustawy o prawie autorskim z 1988 roku, to jest przez pięćdziesiąt lat od pierwszego stycznia 1990 roku.

Tu pokiwał głową i zapytał o kwestię własności kto posiada prawa do nie-opublikowanego rękopisu zmarłego autora? Wyjaśniłem, że zgodnie z przepisami prawa brytyjskiego, o ile taki utwór nie został zapisany konkretnej osobie czy instytucji, w myśl paragrafu o braku testamentu prawa te przechodzą na Koronę. Uwielbiam wypowiadać to słowo - Korona - natychmiast pojawia się przed moimi oczami obraz Jej Królewskiej Mości Elżbiety II, która zaciera z radości ręce na widok płynącego strumienia forsy, podczas gdy pieski corgi obszczekują rosnący stos nowiutkich gwinej.

To mu się też nie spodobało. Oczywiście, że rzecz ta nie jest zapisana w testamencie, powiedział. Ale co ze znaleźnym? Co ze zwyczajowo należną jedną dziesiątą ustalonej wartości?

Odpowiedziałem, że owszem, to wchodzi w rachubę, lecz osoba, która opublikowałaby lub wystawiła takie dzieło, musi być przygotowana na to, że zajmie się nią Korona; jeśli zaś zrobiłaby to samo w USA, mogłaby mieć poważne kłopoty z uchronieniem swej własności przed jawnym piractwem. A teraz czy zechciałby przejść od hipotez do konkretów i powiedzieć mi, o co chodzi?

Oznajmiłem to tonem, który sugerował, że jeśli dalej będzie taki tajemniczy, powiem mu do widzenia. Przez chwilę rozważał w milczeniu moje słowa; zauważyłem, że czoło i górną wargę zrosił mu perlisty pot, choć w pokoju było chłodno. Pomyślałem nawet, że może jest chory. Nie przyszło mi do głowy, że był nielicho wystraszony.

Pracowałem w tej branży dostatecznie długo, by wiedzieć, kiedy klient jest szczerzy, a kiedy nie, i profesor Bulstrode należał najwyraźniej do tej drugiej kategorii. Wyznał, że wszedł w posiadanie (jest to wyrażenie, na którego dźwięk zawsze się jeżę) pewnej relacji o charakterze dokumentalnym, manuskryptu z XVII wieku, prywatnego listu człowieka nazwiskiem Richard Bracegirdle do żony. Uważał, że rękopis jest autentyczny i że sugeruje istnienie pewnego dzieła literackiego o olbrzymim znaczeniu dla nauki, dzieła, o którym nigdy nawet nie słyszano. Już sam list był wystarczająco cenny jako przedmiot studiów, ale gdyby tak odnaleźć samo Dzieło...

Kiedy mówił „Dzieło”, słyszałem wyraźnie wielką literę na początku, a więc tak je zapisuję.

- Co to za Dzieło? zapytałem.

Tu odmówił odpowiedzi; zamiast tego zagadnął mnie o pisemne zobowiązanie do dyskrecji. Wyjaśniłem, że nasza zwyczajowa stawka za sporządzenie takiego protokołu wynosi dwa i pół tysiąca dolarów i gdy tylko otrzymam czek na taką kwotę, żadna siła nie wydrze ze mnie szczegółów naszej ewentualnej rozmowy, chyba że wynikałoby z niej, że on, Bulstrode, zamierza popełnić przestępstwo. W tym momencie wyciągnął oprawną w skórę książeczkę czekową, wypisał czek i wręczył mi go. Potem zapytał, czy mamy w firmie sejf. Poinformowałem go, że dysponujemy zamkniętymi pancernymi i ogniotrwałymi szafkami na akta. To go nie zadowoliło. Powiedziałem, że podpisaliśmy odpowiednią umowę z Citibankiem na parterze i możemy korzystać z ich wielkiego sejfu. Otworzył aktówkę i wręczył mi dużą, oklejoną taśmą kopertę. Czy mógłbym to zabezpieczyć na pewien czas?

Znów słyszę od strony jeziora warkot silnika.

LIST BRACEGIRDLE'A (1)

Banbury 25 oktobra A.D. 1642

Moja ukochana i zacna żono, niech Bóg Cię błogosławi i syna naszego. Cóż, Nan, ubito mnie, tak jak przepowiedziałaś, i upraszam Cię, byś uważała z tymi wróżbami, bo inaczej wezmą Cię za czarownicę, gdyż przestrelili mi wątpia i kula uwięzła w krzyżu, tak przynajmniej mówi tu-tejszy medykus, a imię jego Tolson i prawdziwy z niego krześcianin; Tom Cromer, moi matrosse -pamiętasz tego dobrego i lojalnego chłopca - choć ubieżał z pola walki, wrócił i odszukał mnie wśród leżących i znalazł mi konia i przywiózł mnie tu do miasteczka Banbury. Pan Tolson kwatruje mnie za 2 pensy za dzień wszystkiego i to dobra cena jak na te czasy, ale on powiada, że mój przypadek jest taki, że nie będę nigdy płacił więcej niż szylinga. Piszę przeto po raz ostatni, zanim pójdę do nieba, jak mam nadzieję, albo (co bardziej prawdopodobne) zostanę strącony w czeluście piekielne, jako że przez żywot mój nie jestem jednym z Wybranych. Ale wszystko w rękach Boga i zdaję się na Jego miłosierdzie.

A było to tak. Jak wiesz, wyruszyliśmy pod koniec lata z Londynu z pułkiem artylerii mojego pana lorda Essexu, kiedy Król sprzeciwił się Parlamentowi i obrócił przeciwko swoim własnym ludziom, aby ograniczyć ich swobody. W Northampton usłyszeliśmy, że Król jest w Worcester i zmierza na południe, więc pośpieszyliśmy, aby przeciąć mu drogę do Londynu. Nie udało nam się to, bo byliśmy za wolni i siły nasze rozproszone były po całym kraju, jednakowoż słysząc, że Król zamierza atakować Banbury, pośpieszyliśmy i zebraliśmy się tu na północy niedaleko miasta Kineton, gdzie Król zawrócił, by stawić nam czoło.

Wiesz, Nan, wojna jest jak dziecinna gra w papier, kamień i ogień: papier owija kamień, kamień tłumi ogień i tak dalej. Chcę przez to rzec, iż koń ma wyższość nad harmatami, bo choć możemy wystrzelić jedną salwę, to nas dopadną, nim zdążymy wystrzelić drugą, Piechota może pokonać jazdę, bo konie nie mają odwagi natrzeć na ścianę pik, piechota musi przeto ochraniać baterie dział: działa mogą rozproszyć wraże bataliony uzbrojone w piki i rozbić je w pył, a wtedy może ich dopaść jazda. Najważniejsze jest przeto, by to wszystko zagrało w jednym czasie. Rozstawiliśmy więc swoje harmaty i poszło nam tego ranka doskonale, bo mieliśmy więcej harmat niż królewscy i oddałem strzał do nich, ale odległość była znaczna, widziałem jednakowoż pod królewską chorągwią i księcia Ruperta, i innych z jego świty. Od frontu osłaniali nas żołnierze sir Nicholasa Byrona, będąc na lewej flance naszych wojsk, tuż pod żywopłotem i lasami.

Potem jazda królewska zaatakowała nas z prawej i zobaczyliśmy dym i powiewające chorągwie i oto nasze prawe skrzydło zostało wyparte, lewe też się przesunęło w tamtą stronę, rzecz najczęstsza w bitwie i najmądrzejsza dla obrony. Ale ci ludzie byli słabi w sztuce wojennej, więc przesunęli się i nasza lewa flanką odsunęła się od żywopłotu i została nieosłonięta. Trzeba Ci wiedzieć, Nan, że nigdy nie było dobre cofać flankę przed Rupertem Reńskim. Wiesz, bom Ci mówił, że ci wszyscy na służbie u Króla przeważnie są kawalerzystami i tym, co potrafią najlepiej, jest szarżować z mieczem i pistoletem, co też z wielkim krzykiem uczynili. Uderzyli na nas z całą mocą i zwinęli naszych piechurów jak postaw sukna i dopadli harmat. Schwyciłem za berdysz, aby bronić mojej harmaty (bo choć działa nie mają chorągwi ani insygniów królewskich, hańbą by było, jak powiadają, gdybym patrzył, jak moje działa poddają się bez walki), ale jakiś konny wstrzymał wierzchowca i wystrzelił do mnie ze swej rusznicy i upadłem i leżałem tam cały dzień, nie czując nóg i nie mogąc nimi poruszyć, aż znalazł mnie młody Tom, kiedy zmierzch zapadł, i zaniósł mnie tu, gdzie teraz mam zemrzeć. Nie wiem do tej pory, kto wygrał bitwę tego dnia.

A zatem piszę do Ciebie, co jest ostatnią rzeczą, jaką robię na tym świecie, i myślę, że choć Bóg nie powołał mnie w szeregi wielkich, to jednak jestem mężczyzną, nie zaś chłystkiem, i moja historia będzie miała wielkie znaczenie choćby dla mojego syna, który musi wyrosnąć na mężczyznę, nie mając wzoru choć tak marnego, za jaki ja mógłbym mu stać.

Tego wieczoru, kiedy wybuchł ów brzemienny w skutki mały pożar, który zmienił jego życie, Albert Crosetti pracował jak zwykle w piwnicy i pierwszy wyczuł dym. Siedział w piwnicy, bo w antykwariacie Simona Glasera tam właśnie trzymano komputer. Pan Glaser nie lubił tych urządzeń i mierziło go, że odgrywają one zasadniczą rolę w funkcjonowaniu branży księgarskiej. Wolał osobiście podawać klientom swe skarby w dobrze oświetlonym, wyłożonym boazerią i dywanem pomieszczeniu, które spełniało funkcję salonu wystawowego. Ale parę lat temu pogodził się z rzeczywistością i poszukując sprzedawców, pytał każdego z kandydatów, czy zna się na komputerach na tyle, aby założyć i prowadzić katalog w sieci. Zaangażował pierwszego niepalącego, który odpowiedział twierdząco. Był to Albert Crosetti, młodzieniec wówczas dwudziestoczteroletni, pochodzący z Queens, gdzie nadal mieszkał w parterowym domku z cegły w pobliżu Ozone Park wraz z owdowiałą matką, emerytowaną bibliotekarką. Ich wzajemne relacje były z lekka naznaczone czymś w rodzaju freudowskiego kaca. Crosetti marzył o robieniu filmów i zbierał pieniądze na studia w słynnej szkole filmowej na Uniwersytecie Nowojorskim. Był absolwentem Queens College i zaczął pracować u Glasera w

miesiąc po otrzymaniu dyplomu. Lubił swoją pracę, godziny były stałe, płaca przyzwoita i choć Glaser miał głowę zaprzątniętą wyłącznie starymi książkami, zdawał sobie sprawę, że znalazł w młodym człowieku cennego pracownika, i pozwalał mu prowadzić służbową korespondencję e-mailową oraz zajmować się, niemal bez nadzoru, wszystkim, co wymagało zastosowania elektroniki.

Jego stanowisko pracy mieściło się w maleńkiej wnęce, której ściany tworzyły półki, oszklone gabloty i skrzynki pełne książek. Tu uaktualniał katalog na podstawie list wypisywanych przez pana Glasera wiecznym piórem, piękną kaligrafią minionej epoki. Uzupełniał też na bieżąco inwentarz i docierał do różnych systemów, które ułatwiały składanie zamówień u bibliofilów z całego świata, a potem drukował wykazy, aby mógł je przejrzeć właściciel księgarni. Poza tym do jego obowiązków należało rozpakowywanie i wysyłanie pojedynczych tomów oraz wszelkie inne prace pomocnicze związane z księgarskim fachem. Rzadko zapuszczał się na górę, do salonu sprzedaży, gdzie kulturalni, elegancko ubrani ludzie brali do rąk stare foliały z taką czułością i troską, jakby to były niemowlęta.

Jedyną nieprzyjemną stroną tej pracy był zapach, na który składała się woń starych książek, myszy, wykładanej systematycznie trutki na gryznie, kanalizacji, rozgrzanej farby i przede wszystkim swoistej basowej nuty olfaktorycznej, czyli swądu przypalonej frytury. Ten ostatni zapach pochodził z sąsiedztwa, z typowego dla tej części miasta baru o nazwie „Egejski”, w którym serwowano drożdżówki, tosty, jajka i cienką kawę rano oraz sandwicze, wszelkie smażeniny i gazowane napoje przez parę godzin przed południem i po południu. Minęła właśnie dwunasta, był piękny lipcowy dzień i Crosetti zastanawiał się, czy dać sobie spokój z udoskonalaniem strony antykwariatu w Internecie i zrobić przerwę na lunch, czy tylko zadzwonić, żeby posłaniec przyniósł mu kanapkę.

Mógł sobie darować lunch. Często myślał o tym, że prawdopodobnie płucami wchłaniania wystarczającą ilość kalorii, pochodzących głównie z tłuszczu. Nie lubił się gimnastykować i odpowiadała mu kuchnia matki, o czym zaświadczał wałek w talii. Crosetti wolałby też, aby twarz, którą ogląda w lustrze przy goleniu, była mniej pulchna. Nieraz rozważał, czy nie poprosić sprzedawczyni z góry, żeby z nim

wyszła, zakładał bowiem, że Carolyn Rolly odżywia się substancjami bardziej treściwymi niż zapachy wydzielane przez stare książki. Wiedział, że od czasu do czasu jadała z Glaserem; zamykali wtedy księgarnię i wychodzili, zostawiając ślęczącego nad klawiaturą Crosettiego na dole. Ulegał przelotnie tej fantazji, potem się z niej otrząsał. Rolly była bez reszty oddana książkom, a on w gruncie rzeczy nie, choć dowiedział się sporo o księgarskim biznesie (o cenach, stanie wolumentów i tak dalej), ograniczając się do swojej komputerowej działki. Rolly, wysoka, ale troszkę solidniej zbudowana, niż nakazywały aktualne trendy w modzie, nie była piękną według standardów wyznaczanych przez magazyny i filmy erotyczne. Crosetti czytał gdzieś o kobietach, które wyglądają lepiej bez ubrania niż w ubraniu, i pomyślał, że Rolly do nich należy. Ubrana, z pewnością niczym się nie wyróżniała, a ubierała się na czarno, jak wszyscy w księgarni.

Było w niej jednak coś, co przyciągało oko: lśniąco, gładko zaczesane czarne włosy do ramion, odsłaniające twarz i spięte srebrną klamrą. Ostry nos wydawał się zawierać więcej elementów kostnych niż przeciętny, co sprawiało, że był jakby leciutko pokarbowany. Usta miała niemodnie cienkie i blade, a kiedy mówiła, można było dostrzec, że jej zęby, a zwłaszcza wyjątkowo długie siekacze, są dość niezwykle i nawet odrobinę groźne. Oczywiście miała aż groteskowo niebieskie, niczym (co za banał!) letnie niebo, z nienaturalnie, jak mu się wydawało, maleńkimi źrenicami. Crosetti nie był mołem książkowym, ale jednak czytał, gustując szczególnie w powieściach z gatunku fantasy i science fiction, i czasem lubił sobie wyobrażać, że panna Rolly jest wampirzycą co wyjaśniałoby jej czarny strój, wygląd zewnętrzny, no i te zęby choć działającą w blasku dnia.

Przypuśćmy, że zaprosiłby ją na lunch i o to zagadnął. Byłby to nawet dobry pretekst do rozmowy; Crosetti nie wyobrażał sobie, o czym innym mogliby rozmawiać. Pracowała już w księgarni, kiedy on zaczynał, i w ciągu kilku lat zamienili jedynie parę zdawkowych uwag. Przyjeżdżała do pracy na rowerze, co sugerowało, że mieszka gdzieś blisko. Czyli na Murray Hill. A to oznaczało, że ma pieniądze, bo człowiek nie mógłby sobie pozwolić na mieszkanie w tej dzielnicy, żyjąc z pensji wypłacanej przez Glasera. Z doświadczeń Crosettiego wynikało, że młode, atrakcyjne i zamożne kobiety z Manhattanu nie wzdychały bynajmniej do tęgawych

młodych Włochów, którzy mieszkali z mamusiami w Queens. Choć Rolly mogła być wyjątkiem, nigdy nie wiadomo...

Pograżając się w tych przyjemnych rozmyślaniach, Crosetti pracował jednocześnie nad szczególnie trudnym hipertekstowym językiem znaczników. Myślał o oczach Carolyn Rolly, o jej elektryzujących spojrzeniach, które sprawiały, że pragnął częstszego niż zwykle kontaktu wzrokowego. Był tak bardzo pochłonięty myślami o tych oczach i jednocześnie pracą z komputerem, że upłynęła dłuższa chwila, nim sobie uświadomił, że kuchenne zapachy stały się niezwykle intensywne i nie były już tylko zwykłym swądem, lecz zamieniły się w dym. Wstał i pokaszując, udał się w głąb piwnicy, aż do ścianki, która oddzielała księgarnię od restauracji. Dym robił się tu gęstszy, widać wręcz było czarne smużki wypełzające ze szczelin w starym ceglany murze. Dotknął ściany. Poczul, że jest rozpalona.

Pognał z łoskotem po drewnianych schodach do opustoszałego antykwariatu; na drzwiach wisiał papierowy zegar z zaznaczoną godziną końca przerwy, co potwierdzało, że Glaser wyszedł ze swą protegowaną do baru. Crosetti wybiegł na ulicę i zobaczył tłumek przy wejściu do baru „Egejskiego”, z którego buchały kłęby tłustego, szarego dymu. Zapytał jednego z gapiów, co się dzieje. Coś jakby pożar, wyjaśnił tamten, podobno w kuchni. Rozległo się wycie syren. Podjechał samochód policyjny i po pewnym czasie zbiegowisko się rozproszyło. Crosetti rzucił się z powrotem do księgarni i zbiegł na dół, krztusząc się i dławiąc w gęstym dymie. Mdlila go woń starego tłuszczu. Wyciągnął płytę z zapasowym plikiem i pobiegł na górę, prosto do zamkniętej na klucz gabloty, w której trzymano najcenniejsze egzemplarze książek. Klucz miał oczywiście Glaser; po chwili wahania Crosetti rozbił szybę kopniakiem. Najpierw chwycił trzytomową *Historie plemion indiańskich Ameryki Północnej* McKenneya i Halla, chlubę antykwariatu. Wyjął z gabloty, rzucił na stół. Następnie pierwsze, trzytomowe wydanie *Dumy i uprzedzenia*, a potem *Żdźbła trawy*, też pierwsze wydanie. Niewielki stos książek wart ćwierć miliona. Schwycił je, skoczył ku wyjściu, zatrzymał na chwilę i z ust wyrwało mu się pełne rozpacz przekleństwo, bo przypomniał sobie, że na dole pozostał nowy nabytek, *Podróże* Johna Churchilla. Był w straszliwej rozterce ratować to, co trzyma w dłoniach, czy zbiec do piwnicy po *Podróże?*

Należało zbiec na dół. Odłożył książki z powrotem na stół, ale w chwili gdy stanął na szczycie schodów, jakaś ciężka łapa schwyciła go za połą marynarki i groźny głos zapytał, gdzie, kurwa, lezie. Za nim stał wielki strażak w masce, który zapewne nie był miłośnikiem książek, lecz mimo to pozwolił Crosettiemu wybiec z trzema cennymi tytułami wyjętymi z gabloty. Młodzieniec przystanął na chodniku za liną, którą rozciągnęła policja, i dyszał ciężko, przyciskając książki do piersi, kiedy zjawili się Glaser i Rolly. Glaser odebrał od niego to, co zostało uratowane, i zapytał:

- A co z Dickensem?

Miał na myśli wydanie z 1902 roku z akwarelowymi ilustracjami Kyda i Greena. Szesćdziesiąt tomów. Crosetti rozłożył bezradnie ręce. Glaser usiłował wyminąć dwóch policjantów, ale zatrzymali go i zaczęli na niego wrzeszczeć, on zaś nie pozostał im dłużny.

- Udało ci się wynieść z piwnicy Churchilla? - zapytała Crosettiego Rolly.

- Nie. Chciałem, ale mnie zatrzymali. - Opowiedział jej o wielkim strażaku.

Pociągnęła nosem.

- Wszystko będzie śmierdzieć przypalonymi frytkami. Ale przynajmniej uratowałaś *Plemiona indiańskie*.

- I Jane, i Walta.

- Właśnie, ich też. Sidney nie przypuszczał, że znasz się na książkach.

- Wiem po prostu, ile kosztują.

- No tak. Powiedz, czy gdyby nie ten strażak, rzuciłbyś się w ogień, żeby ratować *Podróże*?

- Tam nie było żadnego ognia - odparł skromnie. Najwyżej jakiś płomyk.

Po raz pierwszy obdarzyła go uśmiechem, szczerząc te swoje zęby młodej wilczycy.

Nazajutrz zrobili inwentaryzację i stwierdzili, że jeśli nie liczyć okopconych książek i smrodu, salon i jego zasoby pozostały nietknięte. Okazało się, że w restauracyjnej kuchni była dziura w podłodze, do której kucharze wlewali zużyty tłuszcz, kiedy główna beczka była pełna lub gdy byli zbyt zajęci albo rozleniwieni, aby wynieść fryturę tam, gdzie należało. Tłuszcz gromadził się w piwnicy, pomiędzy

ścianami, i w końcu z jakichś powodów nastąpił samozapłon. Żeby opłamać ogień, strażacy przebili się przez ściankę działową i w rezultacie większość tego, co znajdowało się w piwnicy, uległa zniszczeniu od wysokiej temperatury, została przywalona gruzem lub zalana wodą. Skrzynka, w której znajdowało się sześć tomów *Podróży lądem i morzem* Awnshama i Johna Churchilla (wydania z 1732 roku), pechowo przyjęła na siebie uderzenie padającej ściany. Książki leżały teraz wśród gruzów na stole, wokół którego stali we trójkę pan Glaser, Crosetti i Rolly, niczym policjanci oglądający ofiarę mordercy; w każdym razie na stróżów prawa wyglądali młodzi - pan Glaser przypominał raczej matkę ofiary. Wodził czule palcami po zgniecionej, przemoczonej i szerniałej okładce pierwszego oprawnego w cielecą skórę tomu.

- Nie wiem - powiedział łamiącym się głosem - nie wiem, czy w ogóle warto się wysilać. Niepowetowana strata!

- Więc to nie było ubezpieczone? - zapytał Crosetti.

Spojrzeli na niego z niesmakiem.

- Ależ oczywiście, że było - odparł cierpko Glaser. - Nie w tym rzecz.

To jest prawdopodobnie najwspanialsze na świecie kompletne wydanie z tysiąc siedemset trzydziestego drugiego roku. A przynajmniej było. Znajdowało się w bibliotece jednego z mniej ważnych Godolphinów, pewnie nieknięte i nie czytane od czasu zakupu aż do chwili, kiedy bibliotekę rozkradziono po śmierci ostatniego spadkobiercy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku. Potem książka należała przez prawie czterdzieści lat do hiszpańskiego przemysłowca i w zeszłym miesiącu kupiłem ją na aukcji. Była w idealnym stanie, żadnych śladów zużycia, żadnych plam, żadnych... ach, mniejsza z tym. Nie da się tego odrestaurować. Trzeba będzie porozcinać tomy, żeby wyjąć mapy i ryciny.

- Och, nie! krzyknęła Rolly. Na pewno da się coś z tym zrobić.

Glaser spojrzał na nią sponad grubych okularów.

- Nie, to się nie opłaca w sensie ekonomicznym, jeśli wziąć pod uwagę koszty renowacji i cenę, jaką moglibyśmy uzyskać za oprawiony na nowo i odrestaurowany komplet. Zrobił krótką pauzę i odchrząknął. Nie, będziemy to musieli, niestety, porozcinać powiedział tonem onkologa, który oznajmia: „Czerniak w czwartym stadium”.

Westchnął ciężko i machnął ręką, jakby oganiał się od komarów.

- Caro, oddaję to w twoje ręce; zrób to szybko, zanim pojawi się pleśń.

Powłócząc nogami, odszedł do swojego gabinetu.

- Chce, żebyś to ty porozcinała te książki? zapytał Crosetti.

- To nie jest bardzo skomplikowane. Ale najpierw musimy je wysuszyć odparła w roztargnieniu. Słuchaj, będę potrzebowała pomocy dodała po chwili, jakby znów go dostrzegając, i na jej twarzy pojawił się ten pociągający wyraz, który tak lubił. Udał, że rozgląda się, czy ktoś nie stoi za jego plecami, i powiedział:

- Tylko nie ja! Byłem w przedszkolu beznadziejny w kolorowaniu. Zawsze wychodziłem poza kontur.

- Nie, tu będą potrzebne tylko papierowe ręczniki. Taka operacja suszenia może potrwać całą dobę albo nawet kilka dni.

- A co z naszymi obowiązkami?

Zatoczyła ręką szeroki łuk.

- Księgarnia będzie zamknięta przez miesiąc, bo trzeba zrobić remont, a ty możesz wysyłać zamówienia e mailem z dowolnego komputera, prawda?

- Pewnie tak. Gdzie masz zamiar to robić?

- U siebie. Mam duże mieszkanie. Chodźmy. Wzięła dwa wielkie to-miska pod pachę.

- Tak od razu?

- Jasne. Słyszałeś, co powiedział Glaser: im szybciej zaczniemy, tym mniejsze będą szkody. Weź resztę tomów. Owiniemy je papierem.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał, podnosząc zniszczone foliały i opierając je sobie na piersi.

- W Red Hook.

Stała przy ladzie i oddzierała papier pakowy z wielkiej beli.

- Przyjeżdżasz z Red Hook na rowerze?

Crosetti nigdy nie wybrał się do Red Hook, czyli na południowo-wschodni kraniec Brooklynu, za starymi dokami. W Red Hook nie było stacji metra, bo dopóki cały przemysł stoczniowy nie przeniósł się do New Jersey, wszyscy okoliczni mieszkańcy pracowali na wybrzeżu i chodzili tam pieszo, a nikt z zewnątrz nie potrzebował odwiedzać tej okolicy, chyba że chciał oberwać po głowie.

- Nie, oczywiście, że nie odparła, pakując szósty tom. - Jadę na rowerze do samej rzeki, a dalej taksówką wodną z przystani przy Czterdziestej Czwartej Ulicy.

- Zdawało mi się, że bilety są bardzo drogie.

- To prawda, ale za to niewiele płacę za mieszkanie. Tę powinienes włożyć w folię.

Crosetti spojrział na książkę, którą trzymała. Sączyl się z niej brunatny płyn i kapał na jego beżowe spodnie. Po raz pierwszy pożałował, że nie ubiera się na czarno jak tyłu jego modniejszych rówieśników czy jak Carolyn. Przeprosiła go i poszła na górę, pozostawiając mu resztę książek do zapakowania.

Kiedy się z tym uporał, oboje ruszyli na wschód, z ciężarem umieszczonym w drucianym bagażniku roweru Rolly, masywnego, zdezelowanego wehikułu z rodzaju tych, jakie upodobali sobie dostarczyciele pizzy i przed laty - bojownicy Wietkongu. Wszelkie próby nawiązania rozmowy Carolyn kwitowała lakonicznymi odpowiedziami, więc w końcu zamilkł; nie jesteśmy na randce, chłoptasiu, zdawał się brzmieć jej niemy komunikat. Z drugiej strony dzień był piękny, ciepły i nie tak bardzo parny, a fakt, że towarzyszy Carolyn Rolly, nawet milczącej, i jeszcze mu za to płacą, był o niebo lepszy od ślęczenia nad spisem inwentarza w cuchnącej spalonym tłuszczem piwnicy. Crosetti z nadzieją myślał o tym, co może się zdarzyć w mieszkaniu dziewczyny.

Jeszcze nigdy nie korzystał z taksówki wodnej. Podróż wydawała mu się znacznie atrakcyjniejsza od jazdy metrem. Rolly przywiązała rower do relingu na dziobie i stanęła obok niego, z ręką opartą na tej samej barierce. Pozostali pasażerowie wyglądali jak turyści.

- Dobrze się czujesz? zapytała Rolly, kiedy mknęli środkiem East River.

- Jasne. Jestem starym żeglarzem. Jako chłopiec spędziłem pół życia, pływając po zatoce Sheepshead łódkami z wypożyczalni. Chcesz, to staniemy na dziobie i przytrzymam cię jak Kate Winslet w *Titanicu*.

Rzuciła mu jedno z tych swoich oficjalnie chłodnych spojrzeń i odwróciła się. Zdecydowanie nie była to randka.

Carolyn mieszkała na rogu Van Brunta i Coffeya, na pierwszym piętrze magazynu ze szerniałej cegły, w budynku z czasów wojny secesyjnej. Weszli na górę

po ciemnych splekanych schodach. Crosetti niósł książki, a ona taszczyła rower. W powietrzu wisiał ciężki zapach, którego nie mógł określić, słodkawym i chemicznym zarazem. Drzwi do jej mieszkania były masywne, drewniane, wzmocnione żelaznymi płaskownikami i pomalowane szarą farbą okrętową.

Wewnątrz znajdowało się poddasze, ale bynajmniej nie takie, do jakich przeprowadzają się milionerzy z SoHo. Było to pomieszczenie o powierzchni piętnaście na dziesięć metrów, z zabejcowaną na ciemny brąz podłogą z desek, z której w równych odstępach wyrastały żeliwne kolumny, podpierające szary strop z wytłaczanej blachy. Ściany z czerwonej cegły niestarannie spojono kruszącą się szarą zaprawą. Wysokie okna z brudnymi szybami, przez które wpadały smugi światła, wychodziły na wschód i na zachód; część szyb zastępowały prostokąty dykty lub szarawe, zniszczone kawałki plastiku.

Rolly oparła rower o ścianę przy drzwiach, podeszła do okna i położyła jedną z paczek na długim stole. Crosetti rozglądał się ciekawie za jakimś drzwiami czy korytarzem prowadzącym do pomieszczenia mieszkalnego. Tymczasem Rolly już rozwijała papier i wyjmowała książkę. Zbliżywszy się do niej, Crosetti dostrzegł, że stół jest domowej roboty; blat składał się z krótkich deszczulek, starannie wygładzonych papierem ściernym. Sześć solidnych nóg skonstruowano z czegoś, co wyglądało na żółtawe włókno szklane. Blat był twardy niczym marmurowa płyta i odznaczał się tą prostą elegancją, jaką widuje się w studiach z meblami na zamówienie.

Crosetti odwinął folię z papieru i ułożył je na blacie. Nawet on widział, że okładki dwóch z nich zostały nieodwracalnie uszkodzone.

- Miłe mieszkanie - powiedział, kiedy stało się jasne, że Rolly nie zamierza nawiązać rozmowy ani zaproponować herbaty czy piwa.

Nie zareagowała, pochylona nad zniszczoną okładką pierwszego tomu.

- Co to za zapach? - spytał.

- Głównie słodu. Przez prawie sto lat był tu browar, a potem skład z chemikaliami.

- Mogę się trochę rozejrzeć?

- Na półkach od południowej strony jest duża paczka papierowych ręczników. Podaj mi je brzmiała odpowiedź.

Crosetti odczekał chwilę, potem okrążył powoli wielkie pomieszczenie. W jednym kącie znalazł stertę drewnianych palet, całe tuziny, a także stopy pojedynczych deseczek z tychże palet. Południowa ściana prawie całkowicie była zabudowana półkami i przegródkami wykonanymi z tych deszczulek, wyszlifowanych, zabejcowanych i powleczonych werniksem. Na półkach stały książki, wszystkie w twardej oprawie, większość w obwolutach, niektóre w plastikowych okładkach. Na próżno wypatrywał jakichś rzeczy osobistych, zdjęć w ramkach, pamiątek.

Blaty w kuchni (której wyposażenie składało się z dwupłytkowej kuchenki, małej mikrofalówki i małego obtłuczonego zlewozmywaka z porcelitu) zrobione były z tych samych starannie oklejonych deseczek co duży stół, pokrytych dodatkowo grubą warstwą bursztynowej żywicy. Do wschodniej ściany przysunięto kilka palet, jedna na drugiej, ze zwiniętym starannie w rulon materacem, i stolik zrobiony ze szpuli po kablu oraz dwa krzesła, z rodzaju tych, jakie można znaleźć na wysypiskach śmieci. Wszystko było fachowo odnowione i pomalowane na kremowo. Jedno krzeselko dla niej, drugie dla gościa? Sugerowało to jakieś życie towarzyskie i Crosetti zastanawiał się, kto tu bywa. W południowo-wschodnim kącie stało coś w rodzaju budki, także z deseczek; toaleta, jak się domyślił. Przylegała do niej wielka zdezelowana szafa, odgradzona od reszty pomieszczenia składanym parawanem z lakierowanego drewna i wzorzystego papieru. Ciekawe: mieszkała sama, a rozstawiała coś takiego. To z kolei wskazywałoby na aktywność seksualną.

Już miał zerknąć za parawan, kiedy Rolly zawołała go niecierpliwym głosem. Znalazł duże opakowanie papierowych ręczników i wrócił z nimi do stołu. Należało je wkładać do zawilgoconych książek, po jednym co dziesięć stron, a potem co godzinę wymieniać. Woluminy leżały płasko na stole, przyciśnięte owiniętymi tkaniną stalowymi płytami, co miało zapobiec ich puchnięciu.

- Jednego nie rozumiem powiedział Crosetti. Po co suszyć cały komplet, skoro masz zamiar je porozcinać i wyjąć tylko mapy i sztychy? Dlaczego nie po-wydzierać tego, co trzeba, i nie wyrzucić reszty?

- Bo tak się powinno to robić odparła po chwili wahania. - Ryciny by się pozwijały i pomarszczyły, gdybyś je wyciągnął mokre.

- Rozumiem - przytaknął, nic wszakże nie rozumiejąc.

Zobaczył nagle tę młodą kobietę w zupełnie innym i niezbyt atrakcyjnym świetle. Usiadł na taborecie i zaczął uważnie studiować jej profil.

- A więc... to nawet interesujące patrzeć, jak się suszy książki. Nigdy dotąd tego nie robiłem. Może mi powiesz, jakie są najważniejsze etapy, żebym niczego nie przegapił.

Wyszczерzył do niej zęby i został nagrodzony lazurową iskierką w jej oczach. Usta miała zaciśnięte, jakby usiłowała powściągnąć uśmiech.

- Poczytaj sobie jakąś książkę - zachęciła go. - Mam ich mnóstwo.

- A może porozmawiamy? Mógłbym ci opowiedzieć o swoich nadziejach i marzeniach, a ty opowiedziałabyś mi o swoich, i czas minąłby nam szybko; lepiej byśmy się poznali.

- No to zaczynaj - powiedziała po krótkiej pauzie, ale bez większego przekonania.

- Nie, kobiety mają pierwszeństwo. Wydaje mi się, że twoje życie jest znacznie ciekawsze od mojego.

Zaszokowało ją to. Otworzyła usta, parsknęła, wreszcie oblała się rumieńcem.

- Przepraszam powiedziała. - Boże, jest dokładnie odwrotnie! Skąd ci to przyszło do głowy? Ze mam ciekawe życie.

- Och, chociażby to lokum... Mieszkasz w magazynie w Red Hook...

- To jest poddasze. Tysiące ludzi w tym mieście zajmuje takie.

- Owszem, ale przerobione na apartamenty. I zazwyczaj mają meble kupione w sklepie, nie zrobione z palet. Mieszkasz tu przynajmniej legalnie?

- Gospodarz nie ma nic przeciwko temu.

- Zakładając, że o tym wie. A poza tym jesteś introligatorką. To dość niezwykle, prawda? Jak w ogóle nią zostałaś?

- A co z twoimi oczekiwaniami i marzeniami?

- I wiesz co? Jesteś też skryta. A to najbardziej intryguje. No dobrze. Teraz o sobie. Mam dwadzieścia cztery lata, mieszkam z mamą w Queens, niedaleko Ozone Park. Oszczędzam na studia w szkole filmowej, a biorąc pod uwagę tempo, w jakim to robię, rozpocznę je dokładnie w miesiąc po pięćdziesiątych drugich urodzinach. Powinienem wziąć kredyt, lecz boję się zadłużyć.

- Ile już uzbierałeś?
- Około trzech i pół tysiąca.
- Ja mam więcej.
- Nie wątpię. Glaser pewnie płaci ci lepiej niż mnie, dostajesz prowizję od sprzedaży, mieszkasz w Red Hook i masz dwa komplety garderoby: to, w czym jesteś teraz, i tę sukienkę z kołnierzem. Na co oszczędzasz?

- Chcę jechać do Gelsenkirchen w Niemczech, na praktykę w firmie Buchbinderei Klein. - Widząc, że nic mu to nie mówi, dodała: Oczywiście nigdy o niej nie słyszałeś.

- Jasne, że słyszałem. Buch coś tam i Klein. To taki Harvard w świecie introligatorów. Ale myślałem, że wiesz już wszystko na ten temat. I masz cały sprzęt... wskazał narzędzia rozłożone na stole: gilotyne, radełka, osetki do ostrzenia, noże, skórzane poduszki i słoiki z klejem. Wszystko wyglądało tak, jakby pochodziło z XVIII wieku. Pomyślał, że *Podróże* oprawiano za pomocą takich właśnie narzędzi.

- Prawie nic nie wiem - zaprotestowała.

- Nie żartuj.

- Nic, biorąc pod uwagę to, co trzeba wiedzieć, żeby zrobić książkę od początku do końca. Ja umiem tylko naprawiać. To taka różnica jak... jak między sklejeniem rozbitej wazy z epoki Ming a zrobieniem jej od podstaw z glinki i glazury.

- Aha. A skoro już tak szczerze rozmawiamy, dlaczego mi nie powiesz, co zamierzasz zrobić z tym Churchillem, kiedy go odrestaurujesz?

- Co? Przecież go nie restauruję. Zamierzam go porozcinać.

Na jej policzkach wykwitły rumieńce, oczy miała rozbiegane - typowa reakcja dziewczyny przyłapanej na kłamstwie.

- Nie - zaprzeczył stanowczo. Gdybyś zamierzała pociąć te książki, wysłałabyś je pocztą lotniczą do Andover, żeby tam wysuszyli je próżniowo. Bez zbędnego kłopotu. Odesłaliby ci suche, czyściutki i przycięte jak trzeba. Zaskoczyłem cię? Nie można mnie nazwać specem od książek, ale nie jestem też głupi. No więc co zamierzasz zrobić z tymi odrestaurowanymi książkami?

- Sprzedać je - powiedziała, patrząc na przemoczone foliały.

- Jako odrestaurowane?

- Nie. Wszyscy wiedzą, że mamy wyjątkowo doskonały komplet. Istnieją klienci, którym zależy na dyskrecji. Mają trefne pieniądze i chcieliby je ulokować w różnych kolekcjach. Glaser robi to cały czas. Widzisz, on chce to zgłosić do towarzystwa ubezpieczeniowego jako poniesioną stratę i pokazać im faktury na uratowane ryciny. Będą opiewały na jakieś dwa i pół tysiąca, a towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaci mu różnicę pomiędzy tą kwotą a tym, co zapłacił za komplet, czyli około dwudziestu tysięcy dolarów.

- Czyli mniej więcej tyle, ile spodziewasz się zgarnąć do swojej kieszeni, kiedy sprzedasz je jakiemuś podejrzanemu typkowi. Jak się na to mówi? Na literę „k”.

- To nie jest... To nie jest żadna kradzież. Kazał mi porozcinać te książki. Dla niego ten komplet już nie istnieje. Odzyska pieniądze dzięki towarzystwu ubezpieczeniowemu, a ja zarobię dzięki własnym umiejętnościom. Czym to się różni od robienia mebli z palet, które i tak są wyrzucane?

- Hm, różni się, ale może przemawia przeze mnie wychowanek jezuickiego liceum. Wiesz, jesteś naprawdę ciekawą osobą. To, co pokrętne, jest zawsze interesujące. W jaki sposób zamierzasz sporządzić faktury na ryciny, skoro w rzeczywistości nie zniszczysz tych książek?

- Sidney nigdy nie zwraca sobie głowy zniszczonymi książkami. To go przygnębia. Nazywa je padliną dla sępów.

- Nie odpowiadasz na moje pytanie. Ale domyślam się, że zamierzasz to sprzedać za dwadzieścia dwa kawałki, odpalić parę Sidneyowi, umożliwić mu odebranie ubezpieczenia i sfalszować księgowość za pomocą podrabianych faktur. Wyrólujesz jednocześnie towarzystwo ubezpieczeniowe, Glasera, swojego tajemniczego klienta i urząd skarbowy. Niezły plan.

- Chcesz mnie wsypać!

Crosetti słyszał o „płonącym wzroku”, ale nigdy nie widział czegoś takiego, chyba że w kinie. W jej oczach migotały błękitne iskierki.

- Nie odpowiedział z uśmiechem. To by było nudne. No więc... jak naprawisz te zniszczone okładki?

Dostrzegł ulgę na jej twarzy, kiedy przeszli od kwestii moralnych do zupełnie neutralnych spraw technicznych.

- Myślę, że uda mi się uratować skórzaną oprawę pierwszego tomu. Popękały tekturowe okładki i grzbiet, ale po zdjęciu skóry mogę je wymienić.

Mówiąc to, wyjęła z puszkę coś w rodzaju cienkiej łopatki i zaczęła oddzielać papier marmoryzowany, którym skóra była przyklejona do okładki. Robiła to bardzo ostrożnie i Crosetti z przyjemnością obserwował jej drobne, zręczne dłonie aż do chwili, gdy zadzwonił nastawiony wcześniej kuchenny minutnik i musiała przerwać, żeby wymienić ręczniki pomiędzy schnącymi kartkami. Kiedy skończyła, zobaczył, że skóra z okładki jest zdjęta. Pod spodem, pomiędzy skórą a warstwami spękanej tektury, ukazało się kilka wilgotnych arkusików, pokrytych gęsto równym odręcznym pismem. Odłożyła je na bok i podniosła skórę, żeby obejrzeć ją dokładnie pod światło.

- Co to za papiery? - zapytał, próbując rozdzielić sklezione kartki, pokryte po obu stronach zrudziałym drobnym pismem.

- To po prostu wyściółka. Używali makulatury, żeby okładki były miękkie i żeby zapobiec ścieraniu skóry od wewnątrz przez tekturowe wkładki.

- W jakim to języku?

- Pewnie po angielsku. Stare, niepotrzebne papiery, takich wtedy używano.

- To nie wygląda na angielski. Po angielsku umiem czytać. Chyba że facet naprawdę okropnie bazgrał.

Wzięła od niego ostrożnie kartkę i rzuciła na nią okiem.

- Dziwne. Wygląda na pismo z czasów Jakuba I.

- Słucham?

- Nie jestem paleografem, ale moim zdaniem nie jest to pismo współczesne publikacji książki. Pochodzi chyba z okresu znacznie wcześniejszego niż rok tysiąc siedemset trzydziesty drugi. Zastanawiające.

- Myślisz, że ktoś ukrył w oprawie stary manuskrypt?

- Oczywiście, że nie. Introligatorzy używali jako wyściółki makulatury, różnych szpargałów. Spodziewałabym się raczej ówczesnych brudnopisów albo starych ulotek niż antykwarycznego manuskryptu.

- Dlaczego więc włożyli go pod oprawę? Przecież taki stary manuskrypt musi być cenny sam w sobie, prawda?

- Niekoniecznie. Nikt się wtedy nie przejmował starymi papierzykami, tak

było jeszcze przez długi czas. Rękopisy wykorzystywano w drukarniach, przerabiano na pulpę, używano ich jako podpałki albo wykładano nimi blachy do pieczenia ciasta. Tylko garstka antykwariuszy miała świadomość, że przechowywanie takich artefaktów z przeszłości jest ważne, lecz większość ludzi uważała ich za stukniętych. To dlatego praktycznie jedynymi manuskryptami, jakie przetrwały z dawnych czasów, są zapisy prawne albo dokumenty finansowe. Teksty literackie nie miały żadnej wartości.

- Więc teraz może być wartościowy. To znaczy ten dokument.

- Nie wiem. Zależy, co to jest. I oczywiście, kto to pisał. Podniosła rękopis do światła.

- Ach, już wiem. To kopia drukarska. Są tu poprawki naniesione ołowianym sztyftem. Pewnie powstała z tego książka, prawdopodobnie wydrukowana później przez tego, kto współpracował z Johnem Walthoe przy edycji dzieł Churchilla. Zdjęła przyciski z pierwszego tomu, otworzyła go i przyjrzała się znakowi drukarni. Peter Deane. Możemy już chyba zmienić ręczniki.

- Nie jesteś ciekawa, co to za rękopis? - zapytał, kiedy to zrobili. - A jeśli reszta wyściółki to ta sama, kompletna książka? I jeśli autor jest kimś sławnym, jak na przykład Donne, Milton czy Defoe? Taki rękopis byłby wart fortunę, nie sądzisz?

- To najpewniej rozważania jakiegoś duchownego. Komentarze do Pisma.

- Tego nie wiemy. Dlaczego nie zdejmiesz innych okładek i nie sprawdzisz?

- Bo to tylko dodatkowa robota. Musiałabym je potem założyć z powrotem. A nie mam zbyt wiele czasu.

- Wręcz przeciwnie - zaprotestował. - Książki schną. No chodź, potraktuj to jako przysługę dla mnie. Ja tobie jedną wyświadczylem.

Rzuciła mu znaczące spojrzenie, dając do zrozumienia, że dostrzegła manipulację.

- Jeśli cię to uszczęśliwi... Sięgnęła po szpatułkę.

Godzinę później Crosetti z przyjemnością oglądał coś, co wyglądało jak pranie rozwieszone na sznurach przeciągniętych między kolumnami podtrzymującymi strop loftu. Były to mokre kartki, które służyły jako wyściółka w sześciu foliach, po cztery z każdej strony okładki, czyli razem czterdzieści osiem kartek.

Odkrycie manuskryptu, który przez ponad dwa i pół wieku nie widział światła dziennego, nie niepokoiło go jednak tak jak to, co w jego głębokim przekonaniu było współudziałem w oszustwie.

Był lekko zszokowany tym, jak beczelnie nakłonił ją do zdjęcia okładek, żeby wydobyć ten rękopis, i teraz bardzo pragnął, by te papiery okazały się cenne pod względem literackim albo historycznym. Z wielką niecierpliwością czekał, aż kartki wyschną na tyle, żeby mógł je wziąć do ręki.

Tymczasem należało co godzinę zmieniać ręczniki. Kiedy po kilku próbach Rolly przekonała się, że Crosetti radzi sobie całkiem dobrze, z wyraźną ulgą pozwoliła mu to robić bez nadzoru. Najważniejsze było to, żeby nie przyspieszać procesu, wsuwając między kartki zbyt wielu ręczników, i nie wkładać ich gęściej niż co dziesięć stron. Gdyby nie przestrzegali tych zasad, wyjaśniła mu, książka by spęczniała i puściłoby szybie. Około szóstej Crosetti oznajmił, że jest głodny, i dowiedział się, że jedyne, na co może tu liczyć, to makaron i paczkowane dania na wynos o różnych terminach przydatności do spożycia. Zrozumiał teraz, dlaczego Carolyn tak często chodzi na lunch z Glaserem. Wybiegł z domu i przemierzwszy odważnie kilka zakazanych ulic Red Hook, wrócił z dwiema butelkami czerwonego mondavi i dużą pizzą.

- Kupiłeś wino - zauważyła, kiedy położył torbę na stole. - Ja nigdy go nie kupuję.

- Ale pijasz je?

- O tak! To bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję. - Znów wilczy uśmiešek, numer dwa.

Ponieważ zainteresowanie Crosettiego książkami jako fizycznymi obiektami było równie nikłe jak jej zainteresowanie najnowszymi filmami, głównym tematem rozmowy przy stole stał się ich pracodawca. Rolly, odpowiednio naciskana, chętnie udzielała informacji, zwłaszcza że wino zaczynało działać. Z przyjemnością patrzył, jak je. Robiła to zachłannie, jakby ktoś miał jej zabrać talerz sprzed nosa; wymiatała wszystko do ostatniego okruszka i oblizywała palce. Z jej opowieści wynikało, że Glaser, zanim wszedł do branży, był kolekcjonerem dość typowa kolej rzeczy. Jego rodzina dorobiła się majątku w ciągu dwóch pokoleń, zakładając sieć

domów towarowych; dorastał w środowisku bogatego mieszczaństwa na Manhattanie. Glaserowie mieli ambicje intelektualne - łoża w operze, bywanie na koncertach, podróże po modnych regionach Europy i tak dalej; w ich wielkim apartamencie w pobliżu Central Parku mieściła się całkiem spora biblioteka. Z biegiem czasu należące do rodziny centra handlowe zostały wchłonięte przez większe firmy, pieniądze niefortunnie za-inwestowane, a spuścizna podzielona między zbyt licznych krewnych. Pod koniec lat siedemdziesiątych Sidney Glaser przekształcił swoje hobby w źródło utrzymania.

Zdaniem Rolly nie był wielkim biznesmenem. Kiedy Crosetti zaopiniował, mówiąc, że antykwariat jest interesem z perspektywami i dysponuje niejednym prawdziwym rarytasem, powiedziała:

- W tym problem. Sidney to nie jest ktoś, kto może sobie pozwolić na kupno McKenneya i Halla za sto pięćdziesiąt tysięcy. Takie rzeczy są dla Baumanna, Sotheby's albo innych grubych ryb, a Glaser nie jest grubą rybą. Dobrze się ubiera i ma odpowiednią prezencję, ale brak mu środków. I oka. Ktoś taki jak on powinien wiedzieć, jak kupować książki warte tysiąc dolarów za dwieście, a nie te warte sto tysięcy dolarów za osiemdziesiąt dziewięć i pół tysiąca. Do tego chcą mu podnieść czynsz, który już pochłania prawie połowę przeciętnego miesięcznego dochodu, tego na papierze, bo wątpię, czy od lat miał w ogóle jakiś zysk. To typowe w branży księgarskiej. Bogaty kolekcjoner rozumuje tak: „Kupuje masę książek, dlaczego nie miałbym płacić za swoje hobby z zysku?”

- A to niedobrze?

- Nie zawsze. Tak jak powiedziałam: trzeba znać swoją pozycję i próbować ją podnosić. Człowiek nie może oczekiwać, że zacznie sprzedawać na poziomie cen, jakimi operował, gdy był bogatym kolekcjonerem, chyba że chce topić w biznesie własne pieniądze. A wtedy to żaden interes. Raczej kosztowne hobby, w dodatku snobistyczne. Skoro już o tym mowa: drobny antykwariusz w East Side, ze sklepem wyłożonym boazerią przecieź to kompletny anachronizm. Nie może płacić takiego czynszu i konkurować jednocześnie z tymi, którzy sprzedają w sieci, czy z wielkimi domami aukcyjnymi. Glaser tonie. Ten pożar to było najlepsze, co mu się mogło przydarzyć. Naciągnie towarzystwo ubezpieczeniowe, zgłaszając ogólne straty, i sprzeda wybrane egzemplarze za nieźle pieniądze. Da mu to pewien kapitał, ale nie starczy go na długó...

- Myślisz, że to on podłożył ogień?
- Nie, jest księgarzem i miłośnikiem książek. Nigdy by ich świadomie nie zniszczył. Sam widziałeś, że płakał nad tym Churchilllem. Ale skoro już pożar wybuchł, nie pogardzi okazją, żeby wyciągnąć, ile się da.
- Zupełnie tak jak ty.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Owszem. Ale ja jestem przynajmniej usprawiedliwiona, bo nie mieszkam w osiemnastopokojowym apartamencie przy Park Avenue. Potrzebuję pieniędzy. Dolała sobie wina i pociągnęła łyk. - A jak z tobą, Crosetti? Jeśli te kartki, które suszysz, okażą się rękopisem przedmowy Johna Locke'a do Churchilla, to co zrobisz? Zaniesiesz je Glaserowi i powiesz: „Ach, niech pan spojrzy, co znalazłem, panie G., może pan to sprzedać Widenerowi za dziesięć patoli. Czy mógłby pan mnie pogłaskać po główce?”

- Jeśli masz rację co do pisma z czasów Jakuba I, to nie może to być Locke.

- No proszę, jaki znawca! Myślałam, że jesteś maniakiem komputerowym i kinomanem.

- Czytam katalogi książek.
- Ach, prawda. Ale nie same książki. Chyba nawet ich nie lubisz, co?

- Bardzo lubię.

Przyjrzał się jej uważnie w przygasającym świetle i dostrzegł, że ma wojowniczo wysuniętą żuchwę i chmurne spojrzenie osoby głęboko urażonej.

- Chyba nie zamierzasz się urząnąć, Carolyn?
- Urznię się, jak będę chciała. Jestem u siebie.
- Aha. Ale ja nie muszę tu przesiadywać. Moje kartki już wyschły. Mogę je wziąć i zostawić cię, żebyś przez całą noc co godzinę zmieniała swoim dzieciątkom pieluszki.

I zrobiłby tak, jak powiedział, gdyby nie to, że ledwie wyrzekł te słowa, Rolly wybuchnęła płaczem, zanosła się strasznym, beznadziejnym szlochem. Crosetti, jak przystało na przyzwoitego mężczyznę, jakim był w istocie, obszedł stół, uklęknął przy jej krześle i objął ją, ona zaś, wśród spazmów, długo skrapiała jego ramię obfitymi łzami.

LIST BRACEGIRDLE'A (2)

Żeby zacząć, proszę łaski Boga Wszchemogącego, aby nie pozwolił mi zejść ze ścieżki prawdy, jako że mam w sobie wiele z naszego ojca (.Adama, jak wiesz, bo być może mówiłem O jakiś czas temu, ale mogłaś zapomnieć, i z woli Boga umrę, nim nasz syn dorośnie na tyle, by coś zrozumiał, więc lepiej to zapiszę na papierze.

Imię mego ojca było Richard, przodkowie jego, ród Bracegirdle'ów, wywodzili się z Titchfield w Weald i byli tam drzewiej. Mój ojciec, który był najmłodszym synem, został posłany do terminu do swego wuja Johna Bracegirdle'a, który miał cech żelazny w Leadenhall. Ukończywszy terminowanie, osiadł przy Fish Street niedaleko Fenchurch Street i założył skład z artykułami żelaznymi. Prosperował tam dzięki dobrym koneksjom z Bracegirdle'ami z Titchfield i myślę też, że dzięki głowie do interesów. Był to człek poważny i trzeźwy, nieedukowany, ale bystry. Lat 22, nawrócił się na prawdziwą religię krześcijańską dzięki lasce Bożej i kazaniom doktora Abernaty'ego z Water Street i odtąd wiódł bogobojny żywot. Był wielce szczodrym i hojnym krześcijańskim i żaden nieszczęśnik nie odszedł od jego drzwi nienakarmiony, jeśli potrafił wyrecytować bodaj urywek słowa Bożego, choć papistów ojciec ścierpieć nie mógł. Pomimo iż handlował zwykłymi garnkami, kotłami, płytami do palenisk etc, jego głównym towarem były dzwony i harmaty. Często mawiał, że jeśli człek chce narobić wielkiego hałasu w czas pokoju czy w czas wojny, niech najlepiej bieży do Bracegirdle'a przy Fish Street.

Macierz moja miała imię Lucinda. Wywodziła się z Warwick i była wyższego stanu niżli ojciec jako szlachetnie urodzona, do tego spokrewniona z lordem Ardenem, ale dalekie, dalekie to było pokrewieństwo, jak mawiał mój ojciec.

Jej rodzic, Thomas Arden, sądzony był za zdradę w dziesiątym roku panowania naszej zmarłej królowej Elżbiety i wszystko stracił: matka ją obumarła i ona, lat osiem, została przygarnięta przez ciotkę Margaret Brandell z Cheapside. Jako młoda dziewczyna moja matka była urodziwa, jednak nie miała żadnego wielbiciela w okolicy, jako że nie posiadała ani pensa, ani żadnych praw i chciała bardzo opuścić dom ciotki, kobiety, jak mówiła, bardzo pobożnej, ale skapiącej jej jadła i przyodziewku. Tak się ułożyło, że kupiła u mojego ojca płytę do paleniska i dwanaście miesięcy później wzięli ślub w kościele Świętego Egidiusza na Cheapside i żyli odtąd zgodnie. Początkowo nie wyznawała prawdziwej wiary ale później się nawróciła: bo głową żony jest mąż, jak mówi Pismo Święte (i List do Koryntian II, 3).

I po wielu żarliwych modlitwach na świat ten przyszedłem piątego dnia marca roku pańskiego 1590, bo z mocy niezbadanych wyroków boskich gorączka zabiła mym rodzicielom trójkę dzieci, wszystko w powijkach, ale ja byłem zdrów i krzepki jak wół, tak mówią, i dożyłem wieku męskiego, Bogu niech będą dzięki. Matka moja miała jeszcze troje dzieci, jedno dożyło szóstej wiosny, reszta nie przeżyła nawet roku i takostałem się sam. Kiedy miałem cztery lata, oddali mnie do szkół zakonnych na naszej ulicy, gdzie nauczyli mnie stawiać litery całkiem udatnie, i potem ojciec posłał mnie na nauki do pana Eddingstone'a na Deal Street, gdzie ów miał szkołę. Taki był ojca mego kaprys, by mnie wychować na uczonego, a może nawet na osobę duchowną, ale tak się nie stało, bom był nieposłuszny i nie uczyłem się łaciny, nie mówiąc o grece: hic haec hoc mieszały mi się w głowie. Kiedyś spytałem pana Eddingstone'a, dlaczego, skoro mamy Biblię po angielsku, musimy się uczyć języków pogańskich, ale mnie za to wychłostano, i nie tylko ten jeden raz. W końcu powiedział ojcu, że nic z tego nie będzie, urodziłem się głupcem i głupcem zostanę. Potem rzekł mój ojciec: Co z tobą począć, czemu Bóg mi zesłał takiego matola za syna, czy da się z ciebie zrobić faktora, na miłość boską, będziesz miał przynajmniej czystą robotę. Przynależono mnie przeto do kopiowania, ale ręce miałem takie niezdarne i

robilem tyle kleksów, że popadł w rozpacz. Zostaniesz więc kowalem i zapracujesz na chleb w znoju, powiedział, prostym kowalem, bo grzbiet masz, widzę, a ręce od inkaustu już całe czarne jak u kowala. Ta co matka moja łzami się zalala. Była wždy dla mnie dobra ponad miarę, jak to kobieta dla swego dziecka, tym bardziej, im ojciec mój był ze mnie niekontent. darzyła się potem rzecz, która zmieniła wszystko, jak cudowne są zamierzenia Boga wobec nas, stworzonych przez Niego, choć nie od razu potrafimy zgłębić Jego ścieżki. Bo mieliśmy wtedy pewnego czleka na kwaterze, niejakiemu pana Wenke. Z Lejdy przybył, będąc bratankiem tego, z którym ojciec mój handlował wyrobami żelaznymi. Pracowaliśmy zydel w zydel w kantorku mojego ojca i dnia pewnego zobaczyłem, jak pi-sze małym ołóweczkiem na skrawku papieru, i zagadnąłem go, co tam, waćpan, piszesz. Na co on: Spójrz i obacz sam. Spojrzałem, alem nic wyczytać nie mógł. Teraz umiem powiedzieć, co tam było: zliczał sumy dla naszych rachunków sposobem, jakiegom nigdy dotąd nie widział, ale mi uprzejmie wytłumaczył: Spójrz, waść, sprzedaliśmy kociolków sztuk osiemdziesiąt i siedem w tym kwartale za 8 szylingów 6 pensów każdy i na każdym zarobiliśmy i szyling 2 pensy. Ile zarobiliśmy w sumie i jaki jest nasz zysk? Odrzekłem, że musielibyśmy użyć liczydeł, i zapytałem, czy je przynieść? Nie, odrzekł on, ja umiem to zrobić bez żadnych liczydeł, patrzaj, jak to robię, a wyjaśnię ci swoją metodę. Tak też zrobił i byłem zdumiony, jak szybko pomykał jego ołóweczek i wyliczenie całkowitego dochodu i zysku wyszło jasne i dokładne. Powiedział, że to mnożenie przez algorytm, słowo, któregom nigdy dotąd nie słyszał, i powiedział jeszcze, że to tylko sztuka arytmetyki używana ostatnimi czasy w bankach i kantorach w Holandii i Italii. Czy chcesz się tego nauczyć, chłopcze? Bo będzie to dla ciebie wielki profit. Odrzekłem, że tak, a uczyniłem to z wielkim zapalem.

Wróciłem z obchodu okolicy. Nic nie widać z żadnego okna, a ja nie bardzo mam ochotę łązić jeszcze raz w ciemności. Myślę, że siedząc tak z laptopem w kręgu światła lampy, stanowią doskonały cel. Jestem w saloniku, chyba tak można nazwać to pomieszczenie. W tym domu, a właściwie chacie zbudowanej tradycyjnym sposobem z prawdziwych bali, jest jedna duża izba na parterze i trzy sypialnie na pięterku, na które wchodzi się po schodach z czymś w rodzaju balustrady. Do tego jest też jeszcze jakby stryszek; można się tam dostać po spuszczonej drabince. Sypiała tam służba, kiedy ją jeszcze zatrudniano. Ściany są wyłożone sosnową boazerią i obudowane półkami na książki, jest dobra aparatura stereo i kominek z otoczeków, tak wielki, że można by w nim dosłownie upiec wołu. Małego wołu. W tej chwili płoną na palenisku dębowe, brzozone i sosnowe polana, których wielki zapas piętrzy się pod domem, tuż za drzwiami kuchni. Podstawę balkonu zdobią lby łosi i jelenie poroża; to, jak mnie poinformował Mickey, świadectwo, że mężczyźni z rodu Haasów byli w swoim czasie doskonałymi myśliwymi. Na parterze jest dobrze wyposażona kuchnia z kamienną podłogą i kompletem

sprzętów z lat pięćdziesiątych, a także dwie łazienki. Mickey zainstalo-
wał na podeście na zewnątrz podgrzewany brodzik, ale teraz nie ma w
nim wody. Odnoszę wrażenie, że nie korzysta zbyt często z domu, choć
jako dziecko spędzał w nim z rodziną każde lato. Kiedy obaj byliśmy
młodymi ogierami, przywoziliśmy tu dziewczyny na romantyczne week-
endy.

Wracając do mojej historii: jak już mówiłem, profesor Bulstrode wrę-
czył mi grubą kopertę oklejoną taśmą. Zapytałem go, co jest w środku,
odpowiedział, że rękopis z 1642 roku. Czy to jest właśnie Dzieło? zapyta-
łem. Nie, broń Boże. Było to wyłącznie świadectwo, że Dzieło istnieje,
elaborat Bracegirdle'a. I sam w sobie nie ma wartości? Raczej nie, choć
jest interesujący z czysto naukowych względów, powiedział, zdradzając
oznaki jeszcze większej nerwowości i podkreślając absolutną koniecz-
ność zachowania zawartości pakietu w ścisłej tajemnicy. Właśnie dlatego
przedsięwziął takie środki ostrożności. Zapewniłem go, że koperta będzie
absolutnie bezpieczna, poza zasięgiem wścibskich oczu. Słyszac to, odro-
binę się odprężył, ja zaś połączyłem się z panią Maldonado i poprosiłem
o standardowy formularz pełnomocnictwa i pokwitowanie stosownej
wplaty. Czekając na papiery, usiłowałem wciągnąć profesora Bulstrode'a
do swobodnej rozmowy. Nie udało się. Bez przerwy wlepił wzrok w
oklejoną kopertę, jakby skrywała bombę, i miałem wrażenie, że nie może
się doczekać, kiedy odsunie od siebie to zagrożenie. W końcu zapytałem,
czy sporządził kopię dokumentu, na co odpowiedział, że nie, ze wzglę-
dów bezpieczeństwa, po czym wymógł na mnie uroczyste przyrzeczenie,
że i ja jej nie sporządzę. W tym momencie zacząłem tracić cierpliwość i
powiedziałem mu, że w takiej atmosferze tajemności czuję się nieswojo.
Prawnika angażuje się po to, wyjaśniłem, żeby mieć kogoś, komu można
zaufać; rozumiem, że jest skrupowany, ale to z kolei krępuje mnie jako
jego przedstawiciela. Wiem na podstawie doświadczenia, dodałem, że lu-
dzie zachowują się tak wobec swych doradców wtedy, gdy próbują coś
zataić. Może więc będzie lepiej dla obu stron, jeśli oddam mu czek, bez
urazy itd.

Na te słowa zaczął się znów pocić obficie i jeszcze bardziej poczer-
wieniał. Zapewnił mnie, że nie chce z tego robić tajemnicy i że w całej
sprawie nie ma niczego choćby w najmniejszym stopniu nielegalnego czy
podejrzanego. Ale w kwestiach

akademickich, które dotyczą cennych materiałów historycznych, pewna powściągliwość jest czymś naturalnym. Jeśli poczułem się urażony, prosił mnie pokornie o wybaczenie. W tym momencie pojawiła się pani Maldonado i położyła na biurku umowę. Nie zadałem sobie trudu, by po nią sięgnąć. Kiedy sekretarka wyszła, powiedziałem, że chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Chciałbym tylko, żeby mi zaufał. Odparł, że ufa. Poprosiłem, by powiedział mi jeszcze raz, kim był Bracegirdle, co jest w koperce i czym jest Dzieło, do którego prowadziła zawarta w papierach informacja. Opowiedział więc całą historię.

Natrafił na manuskrypt podczas badań nad pewnymi kierunkami w filozofii renesansu. Rękopis składał się z dwudziestu sześciu arkuszy in folio, gęsto zapisanych, z datą 1642. Richard Bracegirdle nie był nikim szczególnym, prostym żołnierzem, który zmarł wkrótce po bitwie pod Edgehill podczas angielskiej wojny domowej. Większa część tej pisaniny nie przedstawiała sobą niczego ciekawego. Były jednak w tych listach pewne wzmianki, że Bracegirdle'a zatrudniono w celu przewiezienia majątku pewnego szlachcica, lorda Dunbartona. Zarówno on, jak i Bracegirdle walczyli w tej wojnie po stronie Parlamentu, a siedziba Dunbartona znajdowała się lub wkrótce miała się znaleźć na obszarze kontrolowanym przez rojalistów. Lord obawiał się konfiskaty swoich kosztowności i dokumentów z potwierdzonym tytułem własności, zaangażował więc Bracegirdle'a, by ten przewiózł to wszystko, z najcenniejszymi białymi krukami z biblioteki lorda włącznie, do jego londyńskiego domu. Tymczasem jednak siły rojalistów natarły na Londyn, odcinając posłańcowi drogę. Bracegirdle zakopał więc skarby i powiadomił Dunbartona listownie, gdzie ukrył drogocenny ładunek.

A więc ukryty skarb, powiedziałem z rezerwą i zapytałem go, co to ma wspólnego z własnością intelektualną. Chodzi o bibliotekę, powiedział, o bibliotekę.

Spytałem, czy wie konkretnie, co w niej było.

Nie odpowiedział. Zamiast tego zapytał mnie, czy wiem, co to jest Kodeks z Leicester. Tak się składało, że wiedziałem. Jedną z dziedzin rozwijających się na marginesie prawa autorskiego jest digitalizacja książek, rękopisów i dzieł sztuki oraz związanych z tym przeniesień praw i wznawianych negocjacji. Głównym graczem na tym polu jest miliarder William Gates, a prawnicy od własności intelektualnej starają się trzymać rękę na pulsie i orientować w jego rozległej działalności. Powiedziałem Bulstrode'owi, że o ile wiem, to właśnie Gates nabył mniej

więcej dziesięć lat temu Kodeks z Leicester, czyli jeden z rękopisów Leonarda, za sumę trzydziestu milionów dolarów.

I tu Bulstrode nie wytrzymał: wyrzucił z siebie, że Dunbarton był w posiadaniu rękopisu Szekspira. Czy wyobraża pan sobie, jaką to ma wartość? Cała powściągliwość profesora zniknęła i jego łagodne oczy zapłonęły dziwnym blaskiem, zaczęły wprost wychodzić z orbit. Skinąłem więc przyjaźnie głową i powiedziałem, że musi to być warte majątek; jednocześnie poczułem, że zaczyna mnie ogarniać ten dławiący niepokój, jakiego doznawałem zawsze w obecności pomyleńców. Nie jest mi on, niestety, obcy, bo my, specjaliści w zakresie praw autorskich, aż nadto dobrze znamy ten typ ludzi. Żaden przebój wylansowany przez show-biznes, żadna podbijająca świat książka o cudownej diecie, żaden dochodowy produkt ludzkiej wyobraźni nie może się obyć bez sunącej za nim zgrai naciągaczy wszelkiej maści, ściskających w dłoniach zatłuszczone papierowe teczki z dowodami, że to oni pierwsi wpadli na taki to a taki pomysł. I nie chcą nawet słyszeć, że nie można zastrzec prawa wyłączności do abstrakcyjnej idei, do samego pomysłu. Nie chcą słyszeć, że idee są jak woda, powietrze czy węgiel, powszechnie dostępne, i że jedyną rzeczą, jaką można objąć prawem autorskim i na tej podstawie wydusić z niej forszę, jest określony zestaw słów, nut lub składników chemicznych. Przyznaję, że nie miałem wcześniej do czynienia z typem od Tajemniczych Dokumentów, ale oto teraz siedział taki przede mną. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy aby czek tego nieszczęsnego drania ma pokrycie.

Spodziewałem się więc gwałtownych oznak obłędu: wybuchu gorączkowego entuzjazmu dla doniosłości zaginionego rękopisu, domniemań, jak wielką może się on okazać sensacją, i zapewnień, jak bliski jest on, Bulstrode, znalezienia klucza do sekretnego kodu, który pozwoli dotrzeć do niecodziennego znaleziska. Ale ku memu zaskoczeniu profesor, zdradziwszy mi ową rewelację, najwyraźniej oklapł. Pomyślałem sobie, że pewnie żałuje swej wylewności i tego, że nieopatrznie wciągnął w swoją paranoję także mnie, jeszcze jednego potencjalnego złodzieja drogiego manuskryptu.

Podpisaliśmy papiery i mój rozmówca wyszedł. Poprosiłem panią M., żeby udała się czym prędzej na dół i złożyła czek oraz kopertę w naszym sejfie, sam zaś choć burczało mi w brzuchu, który domagał się lunchu zasiadłem do komputera,

wpisałem w wyszukiwarce nazwisko Andrew Bulstrode i dowiedziałem się o doktorze B. więcej zaskakujących rzeczy, niż mogłem się spodziewać. Otóż przed pięcioma laty ten przeciętny na pozór akademik, który wykładał literaturę angielską w Oksfordzie i uchodził za eksperta od licznych wydań Szekspira, padł ofiarą człowieka, który okazał się jednym z największych współczesnych fałszerzy. Leonard Hastings Pascoe to nazwisko, które nawet ja bez trudu sobie przypomniałem. Jego specjalnością stały się starodruki inkunabuły i manuskrypty kojarzone z wybitnymi autorami; był w tym istotnie bardzo biegły. Twierdził, że odkrył kolejne „złe quarto” *Hamleta*, czyli coś w rodzaju produktu wczesnego piractwa literackiego wersję sztuki złożoną przez drukarzy z tego, co zapamiętali aktorzy, i z tego, co im samym udało się zachować z oryginalnego zapisu, a następnie opublikowaną w takiej postaci bez zezwolenia autora.

Uznano to za niewątpliwie wielkie odkrycie, bo (jak wynikało z artykułów w Internecie) historia kolejnych wydań *Hamleta* była szalenie skomplikowana. Istnieje Pierwsze Quarto (złe) i Drugie Quarto (dobre, czyli autoryzowane przez Szekspira) oraz wersja, jaką znamy dzisiaj, to znaczy zamieszczona w Pierwszym Folio, które Heminges i Condell, przyjaciele i teatralni współnicy autora, skompletowali po jego śmierci. Rzekome nowe złe quarto zawierało wiele intrygujących różnic w stosunku do wersji autoryzowanej i nasuwało podejrzenie ingerencji w proces twórczy. Nosilo datę 1602, czyli miałyby się ukazać wkrótce po zarejestrowaniu *Hamleta*, a na rok przed publikacją Pierwszego Quarto. Wersja ta sprowokowała interesujące pytania: czy różnice były tylko zwykłymi błędami przy przepisywaniu, czy też oznaczały, że autor zmienił tekst już po wystawieniu sztuki? Było to pytanie z rodzaju tych, które wywołują wśród uczonych zbiorowy orgazm. Patriota Pascoe dał najpierw szansę British Museum, ono zaś rzuciło się na sensacyjne znalezisko, godząc się zapłacić, ile zażądał, pod warunkiem że wybitny znawca Andrew Bulstrode potwierdzi jego autentyczność.

Co też profesor uczynił. Pascoe użył prawdziwego XVII-wiecznego papieru i inkaustu z żółci wołu, sporządzonego według oryginalnej starej receptury (uzyskał go metodą ekstrakcji chemicznej ze starych dokumentów i dzięki temu atrament przeszedł pomyślnie wszelkie testy), krój czcionki natomiast został starannie skopiowany z jednego ze złych quarto z Biblioteki Folgera. Muzeum kupiło egzemplarz

za osiemset pięćdziesiąt tysięcy funtów. Oczywiście pierwszy dorwał się do niego Bulstrode i w pół roku wysmażył autorytatywną ekspertyzę, dowodząc, że jego zdaniem autor gruntownie przerobił słynną sztukę i że tak zwane Quarto Pascoe było w rzeczywistości ważnym ogniwem pomiędzy różnymi pierwowzorami *Hamleta*, które Szekspir wykorzystał jako teksty źródłowe. Sensacja w świecie nauki!

I rzecz cała weszłaby do kanonu krytycznoliterackiego, gdyby L.H. Pascoe nie gustował w zachwycających młodych chłopcach o rozmarzonych oczach i pełnych wargach i gdyby nie obiecał jednemu z nich podróży na Lazurowe Wybrzeże i nowych strojów. Niedotrzymanie obietnicy sprawiło bowiem, że młody człowiek zakablował swego sponsora. Policja zrobiła nalot na pewną fabryczkę w Ealing i znalazła ręczną prasę, papier i atrament oraz podrobionego *Hamleta*, wciąż tkwiącego w formach. A stało się to jakieś półtora roku po zakupieniu go przez muzeum.

Uzyskane pieniądze zostały w większości przepuszczone na wystawne i rozpustne życie. Tabloidy zerowały na tej historii, rezerwując najbardziej zabójczy jad dla pechowego eksperta. W to właśnie bagienko wdepnął mój stary kumpel Mickey Haas, który bronił swego kolegi na łamach poważnej prasy, tłumacząc, że naukowiec popełnił błąd, jaki mógł popełnić każdy ekspert na świecie, także on sam. I w nadziei, że po pewnym czasie burza w Anglii przycichnie, załatwił Bulstrode'owi wykłady na Uniwersytecie Columbia. A teraz najwyraźniej ktoś inny podsunął profesorkowi kolejny dokument, co wydało mi się co najmniej dziwne, jako że był on ostatnią osobą, która mogłaby zaprezentować światu ważny rękopis, jak również ostatnią, która chciałaby to zrobić. Ale już dawno straciłem przekonanie, że doświadczenie jest najlepszym nauczycielem. Gdybym sam umiał uczyć się na błędach, byłbym zapewne wciąż szczęśliwym mężem.

A może profesor załamał się pod wpływem stresu. Uczonym też odbija, być może nawet częściej niż innym, choć ze względu na charakter ich zawodu rzadziej się o tym mówi. Na wszelki wypadek poszukałem w Internecie lorda Dunbartona i ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że nie jest on wytworem wyobraźni. Henry Reith (1570-1655), drugi baron Dunbarton, był purytańskim szlachcicem. Jego

ojciec, pierwszy lord Dunbarton, zdobył ostrogi jako jeden ze sługusów króla Henryka VIII - „gości”, jak ich nazywano - którzy wyrzucali mniichów i mniszki z klasztorów, dbając o to, żeby siły protestanckiej reformacji nie przeoczyły żadnego nadającego się do splądrowania majątku kościelnego w Anglii. W nagrodę dostał tytuł i posiadłość Darden Hall w Warwickshire. Jego syn został przedstawiony na dworze pod koniec panowania Elżbiety, otrzymał tytuł lorda Burghley i zaangażował się w działalność szpiegowską: tropił jezuitów, demaskując ich podstępne knowania przeciw królowej i późniejszemu królowi Jakubowi. Za panowania Karola I, świetnie wyczuwając, podobnie jak ojciec, z kim warto trzymać, był zagorzałym zwolennikiem obozu parlamentarzystów, choć robił też wrażenie szczerego purytańskiego fanatyka, jako że w Warwickshire energicznie ścigał rekuzantów. Podczas krótkiej kampanii zakończonej bitwą pod Edgehill Darden Hall zostało zajęte przez wojska rojalistów. Ani słowa o bibliotekach, Bracegirdle'u czy zaginionych dziełach Szekspira. Pomyślałem, że aby poznać całą historię nieszczęsnego szekspirologa, powinienem zadzwonić do Mickeya Haasa. Co też uczyniłem, lecz uzyskałem jedynie informację, że doktor Haas jest na konferencji w Austin i wróci dopiero na początku przyszłego tygodnia. Poszedłem więc na lunch.

Tu zaglądam do swojego terminarza. Pani Maldonado notuje oczywiście moje spotkania i co poniedziałek dostaję od niej kartkę z planem na cały tydzień, lecz ja przepisuję to wszystko do oprawionego w skórę notesika z cienkimi niebieskawymi kartkami, który noszę w kieszonce koszuli. Nie można mnie właściwie nazwać roztargnionym, zdarza mi się jednak zasiedzieć w bibliotece lub zagadać przez telefon i jeśli nie zerknę co jakiś czas do notesu, bywa, że zapominam o umówionym spotkaniu. Dzięki tym zapiskom wiem, że z doktorem B. spotkałem się jedenastego października, i kiedy zaglądam do nich teraz, dowiaduję się również, że tego samego dnia, kiedy poznałem Bulstrode'a, wyszedłem wcześniej z pracy, żeby odebrać Imogen i Nicka ze szkoły i wziąć ich na obiad, a potem do kina. Środowe popołudnie to czas spotkania z dziećmi; widuję się też z nimi co drugi weekend i spędzamy razem dwa tygodnie latem.

Imogen, moja córka, skończyła trzynaście lat. Ma jasne włosy i szare oczy i jest tak podobna do matki, że mogłaby być jej klonem, a nie owocem tradycyjnego

poczęcia. To, nawiasem mówiąc, wydaje się osobliwością naszej rodziny. Geny rodu Mishkinów nie współpracują i nie współgrają dobrze z innymi. Albo całkowicie dominują, albo zirytowane ustępują pola. Ja jestem wierną kopią ojca, żydowskim opakowaniem, podczas gdy mój brat i siostra to jasnowłose smukłe typy z plakatów werbujących do Hitlerjugend. Mój syn Nicholas, jedenastolatek, to absurdalna pomniejszona replika Jake'a. Kiedy zalecałem się do Amalie, siostra zwróciła mi uwagę, że wygląda ona zupełnie jak młodsza wersja naszej mamy. Nie mogę powiedzieć, że bym to dostrzegł, choć koloryt i rysy są ogólnie podobne. Niemieckie, by tak rzec. Gdy wuj Paul i ciotka Miri wychodzą z Imogen na spacer, wszyscy biorą ją za ich córkę, a kiedy idę z nią ja, przygodny przechodzień patrzy na mnie spode łba jak na pedofila.

Pod względem charakteru Imogen w odróżnieniu od swej matki jest klasycznym okazem narcyzmu; wszyscy inni istnieją tylko po to, żeby ją adorować, i biada temu, kto tego nie robi! Jest sportsmenką - utalentowaną pływaczką i chce zostać aktorką, co zresztą popieram, bo uważam, że nie nadaje się do niczego innego. Żywię przekonanie, że tę skłonność do aktorstwa odziedziczyła po mnie. Kiedy chodziłem do liceum na Brooklynie, nauczyciel powiedział mi, że mam dobry głos i że powinienem spróbować sił w dramacie, co też zrobiłem. Dostałem rolę Tielegina w *Wujaszku Wani*, małą, ale, jak wszystkie role u Czechowa, zapadającą w pamięć. Przypuszczam, że teraz już nie wystawiają Czechowa w brooklyńskich liceach, ale wtedy wystawiali, organizowali też wiele imprez, które w dzisiejszej epoce szmalu byłyby nie do pomyślenia. Tielegina nazywają w sztuce „Andrut”, bo ma dziobatą twarz, a moja, gdy miałem szesnaście lat, była prawdziwą katastrofą. Za swoją popisową kwestię uważałem: „Szczęście moje uciekło, ale duma została”. Oczywiście zakochałem się w Glorii Gottlieb, która grała Sonię i która nie dostrzegła mojego istnienia; ciekawe było to, że nawet poza sceną i później, kiedy już daliśmy trzy przedstawienia w pachnącej pomarańczami sali, wciąż czułem się Tieleginem i wydawało mi się cudowne to, że wymyślona postać, stworzona przez dawno nieżyjącego autora, może w pewnym sensie wypierać moją własną osobowość.

Muszę tu wspomnieć, że zanim pojawiłem się w tej sztuce, byłem figurą dość żalonną, zbyt nijaką, by stać się choćby obiektem kpin. Stosunkowo łatwo jest

zniknąć w wielkiej miejskiej szkole, ale ja miałem specjalne powody, aby wtopić się w tło, stać się jedną z brązowych płytek, którymi były wyłożone ściany. W szkole, gdzie swoistą arystokrację stanowili intelektualiści i prawie wyłącznie Żydzi, byłem katolikiem z żydowskim nazwiskiem i z dziadkiem nazistą, a do tego „Izzy Buchalter”, jako człowiek często oskarżany, ale nigdy nie skazany, nie był w tym czasie postacią nieznaną brukowcom. Żyłem w ciągłym strachu, że ktoś (na przykład Gloria Gottlieb) coś skojarzy. Na domiar złego mój brat Paul, o dwa lata ode mnie starszy, był znanym bandziorem. Manifestował to jak mieli w zwyczaju ówcześni chuligani nosząc czarną skórzaną kurtkę z podniesionym kołnierzem i czesząc się w kaczy kuper. Wolałem pozostawać kimś całkowicie anonimowym, niż cieszyć się sławą brata Pauliego Mishkina. W pewnym sensie ta otaczająca go groźna aura chroniła mnie przed agresją i prześladowaniami, które w przeciwnym wypadku byłyby moim udziałem. Paul upierał się, że jeśli mam oberwać, co zdarzało się całkiem często, to mogę oberwać tylko od niego. W najgorszej bójce, jaką zapamiętałem z okresu dorastania, sprawił łomot dwóm gościom ze znanego gangu ulicznego, którzy dopadli mnie w drodze do szkoły i ukradli mi kieszonkowe. Mój brat posługiwał się wtedy cegłą.

Ach, te obsesyjne obrazy! Wcale nie chciałem o tym pisać, choć może jest rzeczą istotną, że po tej właśnie bójce, za którą Paula wyrzucono ze szkoły, zacząłem ćwiczyć podnoszenie ciężarów. Doszedłem do wniosku, że muszę się od niego uniezależnić, a poza tym pomyślałem, że jeśli stanę się gościem, to będę mógł uniknąć bójek. Bardzo się myliłem.

W każdym razie po *Wujaszku Wani* zrobiłem z siebie okropnego dupka, pozostając do pewnego stopnia w skórze granej postaci: nosiłem staroświecką brokatową kamizelkę, którą znalazłem w sklepie ze starzyzną, mówiłem z lekkim akcentem, udając, że szukam angielskiego słowa, i belkocząc coś w języku, który w moim mniemaniu brzmiał jak rosyjski. Zyskałem sobie pewną popularność, jak to się zdarza niektórym zabawnym świram, i zaczęto mnie zapraszać na wystrzałowe imprezy, organizowane przez popularne w szkole żydowskie dziewczyny. Kolejną sztuką, jaką wystawiliśmy, był *Romeo i Julia*; zagrałem Merkuja. Identyfikacja z tą postacią była czymś o wiele lepszym niż utożsamianie się z Tieleginem, bo wygłaszanie błyskotliwych nonsensów, przybieranie ekstrawaganckich póz i absurdałna

śmierć wydają się młodym ludziom czymś szalenie atrakcyjnym; nie jest też specjalnie trudno przemawiać efektownymi i potoczystymi jambami. Dla nastolatka grającego Merkućja najtrudniejsze jest wypowiedanie bez chichotów dwuznacznego monologu w czwartej scenie pierwszego aktu; może to nawet być trudniejsze niż zagranie przekonująco Romea. A co do Julii... właściwie, mówiąc językiem prawniczym, powiedziałbym, że słynna inwencja Szekspira nie przejawia się bynajmniej w konstruowaniu intrygi. Wszystkie jego sztuki, z wyjątkiem dwóch, są zerżnięte, czasem bezczelnie, z innych źródeł. Miał szczęście, że w tamtych czasach nie znano pojęcia prawa autorskiego. Chodzimy na jego sztuki dla języka, tak jak chodzimy do opery dla muzyki; i tu, i tam intryga jest sprawą drugorzędną, właściwie trywialną, ale i współcześni autora również to wyczuwali nie miał on sobie równych w uchwyceniu samej istoty życia i przeniesieniu jej na scenę. Takim wyczynem jest druga scena w drugim akcie. Mówię o scenie balkonowej nie o jej początku, który potrafią zacytować wszyscy, ale o jej końcu i stworzonym przez autora obrazie oszalałego z miłości dziecka. Kiedy gra dorosła aktorka powiedzmy Claire Bloom wygląda to, niestety, absurdalnie, lecz szesnastolatki mogą w takie role tchnąć życie, zwłaszcza gdy jedno z nich jest zakochane, tak jak ja byłem. Pamiętam wyraźnie tę chwilę, kiedy patrząc, jak panna Gottleib odwleka chwilę pożegnania, myślałem sobie, że to jest życie dla mnie, że moim przeznaczeniem jest otworzyć się na ludzki geniusz, pozwolić mu, by mną zawładnął, uwolnić się od swojego żalosego ja.

Był to mój przedostatni rok w liceum rok, który wyznaczał początek długiego zmięzchu mafii w Nowym Jorku. W tamtych czasach, zanim jeszcze Joe Valachi złamał honorowy kodeks milczenia, najlepszym sposobem na to, by wpakować jakąś grubą rybę mafijną za kratki, było przyłapać ją na przestępstwach podatkowych. I mój ojciec znalazł się w końcu na celowniku. Postawili mu mnóstwo zarzutów i wywierali nań presję, żeby zeznawał przeciw swoim pracodawcom. Gdyby się tak nie śpieszyli i pogadali wpierw z jego rodziną, zorientowaliby się, że nie jest mięczakiem. Przez cały okres prób do *R i J* okręgowy Sąd Federalny w Nowym Jorku rozpatrywał sprawę ojca. Choć nasze życie domowe nigdy nie było sielanką, tamte dni wspominam jako szczególnie ponure.

Tu pozwolę sobie napomknąć o rodzinnym dramacie. Między Izzym i Ermentrude od początku szło na noże, przynajmniej w sensie metaforycznym, choć sądzę, że oni sami uważali, iż są kochającym się małżeństwem, jeśli za takie można uznać stadło, w którym trwa bezustanna walka o podporządkowanie sobie ukochanego współmałżonka. Widzę wciąż oczami wyobraźni taką oto scenę: wieczór, my, chłopcy, jesteśmy jeszcze mali, ja mam może osiem lat, Paul dziesięć, Miriam sześć. Odrobiliśmy już lekcje, które skrupulatnie sprawdziła *Obersturmbahnführer Mutti*. Powietrze jest gęste od zapachów ciężkiej teutońskiej kuchni. Wciąż trwa okres *Alles in Ordnung*, nasza mama nie odkryła jeszcze Tej Kurwy, jego kochanki, za sprawą której straci na pewien czas ochotę do życia. Patrzymy pewnie w czarno-biały telewizor z maleńkim ekranem, może się kłócimy, który program oglądać. W okolicach szóstej rośnie napięcie. Zjawia się czy nie? Będzie w dobrym nastroju czy w kiepskim? Jest wpół do siódmej, *Mutti* trzaska garnkami i szufladami, burząc coś po niemiecku. Nasłuchujemy brzęknięcia butelki o kieliszek. Siódma. Swąd przypalonej potrawy, wysychających drogich protein, parujących jarzyn, które zamieniają się w niejadalną packę. Umieramy z głodu, ale żadne nie ma odwagi wejść do kuchni.

Za dziesięć ósma otwierają się drzwi. Serce w nas zamiera, kiedy widzimy jego twarz. Nie ma dziś obdarowywania prezencikami, nie ma wesółych pohukiwań, drobniaków dla chłopców, piruetów z córeczką w ramionach. Nie, dziś idziemy prosto do stołu i spaprany obiad ląduje z płaszczykiem na talerzach. Ojciec mówi: „Nie będę jadł tego gówna”, i zaczyna się pyskówka, obustronna, po angielsku i w prostej niemczyźnie, tak że nawet jeśli nie rozumiemy dokładnie, o czym mowa, wyczuwamy wyraźnie agresję. Zaczynają fruwać talerze i sztućce, Miriam chowa się pod stół, a za nią ja, tuląc do piersi jej zapłakaną twarzyczkę. Paul pozostaje wyprostowany na krześle; widzę z dołu bladą twarz, pobielale kłykcie palców zaciśniętych na stołowym nożu. Awantura przybiera na sile, kończąc się zwykle „pieprzoną nazistką” z jednej strony i „żydowską świnia” z drugiej; potem on daje jej w twarz i wychodzi. Trzask! Gramolimy się spod stołu, matka każe nam usiąść prosto i wymieść do czysta niejadalną breję, a tymczasem opowiada nam, jak wyglądał „phawdziwy głód w Niemcach” po wojnie, więc musimy zjeść wszystko.

Nie dlatego jednak zmuszamy się do przełknięcia jedzenia, ale dlatego, że nic innego nie możemy dla niej zrobić.

Kiedy jednak ojciec staje przed sądem, sytuacja się zmienia; teraz króluje cisza. *Mutti* stawia odgrzane jedzenie z puszkii na stole i wycofuje się do swojej sypialni, skąd docierają dźwięki niemieckiej klasyki: Beethoven, Bruckner, Wagner.

Matka zaczęła więcej pić, a kiedy sobie podchmieliła, podkreślała gramofon. Ojciec mógł wtedy wywalić kopniakiem drzwi albo potłuc płyty, albo po prostu wyjść i nie wracać przez kilka dni. Paul też rzadko był w domu. Po ukończeniu (z trudem) szkoły zaczął się włóczyć ze swoim gangiem, który (jak się wkrótce dowiedzieliśmy) zdał wtedy ważny egzamin, przechodząc od drobnych kradzieży do napadu z bronią w rękę.

W ten sposób obowiązek prowadzenia domu spadł na mnie. Musiałem się też zająć Miriam, już czternastoletnią. Miri rozkwitała; jej urodziwa twarz, którą zachowa do późnych lat, działała jak niewykrywalny przez radar bombowiec, przenikający w głąb terytorium wroga, w tym przypadku na obszar męskiego libido. Nie starałem się jej nawet kontrolować, wiedząc, że to daremne, ale mogłem przynajmniej zadbać o to, żeby miała co jeść i w co się ubrać. Udawało nam się też z Paulem (tak przynajmniej sądzę) zniechęcać do niej skutecznie facetów powyżej trzydziestki. Pewnego ranka, tuż przed Świętem Dziękczynienia, tato nie stawiał się w sądzie ani nie wrócił do domu. Obawialiśmy się oczywiście najgorszego: jego kumple z mafii mogli przestać wierzyć w to, że będzie milczał (bo było oczywiste, że jeśli nie pójdzie na współpracę, grozi mu najwyższy wymiar kary), i postanowili zapobiec większej wysypie. Pamiętam, że oczami wyobraźni widziałem ojca wepchniętego do obciążonej blaszanej beczki lub spoczywającego pod asfaltem autostrady, i próbowałem wzbudzić w sobie uczucie smutku i bezradności.

A jednak przeżył. Po kilku tygodniach gazety doniosły, że widziano go w Tel Awiwie. Nie wpłacił ani grosza kaucji i poszedł w ślady swego mentora, Meyera Lanskyego, chroniąc się na komfortowym wygnaniu. Żadnej kartki do nas, żadnego telefonu. Potem dowiedziałem się, że zmienił nazwisko na bardziej hebrajskie, do czego zachęciły go władze, choć myślę, że w tej nacji nie mało jest Mishkinów. Wszystko to działo się w czasach, kiedy medialna paranoja nie stała się

jeszcze normą. W naszym domu pojawiło się tylko kilku dziennikarzy i Paulie z kumplami dali im straszny wycisk - porozwalali aparaty fotograficzne i tak dalej. Wtedy można było tłuc pismaków ile wlezie, nie obawiając się, że będzie to utrwalone na wideo, co moim zdaniem sprzyjało większemu ucywilizowaniu prasy. Żeby zdobyć pieniądze na astronomiczną kaucję, ojciec zastawił dom wraz z wyposażeniem trwałym i czmychnął z całą gotówką, jaką miał, zostaliśmy więc praktycznie bez środków do życia. Po pewnym czasie pojawili się komornicy, zajęli volkswagena taty i wręczyli nam nakaz eksmisji.

Tu wydarzył się mały cud. Pewnego sobotniego poranka obudziły mnie odgłosy intensywnego pakowania i głośne dźwięki *Parsifala*. *Mutti* znów objęła dowodzenie, znów wydawała komendy. Zapędziła nas do roboty razem z dwoma mówiącymi po niemiecku osobnikami, których nigdy przedtem nie widziałem, prawdopodobnie ukrywającymi się zbrodniarzami wojennymi. Znów mieliśmy Ratyzbone 1945 roku, Hitler nie żył, nadchodzili Czerwoni i należało na nowo ułożyć sobie na gruzach życie. Wiedziałem, że w 1941 roku ukraińskie wsie radośnie witały wkraczające wojska hitlerowskie, i teraz my, dzieciaki, znaleźliśmy się w takiej samej sytuacji - wszystko wydawało się lepsze od tego, czego właśnie doświadczyliśmy, a kojarzący się z matką faszyzm był dla nas przynajmniej czymś znajomym. Niemcy mieli ciężarówkę, która przewiozła nas wraz z dobytkiem z naszego wygodnego mieszkania na Flatbush do zagraconego dwupokojowego mieszkanka w bloku komunalnym na krańcach Queens.

A zatem nasze życie toczyło się dalej bez ojca. Pieniądze zarabiane przez matkę w izbie przyjęć szpitala King's County ledwie wystarczały na bieliznę i *Bratwurst*. Dokonaliśmy wyborów życiowych, jakie naszym zdaniem najbardziej wkurzyłyby ojca: Paul został raczej głupim niż mądrym przestępcą, Miri, mówiąc wprost, dziwką, ja zaś wzorowym uczniem. W krótkim czasie Paula przyskrzynili za napad na magazyn z alkoholem i kazali mu wypić piwo, którego sobie nawarzył, Miri uciekła z jakimś playboyem, ja natomiast ukończyłem szkołę z wyróżnieniem i zacząłem studia na Uniwersytecie Columbia, gdzie spotkałem Mickeya Haasa. Mam nadzieję, że to stosunkowo pełny obraz.

Zacząłem jednak tę przydługą dygresję od opisywania swoich dzieci i teraz widzę, że nie powiedziałem jeszcze niczego o synu Nicholasie - czyli, jak go nazywamy,

Niko. Byliśmy bardzo długo przekonani, że coś z nim jest nie tak, że jest to dziecko dotknięte jakąś formą autyzmu lub innym z wielu syndromów odkrytych ostatnio tylko po to, by otworzyć nowe rynki dla koncernów farmaceutycznych. Ponieważ nie zaczął chodzić ani mówić w stosownym czasie, nalegałem, żeby odwiedzać z nim różnych specjalistów, choć jego matka utrzymywała, że wszystko jest w porządku. Z czasem okazało się, że miała rację. Zaczął mówić w wieku czterech lat, od razu pełnymi zdaniami, i mniej więcej w tym samym czasie zademonstrował nam umiejętność czytania. Jest czymś w rodzaju cudownego dziecka, ale nie bardzo wiadomo, w jakiej dziedzinie. Przyznaję teraz ze wstydem, że w jego obecności zawsze czułem się trochę nieswojo. Kiedy miał sześć lat, jeszcze zanim nasz dom zaczął się rozpadać, zachodził często do pokoiku, który był moim gabinetem, i wpatrywał się we mnie bez słowa, nie odpowiadając, gdy pytałem, czego chce. W końcu zacząłem ignorować jego obecność, a przynajmniej usiłowałem to robić. Miałem czasem wrażenie, że potrafi przeniknąć mnie wzrokiem, dotrzeć do moich najtajniejszych myśli i pragnień i że on jeden z całej rodziny wie, jak gruntownie jestem sparszywiały.

Uczęszcza na Copley Academy z Imogen i ma indywidualny tok studiów w zakresie matematyki i informatyki, w których to dziedzinach wykazuje wybitne uzdolnienia. Czuję w tym palec „Izzyego Buchaltera”, palec ponadpokoleniowy, którego dotknięcie najwidoczniej mnie ominęło, bo ja nigdy nie miałem z matematyki oceny wyższej niż dostateczna, nawet przy tak skromnych wymaganiach, jakie stawiała szkoła średnia. Niko jest solidnym, poważnym chłopcem i zaczyna przypominać swojego dziadka te same czarne, czujne, nieprzeniknione oczy, duży nos, szerokie usta, gęste, kędzierzawe włosy. O ile wiem, nigdy niczego się ode mnie nie nauczył. Ostatnią próbę podjąłem na basenie, kiedy usiłowałem mu pokazać, jak się pływa. Nie tylko nic nie wskórałem, ale na dodatek moje wysiłki wywołały u niego atak hysterii tak intensywny i długotrwały, że nikt już nie próbował go więcej uczyć. W wodzie Niko natychmiast idzie na dno jak kamień. Na lądzie, jak przypuszczam, jest całkiem szczęśliwy; Copley to miejsce, w którym człowiek, o ile nie ma destrukcyjnej natury, żyje w spokoju. Nie podają tam do wiadomości ocen i każą sobie płacić dwadzieścia osiem i pół tysiąca rocznie. Nie skąpię, bo dobrze zarabiam. Moja stawka to przeciętnie siedemset pięćdziesiąt za

godzinę, rocznie zaś mam tych godzin grubo ponad dwa tysiące. Możecie sobie policzyć. Nie mam kosztownych pasji (a właściwie tylko jedną), nie lubię podróżować i nie uznaję ekstrawagancji. Kupiłem loft w Tribecce, zanim ceny oszalały. Amalie również wieszcie proste życie i nieźle zarabia, chociaż gdyby dać jej wolną rękę, rozdałaby wszystko biednym i cierpiącym i żyłaby z dziećmi pod mostem, a nie w eleganckim apartamentowcu w piaskowca na Siedemdziesiątej Szóstej Wschodniej.

Kocham swoje dzieci tak jak wszystko, czyli, można powiedzieć, nie za mocno. Potrafię grać rolę dobrego ojca, jak kiedyś odgrywałem dobrego syna, brata, przyjaciela i tak dalej. Oszukać ludzi jest łatwiej, niż myślicie, i zanim poznałem Amalie, sądziłem, że wszyscy są tacy jak ja, że bierze się scenariusz z etykietką „kultura” i gra się jak w teatrze i że nie ma właściwie różnicy między Jakiem Mishkinem grającym Merkucja a Jakiem Mishkinem grającym Jake'a Mishkina, tyle że rola Merkucja została lepiej napisana.

Dlatego, nawiasem mówiąc, nie zostałem w końcu aktorem zawodowym. Powiedziałem sobie, że rezygnuję z teatru (ileż w tym obrzydliwego uzalania się nad sobą!), bo muszę mieć pewne źródło dochodów, żeby utrzymać rodzinę, ale w rzeczywistości stało się tak dlatego, że kiedy już raz wszedłem w pewną rolę, nie mogłem z niej wyjść. To, co było sympatycznym wybrykiem w liceum, z upływem lat stało się śmiesznym dziwactwem, a potem w ogóle przestało być zabawne. Ujrzałem siebie samego, jak spędzam życie w zamkniętej na klucz izolatce, nie mogąc wyjść z roli Makbeta lub Torvalda Helmera. Albo Estragona. Było też coś, sam nie wiem co, zdecydowanie toksycznego w ludziach teatru, a może tylko tak mi się wydawało, dość, że się wystraszyłem. Zapiisałem się więc na studia przygotowawcze na prawo i nie miałem powodów do narzekania. Do teatru nie chodzę.

Dopiłem po przerwie kawę i zjadłem pączka. Kupiłem ich dwadzieścia parę w sklepie w Saranac Lake i przez pewien czas żywiłem się wyłącznie nimi i kawą. Dom jest dobrze zaopatrzony w konserwy i podstawowe produkty, niektóre mocno przeterminowane, mam też do dyspozycji zamrażalnik pełen ryb i dziczyzny. Mickey powiedział, że mogę siedzieć tu w nieskończoność, choć dodał, że w razie

ataku nuklearnego będę musiał znieść obecność jego i tej z jego trzech żon, którą zdecyduje się przywieźć. Ponad czterdzieści kilometrów stąd jest miasteczko New Weimar, ale jeszcze tam nie byłem. Uznałem, że lepiej, aby nikt z miejscowych nie wiedział, że tu mieszkam. Dom stoi na uboczu, przy końcu długiej piaszczystej drogi, która odbija od szerszej drogi szutrowej, ta zaś na zachód od Saranac Lake odchodzi od szosy stanowej prowadzącej do autostrady numer 30. Izolacja jednakże jest czysto fizyczna, bo przed paroma laty Mickey zainstalował talerz satelitarny, można tu więc odbierać dwieście programów, a co ważniejsze - mam też dostęp do szerokopasmowego Internetu. Dobrze mieć świadomość, że za naciśnięciem guzika mogę wysłać to, co piszę, całemu światu. Może to być w pewnej chwili kartą przetargową w negocjacjach z kim, na razie nie wiem. Czytając to powtórnie, widzę, że kompletnie spieprzyłem linię narracyjną. Byłoby chyba lepiej, gdybym po prostu spisał historię swojego życia, leżąc jak Bracegirdle na łożu śmierci, a nie rozwodził się nad prawdopodobieństwem gwałtownego końca w niezbyt odległym czasie. Śmierć, jak przypuszczam, sprzyja skupieniu myśli, o ile ktoś jeszcze może wtedy myśleć. Problem w tym, że zacząłem od opowiadania prostej historii, jaką można znaleźć w tanich dreszczowcach: elektronicznej wersji ostatnich słów konającego, zagadkowych bazgrołów na ścianie, napisu krwią „szmaragdy są w p [dalej nieczytelne]” lub „To nie był Har” - z czego rodzi się fabuła. Ale mam wrażenie, że moje życie wymieszało się z opowiadaniem, tak jak u Bracegirdle'a:

... choć Bóg nie powołał mnie w szeregi wielkich, to jednak jestem mężczyzną, nie zaś chłystkiem, i moja historia będzie miała wielkie znaczenie choćby dla mojego syna, który musi wyrosnąć na mężczyznę, nie mając wzoru choć tak marnego, za jaki ja mógłbym mu stanąć.

Tako rzecze Bracegirdle i tak mówię ja.

Podjmując więc opowieść: z zapisków w moim notesie wynika, że dwa następnne dni minęły bez znaczących incydentów, podobnie jak cały weekend; są tylko czyste kartki, jeśli nie liczyć samotnego słowa „Ingrid”, które oznacza, że musiałem się wybrać do Tarrytown.

No nie, obrażam tu bardzo miłą kobietę, z zawodu choreografa, którą poznałem na gali firmy muzycznej i która skapitulowała wobec mojej kurtuazji, życzliwości, hojności i tak dalej. Nie ona pierwsza i zapewne nie ostatnia popełniła ten błąd. Trudno powiedzieć, co się dzieje z dzisiejszymi mężczyznami, ale wyspa Manhattan wydaje się roić od atrakcyjnych, seksownych kobiet z klasą, w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat, zarówno mężatek, jak i samotnych, które nie wierzą, aby ktoś zechciał się z nimi przespać. Robię co w mojej mocy, ale to przygnębiająca sprawa. Pozwólcie, że nie będę się w to teraz zagłębiał.

W tamten poniedziałek mieliśmy rano rutynowe zebranie wspólników, a potem, tak jak zwykle, wezwałem swojego kierowcę i kazałem się zawieźć do siłowni. Napisałem wcześniej, że wiodę proste życie, nie mam kosztownego hobby i tak dalej, ale posiadanie osobistego kierowcy pewnie uznacie za ekstrawagancję. Razem z samochodem kosztuje mnie to prawie pięćdziesiąt tysięcy rocznie, z drugiej jednak strony większa część tej sumy jest wliczana w koszty firmy. Między moim domem a kancelarią nie ma dobrego, szybkiego, bezpośredniego połączenia, a do normalnej taksówki jakoś nie mogę się przyzwyczaić, tak mi się przynajmniej wydaje. Mój samochód to lincoln, granatowy, dla odróżnienia od wszystkich czarnych. Kierowca, który jeździ ze mną prawie sześć lat, ma na imię Omar. Jest Palestyńczykiem i tak jak ja ciężarowcem. Kiedy się poznaliśmy, jeździł taksówką i obaj byliśmy zgodni co do tego, że zwykle taksówki nie są dla takich jak my, czyli ani dla mnie jako pasażera, ani dla niego jako kierowcy; stąd decyzja, żeby wynająć lincolna i zatrudnić Omara. Jest fantastycznym kierowcą, jeździ szybko i zarazem bezpiecznie, nie pije i utrzymuje samochód w idealnym stanie. Jediną jego wadą (o ile można tak to nazwać) jest to, że gdy nadchodzi pora modlitwy, uważa za swój obowiązek zatrzymać się, wyciągnąć z bagażnika dywanik i klęknąć na nim na chodniku. Ale podczas jazdy ze mną zdarzyło mu się to zaledwie parę razy.

Ja sam nie jestem pobożny, choć nie mogę też uznać się za ateistę. Ani za agnostyka, którą to postawę uważam za absurdalną i tchórzliwą. Myślę, że jestem wciąż katolikiem, choć niepraktykującym. Niczym piekielne demony wierzę i dygoczę. Jeśli ludzie o to pytają, wyjaśniam, że stanowisko watykańskiej hierarchii w pewnych sprawach jest dla mnie nie do przyjęcia, co wygląda tak, jakbym uważał, że Kościół nie jest wystarczająco dobry dla tak wspaniałej istoty jak Jake

Mishkin, ale to nieprawda. Zarzuciłem praktyki religijne, żeby być szatanem w stosunkach z kobietami. Tak, to moje jedyne kosztowne hobby.

Wróćmy do poniedziałku. Byłem w siłowni przy Ósmej Alei pod numerem 51. Część lokalu to wyłożona dywanem strefa Nautilusa dla miejscowych, ale salka dla ciężarowców jest doskonale wyposażona. A to stąd, że właściciel, Arkady Demiczewski, reprezentował kiedyś Związek Radziecki w podnoszeniu ciężarów. Jeśli się go poprosi, udziela fachowych rad i ma prawdziwą rosyjską kąpiel z masażystą. Ta część siłowni pachnie różgami, potem i parą. Arkady mawia, że wielcy ciężarowcy dźwigają raczej głową niż ciałem, i przekonałem się, że to prawda. Wydaje się niemożliwe, żeby człowiek, choćby najlepiej umięśniony, podniósł ćwierć tony, a jednak takie rzeczy zdarzają się regularnie. Jak już wspomniałem, mnie samemu udało się tego dokonać. Wszystko polega na koncentracji i kto wie pewnie na jakiejś dziwnej formie telekinezy. Spędzenie w środku dnia godziny na podnoszeniu ciężarów to dla mnie cudowny relaks. Kiedy poćwiczę i posiedzę w łaźni parowej, niemal zapominam, że jestem prawnikiem.

W każdym razie skończyłem właśnie serię ćwiczeń na ławce, wyciskając pod okiem Omara stutrzydziestosześciokilogramową sztangę. Kiedy w strefie Nautilusa napełniałem wodą butelkę, zobaczyłem wchodzących do siłowni dwóch mężczyzn. Zaczęli rozmawiać w recepcji z Eugenią, córką Arkadego, i zauważyłem, że dziewczyna wskazuje na mnie. Podeszli, pokazali swoje odznaki i przedstawili się jako policyjni detektywi, Michael Murray i Larry Fernandez. Za sprawą seriali policyjnych jesteśmy wszyscy świetnie przygotowani do przesłuchań, widzieliśmy to milion razy, więc kiedy coś takiego przytrafia się nam w życiu, doznajemy dziwnego zawodu. Moi policjanci wyglądali jak faceci, którzy właśnie odpadli z castingu do takiego serialu: jeden zwykły nowojorczyk średniego wzrostu o semickich rysach, drugi równie przeciętny Latynos. Murray był trochę cięższy od tych pokazywanych w telewizji, a Fernandez miał marne uzębienie. Trudno mi było zachować powagę, kiedy zapytali mnie, czy znam Andrew Bulstrode'a, bo wyobraziłem sobie, że odgrywamy swoje role na małym ekranie. Wyczuwałem też, że oni myślą to samo i że wręcz nauczyli się odpowiedniego zachowania na serialach *Nowojorscy gliniarze* oraz *Prawo i porządek*.

Wyjaśniłem, że Bulstrode był moim klientem, oni zaś zapytali, kiedy widziałem się z nim ostatni raz, na co odparłem, że nasze pierwsze spotkanie było zarazem spotkaniem jedynym. Potem zapytali, czy może wiem, z jakiego powodu ktoś chciałby mu zrobić krzywdę. Odpowiedziałem, że nie wiem, ale zastrzegłem, że nie znam go aż tak dobrze, i zapytałem, dlaczego przesłuchują w tej sprawie akurat mnie. Odrzekli, że w jego pokoju hotelowym, który Uniwersytet Columbia wynajmował mu na Broadwayu, znaleźli umowę. Zapytałem z kolei, czy już mu się coś stało. Odpowiedzieli, że w niedzielę wieczorem ktoś złożył mu wizytę w hotelu, przywiązał go do krzesła i torturował tak długo, aż zamęczył na śmierć. Spytali jeszcze, co robiłem w niedzielę w nocy, a ja powiedziałem im o Ingrid.

Zamęczony na śmierć. Nie zdradzili mi żadnych szczegółów, a ja się więcej nie dopytywałem. Pamiętam, że byłem zaszokowany, ale co dziwne - niezbyt zaskoczony. Nie powiedziałem policjantom o kopercie, którą mi zostawił, bo uznałem, że nic im do tego, przynajmniej dopóki ja sam nie przestudiuję rękopisu.

LIST BRACEGIRDLE'A (3)

Zaczęliśmy przeto i odkryłem, że mam głowę do tych rzeczy ~ liczby trzymały się jej tak mocno, jak łacina nigdy jej się utrzymać nie mogła. Nauczyłem się, ile jest dwakroć dwa, dwakroć trzy i aż do szesnaście po szesnastokroć, i on objaśniał, a ja wbijałem sobie do głowy, jak rachować, używając tylko ołówka i kawałka papieru. I także było dzielenie, na przykład jeśli ktoś chce spakować 2300 dzbanków po 12 w skrzynce, ile musi zrobić skrzynek i ile zostanie w ostatniej - wszystko obliczone bez liczydeł. Dał mi poza tym książkę, która była dla mnie cudem, „DISME albo Sztuka dziesiątek” pióra Holendra Simona Stevina, i choć trudno Ci będzie pojąć, Nan, to jednak Ci powiem, że Disme jest rodzajem arytmetyki składającej się ze znaków i cyfr, za pomocą których pewien numer jest opisany i dzięki którym także wszelkie obrachunki, jakie towarzyszą ludzkim sprawom, są podane w całkowitych liczbach bez ułamków. Kiedy wykazałem, że jestem w tym mistrzem, pozwolił mi zajrzeć do swojego Euklida, świeżo zangielszczonego przez Hillingsleya, burmistrza Londynu. Którą to księgę pożerałem jak wygłodzony albo jak ktoś, kto nagle się uwolnił z żelaznych oków. Kromie tego nauczył mnie sztuki posługiwania się kwadrantem i innymi filozoficznymi wynalazkami, których, jak mniemam, nigdy dotąd nie widziano na Fish Street, i nauczył mnie kreślić w skali mapy na podstawie pomiarów robionych kwadrantem i łańcuchem mierniczym, a także elementów obliczeń astronomicznych, takich jak szerokość geograficzna według słońca i rozmaitych gwiazd, mnie, który gdy zaczynałem, to klnę się, nie odróżniałem szerokości geograficznej od sera. A zatem wielka to była rzecz dla mnie, którego miano za osła w szkole.

„Wszystko to wydarzyło się, gdym liczył dwanaście lat, ale mój ojciec, widząc to, zarzucił nam, że się lenimy, i powiedział: Nie dość, żeś sam próżniak,

ale jeszcze do próżniactwa mojego rachmistrza nakłaniasz? Ale pan Wenke zachował się jak mężczyzna i powiedział: Sir, ten tu wasz syn jest tak biegły w matematyce, że drugiego takiego nie znam, w parę miesięcy nauczył się prawie wszystkiego, czego sam mogłem go nauczyć, i w krótkim czasie mnie prześcignie. A on, to jest mój ojciec, odrzekł: A jak ta matematyka sprzeda mi więcej żelaza? A pan Wenke na to: To, czegom nauczył tego chłopca, przyspieszy wielce rachowanie, a do mnie rzekł: Pokaż ojcu swemu swoje arytmetyczne talenty.

Wziąłem przeto ołówek i kawałek papieru z kasy i chcąc się popisać, pomnożyłem dwie siedmiocyfrowe liczby przez siebie. Ojciec spojrzal i rzekł: Ba, to tylko zwykłe bazgroły. Ne, sir, powiedział pan Wenke, obliczył to dobrze. A ojciec zapytał: Skąd pan to wiesz? Bo zajęłoby to godzinę albo i więcej obliczyć to na liczydłach. A więc każdy obstawał przy swoim, u ojca tkwiło ponadto w głowie, że było w tej metodzie coś papiścycznego, skoro przyszła ona być może z Italii albo innych krain pozostających pod wpływami tej wszetecznicy Romy.

Nazajutrz zarządził, że nie będę się więcej uczył od pana Wenke, a zamiast tego zostaną odlewnikiem. Zobaczymy czy będziesz sobie tak samo radził z surówką, jak sobie radzisz z gotówką, powiedział i zaśmiewał się ze swojego żartu. Tak więc wśród łez mojej drogiej matki, i ja też płakałem gorzko, odesłano mnie do moich kuzynów Bracegirdle'ów do Titchfield. Tego wieczoru, kiedy wyjeżdżałem, pan Wenke odszukał mnie i wcisnął mi ukradkiem dziesięć pierwszych księzek Euklida, mówiąc, że on sam zna je na pamięć: Mogę kupić u Paula, jeśli zajdzie potrzeba, a ty zrób z nich dobry użytek. Opuściłem przeto dom rodzinny.

U moich kuzynów w Titchfield było zgola inaczej niż w domu rachunkowym przy Fish Street, bo odlewanie żelaza tak się różni od sprzedawania wyrobów jak zarzynanie wołów od podawania na stół pasztetu; chcę przez to powiedzieć, że praca jest brudna, znojna i okrutna.

Mój kuzyn Matthew, tamtejszy majster, był twardy jak materiał, w którym pracował. Patrząc na mnie z góry, bo jest wielki jak niedźwiedź, powiedział: Jaka z ciebie mizerota, ale my cię tu zahartujemy albo zabijemy, nim rok upłynie, zobaczymy, co będzie, zaśmiał się. Ale choć harowałem jak niewolnik i spałem jak suset na słomie z innymi czeladnikami, to jeszcze nie było najgorsze w moim nowym losie, bo byłem dobrze wychowany nigdy nie przeklinałem w domu i wždy posłuszny ani też nie obracałem się między grzesznikami zgoła. Ale teraz zdało mi się, że jestem wśród samych diabłów. Mój majster, choć wyznawał prawdziwą wiarę, był strasznym hipokrytą, bardzo trzeźwym w kościele przy niedzieli, ale kiedy indziej hulaką i awanturnikiem, rozbijał się w miasteczku i pił i bił żonę i sługi i karmił nas czeladników, podle w naszej psiarni. A sami czeladnicy klnę się na Boga, byli jak dzikie bestie, bili się bez przerwy i kradli i pili, kiedy udało im się zwędzić piwsko. Rzucili się na mnie od samego początku jak kruki na ścierwo z powodu moich manier i tego, że byłem krewnym majstra, i uprzykrzali mi życie, co znosiłem, jak mogłem, płacząc tylko po kryjomu i modląc się o to, abym został uwolniony, albo przez śmierć, albo inne zmiłowanie, wszystko mi było jedno. Ale niedawno jeden z nich, nazwiskiem Jack Carey, głośny i gburowaty, wypatrzył mojego Euklida, wyrwał mi go z ręki i wyszydził mnie, żem uczony gryzi-piórek, i zamachnął się, żeby wrzucić książkę w ogień, na com skoczył jak sam diabeł, schwyciłem pręt i wyrznięłem go w leb, tak że wypuścił książkę i padł bez ducha, i trzech musiało mnie trzymać albo zrobiłbym mu większą krzywdę lubo nawet go zamordował, tak mnie gniew zaślepił, co niech mi Bóg wybaczy. Ale od tej pory łacniej mi było żyć pośród nich.

Płacz trwał mniej więcej pięć minut i skończył się serią głębokich, urywanych szlochów. Crosetti kilka razy zapytał Carolyn, co się stało, ale nie otrzymał odpowiedzi; kiedy tylko spazmy zamarły, odsunęła się od niego i zniknęła za łazienkowym przepierzeniem. Usłyszał szum wody, odgłos kroków, rozkoszne szelesty, jakie towarzyszą rozbieraniu. Wkłada coś wygodniejszego, pomyślał z niezwykłym dla siebie pełnym napięcia oczekiwaniem.

Kiedy jednak wyszła, stwierdził, że ma na sobie szary kombinezon mechanika, włosy związała ciasno niebieską przepaską, a twarz wyszorowała tak, że zniknął nawet ten lekki cień makijażu, jaki nakładała na co dzień. Nie pozostał też żaden ślad niedawnego wybuchu. Wyglądała jak więźniarka albo zakonnica.

- Już lepiej? - zapytał, gdy przechodziła obok niego.

Nie odpowiedziała. W milczeniu zaczęła przekładać ręczniki w wilgotnych księgach. Podszedł do niej i pomógł wyciągać namokły papier z trzeciego tomu. Po dłuższej chwili zagadnął:

- No i co powiesz?

Znów żadnej odpowiedzi.

- Carolyn?
- Co?
- Może porozmawiamy o tym, co się stało?
- To znaczy?
- To znaczy o tym ataku hysterii.
- Nie nazwałabym tego atakiem hysterii. Kiedy wypiję, zawsze chce mi się trochę płakać.
- Trochę?

Popatrzył jej w oczy, a ona odwzajemniła spojrzenie. Oprócz lekkiego zaczerwienienia powiek nic nie wskazywało, że choćby na chwilę przestała być opanowaną Carolyn Rolly.

- Przepraszam za kłopot. I naprawdę wolałabym o tej sprawie nie rozmawiać - powiedziała spokojnie, po czym wróciła do pracy.

Musiał się tym zadowolić. Najwyraźniej nie było sposobu, by przekroczyć barierę intymności: żadnego dzielenia się mrocznymi tajemnicami, żadnego fizycznego kontaktu. Pracowali w milczeniu. Crosetti sprzątała skąpe resztki kolacji i zużyte ręczniki papierowe. Rolly siedziała na stołku i posługując się swoim średniowiecznym zestawem narzędzi, dokonywała tajemniczych operacji na zniszczonych książkach.

Nie wiedząc, co robić, Crosetti wrócił do prawie już suchego rękopisu. Rozłożył kartki na kuchennym blacie i na stoliku, wziął lupę ze stołu Rolly i na chybił trafił zaczął oglądać stronicę. Niektóre litery były łatwe do rozpoznania samogłoski przypominały współczesne, a krótkie znajome słowa, jak *ten czy do*, dawały się bez trudu odczytać. Ale odcyfrowanie całości było całkiem inną sprawą. Wiele słów wyglądało na zwykłe esy floresy, było też sporo niemożliwych do rozpoznania liter, które czytały nieczytelnym ponad połowę tekstu. Poza tym kilkanaście stron robiło wrażenie napisanych w jakimś obcym języku, ale Crosetti nie był pewien, czy nie jest to tylko kwestia ortografii. Czy rzeczywiście widział słowo *hrtxd*? Albo *yfdpg*?

Postanowił zignorować tekst i skoncentrować się na jakości i rodzaju samego papieru. Wszystkie czterdzieści osiem kart miało format folio i można je było podzielić na trzy rodzaje. Do pierwszego należało osiemnaście kart dobrego

gatunkowo, cienkiego papieru, zapisanych gęsto i równo, lecz z wieloma skreślonymi słowami i całymi wierszami, przy czym skreślenia były głębokie, poziome i pionowe. Druga część składała się z dwudziestu sześciu arkuszy grubszego papieru, zapisanych po obu stronach; tu pismo było większe i bardziej niechlujne, upstrzone gęsto kleksami. Mimo to można było rozpoznać przynajmniej tak oceniał to niedoświadczone oko Crosettiego że wyszło spod tej samej ręki co pierwszych osiemnaście stronic. Każda kartka tej drugiej grupy była równo podziurkowana wzdłuż boku, jakby została wyrwana z jakiejś książki. Inną osobliwością tego zestawu było to, że tekst został najwyraźniej nadpisany na wyblakłych sepiowych kolumnach cyfr. Crosettiemu przyszło do głowy słowo „palimpsest”, dostarczając mu mglistej satysfakcji, choć zdawał sobie sprawę, że nie jest to przykład prawdziwego palimpsestu, tylko raczej arkusze pergaminu, z których zeskrobano pierwotny tekst, aby zastąpić go nowym. Nie ulegało jednak wątpliwości, że tych kilkanaście kartek wykorzystywano wielokrotnie. Pozostałe cztery miały naniesione ołówkiem poprawki, papier wyraźnie różnił się gatunkowo i był zapisany inną ręką. Crosetti obejrzał pojedyncze kartki z każdej grupy pod światło i jego przypuszczenie się potwierdziło: występowały na nich trzy różne znaki wodne. Na osiemnastu kartkach dobrego gatunkowo papieru była trąbka pocztyniona oraz litery „A” i „M”, na dwudziestu sześciu dziurkowanych jakiś herb, a na ostatnich czterech korona.

W jaki jednak sposób cały ten komplet posłużył w połowie XVIII wieku jako wyściółka do okładek Churchilla? Crosetti próbował sobie wyobrazić sztukę oprawy książek w tamtych czasach. Na stole introligatora leżała pewnie biała papieru, a sam stół prawdopodobnie nie różnił się zasadniczo od tego, na którym pracowała teraz Rolly; jej smukła, bezbronna szyja jaśniała w świetle przegubowej lampy, kontrastując z ciemną materią szala. Stół, w odróżnieniu od pokrytych okleiną palet, musiał być z mocnego angielskiego dębu, pokierszowanego i poplamionego. Siedzący przy stole introligator sięgał do ryzy, wyciągał z niej kolejne arkusze, okrawał je ostrym nożem, przykładając stalowy liniał, i układał starannie na blacie.

Pewnie czysty przypadek zrzucił, że w tym egzemplarzu *Podróży* znalazło się tak dużo kartek, które wyszły spod jednej ręki, pomyślał Crosetti. Ale po zastanowieniu uznał, że jednak nie. Wyobraził sobie wdowę lub spadkobierców, którzy

postanawiają zrobić porządek z papierami po zmarłym właśnie starcu. Układają to w tobołkach na progu i posyłają najmłodszego chłopca, żeby sprowadził handlarza starym papierem; ten przychodzi, proponuje cenę i wszystko zabiera. No, teraz te stare zakurzone papierzyska znalazły się we właściwym miejscu, mówi żona jednego ze spadkobierców. Handlarz zaś wrzuca stertę papieru do swojej skrzyni i wkrótce dostaje zamówienie z londyńskiej introligatorni, od stałego klienta, powiedzmy, na belę makulatury. A ponieważ stronice z poprawkami naniesionymi ołówkiem nie zostały napisane tą samą ręką, można wysnuć wniosek, że introligator przypadkowo dołączył do papierów sprzedanych przez schludną spadkobierczynię jakiś leżący luzem rękopis z korektą autorską. Tak właśnie mogło się stać, spekuluje Crosetti i ta myśl napęnia go radością; on nie pragnie miscellaneów, tylko odkrycia. Choć na razie wpatrywanie się przez lupę i opór czarnobrzowych zakrętasów, które nie chcą ujawnić swego znaczenia, przyprawiają go tylko o ból głowy.

Odłożył szkło powiększające i zaczął chodzić po poddaszu.

- Masz może aspirynę? - zwrócił się do Rolly. - Musiał powtórzyć pytanie.

- Nie odpowiedziała i zabrzmiało to jak pogardliwe parsknięcie.

- Każdy ma aspirynę, Carolyn.

Rzuciła dramatycznym gestem narzędzie, które właśnie trzymała w ręce, zsunęła się ze stołka i po chwili wróciła z plastikową buteleczką. Wetknęła mu ją do ręki tak energicznie, że tabletki zagrzechotały jak małeńkie kastaniety.

- Dziękuję - powiedział oficjalnym tonem i połknął trzy przy kuchennym zlewie.

W innej sytuacji położyłby się w jakimś zacisznym miejscu i odczekał, aż pulsujący ból minie, ale w mieszkaniu Rolly nie było wygodnego miejsca, gdzie mógłby się rozsiąść, a z łóżka nie odważył się skorzystać. Usiadł więc na kuchennym krześle i z posępną miną dalej przekładał pliki starych papierów. Gdyby Carolyn Rolly była normalną istotą ludzką, pomyślał, moglibyśmy ułożyć tę łamigłówkę razem; pewnie ma jakieś książki o znakach wodnych i piśmie z epoki króla Jakuba, a przynajmniej wie więcej o tym gównie niż ja...

I nagle twarz mu się rozpromieniła; wyciągnął z kieszeni komórkę i zerknął na zegarek. Zbliżała się jedenasta. O tej godzinie matka zacznie oglądać *Tonight*

Show i już nie odbierze żadnego telefonu, aby przypadkiem nie dowiedzieć się o końcu świata. Ale teraz powinna jeszcze siedzieć w swoim fotelu z książką.

- To ja - powiedział, kiedy podniosła słuchawkę.

- Gdzie jesteś?

- W Red Hook, u Carolyn Rolly.

- To ona mieszka w Red Hook?

- Ta dzielnica się zmienia, mamó.

- Sami dokerzy i gangsterzy. Dlaczego dziewczyna z taką klasą mieszka w Red Hook?

Pani Crosetti widziała Carolyn kilkakrotnie w antykwariacie i odtąd z subtelnością kowala racyła syna uwagami na jej temat, sugerując, że gdyby miał trochę oleju w głowie, toby się koło niej zakreślił.

- A jak to się stało, że się tam znalazłeś? zapytała z nadzieją w głosie. - Coś z nią kombinujesz?

- Nie, mamó. To przez ten pożar. Musiała wziąć parę ciężkich książek, żeby popracować nad nimi w domu jest intronigatorką amatorką a ja pomogłem jej przywieźć te tomiska.

- I zasiedziałeś się.

- Jedliśmy kolację. Właśnie wychodzę.

- A więc nie muszę zamawiać w ratuszu ceremonii ślubnej? Ani niepokoić księdza Lazzaro?

- Raczej nie, mamó. Słuchaj, dzwonię, bo... Czy wiesz coś na temat siedemnastowiecznych znaków wodnych i pisma z czasów króla Jakuba I? To znaczy: jak je odczytywać?

- Hm, jeśli chodzi o pismo, to jest taka książka Dawsona i Kennedy-'ego-Skiptona *Pismo odręczne w czasach elżbietańskich, 1500-1650*. To podręcznik, choć myślę, że znajdziesz też trochę dobrych materiałów w sieci, takich interaktywnych ćwiczeń. A co do znaków wodnych, to jest Gravell... nie, chwileczkę, Gravell zaczyna się od tysiąc siedemsetnego roku. Sekundę, niech pomyślę... no tak, to będą Heawooda *Znaki wodne, głównie z XVII i XVIII wieku*. A po co ci to ?

- Ach, znaleźliśmy stare manuskrypty w okładkach książki, którą Carolyn chce poddać renowacji. Chcę ustalić, co to jest.

Zapisał wszystkie źródła na marginesie czeku wyciągniętego z portfela.

- Musisz porozmawiać z Fanny Dubrowicz z biblioteki. Zadzwoń do niej, jeśli chcesz.

- Nie, dzięki. Nie warto jej zwracać głowy, dopóki nie sprawdzę, czy to nie jakaś stara lista zakupów albo coś w tym rodzaju. Część tego, kilka stron, jest w jakimś obcym języku.

- Co ty powiesz? W jakim?

- Nie wiem. W jakimś dziwnym w każdym razie, nie po francusku ani po włosku prędzej po ormiańsku albo albańsku. Ale może tak mi się tylko wydaje, bo nie mogę odcyfrować pisma.

- To ciekawe. No dobrze, ważne, żeby mózg miał zajęcie. Chciałabym, żebyś wrócił do szkoły.

- Ale ja właśnie to robię. Zbieram pieniądze na szkołę.

- Ja mówię o prawdziwej szkole.

- Szkoła filmowa to prawdziwa szkoła, mamó.

Pani Crosetti pominęła te słowa milczeniem, ale mógł sobie wyobrazić jej minę. Fakt, że ona sama, kiedy zdobyła swój obecny zawód, była starsza niż on teraz, nie miał znaczenia. Pomogłaby mu finansowo, gdyby podjął studia w jakiejś poważnej uczelni, ale kręcenie filmów...? Wielkie dzięki! Crosetti westchnął, ona zaś powiedziała:

- Muszę kończyć. Wrócisz późno?

- Może nawet bardzo. Suszymy mokre książki.

- Naprawdę? Dlaczego nie metodą próżniową? Albo czemu nie posłacie ich do Andover?

- To skomplikowane, mamó. Zresztą Carolyn tu rządzi. Ja tylko pomagam.

Usłyszał w tle cichą muzykę i brawa. Matka pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Wciąż go zdumiewało, że kobieta, która w związku z wykonywanym zajęciem ma tak ogromny zasób wiedzy i która zwykle rozwiązuje niedzielną krzyżówkę w „Timesie” w dwadzieścia dwie minuty, może tracić czas na tę paplaninę rozmaitych idoli popkultury i marne dowcipy średnio utalentowanego komika. Ale ona nie opuściła ani jednego programu. Twierdziła, że czuje się mniej samotna wieczorami, i Crosetti domyślał się, iż widownię takich programów stanowią głównie ludzie

samotni. Ciekaw był, czy Rolly ogląda *Tonight Show*. Nie zauważył w jej domu telewizora. Może wampiry nie czują się samotne.

Wstał z koszmarnie niewygodnego krzesła i przeciągnął się. Teraz i jego rozbolał grzbiet. Sprawdził, która godzina, i przeszedł na drugi koniec poddasza, gdzie Rolly wciąż ślęczała nad swoją robotą.

- No, co tam? - zapytała, kiedy się zbliżył.

- Pora zmienić ręczniki. - Co robisz?

- Nakładam z powrotem okładkę czwartego tomu. Chcę je całkiem zmienić w tomie pierwszym i drugim, ale myślę, że z tej uda mi się usunąć plamy.

- A czym zastąpisz wyściółkę z rękopisów?

- Mam trochę nowego papieru tego formatu.

- Tak całkiem przypadkowo, co?

- Żebyś wiedział, że tak odburknęła. - Zostaje tego mnóstwo z książek, które się rozcina, żeby wyjąć mapy i ryciny. Z kim rozmawiałeś przez telefon?

- Ze swoją mamą. Słuchaj... - wskazał na półki z książkami. - Masz może przypadkiem jakąś książkę o znakach wodnych? Mam tu zapisany jeden tytuł...

Sięgnął do kieszeni po portfel.

- Mam oczywiście Heawooda.

- Oczywiście - powtórzył z uśmiechem, wyjmując czek. - A Dawsona i Kennedy'ego-Skiptona?

- To też.

- Nie wiedziałem, że jesteś paleografem.

- Nie jestem, ale Simon poprosił mnie, żebym postudiowała trochę literatury o inkunabułach i wczesnych manuskryptach, więc to zrobiłam. Każdy, kto się tym zajmuje, korzysta z D i K-S.

- A więc potrafisz to odczytać?

- Z trudem. Uplęnęło parę lat.

Znów usłyszał w jej głosie ton, który zniechęcał do jakichkolwiek dociekań.

- Mogę zajrzeć do tych książek, gdy skończymy robotę?

- Jasne przytaknęła. Ale pismo z tamtej epoki to męka. Jakbyś się uczył czytać od nowa.

Zmienili ręczniki i Rolly zdjęła z półki dwie książki. Wróciła do pracy, a on usiadł z przewodnikami przy stoliku.

Była to istotnie męczarnia. Jak to ujęto w przedmowie do D i K-S: „Gotycka kursywa, od XV do XVII wieku w Anglii i w całej Europie, należy do najtrudniejszych do odczytania ze wszystkich rodzajów pisma badanych przez paleografów”. Crosetti dowiedział się, że współcześni Elżbiety i Jakuba I nie uwzględniali różnicy między *niu*, *uiv* oraz *ij*, nie stawiali też kropek nad *i*. *S* występowało w dwóch różnych postaciach, a *r* w czterech, dziwne łączniki wiązały też *h*, *s* i *t* z innymi literami, zniekształcając je. Interpunkcja i ortografia traktowane były swobodnie, a dla oszczędzenia drogiego pergaminu stosowano dziesiątki niezrozumiałych skrótów, które pozostały w powszechnym użyciu nawet wtedy, gdy pojawił się papier. Mimo to Crosetti z wielką determinacją wziął się do ćwiczeń zamieszczonych w podręczniku, zaczynając od tekstu sir Nicholasa Bacona z 1559 roku. Zanim doszedł do trzeciego wiersza, konfrontując prawie każde słowo ze słowniczkiem, było już dobrze po północy. Rolly wciąż pracowała i pomyślał, że gdyby pozwolił choć na chwilę odpocząć oczom i wyprostował grzbiet, nabrałby sił. Zdjął buty i położył się na brzegu palety.

Nagle zaświdrował mu w uszach dziwny terkot. Usiadł z głośnym przekleństwem i zaczął grzebać w pościeli, aż znalazł źródło hałasu staroświecki budzik z rodzaju tych, jakie widuje się w kreskówkach, z podwójnym dzwonkiem, przyciskiem od góry i okrągłą białą tarczą. Carolyn okleiła dzwonki taśmą, tak że nawet gdy dzwonił, i tak jej nie budził - typowe prowizoryczne rozwiązanie. Crosetti wyłączył go i zauważył, że do budzika przyczepiona jest wstążką karteczka:

Twoja kolej; odwałam dwie ostatnie zmiany.

Było to wypisane czarnym atramentem, wytworną kursywą, na kawałku grubego, starego papieru. Nagła złość Crosettiego natychmiast wyparowała. Przyjrzał się z uwagą oddychającej głęboko postaci leżącej obok niego w łóżku. Zobaczył burzę włosów na poduszce, ucho, wypukłość pokrytego meszkiem policzka. Ostrożnie się nad nią nachylił i przysunął do niej twarz. Wziął głęboki wdech i poczuł zapach mydła, jakiś szampon, nutę kleju i starej skóry, a pod tym wszystkim coś bardziej osobistego: *eau de filie*. Crosettiemu nieobce były uroki kobiet;

specjalizował się raczej w tych dziewczynach, które wołały miłych chłopców, niż w tych (liczniejszych, jak wynikało z jego doświadczeń), które preferowały inny typ mężczyzn. Nie był też nawet pewien, czy ja-koś szczególnie podoba mu się ta właśnie kobieta. Nie, tak naprawdę był przekonany, że nie, a jednocześnie pomyślał, że nigdy w życiu nie go tak nie pobudziło erotycznie jak to absurdalne obwąchiwanie twarzy Carolyn Rolly.

Reakcja niepojęta, ale musiał się z nią pogodzić. Zajrzał pod kołdrę i stwierdził, że dziewczyna ma na sobie czarny podkoszulek. Dostrzegął małe, napinające materiał wypukłości kręgosłupa. Poniżej niewyraźna biel. Nie mógł się opanować: wyciągnął rękę i dotknął jej. Kiedy musnął biodro grzbietem dłoni i poczuł napiętą gładką tkaninę, przez ramię przebiegł mu impuls podobny do elektrycznego. Carolyn poruszyła się i coś wymamrotała.

Błyskawicznie wyskoczył z łóżka i stał przez chwilę, czując dziwne skurcze; nogi mu się trzęsły (czy to możliwe?), penis nabrzmał. Jasna cholera, powtórzył w myślach kilka razy, a potem: Nie, to nieprawda. Pomaszerował do zlewu i zwilżył twarz zimną wodą. Żałował, że nie może wziąć prysznica; nie było tu też wanny. W jego wyobraźni pojawiła się nagle wizja lokatorki poddasza stojącej nago na ręczniku i obmywającej ciało ciepłą gąbką. Siłą woli wyparł ten obraz ze świadomości i zaczął zmieniać ręczniki w książkach.

Wreszcie stwierdził, że ma kilka godzin do zabicia przed następną zmianą, zaplanowaną na piątą rano. Przez chwilę rozważał, czy nie poszperać w rzeczach Rolly, nie przejrzeć jej bielizny, lekarstw, papierów. Pozwolił tym wyobrażeniom rozgrywać się przez chwilę na ekranie wewnętrznego telewizora, po czym odrzucił pomysł. Nie chodziło o to, by zagłębiać się jeszcze bardziej w tę atmosferę niesamowitości, w tajemnice, które dopiero mógł odkryć, lecz o to, by zakończyć to idiotyczne przedsięwzięcie i uciec. Tak dojrzały Crosetti pouczał Szalonego Ala, który marzył o tym, by dać z powrotem nura pod kołdrę i ściągnąć Carolyn Rolly majtki, przynajmniej na tyle, aby udało się dopiąć swego.

Zamiast tego jednak przeszukał kuchnię i znalazł w szafce (zmaistrowanej z wszechobecnych palet) paczkę herbatników i puszkę orzechowej kawy rozpuszczalnej. Widywał taką na stoiskach w supermarkecie i zawsze się zastanawiał, kto kupuje to paskudztwo. Teraz już wiedział. Zagotował wodę w rondelku, rozpuścił

kawę i wypił wstrętną ciecz, gdyż potrzebował kofeiny. Zjadł też wszystkie ciasteczka: były zwietrzałe i przypominały w smaku gips. Sądząc po zawartości spiżarni, Rolly zdecydowanie wołała polować na żywe ofiary.

Z żołądkiem zapchanym kawą i słodką przekąską Crosetti nastawił budzik na piątą i znów zaczął przyglądać się starym papierom. Wystarczyło niespełna pół godziny, aby doszedł do wniosku, że albo zwariował, albo osiemnaście kartek z trąbką pocztyliona było zapisanych w jakimś nieznanym mu języku lub jakimś kodem... nie, nie kodem, szyfrem. No, no, to mogło być interesujące. Cztery karty z koroną, zapisane innym, bardziej czytelnym pismem, wyglądały na jakąś religijną tyradę:

*Ludzkie łzy padają na ziemię, ale łzy boskie zbierają siew
bukłaku. Nie sądźcie, że te święte łzy są daremne. Albo grzech
w nich utonie, albo dusza spłonie w ogniu piekielnym.*

Zastanowił się, jakimi łzami płakała Rolly, i odłożył te stronice na bok. Bardziej interesowało go dwadzieścia sześć z herbami, zapisanych identycznym charakterem jak te wykaligrafowane w dziwnym języku. W ciągu paru minut jego ciekawość została nagrodzona odkryciem, że jest to jednak angielski. Wychwytywał znajome krótkie słowa - *od, i, jest* oraz podobne i po chwili odnalazł początek manuskryptu, a przynajmniej takie odniósł wrażenie. W górnym prawym rogu widniała nad tekstem data, *25 oktobra A.D. 1642* i nazwa miejscowości, *Baubnmy*. Nie, to nie mogło być tak, może to jednak walijski albo... znów przyjrzał się uważnie tekstowi i nagle coś zaskoczyło: zrozumiał, że chodzi o Banbury. Poczul dziwny dreszczyk, bliski temu przyjemnemu doznaniu, jakie odczuwał, gdy dobrze szedł mu montaż filmu i z surowego materiału wyłaniał się stopniowo sens. Był to, jak szybko odkrył, list człowieka nazwiskiem Richard Bracegirdle do żony Nan, i to nie zwykły list, tylko pożegnalny, i... Crosetti wiedział, że istnieje słowo na określenie tego rodzaju epistoły, ale nie mógł go sobie przypomnieć. Bracegirdle został prawdopodobnie śmiertelnie ranny w walce, choć na razie nie sposób było się zorientować, o jaką bitwę chodziło, kto walczył z kim i w jakiej wojnie. Jak wielu Amerykanów Crosetti miał bardzo ogólne pojęcie o historii Europy. Co się działo

w 1642 roku? Sprawdziłby to natychmiast, tyle że komputer z dostępem do szerokopasmowego Internetu był kolejną rzeczą, jakiej Rolly nie miał. Skończył czytać pierwszą stronę i sięgnął po następną; widział na niej podpis, najwyraźniej więc musiała zamykać list. Mimo to zaczął ją czytać, bo strony nie były ponumerowane i nie dało się ich uporządkować bez uprzedniego przeczytania. A więc brnął przez tekst, linijka po linijce, z coraz większą łatwością rozszyfrowując pismo Bracegirdle'a. I w końcu nadeszła chwila, gdy uprzytomnił sobie, że czyta tekst coraz swobodniej i że dawno poległy żołnierz jest dla niego tak samo żywy jak pierwszy lepszy korespondent z czatu. Podniecenie rosło, odczuł z intensywnością szoku cały romantyzm, jaki towarzyszy paleografowi dokonującemu wielkiego odkrycia. Nikt inny tego nie wie! Żadna istota ludzka nie czytała tego od ponad trzystu pięćdziesięciu lat, być może w ogóle nie czytał tego nikt oprócz Bracegirdle'a i jego żony. Miał wrażenie, że patrzy przez okno wielkiego apartamentowca i podpatruje intymne życie obcych ludzi.

Jeszcze kilka ważnych rzeczy, bo czas mój się kurczy, ledwie widzę stronicę, chociaż jest dzień jasny, i chwyciła mnie śmiertelna agonia. Znasz dobrze mój skórzany kuferek, który trzymam w swoim tajnym schowku, w nim znajdziesz listy zaszyfrowane sposobem, którym sam wymyślił. Pilnuj ich i nikomu nie pokazuj. Opowiadają one prawie wszystko o lordzie D., jego intrydze i naszym szpiegowaniu utajonego papisty Shaxpure'a. Za takiego go przynajmniej mieliśmy, chociaż dziś jestem tego mniej pewny. W tym względzie i zawilościach życia był Nikim. Ale pewnym jest, że napisał o M. Szkockiej dramę, którą w imieniu Króla u niego zamówiłem. Dziwne mi się wydaje, że chociaż nie żyje i on tak, to jednak jego drama pozostaje żywą, napisaną jego własną ręką, i spoczywa tam, gdzie tylko ja wiem, i tam może pozostać na wieki.

Crosetti tak usilnie starał się rozszyfrować każde pojedyncze słowo, że za pierwszym razem niczego nie zrozumiał i dopiero po powtórnej lekturze tego fragmentu uchwycił związek między słowami *Shaxpure* i *drama*. Znieruchomiał na chwilę, zatkało go, potem zaklął i oblał się potem. Wpatrywał się w zygaki

Bracegirdle'a, oczekując, że zaraz znikną jak baśniowe złoto, ale one trwały: *Shaxpure, drama*.

Crosetti był człowiekiem ostrożnym i oszczędnym, lecz od czasu do czasu wypełniał kupon totalizatora. Pewnego razu usiadł przed telewizorem, aby popatrzeć, jak dziewczyna wyciąga z bębna ponumerowane piłeczki pingpongowe; śledził kolejne numery i kiedy się zgadzały z jego skreśleniami, wydawał z siebie okrzyki. Ale matka, słysząc te wrzaski, weszła do pokoju i zwróciła mu uwagę, że zwycięskie numerki to 8-3, a on ma 3-8. Właściwie nigdy niczego w życiu nie wygrał, lecz też nigdy się tego naprawdę nie spodziewał. Dorastał jako całkiem szczęśliwe dziecko z prostej rodziny, bez poczucia, że coś mu się należy. No, a teraz coś takiego!

Nie był specjalnie wykształcony, ale zawsze szło mu dobrze z angielskiego i przerabiał Szekspira w przedostatniej klasie. Miał więc świadomość, że to, co trzyma w rękach, jest nadzwyczajnym znaleziskiem. Szekspir (Crosetti wiedział, że to nazwisko można pisać na wiele sposobów) nigdy, o ile pamiętał, nie był obiektem podejrzeń ze strony władz. A już na pewno nie posądzano go o papizm! To, jaką religię praktykował Szekspir (czy w ogóle jakąś wyznawał?), pozostawało wielką zagadką i jeśli jakiś przedstawiciel ówczesnej władzy był o tym przekonany... I kim był ten lord D.? A przede wszystkim sam Richard Bracegirdle? A już największą sensacją była ta wzmianka o rękopisie jednej ze sztuk, który przetrwał do co najmniej 1642 roku. Crosetti próbował zgadnąć, jaka to sztuka mogła być „zamówiona” w imieniu króla. Boże, czemu nie uważał bardziej na lekcjach! Chwileczkę! Przypomniało mu się coś, co wiązało się z królem Jakubem: jakiś szlachcic usiłował go kiedyś zabić w szkockim zamku, jakieś czary, widział to w filmie dokumentalnym BBC, który oglądał z matką w telewizji. Chwycił komórkę nie, za wcześnie, żeby dzwonić - może Rolly... nie, wołał sobie nie wyobrazać, jaka będzie wściekła, jeśli obudzi ją za dziesięć piąta i zapyta o...

I nagle go olśniło. Szekspirowska kompania King's Players chciała szkockiej sztuki, aby uczcić nowego króla, nawiązać do tego, jak uniknął cudem śmierci, przypodobać mu się, przywołując jego związki rodzinne z Bankiem i czyniąc aluzję do dziwacznej obsesji monarchy na punkcie czarów. I dramatopisarz spłodził wtedy *Makbeta*.

Crosetti przypomniał sobie, że należy miarowo oddychać, i wciągnął głęboko powietrze. Wiedział, że nie istnieją żadne autografy Szekspira oprócz kilku podpisów i paru wątpliwych wersów w rękopisie jakiejś sztuki, nad którą wielki dramaturg prawdopodobnie pracował. Nie istniały żadne podpisy ani inskrypcje na żadnej ze sztuk. Możliwość, że rękopis *Makbeta* wciąż spoczywa w jakiejś angielskiej piwnicy... Crosettiemu zakręciło się w głowie. Wiedział trochę o cenach manuskryptów i mógł z grubsza oszacować wartość takiego znaleziska. Rzecz była zbyt sensacyjna, żeby ją ogarnąć. Nie mógł sobie z tym poradzić, więc po prostu przestał myśleć o rozmaitych możliwościach. Ale już nawet to, co trzymał w rękach, manuskrypt *Bracegirdle'a*, a także to, co mogło być zaszyfrowaną informacją, że władze interesowały się Szekspirem jako domniemanym zdrajcą Kościoła anglikańskiego, umożliwiłoby mu studia w szkole filmowej. W szkole filmowej! I jeszcze by starczyło na pierwszy film...

Załóżmy, pomyślał, że osiemnaście cieńszych kartek z trąbką pocztyniona to rzeczywiście zaszyfrowane listy, o których wspominał *Bracegirdle* - i to listy pisane po angielsku, a nie w jakimś obcym języku. Wszystko teraz zależało od pedanterii domniemanej spadkobierczyni, a więc od tego, czy papier pochodził z tej samej partii makulatury i czy kartki użyte do wyściółki *Podróży* ułożone zostały według kolejności. Rozłożył jeden z arkuszy i zaczął go oglądać przez lupę.

Ptuug u kinn lfrmmhofl

A może nie. Może tych pierwszych pięć liter to było *Ptmng* albo *Ptmng*? Stwierdził, że już samo poprawne odczytanie tekstu jest niemożliwe, bo jego zrozumienie zależało od kontekstu i od wiedzy, o jakie angielskie słowa chodzi. A w każdym razie jest niemożliwe dla niego. Wyobraził sobie, że pierwotny adresat listów *Bracegirdle'a* znał wystarczająco jego charakter pisma, aby odczytać litery, a potem rozszyfrować tekst. Crosetti nie miał wielkiego pojęcia o szyfrach; jego wiedza na ten temat pochodziła głównie z filmów, powieści szpiegowskich i telewizji. Pamiętał, jak powinien wyglądać zaszyfrowany tekst: równe, zblokowane kolumny po pięć, sześć liter bądź cyfr w rzędzie. To, co miał przed sobą, bynajmniej tak nie wyglądało. Przypominało raczej normalny tekst złożony ze „słów” różnej

długości. Może taki szyfr stosowano w czasach króla Jakuba. Nie wiedział nic na ten temat, lecz zakładał, że jeśli postęp w sztuce szyfrowania dokonywał się analogicznie do postępu w innych dziedzinach, to taki dawny szyfr musiał być bardzo prymitywny. Rozmyślając nad tym, przypomniał sobie, że istnieje różnica między szyfrem a kodem. Odczytanie kodu wymagało posiadania książki kodów lub zapamiętania listy słów, które oznaczały coś innego, niż się na oko wydawało. Ale gdyby to był kod, przypominałby bardziej zwykłą angielszczyznę i na przykład tekst w rodzaju „pastorowi nie udało się kupić wieprzka” mógłby znaczyć „obserwowany osobnik podejrzany o ukrywanie księdza”. A raport agenta musiałby się odznaczać zwięzłością komunikatu. Nie, on po prostu intuicyjnie wyczuwał, że to szyfr. Zresztą sam Bracegirdle tak to nazwał w swoim ostatnim liście.

Zaterkotał budzik i Crosetti pośpieszył, żeby go uciszyć. Rolly obróciła się w łóżku na drugi bok i coś wymamrotała. Otworzyła raptownie oczy. Na jej twarzy odbił się przestach, całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Już miał powiedzieć coś kojącego, ale ona znów zamknęła oczy i odwróciła się plecami, naciągając kołdrę na głowę.

- Carolyn? Coś nie w porządku?

Cisza.

Crosetti wzruszył ramionami i poszedł zmienić pieluchy w książkach. Ręczniki. Teraz były ledwie wilgotne, a stronicze wydawały się suche, kiedy ich dotykał, może tylko trochę chłodne. Cud działania naczyń włoskowatych. Kartki były wciąż pomarszczone, a złożone brzegi bloków nie miały już dawnej idealnej gładkości. Zastanawiał się, co Rolly zamierza z tym zrobić. Pracując, usłyszał jakieś dźwięki dochodzące z części sypialnej: pochrząkiwania, szum wody, szczoteczkę do zębów w akcji, znów szelest garderoby, ponownie szum wody, pobrzękiwanie garnka, otwieranie szafek. Kończył właśnie przekładanie dwóch ostatnich tomów, kiedy pojawiła się u jego boku, ubrana w ten sam kombinezon co poprzedniego dnia. Na nogach miała czarne buty do kostek i jasnoniebieskie skarpetki. Trzymała dwa kubki z kiepską kawą; jeden wręczyła Crosettiemu.

- Niestety, nie mam śmietanki. Ani mleka.

- Nie szkodzi powiedział. Przepraszam, że cię wystraszyłem, kiedy zadzwonił budzik. Wyglądałaś, jakbyś chciała wyskoczyć ze skóry.

Puste spojrzenie, lekkie wzruszenie ramion. Otworzyła jeden z tomów *Podróży* i pomacała papier.

- Ta już jest dobra. Prawie sucha.

- A co zrobisz z tymi zmarszczkami?

- Wyprasuję albo podgrzeję. Ten gatunek papieru ze szmat jest jak materiał. Jeśli będzie trzeba, wyprasuję brzegi kartka po kartce, a potem przytnę i pozłożę od nowa. Odwróciła się do niego z uśmiechem. Dziękuję za pomoc. Przepraszam, że byłam niemiła. Nie jestem zbyt towarzyska.

- Przespałaś się ze mną na pierwszej randce. Nazwałbym to bardzo towarzyskim gestem - powiedział i natychmiast tego pożałował, bo uśmiech zniknął z jej twarzy, a w jego miejsce pojawiła się czujność, której towarzyszyło wymowne parsknięcie.

W charakterystyczny dla siebie sposób zignorowała jego niefortunny żart, obwieszczając, jakie ma na ten dzień plany. Musiała wyjść, kupić skórę na okładki i załatwić odtworzenie wzorzystych wyklejek; w Nowym Jorku istniały specjalne pracownie, które zajmowały się takimi rzeczami.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - zapytał, kiedy skończyła.

- Myślę, że nie musisz. To bardzo męczące. I mnóstwo łażenia.

- Lubię łazić.

- Nie, dziękuję. Muszę to zrobić sama. I chciałabym wyjść już teraz.

- Wyrzucasz mnie?

- Nie nazwałabym tego w ten sposób. Jestem pewna, że masz różne sprawy do załatwienia...

- Nic bardziej pilnego niż włóczenie się za tobą, dźwiganie paczek i nadzieja na choćby mały uśmiech.

To było celne. Należało kuć żelazo, póki gorące.

- Nie jesteś ciekawa, co jest w tych rękopisach, które znaleźliśmy w oprawie?

- Co mianowicie?

- No cóż, przede wszystkim napisał to człowiek, który znał Williama Szekspira.

Zrobiło to na niej wrażenie, choć reakcja nie była dokładnie taka, jakiej by sobie życzył: po prostu Carolyn otworzyła szeroko oczy i przewróciła nimi z niedowierzaniem.

- Wydaje mi się to mało prawdopodobne.

- Chodź, to ci pokażę powiedział i zaprowadził ją do stolika, gdzie leżał stos kartek. Wskazał jej kluczowe partie tekstu i wyjaśnił, że część jest zaszyfrowana. Przyjrzała się tekstowi przez szkło powiększające, bez pośpiechu. Usiadł obok niej i chłonał zapach jej włosów. Nie pocałował jej w kark, choć musiał zaciskać zęby, żeby się powstrzymać.

- Nie widzę tu nic takiego. Shakespeare było dość pospolitym nazwiskiem w pewnych regionach Anglii i mogło przybrać formę Shawford albo Sharpspur, ale nie Shaxpure.

- Ach, daj spokój! - zawołał. - Sharpspur, który pisał sztuki? Dla króla? I który był podejrzany o papizm i na tyle ważny, żeby zajęły się nim tajne służby?

- Szekspir był papistą.

- Mógł być. Widziałem na PBS program, w którym mówili, że według wszelkiego prawdopodobieństwa krył się z tym, a przynajmniej został wychowany jako katolik.

- Aha. A więc na podstawie... jak długiego?... dwugodzinnego obcowania z tekstem z epoki Jakuba I i jego interpretacji oraz jednego programu telewizyjnego twierdzisz, że dokonałeś wielkiego odkrycia w dziedzinie literatury?

- A zaszyfrowane listy?

- To prawdopodobnie niderlandzki.

- Pieprzyć niderlandzki! To jest szyfr.

- Ach, więc jesteś też ekspertem od szyfrów? Z czasów Jakuba I?

- No dobra! Jedną z najlepszych przyjaciółek mojej matki jest Fanny Dubrowicz, szefowa działu manuskryptów i archiwaliów w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Pokażę jej to.

Mówiąc to, zauważył, że Rolly zaczerpnęła raptownie powietrza, a twarz w okolicach nozdrzy lekko jej pobieląca, co wskazywało... no właśnie, na co? Czyżby coś knuła? Dostrzegł podobną reakcję już wcześniej, kiedy przyłapał ją na przekręcie z książkami; teraz znów to samo.

Wzruszyła ramionami.

- Rób sobie, co chcesz, ale to raczej niemożliwe, żebyś znalazł światowej klasy eksperta od pisma z epoki Jakuba I w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Dziewięćdziesiąt procent ich zbiorów to materiały amerykańskie, głównie rękopisy amerykańskich pisarzy i dokumenty prominentnych rodów.

- Wygląda na to, że wiesz wszystko, Carolyn.. Pewnie ja jestem po prostu wielkim dupkiem, który teraz... - zaczął ostentacyjnie zbierać kartki rękopisu - przestanie ci truć głowę i zanieś swoje nędzne znalezisko do swojego kiepskiego eksperta, ten zaś stwierdzi z pewnością, że jest to list jakiegoś siedemnastowiecznego nieboraka skarżącego się na podagrę.

Podszedł do jej warsztatu, wziął papier, w który poprzedniego dnia owinięte były *Podróże*, i zaczął pakować rękopisy. Jego gwałtowne, niezdarne ruchy zdradzały irytację.

- Ach, nie... - powiedziała za jego plecami nienaturalnie wysokim głosem.

- Przepraszam cię, naprawdę nie umiem się zachować. Tak strasznie się podnieciłeś tym manuskrytem, że po prostu...

Odwrócił się w jej stronę. Usta Carolyn wykrzywiły się w zabawny sposób na kształt odwróconej litery „U”, dziwnie przypominając te nieczytelne i tak bardzo mylące zakrętasy w starym rękopisie. Wyglądało to na kolejny atak płaczu. Ale Rolly ciągnęła tym samym zdławionym głosem:

- Z nikim się nie widuję. To nie jest życie. Od lat jedyną osobą, z jaką rozmawiam, jest Sidney, a on chce być dla mnie tylko mentorem, to znaczy głównie mnie obmacuje...

- Sidney cię obmacuje?

- Ach, jest nieszkodliwy, choć sam uważa się za wielkiego uwodziciela. Zabiera mnie na drogie lunche i ściska pod stołem za kolano, a czasem w księgarni po udanej transakcji łapie mnie za tyłek i trzyma trochę za długo albo całuje niby to po ojcowsku w usta. To ostatni facet w Nowym Jorku, który nie używa żadnego odświeżacza oddechu. Taka jest skala mojego kurewstwa. Potrzebuję pracy i muszę jeść. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu to mówię. Co ty wiesz o moim życiu! Nie mam przyjaciół, pieniędzy, własnego kąta...

- Przecież mieszkasz tutaj.

- Nielegalnie, jak się domyśliłeś. W tym budynku nie wolno mieszkać.

Kiedyś trzymali tu DDT i dom jest kompletnie skażony. Właściciel myśli, że tylko tu pracuję. On też lubi mnie obmacywać. Jesteś pierwszą osobą w moim wieku, która mnie odwiedziła od... od lat.

I która także marzy, żeby cię obmacać, pomyślał Crosetti, ale powiedział tylko:

- Boże, jakie to smutne...

- Tak, to naprawdę żalosne. Zachowałeś się przyzwoicie, a ja potraktowałam cię jak śmiecia. To typowe! Gdybyś był draniem, pewnie pełzałabym u twoich stóp.

- Mogę spróbować być draniem, Carolyn, i napisać podanie do Słynnej Szkoły Sukinsynów z prośbą o przyjęcie na kurs.

Spojrzała na niego i w końcu się roześmiała. Był to szczekliwy dźwięk, urywany, podobny do łkania.

- Ale teraz mnie nienawidzisz, co?

- Wcale nie - powiedział Crosetti, starając się, aby zabrzmiało to jak najszczerzej.

Ciekawiło go, dlaczego tak się izolowała. Nie była otyła, miała zgrabną figurę, wyglądała całkiem nieźle, „odznaczała się”, jak zauważyła jego matka. Nie istniał żaden powód, dla którego ktoś taki jak ona miałby się kryć w tym wielkim mieście. I choć nie była klasyczną piękną, uważał ją za... jak to się mówi? Za ponętą kobietę. Kiedy miała opanowaną twarz, jak teraz, kiedy się nie krzywiła ani nie było na niej przerażającej pustki.

- Wręcz przeciwnie - dodał. - Słowo.

- Naprawdę? Ale ja cię tak źle potraktowałam!

- Owszem. I teraz dam ci minutę, żebyś się zastanowiła, jak mi to wynagrodzić. - Zaczął nucić pod nosem, spoglądając na zegarek i przytupując jedną nogą.

- Wiem, co zrobić powiedziała po chwili. Poznam cię z prawdziwym ekspertem od rękopisów z tamtej epoki, jednym z najlepszych na świecie. Zadzwoń do niego i umówię nas na spotkanie. Możesz pójść ze mną na wędrowną podróż po intrologatoriach i zanudzić się na śmierć, kiedy będę mówiła o marmurkowych wyklejkach. A potem pójdziemy do Andrew.

- Do Andrew?
- Tak. Do Andrew Bulstrode'a. Poznałam go dzięki Sidneyowi. To u niego uczyłam się o angielskich manuskrytach i inkunabułach.
- I on też chce cię obmacywać?
- Nie. A może ty chcesz?
- Nie mogę się doczekać.
- Nie bądź taki niecierpliwy. Muszę skorzystać z toalety, a potem zadzwonić. Mógłbyś zejść na dół? Zaraz przyjdę.

LIST BRACEGIRDLE'A (4)

*Pomimo swego nieprzyzwoitego życia pan Matthew prosperował nie-
zgorzej, bo znał swe rzemiosło, jak mówiono, lepiej niż inni mistrzowie
odlewnictwa w Sussex.*

*Miał kontrakt na zaopatrzenie dworu królewskiego i to była nasza
główna robota: kucie żelaza i odlewanie harmat. Ta początku kazali mi
ładować, dźwigać i wykonywać podobne ośle roboty, bo byłem ignoran-
tem w sztuce odlewnictwa i kowalstwa, i jeślim nawet bolał, że straciłem
łatwą pracę i czas na naukę tego, com kochał, to nie uchylałem się, bo,
jak powiada Bóg: Ta co natknie się twoja ręka, abyś to zrobił, to zrób
wedle możliwości swojej, bo w krainie umarłych, do której idziesz, nie ma
ani działania, ani zamysłów, ani poznania, ani mądrości. „Żelazo można
obrabiać tylko od zimy przez wiosnę, bo latem prąd wody nie jest dość
wartki, aby poruszać koła, które zasilają dmuchawy od palenisk i młoty
do kucia sztab żelaznych, i latem trzeba gromadzić szpat żelazny i węgiel
drzewny i usunąć urobek, zanim drogi zamienią się w błoto. W ciągu tych
kilku miesięcy harujemy przeto jak woły albo spuszczać surówkę, albo
dźwigając rudę i węgiel, żeby napęlnić palenisko, albo napęlniając formę
odlewniczą, albo wyjmując schłodzone elementy z dołu, albo obtłukując
młotkiem odlew, albo wygładzając, i wždy majster pokazuje mnie, żem
najleniwszy guzdrała i tępak, i niezdara, i wiele ciosów spadło na mnie
wymierzonych ciężką ręką lub pałką i wyzwiska jak Niedojda i Mańkut i
jeszcze gorsze, ale ja się nie buntowałem i nadstawiałem drugi policzek,
jak przykazał nasz Pan Jezus Chrystus, i przysiągłem, że nauczę się tej
pracy, choć była wbrew mojej naturze, tak aby nie miał powodów, by
mną gardzić choćby tylko krzywkę. I w gorącu i dymie, który był, jak
ufam, najbliższy temu, co spotykało wszystkich grzeszników (czyli Piekła),*

ku swemu zaskoczeniu znajdowałem w tym przyjemność. Bo było wielką radością widzieć, jak rozpalone żelazo tryska z paszczy pieca do formy, syjąc iskrami jak gwiazdy na niebie, i myśleć, że jest to, nawet jeśli tylko krzywą, jak dzieło Pana Boga, kiedy stworzył nasz świat. Bo choć nie lubiłem samej pracy, kochałem jej frukta. Bo te harmaty były tarczą przed wrogami Anglii i zreformowanej religii. Jak wszyscy muszą przyznać, angielskie harmaty nie mają sobie równych na świecie i nasze kule także, niech więc Ispanie lamentują.

Takim sposobem rok minął i drugi i przyszedł dzień Zwiastowania Najświętszej Maryi Pannie w roku trzecim, a kiedy stanąłem przed moim majstrem, żeby odebrać zapłatę, rzekł: To i co, Richard, myślisz pewnie, że traktowałem cię surowo? A ja odpowiedziałem szczerze: Tak, panie, to prawda. A on roześmiał się i powiedział: Ale urosłeś dwa razy taki i stwardniałeś jak kamień i nie jesteś już gryziopiórkem, którym byłeś, ale prawdziwym odlewnikiem. Bo wiesz, że walimy młotami w żelazo nie dlatego, że nim pogardzamy ale żeby uczynić je mocniejszym.

Od tej pory traktował mnie łagodniej i zaczął zdradzać mi tajniki rzemiosła odlewniczego, na przykład jak rozpoznać dobrą rudę, że jest w niej dość wapienia lub dodać go więcej, i kiedy zwiększyć żar i sprawdzać miechy, tak żeby żar nie rozhartował żelaza, i jakie temperatury były dobre: po pierwsze, dla surówki, po drugie, dla ściany palenisk, po trzecie, dla narzędzi, po czwarte, dla małych dział, takich jak sakery i fal-kony, i w końcu do dużych harmat, jak kolubryny, półkolubryny i harmaty królewskie et cetera. A także jak przygotować obejmę na trzpień z gliny i sznura, jak napęlić formę, żeby nie pękła i nie przeciekała, i jak zmontować sznury i krążki linowe do podnoszenia dużych ciężarów. Tak minął kolejny rok, doskonaliłem swe umiejętności i nabierałem tężyzny także, bo posadził mnie przy swoim stole i karmił dobrze. Potem pod koniec roku nauczył mnie, jak ładować i odpalać harmatę.

Trudno Ci pewnie będzie to zrozumieć, Nan, jako kobiecie, ale kiedy usłyszałem po raz pierwszy huk harmat, to już przepadłem, taka mnie ogarnęła nieopisana żądza, żeby usłyszeć to jeszcze raz i zobaczyć lot kuli. Upajałem się widokiem tej mocy i potęgi. I mój kuzyn to zobaczył i rzecze mi w swej dobroci - a było to latem roku piątego, kiedy mi szedł szesnasty rok - mówi przeto: Ja muszę czuwać nad naprawą koła młyńskiego, czy pojechałbyś z kolubrynami do Tower i dopilnował, jak będzie je tam próbować artylerija. Bardzom się do tego palił, bo przez cały ten czas nie widziałem matki ani ojca, wyruszyłem przeto dwoma wozami z harmatami złożonymi w słomie, każdy wóz zaprzężony w sześć wołów i ludzie wynajęci do powożenia, od Titchfield do Portsmouth, stamtąd lugrem do Gravesend i przesiadka na barkę i w górę rzeki do Tower. Nigdy przedtem nie płynął łodzią i barzo mi się to spodobało i nie miałem choroby morskiej jak niektórzy, co płynęli ze mną.

Harmaty zostały dostarczone do Tower bez przygód za com dziękował Bogu z całego serca, bo przewiezienie dwóch harmat, 48 cetnarów każda, to nie przelewki, i to po drogach, jakie były w tym czasie, i z woźnicami, co lubią pociągnąć z flaszy, i ze zwykłymi niebezpieczeństwami na morzu. Udałem się na Fish Street i zostałem przywitany z wielką serdecznością przez rodzinę, dla której mój męski wygląd był wielką siurpryzą, i trzymali mnie do późnej nocy, żebym opowiadał, co się działo przez te wszystkie lata, kiedyśmy się nie widzieli. Ale ojciec mój chciał mnie traktować jak dawniej, co z trudem znosiłem, będąc teraz mężczyzną, nie chłopcem. Znosiłem to tylko dla mojej matki, dla spokoju w domu i dla przykazania czciz ojca swego. Mieliśmy nową dziewczkę służebną, Margaret Ames: kwaśne, obłudne stworzenie, choć dobra krześcianka, z powodów, których nigdy nie odgadłem, jakoś mnie nie lubiła.

Nazajutrz o świcie poszedłem do Tower na próby. Oficjer artyleriji nazwiskiem Peter Hastyngeś był zdumiony moją młodością, bo spodziewał się mojego kuzyna jak zawždy. Obie kolubryny zostały przeto dwa-kroć załadowane, żeby

można było zobaczyć, czy się nie rozpekną, ale, dzięki Bogu, wytrzymały. Po wszystkim zasiadłem do posiłku z panem Hastyngesem i paroma innymi oficyjierami, rozmowa była bardzo wesola, ale rubaszna, bo wielu z tej kompanii było kanonierami, którzy przybyli ostatnio z pól bitewnych w Niderlandach. Taka rozmowa bardzo mi do gustu przypadła, bo pragnąłem poznać to rzemiosło i nalegałem, aby odpowiedzieli na moje pytania, na przykład jak ustawić harmatę najkorzystniej w polu, jak nią najlepiej wycelować, o różne rodzaje i jakość prochu, jak go mieszać i przechowywać, jak szacować odległość do celu. To ostatnie pytanie wywołało spór, bo każdy miał inne zdanie. Jeden mówił, że trzeba zaufać oku, drugi, że trzeba oddać próbne strzały, przypatrując się bacznie, gdzie padła kula, i przy każdym wystrzale dodawać i ujmować prochu, także zmieniając jego ilość zależnie od rozgrzania harmaty z upływem dnia, bo rozgrzana niesie dalej przy tym samym ładunku.

Tu zapytałem ich, czemu nie posłużą się metodą trójkątów i sinusów, i tu zdumieli się, bo nigdy o czymś takim nie słyszeli. Nakreśliłem im przeto mały rysunek, pokazując, jak posługiwać się kwadrantem, węgielnicą, przymiarem jardowym, żeby określić odległość od jednego punktu do drugiego, bardzo odległego. Musieli zobaczyć i wypróbować tę metodę bez zwłoki, więc przygotowałem wszystko i spróbowałem określić odległość do dalekiego drzewa i potem zmierzyliliśmy ją krokami i byli bardzo ukontentowani tym, jak się to zgadzało z moimi obliczeniami. Potem Thomas Keane, człek wielkiego serca, poklepał mnie po ramieniu, mówiąc: Chłopcze, zrobię z ciebie prawdziwego kanoniera. Jeśli cię zmęczy odlewanie harmat, możesz iść ze mną jako pomocnik ogniomistrza, matrosse, na wojnę i i strzelać do Ispanów, bo matrosse jest wielką pomocą dla ogniomistrza. Ja zaś podziękowałem mu grzecznie, ale powiedziałem, że na razie nie myślę o wojnie - oto jak nieznanie są nam zamiary i dzieła Pańskie.

Kiedy dwaj detektywi wyszli, nie pogałem natychmiast z powrotem do pracy. Dokończyłem rutynowe ćwiczenia na siłowni, potem wziąłem prysznic i parówkę. Jadąc samochodem, nie wdąłem się w ożywioną rozmowę z Omarem. Mój kierowca niemal obsesyjnie przeżywa nasze zaangażowanie w Iraku i w ogóle martwią go stosunki między jego przybraną ojczyzną a światem islamskim. Po Jedenastym Września nie doświadczył w tym mieście niczego przyjemnego. Tego konkretnego poranka, gdy radio wyszemrało już jak zwykle złe wiadomości i Omar wygłosił stosowny komentarz, jedyną potwornością, jaka zaprzętała mi głowę, był ponury los mojego ostatniego klienta, Bulstrode'a. Czy to możliwe, że znalazł dokument, który mógł zaprowadzić do bezcennego manuskryptu? I czy zabito go dlatego, że chciano się dowiedzieć, gdzie rzeczony dokument się znajduje? Przyszła mi do głowy jeszcze mniej przyjemna myśl: tortury oznaczały, że komuś bardzo zależało na wydobyciu od niego informacji, a jakiej informacji mógł im udzielić oprócz podania nazwiska osoby, której powierzył swój rękopis, czyli mojego? Nie znałem właściwie tego człowieka, ale ani przez chwilę nie zakładałem, że poddany torturom byłby w stanie wytrzymać i nie zdradzić miejsca, w którym znajduje się gruba koperta.

I znów, tak jak przy rozmowie z gliniarzami, mam poczucie nierealności, jakbym wchodził w formy wytworzone przez literacką fikcję. Wkrótce po skończeniu studiów, kiedy trwał jeszcze nabór do wojska, nie będąc typem buntownika, poddałem się temu, co nieuniknione, i stawilem na ochotnika (jak sądzę, jeden jedyny z całego roku) przed komisją poborową. Przydzielili mnie do oddziału medycznego, nie do piechoty, i wylądowałem w 12 Szpitalu Ewakuacyjnym w Cu Chi w Wietnamie Południowym. W przeciwieństwie do mojego dziadka esesmana byłem absolutnie niewyróżniającym się żołnierzem - jak to się wówczas mówiło, dekwonikiem albo cykorem - ale udało mi się zobaczyć spektakularny wybuch składu amunicji trafionego rakieta nieprzyjaciela i do dziś pamiętam, że świadkowie, aby jakoś „uprawomocnić” to przeżycie, wciąż powtarzali: „To było całkiem jak w filmie”. Tak więc, choć życie jest na ogół mało porywające, kiedy znajdziemy się w sytuacji z rodzaju tych, jakie uwielbiają autorzy thrillerów, nie potrafimy jej autentycznie przeżyć, bo nasza wyobraźnia została całkowicie opanowana przez stereotypy z literatury popularnej. I efektem jest coś na kształt tępego oszołomienia, poczucie, że cokolwiek to było, nie mogło się zdarzyć naprawdę. Myślimy dokładnie tak: To mi się nie może przydarzyć.

Po powrocie do pracy odczekałem, aż pani Maldonado odejdzie od biurka, i wzięłem z jej schowka klucz od sejfu. Wyjąłem kopertę Bulstrode'a i zabrałem ją do swojego gabinetu. Gdy oddawałem klucz, pani Maldonado spojrzała na mnie pytająco, ale nie miałem ochoty niczego wyjaśnić, a ona też się nie dopytywała. Powiedziałem jej, żeby mi nie przeszkadzano, i zamknąłem za sobą drzwi na klucz.

Nie jestem znawcą, lecz papiery z koperty sprawiały wrażenie naprawdę starych. Oczywiście podróbka tak właśnie powinna wyglądać, ale najwyraźniej ktoś był przekonany o ich wartości, skoro Bulstrode'a torturowano, aby ustalić miejsce ich przechowywania. W kopercie znajdowały się dwa oddzielne komplety papierów, oba najwyraźniej po angielsku, chociaż pismo, z wyjątkiem najkrótszych słów, nie było łatwe do odczytania. Jedna kartka była poznaczona czymś, co wyglądało na miękki ołówek.

Podarłem starą kopertę na kawałki, włożyłem papiery do nowej i odniosłem ją do banku. Potem przez resztę popołudnia pracowałem.

Następnego dnia, jak mówi mi mój notes, zjadłem lunch z Mickeyem Haasem. Spotykamy się, a raczej spotykaliśmy, na ogół raz w miesiącu; dzwoni przeważnie on i tak też było tym razem. Zasugerował „Sorrentino” w pobliżu mojego domu, a ja powiedziałem, że wyślę po niego Omara. Tak zwykle się dzieje, kiedy Mickey przyjeżdża na Manhattan. „Sorrentino” jest jedną z wielu identycznych, stylizowanych na włoskie restauracji, którymi upstrzone są boczne uliczki wschodniego Manhattanu i które żyją z tego, że serwują za odpowiednio słone ceny posiłki takim facetom jak ja. Każdy zamożniejszy mieszkaniec molocha, jakim jest biurowa strefa Manhattanu, ma swoje ulubione „Sorrentino”; bywalcy czują się tam jak u siebie, lecz są przy tym uwolnieni od domowego stresu. Wszystkie te przybytki pachną identycznie, we wszystkich funkcjonuje jakiś *maitre*, który zna człowieka i wie, jakie są jego ulubione potrawy i napoje. W każdym też w porze lunchu znajdują się co najmniej dwie interesujące kobiety, na których samotny klient w średnim wieku może zawieść wzrok i poćwiczyć wyobraźnię.

Marco *maitre*, który dobrze mnie zna - posadził mnie jak zwykle przy stoliku w głębi po prawej i przyniósł mi, z własnej inicjatywy, butelkę swojego prywatnego rosso di montalcino, butelkę san pellegrino i talerz *bruschette* z anchois na przekąskę. Zdażyłem wypić mniej więcej pół kieliszka doskonałego wina, gdy do restauracji wkroczył Mickey. Z biegiem lat nabrał ciała, podobnie jak ja, choć obawiam się, że w jego wypadku jest to wyłącznie tkanka tłuszczowa. Podbródek ma podwójny, podczas gdy mój zachowuje pierwotną linię. Jego włosy, w odróżnieniu od moich, są jednak nadal gęste i kręcone, poza tym trzyma fason. Przypominam sobie, że kiedyś był nienaturalnie chudy, a może należałoby powiedzieć - wynędzniały. Skórę pod oczami ma jakby spękaną, oczy przekrwione i zmęczone. Nie ma tików, ale coś z nim jest nie tak. Znałem tego człowieka od lat i widziałem, że nie czuje się najlepiej.

Przywitaliśmy się, usiadł i nalał sobie wina. Połowę od razu wypił jednym haustem. Zapytałem, czy coś się stało. Popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Stało? Właśnie zamordowano mojego kolegę, powiedział, i zapytał, czy naprawdę o tym nie słyszałem. Odpowiedziałem, że owszem.

Przeczytawszy ostatnie zdania, postanowiłem, że od tej chwili będę wpłatał w tok opowiadania dialogi, jak to teraz bezkarnie robią dziennikarze, bo opisywanie

swoimi słowami tego, co mówią ludzie, to istna męka. Gość, który wynalazł pauzę czy cudzysłów, nie był głupi. Gdyby jeszcze zastrzegł sobie prawo wyłączności do niego! A zatem:

- Kiedy się o tym dowiedziałeś? - zapytałem.

- Zadzwoiła do mnie do Austin sekretarka odparł. Właśnie wygłosiłem referat na porannej sesji i miałem oczywiście wyłączoną komórkę, a kiedy tylko ją włączyłem, przyszła wiadomość od Karen. Wróciłem pierwszym samolotem. Opróżnił kieliszek i nalał sobie drugi. Mógłbyś mi załatwić porządnego drinka? Wpadnę przez to wszystko w alkoholizm.

Przywołałem Paula, naszego kelnera, przybiegł natychmiast. Mickey zamówił gimlet.

- Kiedy wróciłem, zastałem kompletny chaos. Na uniwersytecie wrzało, szef
mojego wydziału, ten dupek, sugerował, że to w pewnym sensie moja
wina, bo
zaangażowałem kogoś o tak wątpliwej reputacji.

- A to prawda?

Mickey poczerwieniał.

- Rzecz w tym, że to był także jeden z największych szekspirologów w swoim pokoleniu. A jego jedyną zbrodnią było to, że dał się nabrać oszustowi, co mogło się przecież zdarzyć każdemu z tych, którzy go teraz oskarżają, z moim pieprzonym szefem włącznie. Znasz tę historię?

Zapewniłem go, że przestudiowałem cały dostępny materiał w sieci.

- Tak, pieprzona katastrofa. Ale nie to interesowało policję. Mieli czelność sugerować, że prowadził... jak oni to nazwali... nieuregulowany tryb życia. Przez co rozumieli, że był gejem i że ten fakt miał jakoby coś wspólnego z jego śmiercią.

Dopił swój gimlet. Natychmiast zjawił się Paul, pytając, czy chce powtórzyć zamówienie, i prezentując jednocześnie menu rozmiarów billboardu z metra. Mickey spojrział na kartę bez zainteresowania, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że jest rzeczywiście wzburzony; w normalnej sytuacji uwielbia jeść i lubi mówić o jedzeniu, gotować i rozpamiętywać rozkosze stołu.

- Na co masz ochotę? - zapytał.

- Co mi polecasz, Paul? - zwróciłem się do kelnera. Od lat nie zamawiałem tu niczego z karty.

- *Carciofi allagiudia, gnocchi alia romana, osso buco. Osso buco* jest dziś bardzo dobre.

Mickey oddał menu.

- Wezmę to samo.

Kiedy odszedł Paul, podjął przerwany wątek.

- Mają swoją teorię, że był zamieszany w ciemne sprawy. Policyjna wyobraźnia, rozumiesz? Widzą, że to Angol i gej; jakiś chłopiec, którego wziął sobie na noc, związał go i sprawy wymknęły się spod kontroli.

- A to niemożliwe?

- Wszystko jest możliwe, ale ja akurat wiem, że Andy pozostawał w wieloletnim dyskretnym związku z kolegą, wykładowcą z Oksfordu. Jego gusta były inne.

- Mogły się zmienić. Nigdy nie wiadomo.

- Ale nie w tym wypadku, Jake. Znałem tego człowieka od ponad dwudziestu lat. Pociągnął łyk drugiego drinka. To tak, jakby podejrzewać ciebie, że uganasz się za chłopcami.

- Albo ciebie - powiedziałem i wybuchnęliśmy śmiechem.

- Mój Boże, nie powinniśmy się śmiać. Biedaczysko! Dobrze tylko, cholera, że kiedy to się stało, byłem tysiące kilometrów stąd. Gliniarze przyglądali mi się podejrzliwie, próbowali wywęszyć jakieś oznaki nietypowych upodobań.

- A ci gliniarze to Murray i Fernandez?

Spojrzał na mnie zaskoczony i uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Tak, a skąd wiesz?

- Do mnie też przyszli, żeby sprawdzić, czy czegoś nie wiem.

- Dlaczego do ciebie?

- Bo był moim klientem. Odwiedził mnie i opowiedział historyjkę o jakimś odnalezionym rękopisie. Myślałem, że to ty go przysłałeś.

Mickey patrzył na mnie z rozdziawionymi ustami. Zjawił się Paul i postawił na stole nasze żydowskie karczochy. Kiedy zostaliśmy sami, Mickey nachylił się do mnie i powiedział:

- Ja go nie przysyłałem. Nie, zaraz, pytał mnie kiedyś, czy nie znam jakiegoś prawnika, specjalisty od własności intelektualnej, i powiedziałem mu, że mój najlepszy przyjaciel się tym zajmuje. I wymieniał twoje nazwisko. Spytałem, o co chodzi, a on odparł, że natrafił na pewien manuskrypt, który nadawałby się do opublikowania, i że chce wiedzieć, jaki jest status prawny tego znaleziska. Rzeczywiście przyszedł do ciebie?

- Tak. - Skinąłem głową. - Oświadczył, że ma manuskrypt, który zawiera informacje na temat nieznanego rękopisu Szekspira.

Zacząłem mu relacjonować swoją rozmowę z Bulstrode'em, ale Mickey połknął połówkę karczochowego serca, zakasłał gwałtownie i przeplukał gardło łykiem san pellegrino, nim przemówił.

- Nie, nie, miał rękopis, w którym była wzmianka o Szekspirze. Tak przynajmniej twierdził. Nigdy nie widziałem samego rękopisu. Przez tę historię z Pascoe miał paranoiczny uraz. Już po całej aferze wybrał się do Anglii to było zeszłego lata - a kiedy wrócił... jak by to powiedzieć... nie był sobą. Nerwowy. Rozdrażniony. Nie chciał rozmawiać o tym, co ma, mówił tylko tyle, że natrafił na wzmiankę o Szekspirze w autentycznym manuskrypcie z epoki. Zresztą nie powiedział mi, gdzie go znalazł. Jestem pewien, że to jakaś sensacja.

- Uważasz, że już sama wzmianka o Szekspirze wystarcza, żeby uznać jakiś rękopis za wartościowy?

- Wartościowy? Chryste, oczywiście! Kosmicznie doniosły. O epokowym znaczeniu. Zdawało mi się, że tłumaczyłem ci to setki razy, ale widocznie za mało.

- Więc wytłumacz jeszcze raz.

Mickey odchrząknął i podniósł widelec jak wskaźnik.

- Okay. Oprócz swego dzieła, największego literackiego osiągnięcia w historii ludzkości, William Szekspir nie pozostawił po sobie praktycznie żadnego materialnego śladu. To, co wiemy o nim na pewno, dałoby się spisać na kartce rozmiarów karty kredytowej. Urodził się, został ochrzczony, ożenił się, miał troje dzieci, sporządził testament, podpisał kilka aktów prawnych, ułożył epitafium i umarł. Pomijając te dokumenty i grób, jedynym fizycznym śladem jego istnienia jest wątpliwa próbka pisma na rękopisie sztuki *Sir Tomasz Morus*. Nie ma ani jednego listu, inskrypcji, żadnych informacji w książkach z tamtych czasów. Okay,

ten facet był luminarzem londyńskiego teatru przez prawie dwadzieścia lat, a więc zachowało się mnóstwo wzmianek o nim, ale to słaba pożywka dla badaczy. Pierwsza wzmianka to atak na kogoś, kogo nazywa się „Shake-scene”, pióra dupka nazwiskiem Robert Greene i przeprosiny za wydrukowanie tego tekstu, podpisane przez niejakiego Chettle'a. Francis Mere napisał książkę *Palladis Tamia, Wit's Treasury*, słusznie zapomnianą, lecz napomykającą o Szekspirze jako najlepszym dramaturgu angielskim. Wspomina też o nim William Camden, rektor Westminster School, i Webster w przedmowie do *Białej diablicy*, jest też wzmianka u Beaumonta w jego *Rycerzu Ognistego Pieprzu*. No i jest jeszcze mnóstwo dokumentów prawnych: pozwów, umów dzierżawnych oraz różnych odwołań od orzeczeń sądu. I oczywiście podstawa: Pierwsze Folio. Towarzyście doceniali Szekspira na tyle, aby po jego śmierci opublikować wszystkie sztuki w jednym tomie i nazwać go ich autorem. I to właściwie tyle: kilkadziesiąt wzmianek i odniesień jego współczesnych. Na tym fundamencie zbudowano całą przeogromną dziedzinę nauki, przekopując sztuki i wiersze w poszukiwaniu aluzji do samego twórcy. Te dociekania to oczywiście tylko spekulacje, po prostu niczego nie wiemy na pewno. Przyprawia nas to o obłęd, bo ten człowiek jest nieuchwytną mgłą. Innymi słowy, nie mamy żadnych konkretów.

- To zamierzchłe czasy.

- Tak, ale wiemy masę rzeczy o Leonardzie, żeby przywołać pierwszy z brzegu przykład, a on żył o jedno stulecie wcześniej. Na zasadzie porównania - tylko jednego mamy autentyczny list Edmunda Spensera do Waltera Raleigh, objaśniający niektóre alegorie z *Królowej wróżek*. Wiemy bardzo wiele o Benie Jonsonie. Michał Anioł - zachowało się prawie pięćset jego listów, zeszytów, pieprzonych przepisów kulinarnych. A Szekspir, największy pisarz wszechczasów, poza tym ważny przedsiębiorca teatralny, nie pozostawił po sobie ani jednego listu. Problem w tym, że ta próżnia wsysa wszelkie fałszerstwa. W osiemnastym i dziewiętnastym wieku istniał ogromny szekspirowski przemysł fałszerski. Nawet dzisiaj zdarzają się oszustwa, na czymś takim wpadł Bulstrode. Nie licząc kwestii autorstwa: nie mamy po nim nic oprócz samego dzieła, a zatem autorem musi być ktoś inny - Southampton, Bacon, istoty pozaziemskie... Nie potrafię nawet wyrazić, jak silne jest pragnienie, by znaleźć coś konkretnego o tym sukinsynu.

Jeśli Bulstrode rzeczywiście natknął się na manuskrypt z epoki, w którym wspomina się o Szekspirze, a który zwłaszcza zawiera jakieś istotne informacje no, to coś takiego mogłoby całkowicie go zrehabilitować jako szekspirologa.

Kiedy Mickey mówi o swojej pracy, młodziej o dwadzieścia lat i przypomina mi bardziej niż zwykle chłopaka, którego poznałem w tamtym parszywym mieszkaniu na Sto Trzynastej Ulicy. Wyznam, że nie mogę sobie wyobrazić takiej transformacji w swoim własnym przypadku, gdybym, powiedzmy, zaczął rozprawiać o zawiłościach ustawy zabraniającej tworzenia i rozpowszechniania technologii, które mogą posłużyć do naruszenia mechanizmów ograniczających możliwość kopiowania cyfrowego. On kocha swój zawód i za to go podziwiam. I, jak przypuszczam, trochę mu zazdrościę. Ale teraz, kiedy wymienił nazwisko Bulstrode'a, spochmurniał. A może oczy mu zwilgotniały? Trudno było to dostrzec w tym przyjaznym półmroku restauracji.

- Cóż ciągnął. Oczywiście teraz to już niemożliwe. Ale dałbym wiele, żeby móc zajrzeć do tych papierów. Bóg jeden wie, co się z nimi stało.

Wydało mi się w tym momencie, że spojrział na mnie odrobinę podejrzliwie. Wszyscy porządni prawnicy są dyskretni i śmierć klienta bynajmniej nie rozwiązuje im języka, ale w porównaniu z nami, specjalistami od prawa autorskiego, nawet tamci są po prostu nieodpowiedzialnymi paplami. A więc nie złapałem przynęty, o ile jakąś zarzucał, tylko zapytałem:

- Czy coś się stało?

- Oprócz tego, że zabili Bulstrode'a? To dla ciebie za mało?

- Wyglądasz, stary, jakby gnębiło cię coś jeszcze. Zauważyłem to już parę razy. Nie jesteś przypadkiem chory?

- Nie, jeśli nie liczyć tego, że utylem jak wieprz i nie ćwiczę, jestem zdrowy jak koń. Tętnice jak postronki, jak mówi mój lekarz. Nie, to, co widzisz, to zewnętrzne objawy kryzysu na rynku walut.

Tu muszę wyjaśnić, że Mickey i ja mamy różne podejście do kwestii inwestycji. Moja lokata to fundusz otwarty, powstały w 1927 roku inwestycyjny fundusz powierniczy, który nie daje nigdy więcej ani mniej niż 7 procent *per annum*. Mickey nazywa to nieodpowiedzialnym konserwatywizmem, a przynajmniej nazywał, kiedy parę lat temu rynek rozkwitał. On sam jest zwolennikiem funduszu bezpiecznego

i kiedyś raczył mnie opowieściami o swoich fantastycznych zyskach. Teraz już tego nie robi.

- No, zawsze masz jeszcze fabrykę tych suwaków przemysłowych - zauważyłem, na co parsknął śmiechem.

- Tak, gdybym nie musiał tego dzielić z dwoma tuzinami kuzynów. Moja rodzina cierpi na nadmiar spadkobierców.

Wyczułem, że nie chce drażnić tego tematu, więc powiedziałem:

- A skoro już o tym mowa: nie wiesz, czy zmarły profesor ma jakichś spadkobierców? Zakładam, że nie miał dzieci.

- Jest siostrzenica, Madeleine czy jakoś tak. Miał jej zdjęcie na biurku. Córka jego zmarłej siostry, nie widział poza nią świata. Myślę, że odziedziczył wszystko, co posiadał. Albo też jego długoletni przyjaciel.

- Zawiadomili ją?

- Tak. Przyjeżdża w tym tygodniu.

- Z Anglii?

- Nie, z Toronto. Siostra wyemigrowała przed laty, wyszła za mąż za Kanadyjczyka, mieli jedno dziecko. Ach, oto nasze *gnocchi*. Wiesz, wydaje mi się, że odzyskuję apetyt.

Kiedy zaczęliśmy pałaszować rozplływające się w ustach kluseczki, zapytałem:

- A więc właściwie rękopis nie prowadzi ani o krok dalej? Nie jest wskazówką, która wiodłaby do czegoś istotniejszego?

Mickey odpowiedział z pełnymi ustami:

- Istotniejszego niż wzmianka współczesnych o Szekspirze? Nie wyobrażam sobie, o co mogłoby chodzić. Powiedział ci?

- Zasugerował, że w manuskrypcie jest mowa o innym manuskrypcie, autorstwa samego Szekspira.

- Ach, tak? Moim zdaniem to czysta fantazja. Jak już mówiłem, Andrew pragnął za wszelką cenę powrócić do gry. Trudno się dziwić. Kiedy zostanie odczytany testament i ta... jak jej tam, Madeleine, będzie ogłoszona dziedziczką, przyjrzymy się temu i zobaczymy, co to warte. Choć, biorąc pod uwagę pragnienie tego człowieka, by za wszelką cenę odbudować swą karierę, sądzę, że niewiele.

Nie mówiliśmy już podczas lunchu (w którego trakcie Mickey rzeczywiście odzyskał apetyt i zaczął żartować na temat paskudztwa, jakie musieli jeść w Teksasie) ani o profesorze, ani o jego tajemniczym manuskrypcie, ani o jeszcze bardziej tajemniczym zgonie.

O ile, oczywiście, dobrze pamiętam, jako że powyższa relacja jest całkowicie sfabrykowana. Owszem, jadłem takie potrawy i piłem takie wino w tej właśnie restauracji, możliwe, że w towarzystwie Mickeya Haasa, i istnieje pewien Marco i pewien Paul, ale nie mogę zaręczyć, że jedliśmy właśnie te potrawy tamtego dnia przed wieloma miesiącami. Z trudem sobie przypominam, co jadłem na lunch w zeszły wtorek, nikt nie pamięta takich rzeczy. Zebrałem parę faktów dotyczących Szekspira, ale czy przy tej okazji, czy później, nie mogę zaręczyć. Pamiętam, że Mickey był rozstrojony i że to wtedy dowiedziałem się o istnieniu tej młodej kobiety. Zresztą Mirandy, nie Madeleine. To, co piszę, jest fikcją, ale już w trakcie pisania staje się prawdą, bo w rzeczywistości nie mamy prawdziwych wspomnień. Wszystko wymyślamy. Proust wymyślał, Boswell wymyślał, to samo Pepys... Właściwie żywię dużo współczucia dla tej rosnącej liczby osób, często szacownych, które zostają przyłapane na zmyśleniach. To znaczy, że nie studiowałem medycyny na Harvardzie? Nie spółkowałem z tą kobietą...? Nie jest to sprawa upadku moralności (bo sądzę, że nigdy nie istniała prawda oparta na pamięci), tylko raczej triumf własności intelektualnej, tej nawałnicy wymyślonych rzeczywistości sztucznych bytów, spreparowanych komputerowo zdjęć, pisanych przez „murzynów” powieści, grających z playbacku zespołów rockowych, sfabrykowanych reality show, amerykańskiej polityki zagranicznej - nawałnicy, przez którą brniemy dzień po dniu. Każdy, poczynając od prezydenta, jest teraz powieściopisarzem.

Myślę, że o zapoczątkowanie tej tendencji możemy oskarżać Szekspira, bo stworzył on postacie prawdziwsze niż ludzie, których znamy. Dick Bracegirdle to rozumiał i dlatego postanowił zniszczyć Williama i jego dzieło. Na Columbii słuchałem wykładów z historii średniowiecznej Anglii Haas pamięta je także, bo mi je polecił prowadzonych przez człowieka nazwiskiem Charlton. I choć wymazałem z pamięci *Domesday Book*, a także wszystkich królów i królowe, dobrze pamiętam jego podejście do historii. Mówił, że są jej trzy rodzaje. Pierwszy to, co się naprawdę

wydarzyło i co bezpowrotnie przepadło. Drugi to, co większość ludzi uważa za wydarzenia historyczne i co przy pewnym wysiłku możemy odtworzyć. Trzeci - to taki jej obraz, jakiego życzyliby sobie w przyszłości ówczesni ludzie władzy, i to jest właśnie dziewięćdziesiąt procent historii utrwalonej w książkach.

(Tak czy inaczej, czytając powtórnie scenę w restauracji, stwierdzam, że jestem z niej absurdalnie zadowolony. Tak, w ten sposób mogło to wyglądać. Odtworzyłem styl mówienia Mickeya i mam nadzieję, że ci, którzy go znają, stwierdzą, że nieźle mi się to udało. Dostrzegam też, że rzeczywistość dopasowała się zgrabnie do fikcji, którą stworzyłem, i jestem absolutnie pewien, że gdyby Mickey to przeczytał, powiedziałby: „Owszem, tak to zapamiętałem”. A zatem, pisząc, posługuję się tym drugim rodzajem historii. Myślę, że podobnie jak Bracegirdle, choć on był człowiekiem uczciwym, a ja taki nie jestem).

Tu muszę nadmienić, że wkrótce po tym wydarzeniu wstąpiłem do jednego ze sklepów elektronicznych przy Szóstej Alei, żeby kupić baterię do telefonu komórkowego, i z powodów, których sobie nie przypominam... nie, właściwie to pamiętam. Jak już mówiłem, mam umysł bardziej chaotyczny, niżbym sobie życzył, i zwykle, kiedy akurat coś przyjdzie mi do głowy, robię przypadkowe notatki o tym i owym, wypełniając nimi końcowe stronicie wspomnianego notesu. Niestety, czasem stwierdzam, że nie mogę odczytać tego, co zapisałem; typowa notatka to „zob. art. o kod. hnrym”. Ale gdy wszedłem do sklepu, mój wzrok padł na uruchamiany głosem dyktafon Sanyo 32; pomyślałem, że byłby dobrym rozwiązaniem mojego problemu, i kupiłem go za siedemdziesiąt dwa dolary. Ma rozmiary komórki i nagrywa dwie godziny w trybie wysokiej wierności zapisu. Jak tylko dokonałem tego zakupu, dwie godziny z mojego życia zostały zapisane do późniejszego odsłuchania. Okazały się bezcenne dla moich bieżących prób pisarskich.

Po lunchu odwiozłem Mickeya lincolnem. Wypił sam prawie całe wino i kilka gimletów, więc był nieźle wstawiony. Kiedy Mickey wprawi się w taki stan, nieodmiennie opowiada o swoich trzech żonach. Pierwsza pani H., Louise, była jego miłością z college'u, rosłą blondynką z dobrej nowoangielskiej rodziny. Ofiarowywała mu swe wdzięki pod balkonem akademika oplecionym festonami bluszczu,

z której to kryjówki w tamtych czasach korzystaliśmy wszyscy, oraz w warunkach nieco bardziej intymnych - w naszym mieszkaniu na Sto Trzynastej. Zaczęła darzyć Mickeya względami na trzecim roku, kiedy dostała od niego pierścionek, co było jeszcze jedną wesołą tradycją tamtych lat. Pamiętam weekendowe poranki w mieszkaniu: Mickey w swoim kasztanowym welurowym płaszczu kąpielowym (czy w szlafroku, jak go nazywał) parzył z namaszczeniem kawę w ekspresie, a Louise wpływała niczym łabędź do kuchni, lekko speszona moim widokiem, ale zawsze z klasą. Zwykle pojawiała się wtedy w czarnych rajstopach i w jednej z eleganckich koszul Mickeya, czyli w stroju, który od tamtych czasów uważam za szalenie erotyczny. (Rajstopy uchodziły wtedy za bieliznę; nigdy nie oswoiłem się z widokiem dziewczyn biegających po mieście w rajstopach i prezentujących światu swe wdzięki - i zawsze odczuwałem wibracje w mosznie). Nie nosiła też stanika, bo wcześniej przyjęła ten styl, zresztą miała śliczne, spiczaste i podskakujące cycuszki.

Założeniem tych poranków było to, że Mickey jest wielkim ogierem z kochanką, a ja biednym, lecz uczciwym, seksualnie upośledzonym uczniakiem, i ta komedia nieźle nas bawiła! W rzeczywistości dostawałem w tym zakresie więcej, niż mogłem wziąć, od kobiety nazwiskiem Ruth Polansky, trzydziestosześcioletniej pracownicy Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Utrzymywałem to w tajemnicy przed swoim współlokatorem i wszystkimi innymi, głównie dlatego, że byłem tym zakłopotany, i z uzasadnionej obawy o pracę Ruth. Czy jest to istotne dla tej historii? W pewnym sensie, choć tylko jako dowód, że mój trening w ukrywaniu swego życia seksualnego zaczął się wcześniej. Myślę, że nie ma bardziej wybuchowej mieszanki niż romans między nastoletnim chłopcem i kobietą w pewnym wieku, kiedy to szczyt potencji mężczyzny idzie w parze z seksualnym apetytem kobiety. Francuzi przejawiają nabożny podziw dla takich romansów i mają całą literaturę na ten temat, lecz w Ameryce (patrz *Absolwent* i pani Robinson!) jest to traktowane tylko jako farsa.

Nasz romans był rzeczywiście dość farsowy, bo podstawowym problemem było znalezienie miejsca, gdzie moglibyśmy to robić. Ona mieszkała z matką, a ja z Mickeyem Haasem, żadne z nas nie miało samochodu, ja, jak już wspominałem, byłem biedakiem, a pensja bibliotekarki nie wystarczała na hotele.

Pani Polansky i ja znaleźliśmy się od lat; przyglądała się z zainteresowaniem mojemu dorastaniu i towarzyszącemu mu rozwojowi potężnej muskulatury. Była drobną, bladą kobietą z jedwabistymi, bezbarwnymi włosami, które wiązała w koński ogon, dzięki czemu wyglądała młodziej. Co nietypowe dla tamtych czasów, była rozwódką i to dodawało pikanterii moim fantazjom, które zaczęły się, gdy miałem mniej więcej dwanaście lat. Kiedy to odtwarzam w pamięci (fałszywie, jak przypuszczam), mam wrażenie, że podeszła mnie całkiem sprytnie, wykorzystując moje zainteresowanie teatrem, aby skierować me myśli ku życiu erotycznemu, niedostępnemu na ogół w tamtych czasach uczniom szkoły średniej. Podsuwała mi książki, sztuki teatralne: Williama, Ibsena, *Herbatkę i współczucie*, francuską poezję erotyczną i *Ulissesa*, tę ostatnią powieść pożyczoną z prywatnej biblioteki. Nie jest specjalnie trudno uwieść kilkunastoletniego chłopca w pachnącej książkami, dobrze ogrzanej bibliotece w senne zimowe popołudnie. Nie przeszkadzały jej przyszcze. Zachwycała się moimi oczami. Seksowne, alkowiane oczy, mówiła.

Do pierwszego uwiedzenia doszło w służbowym pokoiku w bibliotece. Miała piętnastominutową przerwę, druga bibliotekarka siedziała przy biurku. Zrobiliśmy to na krześle koło grzejnika, który z sykiem wypuszczał parę, choć nie żywił żadnej urazy do pani Polansky. Wytrzymałem tylko parę minut, ale to wystarczyło, by wstrząsnął nią potężny paroksyzm, podczas którego, nie chcąc przyciągać uwagi swoich bibliotecznich zwierzchników, wypuszczała przez zaciśnięte zęby hektolitry powietrza; odtąd syk uchodzącej pary kojarzy mi się zawsze z rozpustą. Nie usłyszałem jej pełnego, wydanego z głębi serca krzyku ekstazy, dopóki miasto nie zaczęło zamykać bibliotek we wtorkowe i czwartkowe popołudnia, a ja nie mogłem korzystać ze swojego starego pokoju w rodzinnym mieszkaniu, kiedy *Mutti* pracowała w szpitalu.

Mieliśmy mniej więcej trzygodzinne okienko pomiędzy dwunastą a porą powrotu mojej siostry ze szkoły. Większość tego czasu pochłaniała nam podróż metrem z centrum Manhattanu na wschodni Brooklyn, więc zdzieraliśmy z siebie pośpiesznie ubrania, zaledwie szczęknął zamek w drzwiach. Wśród kobiet mego życia pani Polansky nie należała do najgłośniejszych w obwieszczaniu orgazmu, ale płasowała się w czołówce. W chwili szczytowania wydawała z siebie serię

głębokich i donośnych organowych jęków i biorąc pod uwagę farsowy charakter naszego romansu, można było przewidzieć, że pewnego dnia, kiedy po naszych wysiłkach będziemy doprowadzać do porządku ubrania, aby móc się pokazać zewnętrznemu światu, zastaniemy *Mutti* przy kuchennym stole. Wzięła z jakichś powodów wolne popołudnie i nigdy się nie dowiedziałem, jak długo tam siedziała. Jej oblicze pozostawało nieodgadnione, kiedy przedstawiałem jej panią P. jako korepetytorcę pomagającą mi w algebrze. Ruth wyciągnęła rękę i *Mutti* uścisnęła jej dłoń, całkiem poprawnie, po czym zaproponowała kawę.

Nie myślałem o tamtym popołudniu już od dłuższego czasu. W gruncie rzeczy nie bardzo lubię w ogóle myśleć o mieszkaniu matki, zwłaszcza o kuchni.

Wróćmy do Mickeya i jego żon. Louise, jak już powiedziałem, była pierwszą i przetrwała zwyczajowe siedem lat. W tym czasie rewolucja seksualna osiągnęła apogeum i Mickey też chciał w niej mieć swój udział, co dla profesora nie było takie trudne. Pojawiła się więc Marilyn Kaplan, wieczna studentka. Mickey zdążył się już dorobić dwójki dzieci, miał też psa i mieszkał w wielkim domu w Scarsdale, toteż zaspokojenie żądzy, jaką czuł do Marilyn, kosztowało go majątek. Z trzech jego żon Marilyn była najpiękniejsza w sensie klasycznej urody: duże czarne oczy, lśniące, długie kasztanowate włosy i duże ciało amerykańskiej dziewczyny, czyli długie nogi, szczupła talia, atomowy biust. Była zagorzałą feministką ze szkoły lat siedemdziesiątych: ignorowała męskie spojrzenia, choć jednocześnie nieustannie je przyciągała i rozkwitała pod ich wpływem. Urodziła mu kolejne dziecko i po jakichś trzech latach zniknęła z facetem z Berkeley, jak mi się zdaje, obojnaczym biseksualistą, wzorem politycznej poprawności. Jak wyjaśniał Mickey, problem był głównie natury intelektualnej: mój przyjaciel nie dorównywał jej poziomem znajomości teorii literatury. Uważała to za coś niemal tak ważnego jak seks, w której to dziedzinie była, według słów samego Mickeya, partnerką dominującą, obdarzoną nieograniczoną energią i inwencją.

Byłem raz na jej wykładzie. Zabrał mnie Mickey, temat brzmiał mniej więcej: „Uprzywilejowana funkcja tekstu w późnych komediach; teoria aktu mowy i formacja dyskursywna w utworach Szekspira”. Nie zrozumiałem z tego ani słowa. Powiedziałem to Mickeyowi, więc próbował mi tłumaczyć teorie Foucaulta, Althussera i Derridy i opowiadać o rewolucji w studiach literaturoznawczych,

których Marilyn była ozdobą, ale widziałem, że nie ma do tego serca. Problemem Mickeya, doszedłem do wniosku, było to, że choć potrafił mówić językiem aktualnych trendów w krytyce i szło mu to całkiem nieźle, naprawdę kochał Szekspira, a w oczach jego żony miłość do czegośkolwiek uchodziła najwyraźniej za burżuazyjną afektację maskującą machinacje despotycznego patriarchy. Marilyn sądziła, że uda jej się zmienić Mickeya, że wniesie świeży powiew do jego paternalistycznych, burżuazyjnych poglądów na literaturę, ale nic z tego. No i nigdy nie doprowadził jej do orgazmu, w odróżnieniu od Geralda z Berkeley, który to potrafił, tak przynajmniej twierdziła. Ale zostawiła mu dziecko.

Numerem trzy była, albo jest, Dierdre, redaktorka u Putnama, twór z kevlaru i strun fortepianowych, istota, która dążyła do perfekcji we wszystkim. Jest obecnie (wracamy na właściwy tor) głównym przedmiotem narzekań, jako że hołduje modzie, i to na całego. Dla Dierdre mieć nieodpowiednią lodówkę, iść na nieodpowiednie przyjęcie, pojawić się w nieodpowiednim klubie lub kurorcie, mieć nieodpowiedni dom w eleganckim Southampton czy Easthampton - to coś w rodzaju towarzyskiego raka. Teraz zapragnęła urodzić idealne dziecko, przed czym Mickey się raczej wzdraga, posiadając już trójkę. Opowiedział mi długą anegdotę o...

Wiecie, zapomniałem, o czym to było. O płytkach? O jakimś niemieckim urządzeniu? Sprzęcie kuchennym? O strategii antykoncepcyjnej? Chrzanić to, nieważne, rzecz w tym, że Dierdre kosztuje go majątek, podobnie jak pierwsza żona i pierwszy komplet dzieci. Z kolei Jason, którego urodziła mu Marilyn, sprawiał kłopoty wychowawcze, Mickey wydawał więc fortunę na szkoły specjalne i wizyty u psychiatrów, a ze względu na sytuację na rynku i zbyt licznych potencjalnych spadkobierców rodzinnego majątku popadł w poważne tarapaty finansowe. (Zaproponowałem mu pożyczkę, zaśmiał się: Cha, cha, nie jest jeszcze tak źle!). Takie sesje narzekań na te jędze są nieodłącznym elementem mojej przyjaźni z Mickeyem. Myślę, że nasłuchał się tego i ode mnie, choć miałem tylko jedną żonę. Osobliwą rzeczą, jeśli chodzi o żony Mickeya, jest jednak to, że przypadkiem pieprzyłem je wszystkie, choć nigdy wtedy, gdy pozostawały z nim w związku małżeńskim. Na coś takiego na pewno bym się nie powazył.

Louise i ja spędziliśmy razem jedno długie popołudnie jakieś dwa tygodnie przed ich ślubem. Powiedziała mi, że go kocha i chce mieć z nim dzieci, ale po prostu nie może znieść myśli, że już nigdy nie zrobi tego z innym mężczyzną, i że zawsze miała na mnie chętkę (jej określenie) i chciałaby spróbować, jak by to było, zanim wrota zatrzaskną się na zawsze. Zachowywała się trochę nerwowo i było jasne, że Mickey nie wyszedł poza kurs wstępny, podczas gdy pani Polansky przerobiła ze mną cały program. Na tym popołudniu się skończyło, nigdy o nim nie wspomniała ani nie szukała więcej okazji i nie sądzę, żeby powiedziała o nim Mickeyowi, nawet kiedy już odszedł do Marilyn.

Którą to Marilyn poznałem na wieczorku literackim, zaproszony przez jednego z moich klientów, mniej więcej pół roku przed tym, zanim zajął się nią Mickey. Perorowała o faszystach na jej wydziale literatury angielskiej, a ja wygłosiłem jakąś niewinną uwagę o technicznym znaczeniu tego słowa i o tym, że nie jest szczególnie rozsądne używać go w tak szerokim, metaforycznym sensie. Chodzi o to, żeby nie przeoczyć chwili, kiedy znów pojawi się prawdziwy faszyzm, co jest bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę jego oczywistą atrakcyjność. Roześmiała się, gdyż ona określała mianem faszysty każdego, kogo nie lubiła, i reakcją było zawsze zaprzeczenie. Nikt oprócz paru odmóżdżonych kmiotków z Indiany czy Idaho nigdy nie przyznawał się do popierania faszyzmu. Z oczywistych powodów byłem gruntownie czytany w historii i literaturze dotyczącej tej filozofii, a ponieważ trochę podpiłem, dałem jej zdrowo popalić. Myślę, że nigdy wcześniej nie słyszała spójnego argumentu, który nie wyszedłby z jej tezy, tylko z całkowicie odmiennego punktu widzenia że na przykład seksualna i rasowa dyskryminacja jest czymś naturalnym i że absurdem jest się jej wstydzić albo ją tłumić, tak samo jak absurdem byłoby wstydzić się seksu; że władza absolutna, która pozwala miażdżyć butem twarz przeciwnika, dostarcza rozkoszy i że też nie należy się tego wstydzić; że demokracja jest żałosna, za to naginanie woli i jej podporządkowywanie przywódcy wprawia w ekstazę; że wojna oznacza zdrowie państwa...

Kiedy skończyłem, stwierdziła stanowczo, że nikt z pewnością nie wierzy w te brednie, a ja na to, że owszem, wielu w historii uwierzyło, że właściwie była to postawa szalenie popularna kilkadziesiąt lat temu wśród takich mądrali jak ona,

włączając w to Martina Heideggera i mojego dziadka, który, poinformowałem ją, należał do Waffen-SS. Myślała, że żartuję, zapewniłem ją, że nie, i zaprosiłem do siebie, aby obejrzała mój zbiór rodzinnych nazistowskich pamiątek, bo jestem raczej pewien, że od nikogo nie dostała jeszcze takiej propozycji. Poszła więc do mnie, pokazałem jej te zbiory i opowiedziałem swoją historię. Efekt był perwersyjnie erotyczny, bo, jak przypuszczam, była w tym egzemplifikacja słynnego powiedzenia Sylvii Plath, choć nie każda kobieta mnie kocha i nie jestem faszystą. Ona naprawdę chciała dostać butem w twarz, miało to przybrać formę gwałtu i innych brutalnych działań. Nie przepadam za takimi rzeczami, ale czułem się zobowiązany do odgrywania w tych okolicznościach roli dżentelmena (że się tak wyrażę). Szczególnie podniecał ją plugawy język, jeszcze jedna rzecz, za którą nie przepadam. Nie zadzwoniłem do niej więcej ani jej nie widziałem, aż pewnego dnia Mickey zaprosił mnie na drinka, żebym poznał jego nową miłość, i okazało się, że to ona. Udawaliśmy, że się nie znamy.

Dierdre wydaje książkę jednego z moich klientów. Poznaliśmy się w moim biurze; chodziło o to, że jej autor posłużył się postaciami występującymi w wydanej już wcześniej książce, do której prawa miał zastrzeżone inny pisarz. Wymieniliśmy spojrzenia. Miała na sobie mieniącą się bluzkę i bardzo obcisłe spodnie, a kiedy wstała, żeby wyciągnąć coś z aktówki, mogłem podziwiać jej tyłek, szczupłe uda i interesujący prześwit między nimi, szeroki jak talia kart. Kiedy się odwróciła, znów spojrzała mi w oczy. Była to, muszę przyznać, sytuacja jak z serialu *Seks w wielkim mieście*. Zadzwoniłem do niej i dalej poszło utartym trybem. Okazało się, że należy do kobiet, które lubią dobre rżnięcie, a potem się masturbują. Nie miała w ogóle włosów na podbrzuszu i pozostawiła bolesne otarcie na mojej kości łonowej. Na jej korzyść powiem, że była słowikiem, co bardzo lubię, i czytując, wydobywała z siebie serię melodyjnych dźwięków. Spotkaliśmy się kilka razy było to jakieś pięć lat temu - a później zadzwoniłem i była zajęta, zadzwoniłem jeszcze raz, znów była zajęta, i na tym się skończyło. Nie żałowałem tego finału. Myślę, że uważała mnie za trochę nadętego, a ja uważałem ją za nieco płytką. Kiedy spotkaliśmy się kilka miesięcy przed jej ślubem z Mickeyem, też udawała, że mnie nie zna, i być może rzeczywiście zapomniała nasz rutynowy mały wyskok.

Nieco przygnębiony tymi reminiscencjami, przywołuję je jednak tylko po to, żeby przygotować grunt pod tę opowieść, pod coraz żałośniejszą tęsknotę za erotyzmem. Dierdre była seksowna, ale nie miała w sobie erotyzmu, nie było w niej głębi. Artyści, jak się przekonałem, tacy właśnie są; wszystko lokują w swoich dziełach. Moja była żona Amalie jest zdecydowanie najbardziej erotyczną kobietą, jaką znałem, emanuje wprost siłą życiową i wszystko, czego dotknie, staje się piękne. Z wyjątkiem mnie.

Czy istnieje antonim przymiotnika „erotyczny”? Może „tanatyczny”. Czy jest takie słowo? Ale najwyraźniej sam desygnat jest realny, bo czyż nie rozkoszujemy się śmiercią? Zwłaszcza śmiercią gwałtowną. Cóż to za przyjemność! Czy nie pokazujemy jej dziesiątki tysięcy razy naszym dzieciom, ze wszystkimi jej fikcyjnymi szczegółami? Albowiem z wyjątkiem wyścigów organizowanych przez NASCAR to jedyny obszar, na którym dostrzegamy różnicę między Własnością Intelktualną a Realnym Życiem. Prawdziwa śmierć jest ostatnią rzeczą, jaka wprawia w zakłopotanie. I z pewnością istnieje estetyka śmierci, przeciwieństwo tych wszystkich żywych, impresjonistycznych scen i soczystych aktów Bouchera, estetyka, która, jak sądzę, osiągnęła apogeum w czasach reżimu, na której ołtarzu mój dziadek złożył najwyższą ofiarę. W przeciwieństwie do Miesa ten urok nie ma nic wspólnego z czystą funkcjonalnością. Amerykański P-47 Thunderbolt był skutecznym i budzącym grozę orężem, prawdopodobnie najlepszym myśliwcem bombardującym w czasów II wojny światowej, ale wyglądał jak coś, co wyszło ze studia Disneya, tłusciutki i bulwiasty, ze śmigłem sterczącym z uśmiechniętej buźki. Natomiast sztukas wygląda na to, czym jest: grozą sianą z nieba. I kolejny przykład: czołg Sherman wygląda na zabawkę, którą mógłby ciągnąć na sznurku berbec, podczas gdy Panzer VI Tiger jest skomplikowaną maszyną do zabijania ludzi. Nie wspominam już o fantastycznych mundurach i insygniach. I o tym, co trzymam w ręku.

Niemcy nazywają to *Pistole-08*, *null-acht*, ale znany jest powszechnie jako lu-ger. To ten sam egzemplarz, którym wywijalała mama, gdy poznali się z ojcem; no właśnie, kłamała w tej kwestii, bo pistolet istnieje. Jest to specjalny model, który dostał dziadek, kiedy odznaczono go Krzyżem Rycerskim z Liśćmi Dębowymi i Mieczami. Bóg wie, ile to jest warte, na pewno tysiące dla tych dziwacznyc

człowieczków, którzy kolekcjonują takie gówno. Po lewej stronie kolby w orzechowa okładkę wtopiony jest podzielony na cztery części czerwono-biały romb z czarnymi literkami pośrodku

II

⚡

Pz.

a po prawej widzimy srebrną miniaturkę odznaczenia; imię i nazwisko odznaczonego, jego ranga i data są wygrawerowane na zamku. Z pewnością sam Himmler wręczał mu go swymi białymi, pulchnymi dłońmi. Matka nie była pewna, za jakie zasługi krzyż został przyznany, ale polegały one między innymi na zabicu imponującej liczby Rosjan pod koniec lata 1943 roku, kiedy dziadek dowodził pułkiem pancernym na froncie wschodnim. Wciąż jeszcze lekko się pocę, kiedy trzymam ten pistolet i na niego patrzę, tak absolutnie okropna jest to rzecz, ale z jakichś niejasnych powodów nigdy nie mogłem go sprzedać ani wrzucić do rzeki. Do tego jest załadowany oryginalnymi nabojami parabellum 9 mm. I wiem, że działa. Może sobie kiedyś z niego popukam. Właściwie to nieźle strzelałam z pistoletu. Mój brat Paul nauczył mnie tej sztuki, kiedy go zwolnili po pierwszej odsiadce. Umówiliśmy się pewnego popołudnia w Fort Bragg, poszliśmy do sosnowego lasu i tam grzaliśmy z wojskowego colta 45 i radzieckiego makarowa 9 mm, który Paul miał w Wietnamie. Uczył mnie bojowej techniki „cel i pal”, zwłaszcza szybkości, bo przy strzelaniu z pistoletu cel jest zazwyczaj odległy o dwa i pół albo o dwa metry.

W każdym razie podrzuciłem Mickeya na uczelnię. Wysiadając z samochodu, powiedział:

- Daj mi znać, jak zadzwoni siostrzenica. Powiedz jej, że jeśli znajdzie ten manuskrypt, to chętnie rzuciłbym na niego okiem.

Obiecałem, że zadzwonie, i pojechaliśmy z Omarem na południe. W drodze powrotnej rozmyślałem o swojej długiej zażyłości z Mickeyem Haasem, zwłaszcza o jej seksualnych aspektach. Musiałem przyznać, że odczuwałem pewną pogardę dla tego człowieka, co jest, jak uważam, nieuniknioną częścią wszelkich intymnych

i długotrwałych przyjaźni. Mój brat Paul nazwałby to uczucie nieodłączną częścią naszego upadku, powiedziałby, że nie możemy kochać bez zastrzeżeń, że musimy liczyć się z tymi, których kochamy, mniej, niż oni, naszym zdaniem, liczą się z nami, przynajmniej pod jednym względem. Sądzę, że jest to dobra rzecz, choć bolesna. Wszyscy mamy tendencję do samouwielbienia i jedną z głównych funkcji dobrego przyjaciela jest trzymać tę tendencję na wodzy. Wiem, że Mickey uważa mnie za starego nudziarza, który nie jest nawet w połowie tak bystry jak on. Daleko mi do jego sławy. Nie piszę bestsellerów, nie jestem uwielbiany przez legiony studentów, nie jestem członkiem Państwowej Akademii Sztuki i Literatury ani, jak on, laureatem nagrody Pulitzera. Sądzi zapewne, że jestem kochliwy albo przynajmniej mam bzika na punkcie seksu. Został z pewnością wtajemniczony w moje grzeszki, z wyjątkiem trzech przypadków, o których pisałem. Był strasznie poruszony moim rozstaniem z Amalie. Ona jest dla ciebie idealna, powiedział wtedy, wyliczając jej zalety. Miał rację. Była dla mnie wręcz za idealna, ale trudno to wytłumaczyć innej osobie.

Kilka dni później, jak wynika z moich zapisków, pani Maldonado odebrała telefon. Uczuliłem ją na taką możliwość, podkreślając w ten sposób jego ważność. Głos był młody, przyjemny, lekko gardłowy. A więc wie pan, o co chodzi, tak? Akcent zdradzał Kanadyjkę. Głos „zza między”, jak mówią w reklamach. Wydał mi się od razu bardzo pociągający, więc zaprosiłem ją do swego biura, ale odmówiła. Z powodów, które mi wyjaśni, kiedy się zobaczymy, wołałaby się ze mną spotkać w jakimś neutralnym miejscu. Gdzie wobec tego? Pracuje, powiedziała, w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej, w czytelni Brooke Russell Astor, w dziale cymeliów. Odparłem, że muszę jeszcze załatwić parę spraw, ale możemy się spotkać o czwartej. Obiecała, że będzie czekać. Wróciłem do codziennych obowiązków, między innymi do sprawy pozwu dla jakiegoś, pozał się Boże, artysty ze strony pewnej olbrzymiej korporacji. Jest to chleb powszedni prawnika od własności intelektualnej. Ktoś przywłaszczył sobie logo pewnej ogólnokrajowej sieci, aby napiętnować szaleństwo konsumpcji. Oryginalne logo jest nieco ryzykowne (cycki), a artysta uczynił je jeszcze bardziej odważnym i umieścił na plakatach i T-shirtach, czym korporacja nie była bynajmniej zachwycona. Mogę załatwić umorzenie takich spraw przez sen albo, jak w tym przypadku, rozmyślając o czekającej mnie randce

z tajemniczą spadkobierczynią Bulstrode'a, która, jak już wiedziałem, nazywa się Miranda Kellogg.

Za piętnaście czwarta Omar podwiózł mnie na Piątą Aleję, pod wejście wielkiego gmachu biblioteki. Dwa kamienne lwy, Cierpliwość i Męstwo, które według nowojorskiej tradycji ryczą, kiedy po schodkach wstępuje dziewczica, milczały. Pojechałem windą na drugie piętro i załatwiłem przepustkę do zamkniętej salki przy głównej czytelni. Tu wspomnienie: sporą część swych licealnych lat spędziłem na przesiadywaniu przy tych długich drewnianych stołach. Przyjeżdżałem metrem z Brooklynu i zostawałem tu na cały dzień, szukając rzekomo materiałów do szkolnego wypracowania (było to oczywiście przed erą Internetu i zanim zaatakowała mnie pani Polansky), ale głównie żeby cieszyć się anonimowością, towarzystwem obcych ludzi, naukowców i całkowitym brakiem mishkinizmu. Moje pierwsze naprawdę dorosłe doświadczenie.

Dostrzegłem ją od razu, przy długim stole w rogu. Jeśli nie liczyć dżentelmena obsługującego służbowe biurko, była sama w wyłożonej boazerią sali. Miała jasne włosy zaplecione w dwa małe warkoczki przypięte nad uszami. Tak czesała się Amalie, kiedy się do niej zalecałem, i choć to absurdalne, zawsze brał mnie ten styl. Miała odsłoniętą i rozkosznie bezbronną szyję; kobieca szyja jest moim zdaniem najbardziej niedocenianą w naszej kulturze drugorzędną cechą płciową, tą, która zawsze działała na mnie piorunująco. Stałem dłuższą chwilę, przypatrując się, jak przewraca kartki. Potem w jakiś tajemniczy sposób, którego nikt nigdy nie potrafił mi przekonująco wytłumaczyć, uświadomiła sobie, że na nią patrzę, i odwróciła się raptownie. Nasze spojrzenia się spotkały. Skinąłem lekko głową. Uśmiechnęła się olśniewająco, wstała i podeszła do mnie. Nie wyglądała właściwie jak młoda Amalie (nie miała jej rysów), ale odznaczała się tym samym kocim wdziękiem; była raczej niskiego wzrostu, miała na sobie krótką szarą spódniczkę i piękną bluzkę z jaskrawo różowego jedwabiu. Ciemne pończochy, szczupłe kostki. Wyciągnęła rękę, uścisnąłem jej dłoń. Miała zielone oczy, zupełnie jak Amalie. Zapewne pan Mishkin, powiedziała. Jestem Miranda Kellogg. Przez chwilę nie mogłem wydobyć głosu. Poczułem elektryczny impuls w ramieniu i, obawiam się, przytrzymałem jej dłoń trochę za długo. Pamiętam, że sytuacja wydała mi się groteskowa.

LIST BRACEGIRDLE'A (5)

Zbliżając się do domu, usłyszałem kobiece wrzaski i kiedy wszedłem, zobaczyłem ojca leżącego na mojej biednej matce i dzierżącego kij w dłoni; nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego anim nie myślał, że obaczę. A rzecz się miała tak: Margaret, dziewczka służebna, znalazła w rzeczach mojej matki papistowski krucyfiks i różaniec i przyniosła to z miejsca ojcu, a on, pomyślawszy, że przez tyle lat dzielił stół i łożę z utajoną papistką, wpadł w szal i w furii zaczął ją okładać. Matka protestowała, że taka spotykają zapłata za wszystkie matczyne starania, ale na próżno. I choć wiedziałem, że ojciec jest w prawie, nie mogłem zdzierżyć i powstrzymałem jego ramię, mówiąc: Miej litość, przecie to twoja żona, ale on wrzasnął: To już nie jest dla mnie żona, i uderzył mnie także. I tu już nie mogłem zdzierżyć, pchnąłem go i upadł na podłogę. A my dwoje - to znaczy matka i ja, padliśmy na kolana, by śpieszyć mu z pomocą; prawdę rzekłszy, nic mu się nie stało, ale urażony w swej dumie zakrzyknął: Oby was oboje zabrała dzuma, nie pozostaniecie w moim domu ani jednej nocy, nie mam już żony ani syna.

Plącząc przeto gorzko, poszliśmy z domu, matka i ja, z kilkoma rzeczami. Wynająłem wózek, żeby przewieźć te dobra. Matka o mało nie umarła ze wstydu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności miałem złoto, jakie nam królewscy zapłacili za harmaty, funtów 68 i 125 pensów, nie byliśmy więc biedni i mogłem wynająć pokój w gospodzie Pod Człowiekiem z Żelaza na Hart Lane przy Crutched Friars, trzy pensy za nocleg i posiłek. Następnego ranka, zostawiwszy trochę drobnych pieniędzy matce, wynająłem łódź do Gravesend i z powrotem do Titchfield. Majster był kontent, że działa sprawy się dobrze, ale zasepił się, gdy mu opowiedziałem, co zaszło w domu ojca, i jeszcze bardziej spochmurniał,

kiedy się dowiedział, że użyłem jego złota, żeby opłacić nasz nocleg i jeszcze nocleg matki na parę dni. Przyrzekłem mu, że splate wszystko co do pensa, i tłumaczyłem się koniecznością. Ale zarzucił mi, że łżę, i powiedział, że przegrałem pieniądze w karty albo przepiłem i pewnie miałem nadzieję, że zwiode go bajaniem o papistach. Krótko mówiąc, doszło do bójk, bom nie mógł zachować krześcijańskiej wyrozumiałości, jak się należało, ani uszanować swego majstra, bom nie mógł znieść jego obłudy, jako że sam był wielkim łgarzem i miał dziewczkę na utrzymaniu. Com wygadał przed wszystkimi domownikami i takóž i jego żonę i była wielka klótnia w tym domu. Nazajutrz wyrzucono mnie stamtąd w tym, com miał na grzbiecie, i bez papierów, zem ukończył termin.

Titchfield dzieliło 65 mil angielskich od Londynu, więc zajęło mi to sporo czasu, by tam wrócić, sypiając po krzakach i kradnąc owoce i jajca, niech mi Bóg wybaczy mój grzech. Przyszedszy do Człowieka z Żelaza, zastałem matkę w dość dobrym zdrowiu, jako że miała za dobrą kompanię młodą dziewczynę, córkę gospodarza, którą byłaś Ty, moja Nan, dzięki czemu poznaliśmy się, a potem pokochali, jak to wiesz. Ale może nasz syn, kiedy dożyje stosownego wieku, jeśli Bóg pozwoli, nie będzie tego wiedział, więc piszę to tutaj.

Teraz muszę zarabiać na chleb i utrzymanie, ja, chłopak, który nie ma jeszcze szesnastu wiosen, i pomyślałem sobie o Tower i o tych, których tam poznałem, i czy nie daliby mi pracy, więc udałem się tam bez zwłoki i zapytałem o pana Hastyngeśa; przyszedł, opowiedziałem mu o mojej godnej pożałowania doli, jak tu wcześniej opisałem, i przyjrzał mi się uważnie i rzecze: No więc, chłopcze, nie możemy mieć papistów ani też purytan w Tower. Po pierwsze, kosztowałoby mnie to głowę, a po drugie, nie zniósłbym takiego koło siebie, bo wytrzymuję jedno kazanie w tygodniu, i to tylko w niedzielę, i nie potrzebuję żadnych modłów ani kanticzek w dni powszednie. Na co ja odrzekłem, że też z tym skończyłem. Tu pan Keane, słyszac to, powiada: Hastyngeś, musimy go wypróbować

jak harmatę, jedźmy do Southwark. Przejechaliśmy przeto przez most i spałem się jak bela (czego nigdy przedtem nie robił), i widziałem walki niedźwiedzi i walki psów, i sprośne przedstawienia et cetera, i zaprowadzili mnie do zamtuza i zapłacili za dziewczkę, ale, dzięki Bogu, porzygałem się i byłem taki chory, że wlaź na nią, ale tylko tyle, że trudno to poczytać za grzech, i strasznie się ze mnie śmiali i stroili sobie ze mnie żarty, a pan Keane przysiągł, że żaden purytanin, tylko dwufuntowy fal-konet, co to nawet rzygnie ogniem, ale coś w nim nie tak z ładunkiem miotającym, i tak zdałem egzamin.

Ze zwiniętymi w rulon i zapakowanymi w kopertę być może bezcennymi rękopisami pod pachą, Crosetti odczekał na opustoszałej ulicy prawie pół godziny. To już przesada! Co ona tam robi?! Wprawdzie zdarzało mu się czekać równie długo na kobiety, które szykowały się do wyjścia, ale przecież teraz nie wybierali się na bal maturalny. Spojrzał na zegarek i zaczął chodzić tam i z powrotem, czując, jak narasta w nim wściekłość.

Pojawiła się w końcu ubrana na czarno, jakby szła do pracy u Glasera. Zastanawiał się, dlaczego włożyła taki strój. Może chodziło o to, by wizycie u Bulstrode'a nadać formalny charakter. Tymczasem on był nieogolony, wymagał kąpieli i miał na sobie T-shirt z koncertu Springsteena, brudne dżinsy i adidas. Uczonemu mogło się to nie spodobać.

Crosetti darował sobie utyskiwania, że czekał tak długo. Ona też go nie przeprosiła. Kiwnęła mu tylko niedbale głową i ruszyła przed siebie. Postanowiwszy udawać wyluzowanego faceta, nie pytał, dokąd idą. Grał światowca, który ma swoje tajemnice. Doszli do Van Dyke Street i wsiedli do autobusu 77, który zawiózł ich na stację przy Smith Street, gdzie przesiedli się do metra i w milczeniu odbyli

podróż na Manhattan. Na Huston Street Rolly wstała i wybiegła drobnym kroczkiem z wagonu, a kiedy ją dogonił, nie mógł się powstrzymać od pytania, dokąd idą. Nie potrafił już zachować luzu.

- Do Mermelsteina odparła. - To ostatnia w tym mieście hurtownia dobrej skóry na oprawy.

- I sprzedają ci detalicznie?

- Pan Mermelstein mnie lubi.

- No, proszę. Czy on cię... tego? - Crosetti wykonał wymowny gest.

Szli po schodach. Rolly przystanąła raptownie.

- Nie, on mnie nie tego. Naprawdę żałuję, że powiedziałam ci o Sidneyu. Czy będziesz mi teraz truł o tym za każdym razem, kiedy wspomnę o swoich kontaktach służbowych z jakimś mężczyzną?

- Natychmiast wymazuję to z pamięci - obiecał, naprawdę zawstydzony.

Miał jednak niejasne wrażenie manipulacji z jej strony. Zastanawiało go również, dlaczego Carolyn idzie do hurtownika. Wszyscy ludzie z branży wiedzieli, że główny ośrodek introligatorstwa w Nowym Jorku znajduje się na Brooklynie, w Borough Park. Już miał ją o to zapytać, lecz nagle sam się domyślił: handlarze książkami i wielcy kolekcjonerzy mieli rozległe kontakty wśród introligatorów. Gdyby któremuś z nich zaproponowano uszkodzone w pożarze *Podróże* Churchilla po obniżonej cenie, ów sprawdziłby u introligatorów, czy książka nie była poddawana renowacji. Żadnemu kolekcjonerowi nie przyszłoby do głowy, że sprzedający dokonał jej sam, z surowego materiału. Crosetti był bardzo zadowolony ze swojego odkrycia; przejrzanie pokretnych zamiarów Rolly działało na jego korzyść.

Idąc Houston Street, dotarli do starego budynku w pobliżu Drugiej Alei, gdzie w wielkim cuchnącym pomieszczeniu rozłożone były zwierzęce skóry. Crosetti oparł się o jedną ze stert i patrzył, jak Rolly negocjuje ze starszym mężczyzną w mycce, zrudziałym czarnym ubraniu i kapciach. Można było odnieść wrażenie, że się dobrze bawią; Crosetti zauważył, że Rolly lekko zmieniła sposób mówienia. Uśmiechała się często do Mermelsteina, że dwa razy nawet wybuchnęła śmiechem i w ogóle wydawała się pewniejsza siebie, bardziej agresywna niż ta Carolyn, którą znał, jakby bardziej... czy to możliwe?... żydowska? Jej mowa też nabrała tempa i akcentu z przedmieść.

Napomknął o tym, kiedy opuścili pracownię, z małym rulonem wysmienitej cielecej skóry zawiniętej w papier pakowy.

- Wszyscy tak postępują - odparła beztrzesko. - Kiedy mówisz do kogoś, przybierasz jego maniery, naśladujesz go. Ty tego nie robisz?

- Pewnie tak - przyznał i jednocześnie pomyślał: Owszem, ale ja jestem przede wszystkim konkretną osobą, a kim ty jesteś, skarbie? Przećwiczył sobie w myślach to pytanie, zastanowił się nad intonacją, z jaką zamierzał je wypowiedzieć, lecz w końcu zrezygnował. Spytał tylko: Teraz dokąd?

- Dojedziemy metrem do Czternastej Ulicy, a stamtąd na Columbię. Za trzy kwadransy mamy spotkanie z profesorem Bulstrode'em.

- A może byśmy najpierw coś przekąsili? Nie miałem nic w ustach od wczorajszego wieczoru.

- Zjadłeś mi wszystkie ciasteczka.

- Ach, słusznie, przepraszam. Twoje czerstwe ciasteczka. Co się z tobą dzieje, Carolyn? Dlaczego nie żyjesz jak normalny człowiek, w umeblowanym mieszkaniu, z jedzeniem w lodówce i obrazami na ścianach?

Skręciła w stronę stacji metra.

- Mówiłam ci. Jestem biedna.

Przyśpieszył, żeby się z nią zrównać.

- Nie aż tak biedna. Masz pracę. Zarabiasz więcej ode mnie. Na co wydajesz pieniądze?

- Nie mam matki, z którą mogłabym mieszkać odparła krótko.

- Dzięki. Przywołałaś mnie do porządku.

- Zgadza się. Nie jestem pewna, czy coś zrozumiałaś. Jestem kompletnie sama na świecie, bez jakiegokolwiek wsparcia. Żadnych braci, sióstr, kuzynów, ciotek, wujów, ojców chrzestnych. Mam urzędniczą pensję, bez premii i dodatków. Jeśli zachoruję, znajdę się na ulicy. Doświadczyłam już tego i nie zamierzam tam wracać.

- Kiedy byłaś na ulicy?

- Nie twoja sprawa. Dlaczego jesteś taki wścibski? Działa mi to na nerwy.

Nadjechał pociąg i wsiedli do wagonu. Kiedy ruszyli, Crosetti skorzystał z prywatności, jaką zapewniał hałas, i powiedział:

- Przepraszam. Mam to po matce. Ona siada w metrze obok jakiegoś obcego człowieka i po dwóch przystankach ten ktoś opowiada jej historię swego życia. Wiesz, Carolyn, większość ludzi lubi mówić o sobie.

- Wiem i uważam to za stratę czasu, tę całą gadaninę o ciężkim losie. Albo wymuszanie komplementów. „Och, Glorio, wcale nie jesteś taka gruba”. „Ach, pani syn studiuje w Colgate? Musi pani być z niego bardzo dumna!”

- Ale tak właśnie zachowują się ludzie. No bo o czym jeszcze mówić? O książkach? O introligatorstwie?

- Przede wszystkim powiedziałam ci, że nie jestem szczególnie interesującą osobą, ale wygląda na to, że nie chcesz mi uwierzyć.

- Moim zdaniem jesteś fascynująca.

- Nie gadaj bzdur! Prowadzę bardzo nudne życie. Jadę do roboty, wracam do domu, pracuję w swoim zawodzie, liczę dni, kiedy będę wreszcie mogła uczyć się tego, co mnie naprawdę interesuje.

- Filmy - powiedział Crosetti. - Możemy porozmawiać o filmach. Jaki jest twój ulubiony film?

- Żaden. Nie mogę sobie pozwolić na kino. I, jak już oczywiście wiesz, nie mam telewizora.

- Ach, przestań! Każdy ma swój ulubiony film. Musiałas przecież chodzić do kina w swoim rodzinnym mieście.

Nie odpowiedziała.

- Czyli gdzie? - nie ustępował.

- No dobrze, a jaki jest twój ulubiony film? - zapytała bez większego zainteresowania.

- *Chinatown*. Nie powiesz mi, skąd pochodzisz?

- Z nieciekawych okolic. O czym jest ten film?

- O czym jest ten film?! Nie widziałaś *Chinatown*?

- Nie.

- Carolyn, wszyscy widzieli *Chinatown*. Nawet ludzie, których jeszcze nie było na świecie, kiedy ten film wszedł na ekrany. Rany boskie, są takie kina, nawet w... Mogadyszu, gdzie pokazują to całymi tygodniami. Najlepszy scenariusz oryginalny, jaki kiedykolwiek napisano, uhonorowany Oscarem, film był nominowany

w jeszcze jedenastu kategoriach... Jak mogłaś tego nie widzieć? To prawdziwy pomnik kultury.

- Najwidoczniej nie mojej kultury. Wsiadamy.

Pociąg zahamował ze zgrzytem przy Sto Szesnastej Ulicy i ruszyli do wyjścia. Carolyn kroczyła w charakterystyczny dla siebie sposób, jakby znieczepliwiona, on dreptał za nią. Początkowe wrażenie, że Carolyn Rolly jest wampirzycą albo inną istotą nie z tego świata, było całkiem trafne. Skoro nie widziała *Chinatown*...

Przez imponującą bramę wkroczyli na teren kampusu Columbii. Crosetti bywał tu czasami, aby obejrzeć jakiś film wyświetlany w klubie studenckim, i zawsze, podobnie jak teraz, towarzyszyło mu niejasne uczucie żalu. Kiedy miał dwanaście lat, matka wzięła go do kampusu i oprowadziła po jego terenie. Uzyskała tu dyplom bibliotekarki i pragnęła, jak wiedział, żeby poszedł w jej ślady. Ale nie był typem kujona, który mógłby zdobyć oceny wymagane od białego nowojorczyka i dostać stypendium, a opłacanie studiów z emerytury policjanta i pensji bibliotekarki nie wchodziło w rachubę. Zaczął więc studia w Queens College, „całkiem dobrej uczelni”, jak mawiała często matka, dodając: „Jeśli odniesiesz sukces, nikt nie będzie pytał, gdzie się uczyłeś”. Mimo wszystko jednak odczuwał rodzaj przykrości i przyłapał się na tym, że kiedy jest na kampusie, przygląda się uważnie twarzom studentów i łączy uchem strzępy rozmów, żeby sprawdzić, czy odczuje przepaść między tymi mądralami z Ivy League a sobą. Nie odczuwał.

Carolyn Rolly, jak wiedział, studiowała na Barnardzie, po drugiej stronie ulicy. Był chodzącą dokumentacją w antykwariacie Sidneya Glasera i wykorzystał to stanowisko, aby poznać w szczegółach jej życiorys. Teraz nie miał najlepszego mniemania o tej uczelni, no bo jeśli nie zapewniała znajomości *Chinatown*... To właśnie dlatego Carolyn jest taka wyniosła; w końcu studiowała na elitarniej uczelni i pewnie miała opinię świetnej studentki, a że, jak powiedziała, jest biedna, na pewno udało jej się zdobyć stypendium.

Odczuł chęć, by jej dokuczyć.

- A więc znów na swoim dawnym kampusie, co, Carolyn? - powiedział. Pewnie przypominają ci się stare dobre czasy w tym elitarnym college'u. Słuchaj, jeśli

obowiązują tu jakieś szczególne zwyczaje żeby nie stawiać nogi na pewnych płytach chodnikowych albo kłaniać się posągowi czy coś w tym rodzaju - to mi powiedz, bo nie chciałbym cię wprawiać w zakłopotanie.

- O czym ty mówisz?

- O tobie i twoich studenckich czasach. Rocznik dziewięćdziesiąt dziewięć, zgadza się? Barnard?

- Myślisz, że studiowałam na Barnardzie?

- Tak, to było... urwał, lecz ona natychmiast zorientowała się, w czym rzecz.

- Ty mały szpiegu! Czytałeś moje CV!

- A tak, mówiłem ci, że mnie to interesuje. Przeszukałem też twoją szufladę z bielizną, kiedy spałaś.

Wydało mu się, że dostrzeżga na jej twarzy cień niekłamane go strachu, ale ten natychmiast zniknął, zastąpiony przez wyraz zaprawionej rozbarwieniem pogardy.

- Wątpię - powiedziała. A tak dla twojej wiadomości: nie studiowałam na Barnardzie.

- Skłamałaś w swoim podaniu?

- Oczywiście, że skłamałam. Szukałam pracy i wiedziałam, że Glaser jest absolwentem Columbii, a jego żona była na Barnardzie, więc wydało mi się to dobrym pomysłem. Przyszłam tutaj, podłapałam trochę tu-tejszego sposobu mówienia, nauczyłam się topografii, posłuchałam trochę wykładów, przejrzałam katalogi. Nigdy nie sprawdzają CV. Mogłeś powiedzieć, że studiowałeś na Harvardzie. Gdybyś to zrobił, Glaser na pewno płaciłby ci znacznie więcej.

- Na miłość boską, Rolly! Czy ty w ogóle nie masz zasad moralnych?

- Nie robię nic złego - powiedziała, rzucając mu wściekłe spojrzenie.

- Nie mam nawet świadectwa ukończenia szkoły średniej, a nie chcę pracować w sklepie ze słodyczami ani sprzątać, a tylko to mogą robić kobiety bez wykształcenia. Albo zostać dziwką.

- Chwileczkę, każdy chodzi do szkoły średniej. To obowiązkowe.

Przystanęła i odwróciła się do niego. Spuściła głowę, odetchnęła kilka razy głęboko, a potem spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, ale kiedy moi rodzice zginęli w wypadku, zamieszkałam u obłąkanego wuja Lloyda, który zamknął mnie w piwnicy i trzymał tam od jedenastego do siedemnastego roku życia. Nie miałam okazji chodzić do szkoły, byłam za to wielokrotnie gwałcona. No, chciałbyś wiedzieć coś jeszcze o mojej przeklętej przeszłości?

Crosetti stał z otwartymi ustami i czuł, że twarz mu płonie. Dostrzegł łzy drżące na jej rzęsach.

- Przepraszam wychrypiał.

Odwróciła się i odeszła szybko, niemal biegnąc, on zaś po pełnej wstydu chwili ruszył za nią i wszedł do budynku z ciemnej cegły, z kolumnowym portykiem, a potem wspiął się po dwóch kondygnacjach schodów, kulejąc nieco, bo po drodze kopał się mocno w kostki. Okay, historia skończona, wyrzucić ją z głowy. Robił to już Bóg wie ile razy, zdarzało mu się to wcześniej, zwykle nie w tak głupi sposób, nie z własnej winy. Mimo to miał jeszcze szansę zachować się z klasą, załatwić tę sprawę z Bulstrode'em skinięcie głową, uścisk dłoni i do widzenia. Boże! Jak mógł być tak beznadziejnie głupi! Kobieta mówi mu, że nie chce rozmawiać o swojej przeszłości, a on oczywiście nie robi nic innego, tylko... Ale już byli na miejscu, Rolly zapukała w matową szybę, a ze środka dobiegł afektowany głos:

- Taaak?

Mężczyzna był w kamizelce; kiedy weszli, wkładał właśnie marynarkę z brązowego tweedu. Niski, pulchny, po pięćdziesiątce, matowe włosy średniej długości zaczesywał gładko, tak by zakrywały łysinę na ciemieniu. Podwójny podbródek, okrągłe okulary w szylkretowej oprawce. Dłoń miał nieprzyjemnie miękką i wilgotną. Crosetti już go nienawidził; była to miła odmiana po niedawnym przyplywie pogardy dla samego siebie.

Usiedli. Mówiła Rolly. Bulstrode'a interesował wiek manuskryptu oraz pochodzenie Churchilla, w którego okładkach go znaleźli. Podała mu te szczegóły w lakonicznej formie i - o ile Crosetti mógł to ocenić precyzyjnie. Rozglądał się po gabinecie, pomieszczeniu niewiele większym od łazienki, z jednym zakurzonym oknem od strony Amsterdam Avenue. Oszklona szafka na książki, z zapełnioną tylko jedną półką, poza tym sterty niedbale rzuconych papierów. Prócz tego dwa

drewniane fotele (na których siedzieli z Rolly), standardowe drewniane biurko, mocno podniszczone, na nim stosy papierzysek i gazet oraz duże oprawione zdjęcie, którego Crosetti nie mógł zobaczyć, choć wiercił się i wyciągał szyję, starając się jednak nie naruszyć zasad dobrego wychowania.

- To bardzo interesujące, panno Rolly - mówił właśnie uczony. - Czy mógłbym obejrzeć te dokumenty?

Spojrzeli oboje na Crosettiego, a jemu serce zamarło jak człowiekowi, któremu nieznanemu lekarz każe się rozebrać i włożyć szpitalną koszulę. Te papiery należały do niego, a teraz ktoś obcy, ktoś, kogo nie znał, miał je wziąć z jego rąk, aby stwierdzić, że są autentyczne, albo odrzucić jako fałszerstwo. Oczy Bulstrode'a za grubymi szklami były chciwe, właściwie obłąkane, oczy Rolly zaś, puste niebieskie pola, nie wyrażały więcej uczucia niż samo niebo. Musiał zwalczyć w sobie pokusę, by nie złapać koperty i nie uciec. Zamiast tego wyciągnął tylko list Bracegirdle'a do żony. Łatwo było odróżnić dotykiem te kartki od reszty papierów. Zobaczymy, co ten świr ma do powiedzenia o liście, zanim pokażemy mu zaszyfrowany tekst, pomyślał Crosetti.

Zagłębił się w fotel, a tymczasem Bulstrode wziął list i rozpostarł kartki na swym biurku. To strach kazał Crosettiemu wręczyć je profesrowi, paniczny lęk, że okaże się w oczach tej przeklętej kobiety jeszcze większym głupcem niż dotychczas. Wiedział, że nigdy nie wyrzuci ze swej pamięci hańby towarzyszącej tamtej chwili, że do końca życia będzie nosił ten obraz, że będzie się on pojawiał nieoczekiwanie, aby niweczyć radość i pogłębiać depresję. I inny obraz dziewczyny zamkniętej w piwnicy, nasłuchującej kroków swego dręczyciela. I nigdy nie pomoże jej swoją miłością, to też spieprzył. Jesteś dupkiem, Crosetti, kompletnym idiotą...

- Czy potrafi pan to odczytać, panie profesorze?

To Rolly; dźwięk jej głosu wyrwał Crosettiego z błogiej krainy samobiczowania. Bulstrode odchrząknął głośno i powiedział:

- Ach, tak, oczywiście. Styl jest ciężki, ale treść jasna. Myślę, że ten człowiek dużo pisał. Nie miał wykształcenia, jak sądzę, nie uczęszczał na uniwersytet, ale był piśmienny. Może pełnił jakąś funkcję urzędniczą? To znaczy wcześniej.

Bulstrode wrócił do lektury. Minuty mijały, upłynęło może pół godziny, które wydały się Crosettiemu czasem spędzonym w fotelu dentystrycznym. W końcu profesor wyprostował się i oznajmił:

- No tak, ogólnie rzecz biorąc, mamy tu bardzo interesujący i wartościowy dokument. Wskazał kartki. Jest to najwyraźniej ostatni list człowieka nazwiskiem Richard Bracegirdle, który dwudziestego trzeciego października tysiąc sześćset czterdziestego drugiego roku odniósł rany w bitwie pod Edgehill, pierwszej wielkiej bitwie angielskiej wojny domowej. Píše ten list, jak się wydaje, z Banbury, miasta znajdującego się w pobliżu pola bitwy.

- A co z Szekspirem? - zapytał Crosetti.

Bulstrode spojrział na niego pytająco i zamrugał zza grubych szkieł.

- Słucham? Sądzi pan, że są tu jakieś wzmianki o Szekspirze?

- No tak! Ten facet píše, że szpiegował Szekspira. Że ma rękopis jednej z jego sztuk, więcej że to on mu zlecił napisanie tej sztuki dla króla. To jest tu, na stronie z podpisem.

- Ach, tak. Panie Crosetti, zapewniam, że nie ma tam niczego takiego. Stare pismo może być bardzo mylące dla... hm... amatora i ludzie dostrzegają mnóstwo różnych znaczeń, które w rzeczywistości nie istnieją. To jak doszukiwanie się różnych kształtów i obrazów w chmurach.

- Nie, proszę spojrzeć, to jest tutaj powiedział Crosetti. Wstał z fotela i obszedł biurko. Wziął rękopis i wskazując odpowiednie miejsce, powiedział: - Mówię o tym fragmencie. Tu jest napisane: *Opowiadają one prawie wszystko o lordzie D., jego intrydze i naszym szpiegowaniu utajonego papisty Shaxpure'a. Za takiego go przynajmniej mieliśmy, chociaż dziś jestem tego mniej pewny. W tym względzie i zawilosciach życia był Nikim. Ale pewnym jest, że napisał o M. Szkockiej dramę, którą w imieniu Króla u niego zamówiłem. Dziwne mi się wydaje, że chociaż nie żyje i on także, to jednak jego drama pozostaje żywą, napisaną jego własną ręką, i spoczywa tam, gdzie tylko ja wiem, i tam może pozostać na wieki.*

Bulstrode poprawił okulary i zakaszał sucho. Sięgnął po lupę, którą posługiwał się wcześniej, i przyłożył ją do wskazanego fragmentu.

- Muszę przyznać, że ma pan wyobraźnię, panie Crosetti, ale tu pan się
my
li. W rzeczywistości brzmi to tak: „Opowiadają one prawie wszystko o lordzie D.,

jego intrydze i naszym okradaniu utajonym jurysty Stanpure'a". Człowiek ten musiał być jakimś pośrednikiem tego lorda D. Dalej natomiast: „Za bogatego go przynajmniej mieliśmy, chociaż dziś jestem mniej pewny. W tym względzie i zbrodniczościach życia był Nikim”. A potem pisze: „jego dobra pozostają skryte, zakopane jego własną ręką”. W każdym razie ten człowiek najwidoczniej umierał i kiedy to pisał, był w fatalnym stanie ducha. Przeskakuje z tematu na temat. Właściwie większa część tego, co tu pisze, może być czystą fantazją związaną z jego życiem i snutą w delirium. Ale dokument jest dość interesujący sam w sobie, bez napomknień o Szekspirze.

- A o czym jeszcze jest mowa?

- Ach, jest tu całkiem żywy opis bitwy, a takie rzeczy są zawsze interesujące dla historyków wojskowości. I najwyraźniej służył we wczesnym okresie wojny trzydziestoletniej. Był pod Białą Górą, pod Lützen i Breitenfeld, choć na ten temat nie ma tu żadnych szczegółów. Szkoda. Wygląda na to, że był zawodowym artylerzystą i wyszkolonym odlewnikiem. Twierdzi też, że odbył podróż do Nowego Świata i że jego statek rozbił się w pobliżu Bermudów. Bardzo ciekawy dokument o życiu w osiemnastym wieku, nawet o życiu niezwykłym, potencjalnie wielkiej wartości dla pewnej wąskiej dziedziny studiów, choć podejrzewam, że autor miał w sobie coś z Münchhausena. Ale obawiam się, że nie ma tu nic o Szekspirze. - Umilkł. Ołowiana cisza trwała dobre pół minuty, zanim dodał: - Chętnie kupiłbym to od pana, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Crosetti spojrzał na Carolyn, która przybrała obojętny wyraz twarzy. Przelknął ślinę i zapytał:

- Za ile?

- Och, myślę, że za manuskrypt z epoki króla Jakuba... powiedzmy, trzydzieści pięć będzie dobrą ceną.

- Trzydzieści pięć dolarów?

Pobłażliwy uśmiech.

- Setek, oczywiście. Trzy i pół tysiąca. Mogę panu od razu wypisać czek.

Crosetti poczuł ucisk w żołądku, na czoło wystąpił mu perlisty pot. To byłby błąd. Nie miał pojęcia, skąd to wie, ale wiedział. Jego ojciec mówił w takich przypadkach o instynkcie, choć zawsze nazywał go swoim „nosem” - posługiwał się

nim, kiedy znalazł się w sytuacji zagrożenia. I teraz nos podyktował Crosettiemu, co ma powiedzieć.

- Ach, nie, dziękuję. Myślę, że zasięgnę jeszcze innej opinii. To znaczy po przetłumaczeniu. Proszę się nie obrazić, panie profesorze, ale chciałbym wykluczyć ewentualność, że... - Wykonał nieokreślony gest. Ponieważ przez cały czas stał, mógł bez trudu zebrać kartki z biurka i z powrotem zawinąć je w papier.

Bulstrode wzruszył ramionami.

- No cóż powiedział decyzja należy do pana, ale wątpię, czy uzyska pan lepszą cenę. - Po czym, zwróciwszy się do Carolyn, zapytał: - A jak się miewa ostatnio nasz drogi Sidney? Mam nadzieję, że przyszedł do siebie po szoku wywołanym pożarem?

- Tak, już jest dobrze - odpowiedziała Carolyn głosem tak niepodobnym do swojego, że Crosetti przerwał pakowanie i spojrzał na nią z uwagą.

Miała zboląły wyraz twarzy, ale nie potrafił sobie wytłumaczyć dlaczego.

- Mógłbyś wyjść ze mną na chwilę? - zapytała. - Pan wybacz, panie profesorze.

Bulstrode posłał im oficjalny uśmiech i skinął w stronę drzwi.

Na zewnątrz kręciła się charakterystyczna dla letniej pory garstka studentów i wykładowców; najwidoczniej była właśnie przerwa w zajęciach. Rolly chwyciła Crosettiego za ramię i wciągnęła do wnęki, dotykając go po raz pierwszy od poprzedniego wieczoru, kiedy to dostała ataku płaczu. Przywarła do jego ramienia i zaczęła mówić gorączkowo, ochryplym, pełnym napięcia głosem:

- Słuchaj! Powinieneś mu sprzedać te przekłete papierzyska!

- A niby dlaczego? Przecież to jasne jak słońce, że próbował zamydlić nam oczy.

- Nie, Crosetti. On miał rację. Tam nie ma żadnej wzmianki o Szekspirze. To tylko opis oszustw jakiegoś urzędniczyny, który umiera i wyznaje swoje grzeszki.

- Nie wierzę w to.

- Dlaczego? Jakie masz dowody? Pobożne życzenia i trzy godziny obcowania ze starym, siedemnastowiecznym pismem?

- Być może, ale zamierzam to pokazać komuś innemu, komuś, komu ufam.

Mówiąc to, zauważył w jej oczach łzy, a na twarzy grymas.

- O Boże, nie dobijaj mnie! Crosetti, czy ty nic nie rozumiesz? On zna Sidneya. Jak myślisz, dlaczego wspomniał o nim właśnie teraz?

- Okay, zna Sidneya - i co z tego?

- Co z tego?! Jezus, człowieku, czy nic do ciebie nie dociera? Wie, że manuskrypt pochodzi z *Podróży*, a tym samym wie, że rozłożyłam tę książkę. To zaś oznacza...

- ... że nie tylko ją porozcinałaś, jak kazał ci Sidney. Próbujesz ją odrestaurować, a zatem chcesz ją sprzedać. I on może... co mianowicie? Zagrozić, że powie o tym Sidneyowi, jeśli nie damy mu manuskryptu?

- Oczywiście! Powie mu, a wtedy Sidney... sama nie wiem, na pewno wyleje mnie z pracy i może nawet wezwie policję. Widziałam, jak postępował ze złodziejami w antykwariacie. Ma obsesję na tym punkcie, nienawidzi ludzi, którzy kradną książki. Ja nie mogę... nie mogę ryzykować... O Boże, co za koszmarnie!

Teraz płakała naprawdę, może nie tak histerycznie jak wieczorem, ale niewiele już jej brakowało, a tego Crosetti nie chciał po raz drugi doświadczyć.

- Hej, spokojnie! - powiedział. - Czego nie możesz ryzykować?

- Spotkania z policją. Nie mogę mieć z nią do czynienia.

Nagle olśnienie.

- Szukają cię. - Nie było to pytanie. Teraz rzecz wydawała się oczywista; po winien się zorientować od razu.

Skinęła głową.

- Za co? spytał.

- Och, proszę cię! Nie przesłuchuj mnie!

- Nie zarznęłaś chyba wujka Lloyda?

- Co? Nie, oczywiście, że nie. Taka tam głupia historia z prochami. Potrzebowałam na gwałt pieniędzy i dostarczyłam towar pewnym znajomym. To było w Kansas, więc oczywiście zrobiło się trzęsienie ziemi i... Boże, co ja mam robić?!

- Okay, weź się w garść powiedział, opierając się pokusie, by nie objąć jej ramieniem. - Wróć do niego i powiedz, że się zgadzam.

Przyśpieszył kroku, a na jej twarzy pojawiła się panika; z przyjemnością odnotował, że złapała go kurczowo za ramię jak rozbitek, który czepia się szczątków statku.

- Dokąd idziesz?

- Muszę najpierw coś załatwić - odparł. - Nie martw się, Carolyn, wszystko będzie dobrze. Wracam za dziesięć minut.

- Co mam mu powiedzieć? zapytała.

- Że dostałem sraczki, tak się podnieciłem jego fantastyczną ofertą, i teraz siedzę w toalecie. Za dziesięć minut!

Odwrócił się i zbiegł ze schodów, pokonując po trzy stopnie naraz. Pod pachą ścisnął zrolowane rękopisy. Wypadł na dwór i klucząc po dziedzińcu wśród młodych ludzi z wyższą średnią ocen, niż on miał kiedykolwiek, wbiegł do przepastnego, ozdobionego kolumnadą gmachu Biblioteki Butlera. Jego matka - dzięki temu, że była zatrudniona w bibliotece naukowej znała niemal wszystkie bibliotekarki w mieście i z wieloma się przyjaźniła. Crosetti od dziecka znał Margaret Park, szefową Butlera, zadzwonił więc do niej i bez trudu uzyskał przepustkę. Wszystkie duże biblioteki mają odpowiednie kserokopiarki, na których można odbić stronice in folio; Crosetti zszedł do podziemi, żeby skopiować wszystkie papiery Bracegirdle'a. Zdziwionej, lecz przychylniej pani Park wyjaśnił, że jest to związane z filmem, który ma szansę nakręcić (co po części było prawdą), i zapytał, czy mógłby też dostać tekturową tubę i kupić znaczki.

Włożył zwinięte w rulon kopie do tuby razem z oryginałami zaszyfrowanych listów. Zastanawiał się, dlaczego nie pokazał ich Bulstrode'owi razem z listem Bracegirdle'a. Pewnie dlatego, że facet był dupkiem i choć Crosetti nie mógł tego dowieść - chciał go orznać na tej transakcji. Należało też wziąć pod uwagę sytuację Carolyn. Lecz zatrzymanie zaszyfrowanych listów dla siebie sprawiło mu dziwną przyjemność. Z Szekspirem czy bez, stronice te przechowywały swoją tajemnicę przez cztery stulecia, dlatego nie chciał wypuścić ich z rąk, on, który wydobył je na światło dzienne. Zapieczętował tubę, wypisał adres na nalepce, nakleił znaczki i położył przesyłkę na wózku z korespondencją przeznaczoną do wysyłki. Chwilę później biegł już z powrotem do Hamilton Hall.

Po kwadransie znów szli przez kampus, lecz w przeciwnym kierunku. Crosetti miał w portfelu czek na trzy i pół tysiąca i nie czuł się zbyt dobrze, bo podejrzewał, że został wykiwany, ale uważał też, że postąpił słusznie. Kiedy dorastał, określenie „słuszny postęp” miało w jego domu ogromną wagę. Ojciec był detektywem drugiego stopnia w nowojorskiej policji, w czasach gdy funkcja ta oznaczała branie łapówek, ale Charlie Crosetti nie brał i tracił na tym do czasu, aż Serpico ujawnił swoje rewelacje, a szefowie zaczęli na gwałt poszukiwać uczciwych funkcjonariuszy i awansowali go na porucznika w wydziale zabójstw w Queens. W domu uznano to za dowód, że cnota jest nagradzana. Młody Crosetti wciąż skłonny był w to wierzyć pomimo dowodów świadczących o czymś przeciwnym. Kobieta idąca obok niego zdawała się mieć zasady moralne za nic. To prawda, została ohydnie skrzywdzona (tak przynajmniej twierdziła), lecz reagowała na to jakąś desperacką amoralnością, z którą trudno było mu się pogodzić. Każdy łobuz ma swoją historyjkę o ciężkim losie, jak mawiał jego tato. Ale nie mógł uznawać Carolyn Rolly za zwykłego łobuza. Dlaczego? Bo nie pozwalały mu na to gruczoły płciowe? Dlatego, że jej pożałował? Nie, nie dlatego, albo nie tylko dlatego. Chciał ukoić jej ból, przywołać uśmiech na jej twarzy, wyzwolić w niej dziewczynę, którą przelotnie dostrzegał pod powłoką oschłej, ascetycznej introligatorki.

Przyglądał się, jak powłóczy nogami, milcząca, ze spuszczoną głową, ściskając swój rulon skór. Nie, nie zakończy tego uściśnięciem dłoni w metrze, nie pozwoli jej odpłynąć z powrotem do zamkniętego świata. Przystanął i położył jej rękę na ramieniu.

- Zaczekaj - powiedział. - Co teraz robimy?

- Muszę iść na Brooklyn po papier na wyklejki - odparła ponuro. - Nie musisz mi towarzyszyć.

- To może poczekać. A my zrobimy teraz rzecz następującą: wejdziemy do oddziału Citibanku i zrealizujemy czek, który mam w portfelu. Potem pojedziemy taksówką do Bloomie's i tam kupię sobie marynarkę, spodnie i koszulę, no i może włoskie mokasyny, a ty sukienkę, kolorową, taką na lato, i może kapelusz. Potem przebierzemy się w nowe ciuchy i nie śpiesząc się, zjemy w eleganckiej restauracji lunch z winem. A później... no, nie wiem... pochodzimy po mieście, pójdziemy do

muzeum albo do galerii, albo pooglądamy wystawy, aż znów zgłodniejemy i zafundujemy sobie kolację, a potem odwiozę cię taksówką do twojego wielkiego nielegalnego loftu, dwóch krzeseł i zimnego łóżka.

Co maluje się na jej twarzy? - pytał sam siebie. - Strach, zaskoczenie, zachwyty?

- To śmieszne powiedziała.

- Wcale nie. To jest dokładnie to, co powinien zrobić przestępca z nieuczciwie zdobytymi pieniędzmi. Możesz przez jeden dzień być kochanką gangstera.

- Nie jesteś przestępcą.

- Jestem. Spieniężyłem własność swojego pracodawcy, co, jeśli chcesz wiedzieć, według litery prawa jest kradzieżą mienia o dużej wartości. Ale gwizdź na to. No, Carolyn! Czy nie masz czasem dość tego biedowania, liczenia się z każdym groszem, kiedy twoja młodość z każdym dniem odchodzi?

- Nie wierzę własnym uszom - odparła. - To brzmi jak tekst z kiepskiego filmu.

- Ale przecież nie chodzisz do kina, więc skąd wiesz? Zresztą akurat masz absolutną rację. Tak właśnie mówią na filmach, bo chodzi o to, żeby widzowie odczuwali radość, żeby utożsamiali się z pięknymi ludźmi, którzy się dobrze bawią. I teraz my się zabawimy, będziemy naśladować sztukę, zagramy we własnym filmie i zobaczymy, jak to wszystko wygląda w prawdziwym życiu.

Widział, że się zastanawia, ostrożnie rozważa propozycję, zupełnie jakby zamierzała zrobić pierwszy krok po zdjęciu gipsu ze zrośniętej kończyny.

- Nie - powiedziała w końcu. - Jeśli te pieniądze palą ci dłonie, to czemu po prostu mi ich nie dasz? Mogłabym za to przeżyć trzy miesiące...

- Nie o to chodzi, Carolyn. Najważniejsze, żeby czegoś doświadczyć, choć raz zaszaleć, zjeść krwisty befsztyk zamiast tych pieprzonych kluch!

Chwycił ją za ramię i pociągnął na drugą stronę ulicy.

- Puść mnie!

- Wykluczone. Jeśli nie chcesz iść po dobroci, to cię porywam. A to już jest poważne przestępstwo.

- A jeśli zacznę krzyczeć?

- Krzycz sobie do woli. Gliny mnie aresztują, a wtedy wyciągną ze mnie całą

historię ze starą księgą i manuskrytem. Co wtedy będzie z tobą? Wylądujesz w rynsztoku, zamiast iść do eleganckiej restauracji i w szalowej nowej sukni popijać szampana. Lepiej zdecydować od razu, mała, bo właśnie jesteście pod bankiem.

Kupił dla siebie beżową jedwabno-lnianą marynarkę od Varvatos a za trzysta pięćdziesiąt, lniane spodnie, czarną jedwabną koszulę i pasujące do kompletu włoskie mokasyny, a ją niemal zmusił do wybrania kwiecistej sukienki od Prady z plisowanym przodem, jedwabnego szala pod kolor i pantofli, kilku kompletów oszalałomiej bielizny La Perla i dużego kapelusza z zadartym rondem w stylu angielskiej uczennicy, za co zapłacił prawie tysiąc dolarów. Potem zjedli lunch w Metropolitan Museum i obejrzeli wystawę Velazqueza, poszli do Ficka na popołudniowy koncert, o którym przypadkowo wiedział, bo mama dostała bilety od kogoś ze swojej bibliotecznej mafii i namawiała go, żeby się wybrał (idźże z jakąś dziewczyną!), i był to kolejny cud, bo nosił ten cholerny bilet w portfelu przez dwa tygodnie, nie zamierzając z niego korzystać, a okazało się, że koncert jest właśnie tego dnia! A więc poszli i wysłuchali *Concerto vocale* Monteverdiego z cyklu muzyki sakralnej. Siedzieli na składanych krzesłkach, a muzyka przenosiła ich w niebiańskie regiony, odpowiednio do ich duchowego rozwoju na tym etapie.

Crosettiemu świat ten nie był obcy, gdyż jego matka żywiła przekonanie, że amerykańskie barbarzyństwo nie jest dla niego odpowiednie, ale gdy ukradkiem zerknął na Carolyn, zauważył oznaki oszołomienia. Albo zmęczenia, trudno było się zorientować, a po koncercie nie odważył się o to zapytać. To ona sama powiedziała po jednej z dłuższych chwil milczenia:

- Czy nie byłoby wspaniale, gdyby świat wyglądał tak, jak mówi o nim ta muzyka, kiedy płynie jak czyste piękno?

Crosetti pomyślał, że istotnie byłoby wspaniale, i zacytował słowa Hemingwaya, nie zdradzając źródła.

Poszli wzdłuż Madison. Zaproponował, by udawała, że jest bogata nie tylko chwilowo, i wybierała sobie różne rzeczy z wystaw wielkich butików, a kiedy już się tym zmęczyli, skręcił w boczną uliczkę, w stronę pierwszej napotkanej restauracji,

całkowicie pewny, że każda, do której wejdą, będzie doskonała, a ta była taka rzeczywiście maleńka *boite* specjalizująca się w prowincjonalnej kuchni francuskiej. Para miłych młodych ludzi wzbudziła sympatię patrona, który przysyłał drobne przysmaki z kuchni, polecał wina i przyglądał się, rozpromieniony, jak zajądają przystawki. I jeśli nie liczyć tego, że nie zaczął śpiewać z francuskim akcentem, wszystko wyglądało w oczach Crosettiego jak w *Zakochanym kundlu*, którego, jak się okazało, widziała. Zaczęli więc rozmawiać o filmach Disneya, tych, które uwielbiał, a także o tych, które sam zamierzał nakręcić, o czym wcześniej nigdy nikomu nie mówił. Ona zaś opowiadała o pięknych książkach, ich estetyce, strukturze i tajemnej urodzie papieru, oprawach i o tym, jak bardzo pragnęła robić rzeczy, którymi ludzie zachwycaliby się nawet za tysiąc lat.

Zanim taksówkarz zgodził się ich zawieźć do Red Hook, Crosetti musiał pomachać mu w lusterku studolarowym banknotem. Nigdy dotąd tego nie robił, nawet o czymś takim nie marzył. Skręcili w ciemną przemysłową ulicę i kiedy taksówka z rykiem odjechała z jego stową, chwycił Carolyn Rolly, obrócił ją błyskawicznie i wycisnął na jej pachnących winem i kawą ustach gorący pocałunek, który odwzajemniła. Zupełnie jak w kinie.

Ale, inaczej niż w scenach z filmów, nie zdarli z siebie ubrań, wbiegając po schodach, a potem nie wskoczyli do łóżka. Crosetti zawsze uważał to za kliszę i rzecz całkowicie nierealistyczną; nic takiego nie przydarzyło się nigdy ani jemu, ani nikomu z jego znajomych, chyba że byłby pijany albo naćpany. A zatem nie przewidywał takich scen także w swoich filmach. Westchnął tylko głęboko i ona też westchnęła. Kiedy wolno wchodzili na górę, trzymał ją za rękę, lekko, jakby to był zasuszony kwiat. Znaleźli się na poddaszu i znów ją pocałował. Odsunęła się i zaczęła czegoś szukać w szufladzie. Ma zamiar zapalić świecę, pomyślał, i rzeczywiście to zrobiła: umieściła zwykłą, tanią świecę na spodku i postawiła przy łóżku. Crosetti czekał bez ruchu. Potem, zmarszczywszy uroczo brwi, spojrzała mu w oczy i w milczeniu, powoli, zdjęła z siebie w blasku płomienia nową sukienkę, po czym złożyła ją starannie, a on pomyślał, że tak właśnie by to nakręcił, może tylko dodałby trochę błękitnego światła wpadającego przez okno. Roześmiał się.

Zapytała go, z czego się śmieje, więc jej powiedział, a ona na to, żeby się rozebrał, i zauważyła, że tego już nie pokazują w normalnych filmach, bo wtedy zwykle następuje ściemnienie. Ale gdy znaleźli się oboje w łóżku, pomyślał o koszmarnym wuju i to go tak zdeprymowało, że cały się spiął, aż musiała użyć paznokci i przynaglić go ochryplym głosem, aby obudzić w nim zwierzę. Nie zastosowali żadnych środków ostrożności, co wydało mu się nieco dziwne, bo rozważał to wcześniej, zanim przestał myśleć w ogóle.

Potem reżyser zniknął na dłuższy czas. Kiedy wrócił, Crosetti leżał na plecach i czując, jak pot i inne płyny wysychają na jego skórze, wpatrywał się w blaszany sufit. Ze świecy pozostał trzycentymetrowy ogarek. Crosetti miał w głowie całkowitą pustkę: zniknął obraz i dźwięk, pozostał tylko biały ekran. Mieli już zawiązanie akcji, rozwinięcie, pierwszy punkt zwrotny (znalezienie manuskryptu), drugi punkt zwrotny (ten niewiarygodny wieczór) i co dalej? Nie wiedział, jak powinien wyglądać trzeci akt, i zaczął odczuwać lęk. Nigdy w życiu nie przydarzyło mu się coś podobnego, chyba że we śnie. Wyciągnął rękę, żeby powrócić do pieśczot, lecz ona przytrzymała ją i pocałowała.

- Nie możesz zostać.
- Dlaczego? Zamienisz się w nietoperza?
- Nie, ale nie możesz zostać. Nie jestem przygotowana na... poranki i w ogóle. Rozumiesz mnie?
- Niezupełnie. Domyślałam się. No tak, Red Hook o tej porze... Gdzie mój zegarek? Dziesięć po trzeciej, gotówka w kieszeni i zapach, jakbym wracał z burdelu. To nawet zabawne.
- Nie powiedziała. Umyję cię.

Ujęła go za rękę i zaprowadziła do umywalki za parawanem, zapaliła dwie świece tkwiące w lichtarzach zrobionych z puszek i napełniła umywalkę gorącą wodą. Kazała mu stanąć na grubej macie i zaczęła powoli nacierać go całego namydloną szmatką. Potem spuściła mydliny i opłukała go czystą wodą, przykleknąwszy na jedno kolano jak dworka przed księciem. Miała drobne, płaskie piersi z różowymi sutkami. Pomimo nocnych wyczynów Crosetti usztywnił się boleśnie pod wpływem jej zabiegów. Jego członek przybrał nienaturalny wygląd, jak jakieś narzędzie introligatorskie do polerowania skóry.

Spojrzała w górę i powiedziała:

- Nie możesz o trzeciej nad ranem wyjść na ulicę w takim stanie.

Nie w Red Hook.

- Tak, to byłoby nierozsądne - przyznał ochryple.

- No więc...

Zobaczył, że ujmuje penisa u nasady dwoma palcami, pozostałe trzy rozcapierzając jak księżna sącząca herbatę. Jej ciemna mała głowa poruszała się z wolna tam i z powrotem. Kto ją tego nauczył? pomyślał. A potem jeszcze: Kim jesteś? Co mi robisz? Co będzie dalej?

LIST BRACEGIRDLE'A (6)

I tak zacząłem nowe życie jako artylerzysta w Tower, z żołdem 10 pensów, czyli jak terminator, ale biedak nie może wybierać. Wynajęliśmy dwie nędzne izdebki przy Fenchurch Street koło Aldgate, bardzośmy byli ubodzy, ale miałem mundur z Tower, więc oszczędzałem na przyodziewku. Tak upłynął nam jeden rok; zimą drugiego roku nastąpiły mrozy, matka zachorowała i nie mieliśmy dosyć węgla, by mogła się ogrzać. Myślę, że gryzła się także swoim nieszczęściem. Niestety, przyszła do tego stanu nie ze swojej winy, wždy była dobrą, trzeźwą i cnotliwą kobietą i żadną papistką, bom ją potem o to spytał. Odpowiedziała: Nie, synu, ale zawsze modliłam się za dusze moich zmarłych dzieciątek i za dusze rodziców tak, jak nas uczyła stara religia, i wiem, że to wielki grzech, za który będę smażyć się w piekle, choć modłę się do Boga, żeby tam nie trafić. No i zmarła 2 lutego A. D. 1606 i jest pochowana u Świętej Katarzyny Coleman. Teraz już wiesz, moja Nan, że po tych smutnych czasach byłaś mi pociechą, więc chciałem Cię poślubić, ale ojciec Twój zakrzyknął: Nie, nie, żaden mężczyzna z pensją czeladnika się nie żeni. Jak byś utrzymał moją córkę? I ja nie umiałem odpowiedzieć, odszedłem smutny i taki pozostałem przez wiele dni.

No i przychodzi Thomas Keane i powiada: Hej, Dick, co byś powiedział na Flandrię? Bo ja jutro wyruszam, żeby dostarczyć królewską harmatę Holendrom w Sluys, i będą z niej strzelać do Ispanów. Jedź ze mną, bądź moim kompanem i matrosse, będziemy jedli ser, pili genever i posyłali te papistowskie psy do piekła. Odpowiedziałem tak i dłoń mu uściśnąłem, że sprawa załatwiona. Musieliśmy tylko wyjechać z Tower nocą, bo Jego Królewska Wysokość zawarł właśnie pokój z Ispanami, więc byłoby źle widziane uzbrajanie przeciwników

Ispanii. Ale niektórzy u dworu (jak mniemam, ów książę Henryk, który później przedwcześnie zmarł) uważali to za hańbę dla Anglii, by unikać tchórzliwie wojny z niegodziwym królem Filipem, który tak okrutnie gnębił wyznawców zreformowanej wiary. Poza tym Holendrzy zapłacili za harmaty wcześniej, było przeto sprawiedliwe, a Król nie oddałby ani pensa z powrotem, chodziło zatem także o honor Anglii.

Wciągnęliśmy na barki harmatę i wszystko, co potrzebne osobno, jak 500 kul, stemple, lonty etc, i do Pool, gdzie marynarze uwiązali harmatę na okręcie „Groene Draeck”, sześciometrowej korwecie należącej do kapitana Willema van Brille. I tak przy pomyślnym wietrze pożegłowaliśmy. Trzy dni trwała podróż i morze było spokojne jak na zimową porę, niezbyt mroźno, i jedliśmy świeży chleb i syr, i solonego śledzia, i piliśmy ale. W Sluys, ponurym miście jak na moje oko, wszystko z cegły brązowej albo czerwonej i zrobiliśmy bardzo dobry interes, jako że Ispanie od wielu miesięcy zajmowali Ostendę, jedyny port w zachodniej Flandrii. Wylądowaliśmy więc harmaty i umieściliśmy je na lawetach.

Za długo się rozwodzę nad swoją durną młodością i boję się, że mało mam już czasu. Moja rana dokucza bardziej niż przedtem i medykus powiada, że mi zostały dwa dni, nie więcej.

Tak, groteskowa. Czy odmalowałem siebie jako słynnego w całym mieście rozpustnika? To nieprawda. Raczej łatwo się zakochuję, a to nie to samo. Tak, doktorze Freud, kompensuję sobie brak macierzyńskich uczuć. Tak, doktorze Jung, nie potrafię się pogodzić ze swoją negatywną animą; tak, Ojczy, zgrzeszyłem z własnej winy, uczynkiem i zaniedbaniem. A jednak, upieram się, nie chodzi tylko o seks. Pod tym względem z nikim nie łączyły mnie lepsze relacje niż z Amalie, ale widać to nie wystarczyło. Od początku naszego małżeństwa miałem kogoś na boku, a jak już chyba wspominałem, w Nowym Jorku nie brakuje ku temu okazji.

Ingrid, moja aktualna przyjaciółka, jest tu dobrym przykładem. A niecierpliwy mądry czytelnik może pomyśleć: Ach, nie chce mówić o Mirandzie, gra na zwłokę. To prawda, ale co z tego? Może umrę, ale nie umieram w tej chwili jak biedny Bracegirdle; być może mam przed sobą jeszcze mnóstwo czasu.

Ingrid pozostawała od dwunastu lat w szczęśliwym związku z Guyem, odnoszącym sukcesy producentem telewizyjnym, absolutnym księciem wśród mężczyzn, szczególnie arystokratycznym w porównaniu z wieloma innymi w tym

biznesie. Lecz pewnego dnia, kiedy miał pięćdziesiąt dwa lata, wstał z łóżka, pomaszerował do łazienki i zaczął się golić, gdy nagle pękła mu w mózgu jakaś żyłka i umarł na miejscu. Wcześniej żadnych symptomów choroby, doskonale zdrowie, dobre ciśnienie, niski cholesterol, a tu nagle trup. Następne trzy lata upłynęły Ingrid na intensywnej żałobie, potem wzięło górę jej wrodzone pogodne usposobienie i postanowiła odżyć. Przez te trzy lata w ogóle nie wychodziła z domu, ale teraz przyjęła zaproszenie na jedną z tych anonimowych imprez charytatywnych, które umożliwiają bogaczom kontakty z ludźmi twórczymi i w ten sposób wzbogacają ich jałową egzystencję o pierwiastek duchowy. Pojechała do kurortu i wróciła do formy, potem obcięła włosy w modnym salonie fryzjerskim, kupiła nowe kreacje i pokazała się światu.

Była atrakcyjna, dobiegła dopiero czterdziestki, wysoka, może trochę zbyt tęga, żeby tańczyć jako baletnica, dlatego też wcześniej przerzuciła się na choreografię. Jasnobrązowe, bardzo puszyste włosy obcięte na chłopczycę, oczy podłużne i szare jak u wilczyca, do tego niesamowite szerokie usta z lekko wysuniętą górną szczęką, co wydaje mi się nawet pociągające. No i ciało tancerki. Też byłem na tym przyjęciu, jako człowiek spragniony łyka czegoś autentycznego, i gdy tylko ją zobaczyłem, schwyciłem za ramię swoją koleżankę z kancelarii, Shelly Grossbart, która zna wszystkich w branży muzycznej, i zapytałem ją, kto to jest. Musiała się przez chwilę zastanowić, nim odpowiedziała: „O Jezu, wygląda na to, że to Ingrid Kennedy! Myślałam, że nie żyje”. Przedstawiła nas sobie. Rozmawialiśmy o tańcu i własności intelektualnej, wymieniając naprawdę fascynujące uwagi o tym, do jakiego stopnia taniec chronią przepisy prawa autorskiego. Stwierdziłem, że jest inteligentna i zabawna, i sądzę, że ona odebrała mnie tak samo.

Nieco później, kiedy już wypiliśmy we dwoje prawie dwie butelki kruga, wbiła we mnie spojrzenie tych swoich podłużnych szarych oczu. Czy może mi zadać osobiste pytanie?

Skinałem głowę.

- Czy lubisz się pieprzyć?

Odarłem, że mając odpowiednią partnerkę, owszem.

- No tak - powiedziała. - Właściwie nie uprawiałam seksu od trzech lat, to

znaczy odkąd zmarł mój mąż. Wydajesz się miłym człowiekiem, a ja ostatnio czuję wielkie podniecenie. Masturbacja nie załatwia sprawy.

Odarłem, że w moim wypadku też nie.

- A więc jeśli nie masz żadnej choroby przenoszonej drogą płciową...

Zapewniłem, że nie, a ona ciągnęła:

- Mieszkam w Tarrytown i zawsze rezerwuję sobie pokój, kiedy przyjeżdżam

na takie imprezy, żebym nie musiała wracać do domu samochodem pijana,

ale dziś miałam nadzieję, że poznam jakiegoś przyzwoitego i godnego zaufania

mężczyznę, którego będę mogła zaprosić na górę.

Owszem, była pijana, ale nie aż tak bardzo, by wyglądało to odpychająco. Wymknęliśmy się niezwłocznie z sali balowej i wsiedliśmy do windy. Była i jest nadal typem śmieszki. Śmiech towarzyszący szczytowaniu to jedno z najrzadszych zjawisk w moich doświadczeniach. Nie debilny chichot jak u komików z Three Stooges, ale kaskady śmiechu, melodyjne glissando, coś pomiędzy dźwiękiem, jaki wydaje człowiek, kiedy się go uderzy we wrażliwy punkt na łokciu, a radosnym, histerycznym śmiechem łaskotanej dziewczynki. Trzeba się do tego przyzwyczaić, ale jest to naprawdę rozkoszne; człowiek ma poczucie, że przebywa z prawdziwą przyjaciółką i że nie angażuje się w jeszcze jedno ponure starcie w odwiecznej wojnie płci. I tak to się zaczęło. Ingrid i ja mamy ze sobą niewiele wspólnego. Przeważnie rozmawiamy o swoich byłych małżonkach i od czasu do czasu sesje te kończą się łzami. Miewałem po kilkanaście Ingrid naraz, ale dałem sobie z tym spokój. Myślę, że nie z powodu nagłego impulsu wierności, lecz po prostu wskutek wyczerpania. Niektórzy znani mi mężczyźni (jak sądzę, należy do nich Mickey Haas) rozkoszują się snuciem sieci oszustw i wygrywają jedną kobietę przeciw drugiej, prowokują operowe sceny i tak dalej, ale ja tego nie robię. Nie jestem nawet porządnym rozpustnikiem. Nie mam po prostu siły, żeby się opierać, i choć na ogół zakłada się, że to mężczyzna jest myśliwym i zalotnikiem, mam inne zdanie. Historyjka z Ingrid, którą opisałem powyżej, nie jest wcale wyjątkowa ani nawet nadzwyczajna. Kobiety patrzą na ciebie, czynią różne uwagi, przybierają określone pozy, pewnie też wydzielają jakieś sekretne feromony; w każdym razie dają do zrozumienia, że są „do wzięcia” i człowiek mówi: „Ach, czemu nie?”

A przynajmniej ja tak robię.

Jedyna prawdziwa kampania uwodzenia, jaką kiedykolwiek przeprowadziłem, była skierowana przeciw mojej przyszłej żonie, Amalie, z domu Pfannenstieler, i będę musiał o tym opowiedzieć, zanim podejmę na nowo wątek Mirandy.

Udajmy zatem, że czas uległ zawieszeniu: Miranda i ja jesteśmy w wyłożonej boazerią salce biblioteki, nasze ręce się dotykają, prąd przepływa jak w elektrowni na Wielkiej Zaporze, feromony perlą się na każdej gładkiej powierzchni...

Mam więc pierwszą pracę po studiach prawniczych, tyram w firmie Sobel Tennis Carrey przy Beaver Street, w dziale finansowym. Kancelaria ma niewielkie doświadczenie w zakresie znaków firmowych i prawa autorskiego, ale wszyscy już dostrzegają a było to jakieś dwadzieścia lat temu - że kwestia własności intelektualnej nabiera znaczenia, toteż haruję niczym obłąkany, jak mają to w zwyczaju młodszy współpracownicy. Jest apogeum rewolucji seksualnej i po raz pierwszy w historii najnowszej każdy względnie dobrze ustawiony młody człowiek może używać do woli z kobietami innymi niż dziwki czy kurtyzany. I w pogoni za tym słodkim dreszczykiem udaję się prawie co wieczór do jednego z kilkunastu lokali (targów mięsnych, jak je żartobliwie nazywano) w East Village i na przedmieściach, aby brać odwet na dziewczętach.

Pewnego sobotniego poranka, skacowany i świeżo po nocnym podboju na targu mięsnym, przyszedłem do biura, aby dokończyć pewną pracę, którą odłożyłem z myślą o lepszej formie przed piątkową hulanką. Siedziałem w naszej bibliotece, sam jeden, gdy usłyszałem pukanie, które, jak się szybko zorientowałem, dochodziło zza zamkniętych drzwi biura. Okazało się, że w pustym korytarzu stoi młoda kobieta, w której rozpoznałem pracownicę firmy doradztwa finansowego Barron i Schmidt; mieli siedzibę na tym samym piętrze co my, czyli na trzynastym. Często wjeżdżaliśmy razem windą, ja otepiałym od nocnych ekscesów, ona cicha i schludna, ale z wyrazem twarzy, który gasi spojrzenia mężczyzn niemal równie skutecznie jak afgańska burka.

Przedstawiła się i powiedziała, że zatrzasnęły się jej drzwi i nie może się dostać do swego biura. Widziałem, że jest okropnie zakłopotana, zwłaszcza że to była prawa

do toalety spowodowała całą tę katastrofę. Gdy mi relacjonowała swoją przygodę, na jej policzkach rozkwitły urocze rumieńce. Miała jasnoblonde włosy zaplecione w dwa kręcone warkoczyki wokół uszu, co nadawało jej wygląd Pippi Langstrump. Ubrana była w białe dżinsy i czarny T-shirt z napisem uroczo zdeformowanym przez jej śliczne spiczaste piersi - sobotni strój, niepodobny do stosownych i maskujących biust kostiumów, które zawsze nosiła w pracy. Oczywiście miała nienaturalnie wielkie, prawie wypukłe, usta jak mały różowy pączek. Wyglądała na jakieś siedemnaście lat, lecz w rzeczywistości liczyła (jak się później dowiedziałem) prawie dwadzieścia sześć. Była niższa ode mnie o mniej więcej piętnaście centymetrów, wysoka jak na kobietę, i miała wysportowane ciało (uprawiała sporty zimowe, co również wyszło na jaw później; była Szwajcar-ką), szczupłą talię i nogi do samej szyi.

Zaprosiłem ją do siebie, skąd zadzwoniła do administracji budynku; obiecali, że przyślą kogoś, ale to chwilę potrwa. Znalazła się w naprawdę trudnym położeniu, bo jej torebka z pieniędzmi i dowodem tożsamości leżała zamknięta w biurze pana Schmidta. Amalie była jego osobistą sekretarką i poznawała tajniki międzynarodowych finansów. Czy podoba jej się ta praca? Nie, uważa, że jest głupia. Nie podniecają jej pieniądze. Owszem, są potrzebne, nędza to okropna rzecz, ale poza tym jest coś niezdrowego w ciągłym i nigdy niezaspokojonym pragnieniu ich zdobywania. To czasami wręcz niegodziwe, powiedziała i zmarszczyła rozkosznie nosek. Zapytała mnie, czym się zajmuję w firmie, więc zaspokoilem jej ciekawość, dodając, że nigdy zapewne nie będę dobrym prawnikiem od własności intelektualnej. Sprawy wydają mi się na ogół głupie i nie wiążą się właściwie z prawem autorskim, które ma zapewnić, by akt twórczy został wynagrodzony i gros pieniędzy trafiło do rzeczywistego autora. Niestety, dodałem, nie jest to zasadą, wręcz przeciwnie. No więc musi pan to naprawić, oznajmiła.

I powiedziała to z takim przekonaniem zakładając, po pierwsze, że to możliwe, a po drugie, że właśnie ja mam się podjąć tego zadania iż mnie to zdumiało. Być może rozdziawiłem nawet usta. Uśmiechnęła się, co rozjaśniło mrok panujący w pokoju i w mojej głowie. To był dla mnie szok. Aby się otrząsnąć, zapytałem ją, czy ona sama była kiedykolwiek niegodziwa. Odparła, że owszem, próbowała, bo

wszyscy jej mówili, że to takie zabawne, ale ona wcale tak nie uważa, raczej ją to brzydziło i nienawidziła, kiedy machali ją mężczyźni, których nie znała.

Machali? Zdziwiło mnie to słowo. Był to mały językowy lapsus; chciała powiedzieć „macali”. W każdym razie to właśnie przywiodło ją z nadętego starego Zurychu do nieprzyzwoitego Nowego Jorku. Jej rodzice byli gorliwymi katolikami i ona też uważała się za katoliczkę, ale tęskniła za większym wigorem w życiu. Dobrze powiedziała? Wigorem? Tak, dobrze, zapewniłem ją. I dodałem, że to jej szczęśliwy dzień, bo należę z całą pewnością do najbardziej niegodziwych mężczyzn w Nowym Jorku i z największą przyjemnością wprowadzę ją w środowisko ludzi zdeprawowanych, do ich jaskiń rozpusty, aby dostarczyć jej wigoru, ale bez machania. Chyba że tego zapragnie, co było oczywiście częścią mojego niegodziwego planu, na razie jeszcze nieujawnioną. Oczy jej się zaświeciły i znów pojawił się ten niezwykły uśmiech. Poczulem przyływ dobroci, moje zasępione oblicze się wygładziło.

Tak zaczęła się moja pierwsza randka z Amalie. Człowiek z administracji zwlekał z przyjściem, za co błogosławiłem go w głębi serca. Wypełniliśmy czas oczekiwania rozmową o jedynej rzeczy, która nas (o dziwo!) łączyła: byliśmy oboje olimpijczykami. Reprezentowała w Sapporo Szwajcarię w narciarstwie alpejskim. Rozmawialiśmy też o rodzinach, a raczej o jej rodzinie, jakby wyjętej żywcem z książeczek o Heidi. (Nieco później, kiedy odzyskała torebkę, pokazała mi zdjęcia rodziców ubranych w kolorowe kurtki Szwajcarów z wyższej klasy średniej, siedzących na zboczu przed domem w stylu alpejskim i zajadających fondue. Nie, skłamałbym, nikt nie jadł fondue, ale w ogóle to je jadali i ja też zjadłem go mnóstwo, kiedy byliśmy małżeństwem). Nie uświadamiałem sobie, że istnieją Szwajcarzy katolicy, bo wcześniej kojarzyłem tę maleńką górską republikę ze starym, ponurym Kalwinem, ale jest jeszcze oczywiście gwardia papieska złożona ze Szwajcarów, a brat matki Amalie był właśnie gwardzistą. Bardzo byli *hoch* ci Pfannenstielerowie. A co z twoją rodzinką, Jake?

No właśnie, co? Matka zdążyła umrzeć, tato „podróżował”, brat studiował w Europie (tu trochę przesadziłem z chełpliwością), siostra... Pomyślałem, że skłamię, ale nie potrafię kłamać przekonująco (to znaczy w życiu prywatnym, bo jako

prawnik jestem oczywiście mistrzem łgarstwa), więc powiedziałem, że moją siostrą jest Miri de Lavieu. W tym czasie w Nowym Jorku człowiek musiał być ślepy, żeby nie wiedzieć, kto to taki, albo nie znać się w ogóle na popkulturze. Modelka, dodałem, widząc, że to nazwisko nic jej nie mówi. Zapytałem ją, czy w ogóle słyszała o Cheryl Tiegs, Lauren Hutton czy Janice Dickinson, a ona z kolei zapytała, czy to też moje siostry. Nigdy, ani wcześniej, ani później, nie spotkałem nikogo, kto byłby mniej zainteresowany życiem gwiazd. Wydawała się nie całkiem z tego świata, ta Amalie. Powinienem być to odczytać jako ostrzeżenie, ale stało się inaczej.

W końcu przyszedł człowiek z administracji i otworzył jej pokój; kiedy dokończyła robotę, wyszliśmy razem. Miałem w tym czasie motocykl BMW R70, którym jeździłem do pracy i z powrotem niemal w każdą pogodę. Usiadła z tyłu, zapuściłem silnik. Objęła mnie lekko w pasie.

Czy jest coś lepszego od jazdy na rasowym motorze z dziewczyną, która obejmuje człowieka od tyłu, przyciska uda do jego bioder, a dwoma gorącymi owalami piersi przywiera do pleców? Można subtelnie zwiększyć ten kontakt, naciskając na hamulec nieco mocniej, niż wymagałaby tego sytuacja. Nie skorzystałem jednak z okazji. Zawiozłem ją na Union Square, gdzie w tamtym sezonie całą ścianę budynku zajmował ogromny billboard, na którym blondynka w czarnej obcisłej wieczorowej sukni reklamowała jakiś alkohol. Zatrzymałem się i wskazałem palcem: To moja siostra. Amalie roześmiała się i wskazała inny billboard, na którym widać było dla odmiany rozebranego do pasa młodzieńca w dżinsach. Mój brat, rzekła i znów się roześmiała. Jechałem dalej, trochę oklapły i zgaszony, ale w przyjemny sposób. Nabiłem sobie mnóstwo punktów jako brat swojej siostry, tak wielu pożałowało choć pośredniego kontaktu ze znakomitościami, a towarzystwo osoby, dla której nie miało to najmniejszej wagi, wywoływało u mnie dreszczyk podniecenia.

Kupiłem jej coś do jedzenia w karaibskiej restauracji, uczęszczanej przez szpanerskich *guapos* i ich kochanki, rozbrzmiewającej dźwiękami salsy i rozwibrowanej od tłumionej przemocy, potem zaś objechaliśmy różne spelunki i kluby muzyczne, gdzie w toaletach handluje się prochami, a na zapleczu mogą ci zrobić loda. Nie byłem na tyle sławny, żebym miał wszędzie wstęp, ale nazwisko Miri

i fakt, że znalazłem niektórych bramkarzy z czasów, gdy podnosiłem ciężary, otwierały nam drzwi; myślę też, że liczyło się towarzystwo urodziwej kobiety u mojego boku. Okazało się, że jest fantastyczną tancerką; ja nie byłem w tym wtedy najgorszy, ale nie umywałem się do niej. Ludzie patrzyli na nią dziwnie, z wyrazem twarzy, którego nie mogłem odczytać pogarda, pożądanie? Jakby potępieni kontemplowali zbawioną; jestem pewien, że na mojej twarzy gościł często podobny wyraz.

Żeby się nie rozwodzić... Odwiozłem ją do domu, do wynajętego mieszkania w bliźniaku na Pierwszej róg Siedemdziesiątej Ósmej, i ku memu wielkiemu zdziwieniu poprzestała na sztywnym uścisku dłoni i niewinnym pocałunku w policzek. To samo po drugiej randce, to samo po trzeciej. Później odrobina migdalenia, ale, jak to się mówi, bez dawania. Powiedziała mi, że w szkole miała chłopaka, z którym sypiała; złamał jej serce i wtedy uświadomiła sobie, że nie jest ulepiona z tej samej gliny co inne dziewczęta, nie jest taka jak te z filmów, nie może uprawiać seksu bez zaangażowania uczuciowego, i choć nie zgadzała się ze wszystkim, co głosi Kościół, uważała, że pod tym względem ma rację, i odtąd żyła w absolutnym celibacie. Czekwała na Tego Właściwego? Zapytałem ją o to, a ona, ignorując mój ironiczny ton, powiedziała, że tak. Nawiasem mówiąc, rozmowa ta odbyła się w niesławnym klubie, który był praktycznie rozsądnikiem chorób wenerycznych.

Na tym etapie mojego życia, jak muszę nadmienić, zażywałem przyjemności z co najmniej czterema kobietami; wszystkie były śliczne, wszystkie chętne do uprawiania seksu, ale z trudem przypominam sobie ich imiona i twarze, tak bardzo Amalie zawładnęła moim życiem erotycznym. I nigdy nie dbałem o to, żeby moje dziewczyny nie wiedziały o istnieniu innych, w końcu trwała rewolucja seksualna, byłem zatem tak samo szczery w stosunku do Amalie, a tymczasem ona, co mnie zdumiało, oświadczyła, że jeśli chcę kontynuować naszą znajomość, muszę z tym skończyć, i - co jeszcze bardziej zdumiewające - usłuchałem. Zadzwońnięm po kolei do wszystkich swoich ówczesnych dam i pożegnałem się z nimi czule.

Bo przebywanie z Amalie i to jest puenta tej długiej dygresji dawało mi coś więcej niż seks. Było mistyczne. Jak gdyby człowiek oparł się na promieniu słońca

- i ten promień go podtrzymywał. Kolory były jaśniejsze, muzyka bardziej czarująca, wszystko poruszało się wolniej, z gracją, jak majestatyczny orszak królewski w wonnych powiewach. Księżyc nie był wielką pizzą jak w przeboju Deana Martina, ale wszystkie inne piosenki wydawały się mówić prawdę.

W końcu mi uległa, w odpowiednim czasie i w staroświeckim stylu. Pobraliśmy się tej samej zimy, ślub odbył się w kościele Liebfrauen w Zurychu, w obecności licznej i szacownej rodziny, tatusia bankiera, mamy profesor lingwistyki i sześciorga rodzeństwa, wszystkich jasnowłosych i różanolicych. Żadne z nich nie uważało, że Amalie wygrała na loterii, ale wszyscy byli uprzejmi i zachowywali się jak najbardziej przyzwoicie. Przyjechała także moja siostra z bratem. Tak się złożyło, że Miri miała właśnie sesję zdjęciową w Paryżu i zjawiła się ze swoim mężem, degeneratem i kokainistą Armandem Etienne'em Picot de Lavieu, a Paul studiował w tym czasie we Włoszech, zatem nie było z tym kłopotu. Może przybyliby nawet wtedy, gdyby nastęrczało to trudności, ale tego nie mogłem być wtedy pewny. Ojciec nie został zaproszony i nie stawił się. Właściwie był to jeden wielki zamęt i pewnie śluby zawsze tak wyglądają w oczach ludzi zasadniczych. Pamiętam tylko, że Paul ścisnął mnie mocno za łokieć, mówiąc: „To wygląda poważnie, chłopcze, nie spieprz sprawę”. I że Miri płakała; o ile mogłem się zorientować, tego dnia powstrzymała się od ćpania.

Miesiąc miodowy spędziliśmy w Zermatt, w rodzinnym górskim *chalet*. Jeździliśmy na nartach, a raczej ona jeździła. Ja głównie się przewracałem i patrzyłem, jak śmiga fantastycznie po stoku, a potem uczestniczyłem w czymś, co było wtedy i do dziś pozostało najwspanialszym doznaniem seksualnym w moim życiu. Kaliope orgazmu. Wydawała dźwięki jak gołębica, pełne zachwyty *uuu, uuu, uuu*, prawie od samego początku, i potrafiła wydobyć z siebie niemal epileptyczne crescendo, podczas którego zatrzymywał się czas, tak jak zatrzymuje się podobno w niebie. Egzystencja bez trwania. Oczywiście, jak już wspomniałem, po sześciu miesiącach zacząłem znów sypiać z innymi, choć potrafiłem utrzymać to przez wiele lat w sekrecie, sprytnie wykorzystując fakt, że Amalie nie potrafiła myśleć o nikim źle. Nie mam dla siebie usprawiedliwienia; było to zło w najczystszej postaci, zło czarne jak noc. Spieprzyłem sprawę, tak jak się obawiał Paul, który właśnie

dlatego ścisnął mnie za ramię w dniu ślubu tak mocno, że pozostał mi na skórze siniak.

Zniszczywszy raj, przez całe lata pragnąłem do niego powrócić (oczywiście bez konieczności dokonywania poważniejszej zmiany swego stanu duchowego) i tęskniłem za nową i świeżą Amalie, ale tym razem nie aż taką dobrą, bardziej podobną do mnie, choć nie za bardzo, jeśli mnie rozumiecie, obdarzoną tą samą elektryzującą siłą i wolną od tego nieznośnego brzemienia winy, które wniosłem do swoich relacji z żoną. Stąd ta przydługa dygresja: chciałem wyjaśnić, co zaszło w czytelnicy Brooke Russell Astor. Nowy start i oto jest: z blond warkoczami, podobna do Amalie i wywołująca dotykaniem ręki gęsią skórę wędrującą wzdłuż ramienia.

Zapytałem ją, co robi; wskazała opasłe tomisko leżące na stoliku. Miałam coś sprawdzić dla wujka - coś z historii rodziny, wyjaśniła. Wskazałem krzesła i oboje usiedliśmy. Byliśmy w bibliotece i musieliśmy mówić cicho, dlatego też nachyliłem się w jej stronę bardziej, niż wymaga tego normalna komunikacja między dwojgiem ludzi. Pachniała jakąś delikatną wodą kwiatową.

- Jest pani naukowcem, jak rozumiem?
- Nie, pracuję dla Ministerstwa Edukacji w Toronto. A to jest zajęcie uboczne, robię to, żeby pomóc wujkowi.
- Ale on nie żyje.
- Fakt. Pomyślałam, że można by dokończyć tę pracę i przygotować publikację pośmiertną. Sądzę, że chciałby tego.
- A więc byliście sobie bliscy?
- O tak!
- Choć dzielił was ocean?
- Owszem. - Po czym trochę już zniecierpliwiona, lekko marszcząc gładkie i wysokie czoło, dodała: Wujek Andrew odegrał bardzo ważną rolę w moim życiu, panie Mishkin. Mój ojciec odszedł od matki, kiedy miałam cztery lata, pozostawiając nas w fatalnej sytuacji materialnej. Był typem szalonego młodzieńca, zupełnie niezainteresowanego ojcostwem. Nie żyje już, podobnie jak matka. Wujek Andrew finansował moją edukację; począwszy od ósmego roku życia, spędzałam u niego w Anglii praktycznie wszystkie wakacje i... o Boże, po co to wszystko panu opowiadam?!

Chyba jeszcze niezupełnie otrząsnęłam się z szoku po tym, co się stało. Przepraszam. Nie zamierzałam się tak wywnętrzać.

- Ależ w porządku! - zapewniłem. - Strata bliskiego krewnego, który odszedł w tak brutalny sposób, może człowieka żałować.

- Można odnieść wrażenie, że sam pan tego doświadczył.

- Owszem - odparłem tonem, który zniechęcał do dalszych dociekań. Żeby zmienić temat, zapytałem: Jak długo jest pani w mieście?

- W Toronto?

- Nie, tutaj. Przepraszam. Kiedy nowojorczyk mówi „w mieście”, ma zawsze na myśli Manhattan.

Uśmiechnęła się; była to nasza pierwsza wymiana uśmiechów.

- Od poniedziałku. Od dwóch dni.

- Zatrzymała się pani w hotelu?

- Tak, w „Marquis” przy Ósmej Alei. Początkowo chciałam zamieszkać u wuja, ale wiążą się z tym jakieś komplikacje natury prawnej. To miejsce zbrodni i nie chcą mi wydać żadnej z jego rzeczy, choć profesor Haas był tak uprzejmy, że pozwolił mi zajrzeć do gabinetu i zabrać kilka osobistych drobiazków.

- Wygodnie pani w hotelu? - Bóg wie, co sobie myślałam, zadając takie pytanie. Sądzę, że chciałem po prostu przedłużyć tę chwilę.

- Szczerze mówiąc, nie za bardzo. Niby ma być tanio, ale w Nowym Jorku i na to mnie nie stać, zwłaszcza że płacę dolarami kanadyjskimi.

- Kontaktowała się pani z policją?

- Tak, wczoraj. Myślałam, że chodzi o identyfikację zwłok, jak na filmach, ale już to załatwili. Zadali mi parę pytań, i to okropnych.

- Przypuszczają, że zabójstwo było częścią jakiegoś gejowskiego rytuału seksualnego?

- Owszem, ale, mój Boże, wujek Andrew nie był takim człowiekiem! Powiedziałam im to. Nie robił tajemnicy ze swojej, hm, romantycznej orientacji, ale był oddany Olliemu. To nauczyciel akademicki z Oksfordu. Kiedy byli razem, robili wrażenie pary małżeńskiej. Ton jej głosu zmienił się nagle. Myśli pan, że uda się nam załatwić nasze sprawy jeszcze dziś? zapytała.

- Chodzi pani o...?

- Sprawę rękopisu wujka.

Ach, tak! Zapytałem ją, co wie na ten temat.

- Nie mówił zbyt wiele poza tym, że to rękopis z czasów króla Jakuba. Zapłacił za niego parę tysięcy dolarów, ale uważał, że po sprawdzeniu pewnych rzeczy może się okazać znacznie cenniejszy.

- Jakich rzeczy?

- Nie wiem. Nie powiedział mi. - Znów zmarszczyła się uroczo. - I, prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby mogło to pana interesować. Rękopis jest moją własnością.

- Tak naprawdę, pani Kellogg - powiedziałem chłodno - jest własnością spadkową. Aby dowieść słuszności swoich roszczeń, musi pani wykazać, że jest osobą, za którą się podaje, i zarazem jedyną legalną spadkobierczynią profesora Bulstrode'a. W tym celu musi pani potwierdzić autentyczność testamentu w sądzie okręgowym w Nowym Jorku. Dopiero wtedy wykonawca ostatniej woli ma prawo zlecić mi przekazanie praw na panią.

- O Boże! Długo to trwa?

- Zdarza się, że długo. Jeśli testament ma wady lub zostanie zakwestionowany, może się to ciągnąć tygodniami, miesiącami, a nawet latami. Jak u Dickensa.

Na te słowa jęknęła rozpaczliwie, zagryzła wargę i zakryła twarz rękami. Bibliotekarz spojrział na nas z dezaprobatą.

- Nie mogę czekać tak długo zakwiliła. Mam tylko parę dni. Muszę być w Toronto w poniedziałek, poza tym nie stać mnie na hotel. I...

Tu urwała i spuściła wzrok, jak to się zdarza, kiedy jesteśmy bliscy ujawnienia czegoś, czego lepiej nie ujawniać. Ciekawe, pomyślałem, że między innymi dlatego nie chciała przyjść do mnie do biura. Postanowiłem to drażnić.

- I co...?

- Nic.

Nie umie kłamać, przyszło mi do głowy, kiedy dostrzegłem delikatny rumieniec na jej szyi.

- Nie takie nic, jak sądzę. Prosi mnie pani o spotkanie w ustronnym miejscu, wciąż spogląda na drzwi, jakby spodziewała się, że za chwilę ktoś tu wtargnie, a

teraz wyraźnie chce pani coś ukryć. Jeśli dodamy do tego fakt, że wuj zmarł w tajemniczych, a nawet przerażających okolicznościach, to można się domyślić, że ma pani poważny problem. Że, proszę mi wybaczyć śmiałość, potrzebuje pani...

- ...pomocy prawnej? Proponuje pan swoje usługi?

- Bynajmniej. Potrzebuje pani prawnika od spraw majątkowych, który pomoże pani dowieść autentyczności testamentu. Ja nie jestem takim prawnikiem, ale w mojej firmie pracuje kilku specjalistów. Myślałem raczej o tym, by występować w charakterze pani przyjaciela.

- Sądzi pan, że go potrzebuję?

- A nie? Domyślałam się, że ktoś zwrócił się do pani w sprawie tego rękopisu i że było to dla pani kłopotliwe.

Pokiwała energicznie głową, aż zatańczyły jej warkoczyki. Rozkoszny widok!

- Tak. Ktoś zadzwonił zaraz po tym, jak policja zawiadomiła mnie, że wujek nie żyje. Ten mężczyzna miał niski głos i dziwny akcent.

- Angielski?

- Nie, raczej słowiański albo bliskowschodni. Skrzyczałam go nawet, bo byłam przybita, właśnie się dowiedziałam o śmierci wujka, a ten już krążył jak sęp. Odłożyłam słuchawkę, ale zaraz zadzwonił ponownie i tym razem jego ton był... może przesadą jest określenie „groźny”, ale tak to odebrałam. Proponował mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów kanadyjskich za te dokumenty; odparłam, że się zastanowię. Nie był z tego zadowolony i powiedział... nie pamiętam dokładnie słów, ale coś w tym sensie, że będzie dla mnie najlepiej, jeśli przystanę na te warunki. Przypominało to kwestię z *Ojca chrestnego*, tę „ofertę nie do odrzucenia”, i było tak nie-realne, że omal nie parsknęłam śmiechem. Potem, kiedy wróciłam do hotelu, znów zadzwonił. Skąd wiedział, że tam jestem? Nikt w domu nie miał pojęcia, gdzie się zatrzymałam.

- Nawet narzeczony? - spytałem ze skrywaną nadzieją.

- Nie. W pracy mają numer mojej komórki. W każdym razie kiedy rano wyszłam z hotelu, stał tam samochód, jeden z tych wielkich wozów terenowych, czarny, z przydymionymi szybami, zaparkowany o jedną przecnicę od hotelu, i opierał się o niego jakiś mężczyzna, potężny, z małą okrągłą głową, w ciemnych

okularach. Obejrzałam się, kiedy go mijałam, a on popatrzył na mnie ze strasznym uśmiechem, potem wsiadł do samochodu. Przyjechałam tu autobusem i kiedy wchodziłam do biblioteki, znów zobaczyłam ten samochód.

- To niepokojące - przyznałam.

- Owszem - powiedziała po długiej pauzie. Głos drżał jej lekko.

- Proszę posłuchać. Załóżmy, że policja myli się co do śmierci pani wuja, jak pani to sugeruje, i że został zamordowany. Zamordowany dla tego, hm, dokumentu. Brzmi to melodramatycznie, to prawda, ale takie rzeczy czasem się zdarzają. Przyjmijmy więc na chwilę, że ta rzecz jest z jakiegoś powodu niezwykle cenna, warta znacznie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy dolarów kanadyjskich, i że dowiedzieli się o tym jacyś przestępcy, którzy usiłują zdobyć rękopis wszelkimi sposobami. Czy to brzmi sensownie?

Skinęła powoli głową. Zdawało mi się, że drży. Zapragnąłem ją objąć i przytulić, ale się powstrzymałem.

- Tak, sensownie i strasznie - odparła. - Ale nie mogę zrozumieć, o co tu chodzi. To znaczy z tą wartością rękopisu. Wujek Andrew powiedział, że zapłacił za niego parę tysięcy, i prawdopodobnie tyle jest mniej więcej wart, bo w przeciwnym razie właściciel raczej by go nie sprzedał. A jeśliby się okazało, że z jakichś powodów wart jest znacznie więcej, to dlaczego zaangażowali się w to jacyś przestępcy?

- To oczywiście zagadka, ale coś mi się zdaje, że nie sam dokument jest cenny, tylko to, do czego prowadzi. Pani wuj mówił coś o tym?

- Nie. Wiem tylko, że to rękopis z czasów Jakuba I, o wartości czysto naukowej. Był tym naprawdę podekscytowany i latem wybrał się specjalnie do Anglii, żeby sprawdzić pewne szczegóły, ale nie sugerował, żeby miało to jakąś... wartość materialną. A panu mówił, co to jest?

- Tak, twierdził, że to autograf Szekspira, lecz obawiam się, że był nadmiernym optymistą. Rozmawiałem później z Mickeyem Haasem, który twierdzi, że to nieprawdopodobne, że pani wuj najwyraźniej usiłował odzyskać reputację.

- To prawda, starał się o to od czasu tamtego skandalu. Słyszał pan o tej sprawie?

- Owszem, znam fakty. Ale musiał sobie zdawać sprawę z zainteresowania środowiska przestępczego, bo złożył ten przeklęty rękopis u mnie w depozycie. Spodziewał się, że zostanie zaatakowany, i chciał zapobiec kradzieży. A więc... najważniejsze to zapewnić pani bezpieczeństwo. Nie może pani pod żadnym pozorem wrócić do tego podłego hotelu. Moglibyśmy znaleźć inny...

- Nie stać mnie na inny. Zresztą zapłaciłam z góry. Boże, to zamienia się w koszmar...

- .. albo też, jeśli mógłbym coś zaproponować... mam duży loft w śródmieściu, z dwiema sypialniami, z których korzystają moje dzieci podczas ferii. Mogłaby pani spać w jednej z nich. Jest pewnie tak samo niewyszukany jak „Marquis”, ale nie musi pani przynajmniej płacić. Mam też kierowcę, który może panią wozić po mieście. Był kimś w rodzaju ochroniarza.

- Ochroniarza? zdziwiła się. A kogo ochraniał?

- Jasira Arafata. Ale lepiej o tym nie mówić. Trudno sobie wyobrazić bezpieczniejsze miejsce.

Pomijając moją obecność, ale zostawmy to na razie. Mówię szczerze: nie myślałem o tym wcale, kiedy złożyłem tę propozycję. Pamiętałem doskonale przerażenie na twarzy jej wuja i nie chciałem, żeby pojawiło się też na jej obliczu.

- Kiedy już tam panią odstawię, zobaczymy, czy uda nam się czegoś dowiedzieć o tych ludziach z czarnego wozu. Uczulę policję na ten aspekt sprawy. Niech się tym zajmą.

Po zwykłych grzecznościowych obiekcjach zgodziła się na mój plan. Wyszliśmy z czytelnicy, a potem z biblioteki. Poprowadziłem ją w cień kolumnady i spojrzałem w stronę Piątej Alei. Nie zauważyłem czarnego SUV-a z przyciemnionymi szybami. Zadzwoiłem z komórki do Omara i poprosiłem, żeby podjechał na Czterdziątą Drugą Ulicę, po czym przeszliśmy szybko przez Bryant Park, aby w umówionym miejscu zaczekać na lincolna.

Mój loft znajduje się na Franklin Street niedaleko Greenwich. Ma powierzchnię trzystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych. W budynku mieściła się kiedyś szwalnia, później magazyn, ale teraz jest w nim pełno bogatych ludzi. Kupiłem to mieszkanie, zanim ceny domów w śródmieściu oszalały, ale i tak zdrowo mnie to szarpnęło, nie licząc kosztów modernizacji. Mieszkałem tu kiedyś z rodziną, z

Amalie i z dziećmi, dopóki Amalie się nie wyprowadziła. Zwykle wyprowadza się facet, ale ona wiedziała, że naprawdę lubię to mieszkanie, chciała też być bliżej szkoły, która mieściła się pod numerem 68 na Lexington. Teraz mieszkają wszyscy na Siedemdziesiątej Szóstej Wschodniej w bliźniaku z piaskowca. Dzielimy koszty dokładnie po połowie, bo Amalie ma niezłe dochody i nie widzi powodu, dla którego miałbym być stratny finansowo tylko dlatego, że jestem seksualnym dupkiem.

W czasie, o którym mowa, nie myślałem jednak o tym. Oprowadziłem Amalie 2 (vel Mirandę Kellogg) po mieszkaniu. Zrobiło na niej odpowiednie wrażenie, co uznałem za przewagę nad Amalie 1, której nigdy nie imponowały dobra materialne. Zamówiłem przez telefon jakąś chińszczyznę i zjedliśmy kolację przy świecach, na niskim stoliku, skąd widać było za oknem odcinek rzeki. Podczas kolacji, przyjemnie gawędząc, zachowywałem się jak dżentelmen i byłem dość szczery. Okazało się, że jest z wykształcenia psychologiem dziecięcym i pracuje jako urzędniczka średniego szczebla. Rozmawialiśmy o Niko, moim synu, i jego problemach. Okazała mi współczucie, ale raczej kurtuazyjne. Kiedy dokładniej przyjrzałem się jej twarzy, uznałem, że nie przypomina Amalie aż tak bardzo, jak początkowo sądziłem, nie w każdym szczególe; mimo to wciąż odczuwałem podniecenie, kiedy na nią patrzyłem. Jak mało się znamy, jak wiele mają kochankowie do odkrycia, według słów piosenki.

Zaczęła ziewać, więc wciąż absolutnie poprawny pościeliłem łóżko w pokoju Imogen. Dałem jej nowy biały T-shirt do spania, miałem też oczywiście nowe szczoteczki do zębów, ze względu na dzieci. Usłyszałem sennie podziękowanie i dostałem całusa w policzek. Co to był za zapach? Ulotny, lecz znajomy.

Nazajutrz wstaliśmy wcześniej i wypiliśmy kawę z rogalikami. Nastrój, muszę przyznać, był bardziej towarzyski, niż byłby po spędzonej razem nocy. Miranda stwarzała pewien dystans, co zniechęcało do agresywnych prób zbliżenia i nawet mi odpowiadało jako jeszcze jedno przypomnienie Amalie. Miała na sobie ten sam co poprzedniego dnia kostium z domu towarowego. Omar zawiózł nas do biura. Tam przedstawiłem ją Jasmine Ping, naszej znakomitej prawniczce od spraw spadkowych, i zostawiłem je same, aby zgłębiły tajniki zatwierdzenia testamentu i załatwiły kwestię transportu zwłok Bulstrode'a do Anglii.

Z zapisków wynika, że przez cały ranek odwodziłem pewnego pisarza od zamiaru skarżenia innego pisarza o kradzież pomysłów i napisanie na ich podstawie znacznie lepiej sprzedającej się książki, a później rozmawiałem bez końca przez telefon z facetem z amerykańskiej Izby Handlowej, organizującym spotkanie w sprawie (jakżeby inaczej!) piractwa w Chinach. Typowy poranek. Około wpół do pierwszej zjawiała się w moim gabinecie Miranda. Zaproponowałem lunch. Odmówiła, ja nalegałem, na co zawstydzona przyznała, że jest jeszcze zbyt wystraszona, żeby swobodnie poruszać się po mieście, i wołałaby zjeść coś w biurze albo wrócić do loftu.

Zamówiłem więc lunch w delikatesach i kiedy czekaliśmy, znów poruszyła sprawę rękopisu. Powiedziała, że pod kierunkiem wuja opanowała pismo z czasów Jakuba I; czy mogłaby teraz rzucić okiem na manuskrypt? Zawahałem się, ale właściwie nie widziałem przeszkód. Spadkobiercy często dokonują niezależnej oceny wartości przyszłego spadku. Poprosiłem panią M., żeby zeszła do skarbcza.

Kiedy czekaliśmy, przywieziono lunch. Zjedliśmy go przy stoliku ze szklanym blatem. Miranda robiła to powoli, odgryzając maleńkie kęsy. Rozmawialiśmy o własności intelektualnej i wizycie jej wuja w kancelarii, ale ona, podobnie jak ja, nie miała pojęcia, po co był mu potrzebny specjalista od prawa autorskiego. Wróciła pani Maldonado z kopertą.

Miranda włożyła bawełniane rękawiczki, zanim sięgnęła po sztywne, poźółkłe karty. Niektóre obejrzała pod światło, aby sprawdzić znaki wodne. Niebo pociemniało przed nadciągającym deszczem, więc musiała skorzystać z lampy na biurku.

- Interesujące - powiedziała i znów zaczęła oglądać kartki pod światło. - Ten gruby papier in folio, oznakowany herbem Amsterdamu, pochodzi ze słynnej papierni i był powszechnie stosowany w siedemnastym wieku. Karty wyglądają tak, jakby były wyrwane z jakiejś księgi. Pozostałe to chyba kopia drukarska i nie są związane z tamtymi.

Wymieniła nazwisko papiernika, ale go nie zapamiętałem, a potem krótko omówiła pochodzenie papieru. Wpadło mi jednym uchem, wypadło drugim. Wyjęła z torebki składaną lupę.

- Pozwoli pan? - zapytała.

Pozwoliłem. Z przyjemnością się jej przyglądałem. Ona studiowała papiery, ja jej łabędzią szyję poruszającą się nad nimi i pasemka włosów, które drgały rozwiewane nikłym podmuchem ciepłego powietrza z grzejnika. Mijały minuty. Bez zapału smarowałem coś w dokumentach. Odgłosy biurowego życia na zewnątrz wydawały się docierać z innego świata. Przeczytała cztery strony. Co jakiś czas mamrotała coś pod nosem. Potem westchnęła z satysfakcją.

- No i co?

- Autor tych listów, Richard Bracegirdle, twierdzi, że pływał z Somersesem. Był na wraku statku „Sea Adventure”. O Boże! Aż mi się trzęsą ręce. Niesamowite!

Zapytałem, co w tym takiego niesamowitego.

- To było słynne wydarzenie. Na pokładzie przebywał gubernator Wirginii. Rozbili się na Bermudach, przeżyli, zbudowali nowy statek i wrócili do Wirginii. Niektórzy z nich to opisali. Wydaje się, że Szekspir korzystał z tych zapisków, tworząc atmosferę wyspy Prospera w *Burzy*. Ale jeśli ten człowiek znał Szekspira w 1610 roku, jak twierdzi... Chodzi o to, że kiedy powstawała sztuka, mógł mu pomóc odmalować tropiki. Już samo to sprawia... Niech pan posłucha. ..

- Jest pani gościem w moim domu. Proszę mi mówić Jake.

- Dobrze, Jake. Muszę dokładnie przestudiować ten rękopis. Czy moglibyśmy zabrać go do siebie?

W pierwszej chwili chciałem instynktownie odmówić. Prawnicy cieszą się sławą ludzi, którzy mają swobodny dostęp do cudzych pieniędzy i kosztowności, i odejście od najsurowszych zasad może się okazać pierwszym krokiem na dość śliskiej równi pochyłej. Wyniesiesz manuskrypt z biura, żeby mogła go przestudiować przypuszczalna spadkobierczyni, a już wkrótce zawieszysz w sypialni Renoira klientki lub popłyniesz z rodziną na Saint Barthélemy jachtem zmarłego.

To wszystko prawda, ale ona patrzyła na mnie z nadzieją, z policzkami jeszcze płonącymi z emocji po dokonaniu właśnie odkryciu, i tu pomyślałem o Amalie, która nigdy mnie o nic nie prosiła, oczekując, że dzięki mistycznym więzom uczucia będę wiedział, czego pragnie. W czym nieodmiennie zawodziłem. To miłe być proszonym. Powiedziałem więc, że, jak sądzę, nic nie stoi na przeszkodzie, gdyż w

sensie prawnym papiery pozostaną w moim posiadaniu. Wziąłem sztywną teczkę i włożyłam do niej rękopis Bracegirdle'a. Zadzwoiłem po Omara, złapałem parasol i aktówkę i po omówieniu z panią Maldonado różnych spraw opuściłem biuro z Mirandą u boku. Tak się złożyło, że wcześniej obiecałem odebrać dzieci ze szkoły i zawieźć je do domu. Uznałem to za trochę niezręczną sytuację, ale Miranda była w końcu klientką, a nie intymną przyjaciółką tatusia, w każdym razie jeszcze nie. Odebrałem dzieci, przedstawiłem je Mirandzie i jazda upłynęła nam całkiem przyjemnie. Imogen była niezwykle czarująca i dopytywała się, czy Miranda jako Kanadyjka mówi po francusku; uzyskała pełną zakłopotania odpowiedź, że ona w ogóle nie ma talentu do języków. Niko zabawiał mnie zawiązywaniem niezliczonych supłów na kawałku sznurka, opatrując je komentarzem o ich pochodzeniu, zastosowaniu i cechach topologicznych. Byłem zachwycony, że Miranda jest miła dla chłopca, wielu ludzi, ze mną włącznie, nie jest i pomyślałem, że dobrze to wróży na przyszłość.

Kiedy już odwieźliśmy Imogen i Niko, pojechaliśmy na południe (wolno, ze względu na półmrok i nasilający się deszcz) i podczas jazdy, po obowiązkowych komplementach pod adresem dzieci, Miranda rozgadała się w niezwykle dla niej sposób o cudach elaboratu Bracegirdle'a. Powinienem tu przytoczyć naszą rozmowę, ale nie jestem w nastroju, by konfabulować, jak już to robiłem wcześniej. Dochodzi trzecia i będę się musiał trochę przespać. W każdym razie dotarliśmy do domu i Omar odjechał.

Zaledwie jednak zniknęły za rogiem tylne światła samochodu, usłyszeliśmy pisk opon hamujących na mokrym chodniku i z Greenwich Street wypadł wielki czarny SUV Denali. Zahamował raptownie i wypłuł z siebie trzech mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie bluzy z kapturami i skórzane rękawice. Natychmiast ruszyli groźnie w naszą stronę. Jeden z nich schwycił Mirandę, więc rąbnąłem go w twarz (niestety, całkiem nieskutecznie) okuciem parasola. Większy z dwóch pozostałych mężczyzn wyrwał mi „bron” z ręki, a jego kompan zaszedł mnie błyskawicznie od tyłu i złapał za ramiona. Zwalisty facet zrobił krok do przodu, żeby zadać mi obezwładniający cios w splot słoneczny; prawdopodobnie nie chciał na tym poprzestać za ten numer z parasolem.

Żaden ze mnie bokser, ale spędziłem sporo wolnego czasu w spelunkach, gdzie spotykałem się z pewnym szczególnym gatunkiem zadziornych małych facecików, którzy podpiwszy sobie, nie mogli się powstrzymać przed wszczynaniem bójek z roslymi gośćmi, zwłaszcza gdy ci byli jak ja tęgawi i raczej nie przypominali Schwarzeneggera. A więc, w przeciwieństwie do większości ludzi mojego zawodu, przemoc fizyczna nie była mi obca. Ciężarowcy rzadko stają się znani i ci faceci po prostu nie wiedzieli, kim byłem.

Najpierw sprężyłem się i wyzwoliłem z uścisku gościa trzymającego mnie od tyłu, po czym przykucnąłem i wykonałem nagły obrót, tak że moja twarz znalazła się na wysokości ud napastnika. Chwyciłem go za obie nogi, tuż pod kolanami. Mam potężne i bardzo silne ramiona. Poczuliem, że olbrzym, do którego odwróciłem się tyłem, zaczynał mnie dusić, ale zdołałem wstać i unieść obie ręce nad głowę. Ten, którego chwyciłem, ważył zaledwie dziewięćdziesiąt kilo, więc uniosłem go bez trudu. Cofnąłem się o krok, znów wykonałem piruet i walnąłem tego wielkiego w głowę jego kumplem.

Ludzkie ciało jest bardzo nieskuteczną maczugą, ale jako przedmiot demonstracji siły i metoda osłabienia morale przeciwnika, zwłaszcza tego, który jest maczugą, nie ma sobie równych. Wielki facet zatoczył się do tyłu, poślizgnął na mokrym chodniku i runął na tyłek. Wywinałem kilka razy nad głowę swoją maczugą i cisnąłem faceta na środek ulicy.

Niestety, aby dokonać tych wyczynów, musiałem upuścić aktówkę i mężczyzna, który chwycił Mirandę, pchnął ją brutalnie na ścianę domu, złapał aktówkę, zawołał coś do tamtych w jakimś obcym języku i pobiegł w stronę samochodu. Dwaj pozostali pozbiali się z ziemi i też uciekli, wyrzaskując przekleństwa. Samochód ruszył z piskiem opon, zbyt szybko, abym zdążył odczytać numery rejestracyjne. Podbiegłem do Mirandy, żeby zobaczyć, czy nic jej nie jest; wszystko było w porządku, choć miała nadwyreżony przegub, za który trzymał ją ten zbir, i otarte kolano.

Moje zatroskanie skwitowała niecierpliwym gestem ręki i zapytała:

- Zabrali twoją aktówkę?
- Niestety, tak, i to dla mnie wielka strata. Miałem ją od czasów egzaminu aplikanckiego.

- Ale manuskrypt... jęknęła.
- Manuskrypt jest absolutnie bezpieczny zapewniłem. Mam go w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Miałem jeszcze dodać, że rzeczy szczególnej wartości zawsze noszę przy sobie - zwłaszcza odkąd, jeszcze na studiach, zostawiłem w bostońskim metrze aktówkę, a w niej jedyny egzemplarz referatu o prawie konstytucyjnym, owoc kilkuset godzin wyteżonej pracy - ale nie zdążyłem, bo Miranda ujęła obiema dłońmi moją twarz i pocałowała mnie w usta.

LIST BRACEGIRDLE'A (7)

Pewnego dnia, parę tygodni po naszym przybyciu, wielka kula zabiła pana Keane'a: w jednej chwili z nim rozmawiałem, a już w następnej stał oto bez głowy, po czym upadł. I gdzieś się wtedy podział? Harmaty przeszły do innego ogniomistrza, który miał swoich ludzi, zostałem więc w Sluys z jednym miedziakiem w sakiewce i nie mówiąc słowa po holendersku. Ale dnia pewnego, kiedym się włóczył bez celu po porcie, wypatrzyłem „Groene Draeck”, wszedłem na pokład i porozmawiałem z kapitanem, i powiedziałem, że umiem obsługiwać harmaty równie dobrze jak każdy, na co odrzekł: „Wiem, chłopcze, ale zapytam cię, znasz li ty moje rzemiosło? Bo mówił biegle po angielsku. I ja powiedziałem: Nie, sir, a on na to: Jestem piratem i szmuglerem. Tego słowa nie znałem, a on wyjaśnił mi, że to taki, co oszukuje Jego Wysokość na clach, tonażu i opłatach od wagi etc. A więc czy będziesz obsługiwał moje harmaty, zapytał, bo to krwawe i okrutne zajęcie, ale daje dużo złota. A ja powiedziałem tak, a do siebie rzekłem: Ciemne to są sprawy, ale będziemy zabijać papistów. I bardzo chciałem tego złota.

Wyphływaliśmy ze Sluys i innych portów holenderskich, będąc zmorą Ispanów od Morza Niemieckiego po patokę Biskajską, i zajęliśmy wiele statków, zamordowaliśmy wielu Ispanów i trochę Francuzów i zapuszczaliśmy się do Anglii nocą, żeby zostawiać nasz ładunek: jedwabie, korzenie, wina i okowitę, pod nosem straży przybrzeżnej. Kiedy staliśmy w porcie, doskonalilem mój wymarzony kwadrant do pomiarów odległości. Miałem człeka w Rotterdamie, który zrobił mi jeden z mosiądzu, z liniami narysowanymi sposobem akwaforty, z małym lusterkiem, tak że można było widzieć przez dwa wizjery naraz. Z tym przyrządem umocowanym na burcie ładowaliśmy do harmat tyle prochu, ile

trzeba było, by wystrzeliły pocisk na pożądaną odległość, powiedzmy osiemset jardów. Kiedy już to było gotowe, zaglądałem do swojego urządzenia ustawionego pod kątem wcześniej obliczonym na tę odległość na ruchomym ramieniu i patrząc wzdłuż celownika, czekałem, aż cel pokaże się w obu lusterkach i w całej okazałości, i już miałem odpowiedni zasięg, i dawało się komendę: Ognia!, i wszystkie kule trafiły naraz, bez ostrzeżenia ani próbných strzałów. Przeciwnik był zaskoczony i pokonany i wpadaliśmy na pokład, łącno zwyciężając.

I tak po dwóch latach na morzu miałem 80 suwerenów w złocie, złożone u Żyda w Sluys. Bo załoga wydawała wszystko na gorzałkę i na dziewczki, ale nie ja. W dziewiątym roku wojny, jak wszyscy o tym wiedzą, został zawarty rozejm pomiędzy królem Hiszpanii a Holendrami i Namiestnik rozkazał: Koniec z rabowaniem hiszpańskich statków. Ale van Brille powiedział, nie kazano nam zaprzestać szmuglowania, jako że nie jest to sprawa Namiestnika, niech go diabli. Ciągnęliśmy przeto dalej, ale mnie to niepokoiło i pewnego dnia poszedłem do mojego Żyda i on wypisał mi papier, mówiąc, że jakiemu pokażę go Żydowi, od Portugalii po Moskwę, on wypłaci mi tę sumę w złocie. Pewnej nocy zawinęliśmy do Anglii i kiedy wyszliśmy na ląd, żeby sprzedać nasz towar pewnemu człowiekowi z Plymouth, odszedłem w mrok i to był koniec mojego szmuglowania, tak mi się przynajmniej zdawało.

W Plymouth spędziłem kilka dni w gospodzie Pod Kotwicą na rozmyślaniach, co robić dalej, kiedy przyszedł człowiek poszukujący marynarzy i innych na rejs z admirałem sir Somersem do Wirginii w Nowym Świecie. Pomyślałem, że to znak, co powinienem zrobić, i powiedziałem mu, że jestem puzkarczem morskim i lądowym i że mogę za pomocą laski Jakuba i kwadrantu Davisa odczytać z gwiazd szerokość geograficzną i, jeśli trzeba, sporządzić mapę. Wtedy on zapytał: A możesz także chodzić po wodzie czy potrzebujesz łodzi? I wszyscy w gospodzie ryknęli śmiechem. Ale kazał mi iść ze sobą do pana Tollivera, kapitana

okreću flagowego „Sea Adventure”. Powitał mnie uprzejmie i poprosił, żebym mu pokazał swe umiejętności. Tak i zrobiłem i on był ukontentowany tym, że potrafię wszystko robić z wielką biegłością, przeto podpisałem kontrakt jako ogniomistrz, z żołdem i szyling 4 pensy diem.

„Wyruszyliśmy drugiego czerwca roku dziewiątego. Po „Groene Draeck” okręt wydał mi się prawie pałacem jakiegoś lorda, tak był przestronny i doskonale wyposażony, i jedzenie dużo lepsze, żadnego sera holenderskiego i ryb i wina reńskiego, tylko dobre piwo i angielska wołowina, więc bardzo mi był kontent. Zaprzyjaźniłem się z panem Tolliverem i nauczyłem się od niego jeszcze więcej o sztuce kompasu i użyciu kwadrantu Davisa i jak odczytać szerokość geograficzną z gwiazd, co było najtrudniej wykonać należycie. Był najdziwniejszym człowiekiem, jakiegom w życiu spotkał, bo nie wierzył w łaskę Bożą i uważał, że wybór pomiędzy wiarą przesądnych papistów a Kościołem zreformowanym nie jest wart złamanego szylinga, i był przekonany, że Bóg stworzył świat i zostawił go samemu sobie, jak ta żona, co wystawia ciasto, żeby ostygło, i obchodzimy go tyle co nic. Spieraliśmy się o takie sprawy podczas nocnej wachty aż do świtu, ale do niczego nas to nie zawiodło, bo nigdyśmy się nie zgodzili, jako że nie szanował wcale Pisma Świętego. Byleś przy tym, pytał, kiedy to pisali? Te? No to skąd wiesz, że to Słowo Boże, a nie napisane przez takiego samego głupca jak ty? Nie bał się także ogni piekielnych, mówił, że nigdy nie widział diabła ani anioła, ani nie spotkał nikogo (oprócz paru obłąkanych), co by widział. Uważał, że Kościół nie szkodzi większości rodzaju ludzkiego, i chodził chętnie na mszę w niedziele, ale nie zważał, co to było za nabożeństwo, ani nie słuchał kazania. Gdyby Król miłościwy powiedział: Czcij zwykły kamień albo papieża - z radością by to robił. Dla niego było to wszystko jedno i zdumiewało mnie to, no bo jak cały świat mógł uważać te sprawy za najważniejsze ze wszystkich spraw, a on jeden nie. On, zacny, poczciwy człek w przytomności umysłu.

Matka Crosettiego, Mary Margaret Crosetti (powszechnie znana jako Mary Peg), odznaczała się kilkoma cechami użytecznymi zarówno dla wykwalifikowanej bibliotekarki, jak i dla matki, w tym zdumiewającą pamięcią, umiłowaniem prawdy, skrupulatnością i niezwykłym wyczuleniem na kłamstwo. Tak więc, choć starała się zapewnić synowi prywatność należną dorosłemu mężczyźnie, codzienne życie w niewielkim bungalowu w Queens obfitowało w dostateczną ilość macierzyńsko synowskich interakcji, by mogła sobie w każdym momencie wyrobić opinię o jego stanie ducha. Przed dziesięcioma dniami stan ów był szczególnie doskonały. Al miał skłonności do napadów złego humoru, lecz przez dzień czy dwa śpiewał pod prysznicem i promieniał wewnętrznym zadowoleniem. Zakochał się, pomyślała z mieszaniną radości i niepokoju, jaką tego rodzaju spostrzeżenie budzi u większości rodziców. A zaraz potem dostrzegła u syna załamanie. Rzuciła go, wywnioskowała i pomyślała jeszcze, że owa niezwykła euforia skończyła się równie niezwykle szybko.

- Martwię się o niego wyznała przez telefon najstarszej córce. - Albert nie jest sobą.

- Zawsze go porzucają, mamó powiedziała Janet Keene, która była nie tylko główną zaufaną matki, lecz także psychiatrą z zawodu. - Przejdzie mu.

- Nie widziałas go, Janet. Porusza się niczym zombi. Kiedy wraca z pracy, wygląda jak po harówce w kopalni soli. Nie je, kładzie się spać o wpół do dziewiętej to nie jest normalne.

- No cóż, mogę na niego rzucić okiem... zaczęła Janet.

- Jak na pacjenta?

- Nie, mamó, to jest zabronione, ale jeśli chcesz poznać opinię kogoś stojącego z boku...

- Posłuchaj, kochanie, wiem, kiedy moje dzieci wariują, a kiedy nie; on nie wariuje to znaczy nie tak do końca. Przyrządzę w sobotę dobre śniadanie, posadzę go przy stole i wyciągnę z niego wszystko. Co ty na to?

Janet, która w swoich najbardziej szalonych fantazjach zawodowych nie mogła sobie wyobrazić, aby jej matka zdołała skłonić kogokolwiek do wyznań, wygłosiła kilka zdawkowo pochwalnych uwag. Tego właśnie oczekiwała Mary Peg, dzwoniąc z prośbą o radę, i Janet spełniła swój obowiązek. Uważała, że to, czego potrzebuje jej braciszek, to dziewczyna, porządna praca i wyrwanie się spod opiekuńczych skrzydeł matki, w takiej właśnie kolejności, ale nie chciała na ten temat dyskutować. Ona sama i jej dwie siostry wymknęły się spod matczynej kurateli przy pierwszej nadarzającej się okazji, nie dlatego, żeby nie kochały matki; po prostu uważały, że rzuca na ich życie zbyt głęboki cień. Biedny Al!

Samopoczucie Mary Peg zawsze poprawiało się znacząco po zasięgnięciu fachowej rady u Janet, szczególnie gdy opinia córki pokrywa się z jej zdaniem. Była jednym z siedmiorga dzieci motorniczego metra i rzecz nietypowa dla dziewczyny z jej środowiska uległa pokusie lat sześćdziesiątych i przeszła cały kontrkulturowy szlak: zespół rockowy, komuna hipisowska w Kalifornii, trochę narkotyków, przypadkowe kontakty seksualne by z lekkim poczuciem wstydu powrócić do prawdziwego życia, to znaczy uzyskać w City College tytuł magistra bibliotekoznawstwa. Jej rodzice nie znali najbardziej szalonego etapu tej historii, bo w przeciwieństwie do wielu ówczesnych rówieśników nie odgrywała się na starszym pokoleniu; kłopoty, jakie sprawiła sama sobie, całkowicie jej wystarczały. Ale zawsze

czuła to dławiące katolickie poczucie winy, że oszukiwała rodziców, i postanowiła, że kiedy dochowa się własnych dzieci, w jej rodzinie nie będzie miejsca na międzypokoleniowe kłamstwa. Czasem myślała sobie, że właśnie dlatego wyszła za policjanta.

Zgodnie z planem przygotowała dobre śniadanie. Syn przyczłapał do stołu, wypił trochę świeżego soku pomarańczowego, zjadł kilka kęsów francuskiej grzanki i oznajmił, że dziękuje, ale nie jest głodny, na co Mary Peg zastukała łyżeczką w szklanę, z wprawą imitując alarm pożarowy. Al podskoczył i wlepił w nią wzrok.

- Okay, wyrzuć to z siebie, koleś! - powiedziała, przygwoździwszy go wzrokiem o barwie płomienia gazowego i równie palącym.

- Co?

- Jeszcze się pyta! Od prawie dwóch tygodni odstawiasz *Noc żywych trupów*. Myślisz, że nie widzę? Jesteś wrakiem.

- To nic takiego, mamoo...

- Wręcz przeciwnie. To ta dziewczyna... jak jej tam... Carol.

- Carolyn. - Głębokie westchnienie.

- Właśnie. Wiesz, że się nigdy nie wtrącam w prywatne życie moich dzieci...

- Coś takiego.

- Nie bądź bezczelny, Albercie! - już łagodniejszym tonem: - Poważnie, zaczynam się o ciebie martwić. Zrywałeś już z dziewczynami, ale nigdy nie zachowywałeś się tak dziwacznie jak teraz.

- To nie zerwanie, mamoo. To... nie wiem, jak to nazwać. Na tym polega problem. Mieliśmy jedną randkę, bardzo miłą, ale potem ona... chyba zniknęła.

Mary Peg sączyła kawę i czekała; parę minut później znalazła już całą tę historię, powikłaną opowieść o Rolly, manuskrypcie i profesorze Bulstrodzie. Swego czasu mąż relacjonował jej mnóstwo przesłuchań, bo w odróżnieniu od większości detektywów nie uważał swej małżonki za zbyt wrażliwą; ona też się za taką nie uważała. Wiedziała doskonale, jak wydobyc prawdę: gotowością wysłuchania, słowem zachęty. Była poruszona wiadomością, że jej syn nakłaniał do czegoś, co osoba nieprzychylna mogłaby uznać za przestępstwo; nie podobało jej się także to, co

usłyszała o panie Rolly. Powstrzymała się jednak od komentarzy, a syn doszedł tymczasem do etapu, który nastąpił po ich pierwszej randce. Oczywiście opuścił co bardziej soczyste szczegóły, ale ona była kobietą na tyle doświadczoną i obdarzoną wyobraźnią, żeby dośpiewać sobie resztę.

- No więc, jak już mówiłem, było bardzo przyjemnie i czułem się doskonale. Następnego dnia poszedłem do pracy, spodziewając się, że ją tam zobaczę, ale jej nie było. Zapytałem o nią Glasera. Wyjaśnił mi, że dzwoniła i powiedziała, że musi na parę dni wyjechać z miasta. Pomyślałem, że to trochę dziwne, toaczy sądziłem, że coś się między nami zaczęło, że zadzwoni przede wszystkim do mnie, ale, tak jak mówiłem, jest to dość niezwykła osoba. Byłem więc spokojny. W każdym razie nadszedł dzień, kiedy miała wrócić, ale się nie zjawiła. Pan Glaser zadzwonił do niej telefon wyłączony. Trochę się zaniepokoiiliśmy. Powiedziałem mu, że po pracy pojedę zobaczyć, co się dzieje. Kiedy znalazłem się na jej ulicy, przed domem stała wielka śmieciarka, a ekipa śmieciarzy buszowała po całym budynku. Tego właśnie dnia kończyli robotę. Zauważyłem, że zamontowali taką wielką rynną, którą spuszcza się różne odpadki do kontenera, i ta rynna była przystawiona do jej okna na najwyższym piętrze. Rozmawiałem z szefem ekipy, ale nic nie wiedział. Zadzwonili do niego z administracji budynku, że jest pilna robota, budynek ma być оголоzony i przygotowany do renowacji. Podał mi nazwę firmy, ale nie pozwolił wejść do środka. Jak już ci mówiłem, Carolyn zrobiła sobie meble z palet, piękna robota, i teraz to wszystko, stół do pracy i cała reszta, leżało roztrzaskane. Czułem się tak, jakbym patrzył na jej zwłoki.

Wydawało się, że Crosetti drży na całym ciele. Przesuwał widelcem grzanekę po talerzu.

- W każdym razie nie mogłem nic zrobić i byłem kompletnie oszołomiony. Odszedłem stamtąd i zauważyłem, że ulica i chodnik usiane są strzępami papieru. Mocno wiało, mniejsze kartki sfruwały z samochodu albo lądowały między rynną i stertą śmieci na ciężarówce. Szedłem więc, schylając się co chwila jak idiota, żeby podnieść te papiery, i myślałem sobie: Ach, pewnie by chciała to zatrzymać, zdjęcie, pocztówkę, cokolwiek było to głupie, bo przecież gdyby chciała, zabrałaby wszystko ze sobą.

Wyciągnął portfel i pokazał jej złożoną pocztówkę i zdjęcie.

- Żałosne, co? Że noszę przy sobie te rzeczy. Takie magiczne myślenie: jeśli zatrzymam coś, co do niej należało, to zachowam z nią jakiś kontakt, a ona nie zniknie...

Schował kartkę i zdjęcie z powrotem do portfela i spojrzał tak bezradnie, że Mary Peg musiała powściągnąć atawistyczną chęć, by nie wziąć go na kolana i nie pocałować w czoło. Zamiast tego spytała:

- A co z tymi sławetnymi tomami? Myślisz, że zabrała je ze sobą?

- Mam nadzieję. Nie widziałem ich. Ale chyba leżały na dnie ciężarówki. To byłaby ironia losu, jak ten złoty piasek w *Skarbie Sierra Madre*.

Ostatnie zdanie sprawiło, że Mary Peg poczuła się troszkę lepiej; jeśli robił aluzje do filmów, to znaczy, że nie był aż tak załamany.

- Zadzwońeś oczywiście do administratora budynku?

- Jasne. Poszedłem nawet do biura. Zarząd Budynków Mieszkalnych, Borough Hill na Brooklynie. Recepcjonistka, która nie miała o niczym pojęcia, i szef, którego nigdy nie ma. Kiedy go w końcu złapałem przez telefon, powiedział, że nie zna żadnej Carolyn Rolly i że najwyższe piętro nie było nigdy wynajmowane jako lokal mieszkalny, a w każdym razie nie miało odpowiedniego certyfikatu, żeby je zasiedlić, i właśnie dlatego opróżniali budynek. Zapytałem, kto jest właścicielem domu, lecz odpowiedział, że to informacja poufna. Pewne konsorcjum, wyjaśnił. Potem zadzwoniłem do profesora Bulstrode'a i sekretarka z wydziału powiedziała, że poprzedniego dnia wyjechał do Anglii i że nie wiedzą, kiedy wróci. Zaproszeni profesorowie mogli wyjeżdżać i wracać, kiedy chcieli, jeśli nie mieli zaplanowanych wykładów, a on akurat nie miał. Jest lato. Nie chciała mi dać jego numeru w Oksfordzie. Rzucił jej spojrzenie tak ponure, że aż zakłuło ją w sercu. - Nie wiem, co robić, mamo. Myślę, że coś jej się stało. I że w jakimś sensie to moja wina.

- Daj spokój, to bzdura. Jeśli coś złego zrobiłeś, to tylko to, że dałeś się wciągnąć w te jej kombinacje. Słuchaj, wiem, że zakochałeś się w dziewczynie, ale czemu wykluczasz, że po prostu czmychnęła ze swoją nieuczciwie zarobioną forszą?

- Nieuczciwie zarobioną forszą? Mamo, przecież nie włamała się do sklepu z alkoholem. Jest introligatorem. Naprawiała piękny komplet książek, które właściciel

oddał jej jako makulaturę. Glaser nie stracił na tym ani centa; chciał tylko pieniędzy, które dostałby za sprzedaż druków...

- Nie zapominaj, że ich nie dostał.

- Wcale jej nie usprawiedliwiam, ale jeśli nawet jest oszustką, to szczególnego rodzaju. Pewnych rzeczy nigdy by nie zrobiła, nie oszukiwałyby Glasera. Miała co prawda pewien pomysł, który naprawdę chciała zrealizować, i... nie widziałas jej mieszkania; stworzyła mały świat w tym obskurnym lofcie na Red Hook, wykonała wszystko własnoręcznie, to było jej miejsce pracy, a praca była dla niej wszystkim. Nigdy by jej nie rzuciła ot tak sobie.

- Nie wiem, kochanie, ale mam wrażenie, że to bardzo nieobliczalna młoda kobieta i trochę... powiedzmy, niezrównoważona. Jak wynika z jej słów, była kiedyś okropnie maltretowana. I mówiłeś, że jest w pewnym sensie uciekinierką - może to zaważyło? Widzę, że się nie zgadzasz.

- Nie. I nie jestem też pewien, jak to jest z tą jej przeszłością. Przeszukałem cały Internet. Można by przypuszczać, że historia o facecie imieniem Lloyd, który przez dziesięć lat więzi Carolyn Rolly, wykorzystując ją seksualnie, powinna wywołać jakieś komentarze, ale nic nie znalazłem. Zadzwoiłem do redakcji „Kansas City Star”, „Wichita Eagle” i kilku innych gazet w Kansas i zero: nikt nie słyszał o takiej historii. Powiedzmy, że mogła zmienić nazwisko, ale tak czy inaczej... No więc zadzwoniłem do Patty.

Mary Peg dostrzegła na twarzy syna cień zakłopotania i pomyślała, że to całkiem naturalne. Patricia Crosetti Dolan, jej druga córka, poszła w ślady ojca i została detektywem trzeciego stopnia w policji nowojorskiej. Funkcjonariuszom z Nowego Jorku nie wolno prowadzić prywatnych dochodzeń dla rodziny, ale wielu i tak to robi. Mary Peg przy okazji różnych swoich badań korzystała od czasu do czasu z pomocy córki i była za to ostro karcona przez syna, a tu proszę!

Powstrzymała się jednak od chełpliwych uwag, zadowolając się prostym, ale znaczącym „och!”.

- Tak. Poprosiłem ją, żeby sprawdziła w kartotece, czy Carolyn jest poszukiwana.

- No i...?

- Nie jest notowana, w każdym razie nie jako Carolyn Rolly.

- Uważasz, że kłamała? Z tym wujem i z ucieczką?
- Tak myślę. Bo jak inaczej to wytłumaczyć? I to mnie już całkiem załamało. Bo... ja naprawdę lubię tę dziewczynę, to jakaś chemia, no wiesz. Zawsze opowiadaliście z tatą, że gdy zobaczyliście się pierwszy raz w Bibliotece Rego Park, po prostu z miejsca wiedzieliście. Z nami było tak samo.

- Tak, kochanie, ale u nas było to obopólne. Nie spakowałam się i nie dałam nogi po pierwszej randce.

- Myślałem, że w naszym przypadku też tak będzie. Przypuszczałem, że to jest właśnie to. A jeśli nie, jeśli sobie to wszystko uroiłem...? Czy to znaczy, że zwariowałem?

- Daj spokój, nie jesteś żadnym wariatem, zapewniam cię. Gdybyś zaczął świrować, pierwsza bym ci to powiedziała. I tego samego oczekuję od ciebie, kiedy pojawi się u mnie demencja starcza. Klasnęła w dłonie, jakby chciała pokazać, że to naprawdę odległa perspektywa, i zapytała: A tymczasem co z tym zrobimy?

- My?

- Jasne. Słuchaj, wszystko najwyraźniej obraca się wokół tego profesora Bulstrode'a. Co o nim wiemy?

- O czym ty mówisz, mamó? Co ma wspólnego Bulstrode ze zniknięciem Carolyn? On kupił rękopis, Carolyn zniknęła. Koniec historii. Co prawda trochę o nim przeczytałem i ustaliłem, że jest kimś w rodzaju czarnej owcy. Tu opowiedział o słynnym oszustwie z quarto, które zresztą Mary Peg przypadkiem pamiętała.

- Ach, to ten! zawołała. No cóż, intryga się zagęszcza, nie uważasz? Teraz trzeba zaangażować w to Fanny. Właściwie to od tego powinieneś być zacząć.

Patrzył na nią tępo, a ona ciągnęła:

- Chyba nie sądzisz, Albercie, że Bulstrode naprawdę przetłumaczył ci to, co było w listach? Jest oczywiste, że kłamał. Jak twierdzisz, coś ci mówiło, że zostałeś wykiwany, i nie sprzedałbyś mu tego rękopisu, gdyby dziewczyna nie wzięła cię na litość i nie nagadała tych wierutnych kłamstw. Działali w porozumieniu.

- To niemożliwe, mamó.

- Ale to jedyne wyjaśnienie. Posłużyła się tobą. Przykro mi, kochanie, ale często tak bywa, że zakochujemy się w niewłaściwych osobach: to dlatego Amor nosi łuk i strzały, a nie zestaw testów psychologicznych. Ja z pewnością popełniałam za młodu ten błąd, i to niejedną raz.

- Na przykład? - zainteresował się Crosetti.

Szalona przeszłość Mary Peg była przedmiotem fascynacji wszystkich jej dzieci, lecz ona sama wspominała o niej tylko w formie drobnych dygresji, tak jak teraz. Na wszelkie pytania odpowiadała nieodmiennie: „Ja to już wiem, a wy jeszcze się dowiecie”.

- Tak czy inaczej, mój chłopcze dodała zadzwonię zaraz do Fanny i ustalimy termin. Możesz się z nią spotkać w poniedziałek po pracy.

Przeciw czemu Crosetti nie miał żadnych argumentów.

O szóstej po południu wyznaczonego dnia stawił się z tubą w dziale rękopisów Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Zastał Fanny Dubrowicz przy biurku. Była drobną kobietką, metr pięćdziesiąt wzrostu, z sympatycznie brzydką twarzą mopsa i bystrymi piwnymi oczami, które kryły się za grubymi szklami okrągłych okularów. Matowe siwe włosy wiązała w koczek i spinała żółtym ołówkiem. Przyjechała do Stanów z Polski jako sierota wojenna i przepracowała wśród książek ponad pół wieku, z czego większość w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej; od mniej więcej dwudziestu lat specjalizowała się w manuskryptach. Crosetti znał ciocię Fanny od urodzenia i uważał ją za najmądrzejszą osobę wśród swoich znajomych, choć gdy komplementował jej encyklopedyczną wiedzę, śmiała się zawsze i z zabawnym akcentem mówiła: „Kochanie, ja nie wiem nic; wiem tylko, gdzie czego szukać”. Kiedy był dzieckiem, próbował z siostrami znaleźć coś, czego ciocia Fanny mogłaby nie wiedzieć (ile butelek coca-coli sprzedano w Ashtabuli w 1928 roku?), ale ona zawsze triumfowała i co więcej opowiadała ciekawie, w jaki sposób zdobyła tę informację.

Tak więc pozdrowienia, pytania o siostry, o matkę, o niego samego (choć Crosetti był pewien, że Mary Peg o wszystkim ją wyczerpująco poinformowała) i do rzeczy. Wyciągnął z tuby zwinięte w rulon kartki i wręczył je Fanny. Zaniósł je na duży stół i ułożyła w trzech długich rzędach: kopie tego, co sprzedał Bulstrode'owi, i to, co zostawił sobie z oryginałów.

Kiedy już je uporządkowała, zaskoczona wyrzuciła z siebie kilka słów po polsku, jak przypuszczał.

- Albercie, czy te osiemnaście arkuszy... to oryginały?

- Tak, wyglądają na zaszyfrowane listy. Nie sprzedałem ich Bulstrode'owi.

- I zwinąłeś je jak jakiś kalendarz? Jak mogłeś?

Odeszła na chwilę i wróciła z plastikowymi koszulkami, do których powsuwała zaszyfrowane kartki.

- No dobrze powiedziała. Zobaczmy teraz, co tu mamy.

Długo przyglądała się kopiom, oglądając każdą kartę przez wielką prostokątną lupę. W końcu oświadczyła:

- Interesujące. Są tu trzy oddzielne dokumenty. Kopie dwóch różnych i do tego oryginał.

- Tak, zdążyłem się już zorientować. Te cztery karty to z całą pewnością korekta jakichś kazań i to mnie nie interesuje. Reszta to list tego Bracegirdle'a.

- Aha. I właśnie ten list sprzedałeś Bulstrode'owi, jak mi powiedziała twoja matka.

- Tak. Przykro mi, Fanny. Powinienem był przyjść od razu do ciebie.

- To prawda. Twoja droga mateczka uważa, że zostałeś oszukany.

- Wiem.

Pogłaskała go po ramieniu.

- Zobaczmy. Pokaż mi to miejsce, w którym twoim zdaniem jest wzmianka o Szekspirze.

Crosetti wskazał jej odpowiedni fragment. Fanny nachyliła lampę tak, żeby smuga intensywnego światła padała prosto na papier, i przyjrzała mu się przez swoje szkła.

- Tak, to najwyraźniej pismo z epoki - oznajmiła. Miałam już do czynienia z trudniejszymi rękopisami. Przeczytała na głos fragment, pozwoli, jak tępa trzecioklasistka, a kiedy doszła do końca, wykrzyknęła: Wielki Boże!

- Niech to szlag! - zawołał Crosetti i uderzył się pięścią w udo, aż go zabolalo.

- Rzeczywiście zostałeś oszukany i wystrychnięty na dudka, jakby powiedział nasz przyjaciel - rzekła Fanny. Ile ci zapłacił?

- Trzy i pół tysiąca.
- O Boże! To skandal!
- Mogłem dostać znacznie więcej, tak?
- Jasne. Gdybyś przyszedł do mnie i ustalilibyśmy ponad wszelką wątpliwość, czy dokument jest autentyczny - a w przypadku dokumentu tego rodzaju i wagi już samo to byłoby poważnym zadaniem to nie wiadomo nawet, jaką cenę osiągnąłby na aukcji. My prawdopodobnie nie bralibyśmy w tym udziału, bo to nie nasza liga, ale Folger i Huntington rzuciliby się na to z pewnością. Co więcej, dla kogoś pokroju Bulstrode'a posiadanie, i to na wyłączność, czegoś takiego jest samo w sobie gwarancją kariery. Nic dziwnego, że cię oszukał! Musiał się natychmiast zorientować, że ten rękopis przywraca mu centralne miejsce wśród szekspirologów. Nikt nie wspomniałby więcej o tym nieszczęsnym fałszerstwie. To by było jak eksplozja, która otwiera całkowicie nowe pole do badań. Od lat toczy się spór o religię wyznawaną przez Szekspira i o jego poglądy polityczne, a tu mamy wysokiego urzędnika angielskiego rządu podejrzewającego go nie dość, że o papizm, to jeszcze o papizm potencjalnie zdradziecki. A więc mamy tu cały szereg wątków: ten cały Bracegirdle, jego dzieje, ci, których znał, podróże, historia człowieka, dla którego pracował, owego lorda D. Być może w jakimś starym archiwum zachowały się dokumenty dotyczące przywilejów i prawa własności. A ponieważ wiemy, że Szekspir nie został właściwie nigdy o nic oskarżony, chcielibyśmy wiedzieć dlaczego. Czy był może chroniony przez kogoś potężniejszego od lorda D.? I tak dalej, i tak dalej. Mamy też zbiór zaszyfrowanych listów, najwyraźniej relacjonujących potajemne obserwacje Williama Szekspira, prawdziwy, szczegółowy opis działalności tego człowieka dokonany przez jakiegoś szpiega - niewyobrażalny skarb sam w sobie, jeśli uda się to odczytać, a wierz mi, specjaliści od kryptografii będą walczyć na śmierć i życie, żeby się do tego dorwać. Przynajmniej w tym wypadku dysponujemy oryginałem.

Fanny osunęła się na oparcie krzesła i wbiła wzrok w kasetonowy sufit, wachlując się dramatycznie dłonią i zanosząc przenikliwym, szczekliwym śmiechem. Było to zachowanie znane Crosettiemu od dzieciństwa; zawsze tak reagowała, gdy dzieci przychodziły do niej z czymś, co wydawało im się absolutnie nierozwiązywalną zagadką.

- Drogi Albercie, wszystko to, jakkolwiek kuszące, jest drobiazgiem w porównaniu z prawdziwym skarbem.

Crosettiemu zaschło w gardle.

- To znaczy, że rękopis Szekspira naprawdę może istnieć?

- Tak, i to nie wszystko. Zobaczmy, czy autor podaje gdzieś datę. - Wzięła lupę i zaczęła przeglądać papiery jak ptak wypatrujący umykającego żuka. - No tak, jest tu data, tysiąc sześćset ósmy rok, a tu... ach, tak, chyba zaczął swoją szpiegowską karierę około tysiąc sześćset dziesiątego. Czy rozumiesz znaczenie tej daty, Albercie?

- *Makbet*?

- Nie, nie, *Makbet* to rok tysiąc sześćset szósty. Wiemy, jak doszło do jego powstania i że nie byli w to zamieszani żadni tajemniczy Braccigirdle'owie. Tysiąc sześćset dziesiąty to rok, w którym powstała *Burza*, a potem oprócz drobnych utworów, współautorstwa i tym podobnych rzeczy Szekspir nie napisał już żadnej sztuki, a to oznacza...

- O Boże! Że istnieje nieznaną sztuką!

- Nieznana, nieodnotowana, nieoczekiwana sztuka Williama Szekspira. W rękopisie. - Przyłożyła rękę do piersi. Och, moje serce... Kochanie, jestem trochę za stara na takie sensacje. W każdym razie jeśli to autentyk, powtarzam: jeśli to autentyk, to... wiesz, że dziś nadużywamy słowa bezcenny, mając na myśli bardzo drogą rzecz, ale coś takiego byłoby rewelacją samą w sobie.

- Wartą miliony?

- Ba! Setki... setki milionów. Sam manuskrypt, gdyby okazał się autentyczny, byłby z pewnością najdroższym rękopisem na świecie, być może najwartościowszym przedmiotem tych rozmiarów, porównywalnym tylko z największymi arcydziełami malarstwa. A ten, kto byłby jego posiadaczem, miałby do niego prawa. Nie znam się na tym, ale tak przypuszczam. Spektakle teatralne... każdy reżyser i inscenizator na świecie sprzedałby własne dzieci za prawo premierowego wystawienia tej sztuki, nie mówiąc już o filmach! Z drugiej strony nie ma co budować zamków na piasku, to wszystko może być wyrafinowanym oszustwem.

- Oszustwem? Nie rozumiem - kto miałby kogo oszukiwać?

- Przecież wiesz, że Bulstrode dał się kiedyś nabrać sprytnemu fałszerzowi. Może uznali, że dojrzał już do kolejnej próby.

- Naprawdę? Powiedziałbym raczej, że to ostatni człowiek, który by się zdecydował na podobne ryzyko. Kto by mu uwierzył? Chodzi o to, że jego wiarygodność została podkopana; dlatego tak rozpaczliwie chciał ją odzyskać.

Fanny roześmiała się.

- Powinieneś od czasu do czasu odwiedzić któreś z kasyn Foxwoda. Gdyby ci, którzy dużo stracili, nie starali się tego, jak to ująłeś, rozpaczliwie odzyskać, to nigdy by się nie zbliżali do ich drzwi. Oczywiście gdybym to ja była oszustem, nie próbowałabym nawet knuć takiej intrygi.

- Dlaczego?

- No, bo jak byś, kochany, sfabrykował sam skarb? Samą sztukę? Co inne

go fałszowanie quarto *Hamleta*. Mamy *Hamleta*, mamy jego podróbki i mamy

pewne pojęcie o źródłach tej sztuki. I tekst nie musi mieć wcale szczególnej wartości. Miejscami nie musi nawet mieć sensu; fałszywe quarta często go nie mają. Wiesz, co to jest złe quarto, prawda? No dobrze, a więc wyobraź sobie, że w tym wypadku sytuacja jest całkiem inna. Musiałbyś wymyślić całą sztukę napisaną przez największego dramaturga wszech czasów w okresie jego szczytowej pisarskiej formy. To niemożliwe. Ktoś już tego raz próbował.

- Kto?

- Głupi człowieczek nazwiskiem William Henry Ireland w osiemnastym wieku. Jego ojciec był uczonym i Willie chciał mu zaimponować, więc zaczął odnajdywać w starych kufrach dokumenty dotyczące Szekspira. Kompletny idiotyzm, ale przy ówczesnym stanie badań i nauki wielu ludzi dało się nabrać. Było mu mało, musiał znaleźć nieznaną sztukę Szekspira i znalazł potworka pod tytułem *Vortigern*, a Kemble wystawił go w teatrze Drury Lane. Oczywiście publiczność to wygwizdała. Tymczasem wielki uczony Malone określił wszystkie inne manuskrypty jako fałszerstwa i cała sprawa upadła. Ireland był durniem i zdemaskowanie go nie nastąpiło. Pascoe, ten, który nabrał Bulstrode'a, był znacznie sprytniejszy, ale to, o czym mówimy, jest całkiem inną sprawą. Nie mógłby to być zwykły pastisz, musiałby to być Szekspir, a on nie żyje.

- A więc twoim zdaniem to coś poważnego.

- Tego nie mogę powiedzieć, nie widząc oryginału. Na razie przepiśże ci listy Bracegirdle'a w Wordzie, więc nie będziesz musiał się uczyć pisma z epoki Jakuba i będziesz mógł przeczytać, co autor miał do powiedzenia. Sporządę też inny dokument na podstawie tych rzekomo zaszyfrowanych listów, żebyś mógł przynajmniej zobaczyć, jak coś takiego wygląda. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zatrzymać te listy i poddać je paru podstawowym testom. Gdyby się okazało, że nie pochodzą z siedemnastego wieku, moglibyśmy się tylko pośmiać i zapomnieć o wszystkim. Więc najpierw je sprawdzę i jeśli okażą się autentycznymi, prześlę ci dwa dokumenty e-mailem. Podam ci też nazwisko znajomego, który interesuje się szyframi i podobnymi rzeczami. Jeśli uda nam się to rozwiązać, uzyskamy pewną przewagę nad Bulstrode'em, bo on tego nie ma, a zaszyfrowane listy mogą zawierać informację o miejscu, w którym ukryty jest autograf sztuki, rozumiesz?

Crosetti rozumiał.

- Dziękuję, Fanny. Czuję się jak ostatni dureń.

- Wiem, ale, jak mówiłam, nie wszystko jeszcze stracone. Z przyjemnością spotkałabym się z tym profesorkiem i wygarnęła mu, co myślę o jego brudnych sztuczkach. Zacznę od przepisania zaszyfrowanego tekstu. Nie powinno mi to zabrać dużo czasu. Zaczekasz?

- Nie, muszę wracać do pracy. Nie wiem zbyt wiele o szyfrach, ale może w tym wypadku wystarczy dokonać prostego podstawienia. Nie mogli być w tamtych czasach aż tak wyrafinowani.

- Och, zdziwiłbyś się! Zachowały się stare szyfry francuskie sprzed rewolucji, których nigdy nie udało się złamać. Ale może dopisze nam szczęście.

- Co to za spec od szyfrów, o którym wspomniałaś?

- Klim? To też Polak, ale z nowszej emigracji. Był kryptoanalitykiem w WSW w Warszawie, to znaczy w kontrwywiadzie wojskowym. Teraz jeździ karawanem. Jeśli zostawisz mnie na chwilę, to zaraz się zajmę robotą. I nie myśl o sobie tak źle, Albercie. Ostatecznie chodzi tu o kobietę, a ty jesteś jeszcze młody.

Czuając się jednak tak starym jak Fanny, Crosetti wyszedł zgarbiony z biblioteki i pojechał autobusem do antykwariatu. Pracowała w nim nowa dziewczyna, Pamela, prawdziwa absolwentka Barnarda. Niska, atrakcyjna, dobrze ubrana intelektualistka,

miała narzeczonego na Wall Street. Było tak, jakby Carolyn nigdy tu nie postawiła stopy, jeśli nie liczyć napomknienia Gläsera, że zniknęła, nie mówiąc mu, co się stało z rycinami z *Podróży* Churchilla. Tego dnia jednak, gdy Crosetti wszedł do księgarni, Gläser pozdrowił go i zaprosił do swojego maleńkiego gabinetu na zapleczu.

- Pewnie zainteresuje cię wiadomość, że Rolly się odezwała powiedział. Rzuć na to okiem.

Podał mu elegancką, miłą w dotyku kopertę, najwyraźniej zagraniczną. Były na niej brytyjskie znaczki i stempel londyńskiej poczty. W środku znajdował się list napisany piękną kaligrafią Rolly, czarnym atramentem na grubym, kremowym papierze. Krew uderzyła Crosettiemu do głowy, poczuł gorąco i bolesne ukłucie; z trudem się powstrzymał, by nie podnieść listu do nozdrzy i go nie powąchać.

Drogi Sidneyu!

Wybacz, że zostawiłam Cię w tak krytycznej sytuacji i że nie skontaktowałam się z Tobą, żeby poinformować, co się ze mną dzieje. Nie wiedziałam, kiedy znów otworzysz antykwariat, więc uznałam, że nie sprawię Ci kłopotu swoim zniknięciem i że będziesz miał czas poszukać kogoś na moje miejsce. Mimo to zachowałam się niezbyt grzecznie, nie dzwoniąc, za co przepraszam. Tak się złożyło, że miałam pilny telefon z Londynu; wezwano mnie w ważnych sprawach rodzinnych, co potem okazało się dla mnie szansą kariery, więc chyba już tu zostanę. Dobra wiadomość dla Ciebie: udało mi się sprzedać mapy i ryciny ze zniszczonego Churchilla za cenę znacznie, moim zdaniem, wyższą, niż uzyskalabym na rynku amerykańskim 3200 funtów! Wydaje mi się, że mają tu nienasycony apetyt na ryciny dobrej jakości z okresu ich wielkiej chwały. Załączam przekaz pieniężny na 5712,85 dolarów. Wszystkie koszty pokryłam z własnej kieszeni, żeby zrekompensować Ci straty, jakie mogłeś ponieść.

Pożegnaj ode mnie swoją małżonkę i Alberta. Byliście dla mnie wszyscy mili, bardziej, niż na to zasłużyłam.

Serdecznie pozdrawiam Carolyn Rolly

Crosetti oddał list Glaserowi, czując ucisk w żołądku. Musiał głośno odchrząknąć, zanim wydobyl z siebie głos.

- No cóż. Dobrze, że się jej powiodło. Nie wiedziałem, że ma rodzinę w Anglii.

- A tak odparł Glaser. Wspomniała kiedyś, że jej nazwisko brzmiało pierwotnie Raleigh, jak u sir Waltera Raleigh, i sugerowała, że ma z nim jakieś rodzinne związki. Może odziedziczyła rodowy zamek. Zresztą nieźle sprzedała te ryciny. Zawsze uważałem, że nasza Carolyn mierzy wyżej i nie będzie wiecznie pracować w antykwariacie. Czy wydrukowałeś te zawiadomienia o aukcji, o które cię prosiłem?

- Rano. Powinny być w pana skrzynce odbiorczej.

Glaser skinął głową, wymamrotał podziękowanie i wyszedł, a Crosetti powlókł się do swojej jaskini. Była teraz przyjemniejszym miejscem pracy niż przed pożarem, bo firma ubezpieczeniowa zapłaciła za gruntowną renowację, w tym zamontowanie stalowych półek i zakup nowego komputera marki Dell z najnowszymi urządzeniami peryferyjnymi. W piwnicy pachniało teraz farbą i klejem do płytek, a nie kurzem i fryturą, ale te korzystne zmiany nie wpłynęły na poprawę nastroju Crosettiego. Za każdym razem, kiedy w jego mentalnym teatrze padało pytanie: „Jak mogła?”, natychmiast pojawiała się odpowiedź: „Frajerze! Miałeś jedną randkę. Czego oczekiwałeś? Dozgonnej miłości? Trafiła się jej lepsza okazja i zwiła”. Z drugiej strony głęboko wierzył, że ciało nigdy nie kłamie, i nie mógł się pogodzić z faktem, że Rolly okłamała go w ten sposób tamtej nocy. Była kłamczucha, pewnie, ale nie mógł pojąć takiego oszustwa. Dlaczego to zrobiła? Żeby się odwdzięczyć za miły wieczór? Nie widział w tym sensu.

A skoro już mowa o kłamstwach, ciągnął wewnętrzny głos, to ten list jest jedną wielką lipą. Wiemy, że nie porozdzielala tych woluminów, a zatem nie sprzedała rycin. Był tego tak pewien jak teorii o uczciwości ciała. A więc skąd wzięła prawie sześć tysięcy, żeby zapłacić Glaserowi? Odpowiedź: ktoś dał jej te pieniądze i opłacił podróż do Anglii, a jedynym podejrzanym był tu profesor Bulstrode, bo nie brał w tym udziału nikt inny, kto miałby takie pieniądze i kto byłby w Anglii. Pojechała tam z profesorem. Ale dlaczego? Uprawdził ją? Nie, to absurd: angielscy profesowie

nie wprowadzają ludzi, chyba że w tych bezsensownych filmach, którymi Crosetti gardził. A więc dlaczego się tam udała?

Nasuwały się dwie możliwości: jedna nieprzyjemna i jedna przerażająca. Ta pierwsza oznaczała, że Carolyn dostrzegła okazję zdobycia wielkiej forsy, wizję znalezienia skarbu w postaci manuskryptu Szekspira. Przeczytała list Bracegirdle'a i zadzwoniła do Bulstrode'a za plecami Crosettiego (to długie czekanie przed jej domem!), zaaranżowała sprzedaż rękopisu, nalegała, żeby go spieniężyć, a potem, tak to sobie lubił wyobrażać, trochę się w nim zakochała, ale nie na tyle, żeby odepchnąć szansę wydobywania się z przygniatającego ubóstwa.

Druga możliwość oznaczała, że Carolyn działała pod przymusem, że Bulstrode miał na nią jakiegoś haka, że groziło jej coś znacznie gorszego niż utrata pracy w antykwariacie czy zainteresowanie policji. Nie, to było kolejne kłamstwo policja wcale nie szukała Carolyn Rolly, w każdym razie tak twierdziła jej siostra.

A może chodziło tu o obie możliwości? Musi zdobyć nowe informacje. Tylko one pozwolą odróżnić kłamstwa od prawdy.

Gdy tylko o tym pomyślał, obrócił się energicznie na krześle w stronę komputera. Właściwie zdobył już nowe informacje, ale przez te jego smętne wahania nie przyszło mu do głowy, żeby je wykorzystać. Z tylnej kieszeni dzinsów wyjął dwie rzeczy, które podniósł z ulicy przed dawnym domem Carolyn. Zdjęcie było odbitką z zakładu fotograficznego przedstawiającą dwie kobiety i dwoje dzieci, mniej więcej czteroletniego chłopca i małą dziewczynkę. Jedną z kobiet była Carolyn Rolly, młodsza niż obecnie, z włosami upchniętymi pod czapką z daszkiem, drugą bardzo ładna blondynka. Siedziały na ławce w jakimś parku czy na placu zabaw, w letnim słońcu, wokół rosły drzewa obsypane liśćmi, rzucając na ziemię czarny cień. Dziewczyny patrzyły w obiektyw i uśmiechały się, mrużąc lekko oczy przed słońcem. Zdjęcie nie było dobre. Crosetti wiedział, że tani aparat, jakim zostało zrobione, nie mógł uchwycić kontrastu pomiędzy jaskrawym słońcem i głębokim cieniem, a więc twarze, zwłaszcza dzieci, były wyraźnie prześwietlone. Ale Carolyn przechowywała zdjęcie, a potem poszła sobie, jak gdyby raz jeszcze porzucając swe dotychczasowe życie. Przyglądał się badawczo twarzom, szukając śladów rodzinnego podobieństwa, ale miał za mało danych.

Zeskanował zdjęcie, otworzył PhotoShop i przez chwilę bawił się kontrastem, a potem załadował program, w którym już pracował i który poprawiał zdjęcia za pomocą metod statystycznych. W rezultacie można było lepiej przyjrzeć się rodzinie, bo teraz stało się jasne, że to jednak rodzina. Druga kobieta wyglądała na siostrę Carolyn albo przynajmniej bliższą kuzynkę, a dzieci były z pewnością spokrewnione z którąś z nich lub z obiema. Crosetti nie potrafił powiedzieć, skąd to wie, ale sam pochodził ze środowiska, w którym liczne rodziny były normą, a zatem odgadł instynktownie.

Na pocztówce widniał napis OBÓZ WYANDOTTE skomponowany z czegoś, co wyglądało na brzozowe gałązki; zdjęcie przedstawiało okolo-
ne świerkami górskie jezioro, przystań i kilku chłopców w kajakach. Na
odwrocie był stempel sprzed trzech lat i tekst drukowanymi literami, wy-
pisany dziecięcą ręką: *Kohana Mamusiu tu na obozie jest fajnie. Złapali-
śmy węża. Koham Cie, Emmett.* Adres wyszedł spod ręki dorosłego: *Pani H. Olerud, 161 Tower Rd., Braddock PA 16571.*

Odróciwszy się do komputera, Crosetti odszukał miejscowość na mapie: znajdowała się w zachodniej Pensylwanii, niedaleko jeziora Erie. Za pomocą Google Earth znalazł pod wskazanym adresem dach skromnego drewnianego domu z zabudowaniami w dzikim lesistym otoczeniu. Zrobił odjazd i zobaczył niby-wiejską okolicę, podobną do tych, które otaczają małe, znużone miasteczka amerykańskiej przemysłowej Północy: dwuhektarowe działki, wraki samochodów i zużyty sprzęt gospodarstwa domowego na podwórkach, sagi drewna podupadłe tereny zamieszka-
kane przez ludzi, którzy kiedyś mieli dobrą pracę w małych fabrykach lub kopalniach, a teraz ledwie znajdowali dorywcze zajęcie. Czy właśnie to środowisko spłodziło tak egzotyczne stworzenie, jakim była Rolly? Znów spojrzął na fotografię dwóch kobiet i dzieci; pożałował, że nie potrafi przenieść się o trzydzieści lat w przeszłość, w której (był tego pewien) będzie można za sprawą komputera zajrzeć do wnętrz domów i przyjrzeć się twarzom wszystkich mieszkańców planety. Na razie, żeby tego dokonać, trzeba było udać się w podróż.

Płynęliśmy przez morza przy dobrych wiatrach aż do 23 lipca, kiedy to całe niebo pociemniało jak w nocy i zerwał się potężny wichur. Cała nasza flotylla się rozproszyła i statek nasz rozbił się o skały, lecz dzięki miłosierdziu Bożemu nikt nie zginął krom trzech ludzi, wśród nich pana Tollivera, Panie świeć nad jego duszą, i teraz wszystkie jego wątpliwości były rozwiane, bo obaczył na własne oczy. Kiedy sztorm uderzył, zdjęła nas wielka trwoga, bo byliśmy blisko Bermudów, które wszyscy żeglarze zowią Wyspą Diabła, gdyż mieszkają tam dzikusy żywiące się ludzkim mięsem, tak przynajmniej się uważa. (Ale wyszliśmy na ląd, nie mając wyboru, i nie znaleźliśmy żadnych dzikusów, tylko miejsce prawie jak Raj, strumyki, łąki, drzewa obsypane owocami etc, przyjemna woń kwiatów, najśodsza. Takż cedrowego drewna w bród, zaczęliśmy więc budować dwie łodzie, które pomieściłyby nas wszystkich. Minął blisko rok, zanim wypłynęliśmy, i zyskałem sobie wielkie uznanie dzięki sterowaniu według gwiazd i słońca i dopłynęliśmy z pomocą Bożą do Jamestown 23 maja roku dziesiątego. Cała ta historyja opisana została już wcześniej w książkach pana Williama Stracheya z naszej załogi, które czytałaś, więc nie będę Ci już o tym opowiadał.

Wróciwszy do Anglii pierwszym statkiem, wylądowałem w Plymouth 6 lipca i chciałem jechać do Londynu, bo pragnąłem wymienić mój papier na złote monety w jakimś kantorze u Żyda i pokazać Twemu ojcu, żem godny starać się o Twoją rękę, moja droga Nan. Wsiadłem przeto na łódź następnego dnia, odnalazłem mojego Żyda i wyszedłem dumny z ciężką sakiewką; ale przyszedłszy do gospody Pod Człowiekiem z Żelaza, pytałem i powiedziano mi, że przed paroma miesiącami poślubiłaś Thomasa Fincha, handlarza ryb z Puddyng Lane.

Serce moje zranione zostało, bo wszystkie swoje nadzieje wiązałem z tym małżeństwem, nie mając już rodziny ni przyjaciół, ni domu. A poza tym fantazje pana Tollivera starły na proch moją starą wiarę w czystą religię i nie wiedziałem, co myśleć, choć przypuszczałem, że pewnie trafię do piekła, lecz nie dbałem o to, a w każdym razie niewiele. Takie dusze są stracone. Jednak miałem złoto i zawsze można zdobyć przyjaciół, kiedy się je ma, więc hulanka ciągnęła się tygodniami. Nie chcę Ci opowiadać, Nan, ile podłych uczynków popełniłem w owym czasie, dość, że obudziłem się pewnego ranka w łóżu ladacznicy i 2 szylingi i 5 pensy zostało mi tylko w sakiewce. Wśród moich towarzyszy od szklanicy był taki jeden Cranshaw, który mienił się dżentelmenem z wybrzeża, co się tłumaczy jako przemytnik, i powiada: Jesteś jegomość, Dick, i znasz życie, chodź, zrobimy razem fortunę, sprowadzając z Wysp Kanaryjskich białe wino i inne towary zamorskie. I tak robiliśmy przez czas jakiś. Ale ten Cranshaw lubił tak samo pić wino jak szmuglować i pracował nieudolnie, chępiąc się po tawernach etc, aż pewnej nocy straż przybrzeżna zakula nas obu w żelaza i odstawiała do Tower.

Tam pan Hastynges łaskawie przyszedł i odwiedził mnie i powiada: Chłopcze, czeka cię sznur, nic cię nie uratuje od stryczka, bo przyłapali cię z nieoclonym towarem. Co za głupiec z ciebie - dlaczego nie przyszedłeś do mnie, czy kiedyś odmówiłem ci pracy? I strasznie mi było wstyd, że upadł tak nisko. Jednak zacząłem się znów modlić, czego dawno nie robiłem, i przyniosło mi to pociechę, pomyślałem, że może łaska Boża uratuje takiego jak ja, bo przecież Chrystus Pan przyszedł zbawić grzeszników, nieludzi prawych.

To więc, Nan, wiesz już wszystko albo prawie wszystko i dla małego Richarda napisałem to, by przemówić po ojcowsku zza grobu: ale teraz powiem Ci coś, czego nie wie nikt, kromie tych, którzy tam byli, a z nich ja tylko się ostałem.

Rankiem leżałem w zgnitej słomie w żelazach i rozmyślałem, jak wielu lepszych ode mnie było tak zakutych w imię Boże, i żalowałem, że nie jestem jednym z nich, tylko głupim złodziejem, a tu przychodzi strażnik i powiada: „Wstawaj, i rozkuwa mnie, przynosi wody do umycia, strzyże mi brodę i daje nowe odzienie. Skinął ręką, żebym szedł za nim. „Wchodzimy do małej izdebki w White Tower, świeża słoma na podłodze i ogień buzuje, i krzesła, i pieczeń na stole, i wino z wysp w kubkach, a jakiś obcy mężczyzna mówi: Siadaj i posilaj się.

Ojej, przepraszam sapnęła, odsuwając się ode mnie. Pomyślisz sobie, że jestem okropna. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam.

- Instynktowna reakcja po uniknięciu o włos niebezpieczeństwa? - zasugerowałem. Coś w rodzaju dziedzicznego odruchu. Samiec ratuje samicę z opresji, a ona mu się odwdzięcza seksualnym wabikiem. Po chwili dodałem: - Jestem pewien, że to z twojej strony nic osobistego.

Miałem w duchu nadzieję, że jest wprost przeciwnie. Patrzyła na mnie w milczeniu. Otworzyłem drzwi frontowe.

- Wszystko w porządku? Nic ci się nie stało?

- Troszkę się pokaleczyłam. I otarłam sobie kolana. Au!

Oparła się o mnie. Poczulem, że drży.

- Mamy do pokonania trzy piętra uprzedziłem i objąłem ją ramieniem. Możesz chodzić?

- Nie wiem. Zrobiło mi się miękko w kolanach.

- To adrenalina. Pozwól, pomogę ci.

Wziąłem ją na ręce, żeby przenieść przez próg, niewinnie, jak pan młody świeżo

poślubioną żonę, i zacząłem wchodzić na górę. Poddawała się, nie protestując. Ja sam byłem jeszcze oszołomiony po pocałunku.

Posadziłem ją na sofie, nalałem nam koniaku, a potem poszedłem po domową apteczkę i plastikowy worek z lodem. Miranda zdjęła podarte rajstopy i podciągnęła spódniczkę, odsłaniając nagie uda. Podałem jej lód, żeby mogła go sobie przyłożyć w najbardziej posiniaczonych miejscach, a sam obmyłem i opatrzyłem jej kolana, tak jak nauczyłem się tego dawno temu w wojsku. Musiałem się nisko nachylić, żeby oczyścić skórę z ulicznego brudu. Ładunek erotyzmu, jaki wytworzyła ta żmudna czynność, był wręcz trudny do zniesienia. Moja twarz znajdowała się tak blisko, o parę cali od jej rozkosznych ud, które rozchyłały się lekko, aby umożliwić mi przeprowadzenie zabiegu. Wyobrażałem sobie, że ona czuje to samo, ponieważ uniknięcie niebezpieczeństwa jest znanym afrodyzjakiem (ten pocałunek!), ale nie mówiła nic i tylko z trudem się powstrzymywałem, by nie dać nura w mrok pod tę zadartą spódnicę. Myślę, że chciałem przedłużyć ów stan cudownego napięcia, który tak uwielbiałem, gdy zalecałem się do Amalie, i którego większość nas została pozbawiona w epoce powszechnej kopulacji.

Nie odzywała się w trakcie tych zabiegów. Kiedy założyłem jej opatrunek, podziękowała i zapytała:

- Co zrobiłeś temu zbirowi? Czy to był jakiś chwyt dżudo?

Odpowiedziałem, że wszelkie sztuki walki są mi obce, ale jestem po prostu bardzo silny, i wyjaśniłem dlaczego. Przyjęła to bez komentarzy i zapytała, czy znam kogoś z napastników.

- Oczywiście, że nie. A ty znasz?

- Nie, ale zdaje się, że ten wielki, któremu przyłożyłeś w głowę jego kumpłem, to ten sam, który obserwował mnie w ciągu dnia. Auto też chyba było to samo. Rozmawiali po rosyjsku, prawda?

- Tak mi się wydaje. Nie znam tego języka, ale chodzę do siłowni, Którą prowadzi Rosjanin, i bardzo często go słyszę. No i dzwonił do ciebie
wcześniej
ten
mężczyzna z cudzoziemskim akcentem...

Nagle Miranda odwróciła się przodem do oparcia sofy i nakryła głowę poduszką. Posłyszałem stłumiony szloch.

Czy powinienem teraz wdawać się w szczegóły? Czy stanie się coś złego, jeśli pomnę, co wtedy mówiliśmy? Dla porządku: ona płakała, a ja ją pocieszałem. Owszem, jestem aż takim łajdakiem, by uwieść kobietę, która uległa skrajnej panice. Przyłgnęła do mnie z westchnieniem, jej usta przywarły do mojej szyi. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do sypialni córki. Położyłem na łóżku i delikatnie rozebrałem zdjąłem z niej bluzkę, spódnice, stanik, majteczki; nie pomagała mi, ale i nie protestowała. Muszę powiedzieć, że mimo mojego zapału odstawała znacznie od Amalie, choć ich ciała były zdumiewająco podobne kształtem rąk i nóg, spiczastymi różowymi sutkami.

Leżała nie do końca zatracona w tym, co robiliśmy, wydawała się uśpiona, oczy miała zamknięte. Coś musiała odczuwać, bo wydawała z siebie cichutkie westchnienia, wydymając lekko wargi, jak to robią kobiety, doznając seksualnej przyjemności. Kilka razy zsunęła głowę z poduszki, marszczyła czoło, jakby koncentrowała się przed udzieleniem odpowiedzi w quizie. W końcu wyrwał jej się pojedynczy przenikliwy pisk, jak pieskowi potrąconemu przez samochód. Potem przewróciła się bez słowa na bok i zdawało się, że zasnęła na dobre, zupełnie jak znudzony wieloletnim małżeństwem facet.

Swoją drogą, pierwszy raz jest czasem nieudany. Pocałowałem ją w policzek (żadnej reakcji) i przykryłem kołdrą. Rano usłyszałem wcześniej szum prysznic, a kiedy wszedłem do kuchni, ona już tam była. Ubrana, odświeżona. Zapytała, czy możemy wstąpić po drodze po nową parę rajstop. Żadnych komentarzy na temat nocnego seksu i nic z tej familiarności ciał, jakiej człowiek spodziewa się jednak po rżnięciu, choćby i słabszej jakości. Ja też nie poruszyłem tej kwestii.

Musiałem odpłynąć, bo jest widno, a mój zegarek wskazuje szóstą z minutami. Na jeziorze kładzie się gęsta mgła, na każdym listku i każdej igielce lśni rosa. Wschodzące słońce jest zaledwie różową poświatą w chmurach przy wschodnim krańcu jeziora. Bardzo dziwne, niezemskie wrażenie, jakbym tkwił wewnątrz perły. Pistolet leży rozłożony na biurku, magazynek jest wyjęty, siedem lśniących dziewięćmilimetrowych naboów do parabellum stoi w szeregu jak siedmiu małych żołnierzyków. Nie pamiętam, żebym je tak ustawiał. Czy mogłem to zrobić

w czasie snu? Możliwe, że zaczyna mi odbijać z napięcia i niewyspania. I przez to moje kompletnie spięprzone życie. Siedem nabozi. A było ich osiem.

Pewnie czytaliście w gazetach o ludziach, którzy trzymają broń w domu; czasem dobierze się do niej dziecko i zrobi coś okropnego. Ma to być dla nas ostrzeżeniem, że dziecko zawsze znajdzie broń, choćby najlepiej ukrytą przez ojca, ale, o ile pamiętam, żadne z nas nie znalazło nigdy *Pistole-08* matki. Więcej żadne z nas nawet o nim nie wiedziało. Myślę, że matka była geniuszem tajności, którą to cechę jej dzieci odziedziczyły i doprowadziły do perfekcji. Moje rodzeństwo nie wie, że mam ten pistolet, lub może samo nie zdradza się z tą wiedzą. Wymagało to pewnych zabiegów, bo w sensie technicznym broń jest nielicencjonowana, ale w Nowym Jorku ktoś, kto ma znajomości, zawsze może załatwić, co chce, i wtedy, gdy umierała matka, pracowałem dla takiego człowieka, doskonałego prawnika i dżentelmena nazwiskiem Benjamin Sobel. Kiedy opisałem mu sytuację, załatwił sprawę z policją tak, że oddali mi pistolet, choć nie rozwodziłem się nad jego pochodzeniem. Cenna pamiątka z czasów wojny, wyjaśniłem, którą będę mógł sprzedać, żeby pokryć koszty pogrzebu. Ale nie sprzedałem go, a koszty były niewielkie. Paul siedział w więzieniu, a Miri pływała na czyimś jachcie, więc w tanim domu pogrzebowym zebrała się tylko garstka nieznajomych, jacyś ludzie z jej parafii i ze szpitala, w którym pracowała, oraz ja. Ksiądz się nie pokazał, zapewne ze względu na okoliczności śmierci, co było jednym z grzechów, których nigdy swojemu Kościołowi nie wybaczyłem.

Trzymałem jej prochy w metalowej urnie w swoim mieszkaniu aż do czasu, kiedy dostałem pierwszą pracę, a wtedy wykupiłem kwaterę w mauzoleum na cmentarzu Green-Wood na Brooklynie, niedaleko od Alberta Anastasii, Joeya Galio i L. Franka Bauma, autora *Czarnoksiężnika z krainy Oz*; matka jest więc w dobrym towarzystwie. Myślę, że jej wybaczyłem, ale czy człowiek może być tego pewien? Nigdy nie rozgryzłem do końca kwestii jej samobójstwa. Zrobiła to manifestacyjnie, bo wiedziała, że tego sobotniego popołudnia wracałem na Brooklyn. Jako oficjalnie Dobry Syn często uczestniczyłem posłusznie w mszy w kościele Świętego Jeremiasza, poprzedzanej i wieńczzonej ciężkimi teutońskimi obiadami i wieczorami przed telewizorem lub przy kartach. W tę właśnie sobotę przygotowała obiad, ozór w sosie słodko kwaśnym z kluseczkami, jedno z moich ulubionych dań,

i jego zapach wypełniał mieszkanie, gdy wszedłem do kuchni i ją znalazłem. Wokół krzesła, na którym siedziała, rozpostarła gazety, żeby nie nabrudzić, kiedy się zastrzeli.

Relacjonuję to, żeby zademonstrować swoją bliską doskonałości niewrażliwość na wewnętrzne stany moich bliskich, która, jak przypuszczam, jest kluczem do pewnych aspektów tej historii. Nie miałem o niczym pojęcia, choć widywałem biedną *Mutti* prawie co tydzień. Tak, Ermentrude nie pokazywała kart, ale czy mimo to nie powinienem powziąć pewnych podejrzeń? Domyślić się jakiejś permanentnej depresji? Nic jednak nie zauważyłem, a ona nie zostawiła listu pożegnania. Miała czterdzieści cztery lata.

Wcześniej, zanim wkroczyłem w swój straszliwy okres dojrzewania, byliśmy ze sobą niezwykle blisko. Kiedy miałem dziewięć lat, dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu wracałem jednego dnia wcześniej ze szkoły, a mama szła na nocny dyżur w szpitalu, więc co dwa tygodnie urządzaliśmy sobie Edypalny Teatr. Piekła mi w te dni pyszne ciasta, cudowne bawarskie specjały z mnóstwem orzechów, cynamonu i rodzynek między płatkami ciasta cieńszymi niż nadzieja, i kiedy wychodziłem z cuchnącej urną windy, ich zapach już na korytarzu uderzał w nozdrza jak zapowiedź raj. I rozmawialiśmy, to znaczy ona opowiadała, głównie były to wspomnienia z dzieciństwa, jej cudownego dzieciństwa w Nowych Niemczech o muzyce, paradach, o tym, jak wspaniale wyglądali mężczyźni w mundurach, jak cudowny był jej ojciec, jak wszyscy byli dla niej mili. Wystąpiła pośród tych pokazywanych w starych kronikach filmowych małych blondyneczek, które wręczały führerowi kwiaty podczas oficjalnej wizyty. Załatwiono to dzięki partyjnym kontaktom ojca i mama pamiętała każdy szczegół, zwłaszcza dumę, gdy Hitler ujął jej twarzyczkę i pogłaskał po policzku. Tak, po tym policzku, który codziennie całowałem. Szczęściarz Jake!

O złych rzeczach, które nastąpiły później, niewiele miała do powiedzenia.

Nie lubię miszlecz o tych dniach, mówiła, tylko o szczęśliwych dniach lubię miszlecz. Ale ja nalegałem i dowiedziałem się o szcurach i muchach, o braku ulubionych zwierzątek, o nalotach bombowych, o fetorze, o rozerwanych ciałach przyjaciół i ich rodziców. O przedziwnych układach wywołanych podmuchem eksplozji: o wannie, która wleciała przez ścianę klasy i wylądowała na stole

nauczyciela. Ach, ile było śmiechu! Kiedy porządkowałem papiery matki, znalazłem trofeum w postaci pamiątek rodzinnych, których nigdy nam nie pokazywała, lecz które musiała nosić w swej walizce, kiedy spotkała tatę: listy z różnych frontów, zdjęcia rodziny, świadectwa szkolne, pocztówki z wakacji. Było tam też oczywiście sporo pamiątek nazistowskich, nagrody od SS, różne medale dziadka i etui z palisandru, w którym był pistolet. Jedno zwłaszcza zdjęcie przechowywałem starannie, potem oparłem i do dziś wisi ono w mojej sypialni. Jest na nim jej rodzina tuż przed wybuchem wojny, na plaży w jakimś nadmorskim kurorcie. Matka ma dziesięć albo jedenaście lat, jest śliczna jak nimfa. Jej dwaj starsi bracia w staroświeckich trykotowych strojach kąpielowych szczerzą w słońcu białe zęby. Moja babka wygląda całkiem smukło w jednoczęściowym kostiumie, siedzi na leżaku i śmieje się, a nad nią pochyła się, też rozbawiony, hauptsturmführer SS Stieff. Najwyraźniej przyszedł na plażę prosto z pracy, bo jest w koszuli i pod krawatem, kurtkę od munduru zarzucił na ramię, ma pas z bronią i czapkę; trzeba by się bardzo dokładnie przyjrzeć, żeby rozpoznać mundur.

Lubię to zdjęcie, bo wszyscy są na nim tacy szczęśliwi, choć żyli w najgorszym reżimie w dziejach ludzkości, a ojciec rodziny pracował dla organizacji nastawionej na ludobójstwo. W moim domu nie było takich zdjęć, bo choć przeżywaliśmy radosne chwile, ojciec nie lubił fotografii i w odróżnieniu od swego nieżyjącego teścia panicznie się bał, że ktoś go utrwali na kliszy. Jedyne zdjęcia rodzinne, jakie mamy, to pozowane fotki z okazji urodzin albo innych wydarzeń pierwszej komunii, ukończenia szkoły i tak dalej, plus liczne zdjęcia robione przez sąsiadów lub obcych ludzi, bo, jak już sugerowałem, cała nasza rodzina, z wyjątkiem mojej osoby, jest niezwykle fotogeniczna.

Nie, nie, oderwijmy się od tej zamierchłej przeszłości gdyby to tylko było możliwe! i wróćmy do głównego wątku. Ustaliliśmy z Mirandą, że nie powinna zostawać sama. Umówiłem się więc z Omarem, że powróci do roli ochroniarza i że będzie nam towarzyszył, na wypadek gdyby tamci, odkrywszy, że w aktówce nie ma tego, czego szukali, spróbowali jeszcze raz. Pozostawało pytanie, dlaczego ci rosyjskojęzyczni dranie zainteresowali się osobistymi losami Richarda Bracegirdle'a.

Czy Bulstrode mógł być z nimi w jakiś sposób związany? Kiedy zapytałem o to Mirandę, spojrzała na mnie jak na obłąkanego. Wuj Andrew nie znał w Nowym Jorku prawie nikogo oprócz naukowców, a o Rosjanach nigdy nie wspominał, tym bardziej o kryminalistach. A zatem zbiry działające na własną rękę? Najprawdopodobniej. Wbrew temu, co pokazywała telewizja, w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci zorganizowana przestępczość została zdominowana przez Rosjan, czyli tak zwaną mafię, jak ją określali wszyscy, tylko nie oni sami. A zatem ktoś, kto poszukiwał osiłków, speców od zastraszania, wymuszeń i tortur, znalazł odpowiednich ludzi. Tożsamość tego osobnika pozostawała nieustalona, ale odszukanie go (jak wyjaśniłem Mirandzie) nie było naszym zadaniem. Do nas należało zapewnienie jej bezpieczeństwa, czym, jak uważałem, powinien się zająć Omar, i poinformowanie policji o ostatnich wydarzeniach.

Około ósmej zjawił się przysłany przez agencję kierowca imieniem Rashid, żeby zawieźć mnie do kancelarii. Zostawiłem Omara z Mirandą, poleciwszy, żeby nie spuszczał jej z oka, i uciałem jego gorliwe wyjaśnienia, jak dobrze jest uzbrojony. Nie chciałem tego wiedzieć. Z pracy zadzwoniłem do detektywa Murraya i zrelacjonowałem mu incydent z poprzedniego wieczoru. Spytał mnie, czy zapisałem numer samochodu, odpowiedziałem, że nie, na co odrzekł, że wobec tego niewiele może zrobić w sprawie utraconej aktówki. Kiedy oznajmił, że połączy mnie z funkcjonariuszem, który poda mi numer sprawy dla mojego ubezpieczyciela, trochę się wkurzyłem i zasugerowałem, że zajście musi mieć jakiś związek z zabójstwem Andrew Bulstrode'a, będącym podobno przedmiotem dochodzenia. Zapadła cisza; wreszcie detektyw zapytał z hamowaną pasją, jak na to wpadłem. Powiedziałem mu o pani Kellogg i o tym, jak ktoś z cudzoziemskim akcentem próbował przejąć od niej manuskrypt, który należał do Bulstrode'a, i że mężczyzna, który nas zaatakował, mówił językiem podobnym do rosyjskiego i że to wszystko musi się jakoś łączyć. Zapytał mnie, ile jest wart ten rękopis, na co odparłem, że Bulstrode kupił go za kilka tysięcy dolarów, ale...

W tym miejscu przyhamowałem, bo wszystko, co wykraczało poza tę informację cała ta historia z Szekspirem było jedynie domysłem, wiedziałem zresztą,

jak to brzmi w uszach nowojorskiego gliniarza. Zakończyłem więc rozmowę dość kulawo, odczekałem swoje, a kiedy w końcu połączono mnie ponownie, zgłosiłem znużonemu facetowi niegroźną napaść i dostałem od niego numer sprawy. Potem zadzwoniłem do Jasmine Ping i zasięgnąłem informacji na temat testamentu Bulstrode'a. Stwierdziła, że nie powinno być żadnych kłopotów; sprawa jest jasna, w ciągu miesiąca akt powinien trafić do sądu. Zapytała, czy chodzi o pośpiech. Odpowiedziałem, że nie, wprost przeciwnie, nie ma żadnego pośpiechu. Ciało zmarłego, jak się dowiedziałem, najpewniej odleci jeszcze tego dnia; zajął się tym Oliver March, przypuszczalnie wieloletni partner Bulstrode'a, o którym słyszałem.

Jak wynika z moich notatek, darowałem sobie lunch i pojechałem do siłowni, choć nie był to mój termin. Chciałem z kimś porozmawiać o Rosjanach, a siłownia była najodpowiedniejszym miejscem, jakie przychodziło mi do głowy. Na miejscu okazało się jednak, że to Arkady chce ze mną rozmawiać. Zaprowadził mnie do swojego maleńkiego biura, zagranej kłitki z wykładziną, gdzie ledwie mieściło się kilka krzesel i biurko, prawie niewidoczne pod stertami pism o podnoszeniu ciężarów, częściami uszkodzonego sprzętu i próbkami odżywek, w większości dozwolonych nawet podczas igrzysk olimpijskich. Stała tu też oszklona gabłota z imponującą kolekcją medali i pucharów były Związek Radziecki najwyraźniej nie skąpił pochwał swoim ulubieńcom na ścianach zaś wisiało więcej triumfalnych zdjęć, niż ja miałem w swoich zbiorach. Arkady Demiczewski to przysadzisty i owłosiony osobnik, który ma głęboko osadzone piwne oczka i kark o półmetrowym obwodzie. Wygląda jak wczesny hominid, ale jest człowiekiem cywilizowanym, kulturalnym i miłym, obdarzonym dużym poczuciem humoru. Tego dnia jednak był w nietypowy dlań sposób poważny.

- Jake zwrócił się do mnie musimy porozmawiać.

Dostrzegłem, że wyraźnie unika mojego wzroku.

- Wiesz, Jake, że nie obchodzi mnie, co ludzie, którzy tu przychodzą, robią poza siłownią. To jest ich życie, prawda? Zachowują się tu przyzwoicie, mogą zostać, jeśli nie, to... Tu udał, że rzuca za siebie jakiś wymyślony przedmiot, i wydał z siebie świszczący dźwięk. A więc, Jake, znam cię już od dawna i niezręcznie

mi o to pytać, ale czy jesteś zamieszany w jakiś... jakiś biznes ze złymi ludźmi?

- Masz na myśli złych Rosjan?

- Tak! Gangsterów. Powiem ci, co się zdarzyło przedwczoraj wieczorem. Wpadłem do klubu w Brighton Beach, gdzie bywają ludzie z Odessy, no wiesz, ruska bania, karty, trochę wódki... W łaźni przysiadają się do mnie dwaj faceci, mają wytatuowane smoki, tygrysy, co znaczy, że są zekami z obozu na Syberii, szczycą się tym, rozumiesz. Niekulturni ludzie, absolutne No i pytają mnie, czy znam Jake'a Mishkina. Mówię im, że tak. Jake Mishkin, pierwszorzędny amerykański obywatel, ciężarowiec. A oni na to: To nas nie obchodzi, my chcemy wiedzieć, co robi, jakie ma układy, w jakiej pracuje branży. To ja im: Hej, widuję go na siłowni, nie jestem jego kolegą. Chcieli wiedzieć jeszcze inne rzeczy, różne, nie mogłem zrozumieć, o co im chodzi, o jakąś kobietę, nazwisko, którego nigdy nie słyszałem, brzmi jak nazwa otrębów z roźdzynkami, więc im powiedziałem...

- Otrębów?

- Tak, jakieś takie nazwisko jak na pudełku, nie pamiętam dokładnie...

- Kellogg.

- Tak! Kellogg. Mówię: Nie znam żadnej Kellogg, nie znam żadnych prywatnych spraw Jake'a Mishkina i nie chcę znać, a oni powiadają, że mam mieć oczy i uszy otwarte i dowiedzieć się wszystkiego o tej Kellogg i Jake'u Mishkinie. Więc co robię? Mówię do ciebie jak mężczyzna: Jake, co z tobą, skąd nagle ci gangsterzy?

- Nie wiem, Arkady - odparłem. - A chciałbym wiedzieć.

Po czym opowiedziałem mu o napaści na mnie i pannę K. i o kradzieży aktówki, choć nie wyjaśniałem, co miało się w niej znajdować.

Ale Arkady był w końcu Rosjaninem, więc tylko potarł podbródek i pokiwał głową.

- A więc co było w tej aktówce, Jake? Chyba nie dragi, co?

- Chyba nie dragi. Chyba papiery.

- Mogłeś im je dać, żeby cię zostawili w spokoju?

- Nie mogłem. To długa historia, ale chciałbym wiedzieć, dla kogo pracują te twoje zeki, jeśli się tego domyślasz.

- Dobra, ale nie słyszałeś tego ode mnie - zastrzegł Arkady.

Przygryzł wargę, oczy miał rozbiegane. Widok tego siłacza i pewnego siebie człowieka wystraszonego jak zając był niemal tak samo szokujący jak atak zbirów. Po chwili powiedział zachrypniętym głosem:

- Pracują dla Osipa Szwanowa. Dla Organizacji.

- Dla kogo?

- W Brighton Beach. Żydowski gangsterzy. Kapujesz? Dwadzieścia lat temu Amerykanie mówią Sowiecom: Trzymacie Żydów wbrew ich woli, prześladowacie, zupełnie jak naziści, powinniście ich wypuścić. No to Sowietci: Okay, chcecie Żydów, dostaniecie Żydów. Poszli do gułagu, wyszukali wszystkich kryminalistów, którzy mieli w paszporcie „Żyd”, i mówią: Jedźcie do Ameryki, jedźcie do Izraela, szczęśliwej podróży. Oczywiście większość Żydów, którzy wyjechali ze Związku Radzieckiego, to normalni, porządni ludzie, mój księgowy jest jednym z nich, bardzo miły człowiek, ale jest też wielu przestępców i oni wrócili do dawnego fachu: kurwy, porno, prochy, wymuszenia, haracze. To bardzo źli ludzie, jak ci Soprano, co lecą w telewizji, ale Soprano są głupi, a ci są bardzo cwani, bo to Żydzi! A Osip jest najgorszy.

- No dobrze, dzięki za informację, Arkady.

Wstałem, żeby wyjść, ale zatrzymał mnie gestem dłoni.

- Przychodzą też tutaj - dodał - ci ludzie. Wczoraj rano zapytali, czy przyjdiesz dzisiaj, i po prostu siedzą. Nie mogę nawet zjeść lunchu, obserwują mnie jak zwierzęta. A więc, Jake, bardzo mi przykro, ale myślę, że nie powinieneś już tu ćwiczyć. Oddam ci za kartę członkowską, bez urazy.

- Wyrzucasz mnie, Arkady? Bywam tu od prawie dwudziestu lat.

- Wiem, wiem, ale możesz chodzić gdzie indziej, możesz iść do Bodyshop...

- Co? Bodyshop to piękni chłopcy i piękne dziewczęta w szykowych ciuchach i tłuściochy na ruchomych bieżniach, tacy, co czytają „Wall Street Journal”. Bodyshop jest do dupy.

- No to gdzie indziej. Jak będziesz tu przychodził, każą mi cię szpiegować, a jeśli powiem „nie”... Nie chcę, żeby spalili mi siłownię. Mam rodzinę. Mówię poważnie, Jake. Nie znasz tych ludzi. Jeśli masz coś, czego chcą, to radzę ci, oddaj im to.

Wiedziałem, że ma rację. Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedłem ze swoim sprzętem w worku Nike. Czułem się jak wydalony ze szkoły dlatego, że ktoś inny oszukiwał. Lecz wzmianka o rodzinie trafiła w czuły punkt; przypomniałem sobie, że ja też ją mam.

Pod godziną osiemną trzydzieści tego dnia, czyli w pierwszą środę listopada, widnieje w moim dzienniku po prostu „A”, więc tego wieczoru jadłem kolację *en familie* w domu byłej żony na Wschodniej Siedemdziesiątej Szóstej. Niezupełnie „byłej”, bo oficjalnie, w oczach państwa, Kościola i jej samej, wciąż jesteśmy małżeństwem. Amalie nie zgodzi się na rozwód, częściowo z powodów religijnych, ale głównie dlatego, że wierzy głęboko, iż jeszcze się zejdziemy, kiedy wyleczę się z choroby umysłowej. Uważa, że byłoby rzeczą haniebną opuszczać mnie w takiej właśnie sytuacji, a fakt, że moja choroba to uganianie się za spódniczkami, nie ma dla niej żadnego znaczenia. Nie znam nikogo, kto żyłby w tego rodzaju związku, choć nawet przez moment nie sądzę, byśmy byli wyjątkiem. Moi trzej współnicy w firmie mają, jak myślę, łącznie osiem żon, czy coś koło tego, i w każdym przypadku jestem częstowany całą litanią: psychoza, wredna mściwość, manipulowanie dziećmi, wymuszanie pieniędzy i wtedy stwierdzam, że nie mogę się z nimi wymienić żadną opowieścią o małżeńskim piekle. Też cierpię niewymownie, ale raczej z własnej winy niż z powodu złości żony, bo ta jest wielkoduszna, miła i wyrozumiała, muszę więc dźwigać całe to pieprzone brzemie sam. Bo, widzicie, Jezus miał rację: jeśli chcecie, żeby złoczyńcy naprawdę cierpieli, po prostu bądźcie dla nich mili.

Te kolacje są tu dobrym przykładem. Cóż może być bardziej cywilizowanego? Mała rodzina zasiada do stołu i udowadnia, że pomimo różnic dzielących mamę i tatę wszystkich jej członków wciąż łączy miłość; tato, który odszedł, wciąż bardzo kocha żonę i dzieci albo, inaczej mówiąc (jak słyszałem ostatnio, kiedy moja córeczka wyjaśniała to swojemu braciškowi), „tatuś woli posuwać panie niż być z nami”. Winien! Winien! Nawet maleńkie dzieci to widzą, nawet Niko, który tylko w minimalnym stopniu interesuje się innymi istotami ludzkimi, może wciągnąć ten fakt do swej olbrzymiej mentalnej biblioteki i odczuć (zakładając, że w ogóle coś czuje) pogardę.

Wiem, że nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, bo, jak już chyba wspomniałem, Amalie jest w tej dziedzinie prawdziwą mistrzynią rozkoszy. Skąd wie, że jest taka wspaniała, mając tak skromne doświadczenie? Odpowiedź: zaprzyjaźniła się gorąco z moją siostrą, która jest istną encyklopedią pieprzenia, i przekazała jej ze szwajcarską kliniczną szczerością, jak sądzę, wszystkie smakowite szczegóły naszego współżycia seksualnego, Miri zaś zapewniła ją, że niczego jej w tym zakresie nie brakuje i że jestem Naczelnym Dupkiem Zachodu, jeśli oszukuję tak wspaniałą kobietę. Nie mogę tego znieść, a jednak chodzę na te upiorne kolacje, być może traktując je jako pokutę. Nie pomaga.

Zanim pojechałem na kolację, nieco masochistycznie kazałem kierowcy zawieźć się, jak przy wielu takich okazjach, do podejrzanego sklepiku w pobliżu Pierwszej Alei, gdzie można kupić bardzo drogie orchidee, i nabyłem jedną dla Amalie. Kolekcjonuje je i choć za własne pieniądze mogłaby sobie kupić całą Amazonię, uważam, że to jednak miły gest. Tym razem była to *Paphiopedilum hanoiensis*, z karminowymi cętkami na przypominającym narządy płciowe bladezielonym kwiecie, zagrożona wyginięciem w rodzimym Wietnamie i nielegalna jak diabli. Jestem przekonany, że Amalie zdaje sobie z tego sprawę, mimo to zawsze przyjmuje orchidee. Czerpię perwersyjną przyjemność z widoku mojej świętej zdeprawowanej przez ową żądzę kwiatów.

Rashid podwiózł mnie pod dom. Otworzyła mi Lourdes Muñoz, uchodźczyni z objętego wojną Salwadoru. Amalie jednym ze swoich dobroczynnych gestów na dobrą sprawę uratowała jej życie i jakby wbrew przekadłu, że żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary - które zawsze sprawdza się w moim przypadku rezultatem tego altruistycznego postępu było pozyskanie idealnej służącej i niańki do dzieci. Lourdes powitała mnie jak zwykle z kamienną twarzą, odebrała płaszcz i odeszła z orchideą w głąb domu mojej żony.

Usłyszałem śmiech dochodzący z salonu i skierowałem się w tamtą stronę. Czuję narastającą grozę, bo znałem źródło tego rozbawienia, podobnie jak identyfikowałem najdonośniejszy głos. Rodzinne tableau minus tatuś. Amalie w swoim kostiumie roboczym, złożonym z jasnej jedwabnej koszuli i czarnych, szytych na miarę spodni, z włosami spiętrzonymi w złocistych pierścieniach, zajmuje miejsce w skórzanym fotelu, z nogą podwinętą pod siebie. Na skórzanej sofie, miękkiej

jak uda, siedzi Miri, moja siostra, a po obu jej stronach - moje dzieci. Miri i Imogen są piękne jak jutrzienka, różowe i jasnowłose, a towarzyszy im nieszcześny Niko, nasz ciemnowłosy mały Nibelung.

Oboje uwielbiają ciocię Miri. Dla Imogen jest ona skarbnicą historyjek o popularnych osobistościach. Zna wszystkich bogatych i sławnych w Nowym Jorku, a także wielu w Londynie, Rzymie, Paryżu i Hollywood, i czasami wydaje się, że była żoną lub miała romans z co najmniej dziesięcioma procentami tej populacji. Ma też rolodexa rozmiaru śmigła samolotowego. Niko też ją lubi, bo Miri była krótko żoną najsłynniejszego magika na świecie i nauczyła się w tym czasie sztuczki, która go fascynuje. Utrzymywała, że magik był tak głupi jak królik, którego wyciągał z kapelusza, i jeśli potrafił sprawiać, że przedmioty znikają, to ona też to umie. Na ogół bardzo trudno przykuć czymś uwagę chłopca, a ona jest w tym prawie równie biegła jak Amalie czy Lourdes. I do tego darzy dzieci gorącą miłością; widocznie nie może mieć własnych, więc odgrywanie roli ciotki jest jedną z jej największych radości.

Śmiech zamarł, gdy wszedłem do pokoju. Wszyscy spojrzeli na mnie, każdy w inny sposób, z wyjątkiem Niko, bo on w ogóle rzadko na mnie patrzy. Wciąż spoglądał na ręce mojej siostry, która półświadomie kręciła kilkoma znikającymi kolorowymi piłeczkami. Córka wyzywająco zachęcała mnie wzrokiem, abym był kimś, kim nie jestem, czyli idealnym ojcem, który dopełniałby jej własną doskonałość, a moja siostra patrzyła na mnie jak zwykle z ironią i pobłażaniem. Nie jest już najpiękniejszą kobietą w mieście, ale wciąż przykuwa uwagę i potrafi uwydatnić swą urodę w takim stopniu, w jakim pozwalają na to medycyna i moda. Była ubrana od stóp do głów w kreację od Diora, czarną i połyskującą sporymi klejnotami. I wreszcie Amalie: zawsze uśmiecha się do mnie z miłością w oczach, dopóki nie przypomni sobie, jaka jest sytuacja, a wtedy wycofuje się i chowa za oficjalną maską Szwajcarki. Wciąż jest śliczna, ale to już nie ta sama dziewczyna, w której się zakochałem. Dwójka dzieci i kierat naszego małżeństwa sprawiły, że zwiotczała i przybyło jej zmarszczek na twarzy. Nie mogłem się w tym momencie powstrzymać od myśli o Mirandzie i tak długo poszukiwanej drugiej szansie.

Ucałowałem wszystkich w oba policzki, na modłę europejską, która od dawna stała się naszym rodzinnym zwyczajem (Niko, jak zwykle, cofnął się nieznacznie),

i zaprezentowałem swoją orchidę. Amalie uprzejmie dziękuje, Imogen i Miri przewracają oczami (z tym samym wyrazem rozbawionej pogardy na obu ślicznych twarzach - to wrodzone czy wyuczone?), Niko zaś wypowiada głosem robota krótką recytację o taksonomii kwiatu i szczegółach jego morfologii. Mój syn interesuje się orchidami tak jak niemal wszystkimi złożonymi tematami, które wymagają odeń pamięci i minimum kontaktu z ludźmi.

Zapytałem Miri, z czego się tak wszyscy śmiali, kiedy wszedłem, powtórzyła więc historyjkę o światowej sławy aktorce i drugiej kobiecie, biuściastej celebrytce - o tym, jak nakładały sobie maseczki kosmetyczne w tym samym eleganckim salonie, kiedy ich małe pieski rzuciły się na siebie. Zaczęła się zabawna opowieść o chlapiącym błocie, fruwającej sierści i o piszczących homoseksualistach. Wciąż to relacjonowała, kiedy zeszedliśmy do jadalni i zajęliśmy miejsca wokół owalnego stołu z drewna tekowego i szkła. Amalie ugotowała obiad sama, coś w rodzaju cassoulet z drobiowymi kielbaskami, jagnięcina i białą fasolą, akurat jedno z moich ulubionych dań, do tego sałatka z karczochów i butelka hermitage. Biorąc pod uwagę, jak bardzo cenny jest ostatnio jej czas, był to prawdopodobnie najdroższy obiad na świecie. Niko dostał swoją miseczkę cheerios, które stanowią dziewięćdziesiąt procent jego diety. Podczas obiadu dokładaliśmy z Amalie starań, aby rozmowa nie kulała, i głównie omawialiśmy kwestie praktyczne. Moja żona, pomimo swej wzdargy dla robienia pieniędzy (a może właśnie z tego powodu), jest finansową cudotwórczynią. Publikuje w sieci biuletyn zatytułowany „Mishkin's Arbitrage Letter”, w którym informuje półtora tysiąca subskrybentów, jak będzie wyglądał rynek walut w kolejnym tygodniu. Naturalnie przezorni gracze biorą te informacje pod uwagę, co zmienia rynek, a jeszcze przezorniejsi biorą z kolei to pod uwagę i planują odpowiednio swoje operacje walutowe, co niekiedy czyni z nich miliarderów. Uważam siebie za bezużytecznego pasożyta, porównując się z ludźmi, którzy rzeczywiście pracują, na przykład piszą piosenki, ale w zestawieniu z tamtymi facetami od finansów jestem niemal inżynierem. Jednak Amalie bez skrupułów pobiera dwadzieścia pięć tysięcy rocznie za subskrypcję, jako że jedną trzecią swoich zysków pompuje w dobre uczynki. Od czasu do czasu spotykam ludzi, którzy funkcjonują w tym specyficznym świecie, i ci często mnie pytają, czy

znam tego Mishkina. Odpowiadam zawsze, że nie, lecz mimo to czuję dumę.

Obiad dobiegł końca i ciotka Miri poszła się bawić z dziećmi, jak to jest w zwyczaju. Nie mając własnego potomstwa, szybko nudzi się rozmową dorosłych. Lourdes podaje kawę; Amalie i ja możemy teraz pogadać przyjacielsko o naszych dzieciach. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi. Zapytała mnie o Ingrid. Wie o niej, jesteśmy bardzo otwarci, jeśli chodzi o ten aspekt mojego życia. Odpowiedziałem, że u Ingrid wszystko w porządku, na co ona oświadczyła:

- Biedna Ingrid.
- Dlaczego?
- Bo masz nową kobietę.

Czułem, że krew uderza mi do głowy, ale z przyklejonym do twarzy uśmiechem zapytałem, dlaczego tak sądzi, na co odrzekła z westchnieniem:

- Jake, nie jestem głupia ani ślepa. W latach, gdy ci ufałam, nigdy oczywiście nie wypatrywałam tych oznak ani ich błędnie nie odczytywałam, ale teraz, kiedy nauczyłam się patrzeć, to wszystko jest bardzo przejrzyste. Kim ona jest?

- Nikim - skłamałem. - Słowo daję.

Przyglądała mi się dłuższą chwilę, potem utkwiała wzrok w blacie stołu i łyknęła stygnącej kawy.

- Nieważne - powiedziała. Odstawiła filiżankę, wstała i wyszła z pokoju
bez
słowa czy spojrzenia.

Zjawiała się Lourdes i zaczęła sprzątać ze stołu, także mnie ignorując.

Potem do dziecięcego pokoju na górze wszedł Niewidzialny Człowiek. Niko ze słuchawkami na uszach tkwił przy komputerze, a Miri i Imogen oglądały MTV, siedząc blisko siebie na wytartej pluszowej sofie, urzeczone tandetnym blichtrzem klipów.

Czując się jeszcze większym palantem niż zwykle, zachowałem się jak idiota, pytając Imogen, czy odrobiła lekcje, a ona, nie odrywając oczu od ekranu, odpowiedziała znudzonym głosem:

- Odrobiłam w szkole.

Pomyślałem, że poproszę, aby mi je pokazała. Pomyślałem też, że wezmę stojący w kącie aluminiowy kij bejsbolowy, rozwalę telewizor i komputer i będę przetrzymywał dzieci jako zakładników, dopóki nie zostaną spełnione moje żądania, to znaczy dopóki wszystko nie zmieni się tak, żebym mógł się cieszyć miłością i podziwem swoich pociech, oddaniem żony i dreszczykiem towarzyszącym romansowi. I żebym nigdy nie musiał dorosnąć, i zawsze mógł latać w zielonych trykotach jak Piotruś Pan...

Ale ja tylko usiadłem obok Miri i studiowałem przez chwilę maleńkie blizny po liftingu oraz dziwne, błyszczące i martwe miejsca po botoksie. Ogarnęło mnie prawie współczucie, wyciągnąłem więc rękę i ująłem jej dłoń. Miri jest, jak przypuszczam, osobą najbliższą mi w rodzinie. Byliśmy dla siebie w dzieciństwie oparciem i ona wylądowała nawet gorzej ode mnie, a więc istnieje płaszczyzna porozumienia. Myślałem o tym, jak zawsze przychodziła i brała mnie za rękę, kiedy ojciec był na jednej ze swych wypraw. Nie mam pojęcia, co sobie teraz myślała, jeśli w ogóle myślała, ale odwzajemniła uścisk i tak trwaliśmy przez chwilę, oglądając soft porno, które nasza cywilizacja uważa za rozrywkę dla młodocianych. Potem rozległy się dźwięki melodyjki; Imogen wyciągnęła komórkę, zerknęła na maleńki wyświetlacz i zniknęła, żeby odbyć rytuał czatu z jakimś akolitą.

Miri ściszyła telewizor i rzuciła mi taksujące spojrzenie.

- A więc kim jest ta nowa dama?
- Też się domyśliłaś?
- To oczywiste. Jesteś rozgorączkowany i bardziej ponury niż zwykle. Musisz dorosnąć, Jake. Chyba nie chcesz skończyć jako jeden z tych starych pierdzieli uganiających się za dziewczynkami.
- Och, to wspaniałe, kiedy zalecasz mi wstrzeźliwość.
- Nie bądź wredny, Jake. Oboje jesteśmy zdzirami, ty i ja, ale ja przynajmniej nie mam rodziny, którą w to wciągam. Zwłaszcza kogoś takiego jak Amalie...

Nie miałem w tym momencie ochoty na tego rodzaju rozmowę, więc zapytałem:

- Co u ojca?

Miri jedyna z naszej trójki podtrzymuje kontakty ze starym gangsterem. Jest jednak w tej kwestii szalenie dyskretna, prawdopodobnie dlatego, że on tak sobie życzy. To by było w jego stylu.

- Z tatą wszystko w porządku. Widziałam się z nim jakieś trzy tygodnie temu. Wygląda dobrze. Zamierzają mu udrozić arterie.

- Mam nadzieję, że zastosują specjalny, odporny na korozję materiał. Proponowałbym cegłę. A tak nawiasem mówiąc: gdzie się spotkaliście?

- W Europie.

- Mogłabyś sprecyzować? W Cannes? W Paryżu? W Odessie?

Zignorowała moją prośbę.

- Pytał o ciebie i o Paula.

- Ach, to bardzo miłe z jego strony. Powiedziałaś mu oczywiście, że zawsze jesteśmy z nim myślami. Co ostatnio porabia?

- To i owo. Wiesz, tata zawsze ma na oku jakiś szwindel. Powinieneś do niego pojechać. Mógłbyś zabrać Amalie i dzieci.

Rozbawiła mnie.

- To dobry pomysł, Miri. Naprawdę nie przychodzi mi do głowy nic bardziej komicznego niż taka wyprawa.

- Wiesz co? - powiedziała moja siostra po chwili pełnej urazy. - Nie wiem, czy zauważyłeś, że twoja żona nigdy nie jest sarkastyczna. Mógłbyś wziąć z niej przykład. Mógłbyś też zdobyć się na odrobinę wyrozumiałości. Uważam, że sam z niej korzystasz.

- Teraz korzystam z porady religijnej. Na pewno nie jesteś Paulem w kobiecym przebraniu?

- Jeśli zamierzasz być taki wredny, to żegnam. Zresztą muszę się napić.

Usiłowała wyswobodzić rękę z mojego uścisku, ale jej nie puszczałem. Opadła z powrotem na sofę.

- O co chodzi?

- Pomyślałem, że muszę cię o coś zapytać. Czy mając do czynienia z półświatkiem, natknęłaś się kiedyś na rosyjskiego gangstera nazwiskiem Osip Szwanow?

Obserwowałem uważnie twarz siostry i dostrzegłem, że po rzeźbionej po-wierzchni przemknęło lekkie drgnienie.

Miri oblizała wargi różowym koniuszkiem języka.

- Dlaczego pytasz?

- Bo tropią mnie jego goryle. Facet myśli, że mam coś, na czym mu zależy. Tak mi się wydaje.

Opisałem pokrótce aferę Bulstrode-Szekspir, zważając, by nie wymienić imienia Mirandy.

- No więc jak, znasz go?

- Poznaliśmy się kiedyś.

- To klient?

- W pewnym sensie. Bardzo rozrywkowy. Niektóre z moich dziewcząt bywały na jego imprezach.

- Możesz nas poznać? Na płaszczyźnie towarzyskiej.

- Nie sądzę, żebyś tego chciał, Jake.

- Bo to drań?

- Jest zły do szpiku kości. Chcę powiedzieć, że źli faceci uważają go za złego faceta.

- Podobny do ojca?

- Ten sam typ osobowości, z tą różnicą, że tata nigdy nie był brutalny i że Szwanow nie jest naszym ojcem. Dlaczego chcesz go poznać?

- Żeby dokonać szczerzej wymiany poglądów. To jak, skontaktujesz nas?

- Zasugeruję mu to. Tylko czy on będzie chciał się z tobą spotkać?

- Tak myślę. Obaj interesujemy się starymi rękopisami. Jestem pewien, że mielibyśmy o czym rozmawiać. Też w tym powinnaś uczestniczyć. To byłby zabawny wieczór. Moglibyśmy zaplanować podróż do Izraela, żeby się spotkać z naszym staruszkiem.

Wstała.

- Zadzwonię do ciebie oznajmiła i wyszła, pozostawiając mnie samego, jeśli nie liczyć dziwnej istoty stukającej w klawiaturę.

Stałem za plecami Niko i spojrzałem na monitor. Na białoszarej powierzchni pojawiały się i znikwały niezrozumiałe błękitne litery, jak krople deszczu na szybie samochodu. Mój syn pisał jakiś program. Mogłem to stwierdzić, bo jak

na praktykującego prawnika przystało, znam się trochę na komputerach. Większość ludzi mojego zawodu uważa, że jeśli dotkną klawiatury, zgni-je i odpadnie im skóra, ale ja do nich nie należę, choć jestem zapewne w punkcie, w którym Niko był w wieku czterech lat.

Uniosłem jedną z jego słuchawek i zapytałem:

- Co robisz?

Musiałem powtórzyć pytanie kilka razy.

- Wyszukiwarki - odpowiedział.

- Ach, wyszukiwarki - powiedziałem ze zrozumieniem. - A czego szukasz?

- Różnych rzeczy. Zostaw mnie.

Potrząsnął głową, próbując zsunąć sobie słuchawki na uszy, ale ściągnąłem mu je i obróciłem krzesło tak, że musiał mi spojrzeć w twarz.

- Muszę z tobą porozmawiać o czymś ważnym - oświadczyłem.

Jego ciało zaczęło sztywnieć, wzrok zastygł, utkwiony w górnym rogu pokoju.

- Skup się, Niko! Ścigają mnie gangsterzy i myślę, że chcą skrzywdzić ciebie, Imogen i mamę. Musisz mi pomóc.

Chyba do niego dotarło. Zapytał znudzonym głosem:

- To tylko na niby, co?

- Nie, nie na niby. Naprawdę.

- Dlaczego cię ścigają?

- Bo mam pewne papiery, na których im zależy. Dał mi je jeden z moich klientów, a oni go zabili. Torturowali go i zanim umarł, podał moje nazwisko.

Tak, mocna rzecz dla dziecka, ale do Niko trudno dotrzeć. Nie jest specjalnie wrażliwy. Myślę, że gdyby mnie ktoś torturował, obserwował- by to z niejaką fascynacją.

- Po co im te papiery?

- Nie jestem pewien. Sądzą chyba, że dzięki nim dotrą do skarbu.

Rozważał to przez chwilę, a ja próbowałem sobie wyobrazić prze- dziwne koła wirujące w jego głowie jak w precyzyjnym zegarze.

- Naprawdę?

- Tak sądzą - potwierdziłem.

- To my powinniśmy znaleźć skarb - odparł. Wtedy pewnie zostawiłby nas w spokoju.

Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy Niko użył zaimka „my”, mając na myśli nas dwóch.

- To bardzo dobry pomysł. A teraz chcę, żebyś zrobił dwie rzeczy. Po pierwsze, obserwuj uważnie ulicę i zadzwoń do mnie natychmiast, jeśli zobaczysz coś podejrzanego. Ci faceci to Rosjanie, jeżdżą czarnym SUV-em, więc zadzwoń do mnie, gdy tylko ich zauważysz. Po drugie, chciałbym, żebyś poszukał w Internecie człowieka nazwiskiem Richard Bracegirdle. Zmarł w tysiąc sześćset czterdziestym drugim roku w Anglii.

Zapisałem mu to na kartce wyjętej z jego drukarki.

- Kto to jest?

- Człowiek, który zakopał skarb. Dowiedz się czegoś o nim i jego potomkach, sprawdź też, czy jacyś jeszcze żyją. Możesz to zrobić?

- Mogę - odparł Niko.

Nie wiem, czemu go w to wciągnąłem. Fakt, że umiejętnością wyszukiwania danych Niko dorównuje największym znanym mi ekspertom, zdobył liczne nagrody w tej dziedzinie i nawet profesorowie z nim korespondują, nie wiedząc, że ma tylko jedenaście lat. Oczywiście mogłem wynająć jakąś firmę, żeby przeprowadziła poszukiwania; mamy też w kancelarii ludzi, którzy się na tym znają. Może jednak czułem się samotny i oto pojawiło się coś, co ojciec i syn mogli zrobić razem, odpowiednik wspólnej wycieczki do sosnowego lasu. Może podejmowałem szybką decyzję, jak to zwykli czynić kobieciarze. Rzecz jasna, to była ta łatwiejsza część akcji. Teraz musiałem zejść na dół i powiedzieć o wszystkim jego matce.

LIST BRACEGIRDLE'A (9)

Ów człek powiada, że zowie się James Piggott i jest sługą pana swego, lorda Dunbartona, człowieka o wysokiej pozycji w Tedzie Jego Królewskiej Wysokości, i pyta mnie, czy jestem wyznawcą czystej religii. Człowiek ów miał bladą twarz i oko zimne, co, jak sobie przypominam z czasów swej młodości, jest znakiem, po jakim rozpoznaje się purytanina, więc powiedziałem: O tak, sir, zaprawdę jestem, i zabrałem się do swego mięsiwa, kapłona w cieście i ale. Gdym się posilał, on indagował mnie o wszystkie sprawy związane z religią, jak to zepsucie człowieka, predestynacja, daremność wszelakich działań, objawienie tylko poprzez Pismo Święte, zbawienie tylko przez wiarę etc. Robił wrażenie ukontentowanego moimi odpowiedziami i rzekł: Pan Hastynges dał ci dobre referencyje, a ja odpowiedziałem, że pan Hastynges człek zacny i prawdziwej wiary, i po rozmowie o panu H. on powiada nagle: Słyszałem, że matka twoja była papistką i bachorem papistowskiego zdrajcy. Co ty na to? Byłem tym mocno zaskoczony i gniew mnie ogarnął, alem go powściągnął i rzekł, że była może kiedyś, ale odpokutowała swój błąd i była od tamtej pory do końca życia wierną Kościoła zreformowanego. Zapytał mnie, czy pochodziła z Arden w Warwickshire, a kiedym odpowiedział, że tak, rzekł: To cię ratuje od sznura, chłopcze, bo pan mój, lord Dunbarton, potrzebuje kogoś takiego jak ty, czystej religii, ale z powiązaniem papistowskimi, a takimi z rodziny twojej matki szczególnie. I zapytał mnie, czym oglądał kiedy teatr.

Odparłem, że nie, bo czyż nie jest to rzecz niegodziwa? A tak, odpowiedział, i to bardziej, niż myślisz. To puszcący się aktorowie stają w pełnym świetle dnia i knują zdradę. Jak? - zapytasz. Na trzy sposoby. To pierwsze, sztuki niszczą mózgi i dusze tych, którzy je oglądają, pokazując im lubieżne czyny jak rabunek z

morderstwem, gwałty sprośności, poróbstwo, tak że ci, którzy ich słuchają, mogą ich potem naśladować i w ten sposób rozprzegać państwo i zatrać własne dusze, zaprzędając je diabłu. Po drugie, sztuki te obalają prawa Boże, bo pokazują chłopców przebranych za niewiasty co samo w sobie jest grzechem, ale co jeszcze gorsze - wyuzdane, brudne żądze Sodomy którym bez wątpienia folgują ciż aktorowie, aż smród bije pod niebiosą. I po trzecie, najgorsze, są oni tylko maską dla papistowskiej zdrady i powtórzył: Maską, niczym więcej.

A dalej mówił: Bo dobrze wiesz, że ladacznicą Rzymu lubuje się w bogatych widowiskach i jedwabnych strojach, i mężczyznach przebranych za kobiety aby oszołomić ludzi i zawrócić ich ze ścieżki prawdziwej wiary Chrystusa. Czymże jest ich bełkotliwe nabożeństwo, jeśli nie przedstawieniem? Teraz, gdy położyliśmy kres ich mszom, czyż nie spróbują innego sposobu, aby odciągnąć lud od prawdziwej wiary? A więc, zapytałem, uważasz tych aktorów za sekretnych papistów? Nie, powiada on, oni są bardziej przebiegli, bardziej podstępni od węży Cóż mi powiesz jeśli ci zdradzę, że jest teraz za granicą człowiek, główny spośród tych aktorów, który: raz, wymyśla tajemne paszkwile na prawdziwą religię; dwa, wysławia papistowskich księży w takich sztukach, żeby ich podziwiać; trzy, którego ojciec był papistą ukaranym po wielekroć grzywną za odrzucanie protestanckiego Kościoła i którego matka splodzona została w rodzinie od dawna lzonej za odmawianie uczestniczenia w nabożeństwach, bez wątpienia papistka; cztery który zdradziecko spiskował, by zebrać siły earla Essexą, kiedy ten wzniecił bunt przeciwko naszej zmarłej Królowej, pokazując jego zwolennikom u zarzewia rebelii sztukę „Ryszard II” jako inspirujący przykład zdrady i królobójstwa, i powinien być być pojmany ale nie został, bo pewni wyznawcy chronili go, niech przekłete będą ich oczy. Co byś na to rzekł? Na to ja (co było, jak dobrze wiedziałem, jedyńą odpowiedzią): Do Tower z nim, nie powinien być za granicą nawet jednej godziny.

On się uśmiechnął lodowato i rzekł wesolo: Prawdę powiedziales, chłopcze, ale w królestwie teraz zamęt i tego uczynić nie możemy, jeszcze nie teraz. Bo spójrz: Król otoczył się nie bogobojnymi, lecz pożądanymi i zepsutymi faworytami, exemplum lord Rochester i jemu podobni, a z nich wielu tak bliskich papistom jak koszula ciała, i ci rozkoszują się tak próżnymi rozrywkami jak te sztuki wystawiane na scenie. Nawet sam Król ma trupę aktorów, u której zamawia sztuki, aby dogodziły jego kaprysom, i ten, o którym ci mówiłem, jest najglówniejszą z tych kanalii.

Ale mamy, rzecz, księcia Henryka, najlepszego protestanta na świecie, rozsądnego nad wiek, lecz jego ojciec Król nie wymyślił nic lepszego, jak tylko ożenić go z papistowską księżniczką. Tego nie ścierpimy, jeśli spadnie na nasz kraj, bo będzie to ruina Kościoła Bożego w Anglii, czyli to samo, co Król już zaczął przez władzę zepsutych i bezbożnych biskupów. Tak więc pan mój, lord D., i inni szlachetni panowie prawdziwej wiary, myśląc o tej pożałowania godnej przeszłości, powzięli pewien plan i od dawna szukają kogoś, kto go wcieli w życie. No i naleźliśmy takiego.

Kogo? - zapytałem. Ciebie, odpowiedział. Słyszac to, wystraszyłem się bardzo i zapytałem: Ale dlaczego? A on mi wyjaśnił: Wiesz, że matka Króla, Maryja, królowa Szkotów, była prózną i niegodziwą papistką i zdrajczynią, sprawiedliwie ściętą przez naszą zmarłą Królową, i to długo frasowało Króla, że wszyscy dobrzy Anglicy pogardzali jego matką i mogli sobie myśleć: jaka matka, taki syn. A więc patrzyłby łaskawym okiem na sztukę ukazującą królową Maryję jako dobrą kobietę, wprowadzoną jeno w błąd, i może zamówiłby u tej kanalii, o której ci mówiłem, napisać taką. No więc jak, mój chłopcze?

Pomyślałem sobie, bądź sprytny, Dick, bo dasz sobie z tym radę, przeto powiedziałem, że dla każdego dobrego protestanta w królestwie byłaby to obraza i nikt by tego nie zniósł. A on: Tak, i dlatego Król o tym nie myśli. Ale przypuścimy, że ktoś udawałby, że jest na służbie jakiegoś wielkiego lorda, nawet jego

osobistym doradcą, i poszedłby do tego autora i powiedział: Przynoszę polecenie od Jego Królewskiej Wysokości. Napisz taką sztukę, a będziesz wynagrodzony i zyskasz sobie łaski naszego władcy. I przypuścimy, że taka sztuka powstanie i zostanie odegrana przed Królem i jego dworem. Co twoim zdaniem się zdarzy? Bo musisz wiedzieć, że żadna sztuka nie może być pokazana bez licencji od mistrza ceremonii, jednak po prawdzie nikt nie dałby licencji takiej sztuce, bo taki ktoś zapłaciłby głową. Jednak przypuścimy dalej, że mamy skądś pieczęć i wystawiamy naszej kanalii fałszywą licencję i on, nieświadom niczego, pokazuje sztukę. Jak myślisz, co się stanie?

Na to ja, że pewnie oznaczałoby to dlań koniec. Słusznie mniemasz, chłopcze, i roześmiał się, ale mało było w tym śmiechu wesołości. Koniec dla niego i wszystkich jego przeklętych sztuk, i nie tylko: obraza, jak powiadasz, wybuchłaby na całe królestwo, że Król przedstawił swą matkę jako pocziwą damę niesłusznie zgładzoną przez królową Elżbietę, która pojawiłaby się w tej sztuce jako podły, podstępny bękart. Wielka więc wrzawa powstaje: Król zaprzecza wszystkiemu, bo musi, ten lotr, o którym mówię, zostaje pojmany i skazany na męki, o tak, chciałbym to widzieć na własne oczy. Ta mękach wyznaje nazwiska tych wszystkich, którzy brali udział w tej podłej intrydze, to jest najpierw Rochester, a potem wszystkich innych, którzy szukali papistowskiej żony dla naszego księcia. Są zhańbieni, chociaż wszystkiemu zaprzeczają, i tak raz na zawsze kończymy z tym papistowskim planem. I co o tym myślisz?

Ja na to: Myślę, że to wspaniały plan, sir, ale pytam raz jeszcze, dlaczego padło na Dicka Bracegirdle'a? A on: boś z Arden przez matkę, jak i ten, w którego mierzymy, jesteście kuzynami, a przynajmniej tak może się wydawać, i możesz udawać w potrzebie takiego samego półpapieża, jakim by on się mienił, gdyby prawda wyszła na jaw. A więc jeśli lord Rochester będzie chciał wysłać posłańca do tego człowieka, jaki wybór będzie trafniejszy, niż wysłać takiego jak ty? Pamiętaj tylko, że to wszystko robione jest w tajemnicy, bo lord chce sprawić

królowi niespodziankę na urodziny, dać mu nową sztuką. Ale powiedz teraz: jesteś naszym człowiekiem?

Na to była jedna odpowiedź, jeśli chciałem pozostać na swobodzie, więc powiedziałem tak, on zaś kazał mi przysiąc uroczyście na Biblię i ostrzegł, że będę w niebezpieczeństwie do grobu, jeślibym kiedy zdradził. Potem zapytałem go, jako się zowie ów człek, na co odpowiedział: William Shaxpure; wtedy po raz pierwszy usłyszał to nazwisko.

A zatem zostałem uwolniony następnej nocy i popłynęliśmy łodzią z Tower w górę rzeki aż do wielkiego domu w Strand, należącego do lorda Dunbartona, i zostałem mu przedstawiony temu poważnemu, ponuremu, tegiemu człowiekowi, bardzo zajętemu różnymi sprawami. Przyjął mnie jednakże dość uprzejmie i powiedział, że wykonam wielką robotę dla Anglii, jeśli uda mi się doprowadzić nasz plan do skutku. Ale w końcu nam się nie udało, Bóg chciał inaczej w swej wielkiej mądrości i w późniejszych latach często myślałem, że gdybyśmy osiągnęli wszystko, co przewidywaliśmy i na co mieliśmy nadzieję, to może by obecne swary niszczące nasz smutny kraj zostały powstrzymane. Ale ja byłem tylko małym pionkiem w tej grze i prawdą jest, że Jego myśl potężniejsza jest niż nasze myśli. Amen.

Zatrzymałem się na kilka tygodni w Dunbarton House, gdzie był dobry stół i miałem przyodziewek lepszy niż kiedykolwiek, ale bardzo skromny Pan Piggott nauczył mnie, jak pisać i odczytywać zaszyfrowane wiadomości, i był zdumiony jak dobrze sobie z tym radzę, więc powiedziałem mu, że byłem wyćwiczony w sztukach matematycznych od dawna, a jego szyfry były do tego podobne. A więc bardzo był kontent. Wczytałem się w „Traktat o szyfrach”, francuską księgę ostatnio na angielski przełożoną, w bardzo subtelne dzieła signora Porty De Furtivas i w tablice mistrza Cardano i sztuka ta tak mi do gustu przypadła, że pracowałem do późnej nocy bo świec nie brakowało w Dunbarton House,

i pokazałem panu Iiggottowi swoje prace. Bardzo był po paru tygodniach zdumiony, bom wymyślił nowy szyfr, niepodobny do żadnego, jakie znali. Powiedział, że nawet sam papież nie mógłby go odczytać.

Potem doskonalił moje umiejętności zapamiętywania słów, których wypowiadał mnóstwo, a potem kazał mi je powtarzać w tej samej kolejności i zapisywać. Poza tym pokazał mi podobizny mężczyzn i kobiet i widoki miast i wsi, wszystkie bardzo pięknie odrobione farbami, i kazał mi je opisać po krótkim jeno zerknięciu. I tak samo: on i jeszcze jeden człek udali dyskurs o tym, co godne, a co zdrazieckie, a ja ukryłem się za parawanem i później miałem mu powtórzyć całą rozmowę. I znów przyznał, że idzie mi dobrze. „Więc pytam go, czy to wszystko, jeśli chodzi o tajne działania, a on mówi, że nie, to tylko mała część, która to odpowiedź zaskoczyła mnie niepomernie.

Ale później pojąłem go, bo następnie zjawił się Henry Wales, który wydał mi się lubieżnym pyszałkiem w modnym pięknym odzieniu, przystojącym mężowi wyższych sfer, ale pan Piggott rozmawiał z nim grzecznie, dał mu sakiewkę i rzekł: Dick, oto twój prawdziwy przyjaciel, Henry Wales, którego znasz od dzieciństwa z Warwickshire, a teraz spotykasz w Londynie z wielką radością. Jest on aktorem w królewskiej kompanii i zna pana W. Shaxpure'a bardzo dobrze. Tu pan Piggott rzucił mi takie spojrzenie, że od razu zrozumiałem jego znaczenie: ja też miałem być aktorem, ale w życiu, nie na scenie, i to właśnie są tajne działania, nie tylko szyfry, słuchanie i zapamiętywanie, a wtedy wspomniałem swój pierwszy rok w odlewni, kiedy to odgrywałem czeladnika ordynarnego w słowach i brutalnego w czynach, zachowując swoją prawdziwość w sobie, i pomyślałem: tak, potrafię to robić, niech papistówscy zdrajcy drżą ze strachu.

Wszystko, co zdarzyło się potem, najdziesz w listach, które przekazałem lordowi D., a także moje spotkanie z Shaxpure'em, co zaszło między nami, o sztuce,

którą napisał o tej niegodziwej królowej Szkotów, i co się z nią stało, a na koniec jak nam się nie powiodło, czego nie będę tu powtarzał, bo boję się, że nie mam więcej niż parę godzin, i wielki to dla mnie wysiłek pisać więcej. Znasz dobrze, Nan, moje późniejsze życie i smuci mnie to, że nie mogę sam mu opowiedzieć o tym, co robiłem wcześniej. Powiedz mu, że Twój mąż był kanonierem w niemieckich wojnach, walczył o dobrą, protestancką sprawę: był pod Białą Górą gromiony przez papistów, a pod Braitenfeld i pod Lützen sam pomógł ich gromić, ale utrudzony wojaczką i ciężko zraniony w stopę przez kulę powrócił do ojczyzny. Mój ojciec już wtedy nie żył (Twój handlarz ryb także już ducha wyzionął, o com się modlił i co mi wybac, i niech mi Bóg wybaczy) i pobraliśmy się trzeciego aprila 1632 roku u Świętej Małgorzaty Pattens i rok później powiłaś syna, chwała niech będzie Bogu, oby żył długo i Ty wraz z nim.

Jeszcze kilka ważnych rzeczy bo czas mój się kurczy, ledwie widzę stronicę, chociaż jest dzień jasny i chwyciła mnie śmiertelna agonia. Znasz dobrze mój skórzany kuferek, który trzymam w swoim tajnym schowku, w nim najdziesz listy zaszyfrowane sposobem, którym sam wymyślił. Pilnuj ich i nikomu nie pokazuj. Opowiadają one prawie wszystko o lordzie D., jego intrydze i naszym szpiegowaniu utajonego papisty Shaxpure'a. Za takiego go przynajmniej mieliśmy chociaż dziś jestem tego mniej pewny. W tym względzie i zawilościach życia był Nikim. Ale pewnym jest, że napisał o M. Szkockiej dramę, którą w imieniu Króla u niego zamówiłem. Dziwne mi się wydaje, że chociaż nie żyje i on także, to jednak jego drama pozostaje żywą, napisana jego własną ręką, i spoczywa tam, gdzie tylko ja wiem, i tam może pozostać na wieki.

Co do listów: jeśli Król, co nie daj Boże, zwycięży w obecnej sprawie i jego ministrowie przyjdą do Ciebie ze złymi zamiarami, te papiery zabezpieczą Was, Ciebie i naszego syna. Wiesz, jak odczytać szyfr, i przypomnę Ci, że kluczem jest

wierzba, gdzie moja matka spoczywa, i jeśli będziesz mogła, spraw, aby kości moje spoczęły obok niej.

Żegnaj, moja dziewczyno, z łaską Boga mam nadzieję, że zobaczę Cię znów w zdrowym ciele, jako mamy przyobiecane przez Pana naszego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa, w którego imieniu podpis składam, Twój mąż

RICHARD BRACEGIRDLE

Crosetti głupio się czuł, siedząc w samochodzie swego ojca, czarnym ply-mousie fury z 1968 roku, i obserwując dom pod numerem 161 na Tower Road. Był to dwupiętrowy budynek o drewnianej konstrukcji, wymagający pilnie pomalowania, z zapuszczonym trawnikiem i płotkiem z łańcuchów. Szereg zbrązowiałych jałowców, które okalały dom, wydawał się wyczerpywać ogrodnicze ambicje H. Oleruda. Takie nazwisko widniało na poobijanej czarnej skrzyńce pocztowej, przymocowanej gwoździem do wygiętego słupka. Na podjeździe stał nakrapiany rdzą zielony Chevrolet sedan z podniesioną maską, obok leżała płachta brezentowa z porozrzucanymi narzędziami. W otwartym, przypominającym szopę garażu, który przylegał do domu, można było dostrzec czerwony traktor i płataninę kształtów, być może narzędzia rolnicze. Wokół panowała atmosfera zużycia i znużenia, jakby ludzie, którzy tu mieszkają, zostali znokautowani i czekali, aż wróci im oddech.

Była sobota. Crosetti opuścił miasto o świcie i przejechał przez cały stan Pensylwania, pokonując prawie pięćsetkilometrowy odcinek trasy 1-80 i 79, i dotarł do Braddock parę minut po trzeciej. Miasteczko zbudowano wokół pojedynczego

skrzyżowania z dwiema stacjami benzynowymi, McDonaldsem, pizzerią, Domem Weterana, dwoma barami, supermarketem „7-Eleven”, pralnią automatyczną i skupiskiem starszych budynków handlowych z cegły; większość mieszczących się w nich sklepów została wyparta przez domy towarowe i teraz zajmowali je handlarze tandetą, którzy obsługiwali najuboższych klientów. Za tym wąskim pasmem zabudowań stały dziesiątki wielkich domów, wzniesionych zapewne z myślą o kupieckiej i przemysłowej arystokracji, kiedy jeszcze funkcjonowały stalownie i kopalnie. Crosetti nie mógł sobie wyobrazić, kto w nich teraz mieszka.

Tower Road i smutny dom przy tej ulicy nietrudno było znaleźć, wystarczyła mapa z Google'a. Podjechał tam, zapukał do drzwi frontowych, ale nie doczekał się odpowiedzi. Pchnął drzwi i zawołał: „Halo, jest ktoś w domu?!”, intuicyjnie wyczuwając pustkę. Ktoś jednak tu mieszkał; we wnętrzu panował bałagan, ale nie było brudno, na podłodze leżały porzucane zabawki, samochodziki i plastikowy pistolet, przed wielkim telewizorem stała taca na nóżkach. Mieli tu satelitę - biały talerz za domem przeszukiwał niebo. Przed odbiornikiem stał fotel pokryty brązowym skajem i sfatygowana kanapa z kordonkowym obiciem. Na wąskiej półce nad kominkiem stały zdjęcia w ramkach, ale Crosetti nie widział ich dokładnie z progu, a głębiej nie odważył się wejść. Wydawało mu się dziwne, że nie słyszy szczekania psów. Czyżby nie było ich w żadnym domu? To kolejna zagadka. Obszedł dom. Podwórce stanowiło plac zabaw; plastikowe urządzenia, sądząc po rozmiarach, były przeznaczone dla bardzo małych dzieci. Na środku podwórka zainstalowano stojak do suszenia bielizny w kształcie odwróconego parasola. Nic na nim nie wisiało, kilka zerwanych sznurków kołysało się na lekkim wietrze. Na tylnej werandzie stała stara pralka bębnowa. Zajrzał do niej, była sucha i zasnuta pajęczyną.

Po tym krótkim rekonesansie usiadł w samochodzie zamyślony. Jaką głupotą było jechać taki kawał drogi z powodu pocztówki znalezionej na ulicy! Nie miał pojęcia, czy Carolyn Rolly w jakikolwiek sposób była związana z tym domem. Mogła podnieść tę kartkę z chodnika albo znaleźć ją w jakiejś książce. Nie, pomyślał, nie kombinuj. Odwagi! To musi się jakoś z nią wiązać, podobnie jak zdjęcie dwóch kobiet z dzieckiem. A tu było dziecko, chłopiec. Wyjął zdjęcie, żeby jeszcze raz na nie popatrzeć. Sądząc po wyraźnie młodszej twarzy Carolyn, zo stało zrobione

jakieś pięć lat wcześniej, a zatem chłopiec miałby teraz około ośmiu, dziewięciu lat. Crosetti przyjrzał się uważnie rowerkowi porzuconemu niedbale na podjeździe. Pasował do chłopca w tym wieku, a walające się po całym domu i podwórzu zabawki dowodziły trafności tego przypuszczenia. Nie było tu zabawek dla dziewczynek ani drugiego rowerka i Crosetti zaczął się zastanawiać, co się stało z dziewczynką ze zdjęcia... nie, chwileczkę, w piaskownicy leżała samotna i spłowiata Barbie bez ubranka. Chyba że lalkę zostawił ktoś, kto przyszedł w odwiedziny. Albo została ukradziona.

Przyjrzał się podwórku. Była sobota, świeciło słońce, a na suszarce, zresztą zepsutej, nic nie wisiało. Nie wypatrył też w domu elektrycznej suszarki, zmywarka zaś nie wyglądała na używaną zbyt często. Co znaczyło, że w domu prawdopodobnie nie ma kobiety. Facet zapewne mieszkał z dzieckiem (lub z dziećmi), a w sobotę poszedł do miasta i wyprał rzeczy w automacie, bo byłoby hańbą dla mężczyzny robić pranie w domu. Wybierając się zaś do miasta, musiał spotykać kobiety i manifestować swoją wolność, a może wstąpił do Domu Weterana na kilka piw, kiedy pranie kręciło się w bębnie. Dzieci mogły w tym czasie bawić się grami wideo w „7-Eleven” i popijać colę.

Crosetti snuł w myślach tę opowieść, zastanawiając się, skąd ją czerpie, a jednocześnie zdając sobie sprawę, że jest ona tak samo prawdziwa jak film dokumentalny z życia H. Oleruda, który mógłby nakręcić. To, że był synem legendarnego policyjnego detektywa i znanej bibliotekarki, nie nasuwało mu się teraz jako wyjaśnienie, bo przecież zawsze wymyślał historyjki o ludziach, jeszcze jako dziecko. Dlatego między innymi pragnął kręcić filmy i uważał, że potrafiłby to robić. Był przekonany, że ma wrodzony zmysł obserwacji i umiejętność wnioskowania, podobnie jak muzycy, którzy nie musieli uruchamiać żadnego głupiego urządzenia, żeby usłyszeć muzykę rozbrzmiewającą w ich głowach.

Nie jadł od postojku na stacji benzynowej. Teraz była prawie czwarta i poczuł głód, pomyślał więc, że pojedzie coś przekąsić. Już miał ruszyć, gdy zobaczył zbliżający się od strony miasteczka obłok kurzu. Wkrótce wyłonił się z niego zielony pikap, zwolnił, minął go i skręcił na podjazd przed domem numer 161. Crosetti stwierdził z satysfakcją, że w kabinie siedzi mężczyzna i mniej więcej dziewięcioletni chłopiec, którego główka ledwie wystaje ponad tablicę rozdzielczą. Samochód

skręcił zbyt raptownie i zawadził przednim kołem o leżący na podjeździe rowerek chłopca.

Ryk wściekłości mężczyzny, który zahamował gwałtownie, i przenikliwy krzyk dziecka. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się z impetem i z soferki wyskoczył krępowy facet w dżinsach i czystym białym T-shircie, kilka lat starszy od Crosettiego. Miał wydatny brzuch, krótko ostrzyżone rudawe włosy i płaską czerwoną twarz, z rodzaju tych, które zawsze wydają się zagniewane. Wybiegł przed samochód, zaklął znowu, kopnął rowerek i szarpnięciem otworzył drzwi po stronie pasażera. Z soferki dobiegły przeraźliwe krzyki i Crosetti uświadomił sobie, że w środku siedzi jeszcze jedno, młodsze dziecko i że kierowca nie zabezpieczył żadnego z nich pasami. Mężczyzna wyciągnął brutalnie chłopca za ramię i zaczął go okładać z całej siły po głowie - do Crosettiego docierały okropne, tępe odgłosy uderzeń - dopytując się z wściekłością, ile razy ma mu powtarzać, żeby nie zostawiał tego pieprzonego roweru na tym pieprzonym podjeździe, i czy gówniarz wyobraża sobie, że wciąż będzie dostawał nowe rowerki.

Crosetti rozważał bezradnie, czy powinien podjąć jakieś działania, gdy mężczyzna przestał bić chłopca i znów sięgnął do kabiny, żeby wyciągnąć mniej więcej czteroletnią dziewczynkę. Twarz dziecka była jaskrawoczerwona, wykrzywiona w paroksyzmie bólu i strachu, po części dlatego, że ze skaleczonej wargi ciekła krew. Dziewczynka wiała się jak jaszczurka w żelaznym uchwycie, plecy miała wygięte w łuk. Mężczyzna warknął do niej, żeby się zamknęła, że nic jej nie jest i że jeśli się natychmiast nie uspokoi, to naprawdę przyłoży jej tak, że będzie miała powód do łez. Płacz przeobraził się w straszny, chrapliwy szloch i mężczyzna ruszył w stronę domu, ciągnąc dziecko za rękę.

Po chwili Crosetti usłyszał dźwięk telewizora nastawionego na cały regulator. Wsiadł z samochodu i podszedł do chłopca, który leżał skulony na ziemi, tam gdzie cisnął go mężczyzna. Mały płakał w dziwny sposób, wciągając ze świstem powietrze i wydobywając z siebie zduszone, prawie bezdźwięczne łkanie. Crosetti minął malca i kucnął, żeby obejrzeć rowerek. Potem podszedł do remontowanego sedana, wybrał spośród rozrzuconych narzędzi kilka kluczy i kombinerek i pochylił się nad rozbitym rowerkiem. Zdjął przednie koło, wyprostował kierownicę,

nacisnął nogą przedni widelec, żeby też go wyprostować, i posługując się kombinerkami, z grubsza przywrócił szprychom przedniego koła pierwotny wygląd. Pracując, czuł na sobie wzrok chłopca i słyszał, jak jego szloch zamienia się powoli w pociąganie nosem. Kiedy nadał obręczy właściwy kształt, umocował ją z powrotem i trzymając rowerek kołami do góry, zakreślił nią. Koło lekko buksowało, ale obracało się na osi swobodnie.

- Niektórzy mówią, że koło jest jak serce; kiedy się je złamie, nie można go naprawić. Będziesz potrzebował nowego koła, kolego, ale to jeszcze się pokręci, jeśli nie będziesz zbyt szalał na drodze. Jak masz na imię?

- Emmett - odparł chłopiec po dłuższej pauzie i otarł twarz grzbietem dłoni, paskudnie rozmazując łzy i kurz.

Bingo, pomyślał Crosetti, to imię z pocztówki. Spojrzał z zainteresowaniem na chłopca. Malec był ładny, może trochę za szczupły, miał szeroko rozstawione, niebieskie, inteligentne oczy i usta o wąskich wargach, których kształt wydał mu się znajomy. Włosy miał przystrzyżone tak krótko, że trudno było określić ich kolor.

- Ja mam na imię Al - powiedział. - Słuchaj, Emmett, pomógłbyś mi w pewnej sprawie?

Chłopiec zawahał się, po czym skinął głową.

Crosetti wyjął z tylnej kieszeni poprawione komputerowo zdjęcie Carolyn Rolly i pokazał je malcowi.

- Znasz te panie?

Chłopiec przyglądał się zdjęciu szeroko otwartymi oczami.

- To moja mama i ciocia Emily. Mieszkała kiedyś z nami, ale umarła.

- To jest twoja mama? zapytał Crosetti, przyłożywszy palec do podobizny młodej Rolly.

- Aha. Uciekła. On ją zamykał w piwnicy, ale się wydostała. Wykneła się stamtąd w nocy i rano już jej nie było. Dokąd ona poszła, proszę pana?

- Sam chciałbym wiedzieć, Emmett. Naprawdę - powiedział Crosetti w zadumie.

Wciąż nie mógł się nadziwić, że powierzchowność chłopca tak bardzo potwierdza jego domysły; w brzuchu burczało mu z napięcia. Myślał teraz ze wstydem o

tej jedynej nocy spędzonej z Rolly, o tym, co zrobiła i co, jak sobie wyobrażał, czuła. Czy robiła to samo mężowi brutalowi w sypialni tego obscurnego domku? Ogarnęła go przemożna chęć ucieczki z tego miejsca, chciał też (co było już trudniejsze) wyrzucić z serca osobę, którą znał jako Carolyn Rolly. Żał mu było dzieci skazanych na takiego ojca, ale nie mógł nic w tej sprawie uczynić. Jeszcze jedna plama na koncie Carolyn. Kiedy odchodził, chłopiec zawołał za nim:

- Znał ją pan?! Moją mamę?!
- Nie odpowiedział. - Właściwie nie.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Chłopiec przebiegł parę kroków ze zdjęciem trzepoczącym w dłoni, potem zatrzymał się i zniknął w tumanie kurzu.

Crosetti znalazł McDonalda, kupił big maca, frytki i colę. Zjadł to paskudztwo i chciał zamówić coś jeszcze, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Wiedział, że kiedy jest zdenerwowany, to je, i że jeśli nie będzie się pilnował, upodobni się do Orsona Wellesa, tyle że bez dorobku artystycznego, który kompensowałby zwały tłuszczu. Próbował się uspokoić, lecz bezskutecznie, ponieważ zgubił gdzieś mapę samochodową i kilka razy pomylił drogę.

Kiedy wreszcie dotarł do właściwego punktu na granicy stanów, uporządkował w głowie scenariusz filmu *Carolyn Rolly*, niezły tytuł, mógłby go chyba użyć bez jej zgody, bo prawdopodobnie pani Olerud sfabrykowała też swoje nazwisko. Okay: nieszczęśliwe dzieciństwo, to można wykorzystać, historia z uwięzieniem w piwnicy, choć może sprawa gwałtów byłaby zbyt drastyczna i kwalifikowałaby film do kategorii X. Zróbmy z wuja Lloyd'a fanatyka religijnego, który chciał ustrzec siostrzenicę przed zepsuciem tego świata. On umiera, ona ucieka i oto ma już siedemnaście lat, żadnej wiedzy, żadnych kontaktów z kulturą masową, tu ukłon w stronę *Zagadki Kaspara Hausera* Herzoga. Jakiś miejscowy facet związany z tokiem wydarzeń, powiedzmy, gliniarz, który ją znajduje, zakochuje się w niej, urzeczony jej czystością, jej niewinnością. Żeni się z nią, na co ona się godzi, bo jest całkiem sama, nie ma pojęcia, jak toczy się świat. No i zakładają dom. On jest chorobliwie podejrzliwy, wciąż bierze w nim górę natura policjanta - Crosetti znał takich facetów wśród gliniarzy ale ona we wszystkim mu ulega. I to jest akt pierwszy.

Później pokazujemy ją, kiedy ma już dzieci i zaczyna je zabierać do miejscowej biblioteki, gdzie mądra bibliotekarka rozbudza w niej zainteresowanie sztuką i kulturą i to rozjaśnia jej w głowie. A potem jest objazdowa wystawa rzadkich książek, na którą udaje się z bibliotekarką, oczywiście bez wiedzy męża - może jada do Chicago (filmowałyby to oczywiście w Toronto) - i Carolyn uświadamia sobie, że chciałaby sama zajmować się książkami, otoczyć się nimi, ale cóż może zrobić? Ma dwoje dzieci i jest w pułapce. Mimo to decyduje się zapisać na korespondencyjny kurs introligatorski, mąż to odkrywa i bije ją, a potem jest już tylko gorzej, bo zamyka ją w piwnicy, tak jak kiedyś wuj, i ona ucieka. I to jest drugi akt.

W trzecim Carolyn jedzie do Nowego Jorku i... nie, nie wolno ci tego zrobić, główna postać męska powinna się pojawić wcześniej, trzeba więc pokazać przeszłość w retrospekcjach. Skromny urzędnik, też po przejściach, może być glina, spotykają się przypadkiem, zakochują się w sobie, ona znika i...

Dlaczego znika? Crosetti nie wiedział i stwierdził, że nie potrafi wymyślić przekonującego motywu ani powodu. Czy ktoś ją uprowadza? Nie, to zbyt melodramatyczne. Czy dostrzega szansę zarobienia większych pieniędzy, co umożliwiłoby jej odebranie dzieci złemu ojcu? To już bardziej sensowne. Razem z Bulstrode'em wyrusza na poszukiwanie manuskryptu Szekspira. W listach Bracegirdle'a jest wskazówka, profesor znajduje ją i jada do Anglii, gdzie rękopis spoczywa w pewnym miejscu. Setki milionów, mówiła Fanny. Tak, to musiała być prawda, i teraz z kolei główna postać męska powinna rozwikłać zagadkę ich wyjazdu i spotkać się z nimi w Anglii - to też można nakręcić w Kanadzie. I musi być jeszcze wątek poboczny, ktoś inny, kto szuka rękopisu, i okrutny mąż policjant gdzieś w tle. Wszyscy się spotykają w starym zamczysku, w ciemnościach, i wzajemnie wykradają sobie aktówkę z rękopisem tu zamęt z imitacjami aktówek, oczywiście dyskretne odwołanie do *Sokoła maltańskiego*; i jedyny problem z ostatnim aktem to mężczyzna i Rolly, czy on ocali ją, czy ona jego, czy znajdą rękopis, czy skarb przepadnie na zawsze. A może okrutny mąż zostanie zabity i ona zrezygnuje z bogactwa, żeby pozostać z ukochanym i z dziećmi... Nie wiedział, jak zakończyć film, ale im więcej myślał o przenikaniu się fikcji i rzeczywistości, tym bardziej był przekonany, że powinien zyskać pewną przewagę nad Bulstrode'em, ekspertem od Szekspira,

a najlepszą metodą było tu złamanie szyfru, gdyż Bulstrode, pomimo całej swojej erudycji, tego jednego nie potrafił zrobić. A zatem, oprócz zdobycia większej wiedzy o Szekspirze, Crosetti musiał rozszyfrować szpiegowskie listy Bracegirdle'a.

Takie myśli krążyły mu w głowie podczas długiej podróży powrotnej do Nowego Jorku, myśli przyprowadzone typowymi fantazjami: oto stawia czoło rozwścieczonemu mężowi Rolly, walczą on, Crosetti, zwycięża, odnajduje Carolyn, działa nonszalancko, spokojnie i wyrafinowanie, przejrzał jej grę i wybacza, za sprawą manuskryptu zdobywa fortunę i wywołuje sensację w świecie filmu, tworząc dzieło, które nie ma nic wspólnego z kinem komercyjnym, ale trafia do serc masowej widowni, dzięki czemu on nie musi terminować w zawodzie, robić tanich etud studenckich, wysługiwać się jakiemuś hollywoodzkiemu dupkowi...

Dotarł do Queens koło ósmej wieczorem i od razu poszedł spać. Spał bite dwanaście godzin i obudził się, dosłownie wibrując energią, jakiej nie odczuwał od dłuższego czasu, a jednocześnie sfrustrowany, że jest niedziela i że musi poczekać z podjęciem zaplanowanej akcji. Poszedł zatem z matką na mszę, czym sprawił jej wielką przyjemność, a po powrocie z kościoła spałaszował z wdzięcznością solidne śniadanie, które mu zrobiła. Rozmyślając o wychudzonych dzieciach w tamtym domu, dziękował w duchu Bogu za swoją rodzinę, choć wiedział, że takie myśli są absolutnie nie w porządku. Podczas posiłku zrelacjonował matce, czego się dowiedział.

- A więc wszystko okazało się kłamstwem - oznajmiła.

- Niekoniecznie odparł, wciąż pozostając pod urokiem fikcyjnej wersji, którą opracował po drodze. - Faktycznie uciekła z domu, od tego koszmaru. To, co mówiła, było po części prawdą. Zmieniła miejsce akcji i pewne szczegóły, ale ten facet, jak wynika ze słów chłopca, rzeczywiście zamykał ją w piwnicy. Mogła być molestowana jako dziecko i znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

- Ale jest mężatką, o czym nie raczyła wspomnieć, i odeszła od dzieci. Przykro mi, Allie, ale to nie najlepiej o niej świadczy. Mogła zwrócić się o pomoc do władz.

Crosetti wstał gwałtownie od stołu, zaniósł talerz i kubek do zlewu i umył je, trzaskając nimi ze złością.

- Tak, ale nam nie wolno jej osądzać. Nie każdy ma szczęśliwą rodzinę jak nasza, a władze czasem więcej szkodzą, niż pomagają.

- Okay, Albercie - powiedziała Mary Peg. - Nie musisz tłuc talerzy, żeby dowieść swojej racji. To prawda, nie wiemy, przez co przeszła. Niepokoi mnie tylko twoje emocjonalne zaangażowanie w przypadku mężatki, którą ledwie znasz. To mi wygląda na obsesję.

Crosetti zakreślił wodę i odwrócił się do matki.

- To jest obsesja, mamó. Chcę jej poszukać i pomóc, jeśli będę mógł. A żeby to zrobić, muszę rozszyfrować te listy. - Umilkł na chwilę - i chciałbym, abyś mi pomogła.

- Nie ma problemu, kochanie - zapewniła matka z uśmiechem. - To lepsze niż scrabble w długie wieczory.

Nazajutrz Mary Peg zaczęła wyszukiwać w sieci wszelkie materiały o kryptografii, a także korzystać z rozległych kontaktów w bibliotekach całego świata, telefonując i wysyłając e-maile. Crosetti zadzwonił do Fanny Dubrowicz i dowiedział się z zadowoleniem, że zdołała odczytać pismo z epoki i że wprowadziła tekst ostatniego listu Bracegirdle'a do swego komputera. Dokonała też transkrypcji zaszyfrowanych listów szpiegowskich i posłała próbki papieru i atramentu z oryginałów do laboratorium, a przeprowadzona tam analiza potwierdziła, że jest to XVII wieczny dokument.

- Nawiasem mówiąc, ten Bracegirdle opowiada niesamowitą historię - zauważyła. Jego listy, o ile nie są stekiem kłamstw, wywołują rewolucję w świecie nauki. Gdybyś tylko nie był taki głupi, żeby sprzedawać oryginał!

- Wiem, ale nic już nie mogę zrobić - odparł Crosetti, siłąc się na grzeczność. - Gdybym mógł znaleźć Carolyn, mógłbym te listy odzyskać. A czy coś się pojawiło w świecie bibliotecznym? Znalazł się jakiś sensacyjny manuskrypt?

- Ani śladu, a obdzwoniłam wszystkie ośrodki zajmujące się manuskryptami. Jeśli profesor Bulstrode bada jego autentyczność, to czyni to bardzo dyskretnie.

- Czy to nie dziwne? Wyobrażałem sobie, że zwoła konferencję prasową.

- No tak, ale przecież to człowiek, który się boleśnie sparzył. Nie chce się publicznie chwalić znalezieniem rękopisu, dopóki nie będzie pewny jego autentyczności.

Jest tylko kilku uczonych na świecie, którzy mogą wydać w tej sprawie miarodajną opinię, i rozmawiałam już ze wszystkimi. Śmiali się, kiedy wymieniłam nazwisko Bulstrode'a, żaden nie słyszał o nim ostatnio.

- No tak, może zaszył się w jakimś zamku i napawa swoją zdobyczą. A czy mogłabyś mi, ciociu, przysłać te dokumenty e-mailem? Chciałbym się wziąć do łamania szyfru.

- Dobrze, już wysyłam. I podam ci też numer telefonu mojego przyjaciela Klima. Myślę, że będziesz potrzebował pomocy. Przyjrzałam się temu trochę i mam wrażenie, że z tym szyfrem nie pójdzie tak łatwo.

Kiedy przyszedł e-mail, Crosetti wydrukował transkrybowany tekst listu Bracegirdle'a, zamiast czytać go bezpośrednio z ekranu. Przebiegł go kilkakrotnie wzrokiem, zwłaszcza ostatnią część o misji szpiegowskiej, i usiłował stłumić w sobie gniew z powodu pozbycia się oryginału. Niemal współczuł temu sukinsynowi Bulstrode'owi odkrycie było tak doniosłe, że mógł odgadnąć, co działo się w głowie faceta, kiedy to zobaczył. Nie dopuszczał do siebie myśli o innym, większym trofeum, z pewnością w przeciwieństwie do Bulstrode'a, a przede wszystkim starał się nie myśleć o Carolyn i jej roli w tej sprawie. Crosetti był raczej biernym studentem, lecz potrafił się skoncentrować, kiedy coś go zainteresowało. Jak na przykład historia kina, czyli dziedzina, w której jego wiedza była isticie encyklopedyczna. Teraz skupił całą swą uwagę na szyfrze Bracegirdle'a i na stercie książek o kryptografii, które matka przyniosła tego wieczoru z różnych bibliotek.

Przez kolejne sześć dni nie robił nic innego, tylko chodził do pracy, studiował kryptografię i pracował nad szyfrem. W niedzielę znów poszedł do kościoła i przyłapał się na tym, że z niezwykłą dla siebie żarliwością modli się o powodzenie. Wróciwszy do domu, skierował się od razu do swojego pokoju, gotów zacząć od nowa, ale matka go powstrzymała.

- Zrób sobie przerwę, Allie. Jest niedziela.

- Pomyślałem, że mógłbym spróbować zabrać się do tego z innej strony.

- Kochanie, jesteś wyczerpany. Masz mętlik w głowie. Nie wyjdzie ci na dobre, jeśli będziesz tak pracował na najwyższych obrotach. Usiądź, zrobię ci parę kanapek, napijesz się piwa, opowiesz mi, co dotąd działałeś. To ci pomoże, wierz mi.

Zmusił się, żeby usiąść, i zjadł grzanki z serem i boczkiem, popijając budweiserem. Stwierdził, że matka miała rację; poczuł się normalniej. Kiedy skończył śniadanie, Mary Peg zapytała:

- No więc, do czego doszedłeś? Wiesz już coś?
- W sensie negatywnym. Znasz się trochę na szyfrach?
- Na poziomie kącika rozrywek umysłowych w niedzielnej gazecie.
- No cóż, od czegoś trzeba zacząć. A więc najpowszechniejszym

szyfrem na początku siedemnastego wieku był tak zwany nomenklator. Był to krótki słowniczek zakodowanych słów: „szkatułka” oznaczała armię, „szpilki” okręty i tak dalej i słowa te, razem z połączonymi z nimi słowami wiadomości, były szyfrowane przy użyciu zwykłych zastępników, ewentualnie z kilkoma fantazyjnymi komplikacjami. To, co tu mamy, to właśnie nomenklator. Na dobrą sprawę sędzę, że jest to szyfr, o którym pisze Bracegirdle w liście, ten, który wymyślił dla lorda Dunbartona. Ale nie polega to na zwykłym podstawianiu słów. Myślę, że to prawdziwy szyfr polialfabetyczny.

- Czyli?
- To trochę skomplikowane. Pokażę ci to na fragmencie.

Wyszedł i wrócił z plikiem pogniecionych kartek.

- Okay, no więc w najprostszym szyfrze podstawia się pod daną literę inną, zwykle przesuwając alfabet o kilka pozycji, tak że „A” staje się „D”, „C” staje się „G” i tak dalej. Nazywa się to szyfrem Cezara, bo prawdopodobnie wynalazł go Juliusz Cezar, ale oczywiście można go złamać w kilka minut, jeśli zna się częstotliwość występowania określonych liter w języku, w jakim tekst jest napisany.

- ETAOIN SHRDLU. Dwanaście najczęściej występujących liter w języku angielskim.

- Właśnie. Oczywiście szpiedzy to wiedzieli, więc opracowali takie metody szyfrowania, żeby zakamuflować częstość występowania liter przez użycie innego alfabetu do wprowadzania zastępników w szyfrowanym tekście.

- Mówisz o całkiem innym alfabecie, jak na przykład grecki?
- Nie, nie, mówię o czymś innym. Wyciągnął kartkę z ryzy papieru i wygładził ją na blacie. W szesnastym wieku architekt Alberti wynalazł szyfr podstawieniowy, w

którym wykorzystywał różne alfabety zapisane w określonym porządku na mosiężnych płytkach, a nieco później, we Francji, matematyk nazwiskiem Blaise Vigenere wynalazł prawdopodobnie coś, co nazwano polialfabetycznym szyfrem podstawieniowym, posługując się dwudziestoma sześcioma alfabetami zapisanymi metodą Cezara. Pomyślałem, że taki lub podobny szyfr mógł być znany Bracegirdle'owi, jeśli studiował on w tym czasie sztukę kryptografii. Ten oto diagram nazywano *tabula recta* albo *tableau* Vigenere'a. Jest to dwadzieścia sześć alfabetów zapisanych jeden nad drugim, poczynając od tradycyjnej wersji, od „A” do „Z”. Każdy następny zaczyna się o jedną literę w prawo najpierw od „B” do „Z” plus „A”, potem od „C” do „Z” plus „A” i „B”, i tak dalej, a do tego dochodzi jeszcze dwa razy tradycyjny alfabet, wzdłuż lewego boku i od góry, i w obu przypadkach służy jako indeks.

- Czego się używa dla zakamuflowania częstotliwości?

- Klucza. Wybierasz sobie jakieś konkretne słowo i wypisujesz je nad tabelą, przy czym każda kolejna litera umieszczona jest nad kolejną kolumną. Powtarzasz to słowo, aż dojdiesz do końca alfabetu. Weźmy na przykład jako klucz Mary Peg. Jest to siedem liter bez powtórzeń, więc to dobry wybór. Wypisał to kilka razy ołówkiem i powiedział: - Teraz potrzebujemy otwartego tekstu do zaszyfrowania.

- „Uciekaj, wielka wsypa” zaproponowała.

- Zawsze na czasie. A więc zapisujemy jawny tekst nad kluczem, o, w ten sposób...

U C I E K A J W I E L K A W S Y P A

M A R Y P E G M A R Y P E G M A R Y

- Teraz, żeby to zaszyfrować, bierzemy pierwszą literę jawnego tekstu, czy li „U”, i pierwszą literę klucza, czyli „M”, i znajdujemy na tablicy miejsce, w którym kolumna „U” przecina się z szeregiem „M”, i zapisujemy literę, która jest na tym przecięciu, czyli „G”. Następną kombinacją to „C” z „uciekaj” i „A” z „Mary”, co daje „C”, dalej jest „I” i „R”, co daje „Z”. No i teraz popa-

	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z
A	A	B	c	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	s	T	u	V	w	X	Y	z
E	D	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	p	Q	R	S	T	U	V	w	X	Y	Z	A
C	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	w	X	Y	Z	A	B
D	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C
E	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D
F	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E
G	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F
H	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	w	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G
I	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H
J	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I
K	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	w	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J
L	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K
M	M	N	O	P	O	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L
N	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	w	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M
O	O	P	Q	R	S	T	U	V	w	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N
P	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O
Q	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P
R	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q
S	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R
T	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S
U	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T
V	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U
W	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V
X	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W
Y	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X
Z	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y

na czym to polega: następna litera, „I”, jest nad „R” w naszym kluczu „Mary Peg”, co daje „Z”. Ale te same litery jawnego tekstu, jak na przykład „W” w „wielka” i „W we „wsypa”, mogą mieć w tekście zaszyfrowanym różne odpowiedniki i dlatego analiza frekwencyjna zawodzi. Teraz zapiszę szybko całe zdanie, żebyś zobaczyła...

Zaszyfrował pośpiesznie całe zdanie i pokazał jej.

U C I E K A J W I E L K A W S Y P A
G C Z C Z E P I I V J Z E C E Y G Y

- Mamy coś, czego nie da się odczytać metodą zwykłej analizy częstotliwościowej, i przez trzysta lat nikt nie mógł złamać takiego szyfru, nie znając słowa klucza. To dla tego słowa torturowano szpiegów.

- Jak na to wpadłeś?

- Ustalając długość słowa klucza, a to można zrobić, analizując powtarzające się kombinacje w zaszyfrowanym tekście. Nazywa się to metodą Kasiskiego-Kerckhoffa. W dostatecznie długim komunikacie lub zestawie komunikatów „UC” wystąpi znów jako odpowiednik „MA” i da ponownie „GC”, wystąpią też inne dwu- i trzyliterowe kombinacje, a wtedy można obliczyć odległość pomiędzy powtórzeniami i ustalić każdy współczynnik numeryczny. W naszym przypadku, mając siedmioliterowy klucz, można spotkać powtórzenia przy siedmiu, czternastu i dwudziestu jeden częściej niż na chybił trafił.. Oczywiście dzisiaj używa się narzędzi statystycznych i komputerów. A zatem kiedy wiesz, że słowo klucz ma siedem liter, sprawa jest prosta, bo wtedy masz siedem prostych alfabetycznych wziętych z tablicy Vigenere'a i dokonując zwykłej analizy częstotliwościowej, możesz rozszyfrować tekst lub odtworzyć słowo klucz. Można ściągnąć z Internetu dwa programy dekryptujące, które zrobią to w parę sekund.

- Więc dlaczego nie złamałeś tego szyfru?

Przesunął palcami po włosach i jęknął.

- Gdybym to wiedział, znalazłbym sposób, żeby go złamać. To nie jest prosty Vigenere.

- A może jest, tyle że ma naprawdę długie słowo klucz. Z tego, co powiedziałeś, wynika, że im dłuższy jest klucz, tym trudniej wyodrębnić powtarzające się grupy.

- Zgadza się. Problem z długimi słowami kluczami polega na tym, że łatwo je zapomnieć i trudno przekazać, kiedy chce się je zmienić. Jeśli na przykład ci goście chcieli zmieniać klucz co miesiąc, żeby mieć absolutną pewność, że żaden szpieg go nie odkryje, to potrzebowali czegoś, co można było przekazać agentowi szeptem w ciemnościach albo w jakimś całkowicie niewinnym liście. Dziś załatwiają to tak, że agent otrzymuje tak zwany klucz jednorazowy, który jest zestawem segmentów nieskończenie długiego, całkowicie losowego klucza. Agent zaszyfrowuje jeden komunikat i pali kartkę z kluczem. Jest to nie do złamania, nawet

przez zaawansowane komputery. Ale takiej metody nie znano w tysiąc sześćset dziesiątym roku.

- A więc co jeszcze wchodzi w rachubę?

- Może to być siatka, a wtedy leżymy.

Widząc, że nie bardzo rozumie, dodał: Siatka Cartana, kawałek kartonu z otworami, w których można odczytać komunikat, kiedy przyłoży się siatkę do tekstu. Przyjmijmy, że zaszyfrowany tekst, który tu wypisałem, jest przypadkowym zestawem liter, ale jeśli przyłoży się do niego siatkę, można odczytać CEP, PIJ albo PIEG...

- Ale jeśli posłużyliby się siatką, zaszyfrowany tekst mógłby wyglądać na normalny list. „Droga Mamo, bawię się tu w Londynie doskonale, kupiłem nowy czerwony kubrak, poluję na niedźwiedzie, szkoda, że Cię tu nie ma, serdeczności, Dick”. A siatka ujawniłaby tekst: „Uciekaj, wielka wyspa”. To znaczy, że chodzi o to, aby ukryty komunikat wyglądał na niewinny list, tak?

Crosetti popukał się w głowę gestem, który mówił: „Co za tępota!”

- Oczywiście. I tu się zgubiłem. W każdym razie utknąłem nie mam pojęcia, co robić dalej. - Poddaję się.

Już powiedziałam: musisz odpocząć.

- Masz rację. Potarł sobie twarz dłońmi, po czym zapytał: - Który dziś?

- Czternasty października. A o co chodzi?

- W Brooklyńskiej Akademii Muzycznej odbywa się festiwal filmów karaibskich, chciałbym zobaczyć jeden obraz, *Ludzie i bogowie*. Może jeśli się zanurzę w radosnej atmosferze haitańskiego wudu, to wróć do pracy odświeżony.

- Świetny plan, kochanie pochwaliła Mary Peg.

Ton jej głosu i wyraz twarzy sprawiły, że przyjrzał się jej podejrzliwie.

- Co?

- Nic, kochanie. Pomyślałam, że jeśli nie masz nic przeciwko temu, to sama popracuję nad szyfrem.

- Daj sobie spokój! burknął Crosetti z niejakim poczuciem wyższości. To nie krzyżówka.

Nie było go ponad cztery godziny, bo po projekcji spotkał paru znajomych kinomanów i poszedł z nimi na kawę, żeby przeanalizować film pod kątem technicznym

i artystycznym. Z przyjemnością uczestniczył w dowcipnej i inteligentnej rozmowie, typowej dla takich zapaleńców; zabłysnął kilkoma niezłymi puentami i wdał się w pogawędkę z drobną, żywiołową kobietą, autorką filmów dokumentalnych, z którą wymienił się numerami telefonów. Poczł się wreszcie normalnie po bardzo długim czasie, jak mu się wydawało. Minęły prawie dwa miesiące od tej historii z Rolly. Rzecz skończyła się tak nagle, jak się zaczęła, pozostawiając w nim dziwne poczucie emocjonalnego wypalenia. Nie była to miłość, tak teraz uważał. Odrobina chemii, jasne, ale, jak zauważyła matka, żeby chemia przeobraziła się w coś trwałego, potrzeba wzajemności i choć trochę zaangażowania, którego z całą pewnością nie doświadczył ze strony Rolly... tylko nicość i ten głupi list, aha, i formułka: „Pożegnaj ode mnie Alberta”. Wciąż go to wkurzało, nie jako cios zadany jego poczuciu własnej wartości, ale jako obraza dla jego zmysłu estetycznego. Był to błąd; nigdy nie umieściłby takiego wątku w scenariuszu, a ponieważ był zwolennikiem realistycznego kina autorskiego, uważał, że takie zdarzenia nie mogą zaistnieć w realnym świecie. Tak wyglądały rozważania Crosettiego w metrze.

Kiedy dotarł do domu, zastał Mary Peg w salonie, popijającą wódkę z jakimś dziwnym mężczyzną. Stał w drzwiach i wpatrywał się w matkę, która ze spokojem (z nadmiernie podejrzanym spokojem, pomyślał) przedstawiła mu gościa jako Radosława Klima. Mężczyzna wstał - był o jakieś piętnaście centymetrów wyższy od Crosettiego i uściśnął mu dłoń, ukłoniwszy się sztywno. Miał inteligentną twarz, o orlim profilu i cudzoziemskim charakterze, choć Crosetti nie potrafił określić, co w niej jest nieamerykańskiego. Wodniste niebieskie oczy spoglądały zza szkieł w okrągłej drucianej oprawce spod grzywy sztywnych srebrzystych włosów, które sterczały nad wysokim czołem jak grzebień na hełmie centuriona. Mniej więcej rówieśnik Mary Peg, może trochę starszy, miał na sobie workowaty rdzawy garnitur i ciemną koszulę bez krawata; garnitur był tani i wisiał na jego szczupłym ciele. Mimo to mężczyzna odznaczał się wojskową postawą, jakby tylko na chwilę zdjął nienagannie skrojony mundur.

Crosetti usiadł w fotelu, a matka podała mu kieliszek zmrożonej wódki, której widok obudził w nim nieznanne dotąd, gwałtowne pragnienie: natychmiast musiał

ją wypić. Po pierwszym, sporym łyku spojrział wyzywająco na Mary Peg, która wyjaśniła po prostu:

- Pan Klim jest przyjacielem Fanny. Poprosiłam go, żeby wpadł i rzucił okiem na twój szyfr. Bo chyba utknąłeś.

- Uhm - potwierdził.

- Tak odezwał się Klim. - Rzuciłem na to okiem, trochę przestudowałem. Tak jak się domyśliłeś, to polialfabetyczny szyfr podstawieniowy. Prawdą jest też, że nie mamy do czynienia z prostym Vigenere'em. To oczywiście sprawa podstawowa.

Miał lekki akcent, który przypominał Crosettiemu Fanny, łagodny sposób bycia, a podejście do zagadnienia na tyle naukowe, aby przynajmniej częściowo stłumić jego początkową niechęć.

- Więc co to jest? - zapytał ostro Crosetti.

- Myślę, że to klucz zmienny odparł Klim. - Wzięty z jakiejś książki. Rozumiesz, na czym to polega? Klucz jest bardzo długi w zestawieniu z jawnym tekstem, a więc metoda Kasiskiego-Kerckhoffa na nic się tu nie przyda.

- Coś w rodzaju kodu książkowego?

- Nie, to nie to samo. Kod książkowy jest kodem. Tekst kodowy to, powiedz my, czternaście, siedem, sześć, a to oznacza, że trzeba zajrzeć do „World Almanach” albo czegoś podobnego i odszukać stronę czternaścią, wers siódmy, szóste słowo. Albo jeśli chcesz, możesz posłużyć się literami, czwarta litera, dziesiąta litera i tak dalej. Klucz zmienny też posługuje się książkami, ale w tym wypadku tekst książki pełni rolę stałego klucza. Ale nie jest to tak bezpieczne, jak się ludziom wydaje.

- Dlaczego? Przecież to podobne do klucza jednorazowego.

Klim potrząsnął głową.

- Wcale nie. Klucz jednorazowy ma bardzo wysoką entropię, bo litery są generowane losowo. Innymi słowy, mając jedną literę swojego klucza, nie wiesz, która z dwudziestu sześciu pozostałych będzie następna. Natomiast przy kluczu zmiennym, który jest oparty na dowolnym angielskim tekście, zgadniesz bez trudu, jaka litera następuje, dajmy na to, po „Q”.

- „U”.

- Otóż to. Niska entropia, jak powiedziałem. Rozwiązujemy to w ten sposób, że zestawiamy prawdopodobny tekst jawny z tekstem zaszyfrowanym tak długo, aż znajdziemy coś zrozumiałego.

- A co pan ma na myśli, mówiąc „prawdopodobny tekst jawny”?

- Ach, słowa, które zawsze pojawiają się w tekście angielskim. *The, and, this* i tak dalej. Analizujemy tekst zaszyfrowany i przypuścimy, że w jednym miejscu *the* po przepuszczeniu przez tableau daje nam *ing* lub *shi*. Jest to wskazówka, dzięki której odkrywamy więcej angielskich słów w kluczu. W końcu rozpoznajemy prawdziwe źródło zmiennego klucza. To znaczy książkę, z której klucz pochodzi, co oznacza złamanie całego szyfru. Nie jest to bardzo skomplikowane, ale potrzeba do tego komputera albo kilku zespołów inteligentnych pań.

Uśmiechnął się, pokazując małe, poplamione zęby, błysnęły mu okulary. Crosetti odniósł wrażenie, że Klim musiał kiedyś kierować pracą takich zespołów.

- Czy mój wystarczy? - zapytał Crosetti. - Mam na myśli komputer, nie zespół pań.

- Owszem, jeśli się go połączy z innymi, co da się zrobić. Jest na świecie kilku ludzi, którzy lubią łamać szyfry dla rozrywki; na pewno udostępnią swój sprzęt, kiedy go nie używają, na przykład późno w nocy, a gdzieś zawsze musi być późna noc. Mogę to załatwić, jeśli chcesz. Mamy też szczęście, że to szyfr z tysiąc sześćset dziesiątego roku.

- Dlaczego?

- Bo jest znacznie mniej drukowanych tekstów, których można było wtedy użyć jako źródła zmiennego klucza. Właściwie, biorąc pod uwagę to, co mówiła mi twoja matka na temat charakteru tych ludzi, zaryzykowałbym tezę, że tekstem tym jest prawie na pewno angielska wersja Biblii. No więc jak, zaczynamy?

- Teraz?

- Teraz. Masz coś przeciwko temu?

- Hm, jest trochę późno - zauważył Crosetti.

- Nie szkodzi. Mało śpiam.

- Zaproponowałam Radosławowi pokój Patty - powiedziała Mary Peg.

Crosetti dopił swoją wódkę, tłumiąc odruch wstępu, i wstał.

- Wygląda na to, że o wszystko zadbałaś, mamó. Myślę, że się połóżę.

Rano obudził Crosettiego nie dzwonek budzika, lecz energiczne pukanie do drzwi, a następnie gwałtowne szarpnięcie za ramię. Spojrzał nieprzytomnie na matkę.

- Co się stało?

- Musisz to przeczytać. Potrząsnęła egzemplarzem „New York Timesa”, otwartym na stronie poświęconej przestępstwom, aferom i osobistościom życia publicznego.

W Hotelu Asystenckim Uniwersytetu Columbia znaleziono zwłoki zamordowanego angielskiego profesora

Na widok nagłówka oprzytomniał błyskawicznie. Przetarł oczy i przeczytał artykuł, potem jeszcze raz. Informacja była zwięzła, policja zachowywała zwykłą powściągliwość, ale dziennikarz użył słowa tortury i to wystarczyło, by żołądek podjechał Crosettiemu do gardła.

- Zadzwoń do Patty - poprosił.

- Już to zrobiłam - odparła Mary Peg. - Zostawiłam wiadomość w poczcie głosowej. Patty oddzwoni. Co o tym myślisz?

- Nie wygląda to dobrze. Profesor znika zaraz po kupieniu ode mnie manuskryptu, wyjeżdża prawdopodobnie do Anglii na kilka miesięcy, potem wraca i ktoś go torturuje na śmierć. Może rękopis sztuki rzeczywiście istnieje, profesor odgadł, gdzie się znajduje, ktoś odkrywa, że on wie, i torturuje go, żeby to z niego wydobyć.

- Albercie, to nie jest kino! Takie rzeczy nie przytrafiają się angielskim profesorom w prawdziwym życiu.

- A więc dlaczego go torturowali i zabili? Chyba nie chodziło im o hasło w komputerze.

- Może to zemsta matki jakiegoś innego głuptasa, którego oszukał. Z tego, co wiemy o jego charakterze, można wnioskować, że mógł być zamieszany w mnóstwo takich brudnych szwindli.

- Mamo, wierz mi, kino nie kino, tak to właśnie wygląda. Chciałbym wstać.

Był to sygnał dla matki, żeby wyszła z jego pokoju, co też uczyniła.

Biorąc prysznic, Crosetti przyłapał się na tym, że jego myśli płyną znów ku Rolly i fabule fikcyjnego filmu oraz możliwości, że Carolyn mogłaby właściwie należeć do czarnych charakterów, jak Brigid O'Shaughnessy grana przez Mary Astor w *Sokole maltańskim*. Matka się myliła. Życie nie tylko było jak film; to z powodu filmów życie było takie, jakie było. Ludzie się z nich uczyli, jak się zachowywać, jak być mężczyzną, jak być kobietą, co jest zabawne, a co nie. Ci, którzy je kręcili, nie mieli o tym pojęcia, usiłowali tylko zarobić, ale tak to wyglądało.

To wszystko było w *Sokole...* jego drugim po *Chinatown* ulubionym filmie, właściwie pierwowzorze tego ostatniego obrazu, przeznaczonego już dla widowni lat siedemdziesiątych. Dlaczego tak mu się podobały filmy o złych dziewczynach? Oczywiście *Bonnie i Clyde*, *Nikita* i dziesiątki innych. Zastanawiał się, jaką on gra rolę, martwego Milesa Archera czy martwego kapitana marynarki z drugiego planu, a może Sama Spade'a? Zabiłaś Milesa i odpowiesz za to. I mam nadzieję, że cię nie powieszają, kotku, za twoją słodką szyję. Tak, aniołku, wyślę cię za kratki. Znał niemal cały scenariusz na pamięć i teraz wygłaszał te kwestie do sitka prysznicowego, sepleniąc i świszcząc jak Bogart i zastanawiając się przy tym, czy mógłby wysłać Carolyn za kratki, gdyby naprawdę pomogła zabić Bulstrode'a. A może by ją osłaniał. Już sama myśl, że to możliwe, przyprawiła go o żywsze bicie serca. Zmniejszył temperaturę wody i zaczął sobie chłodzić rozpaloną twarz.

Panie, minęły dwa tygodnie z okładem, odkąd pożegnałem Twe domostwo, a już odniosłem niejaki sukces, jak za chwilę opowiem. W piątek opuściłem swą kwaterę w Vine w Bishopsgate w towarzystwie pana Walesa, który przebywał ze mną przez cały ten czas i ciężka to była próba, jako że był z niego fircyk i opój i często narażał nasze przedsięwzięcie na szwank swoimi aluzjami i przechwałkami w gospodzie. Nieraz musiałem zanosić go do naszej izby, szarpiąc się z nim i grożąc mu, ale gdy jest trzeźwy, staje się tchórzem i zachowuje się, jakby mu coś groziło. Gdy nie był pijany, pouczał mnie, jakie są rozmaite papistowskie sztuczki i gadki podczas ich mszy i w guślarskich widowiskach, tak bym w razie potrzeby mógł udać jednego z nich.

Z mieszkańców gospody większa część to woźnice i różni aktorowie, połowa z tych drugich to półpapiści, a reszta przekłeci ateści, rzadko najdziesz wśród nich krześcianina. A więc przechadzamy się po Bishopsgate, on błądy i zlany potem od pijaństwa co chwila chce przystawać, żeby się jeszcze napić, ale nie dopuszczam do tego, powiadając: Zważ, waćpan, na naszą misyję, i widzę strach na jego twarzy. I tak trafiliśmy do gospody Pod Łabędziem na Leadenhalle Street, gdzie, jako mi rzecze pan Wales, W.S. często bywa. Pan Wales mówi, że ma on w zwyczaju brać tu izbę, kiedy nie jest goszczony w którymś z wielkich domów. Kiedyś pomieszkiwał w pobliżu Silver Street, ale już tam nie przebywa, i jeszcze wcześniej chodził codziennie do Globe albo teatru Blackfriars, lecz teraz, kiedy się na nich wzbogacił, wycofał się z tych spelun, rozpustnik. Pod Łabędziem nędzna kompania, hazardziści, naciągacze i szulerzy i inne szelmy i Wales, wypytując oberżystę, dowiedział się, że pan W.S. jest na górze w wynajętej izbie i ma w zwyczaju od rana siedzieć nad swoimi papierami. A więc Wales posłał do niego dziewczkę, żeby powiedziała, że krewniak, to znaczy ja, chciałby się z nim widzieć. Po chwili schodzi do izby mąż z rzadką bródką, wzrostu

średniego, z łysinką, grubawy, w porządnym kubraku koloru tabaczkowego i wyglądający na kupca bławatnego. Pan Wales poznaje nas, mówiąc: *Willu Shaxpure, oto twój kuzyn z Warwick, Dick Bracegirdle.*

Na co on mówi, że musimy być kuzynami ze strony matki, bo w Warwickshire nigdy nie było takiego nazwiska, i ja mówię, że tak, bo moja matka rodem z Arden. Na to on się uśmiecha, klepie mnie w plecy, prowadzi do stołu i zamawia napitek, a chłopiec przynosi nam ale, na co pan Wales woła wina z Wysp Kanaryjskich, choć nikt go nie zapraszał, i przyzywa kilku znajomych hultajów i dziewczek, częstując ich winem z dzbana. W.S. rzecze coś do mnie, ale nie mogę wyrozumieć co trzeciego słowa z tego, co gada, tak dziwną ma wymowę. Widząc to, urywa i powiada: Nie wyrastałeś w Warwick, a ja na to, że nie, zem się urodził w Londynie, młodość zaś spędziłem w Titchfield, na co on, że często bywał w Titchfield w gościnie u lorda Southamptona, i to rzecze już zwykłą mową z Hampshire, jak mógłby mówić mój wuj Matthew, co mię bardzo zdumiało. Alem sobie pomyślał, że pisze sztuki i że jest jego rzemiosłem małpować język każdego czleka.

Potem rozmawialiśmy o naszych rodzinach i odkryliśmy, że jego matka pochodzi ze starodawnego rodu, od sir Waltera Ardena z Park Hall, i moja także, ale jego pochodziła od Thomasa, najstarszego syna tego dzentelmena, a nie od Richarda jak moja matka, i to go wielce kontentuje. Opowiadam mu, jak mój dziad został powieszony za sprzyjanie papistom, ale powiadali, że za zdradę, i on zasmucił się i rzecze, że taki sam był los jego wuja jeszcze za panowania starej Królowej. I tak rozmawiamy dalej i on wyciąga ode mnie moją historię. Mówię mu, a dużo w tym prawdy, o moim życiu jako czeladnika w odlewni, o wielkich działach i o wojnach z Holendrami; nigdy nie spotkał człowieka tak ukontentowanego słuchaniem wynurzeń innego, bo ludzie lubią rozprawiać o sobie i przedstawiać siebie w lepszych terminach, niż są w życiu, ale on nie z tych. Tutaj mówię samą prawdę, bo pan Piggott dowodził, że jeśli chcę powiedzieć jakieś wielkie kłamstwo, muszę je obłożyć tysiącem prawdziwych opowieści, tak by je

przemycić pośród wielu innych. Tymczasem pan Wales wypił już pintę albo i więcej najlepszego kanaryjskiego wina i urznął się, i zaczął zlorzezczyć W.S., mówiąc, że nie ma zatrudnienia od tylu tygodni wśród aktorów mniej utalentowanych, i W.S. powiada: Czyż pan Burbage nie ostrzegał waści tylekroć, że jeśli przyjdiesz do teatru tak ożłopany winem, będziesz się potykał i zapominał kwestii, to stracisz posadę, a pan tak zrobiłeś i straciłeś miejsce, jakie ci przyrzeczono, i nie mogę nic dla ciebie zrobić, ale oto złota moneta dla ciebie, bo dobrze kiedyś grałeś Porcję w „Kupcu weneckim”. Ale pan Wales odrzucił monetę ze wzgardą i powiada: Ty zadufany bydlaku, już ja zadbam, żeby cię powiesili i złamali, i nawet teraz już zastawiają sidła na ciebie, i tu kopnąłem go w kostkę, on zaś wrzasnął i zaczął się podnosić, a przynajmniej próbował, więc walnąłem go w głowę dzbanem kamiennym i runął zalany krwią. Teraz ci kompani, których raczył winem, ruszyli na mnie i stanąłem do walki, ale W.S. zawołał, by podali gorzalki i szafranowych ciastek, i przemówił tak słodko i żartobliwie do tych nędzników, że się udobruchali, i kazał dziewczę i pacholce położyć pana Walesa na skrzyni, zapłacił wszystkim, a potem wyprowadził mnie stamtąd, mówiąc: Chodźmy do jakiejś spokojniejszej gospody, bo chciałbym jeszcze z tobą pogadać.

A więc poszliśmy w głąb Bishopsgate, a potem przez Cornhill i West Cheap w stronę Świętego Pawła, i znów zaczął mnie wypytywać o moje życie. Starąłem się, jak mogłem, przypominając sobie mnóstwo rzeczy, których zapominałem, i kiedy mu powiedziałem, jak byłem ostatnio szmuglerem, przystanął i kazał mi powtórzyć to słowo, którego, jak przysięgał, nigdy dotąd nie słyszał, i zapisał je sobie z miejsca olóweczką w małym kajeciku, który miał przy sobie. Wyglądał przy tym na tak zadowolonego, jakby znalazł szylinga w błocie na gościńcu. Doszliśmy do szyldu z Syreną na Friday Street, tuż przy Pawle, i było tam wielu, którzy znali W.S. i pozdrawiali go serdecznie, a on, odpowiadając im jak najuprzejmiej, zaprowadził mnie w kąt izby blisko ognia, gdzie było, jak myślę, jego ulubione miejsce, bo chłopiec, który tam usługiwał, przyniósł mu nieproszone małe piwo i dzbanek dla mnie i W.S. znów zaczął nalegać, żebym mówił o swoim

życiu, zwłaszcza tym na morzu, a kiedy się dowiedział, że byłem na statku „Sea Adventure” i że rozbiliśmy się na wyspach Bermudach, bardzo się podekscytował i twarz mu aż jaśniała z zadowolenia. Wyjął znów swoją książeczkę i zapisywał wiele z tego, co mówiłem. Chciał się dowiedzieć o mieszkańcach Karaibów, ich naturze i obyczajach i czy jedzą ludzkie mięso, ja zaś przysięgałem mu, że nigdy w życiu nie spotkał Karaibczyka, bo nie było ich na Bermudach, za to mówiłem dużo o tym, jak budowaliśmy łodzie i wydostaliśmy się z więzienia, jakim była ta wyspa, i jak bezpiecznie dopłynęliśmy do Wirginii, i o Indianach, o których żyjący tam Anglicy powiadają, że w istocie jedzą ludzkie mięso i że są bardzo dzicy i groźni dla rozbitków. Powiedział, że czytał już wcześniej różne relacje, ale najlepiej usłyszeć to z ust tego, kto tam był, i znów wypytywał mnie o katastrofę, już to jak zachowywali się marynarze, już to o możliwych pasażerów, czy zawadzili i płakali ze strachu w obliczu niebezpieczeństwa, i opowiedziałem mu, jak nasz bosman przeklinał gubernatora Thom. Gatesa, kiedy ten odważył się wyjść na pokład w samym środku burzy, i jak gonił go do luku z kawałkiem liny na co admirał zakrzyknął, że należałoby go za to wybatożyć, ale do tego nie doszło, bo zaraz potem okręt roztrzaskał się o skały.

Kiedym tak opowiadał, W.S. zawołał do kogoś, kto wszedł lub był tam już wcześniej: Chodź, posłuchaj tej opowieści, oto mój kuzyn, który odbył rejs do Nowego Świata, gdzie ich okręt rozbił się o skały etc. Wkrótce zebrała się wokół nas spora kompania, jedni siedzieli, inni stali. Niektórzy nie wierzyli mi, sądząc, że moja opowieść to zwykły stek łgarstw, jakie to zwykle opowiadają marynarze, ale W.S. przemówił do nich: Nie, ten człowiek mówi prawdę, bo nie ma w tym smoków ani potworów, ani trąb wodnych, ani żadnych fantastycznych rzeczy tylko takie niebezpieczeństwa, jakie spotykają okręty na swej drodze; i jeszcze dodał, że czytał opis katastrofy, o której opowiadam, i wszystko się zgadza w najdrobniejszych szczegółach.

Tak więc zostałem wytłumaczony przed całą kompanią. Kiedym skończył, obsiedli nas i zaczęli rozmawiać i takiej gadki nigdy nie słyszał i trudno to

powtórzyć, bo była to mowa żartobliwa, która nie trzyma się głowy. A w każdym razie nie mojej. Było to wszystko sprośne, z kutasami i cipami, ale przebranymi w niewinne słowa, nie wypowiadali jednak samych słów, ale je przekreślali, przerabiali na jakieś podobne i tak ciągle, tak żem w końcu nie wiedział, co mają na myśli. Zwali to konceptem i jeden z nich, Mr Jonson, umiał go przedstawić po łacinie i grecku, ale niewielu tylko go rozumiało, mimo to się śmiali i uznali go za nudnego pedanta. Jest to jeszcze jeden autor niegodziwych sztuk, uznawany za wielkiego przez tych nikczemników, i ustępuje tylko W.S., choć we własnym mniemaniu jest pierwszym. Dumny, zarozumiały człowiek i, jak sądzę, zaciekły papiśta, szydzi sobie ze zreformowanej wiary i jej głosicieli. W.S. zaczął mnie wychwalać, żem walczył we Flandryi z Ispanami, a pan Jonson na to, że on także, i wypytuje, w jakich brałem udział bitwach i oblężeniach, pod jakim dowódcą i kiedy. A więc mu odpowiedziałem, a gdy się dowiedział, żem jest artylerzysta, rzekł: Phi, to nie wojaczka, jeno przenoszenie żelastwa, i opowiedział, jak to walczył ze swą piką pod Flusingą i Zutfen. Było jasne, że to opowieść, którą już nieraz słyszeli, i zaczęli się z niego naigrawać i żartować sobie z jego piki, mówiąc, że nadział na nią więcej flandryjskich dziewczek niż Ispanów, przez co chyba rozumieli jego przyrodzenie. W.S. najwięcej słuchał, ale gdy się odzywał, wszyscy baczili z uwagą. A więc pan Jonson, chępiąc się głównie łacińskimi słówkami i tego przy tym popijając, a do tego zjadłszy potężną porcję mięsiwa w cieście, uniósł w końcu poślądki i wypuścił wiatry z takim hukiem, na co W.S. powiedział: Tako rzecze magister sztuki, uczony mąż, i wszyscy się roześmiali, nawet sam pan Jonson. Ale ja nie rozumiałem tego żartu.

Tak upłynęły całe godziny, jak myślę, bo zrobiło się prawie ciemno, i W.S. powiedział do mnie: Dick, mam sprawę do załatwienia w teatrze Blackfriars, może pójdziesz ze mną, bo chciałbym z tobą porozmawiać na osobności. Poszedłem więc z nim, a po drodze pyta, czym się teraz zajmuję i czy znów wyruszę na morze. Ja na to, że nie, skończyłem z tym po naszej katastrofie, skończyłem z podróżami, nie mam też zapалу do wojaczki, ale muszę znaleźć miejsce, gdzie będę miał co wsadzić do gęby i przyłożyć głowę, i gdzie będzie grzał ogień i

sprzyjała fortuna. Bo myślałem o tym, żeby się pewnego dnia ożenić. A on pyta: Jak zarobisz na chleb, Dick, jeśli nie wojując, nie szmuglując i nie robiąc harmat? Mówię mu, że jestem bystry w rachowaniu, przeto mógłbym znaleźć pracę jako kartograf i że poszukam sobie mistrza. Ale doszliśmy do teatru, gdzie właśnie skończyła się sztuka i wychodziła jeszcze publika, niektórzy bogato odziani w futra i brokaty, ale też pospolici, i musieliśmy się przeciskać przez tłum śmieciarzy, wśród koni, tragarzy, sług, stajennych etc, którzy czekali. I dalej przez wielką salę, rzęsiście oświetloną świecami, które już gaszono, przeszliśmy do małej izdebki za sceną, gdzie było kilku ludzi, jeden cały w pięknych czarnych aksamitach, z farbą jeszcze na twarzy, i dwóch innych, chyba kupców, i jeden mały, wyglądający na skrybę, i dwóch krzepkich jegomościów uzbrojonych w haki; jeden z nich był bez uszu, drugi miał tylko jedno oko. Po nazwisku, jak się dowiedziałem, pierwszy Dick Burbage, był aktorem, John Heminges udziałowcem w aktorskiej kompanii, Henry Watkins udziałowcem w utrzymującej teatr kompanii, Nicholas Pusey trzymał sakiewkę ludzi z kompanii królewskiej i prowadził księgi rachunkowe. Spade i Wyatt to dwaj zbrojni, Spade jednooki. Oprócz dwóch ostatnich wszyscy stali i wiedli spór, wyzywając się od szelmów, oszustów etc.

W.S. chodził między nimi wszystkimi, pytając: Co zaszło, panowie, skąd ta awantura? A oto co się stało: z pieniędzy zarobionych każdego wieczora aktorzy mieli otrzymać swoją porcję, gospodarze teatru swoją, a reszta rozniesie dzielili. Pan Pusey miał księgę, w której wszystkie pieniądze były zapisywane, a ja, rzuciwszy na nią okiem, stwierdziłem, że źle jest prowadzona, na starą modłę, jakby to był mały kram z rybami, a nie wielkie przedsięwzięcie, czyli teatr; przebiegli czerpali największe profity. W.S. powiedział: Dobry panie Pusey przynieś mi pan swoje liczydła i żetony i zobaczymy na własne oczy jakieś pan to liczył, bo czyż nie jesteśmy wszyscy uczciwymi ludźmi, którzy potrafią liczyć jak na scenie. Ten koncept sprawił, że wszyscy się uśmiechnęli, a pan Pusey poszedł jak zmyty. Pytam ja pana W.S., jakie są udziały każdego i jak są obliczane, i studiuję rozłożone księgi rachunkowe, przyglądam się uważnie bagrołom, jakie sporządzają ludzie, kiedy używają liczydeł, żeby potwierdzić swoje bajki, i widzę błąd w

odejmowaniu. Pan Pusey nie wraca, pan Burbage wrzeszczy do Spodea, żeby go przywiódł, i kiedy Spode wychodzi, biorę swój ołówek i sumuję i dzielę, co trzeba. Wraca Spade, za nim wlecze się pan Pusey, niosąc swoje liczydła, sypią się kamyki, zdążył wypić i teraz jest zbyt zamroczony, żeby mógł się rozeznac w swoich papierach, w których nikt się zresztą w żaden sposób nie rozezna, nawet kiedy trzeźwy. Omawiam więc sprawę i pokazuję, do czego doszedłem, i objaśniam swoją metodę. Co jest dla nich istnym cudem i widzę, że W.S. uśmiecha się do mnie, bo uwielbia wiedzieć czyjąś biegłość w czymkolwiek. Potem mówię: Szlachetni panowie, próżne kłótnie, komu należy się jaka suma, bo przy tym sposobie liczenia nie ma sposobu na świecie, żeby obliczyć, jaki kto ma zysk. I choć nie mogę nic powiedzieć przeciw temu tu szlachetnemu panu, którego w ogóle nie znam, to jednak w tym stanie rzeczy jaki jest, każdy może was wszystkich ograbić do woli i nawet nie będziecie o nim wiedzieć. To jest tak, jakbyście szli z zawiązanymi oczami po Shoreditch o północy z pełnymi sakiewkami w obu rękach i liczyli na to, że nikt wam ich nie wyrwie. Jeszcze trochę takiej gadki i zostało uzgodnione, że powinienem zostać najęty do przepisania i uporządkowania rachunków we włoskim stylu, z dwiema kolumnami, i decydować o podziale zysków; tu W.S. rzekł, że on poręczy za mnie, jako żem jego kuzyn.

Po tym wszystkim W.S. zabrał mnie na wieczerzą pod Syrenę i bardzo wesolo było z jego druhami, jak już mówiłem wcześniej, a potem poszedłem do łóżka w kwaterze bliskiej jego własnej, wynajętej koło Blackfriars, i tam się śmiałem w głos, a gdy mnie zapytał dlaczego, odpowiedziałem, że chce chyba zostać magistrem w pierdzeniu, takie puszczał wiatry. Uśmiechnął się i rzekł: Zrobimy z ciebie bystrego człowieka, Dick, kiedyś będziesz chwytal concept w lot, a nie dopiero po tygodniu. Potem do łóżka i myślę sobie, że dobrze się sprawilem, bo znalazłem się w samym sercu tych podłych nikczemników, co było niejakiem postępem w naszym śmiałym przedsięwzięciu. Z wielkim uszanowaniem i pokornie wedle obowiązku Waszej Lordowskiej Mości, niech Bóg ma w opiece Lordowską Mość i błogosławi naszemu przedsięwzięciu, z Londynu, tego piątku, 10 stycznia 1610, Richard Bracegirdle.

Ktoś, chyba Paul Goodman, powiedział kiedyś, że głupota jest formą obrony charakteru i niewiele ma wspólnego z posiadaniem lub brakiem inteligencji; między innymi dlatego tak zwane elity, ludzie najlepsi i najbardziej światli, wpakowały nas w wojnę wietnamską, a ci, którzy potrafili zgromadzić ogromne bogactwa, upierają się przy robieniu rzeczy kończących się długoletnim więzieniem. *Mit der Dummheit kämpfen Götter selbst vergebens*, jak podobno mawiała moja babka ze strony matki, cytując Schillera: „Z głupotą nawet bogowie walczą daremnie”. W każdym razie głupotą było opowiadanie mojemu synowi o gangsterach, a potem żonie... nie, chwileczkę, głupotą było przede wszystkim to, że nie oddałem manuskryptu Bracegirdle'a od razu, bo gdybym to zrobił, żaden gangster nie interesowałby się więcej ani mną, ani moją rodziną.

Jak już powiedziałem, Amalie odznacza się zazwyczaj świętym spokojem, ale w obliczu hipokryzji czy niesprawiedliwości potrafi, wzorem Pana Boga, wykrzesać z siebie gniew zdolny osuszyć drzewa figowe. Kiedy już wydobyła ze mnie całą historię w postaci przerażających okrucichów prawdy wymieszanych z bezowocnymi kłamstwami, doświadczyłem pełnego impetu jej gniewu, i to takiego, że zasób jej

idealnie płynnej angielszczyzny został wyczerpany i chcąc dotkliwiej obrazić moją inteligencję, musiała się przerzucić na niemiecki: *saudumm, schwachsinning, verblödet, verkorkst, vertrottelt, voll abgedreht* i *dumm wie die Nacht finster sein*, by przywołać tylko kilka. Niemiecki obfituje w takie określenia i często wypełniały one dom mego dzieciństwa. „Tak głupi, jak ciemna jest noc” było wręcz jednym z ulubionych przekleństw *Mutti*. W końcu padło: *du kotzt mich an*, wulgarne i oznaczające w wolnym przekładzie „chce mi się rzygać, kiedy cię słucham”. Po tym ostatnim znalazłem się na ulicy. Odebrałem całą tę porcję niemal w milczeniu, czerpiąc perwersyjną przyjemność z tego, że w końcu naruszyłem świętą cierpliwość mej małżonki. Zadzwoiłem do Rashida, przyjechał natychmiast, wysiadł, żeby otworzyć mi drzwi (coś, czego Omar na moją prośbę nie robił), i zauważyłem, że patrzy w górę, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem jak *Paphiopedilum hanoiensis* sfruwa z najwyższego piętra domu Amalie i nowa doniczka roztrzaskuje się na jezdni tuż obok samochodu. Rozwścieczyłem ją i skłoniłem do działań gwałtownych - dobre zakończenie dnia i kolejna rata za moje mieszkanie poszła w diabły.

Ale było to, jak się okazało, najlepszą częścią wieczoru. Kiedy Rashid odstawił mnie do domu i próbowałem wetknąć klucz do zamka na dole, drzwi otworzyły się, zanim zdążyłem przekręcić. Ktoś zakleił dziurkę kałką taśmy. Z sercem w gardle popędziłem na górę. Drzwi do mieszkania były szeroko otwarte. W środku, w wąskim korytarzu prowadzącym do sypialni, znalazłem Omara. Tkwił w miejscu na czworaka i jęczał, wyglądając, jakby przypatrywał się jaskrawoczerwonej owalnej plamie na gładkim dębowym parkiecie. Po skroniach spływała mu krew z rany na wygolonej potylicy. Podniosłem go i posadziłem w fotelu, a potem przyniosłem z kuchni miednicę z wodą, czystą szmatkę i woreczek lodu. Kiedy obmyłem ranę i zatamowałem krew, zapytałem go, co się stało. Przypominam sobie, że kiedy tak siedziałem i słuchałem jego chaotycznego bełkotu w dodatku po arabsku - opanowało mnie uczucie nienaturalnego spokoju, jaki pamiętałem z wojska, kiedy po ataku ogniowym wynoszono z helikopterów dziesiątki rannych. W pierwszej chwili człowiek chciał uciekać z krzykiem, a potem ogarniał go ten nienaturalny spokój, który pozwalał zająć się zmasakrowanymi chłopcami. Teraz chciałem właśnie biec z krzykiem przez loft, żeby sprawdzić, co się stało z Mirandą, ale siłą woli usiadłem,

zadawałem pytania i słuchałem. Niewiele się dowiedziałem. Omar usłyszał krzyk i głucho uderzenie, wybiegł więc z salonu, gdzie oglądał telewizję. To wszystko, co zapamiętał. Nikogo nie widział. Miranda oczywiście zniknęła. Zniknął też oryginał manuskryptu Bracegirdle'a.

Odszukałem w portfelu wizytówkę detektywa Murraya, zadzwoniłem do niego, nagrałem pilny komunikat i wybrałem numer 911. Nastąpiła chaotyczna wymiana informacji pomiędzy wieloma obcymi sobie ludźmi, którą zawsze wycinają w telewizyjnych widowiskach kryminalnych, a która w rzeczywistości pochłania mnóstwo frustrujących minut. Sanitarjusze zabrali Omara, choć upierał się, że zejdzie o własnych siłach, a ja podejmowałem policjantów, najpierw dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, następnie dwóch detektywów, Simoniego i Harrisa. Obejrzeni uważnie frontowe drzwi mojego loftu i oświadczyli, że zamek nosi ślady włamania, a to znaczy, że sprawa jest poważniejsza i nie ogranicza się do awantury domowej, co, jak sądziłem, było ich pierwszą hipotezą krwawiący mężczyzna, zniknięcie kobiety, zamożni ludzie, grzeszne romanse... A jednak wyczuwało się w ich głosach drwinę. Myślę, że oczekiwali ode mnie jakiejś dowcipnej, ironicznej kwestii w stylu tych, które scenarzyści wkładali w usta Jerry'ego Orbacha z klasycznej wersji *Prawa i porządku*. Chcieli wiedzieć, kim jest Omar, skąd się wziął i jaki ma związek z zaginioną kobietą. Należało jeszcze wyjaśnić sprawę jego pistoletu, moje domysły na temat zagrożenia pani Kellogg i to, co się zdarzyło na ulicy, kiedy napadły nas prawdopodobnie rosyjskie zbiry. Pani Kellogg mieszka tu z panem? Dlaczego nie zatrzymała się w hotelu? Czy to pańska przyjaciółka, panie Mishkin?

Nie, to nie jest moja przyjaciółka; nie, nie wiem, dlaczego ktoś miałby ją uprowadzić, oni chcieli tylko rękopisu. Dlaczego im na nim zależało, panie Mishkin? Czy był bardzo cenny? Właściwie nie, ale niektórzy ludzie uważają, że może doprowadzić ich do czegoś bardzo cennego. Ach, to coś w rodzaju mapy ze skarbem? Przewracanie oczami, drwiące uśmiešky. I wtedy powiedziałem mniej więcej coś takiego: „Możecie się panowie uśmiechać, jeśli chcecie, ale zamęczono człowieka na śmierć, żeby coś z niego wyciągnąć w tej kwestii, teraz jeszcze uprowadzono kobietę, a wy wciąż traktujecie to wszystko jak żart”. No a potem zaczęła się dyskusja o profesorze Bulstrodzie.

Trzeba uczciwie przyznać, że była to sprawa, z jakimi detektywi z wielkich miast rzadko mają do czynienia. Pragnęli, by była to jakaś afera rodzinna z elementami szaleństwa bogatego faceta. Funkcjonariusze posypali wszystkie możliwe powierzchnie czarnym proszkiem, żeby pobrać odciski palców, zrobili masę zdjęć, zabezpieczyli broń Omara, pobrali próbki krwi, jaką przelał w mojej służbie, i poszli sobie, obiecując, że będą ze mną w kontakcie. Kiedy tylko zniknęli, też wyszedłem i udałem się do garażu, w którym Rashid parkował lincolna. Pojechałem do szpitala St. Vincent, żeby sprawdzić, co z Omarem. Nie zaskoczył mnie specjalnie widok dwóch detektywów przy jego łóżku; nie mogłem z nim porozmawiać, dopóki nie wyciągnęli z biedaka owego „nic”, które wiedział. W szpitalu chcieli go zatrzymać do rana na obserwacji z powodu wstrząśnienia mózgu, zadzwoniłem więc do niego, zapewniając, że skontaktuję się z jego rodziną i pokryję koszty leczenia.

Już miałem schować komórkę do kieszeni, kiedy rozległa się melodia. Dzwoniła Miranda.

- Gdzie jesteś? Wszystko w porządku? - padło odruchowo (i głupio) z moich ust, choć wiedziałem, że na pierwsze pytanie odpowiedzieć nie może, odpowiedź zaś na drugie była przerażająco oczywista.

- Nic mi nie jest.

Powiedziała to głosem, który świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

- Gdzie jesteś?

Co za głupota!

- Nie wiem. Założyli mi worek na głowę. Słuchaj, Jake, nie wolno ci zawiadamiać policji. Kazali mi do ciebie zadzwonić, żeby ci to powiedzieć.

- W porządku, nie będę zawiadamiał - skłamałem.

- Co z Omarem? Uderzyli go...

- Nic mu nie jest. Czego od ciebie chcą? Mają przecież ten przekłety list, po co cię uprowadzali?

- Chcą mieć pozostałe listy, te zaszyfrowane.

- Nie rozumiem; dałem ci wszystko, co dostałem od twojego wuja.

Zaszyfrowane? Nic o tym nie wiem.

- Nie, te listy były w tym rękopisie. Jest tu pewna kobieta, Carolyn, myślę, że ją też przetrzymują...

- Rosjanka?
- Nie, Amerykanka. Mówi, że były tam zakodowane listy, ale ktoś ich nie dostarczył, tak jak miał to zrobić.
- Kto?
- Nieważne. Ci ludzie mówią, że mają dokumenty, że zapłacili za nie mojemu wujkowi mnóstwo pieniędzy, a on próbował ich oszukać. Jake, oni zamierzają...

Właściwie to dla mnie zbyt bolesne, ta próba odtworzenia naszej rozmowy. Oboje wrzeszczeliśmy do słuchawki (choć zwykle zważam, żeby nie podnosić głosu, kiedy rozmawiam przez komórkę, w przeciwieństwie do wielu współobywateli, przez co ulica wygląda tak, jakby opanowali ją wariaci, i często się zastanawiam, co o tym myślą prawdziwi szaleńcy) i ktoś wyłączył jej telefon w połowie zdania. Przesłanie tej rozmowy było jasne: jeśli nie dostarczę wspomnianych przez Bracegirdle'a zaszyfrowanych listów, potraktują ją tak jak jej wuja. A jeśli się dowiedzą, że powiadomiłem policję, zlikwidują ją natychmiast.

Odgłosy strzałów we mgle, trzy płaskie, zakłócające ciszę dźwięki od strony jeziora, a potem wyraźny warkot silnika, owadzie brzęczenie, które dociera jakby z bardzo daleka. Myśliwi? Czy to sezon polowań na kaczki? Nie mam pojęcia. Na wypadek gdyby chodziło o coś innego, naładowałem i odbezpieczyłem pistolet, co, jak stwierdzam, jest czynnością, która przynosi ulgę. Powinienem być wcześniej powiedzieć, że chata Mickeya stoi na najbardziej wysuniętym na południe krańcu jeziora Henry. Na ścianie salonu wisi oprawiona w ramki szczegółowa mapa hydrograficzna, z której wynika, że kiedyś były to dwa jeziora. Około roku 1900 odpoczywający tu latem plutokraci, do których należała ta ziemia, zamknęli odpływ tamą, woda się podniosła i powstał łańcuch wysepek ciągnący się od wschodniego brzegu, doskonałe miejsce do zabawy w piratów, jak poinformował mnie Mickey, ale nie dawało się pływać między nimi łodzią ze względu na ukryte skały. Do jego domu można było dotrzeć albo przez New Weimar, decydując się na długą, powolną jazdę trzeciorzędną drogą, a potem zwirowym traktem (jak to zrobiłem ja), albo zjechać z trasy szybkiego ruchu koło Underwood i pokonać krótki odcinek dobrej drogi do miasteczka Lake Henry, wokół najbardziej wysuniętego na

północ skrawka jeziora, następnie wsiąść do swego mahoniowego ścigacza i po niespełna dwudziestokilometrowej przejażdżce dotrzeć tu bardziej stylowo. To trasa, którą prawie zawsze podróżował Mickey z rodziną. Trasa lądowa jest w gruncie rzeczy krótsza o nieco ponad godzinę, ale znacznie mniej wygodna. Gdybym był bandziorem, który lubi szpan, wynająłbym lub kupił motorówkę, podpłynął od południa, stuknął swoją ofiarę, a potem, w drodze powrotnej, wyrzucił obciążone ciało do jeziora, sięgającego w najgłębszym miejscu dwudziestu metrów. Nie „głębiej, niż sonda kiedy bądź dosięgła”, ale dostatecznie głęboko.

Sprawdzając w moim notesie, co działo się następnego dnia, stwierdzam, że umówione poranne spotkania zostały skreślone, przypominam też sobie, że po nieprzespanej nocy zadzwoniłem do pani Maldonado. Poprosiłem ją, żeby odwołała spotkania i ustaliła nowe terminy. Potem zadałem jej jedno ważne pytanie, na które odpowiedziała twierdząco. Pani Maldonado sporządza po dwie kopie absolutnie wszystkiego, jest księżniczką Xeroxa, i okazało się, że istotnie odbiła dwie kopie manuskryptu Bracegirdle'a. Potem zadzwonił Omar, błagając, żeby wydostać go ze szpitala, spełniłem więc jego prośbę. Z zadowoleniem usiadł za kierownicą; w białym czepku szpitalnym przypominał swoich pustynnych przodków jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Jak mnie z dumą poinformował, miał już nowy pistolet; nie chciałem wnikać, skąd go wziął.

Po drodze odebraliśmy z biura kopie rękopisu Bracegirdle'a i przez East River Drive pojechaliśmy do Harlemu. Choć zacząłem go znów wypytywać o zdarzenia poprzedniego wieczoru, nie potrafił nic dodać, przeprosił tylko, że pozwolił się uderzyć i że zawiódł. Nie mógł pojąć, jak napastnicy dostali się do loftu i jak im się udało go zaskoczyć; ja też nie mogłem tego zrozumieć - pozostało to jeszcze jedną tajemnicą.

Celem naszej podróży owego ranka był kompleks budynków na Sto Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy przy Frederick Douglass Boulevard. Ich właścicielem, a raczej zarządcą (bo oficjalnie nic nie posiada), jest mój brat Paul. Kupił je, doszczętnie wypalone, wiele lat temu na licytacji i wyremontował, przekształcając w coś, co nazywał wielkomięjskim klasztorem. Paul jest księdzem, jezuitą. Może to

być zaskakujące, bo kiedy wspominałem o nim ostatnio, był przestępcą i siedział w więzieniu. W pewnym sensie nadal jest przestępcą i dlatego właśnie pojechałem do niego po zniknięciu Mirandy. Paul doskonale rozumie przemoc i zło.

Był to dla mnie wstrząs, gdy uświadomiłem sobie, że Paul jest bystry, prawdopodobnie pod niejednym względem bystrzejszy ode mnie. Wiele rodzin wyznacza swoim członkom role i w naszej Miriam była głupiutką ślicznotką, ja mądrąłą, a Paul twardzielem, czarną owcą. Nigdy nie odrabiał lekcji, wyleciał ze szkoły, kiedy miał siedemnaście lat, a później, jak już wspominałem, odsiedział dwa lata i dwa miesiące w Auburn za napad z bronią w ręku. Możecie sobie wyobrazić los przystojnego, jasnowłosego, białego chłopaka w Auburn. Zwykle ma się do wyboru: być gwałconym przez wszystkich albo być gwałconym wyłącznie przez jednego z potężnych byków. Paul wybrał to drugie, jako zdrowsze i bezpieczniejsze, i ulegał zalotom tego gościa do chwili, gdy zdobył gdzieś kosę, po czym pewnej nocy, gdy tamten spał, rzucił się na niego i ugodził go wielokrotnie (choć na szczęście nie zadźgał na śmierć). Odsiedział resztę wyroku w pojedynce, sąsiadując ze skazanymi za molestowanie dzieci i informatorami mafii. Tam nabrał chęci do czytania, a wiem to stąd, że co miesiąc przygotowywałem na jego prośbę paczkę książek. W ciągu dwóch lat zaobserwowałem zdumiewającą przemianę z pozeracza literackiej tandety w miłośnika ambitnej beletrystyki, następnie dzieł filozoficznych i historycznych, a w końcu teologicznych. Kiedy go zwalniali, miał za sobą lekturę Künga i Rahnera.

Po zwolnieniu, nie mając innych perspektyw i czując potrzebę dalszej edukacji, natychmiast wstąpił do wojska. Było to apogeum wojny w Wietnamie i komisja poborowa nie przebierała specjalnie w kandydatach. Myślę, że musiały odezwać się geny po dziadku Stieffie, bo Paul okazał się wzorowym żołnierzem: oddziały powietrzno-desantowe, rangersi, jednostki specjalne, medal za odwagę. Odsłużył dwie tury, głównie w spornym regionie, gdzie graniczyły ze sobą Laos, Wietnam i Kambodża, a rządziły bandy samozwańczych watażków, takich jak Marlon Brando w *Czasie apokalipsy*. Tak właśnie brzmiał jedyny komentarz do tych wojennych doświadczeń: było całkiem jak w filmie.

Co dziwne, groza tamtego czasu nie zrobiła z niego potwora, ale coś w rodzaju świętego. Poszedł do St. Johns na prawach weterana, a potem wstąpił do jezuitów.

Kiedy mi to powiedział, pomyślałem, że żartuje, bo nie wyobrażałem sobie Paula jako kapłana, a już tym bardziej jako jezuitę. Ale to dowodzi, że najtrudniej powiedzieć coś o swoich bliskich i drogich sercu. Wiadomość wprawiła mnie w absolutne osłupienie.

W każdym razie mój brat wrócił do Nowego Jorku z ideą zbudowania czegoś w rodzaju domu opieki w zaniedbanej dzielnicy miasta. I zrealizował swój pomysł, ale ponieważ chodziło o Paula i żywą w Towarzystwie Jezusowym tradycję eksperymentu społecznego, w całym tym przedsięwzięciu zawierał się pewien paradoks: Paula łatwo było odróżnić od Jane Addams. Uważam go za świętego, ale był też draniem. Jest sporo takich osobników w kalendarzu świętych, chociażby założyciel zakonu Paula. Mój brat ma teorię, że nasza cywilizacja pogrąży się w epoce mroku, której zwiastuny widoczne są w wielkomijskich gettach. Mówi, że ta epoka to całkowity upadek cywilizacji i sztuki, a także rosnący opór klas rządzących przed finansowaniem życia społecznego. Taka postawa przypięczętowała los starożytnego Rzymu, twierdzi. Nie uważa jednak, aby getta potrzebowały wsparcia, twierdzi natomiast, że kiedy nadejdzie krach, biedota przeżyje łatwiej niż panujący. Biedacy potrzebują mniej, mówi, są bardziej skłonni do aktów miłosierdzia i nie muszą się od wielu rzeczy odzwyczajają. To dlatego Jezus wołał ich od bogatych. Owszem, zwariowana teoria, ale kiedy widzę absolutną bezradność współobywateli z klasy średniej i tych wyższych, naszą całkowitą zależność od elektryczności, taniej benzyny i usług anonimowych milionów, a także naszą niechęć do uczciwego płacenia swojego udziału, nasze absurdalnie strzeżone enklawy, nasze „dobre domy” i naszą niekompetencję we wszystkich dziedzinach oprócz manipulowania symbolami, często myślę, że Paul ma rację.

A więc mój brat stworzył pod postacią kościoła misyjnego i szkoły coś w rodzaju wczesnośredniowiecznego opactwa. Składa się ono z trzech budynków, a raczej dwóch, i pustej przestrzeni między nimi, zajmowanej kiedyś przez kamienicę doszczętnie strawioną przez ogień, a potem zdemolowaną. Przestrzeń ta ograniczona jest od ulicy murem z bramą, przez którą weszliśmy tego dnia z Omarem. Jest ona zawsze otwarta. (Limuzynę zostawiliśmy na ulicy. Majestat tego miejsca jest tak wielki, że nie mam odwagi go zakłócać). Śladem po dawnej kamienicy jest

teraz coś w rodzaju dziedzińca klasztornego z ogrodem warzywnym, niewielkim tarasem z fontanną oraz boiskiem. Jeden z budynków to szkoła z przedszkolem i częścią mieszkalną, drugi to biura, dormitoria i warsztaty. Jest tu też siedziba Fundacji Arka, zajmującej się niepełnosprawnymi, przychodnia i prowadzona przez działaczy katolickich kuchnia, która wydaje zupę dla bezdomnych. Panował tu zwykły chaos; kulawi, obłąkani i kalecy załatwiali swoje sprawy, grupki nawróconych gangsterów w habitach wykonywały różne prace, wszędzie biegały dzieci w szkolnych mundurkach scena jak ze średniowiecza. Omar zawsze czuje się tu jak u siebie.

Przyjechałem do Paula, bo jego umysł jest pokrętny, podobnie jak umysł naszego ojca. W porównaniu z nim jestem dzieciakiem i choć często irytuje mnie tego rodzaju zależność od brata, od czasu do czasu jej ulegam. Paul mówi, że to dobre dla mojej duszy.

Znaleźliśmy go w piwnicy, rozmawiał akurat z jakimiś fachowcami o bojlerze. Miał na sobie niebieski kombinezon, bardzo brudny, ale na Paulu nawet brud wygląda dobrze. Jest trochę niższy ode mnie, ale ma zgrabniejszą sylwetkę. W moich oczach nie zmienił się bardzo od tego dnia, kiedy czekałem na niego na lotnisku, gdy wracał z wojska przed dwudziestu pięciu laty. Tylko włosy ma dłuższe. Wciąż przypomina Rutgera Hauera z *Łowcy androidów* albo faceta z plakatów werbunkowych SS. Uśmiechnął się do nas szeroko, a jego białe zęby zalśniły w półmroku piwnicy? uściskał nas obu. Udzieliwszy fachowcom paru wskazówek, zostawił ich przy robocie, a nas zabrał na górę, do swego gabinetu, zagrabanego pokoiku z oknami wychodzącymi na klasztorny taras, ogród i boisko, i oczywiście zaczął się dopytywać, co się stało z głową Omara. Myślałem, że w pewnym sensie lubi go bardziej ode mnie. Nie, to nieprawda, ale pozostawmy to na papierze. Paul mnie kocha, co przyprawia mnie o wściekłość. Nie jestem dla niego miły. I nic nie mogę na to poradzić.

Kiedy już wyciągnął wszystko z Omara i wysłuchał masy nudnych szczegółów dotyczących cierpień jego krewnych na Zachodnim Brzegu, mój kierowca przeprosił nas, bo zbliżała się dlań pora południowych modłów. Kiedy zniknął, do pokoju wbiegł drobnym kroczkiem piękny śniady chłopiec z wiadomością dla Paula; wyglądał wprost wspaniale w swoim mundurku złożonym z granatowej marynarki,

szarych spodni, białej koszuli i krawata w czarno-białe paski. Kiedy wyszedł, spytałem, przewracając wymownie oczami:

- Bawisz się teraz w takie rzeczy? Brzoskwiniowe pośladki w przyćmionych światłach zakrystii...

- Resztki mojej żądzы zaspokajają zaawansowane wiekiem zakonnice, dziękuję odparł, wciąż się uśmiechając. A skoro mowa o ekscesach seksualnych, to mam wrażenie, że znów wpakowałeś się w historię z kobietą. Kim jest ta Miranda?

- Nikim szczególnym, po prostu klientką. Zamieszkała u mnie, bo wydawało się, że ktoś ją prześladowuje.

- Aha. Dzwoniła dziś do mnie rano Amalie. Robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej.

- O rany, Paul, bardzo mi przykro, że Amalie się zdenerwowała. Wiem o tym! Dlaczego się z nią nie ożenisz? Tworzylibyście idealną parę, a ja mógłbym grzęznąć dalej w bagnie rozwiąźłości. Ja i Miri...

- Miri też się o ciebie martwi. Co to za historia z tymi rosyjskimi gangsterami?

Jeszcze jedną rzeczą, która doprowadza mnie do pasji, jest to, że rodzinka obgaduje mnie za plecami. Powodem, dla którego staram się prowadzić wzorowy tryb życia (pomijając sprawy seksu), jest ograniczenie tych plotek, ale najwyraźniej mi się to nie udaje. Stłumiłem jednak oddech niechęci, bo jedynym celem mojej wizyty było szukanie u Paula rady w całej tej aferze. Żadna ze znanych mi osób nie miała bardziej rozległych kontaktów wśród nowojorczyków wszelkich warstw społecznych i środowisk, począwszy od bezdomnych, a skończywszy na burmistrzu. Opowiedziałem mu więc o wszystkim o profesorze, manuskrypcie Bracegirdle'a, morderstwie, prześladowaniach, rozmowie z Miri (choć o tym wiedział już od niej samej), o Mirandzie, jej uprowadzeniu i telefonie od porywaczy.

Słuchał w milczeniu, a kiedy skończyłem, zatoczył rękami koło w powietrzu i powiedział:

- No i...?

- Co „no i”?

- Zrobiłeś to? Z panią Kellogg? Tylko nie kłam, widzę to po twojej minie.

- I to jest dla ciebie najważniejsze? Ze wypieprzyłem tę kobietę? Morderstwo, uprowadzenie, nic nie ma znaczenia, ważne jest tylko to, gdzie wsadziłem fiuta?

- Nie, ale to, gdzie go wsadzasz, zdaje się kierować twoim postępowaniem w życiu i komplikuje sprawy wielu ludzi, których kocham. Stąd moje zainteresowanie.

- Ach, a mnie się zdawało, że pieprzenie to jedyna rzecz, którą interesuje się Kościół. Nie wypowiadasz się teraz *ex cathedra*!

- Tak, trwasz w przekonaniu, że żądza to twój problem. A tymczasem wcale tak nie jest, mówiąc *ex cathedra*, i za kilkanaście lat ta kwestia rozwiąże się sama. W końcu to żalosny, mały grzeszek. Nie, twoim problemem jest i zawsze było lenistwo. Odmowa koniecznej pracy nad swoim życiem duchowym. Zawsze brałeś na siebie odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia, jakie się przydarzyły naszej rodzinie, prawdopodobnie z drugą wojną światową włącznie...

- Ty siedziałeś.

- Tak, ale to nie ma nic do rzeczy. Bóg nie siedział, lecz nie poprosiłeś go o jakąkolwiek pomoc w tym względzie. Nie, brałeś to wszystko na swoje barki i ponosiłeś porażkę. I nigdy sobie nie wybaczyłeś, a zatem uważasz, że ciebie wybaczenie nie obejmuje, a to uprawnia cię do ranienia tych wszystkich, którzy cię kochają, no bo w końcu biedny Jake Mishkin tak dalece się nie liczy, jest tak wyzbyty wszelkiej nadziei na raj, że każdy, kto go kocha, musi być ofiarą urojeń, a zatem niewart jest tego, by wziąć go pod uwagę. I czego szczerzysz zęby, gnojku? Bo zmuszasz mnie do powtarzania tego samego, co mówię zawsze, kiedy tu przychodzisz, i teraz też możesz to zignorować, choć wiesz, że to prawda. Lenistwo. Grzech przeciw nadziei. Sam wiesz, że cię to kiedyś zabije.

- Podobnie jak *Mutti*?. Naprawdę tak sądzisz?

Z warsztatu na dole, gdzie naprawiali rowery, dobiegł wysoki, zgrzytliwy dźwięk. Paul odczekał, aż ucichnie, i powiedział:

- Owszem, tak sądzę. Wiesz o tym. Jak powiedział pewien człowiek: Bóg, który nas stworzył bez naszej pomocy, nie zbawi nas bez naszej zgody. Albo będziesz błagał o zmiłowanie, wybaczysz sam i dostąpisz wybaczenia, albo umrzesz na wieki.

- Tak, ojciec powiedziałem, wznosząc nabożnie oczy.

Westchnął, znużony tą żalosną odwieczną grą, jaką z nim prowadziłem. Ja też byłem nią zmęczony, ale nie mogłem się powstrzymać, aby nie podrapać diabelskimi szponami miejsca, w którym czułem nieznośny świąd.

- Tak, sprowokowałeś mnie do wygłoszenia kazania, a więc znów wygrałeś - powiedział Paul. Gratulacje. Ale tymczasem co zrobimy z twoim problemem?

- Nie wiem. Właśnie dlatego do ciebie przyszedłem.

- Uważasz, że jest w to zamieszany ten Rosjanin Szwanow?

- Jako wykonawca. Ale nie mogę dociec, kto za nim stoi.

- Jakie to ma znaczenie? Manuskryptu nie ma, a zniknięcie tej kobiety to moim zdaniem sprawa dla policji.

- Mam w to nie mieszać policji. Powiedziała, że ją zabiją.

- A ty uważasz, że odpowiadasz za jej życie, i chcesz ją ratować.

- Obiecałem jej, że będę ją chronił, i nie ochroniłem. Zgadza się, chcę ją ratować.

- Chcesz ciągnąć ten romans. Jesteś zakochany.

- A co to, u diabła, ma do rzeczy?! Jest istotą ludzką, której grozi śmiertelne niebezpieczeństwo!

Podparł podbródek złożonymi rękami i przeszył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem. To właśnie robi zawsze, zamiast kopnąć mnie w dupę. W końcu powiedział:

- No dobrze, oczywiście zrobię, co będę mógł, żeby ci pomóc. Mam pewne kontakty w policji. Wykonam parę telefonów, popytam o tego Szwanowa i zorientuję się, czy to jakaś poważna...

- Nie rób tego! Nie mieszej w to policji. Masz inne kontakty.

- Owszem, mam. No dobrze, zobaczę, co powie ulica.

- Dziękuję. Najbardziej martwię się o Amalie i dzieci. Jeśli będą chcieli mnie naprawdę przycisnąć...

- Tym też się zajmę - obiecał Paul po chwili zastanowienia.

Po to oczywiście przyszedłem. Mój brat zna mnóstwo młodych twardej, miejscowych gangsterów, jak ich nazywają, z którymi łączą go dziwne stosunki. Uważa, że są oni dokładnie tacy jak germańscy lub słowiańscy barbarzyńcy,

nawracani przez misjonarzy w wiekach ciemnych - dumni, gwałtowni, złąknieni Bóg wie czego. W pierwszym okresie swojej działalności misyjnej Paul musiał dosłownie walczyć na ulicy, aby pokazać, że jest twardszy niż oni, co było zresztą prawdą. To, że miał określoną reputację, że, jak wszyscy wiedzieli, atakował nożem współwięźniów, działało na jego korzyść. Fakt, że osobiście zabił więcej ludzi niż oni wszyscy, był jeszcze jednym atutem.

Paul twierdził ponadto, że w porównaniu z partyzantami wietnamskimi ludzie z gangów ulicznych nie są aż tak twardzi. Żaden z nich nie zrezygnował nigdy z posiłku, a kiedy ich zamykali, to w warunkach przypominających luksusowy kurort w porównaniu z przeciętnym więzieniem w prowincji Hmong. Mawiał, że jego tamtejsi kumple zjedliby wszystkich tych Crips, Bloods i Gangster Disciples na śniadanie. A ich żalosna bravura budziła w nim raczej współczucie niż grozę, powszechną w sferach wyższych. (Paul nie boi się niczego, co śmiertelne; nie bał się niczego, mając dziesięć lat). Ale traktował ich poważnie jako wspólnoty plemienne i podobnie jak jezuici w dawnych czasach skupiał się głównie na przywódcach, na najbrutalniejszych z brutalnych; po jakimś czasie zawarł z nimi swoisty konkordat, który gwarantował, że na obszarze otaczającym jego budynki nie będzie handlu prochami i stręczycielstwa i że ludzie uciekający przed zemstą ulicy będą nietykalni w obrębie jego azylu. Kilku szefów wręcz się nawróciło. Inni posłali swoje dzieci i młodsze rodzeństwo do jego szkoły. Była to umowa w stylu wczesnego średniowiecza, absolutnie naturalna dla człowieka, jakim był mój brat.

Teraz widziałem, że Paul, podjąwszy decyzję o udzieleniu mi pomocy, nie może się doczekać, kiedy sobie pójdę. Nie jest zbyt przystępnym facetem ten mój brat, tak jak Jezus w Ewangelii Mateusza, ciągle w ruchu, niecierpliwy w stosunku do apostołów, świadom uciekającego czasu i potrzeby wyznaczenia następców, gdy przyjdzie mu opuścić scenę. Paul po prostu się odwrócił i zaczął rozmawiać z jakimiś chłopcami, zabrałem więc Omara i przepełniony wdzięcznością wyszedłem z kancelarii.

Skierowaliśmy się na zachód, a potem na południe; po pewnym czasie ukazał się naszym oczom kampus Columbii. Znałem całkiem nieźle rozkład zajęć Mickeya

Haasa, wiedziałem więc, że w czwartki dyżuruje w swoim gabinecie przez cały ranek. Zadzwoiłem do niego i rzeczywiście miał dyżur tak, z chęcią zje ze mną lunch, dla odmiany w klubie uniwersyteckim. Zawsze uważałem restaurację na trzecim piętrze jego wydziału w Columbii za jedno z przyjemniejszych miejsc w Nowym Jorku: pięknie zaprojektowana, przestronna sala ze wspaniałą panoramą miasta za wielkimi oknami i idealnie zharmonizowanym bufetem *prix fixe*, ale Mickey preferuje nasze zwykłe „Sorrentino”. Pewnie dlatego, że lubi się upijać przy okazji naszych spotkań i woli to robić poza zasięgiem wzroku kolegów z uczelni. Być może lubi też, kiedy posyłam po niego swoją limuzynę.

Zanim zdążyliśmy dotrzeć do klubu, odezwała się moja komórka: dzwoniła Miri.

- Miałaś rację powiedziała. Osip rzeczywiście chciałby cię poznać.
- Szybko to załatwiłaś zauważyłem. Pewnie jest ci winien przysługę.
- Osip nie jest nikomu winien żadnych przysług, on je kolekcjonuje.

Prawdę mówiąc, Jake, sam zadzwonił i poprosił mnie o zaaranżowanie spotkania. To zły znak.

- Jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze - odparłem, wcale nie będąc tego pewny. - Gdzie i kiedy?

- Znasz „Rasputina”? Na Lafayette?

- Nie żartuj. To tak, jakby spotkać się z Johnem Gottim w „Godfather's Pizza”.

- Co na to poradzę? Osip ma poczucie humoru. Tak czy inaczej powiedział, że będzie tam dzisiaj po dziesiątej wieczorem. Dodałabym jeszcze: „Uważaj na siebie”, gdyby nie było to takie banalne. Ale będziesz uważał, co? Bo w przeciwnym razie uznam, że chcesz spocząć obok *Mutti* na Green Wood. Poślę ci najpaskudniejszy wieniec, jaki znajdę.

Pamiętam, że zamówiliśmy z Mickeyem pieczeń wołową i butelkę melville cabernet, stosowną dla profesora anglistyki, jak zauważył żartobliwie. Mickey był naprawdę w dobrym humorze, a kiedy go zapytałem, czy jego pozycja materialna uległa poprawie, odpowiedział, że owszem: tu nastąpiła lawina informacji o

funduszach małego ryzyka, powiernictwie inwestycyjnym nieruchomości, transakcjach wymiennych wszystko to wpuszczałem jednym uchem i wypuszczałem drugim. Wyczuwając mój brak zainteresowania, zmienił uprzejmie temat i zapytał, co nowego u mnie. W odpowiedzi wyciągnąłem kopię listu Bracegirdle'a, którą wzięłem rano od pani M., i przesunąłem po obrusie w jego stronę.

- Tylko to - powiedziałem.
- Ach, więc to są te papiery Bulstrode'a? Dobry Boże!

Oczywiście czytał ten tekst równie swobodnie, jakby był on wydrukowany czcionką Times New Roman, i natychmiast przystąpił do lektury, która tak go pochłonęła, że zignorował kelnera pytającego o deser absolutna rzadkość przy okazji naszych spotkań. Przez jakieś dwadzieścia minut przewracał kartki, wykrzykując od czasu do czasu „o cholera!” i temu podobne, a tymczasem ja piłem kawę, rozglądałem się po sali i uwodziłem wzrokiem atrakcyjną brunetkę przy sąsiednim stoliku. W moim wewnętrznym teatrze rozgrywało się swoiste widowisko, jak zwykle po spotkaniu z Paulem: proces doszczętnego oczerniania jego osoby i dzieła. Za kogo się uważał, za wspaniałego niebieskookiego białego boga, który zstępuje, nieproszony, do getta, by nieść zbawienie czarnuchom?! Było to absurdalne, niemal obsceniczne, niemal nazistowskie w swej kolosalnej arogancji. Smutna satysfakcja czerpana z tej gry cieni przygasła dopiero wtedy, gdy Mickey zakrzyknął: „Niesamowite!”, na tyle głośno, by przyciągnąć uwagę brunetki i kilku innych gości.

Postukał swoim krótkim palcem w papiery.

- Masz pojęcie, co to jest?
- Mniej więcej. Miranda to przeczytała i wyjaśniła mi, na czym polega wartość tego manuskryptu, choć oczywiście nie oceniam tego jako naukowiec.

- Miranda Kellogg? Widziała to? - Robił wrażenie nieco zdenerwowanego.

- No tak. Jest prawowitą właścicielką oryginału.
- Ale w tej chwili znajduje się on w twoim posiadaniu.

Zrelacjonowałem mu wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Mickey był zaszokowany.

- To straszne - powiedział. Prawdziwa katastrofa!
- Tak, bardzo się o nią niepokoję.

- Nie, miałem na myśli manuskrypt, ten oryginalny oznajmił z bezwzględnością godną prawnika. - Bez oryginału to jest bezwartościowe - dodał, znów poklepując plik kopii. Chryste, musimy to odzyskać! Czy ty pojmujesz, o jaką stawkę toczy się ta gra?

- Wciąż mnie o to pytają, a ja odpowiadam „nie bardzo”. To armata w jakimś literackim sporze?

Mówiłem chłodnym tonem, ale Mickey to ignorował, bo był to nowy Mickey, już nie zrelaksowany naukowiec dżentelmen, przyglądający się z rozbawieniem i wzdrganą, jak jego współpracownicy wspinają się po śliskiej drabinie kariery akademickiej. Oczy mu płonęły. Nowy Mickey rozwozował się nad niebywałą wartością naukową elaboratu pana B. Słuchałem go jak specjalisty opisującego szczegóły skomplikowanej operacji.

W końcu udało mi się wtrącić:

- Więc to takie istotne, czy Szekspir był katolikiem?

- Istotne jest w ogóle to, kim był. Wyjaśniałem ci to już wcześniej. Nie wiemy prawie nic o życiu wewnętrznym największego pisarza w dziejach ludzkości. Słuchaj... dam ci tylko jeden przykład z tysięcy, które mają związek z tą sprawą. Pewna kobieta napisała książkę... to amatorka, ale z pewnością wykonała solidną robotę... w której stara się dowieść, że prawie cały korpus dzieła Szekspira, zwłaszcza jego dramaty, to misternie zakodowana apologia katolicyzmu i usilna prośba do monarchy o ulżenie niedoli, jaką cierpieli wówczas katolicy. Na poparcie swej teorii autorka przytacza dosłownie setki rozmaitych przykładów zaczerpniętych ze wszystkich sztuk, a także wymienia współczesnych Szekspirowi wpływowych ludzi Kościoła, którzy go chronili, co wyjaśnia, dlaczego nie został on pociągnięty do odpowiedzialności za pisanie tak łatwych do rozszyfrowania sztuk dla publicznej sceny. Jest to kompletny i oryginalny obraz, objaśniający niemal całą twórczość Szekspira. Co ty na to?

Wzruszyłem ramionami.

- No... czy autorka ma rację?

- Nie wiem! Nikt tego nie wie! - Ten niemal krzyk znów przyciągnął spojrzenia klientów restauracji. Teraz zrozumiałem, dlaczego Mickey mógł się wahać, czy umówić się ze mną właśnie tutaj. - O to, kurwa, właśnie chodzi, Jake! Ona może

mieć rację. Niewykluczone też, że ktoś inny, opierając się na równie gruntownej analizie tych samych sztuk, wykaże, że Szekspir był gejem, dobrym protestanckim pedałem. Lub monarchistą. Albo lewakiem. Kobieta. Albo lordem Oksfordu. To podstawowy problem ze wszystkimi studiami nad Szekspirem, które dążą do potwierdzenia jakiejś tezy, a teraz jeszcze to! - Postukał w papiery. Jeśli to autentyk... Podkreślam: jeśli, będzie to największy przełom w studiach szekspirowskich od czasu... nie wiem, od zawsze. Od chwili gdy w osiemnastym wieku ta dziedzina badań narodziła się jako pełnoprawny, odrębny przedmiot nauki.

- I ten list jest tak ważny?

- Nie sam w sobie. To tylko przedsmak, przedsoniek raj. Ale, Jake... - tu Mickey zniżył głos i przysunął usta do mojego ucha, co wyglądało tak, jakby parodiował kogoś, kto pragnie zachować tajemnicę. - Jake, jeśli ten gość szpiegował Williama Szekspira, jeśli sporządzał raporty, jeśli opisywał jego życie tak jak swój własny nędzny żywot... Chryste, to będzie naprawdę coś! Nie spekulacja posiłkująca się obrazami z drugiego aktu pieprzonego *Króla Leara*, ale oparta na faktach rekonstrukcja. Kogo spotykał, co powiedział, jakim językiem posługiwał się na co dzień, w co wierzył, co jadł i pił, czy był birbantem, jak długiego miał fiuta... Jake, nie masz, kurwa, pojęcia...!

- No, domyślam się, ile może być wart rękopis sztuki.

Przewrócił oczami i demonstracyjnie zaczął sobie wachlować twarz.

- Ach, sztuki! O tym nawet nie myślę. Dostanę orgazmu, jeśli dorwiemy choćby te zaszyfrowane listy, o których tu wspomina. Nic dziwnego, że stary Bulstrode tak się z tym krył, biedny sukinsyn. Nie wypada mówić źle o zmarłych, ale mogłem oczekiwać, że po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem, pozwoli mi chociaż spojrzeć na te papiery, kiedy wpadły mu w ręce.

- Musiało go to przyprawiać o obłęd. Swojej siostrzenicy też o tym nie powiedział.

- No tak. Biedna kobieta. Nie domyślasz się, gdzie mogą być te listy?

- Nie, ale teraz chcę wiedzieć, a ty może mi powiesz, dlaczego rosyjski gangster jest nimi aż tak zainteresowany, że popełnia morderstwo. Nie należy chyba do Towarzystwa Filologicznego.

- Czyli organizacji, w której roi się od gangsterów i jeszcze gorszych typów.

Mickey się uśmiechnął. - Ale rozumiem, o co ci chodzi.

Umilkł i na jego twarzy pojawił się na chwilę dziwny wyraz rozmarzenia, jakby się właśnie zaciągnął głęboko opium. Oczy miał przymknięte, zdawało się, że kontempluje obraz rajy znajdującego się poza jego zasięgiem. Powrócił jednak do rzeczywistości i powiedział:

- Chyba że...

Wiedziałem, co ma na myśli.

- Tak, chyba że Bulstrode podczas podróży do Anglii odkrył coś, co potwierdziło istnienie... tego najważniejszego. Rzecz, tak to nazwijmy, istnieje naprawdę i ci faceci lub ktoś, kto ich wynajął - wiedzą o niej i chcą ją zdobyć. Ale okazuje się, że zaszyfrowane listy są częścią tropu, który do niej prowadzi. Wiemy przynajmniej, czy były razem z tym listem?

- Mnie o to pytasz?

- No cóż, owszem. Wiesz o tych papierach więcej niż ktokolwiek inny prócz samego Bulstrode'a i być może Mirandy, ale oni są w tej chwili nieosiągalni. Bez wątpienia ktoś zaoferował Bulstrode'owi manuskrypt. A jeśli były też inne rękopisy i on odmówił ich kupna?

- To niemożliwe! Sprzedałby rodzinę za taki komplet.

- Zgoda, ale zważywszy na to, że nie ma popytu na rodziny, ile musiałby zapłacić, powiedzmy, za sam manuskrypt Bracegirdle'a?

- Nie wiem, może jakieś pięćdziesiąt tysięcy, jeśli sprzedający żądał gotówki na rękę. W przypadku aukcji nie wiadomo, do jakiej ceny by doszło. Może ktoś zaoferowałby dwa, trzy razy tyle...

- I Bulstrode miał taką forszę?

- Nie, do diabła! Został oskubany przez prawników, wiesz, ta afera z podróbką *Hamleta*. Kiedy tu przyjechał, musiałem mu wypłacić zaliczkę na poczet przyszłych zarobków. Czekać, czekać...!

- No właśnie. Jeśli nie miał dużych pieniędzy, to w jaki sposób nabył manuskrypt? Są dwie możliwości. Albo zapłacił znacznie mniej właścicielowi, który nie zdawał sobie sprawy z tego, co posiada, i pewnie dał sobie wmówić, że listy Bracegirdle'a nie są aż tak cenne, a jeśli miał szyfr, to w ogóle nie zaproponował ich

Bulstrode'owi. Albo Bulstrode zobaczył cały komplet, a sprzedający znał jego realną wartość i zażądał dużych pieniędzy. Więc dlaczego Bulstrode nie poszedł do Folgera? Ani na przykład do swojego starego kumpla, czyli do ciebie? Mickey parsknął ironicznym śmiechem.

- Bo wiedział, że też jestem splukany?

- Powiedzmy, że stało się tak dlatego, że pochodzenie tych papierów było niepewne. Sprzedający sam jest oszustem, ale zna wartość tych listów jako klucza do czegoś znacznie bardziej sensacyjnego. A więc Bulstrode idzie do jakiegoś ważniaka i zawiera z nim układ: pomóż mi kupić pakiet, a odnajdziemy najcenniejszą rzecz na świecie i...

- Nie bądź śmieszny! Jasne, że Andrew mógł zapłacić psie pieniądze naiwnemu właścicielowi, ale prawdopodobnie nie znał żadnego ważniaka. Nie znał w Nowym Jorku prawie nikogo.

Zastanowiłem się nad tym i uznałem, że Mickey ma rację. Miranda mówiła to samo. Pomyślałem chwilę i oznajmiłem:

- A więc musi być *tertium quid*.

- Mówisz o kimś, kto znał wartość tego, co zdobył Bulstrode, i jednocześnie znał gangsterów? I chciał za to wielkich pieniędzy? Czy w ogóle istnieją tacy ludzie?

- Owszem - odparłem. - Ja jestem kimś takim. Znam wybitnego profesora literatury angielskiej, to znaczy ciebie, i znam też paru twardzieli. To prawdopodobnie wcale nie takie rzadkie, jak byśmy chcieli wierzyć. Typki z giełdy najwyraźniej nigdy nie mają problemów ze znalezieniem oprycha, który na zlecenie sprzątnie im żonę. W każdym razie Bulstrode mógł się udać do kogoś takiego i wyjawić, że Rzecz jest w zasięgu ręki. I ta osoba, z rozmaitych powodów, mogła zawiadomić o tym gangsterów. Bulstrode jedzie do Anglii i wraca. Wie, że jest śledzony, a więc oddaje mi pakiet na przechowanie. Gangsterzy dopadają go i torturują, aż podaje im moje nazwisko, i dlatego mafia bierze mnie na oko, dlatego uprowadzają Mirandę i dlatego chcą położyć łapę na zaszyfrowanych listach.

- Których nie ma ani ona, ani ty, bo nie miał ich Bulstrode. Czy wiemy na pewno, że w ogóle istniały?

- Pan Tertium wie to na pewno. Powiedz mi, czy Bulstrode wymienił kiedykolwiek nazwisko osoby, która sprzedała mu manuskrypt?

- Nigdy. Chryste! Dlaczego nie przyszedł z tym do mnie? Byłoby rzeczą najłatwiejszą w świecie zaaranżować zakup za rozsądne pieniądze.

W tym momencie powtórzyłem mu, co mówiła Miranda o wstydzie Bulstrode'a po aferze z podróbką *Hamleta* i o rozmiarach jego paranoi.

Mickey potrzęsnał głową.

- Co za nieszczęsny osioł! Gdyby przyszedł do mnie, teraz by żył. Ale, wiesz, nie będzie wcale tak trudno poznać nazwisko tego, który mu sprzedał rękopis. Andrew prowadził notatnik, gdzie zapisywał spotkania. Mógł też wystawić facetowi czek. Problem w tym, że notatnik i książeczkę czekową wciąż ma policja.

- Owszem. Ale może da się to jakoś załatwić.

Przyszło mi do głowy, że przecież zarządzam mieniem Bulstrode'a, jestem też prawnikiem jego spadkobierczyni. Zobaczę, czy policja pozwoli mi obejrzeć te materiały.

I tak dalej, i tak dalej. Jestem absolutnie pewien, że tak właśnie wpadliśmy na pomysł, by sprawdzić, kto sprzedał te papiery. Kiedy rozstałem się z Mickeyem, zadzwoniła moja komórka: telefonował detektyw Murray w związku z pozostawioną przeze mnie dzień wcześniej wiadomością. Słyszał oczywiście o włamaniu, kradzieży i uprowadzeniu i chciał ze mną porozmawiać. Sreparowałem dla niego historyjkę. Nie było uprowadzenia, powiedziałem. Pani Kellogg dzwoniła do mnie i zapewniła, że nic się jej nie stało, że wyszła z mieszkania przed napadem i ma papiery przy sobie. W sensie formalnym stanowiły jej własność i nie było powodów do niepokoju tylko dlatego, że dorosła kobieta postanowiła sobie gdzieś pojechać. Murray odpowiedział, że to właściwe podejście, bo najwyraźniej nie ma żadnego związku między zamieszaniami wokół moich starych papierzyśk a śmiercią profesora Bulstrode'a, w której to sprawie właśnie zakończono dochodzenie. Profesor został zamordowany przez dziewiętnastoletniego homoseksualistę, męską prostytutkę nazwiskiem Chico Garza, którego aresztowano i który przyznał się do wszystkiego. Okazało się, że było dokładnie tak, jak przypuszczali seksualna gra,

która wymknęła się spod kontroli. Chłopaka złapano, gdy próbował posłużyć się kartą kredytową Bulstrode'a. A więc miał pan rację, przyznałem z udawaną ulgą w głosie. Atak na ulicy, włamanie, czynna napaść i zniknięcie kobiety to wszystko zwykłe zbiegi okoliczności. Przeprosiłem go za swoje wątpliwości, on zaś łaskawie odpowiedział, że obywatele, którzy naoglądali się thrillerów, próbują na ogół komplikować sprawy, gdy tymczasem prawdziwe przestępstwa są głupie i proste, tak jak w tym przypadku. Podobne rzeczy są na porządku dziennym.

Zgodziłem się z nim i wyraziłem przypuszczenie, że skoro dochodzenie zostało zakończone, nie będzie żadnych przeszkód, żebym ja, prawnik zaangażowany w sprawę, zajrzał do dokumentów dotyczących mienia i spadku. Nie ma najmniejszych przeszkód, powiedział.

DRUGI ZASZYFROWANY LIST

Panie mój, zapewniam Cię, że zostałem ostro skarcony Twoim zaszyfrowanym listem z 16 stycznia i będę próbował zadowolić Cię bardziej, pisząc krócej: jako że dopiero zaczynam tę szpiegowską robotę, nie wiedziałem, co zamieścić, a co jest niewarte uwagi Waszej Wysokości. Nasz plan wygląda tak: w dniu imienin księżniczki Elżbiety, jak Pan przepowiedział, odbyła się zaplanowana celebracja i festyn w White Hall. Nakazano nam wystawić „Wiele hałasu o nic” i trochę masek pana Jonsona. Od czasu, jak pisałem ostatnio, zostałem przyjęty do kompanii, nie tylko do prowadzenia ksiąg rachunkowych, ale jak wszyscy inni, także jako faktotum: dźwigam i noszę, maluję i buduję, a poza tymi wszystkimi mechanicznymi robotami także służę do zaludniania sceny, jako żołnierz, sługa etc, w błyskotkach i przebraniach, hełmach i z blaszanymi mieczami, co groźne, jak mniemam, dla mojej duszy, ale Bóg to zrozumie i mi wybaczy, bo nie przemawiam ze sceny. W tych tygodniach przebywam wiele z W.S., bo faworyzuje mnie i trzyma w swoim domu przy Blackfriars. W dniu, o którym wcześniej wspominałem, mam być wśród straży i także służby Don Pedra; ale bardzo blisko godziny przedstawienia pan Ussher spadł ze sceny niefortunnie i nie może ustać na nogach, więc muszę zagrać i pająka, a to jest rola mówiona, chociaż tylko dwie linijki, i klnę się, wolałbym stawić czoło pełnej fiaszy wina i stoczyć z nią bitwę, niż przemówić przed publiką i jeszcze królewską, ale się wywiązałem dobrze, chociażem cały czas dygotał.

Król zasnął w akcie trzecim, co, jak mi powiedziano, czyni zawżdy, ale Królowa i Księżniczka biły brawo z wielkim zapalem i potem wszystkich nas uraczono ciastkami i winem małmazyją w bocznej izbie. I oto wszedł szlachetny pan, sir Robert Veney, ubrany bardzo wytwornie, i jest on jednym z ludzi mego pana. Odbył rozmowę z W.S. i panem Burbage'em, i potem W.S. przyzwał mnie

zmieszany i przyszedłem, jak mi kazano, i ten Veney zaprowadził mnie w kąć izby i zapytał, czy wiem, co tu się kroi. Tak, sir, odparłem, bo pan powiedział mi to w swoim szyfrowanym liście, a on wyświadczył mi łaskę (ale tylko pozorną), wręczył zapieczętowany list i rzekł: Chłopcze, widzę na twojej twarzy strach, jakbyś obaczył ducha. I odszedł, a ja wetknąłem list za pazuchę i nie potrzebowałem już aktorskich zdolności, aby udalnie odgrywać drżączkę i pokazywać przestrasz na twarzy.

Potem wszyscy chcieli wiedzieć, co powiedział mi lord Veney, ale ja nie zdradziłem, mówiąc, że to prywatna sprawa, i wszyscy zaczęli ze mnie drwić, jaką prywatną sprawę mógł mieć lord z takim jak ja oprócz wstydlivej przypadłości, i używali sobie na mnie, chwytając się za przyrodzenia, podskakując i nazywając mnie kochasiem lorda Veneryka, co było aluzją do lorda Veneya. Ale widziałem, że W.S. nie przyłączył się do reszty, a jeśli tak, to tylko trochę, i patrzył na mnie z powagą.

Nazajutrz w Blackfriars przyszedł do kantorka, gdzie ślezczałem sam nad swoimi księgami rachunkowymi, i usiadł. I mówi: Dick, jesteś człek odważny, ale nie myślę tak dobrze o wzbudzaniu żądzы sir Roberta Veneya, a poza tym zostałeś stworzony, aby chędożyć dziewczki. Słuchaj, zali nie jestem twoim dobrym kuzynem? Powiedz mi więc, co zaszło pomiędzy tobą i tym dżentelmenem, a jeśli honor ci nie pozwala mówić o tym szczerze, to czy nie mógłbyś nakreślić całej sprawy lekko, tak bym mógł się zorientować ogólnie i upewnić, że sprawa nie dotyczy mnie ani tej kompanii. A dlaczego myślisz, że może dotyczyć ciebie, pytam ja, na co on dotyka królewskiego znaku na swoim płaszczu i powiada: Nie brakuje ci bystrości. My jesteśmy ludzie Króla i ten Veney jest serdecznym przyjacielem lorda Rochestera, lord zaś, jak wszyscy wiedzą, rządzi Królem. Jeśli lord chce rozmawiać z naszą kompanią, niechże przyśle po mnie, po pana Burbage'a lub pana Hemingesa, lub któregośkolwiek z członków trupy. Muszę więc spytać, czemu wzywa chłopca, który przystał do nas dopiero niedawno, opowiadając, że jest moim kuzynem, chłopca, który siadając do stołu, czyni znak krzyża. A więc, mój kuzynie, nie oszukuj mnie. I spojrzął na mnie bardzo uważnie

i surowo, jak nigdy wcześniej nie patrzył na nikogo, i pomyślałem sobie: on widzi wszystko, przejrzał mnie. Alem się zebrał na odwagę, myśląc też: oho, polknął przynętę.

Tum upadł na kolana, płacząc: Ach, mój kuzynie, powściągnij swój gniew, chociaż ze mnie zdrajca. Zostałem wezwany, by cię szpiegować dla lorda Rochestera. Pobladał. Jakże to możliwe, powiada, nie zrobiłem nic przeciwko temu szlachetnemu panu i wydaje mi się, że wciąż jest mi przychylny. Na to ja: Och, panie, to wszystko wiąże się z poważnymi sprawami wiary i z polityką, i planami wielkich, a ja jestem tylko nieborakiem marynarzem z rozbitego okrętu i jakże mam się wtrącać w te sprawy; i dalej płacząc prawdziwymi łzami. A on pyta: Czyś moim prawdziwym kuzynem, czy to tylko zmyślenie? A ja odpowiedziałem: Nie, to wszystko prawda i przysięgam na grób mojej matki, że lord wybrał mnie do tej misji, a więc tym bardziej możesz mi, panie, wierzyć.

Potem podniósł mnie i posadził na krześle, mówiąc: A teraz bądź prawdziwym mężczyzną, mój chłopcze, i powiedz mi wszystko. A więc powiedziałem mu wszystko, cośmy uzgodnili między nami i co było w Twoim ostatnim szyfrowanym liście, tj. Król chce katolickiej małżonki dla księcia Henryka, co ma przynieść pokój, a co purytanie w Parlamencie z głęboką wzdargą odrzucają; lord popiera to i odpowiada za to, dlatego wszyscy purytanie go nienawidzą; utyskują, że zmarła Królowa nie traktowała nas w ten sposób (choć ja myślę, że nie mają racji, tyle że pamięć z czasem słabnie), i szemrzą, że ten Król jest nikim innym, jak tylko bękartem papistowskiej dziwki. Król jest coraz bardziej znużony tymi porównaniami i pogardą dla jego matki Królowej i chciałby uchodzić za wspanialszego monarchę od Elżbiety. No i lord wykoncypował plan: a gdyby tak powstała sztuka o królowej Maryi Szkockiej, taka, która pokazywałaby ją w lepszym świetle, a starą Bess jako tyrańską wiedźmę, niewolniczo uległą obłudnym purytanom, która to sztuka, szeroko upowszechniona, utemperowałaby niechęć ludu wobec królowej Szkocji. Bo takie rzeczy robiono już kiedyś: czyż nie

zrobiono z Henry'ego Bolingbroke'a, uzurpatora, człeka szlachetnego, a z Dicka Croockbacka okrutnika i łotra? I czy taka sztuka nie sprawi przykrości purytanom i nie podburzy ludzi przeciw nim? I kto w Anglii pisze najlepiej takie sztuki?

Tu chwycił, o co mi chodzi, i zawołał: On chce, żebym to ja napisał tę sztukę? Tak, kuzynie, odpowiedziałem. Jego Lordowska Mość daje ci takie polecenie. Ale W.S. zakrzyknął, że to rzecz niesłychana, taka sztuka od niego. Wiesz, że Król rozwiązał trupę Blackfriars i doprowadził teatr do ruiny za napomknienia nieprzychylnie dla Szkocji w ich „Edwardzie II”, to co dopiero robi za sztukę znieważającą wielką Elżbietę i cały Kościół protestancki? Rozprawi się krwawo! Nie wierzę ci, chłopcze, to musi być uknute przez moich wrogów.

Tum się nieco zmieszał, Panie, bom zobaczył, że jest blisko odkrycia naszych zamiarów, ale mówię: Nie, sir, to nakazał sam lord, bo spojrz, dlatego właśnie lord Veney zwrócił się do mnie, a nie do ciebie ani innego członka trupy. Jesteśmy wszyscy obserwowani przez szpiegów i nie można zdradzić, że polecenie przyszło od lorda. Sztuka musi być pisana w tajemnicy, tylko ja mam o niej wiedzieć i ty, i ma być pokazana lordowi, a on rozmiękczy Króla, żeby zezwolił ją wystawić. Bo Jego Królewska Mość jest bojaźliwy, zmiażdżyłby purytanów, ale się nie odważy, a przynajmniej nie teraz. Bo ta sztuka jest ledwie częścią większego zamiaru, który potrzebuje czasu, żeby się spełnić: hiszpańskiego ożenku, święcenia nowych biskupów, nowych praw przeciwko purytańskim konwentyklom i ulg dla papistów. Mówiąc to, przypatrywałem mu się uważnie, ale jego twarz nic nie zdradzała. Tylko zapytał: Dlaczego by Król miał teraz faworyzować papistów, którzy prawie go zabili w roku piątym? A ja odpowiedziałem: A dlaczego miałby oddać im swego syna, tym, którzy opłacili Guya Fawkesa? To polityka, kuzynie, i tacy jak my jej nie pojmą, ale musimy robić to, co nam nakazą możni. Jedno jest jednak pewne: Król musi mieć swoich biskupów, żeby rządzić Kościołem, i w tym względzie bliższy jest papistom niż purytanom. A on na to: Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Na co ja wyciągam z zanadru sfalszowany list z pieczęcią lorda Rochester: Uwierź więc w to, mówię i

podaję mu. A on go czyta, po czym rzecze: Lord chciałby mieć sztukę do Bożego Narodzenia. Pytam więc: Zdązysz napisać do tego czasu? No tak, mówi, mam pewna drobną rzecz do skończenia, sztukę o Nowym Świecie i katastrofie morskiej, czarodziejskich wyspach i także o twoim bosmanie, w dwa tygodnie ją skończę. Potem mogę zacząć z tym i jeśli Bóg pozwoli, i tu czyni znak krzyża, a ja razem z nim, myśląc: i tu cię mamy, mój panie.

Potem jego twarz poźłobiona zmarszczkami zatroskania rozjaśniła się nagle i powiedział z uśmiechem: Obiecałeś mi, że pokażesz, jak rachować w nowy sposób, i tu szuka właściwego słowa, więc podpowiadam mu: Mówisz, panie, o algorytmie, a on zapisuje to w swoim kajeciku i pyta, w jakim języku jest to słowo, ja zaś na to, że według mojego mistrza z arabskiego, i on powtarza to kilka razy. Więc przystępujemy do studiowania matematyki i ja jednocześnie myślę sobie: Panie, musimy się pośpieszyć i dobrze wyteżyc umysł, żeby dopaść tego człowieka. Bo nigdy nie widziałem kogoś tak zamkniętego w sobie i tak obwarowanego przeciw dociekaniom innego człowieka. Pan Burbage gra swą rolę na scenie, ale gdy kończy, jest znów zwykłym Dickiem: ale ten tu Shaxpure gra zawsze i bez przerwy, i myślę, że nikt nie przejrzy tego gracza.

Z wszelkimi honorami i niech Bóg pognębi nieprzyjacioły Twoje i wrogów prawdziwej wiary, z Londynu, tego piątku, 26 stycznia 1610

Richard Bracegirdle

Crosetti był przesłuchiwany przez policję setki razy, ale nigdy dotąd przez kogoś, kto nie był jego bliskim krewnym. Stwierdził, że znacznie łatwiej jest kłamać nieznanym, zwłaszcza że byli wobec niego delikatni. Zasiedli w salonie rodzinnego domu Crosettich: detektyw Fernandez w fotelu ze swoim notatnikiem, Crosetti w drugim fotelu, krytym obiciem z niebieskiego wytartego brokatu; na stoliku stał serwis i dzbanek z kawą. Kawę naląła Mary Peg, zanim dyskretnie się usunęła. Za głową przesłuchiwanego wisiał duży obraz olejny namalowany na podstawie zdjęcia, przedstawiający bohaterskiego gliniarza, porucznika Crosettiego, w mundurze obwieszonym medalami i w otoczeniu młodej rodziny.

Obaj policjanci zerkali od czasu do czasu w stronę tej ikony; nie było zatem groźby, że zaczną za bardzo naciskać. W każdym razie oprócz bezprawnego wykorzystania czegoś, co należało do Sidneya Glasera (rękopisu Bracegirdle'a), Crosetti nie zrobił niczego złego i policjanci nie indagowali go w tej sprawie. Pytania o Bulstrode'a były rutynowe; znaleźli nazwisko Crosettiego w notesie profesora i prowadzili przesłuchanie w sposób mechaniczny. Byli umiarkowanie zainteresowani

osobą Rolly; to, że zniknęła, owszem, ciekawiło ich, ale kiedy Crosetti powiedział im o liście z Londynu, machnęli ręką. Wyjazd z kraju nie jest przestępstwem. Crosetti miał dość rozumu, by nie wciągać ich w spekulacje na temat morderstwa; w końcu policjanci nie przyszli po to, by przekazywać mu informacje, tylko żeby je uzyskać. Wizyta trwała dwadzieścia minut, z których część poświęcono wspomniani zmarłego porucznika Crosettiego. Potem pożegnali się i w nastroju bardzo pogodnym jak na detektywów z wydziału zabójstw opuścili mieszkanie.

Z policjantką, która była jednocześnie siostrą, rzecz przedstawiała się całkiem inaczej. Kiedy przyjechała Patty Dolan, to jest w czterdzieści minut po wizycie detektywów, Crosetti wykazał się wolą dotarcia do sedna sprawy. Po ustaleniu, że odegrał w życiu ofiary tylko niewielką rolę, zapytał:

- A więc co sądzi o tym policja?

Miał na myśli jej kolegów po fachu. Zerknął przy tym na matkę.

- No cóż, facet był Brytyjczykiem i gejem oznajmiła Patty. Uważają, że to sprawa seksu i konfliktu na tym tle.

- Wątpię - odrzekł Crosetti.

- A co, współżyłeś z nim? - zapytała wielka siostra. - Poznałeś jego słabości?

- Nie, a ty? Jak go tylko zobaczyłem, pomyślałem: „O rany, Patty oszalałaby na punkcie tego gościa! Taki gruby, spocony, łysy...”

Była to aluzja do Jerry'ego Dolana, jej męża. W rodzinie Crosettiego fizyczne niedoskonałości były wśród rodzeństwa przedmiotem szyderstw. Patty Dolan sama doświadczyła tego aż w nadmiarze, kiedy dorastała. Była klocowata i miała grube rysy, co upodabniało ją nieco do ojca z olejnego obrazu. Miała też czarne włosy, ale jednocześnie niebieskie oczy po matce.

- I kto to mówi? - spytała pani detektyw i wyćwiczonym, błyskawicznym

ruchem sięgnęła do wałka tłuszczu nad jego paskiem.

Trzepnął ją po ręce.

- Bądźmy poważni - powiedział. - Pewnie wiesz, że parę lat temu facet był zamieszany w grube oszustwo, chodziło o wielkie pieniądze. I orznął mnie na kupnie cennego manuskryptu. To dowodzi, że miał paskudny charakter.

- Co mogło rzutować na jego życie erotyczne. Jaką masz hipotezę?

- Nie wiem, czy w ogóle jakaś mam - odparł Crosetti. - Ale zwróć uwagę na pewien schemat. Bulstrode mnie oszukuje i znika, wyjeżdżając do Anglii. Carolyn Rolly zostawia wszystko i też tam wyjeżdża, tak przynajmniej pisze w liście, który, o ile mi wiadomo, zawiera w większości brednie. Potem Bulstrode wraca i zostaje zamęczony na śmierć. Znaleźliście przy nim ten manuskrypt?

- Nie wiem. Nie prowadzę tej sprawy.

- Bo jeśli zniknął, to mamy motyw.

- Ile był wart?

- Trudno powiedzieć. Fanny mówi, że na aukcji mógł osiągnąć jakieś pięćdziesiąt tysięcy.

Słyszając to, detektyw Dolan uniosła brwi i wysunęła dolną wargę.

- To mnóstwo forsy.

- To garść drobnych w stosunku do rzeczywistej wartości rękopisu.

- Jak to?

Crosetti spojrzął na matkę.

- Powiemy jej?

- Jeśli nie chcesz, żeby wyciągnęła to z ciebie biciem... - mruknęła

Mary Peg.

Crosetti wyznał siostrze, co wiedzieli i co sugerował list Bracegirdle'a.

Patty zwróciła się do matki.

- Wierzysz w to wszystko?

- Sama nie wiem - odparła Mary Peg. - Fanny twierdzi, że oryginał, który mamy, to autentyk z siedemnastego wieku, więc może list Bracegirdle'a mówi prawdę. Może naprawdę istnieje zakopany gdzieś rękopis nieznannej sztuki Williama Szekspira. Może Bulstrode dostał cynk w tej sprawie, a może nie. Może powiedział o tym komuś, kiedy prowadził poszukiwania w Anglii, i dotarło to do ludzi, którzy mordują dla pieniędzy.

- Za dużo tych „może”, mamó. Najbardziej mi się nie podoba, że Alie został wplątany w wydarzenia, które doprowadziły do paskudnego zabójstwa. I że związał się jakoś z tą kobietą, która zniknęła.

- Co to ma znaczyć? - zapytał oburzony Crosetti.

- Jeśli założyć na chwilę, że wbrew temu, co sądzi policja, morderstwo nie miało tła seksualnego, to - z gliniarskiego punktu widzenia jest znacznie bardziej

prawdopodobne, że chodzi o wielki przekręt, podobny do tamtego, przez który kiedyś Bulstrode wpakował się w tarapaty. Ktoś wsunął fałszywy trop do starej księgi, ażeby mógł go tam znaleźć ktoś inny, ktoś, kto na pewno przekaże to Bulstrode'owi... Ta cała Rolly mogła cię podpuścić. Kręcisz głową, co? Crosetti rzeczywiście nie zgadzał się z jej wywodem.

- Nie, to autentyk - oznajmił cierpko. - Byłem przy tym, Patty. A że książki się nadpały i że mieliśmy je porozcinać, to czysty przypadek.

- Zapewne, ale Rolly mogła wcześniej przygotować te papiery i tylko udawała, że znalazła je w księgach.

- I wsunęła je tam, licząc na to, że wybuchnie pożar? To idiotyzm. Widziałem na własne oczy, jak wyjmowała je z okładek.

- Och, to rzeczywiście mocny dowód! Każdy oszust potrafi dokonać takiej manipulacji. Wybacz, ale kiedy słyszę o ukrytym skarbie i tajemniczym manuskrypcie, łąpię się za portfel.

- Nie bądź śmieszna powiedział Crosetti podniesionym głosem. To prawdziwy manuskrypt, napisany przez żyjącego kiedyś faceta, a szyfr jest autentycznym szyfrem. Zapytaj Fanny, jeśli mi nie wierzysz. Albo Klima.

- Klima?

- Tak, naszego nowego lokatora. Mieszka w twoim dawnym pokoju.

Patty spojrzała na matkę.

- Nie patrz na mnie jak policjantka, Patricio. To bardzo przyzwoity dżentelmen z Polski, który pomaga nam odczytać te listy. I muszę ci powiedzieć, że jesteś przesadnie podejrzliwa, a nawet niesprawiedliwa wobec swojego brata.

- Świetnie - powiedziała policjantka Dolan, tłumiąc westchnienie. Kiedy dostawała się w dwa ognie, między Mary Peg i jej synalka, była od razu na straconej pozycji. - Ale gdy zjawia się jakiś wygadany typek z paczką, która zawiera rzekomo rękopis Szekspira, i żąda dziesięciu tysięcy...

- Ach, nie bądź śmieszna! zawołali matka i syn niemal równocześnie, co zabrzmiało wystarczająco zabawnie, żeby rozładować napięcie.

Patty, detektyw rodzinny Crosettich, zapewniła, że będzie śledzić sprawę Bulstrode'a w takim stopniu, w jakim pozwolą jej na to obowiązki i przepisy, i informować ich na bieżąco o postępach dochodzenia.

Kiedy wyszła, Mary Peg oświadczyła:

- Zobaczę, czy Radi ma ochotę na kawę. Zdaje się, że przez całą noc nie zmrzął oka.

- Radi?

- Och, pilnuj własnego nosa! - obruszyła się Mary Peg i wyszła z kuchni.

Crosetti pozostał sam na sam z rozmyślaniami o czymś tak nieprawdopodobnym jak matka i ewentualny romans. Potem poszedł do pracy, gdzie musiał ukrywać swą wiedzę o profesorze Bulstrodzie i jego ostatnich poczynaniach, podczas gdy Sidney Glaser rozwodził się nad tym, że to szokujące, kiedy zostaje zamordowany ktoś, kogo się znało, i że jest to kolejną oznaką upadku tego miasta i całej zachodniej cywilizacji. Wróciwszy tego wieczoru do domu, Crosetti zanurzył się w intensywnym zapachu duszonej jagnięciny z jarzynami. Zastał matkę i Radosława Klimę w kuchni, popijających sherry i mocno rozbawionych. Mary Peg nie siedziała wprawdzie Klimowi na kolanach, ale Crosetti nie byłby zaskoczony takim widokiem, jeśli wziąć pod uwagę panującą tu atmosferę: para dobywała się nie tylko z garnka, który stał na piecyku.

- Cześć, kochanie! - zawołała Mary Peg wesoło. - Poczęstuj się sherry.

Nigdy dotąd nie witała tak syna, kiedy wracał do domu.

Crosetti spojrzał na matkę i stwierdził, że wygląda o dziesięć lat młodziej. Jej policzki barwiły intensywne rumieńce, ale w oczach można było dostrzec pewną nerwowość, jakby znów była młodą dziewczyną, która flirtuje z chłopakiem na bujanej kanapie pod czujnym okiem wścibskiego ojca.

Klim wstał i wyciągnął rękę; przywitali się bardzo formalnie. Crosetti czuł się, jakby grał w filmie, nie takim, jaki sam by chciał nakręcić czy choćby obejrzeć, ale w jednej z tych rodzinnych fars, gdzie samotna mama durzy się w nieodpowiednim mężczyźnie, dzieci zaś konspirują, żeby położyć temu kres, a na końcu się okazuje...

Zanim jednak zdołał zapanować nad zakłopotaniem, Mary Peg oznajmiła nienaturalnie szczebiotliwym głosem gospodyni podejmującej gości:

- Właśnie opowiadałam Radiemu, jak bardzo się interesujesz polskim kinem. On się w tym doskonale orientuje.

- Ach, tak - odparł Crosetti uprzejmie.

Podszedł do karafki z czerwonym winem i nalał sobie dużą szklanekę.

- Wcale nie - zaprzeczył Klim. Jestem tylko fanem polskiego kina. Oczywiście nie potrzebuję napisów u dołu ekranu, żeby rozumieć dialog.

- Uhm. Ma pan na myśli jakieś konkretne filmy?

- Och, ostatnio podobało mi się *Życie jako śmiertelna choroba* Zanussiego. Bardzo piękny, choć jego katolickie... brakuje mi słowa... kaznodziejstwo?

- Prozelityzm.

- No właśnie. To trochę dla mnie zbyt toporne, zbyt oczywiste. Kieślowski robił to samo znacznie subtelniej. Często mawiał: „My nie waliły religią po głowie, byłoby to tak samo złe jak walenie po głowie komunizmem. Wystarczy, że mamy kino moralnego niepokoju, pozbawione ostentacji”. Jak na przykład *Trzy kolory* i naturalnie *Dekalog*.

- Chwileczkę, znał pan Kieślowskiego?

- O tak. Polska to bardzo mały kraj, mieszkaliśmy w Warszawie w tej samej dzielnicy, a ja byłem tylko o kilka lat od niego starszy. Kopaliśmy piłkę na ulicy i tak dalej. Później mogłem mu oddać pewne przysługi.

- Przy filmach?

- Nie bezpośrednio. Wyznaczyli mnie, żebym go śledził. Znałem go już wcześniej. Widzę, że jesteś zaszokowany. No cóż, to prawda. Wszystkich inwigilowano i wszyscy inwigilowali. Sam Lech Wałęsa był w pewnym okresie agentem. Najlepiej było mieć takiego, który się z człowiekiem solidaryzował i przekazywał władzy tylko to, co ten chciał. Byłem dla Krzysztofa takim agentem.

Przez jakieś dwadzieścia minut rozmawiali o polskim kinie, jednej z niezmiennych miłości Crosettiego, który teraz nauczył się właściwej wymowy nazwisk polskich reżyserów i tytułów filmów, od lat otaczanych przez niego kultem.

Wrócili do osoby wielkiego Kieślowskiego i Klim zauważył:

- Występuję nawet w jednym z jego filmów.

- Żartuje pan!

- Wcale nie. W *Robotnikach 1971* jestem jednym z młodych policjantów na drugim planie, tych, którzy tłumią sprzeciw robotników. To były szalone czasy, myślę, że bardzo podobne do tych, w których żył ten twój Bracegirdle. A przy okazji: poczyniłem pewne postępy w łamaniu szyfru.

- Udało się panu?

- Niestety, nie. Ale zidentyfikowałem jego rodzaj. Niezwykle interesujący jak na klasyczny szyfr, myślę, że wyjątkowy. Mam ci pokazać? Czy najpierw zjemy tę wspaniałą kolację, którą szykuje twoja mama?

- Och, pokaż nam, proszę - powiedziała Mary Peg. - Muszę jeszcze zrobić sałatę, a główne danie możemy zjeść potem.

Skloniwszy się z charakterystyczną dla siebie nieśmiałością, Klim wyszedł z kuchni.

Crosetti zauważył spojrzenie matki i przewrócił wymownie oczami.

- Co jest? - spytała zaczepnie.

- Nic. Nie nadążam. Żyjemy tu sobie spokojnie od lat i nagle znaleźliśmy się w polskim filmie.

Mary Peg machnęła lekceważąco ręką.

- Ach, dajże spokój! To kochany człowiek i naprawdę wiele w życiu wycierpiał zmarła mu żona, siedział w więzieniu. Fanny od lat zależało, żeby mnie z nim poznać. Przecież go lubisz, prawda?

- Owszem, lubię. Oczywiście nie tak bardzo jak ty. A więc... czy wy...? - Zatarł ręce, jakby smarował je kremem.

Mary Peg chwyciła drewnianą kopyść i stuknęła go żartobliwie w ciemię.

- Uważaj, koleś. Mogę i dziś wyszorować ci buzię mydłem.

Tu oboje wybuchnęli śmiechem.

W tym momencie do kuchni wszedł Klim, niosąc gruby plik pokrytych gęstym tekstem kartek i bloczek z mnóstwem notatek. Usiadł obok Crosettego i uśmiechnął się łagodnie.

- Jest nam wesoło? To dobrze. Może i to cię rozbawi. Widzisz po moich czerwonych oczach, że niewiele spałem dziś w nocy, komunikując się z kolegami z całego świata. Doczekałem się licznych komentarzy dotyczących tego fascynującego kryptogramu. Najpierw wypróbujemy oczywiście metody Friedmana, czyli nadpisywania. To sprawa podstawowa, prawda? Musimy wyszczególnić wiele różnych alfabetów wykorzystanych w szyfrze polialfabetycznym, byśmy mogli znaleźć rozwiązanie metodą Kerckhoffa, czyli na drodze analizy częstotliwościowej. A dokonamy tego przez nadpisanie jednego ciągu zaszyfrowanego tekstu na drugim, aby odnaleźć punkty zbieżne, i jeśli zrobimy to prawidłowo, liczba zbieżnych liter

osiągnie wartość kappa sub p, czyli w przybliżeniu siedem procent. To chyba jasne, prawda?

- Nie. Może przejdzie pan od razu do sedna.

Klim, speszony, zaczął wertować kartki.

- Do sedna? Ale sedno jest zaszyfrowane, podobnie jak...

- Nie, to tylko taka przenośnia. Chodziło mi o to, żeby podsumował pan swoje ustalenia bez tego całego technicznego żargonu.

- Ach, o to chodzi. No więc sprawa wygląda tak, że nie możemy niczego nadpisać na tym zaszyfrowanym tekście, bo klucz nie powtarza się w ogóle w obrębie tej liczby liter, jaką dysponujemy, to znaczy czterdziestu paru tysięcy. Odkryliśmy też, że klucz ma wysoki stopień entropii znacznie wyższy, niż można by się spodziewać po zmiennym kluczu wziętym z książki a więc nie możemy przeprowadzić prostej analizy, posługując się zwykłymi angielskimi słowami. A więc albo twój Bracegirdle nie posługiwał się *tabula recta*, ca wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, albo wynalazł system klucza jednorazowego na trzysta lat przed Josephem Mauborgne, który dokonał tego około tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. W co też mi trudno uwierzyć. Nie ma przekazów o takim odkryciu. Właściwie nawet tablica Vigenere'a nie była powszechnie stosowana. Zanim pojawił się telegraf, a nawet i później, większość wywiadów europejskich korzystała z prostych nomenklatorów. Nie było potrzeby zachowywania tak daleko posuniętej ostrożności.

- Więc jeśli to nie jednorazowy system, to w takim razie co?

- Och, mam pewną teorię. Myślę, że Bracegirdle zaczął od prostego klucza zmiennego wziętego z książki, tak jak od początku podejrzewaliśmy. Ale myślę też, że był bardzo mądrym człowiekiem i szybko się zorientował, jak łatwo jest taki klucz złamać metodą podstawiania. Teraz moglibyśmy zastąpić jego tabliczkę jakimś mieszanym alfabetem, aby zastąpić często występujące angielskie dwuznaki, jak *tt*, *gg*, *in*, *th* i tak dalej, ale nie wydaje mi się, by na tym polegał jego system. Sądzę raczej, że połączył po prostu dwie metody dobrze znane w tamtych czasach, mianowicie klucz zmienny z książki z siatką. To sposób na łatwe generowanie pseudolosowego klucza dowolnej długości.

- Co to oznacza? Jeśli chodzi o szansę złamania szyfru.

- Niestety, tylko to, że utknęliśmy. Jak wiesz, systemy jednorazowe są nie do złamania. Co prawda, nie mamy tu klasycznego systemu jednorazowego. Gdybyśmy dysponowali dziesięcioma tysiącami czy choćby tysiącem takich listów, to pewnie ruszylibyśmy z miejsca. Ale te kilka kryptogramów jest absolutnie hermetyczne.

- Nawet gdybyśmy użyli komputerów?

- Nawet wtedy. Mogę ci pokazać na wzorach matematycznych...

- Nie, zawsze byłem słaby z algebry.

- Naprawdę? Ale jesteś inteligentny, a to takie łatwe! Zrozumiesz więc, jeśli ci powiem, że to jak równanie z dwiema niewiadomymi: te niewiadome to tekst- klucz i tekst zaszyfrowany. Przykład: jak rozwiążesz równanie x dodać y równa się dziesięć?

- X to jeden, a Y dziewięć?

- Tak. Ale również dwa i osiem, trzy i siedem albo sto i minus dziewięćdziesiąt, i tak dalej. Istnieje nieskończona liczba rozwiązań podobnych równań i tak samo jest w systemie jednorazowym. Żeby odczytać kryptogram, trzeba mieć określone rozwiązanie dla każdej poszczególnej litery, bez względu na to, jak bardzo jest zakamuflowana przez użycie wielorakich alfabetów i kluczy. Bo jak inaczej odróżnimy komunikat „Uciekaj natychmiast” od komunikatu „Przyjedź do Paryża”? Oba mogą pochodzić z tego samego tekstu zaszyfrowanego w systemie jednorazowym. Nawet jeśli uda ci się odczytać fragment odkrytego tekstu, niewiele to da, bo nie jest możliwe cofnięcie się do zaszyfrowanego w celu określenia klucza, który zmienia się nieustannie i nigdy nie jest wykorzystywany dwukrotnie. Nie, to nie do odczytania, chyba że miałbyś i książkę, którą się posłużył, i siatkę.

- Myślałem, że mamy książkę. Mówił pan, że to Biblia.

- Powiedziałem, że prawdopodobnie Biblia. Rozmawiałem o tym z Fanny i ona twierdzi, że najprawdopodobniej chodzi o wydanie z tysiąc pięćset sześćdziesiątego roku albo jeszcze późniejsze. To najbardziej popularne wydanie w tamtej epoce, tak zwana Biblia Genewska, powszechnie wtedy używana, wygodna w noszeniu, dziewięć cali na siedem. Siatka mogła być z kartonu albo z cienkiej blachy, prawdopodobnie podziurkowanej w jakiś prosty deseń, żeby ukryć jej sekretne

przeznaczenie. Twój Bracegirdle umieszczał ją na stronach, które uzgodnił wcześniej z odbiorcą wiadomości, i kopiował litery, które widoczne były w dziurkach. To był jego klucz. Kopiował wystarczająco dużo liter, żeby zaszyfrować wiadomość, a jej odbiorca robił to samo, tylko w odwrotnym porządku. Przy następnej wiadomości Bracegirdle korzystał z innej strony Biblii. Tak jak powiedziałem: gdybyśmy mieli miliony znaków z szyfrowanego tekstu, co znaczyłyby, że musiałby powtórzyć tę samą pozycję siatki na stronach, wtedy moglibyśmy to rozwiązać zwykłymi metodami, ale nie w tej sytuacji. Przykro mi.

I naprawdę miał zawiedzioną minę, najbardziej zawiedzioną, jaką Crosetti widział u kogokolwiek, niemal komiczną, jak u smutnego klauna. Ale w tym momencie Mary Peg oznajmiła, że kolacja jest gotowa, i postawiła przed nimi wielką wazę z parującą jagnięcina. Wyraz twarzy Klimy zmienił się w mgnieniu oka: pojawił się na niej zachwyt. Crosetti też się nieco rozchmurzył. Zawsze czuł się bezpieczniej w jakiejś filmowej fabule, a teraz, jak już wcześniej powiedział matce, tkwili wszyscy jakby w polskim filmie: przygnieci brzemieniem historii i odwiecznych problemów, odżywający na widok ciepłego posiłku.

- Wiesz, nie rozumiem jeszcze jednego - wyznał Klim w zadumie, gdy ceremonia jedzenia dobiegała końca. - Po co on to w ogóle szyfrował?

- Jak to? - zapytał Crosetti.

- No więc ten człowiek, ten twój Bracegirdle, powiada, że szpiegował Szekspira dla angielskiego rządu. Ja też byłam agentem rządu i pisałam raporty, podobnie jak tysiące moich rodaków. Są tego całe tony w warszawskich archiwach i nic nie jest zaszyfrowane. Tylko szpiegdy, którzy działają za granicą, posługują się szyfrem. Hiszpan szpiegujący Anglików posługiwałby się szyfrem. Albo gdyby twój Bracegirdle był za granicą i wysyłał wiadomości do kraju, wtedy też by to robił. Ale rządowi agenci nie posługują się szyfrem. Po co mieliby to robić? Przecież to ludzie z rządu otwierają pocztę, prawda?

- Może dmuchali na zimne - podsunął Crosetti. - Uważali, że ci, których szpiegują, mogą przechwycić pocztę.

Klim potrząsnął głową, zabawnie poruszając białą czupryną.

- Nie sądzę, aby to było możliwe. Szpiegdy tworzą tajne wiadomości, nie rozszyfrowują ich. Szyfry i kody są używane przez rządy tylko wtedy, kiedy istnieje

niebezpieczeństwo, że będą je czytać inne rządy. Ten szyfr, z którym mamy do czynienia, jest trudny w użyciu, prawda? Każdy list musi być zaszyfrowany ręcznie i za pomocą klucza, którego zastosowanie jest rzeczą bardzo żmudną. Dlaczego po prostu tego nie napisać i nie oddać królewskiemu posłańcowi?

Przez chwilę panowało pełne zadumy milczenie.

- Wiem, dlaczego - oznajmiła Mary Peg.

Spojrzeli na nią, starszy z zachwytem, młodszy z powątpiewaniem,

- Dlaczego? - zapytał Crosetti.

- Bo nie pracowali dla rządu. Spiskowali przeciwko królowi i jego polityce. Nie czytałeś w listach Bracegirdle'a o tej historii z katolicką żoną dla księcia i o tym, jak zamierzali sprawić, by król Jakub jeszcze bardziej zdecydowanie obrócił się przeciw katolikom? Moim zdaniem to było sedno sprawy. Zamierzali za jednym zamachem zniszczyć teatr i zdyskredytować prokatolicką politykę. Nie mogli dopuścić, żeby ktokolwiek z otoczenia króla odkrył, co knują, a więc zastosowali ten piekielny szyfr.

Zgodzili się po krótkiej dyskusji, że takie wytłumaczenie ma sens. Zwłaszcza Klim był pełen podziwu. Mary Peg skromnie przypisała swą przenikliwość irlandzkiemu wychowaniu, które nauczyło ją dostrzegać przebiegłość i perfidię Anglików. Na Crosettim również zrobiło to wrażenie, ale nie był zaskoczony, w końcu ta kobieta go wychowywała. Z satysfakcją też zauważył, że wzbudziła podziw agenta szkolonego przez KGB. W tym momencie wielki dzban czerwonego wina kalifornijskiego, który zainaugurował wieczór prawie pełny, był już prawie pusty. Rozmowa, nieco chaotyczna, znów skupiła się na filmie. Klim opowiedział parę anegdot o Kieślowskim, dostarczając Crosettiemu nieocenionego materiału do przyszłych dyskusji na temat kina, a z kolei Crosetti zapytał Klimę, co sądzi o Polańskim.

Mężczyzna westchnął znacząco i skubiąc w zamyśleniu czubek nosa, wyznał:

- Nie mogę go lubić. Nie jestem zwolennikiem nihilizmu, choćby w najpiękniejszym wydaniu.

- To trochę za surowa ocena, jak sądzę. Wcześniej wspomniał pan, że Zanussi jest dla pana zbyt religijny. Religia czy jej brak nie ma tu znaczenia. Polański to wielki reżyser. Potrafi opowiedzieć historię z pełnokrwistymi postaciami w

fantastycznym rytmie i nastroju. To tak, jakby pan powiedział, że ten, komu się podoba *Dziecko Rosemary*, opowiada się po stronie diabła.

- A nie jest tak?

Crosetti już szykował się do wyводу o czysto estetycznych walorach kina, ale to pytanie Klima, które, jak sądził, było czystą retoryką, powstrzymało go. Spojrzał na rozmówcę, aby się upewnić, czy mówi serio, i stwierdził, że spojrzenie jasnoniebieskich oczu jest z całą pewnością śmiertelnie poważne.

- Jeśli film czy jakiegokolwiek dzieło sztuki nie ma żadnej moralnej podstawy, to równie dobrze można by oglądać migoczące obrazki lub przypadkowe sceny. Nie określam owej podstawy, mówię tylko, że powinna być obecna. Pogański hedonizm jest absolutnie do przyjęcia jako podstawa moralna dzieła sztuki, jak to na przykład bywa w filmach hollywoodzkich. *Szczęście rodzinne*. *Romans*. To nie zawsze musi być... jak to się określa?... no, kiedy czarny charakter ginie, a bohater zdobywa dziewczynę...

- Melodramat.

- No właśnie. Ale nie może być tak, że nie ma niczego. Że jest tylko śmiejący się z nas diabeł. A w każdym razie nie jedynie.

- Dlaczego nie? Jeśli tak się postrzega świat...

- Bo wtedy sztuka się dławi. Ten diabeł nie daje nam niczego. On tylko bierze i bierze. Słuchaj, my, Europejczycy, postanowiliśmy w zeszłym stuleciu, że nie będziemy dłużej czcić Boga, zaczniemy natomiast czcić naród, rasę, historię, klasę robotniczą, co tylko chcesz, i w rezultacie wszystko uległo całkowitej ruinie. A wtedy oni, to znaczy artyści, powiedzieli: nie wierzymy w nic oprócz sztuki. Nie wyznawajmy żadnej wiary, to zbyt bolesne, wszystko zawodzi, ale sztuce ufamy i rozumiemy ją, więc wierzymy przynajmniej w nią. Ale sztuka też zdradza. I także bywa niewdzięczna wobec życia.

- Nie rozumiem.

Klim odwrócił się do Mary Peg z uśmiechem, który całkowicie przeobraził jego twarz; zobaczyła niewyraźny obraz człowieka, jakim był, kiedy znał Kieślowskiego.

- Nie spodziewałem się, że będę rozmawiał o takich sprawach. Czuję się zupełnie, jakbyśmy siedzieli w zadymionej kawiarni w Warszawie.

- Pójdę i zrobię parę grzanek - powiedziała Mary Peg. - Ale co miałeś na myśli?

- No więc... Polański. Miał koszmarne życie. Urodził się w niewłaściwym czasie. Jest Żydem, jego rodziców wywieziono do obozu zagłady, wychowywał się na ulicy. Odniósł sukces dzięki ciężkiej pracy i talentowi, ożenił się z piękną

kobietą, którą zamordował szaleniec. Dlaczego miałby nie wierzyć, że światem

rządzi szatan? Urodziłem się mniej więcej w tym samym czasie, nie jestem Żydem, ale życie nie było też lekkie dla Polaków. Naziści uważali nas za prawie ta kie samo zło jak Żydów, więc choć mój los był inny niż Polańskiego, należeliśmy

do tej samej kategorii ludzi. Ojca zamordowali hitlerowcy, matka zginęła w po

wstaniu warszawskim, znalazłem się na ulicy, opiekowała się mną siostra. Moje

pierwsze wspomnienia to płonący stos trupów i swąd palonych ciał. Nie wiem,

jak udało się nam przeżyć, chodzi mi o całe nasze pokolenie. Muszę też wspomnieć, że podobnie jak Polański straciłem żonę; nie zabił jej szaleniec, tylko choroba, trwało to miesiącami. Moje stosunki z władzami nie były wtedy najlepsze

i trudno było zdobyć dla niej morfinę. Ale nie mówmy o moich osobistych problemach. Chciałem tylko powiedzieć, że po wojnie, wbrew Rosjanom i Niemcom, rozejrzeliśmy się wokół i odkryliśmy, że wciąż jest w nas życie. Uczyliśmy się, kochaliśmy, mieliśmy dzieci. Warszawa została odbudowana, co do cegiełki, taka sama, jak była przed wojną. Miłosz dostał Nobla, Szymborska dostała Nobla, jeden z nas został papieżem. Kto by się tego spodziewał? A więc jeśli tworzymy, to nasza sztuka mówi najczęściej coś więcej niż tylko: „Ach, jaki jestem biedny, ile wycierpiałem! Diabeł rządzi światem, życie jest bagnem, nie można nic zrobić”. To miałem na myśli.

Crosetti próbował rozważyć jego słowa, lecz nie bardzo mu to wychodziło, bo był Amerykaninem, chciał robić i sprzedawać filmy. Pomyślał, że musi pojechać przynajmniej jako turysta do tego mrocznego kraju. Cierpienie, nihilizm, chichot szatana, cały ten sztafaż Polańskiego był niezbędną przyprawą, jak oregano, nie zaś czymś, z czego dałoby się zro-

bić potrawę. U Polaków podziwiał nieskazitelną formę, pracę kamery, sposób oświetlania twarzy, to, jak obiektyw potrafi tę twarz uchwycić.

Po chwili milczenia zaproponował:

- A może ma pan ochotę obejrzyć jakiś film?
- Tylko nie *Chinatown*, błagam! - zawołała Mary Peg.
- Nie, obejrzymy coś z moralnym przesłaniem oświadczył jej syn. - Urządzimy sobie festiwal filmów Johna Wayne'a.

I tak zrobili. Crosetti miał prawie pięćset płyt DVD z filmami i mnóstwo kaset wideo; zaczęli od *Dyliżansu*, potem przyszła kolej na najważniejsze dzieła w karierze Duke'a. Mary Peg zrezygnowała w połowie westernu *Nosiła żółtą wstążkę*, oparłszy głowę na ramieniu Klimy. Kiedy film się skończył, ułożyli ją na kanapie i przykryli pledem, a potem wyłączyli telewizor i wrócili do kuchni. Crosetti uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu jego matka przegapiła *Tonight Show*, i sprawiło mu to przyjemność, jakby zdobył jakąś cenną nagrodę.

- Chyba też się położę oznajmił Klim. - Dziękuję za niezwykle interesujący wieczór. Muszę wyznać, że zawsze lubiłem westerny. Są dla mnie bardzo kojące, jak kołysanka dla dziecka. Powiedz mi, co zamierzasz zrobić z tym szyfrem?

Crosettiego zaniepokoiła ta zmiana tematu; przypomniał sobie, jak ojciec mawiał, że to stary trik policyjny, który stosowano, aby wytraścić podejrzanego z równowagi.

- Nie wiem, co mogę z nim zrobić. Powiedział pan, że jest nie do złamania.

- Tak, ale... twoja matka opowiedziała mi całą historię, to znaczy tyle, ile mogła, stąd wiem, że zginął już człowiek. A teraz pomyśl: ludzie, którzy zabili profesora, nie wiedzą, że szyfr jest nie do odczytania. Załóżmy, że mają list Bracegirdle'a albo jego kopię. W tym liście jest wzmianka o innych dokumentach, zaszyfrowanych. Nie mają ich i pewnie zapragnęli je zdobyć. I jestem pewien, że wydobyli twoje nazwisko od człowieka, którego zamordowali. Przynajmniej jedna osoba, ta młoda dama, która była z tobą, kiedy je znalazłeś, wie, że szyfry istnieją. Zdążyła już zniknąć i przysłała list, który wydaje ci się podejrzanym i całkiem słusznie: każdy może napisać lub wymusić napisanie listu i wysłać go, skądkolwiek. Być może ta kobieta jest na sąsiedniej ulicy. Albo nie żyje.

Crosetti rozważał taką możliwość wielokrotnie i za każdym razem ją odrzucał. Carolyn mogła uciec - nie wiedział jeszcze przed czym. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że dziewczyna może być już martwa. W pewnym sensie zdawał sobie

sprawę, że jest to myślenie infantylne: ludzie umierali, ale nie Carolyn Rolly. Umiała przetrwać w ukryciu, a jego scenariusz wymagał, by się zjawiała i sfinalizowała sprawę z Albertem Crosettim.

- Ona żyje - powiedział, by usłyszeć ową magiczną formułkę i przekazać tę myśl Klimowi. - A w ogóle do czego pan zmierza?

- Do tego, że są w to zamieszani brutalni ludzie i nie ma żadnego powodu, by w następnej kolejności nie dobrali się do ciebie. Albo do twojej matki.

- Do mojej matki?

- No, tak. Bo gdyby była w ich rękach, oddałbyś im wszystko, czego by zażądali.

Crosetti mimo woli parsknął śmiechem.

- Jezu, Klim! Nie trzeba było pokazywać panu tych filmów z Wayne'em. Mogą sobie wziąć ten cholerny szyfr, choćby teraz. Zamieszczę w prasie ogłoszenie: „Bandziorów, którzy zakatrupili Bulstrode'a, informuję, że mogą odebrać zaszyfrowane listy w dogodnej dla nich chwili”.

- Tak, ale oni uznaliby to oczywiście za podstęp. Problem ze złymi ludźmi polega na tym, że w innych widzą tylko zło. To jedno z największych przekleństw złego człowieka: taki nigdy nie doświadcza dobra. Możesz mi wierzyć, bo prawdopodobnie widziałem więcej złych ludzi niż ty. Powiedz mi... twój ojciec był policjantem macie jakąś broń w domu?

Crosetti, słysząc to, otworzył usta, poczuł, jak narasta w nim histeria, ale szybko się opanował.

- Tak, mam jego pistolet. A o co chodzi?

- Bo kiedy ciebie nie będzie, muszę mieć jakąś broń.

- Co to znaczy: kiedy mnie nie będzie? Jak pójde do pracy?

- Nie, kiedy będziesz w Anglii. Musisz tam natychmiast wyjechać.

Crosetti otworzył szeroko oczy. Klim robił wrażenie absolutnie spokojnego, ale z pewnym typem szaleńców nigdy nic nie wiadomo. Może tak właśnie się zachowywał, gdy się upił. Crosetti sam miał porządnie w czubie i postanowił traktować tę rozmowę jak gadanie pijanego albo dyskusję z kolegami, kiedy się zastanawiali, jak zdobyć pieniądze na realizację filmu. Z przyklejonym do ust uśmiechem spojrzął na Klima.

- Dlaczego miałbym wyjeżdżać do Anglii, panie Klim?
- Z dwóch powodów. Po pierwsze, powinienes zniknąć. Po drugie, jeśli ci się uda, musisz ustalić, czego się dowiedział Bulstrode, kiedy tam był. I po trzecie, znaleźć siatkę.

- Aha. Cóż, to nie powinno mi zabrać zbyt wiele czasu. Pewnie pełno jest takich siatek w składnicach złomu. Ale najpierw się prześpię. Dobranoc, Klim.

- Dobrze, ale najpierw pokaż tę broń. Mogą przyjść dziś w nocy.

- O Boże, widzę, że to naprawdę poważna sprawa.

- Niezwykle poważna. Broń to nie żarty.

Crosetti osiągnął akurat tę fazę upojenia, kiedy człowiek jest fizycznie zdolny do działań, o jakich trzeźwy nie pomyślałby nawet przez sekundę („Hej, chłopaki, przejedźmy się pikapem po lodzie, z poślizgami!”), poszedł więc do sypialni matki i wyjął z szafy pudło z policyjnym ekwipunkiem ojca. Złota odznaka, kajdanki, notesy i dwa pistolety w skórzanych kaburach: Smith i Wesson model 10, klasyczna trzydziestka ósemka, jakiej używali wszyscy mundurowi w Nowym Jorku, zanim weszła do użytku broń półautomatyczna, i Chief's Special tego samego kalibru z dwucalową lufą, który ojciec nosił przy sobie, kiedy został detektywem. Było tam też opróżnione do połowy pudełko amunicji; wyjął je i załadował oba pistolety na dębowym biurku matki. Włożył Chief's Special w kaburze do kieszeni i wyszedł z pokoju z modelem 10 w dłoni.

- Zakładam, że umie się pan tym posługiwać powiedział, wręczając pistolet Klimowi. - Proszę nie strzelić sobie w stopę. Albo do mamy.

- W porządku - przytaknął Klim, ważąc pistolet w dłoni, jakby to był funt kielbasy.

Ku zadowoleniu Crosettiego nie sprawdził muszki i nie położył palca na spuście.

- To pistolet Johna Wayne'a. Cały świat wie, jak z niego strzelać.

- To nie takie proste.

- Żartowałem. Przeszedłem porządne szkolenie w posługiwaniu się bronią.

- Świetnie. Teraz niech pan uderzy w kimono.

- Przepraszam, co mam zrobić?

- To takie powiedzonko. Ja idę spać.

Tak też zrobił; obudził się dziesięć po czwartej nad ranem, przekonany, że to był tylko sen, w którym dał załadowaną broń prawie obcemu człowiekowi. Wskoczył z łóżka i sięgnął po spodnie wiszące na kłamec; wyczuł ciężar drugiego pistoletu tkwiącego w kieszeni. Zaklął po cichu, wyjął spluwę i ruszył w stronę matczynej sypialni, ale się rozmyślił. Mary Peg zawsze budziła się w nocy, jeśli wcześniej zasnęła przed telewizorem, a on wołał sobie nie wyobrażać, co pomyśli na widok syna wymachującego bronią. Włożył więc pistolet do brezentowej torby, z którą chodził do pracy, i wrócił do łóżka. Spał niespokojnie, pojękując w krótkich chwilach przytomności na wspomnienie ostatniego dowodu swojej bezdennej głupoty.

Rano zszedł na śniadanie późno, w nadziei, że będzie mógł ograniczyć kontakty z resztą domowników do towarzyskiego minimum. Kiedy wszedł do kuchni, matka już tam była, kompletnie ubrana i umalowana, a Klim w swoim tandetnym garniturze siedział przy stole. Rewolweru nigdzie nie było widać. Mary Peg smażyła jajka na bekonie i prowadziła ożywioną rozmowę ze swoim gościem. Wybierali się na przejażdżkę, może na Long Island, planowali lunch w plenerze, zapowiadał się słoneczny dzień, niezbyt zimny, i tak dalej. Ta przyjazna pogawędka tylko pogłębiła w Crosettim depresję i poczucie winy. To gorące śniadanie było oczywiście z powodu Klimy, bo zwykle jedli płatki kukurydziane i pili kawę. Crosetti przez grzeczność przełknął parę kęsów. Odczekawszy dla przyzwoitości parę minut, złapał płaszcz i aktówkę, po czym wybiegł z domu.

Pomyślał, że skoro praca nad szyfrem utknęła w martwym punkcie, musi zapytać, kiedy Klim się wyprowadzi, ale postanowił, że tego nie zrobi, gdyż uznano by to za nietakt. Matka była we własnym domu i mogła się zadawać, z kim chciała. Nawiasem mówiąc, dlaczego on wciąż z nią mieszkał? Było to śmieszne i niestosowne, do diabła z oszczędzaniem na szkołę filmową! Carolyn Rolly obmyśliła wyjście z beznadziejnej sytuacji, a miała znacznie mniej środków niż on (co mu udowodniła). Postanowił dokonać radykalnej zmiany. Znał pewnych ludzi w Williamsburgu i na Long Island, którzy mieszkali razem w squatach; wszyscy byli jego rówieśnikami i mieli bzika na punkcie filmu i muzyki. Musiałby wprawdzie dokładać się do czynszu, ale może mógłby zapomnieć na chwilę o szkole filmowej, może

zdołałby wysmażyć jakiś scenariusz i uzyskać na tej podstawie stypendium albo może zacząłby wysyłać scenariusze na konkursy. Zaprzętał sobie głowę myślami, które nie dotyczyły broni ani śmiertelnego zagrożenia ze strony nieznanych ludzi, i metoda ta zdawała egzamin, dopóki nie podniósł torby, przechodząc przez bramkę w metrze. Szczęk metalu ocierającego się o drążek uświadomił mu, że wciąż ma przy sobie rewolwer.

TRZECI ZASZYFROWANY LIST

Wielmożny Panie, nic się na razie nie zmieniło od mojego ostatniego listu, bo cała kompania jest zaangażowana w teatrze Globe i upraszam, żeby Wasza Lordowska Mość nie denerwował się, jeśli będę pisał rzadziej, bo szyfrowanie jest żmudne, tak jak żmudne być musi dla Waszej Lordowskiej Mości odczytywanie listów. Mniemam jednak, że nasz plan rozwija się pomyślnie. Skończywszy sztukę „Burza” z bliskim początkiem lata, W.S. udał się do Stratfordu nad Avonem, jak to miał w zwyczaju od wielu lat, i zażył sobie, bym jechał z nim i zatrzymał się w jego domu. A zatem wyjechaliśmy z Londynu piątego czerwca, w towarzystwie kilku kupców bławatnych i Spade'a jako ochrony. Na miejsce przybyliśmy ósmego czerwca i zostaliśmy powitani z wielką radością przez rodzinę pana S.: jego żonę i dwie córki, starszą Zuzannę i młodszą Judytę, a także innych mieszkańców miasta, jako że W.S. jest teraz człowiekiem majątynym, a jego domostwo w New Place bardzo przestronne. Ale ceną grzechu jest śmierć.

W.S. znowu ukazał się jako człowiek fałszywy i niegodziwy, bo gra całkiem kogoś innego w Stratfordzie niż w Londynie, mówi językiem prostym, na tutejszą modłę, jak zwykły mieszkaniec, mówi zir zamiast sir i inne takie, nie rozprawia o teatrze ani o swoim życiu żadnych sprośności, chociaż folgował sobie w tym względzie w piwiarniach Londynu. Żona, typ sekutnicy, karci go, że utrzymuje dziewczki i nie przysyła dość pieniędzy na utrzymanie, a on się nie odzywa, tylko zaciska zęby. W istocie, utrzymuje dziewczkę, śpiewaczkę z Italii, myślę, że Żydówkę, bardzo czarną, widziałem ich w łożu ze trzy albo cztery razy, ale nie chęłpi się nią przed innymi, jest skrytym człowiekiem w tym względzie ani nie bywa w domach rozpusty. Wszystkie jego rozmowy obracają się tutaj wokół zakupu ziemi, dzierżawy, pożyczek pod zastaw etc.

Wszakże przebywając ze swoją córką Zuzanną, jest wyraźnie weselszy i jej towarzystwa najczęściej szuka. Ma ona więcej rozumu, niż zwykle mają białogłowy tak się tu przynajmniej mówi. Jest żoną Johna Halla, medyka, purytanina o dobrej reputacji. O religii nie rozprawiają, co podejrzane, bo któż o tym nie rozmawia, jeśli jest człek uczciwy i prawdziwej wiary? Chodzą do kościoła i nie płacą grzywny chociaż mówi się tu, że ojciec często grzywnę płacił i jest przeklętym i zatwardziałym papistą, co w nabożeństwach nie uczestniczy, także i matka. Szukałem potajemnie w całym domu kryjówek dla księży katolików, ale żem nie naszedł żadnej.

W.S. bardzo swobodny w rozmowach ze mną i tylko ze mną mówi o teatrze, sztukach i zamówionej (tak myśli) dramie o królowej Maryi, którą ma do napisania, ale przez wiele dni, kiedy tu jesteśmy nie pisał wcale albo tylko niewiele w swoim małym kajeciku. Często wyjeżdżamy za miasto i ja ze swym nowo wynalezionym przyrządem pomogłem mu wykreślić mapę skrawka ziemi w pobliżu Rowington, o który spiera się ze swym sąsiadem, i wielce go tym ukontentowałem. Żona jego, chociaż niemłoda, żywa jest i wszystkim zarządza, jej rachunki wielce nieporządne (zerknąłem do nich ukradkiem), a jednak zna ona każdą piędź ziemi, którą dzierżawią, i wie, gdzie leży najmniejsze poletko. Młodsza córka nie cieszy się przychylnością, jest niezamężna i nie widać, by miało się to zmienić; nie lubi mnie i nie wiem dlaczego, bo traktuję ją z największą atencją. Alem podsłuchał pod drzwiami gadaniny służby i słyszę, że zazdrosna o swoją starszą siostrę, że ojciec kocha tamtą bardziej, tak przynajmniej myśli; był też niegdyś syn, jej brat bliźniak, który zmarł przed paru laty, i W.S. wolałby, żeby to ona umarła, a zdaje się, że jestem w tych latach co ten zmarły chłopiec albo trochę młodszy dlatego też mnie faworyzuje i córka nienawidzi mnie za to. Tak mówią, a czy to prawda, czy nie, przekonamy się później, ale jeśli prawda, to, jak myślę, przysłuży się naszej sprawie.

Uniknąłem niebezpieczeństwa i teraz o tym opowiem. Wieczorem przyszedł do mojej izby w jego domu, a ja akurat szyfrowałem ze swoją siatką, i zapytał

mnie, co takiego robię. Bardzo mnie to zbiło z tropu, jednak dzielnie odpowiedział, że czytam Pismo Święte. Zapytał, co to za metalowa płytka, odrzekłem, że to zrobiona na pamiątkę kopia latarni, która zdobi kryptę, gdzie leży moja matka. Potem zapytał: Czy jesteś też poetą, Dick, bo widzę, żeś szybko ukrył to, co piszesz, gdym wszedł, jak to robią niektórzy poeci, wśród nich ja sam. Nie, kuzynie, odpartem, to tylko takie matematyczne obliczenia z nudów. Ho, ho, powiedział, Pismo Święte i liczby zarazem, jesteś niezwykły, nic dziwnego, że w twojej czaszce brak miejsca na koncept. No i wyszedł, zostawiwszy mnie.

A oto jego tajemnica, którą odkryłem: w niedzielę jest jego zwyczajem po nabożeństwie wsiąść na koń i wyjechać z miasta z towarzyszem swoim Spade'em. Mówi, że jeżdżą po pobliskim Lesie Ardeńskim. Którejś niedzieli wzięłem konia i pojechałem za nimi przez las na północny zachód, przez dolinę pięć mil to być musiało albo i więcej. Znalazłem się na wzniesieniu i zobaczyłem nieopodal zamek Warwick i jego wieże. Dojechałem do ich koni i też zsiadłem, i poszedłem za nimi ścieżką przez las. Po niejakiem czasie dotarłem do ruin starego opactwa czy też rzymskokatolickiej świątyni zamkniętej po śmierci króla Henryka, gdzie klęczało wielu ludzi i odmawiało różaniec. I był tam człowiek, bez wątpienia papieski kapłan z kielichem, i mamrotał po łacinie. W.S. też tam był wśród nich wszystkich. Przyglądałem się i słuchałem, potem ludzie zaczęli się rozchodzić i W.S. wdał się w rozmowę z księdzem. Odważyłem się podejść bliżej, żeby usłyszeć ich diabelskie knowania, kiedy ktoś mnie chwycił od tyłu i wielka łapa zamknęła mi usta. Potem wielki ciężar przygniótł mnie do ziemi i poczułem na policzku ostrze i głos powiedział: Leż cicho albo umrzesz. I tak to trwało chwilę, potem mnie podnieśli i zobaczyłem, że jest tam W.S. i że to Spode mnie obalił, a teraz stoi z obnażonym sztyletem.

Rzecz W.S.: Dick, dlaczego skradasz się w mroku, dlaczego nie przyjdiesz na mszę, jesteś przecież dobrym katolikiem, czyż nie? A ja odpowiedziałem: Sir, bałem się, czy to nie jakaś pułapka zastawiona przez prześladowców, żeby zyskać nazwiska tych, co uczęszczają na mszę świętą, jak to się często robi w tych

czasach. Nie, powiada on, to tylko poczciwi ludzie wiejscy którzy są wier-
ni starej religii. I ty wśród nich, powiadam. Częściowo, rzecze on, bo je-
stem wiernym poddanym Króla i muszę też pokazać twarz w niedzielę,
gdzie władza tego wymaga. Na co ja pytam: I nie wierzysz? To, mówi on,
sprawa Boga, a nie takich jak ty czy Króla, żeby to wiedzieć, alem cho-
ciaż kalwin i wszyscy biskupi mówią, że nie mogą się modlić za dusze
swoich rodziców i synka, ja jednak to robić będę. Jeśli zostaną potępiony,
pójdę dopiekkła. I mówi to z ogniem w oczach. Potem rzecze z uśmiechem:
Chodź, pokażę ci coś, co cię zadziwi, ty zaś, zacny Spade, schowaj sztylet,
to przyjaciel.

Tak więc poszliśmy po starych kamieniach przez ruiny opactwa, poro-
słe całe paprocią i drzewkami; było to opactwo Świętego Bosa, biskupa
Yorku, jak mi powiedział, gdyśmy szli, kiedyś siedziba świętych siostrzy-
czek. Pokazywał mi różności, tu kaplica, tu klasztor, i na koniec przyszli-
śmy do kamiennego kręgu w środku większego czarnego koła. To jest
święta studnia Bosy, mówi, i wsłuchaj się dobrze, i wrzuca kamyk, któren
spada długo, zanim dobiega bardzo słaby plusk. Tak głęboko, zdziwiłem
się. Jeszcze jak głęboko, mówi on, powiadają, że żaden człowiek nigdy jej
nie zmierzył. W dawnych czasach dziewczki zbierały się tutaj w dniu świętej
Agnieszki, wyciągały wiadro wody i patrzyły w nią, żeby zobaczyć twarz
przyszłego męża. Ale już się nie zbierają, bo Bóg jak się nas teraz uczy,
nie lubi uciechy, nie lubi żartów ani muzyki, ani wspaniałych widowisk,
ani żadnej pięknej rzeczy, nie lubi też dobroczynności, ale chce, żebyśmy
drżeli w surowych, szarych izbach, ubierali się jak żałobnicy, a bladolicy
kapłan mruczy monotennie, że jesteście potępieni, skazani napiętko. Po-
tem roześmiał się, klepnął mnie w ramię i powiedział: Koniec z tą sek-
ciarską gadką, bo teraz jedziemy do domu, będziemy ucztować, pić i grać
w młynek jak ludzie prości.

Tak też zrobiliśmy, a po biesiadzie wyszliśmy na murawę całą rodziną
i Spade wyciął swoim sztyletem kilka płatów darni, żeby zrobić planszę, i
rozpoczęła się gra. Powiedziałem, że jej nie znam, i W.S. na to, że co, nie
znam gry w młynek? Grałeś przecież w gry głębsze niż święta studnia
Bosy, zmyślny kuzynie.

Pytam go, co ma na myśli, i on mówi, no wiesz, myślę tylko o grach w Londynie, karcianych, takich jak pinero i gleake. Ale wiem, że co innego miał na myśli.

Tej nocy świeca w jego izbie paliła się do późna, słyszałem, jak chodzi tam i sam, i kiedyś nadstawił ucha, doszedł mnie skrzyp pióra i szelest papieru, przeto myślę, że zabrał się do pisania sztuki o Maryi. Panie, proszę mnie, abym podejrział w jego papierach i zobaczył, co napisał, i spróbuję to uczynić. Ale on jest taki skryty ze swoimi papierami i nikomu nie pozwala tam zaglądać, dopóki nie skończy.

Modłę się, Panie, o zdrowie Twoje i pomyślność Twego domu, ze Stratfordu nad Avonem, 19 czerwca 1611, Twój uniżony sługa

Richard Bracegirdle

W przerwach między snem, posiłkami i sporządzaniem niniejszych zapisków czytam sobie teraz Szekspira. Mickey ma tu oczywiście Riverside, nie mówiąc o wszelkiego rodzaju materiałach uzupełniających, leksykonach, pracach krytycznych i tak dalej. Czy mam niby ptaszek dodawać swoje gówienko na szczyt Everestu? Myślę, że nie, choć przyznam, że dzięki Bracegirdle'owi spojrziałem na faceta nieco inaczej. Jak już wspominałem, miałem do czynienia z różnymi twórcami i istotnie dostrzegłem w nich tę samą osobliwą nijakość, jaką nasz Dick zaobserwował u W.S. Rozmawia się z człowiekiem, załatwia sprawy i tak dalej, ale ma się wrażenie, że rozmawia się nie z normalną osobą, tylko z jakąś wymyśloną przez nią fikcyjną postacią. Mam tu na myśli tylko pisarzy; muzycy są całkiem inni, jak wielkie, kudłate dzieci.

Tak się złożyło, że następnego ranka, jak informuje mnie mój mały dziennik, spędziłem z muzykiem, którego nazwisko bez wątpienia znacie, jeśli podrygiwaliście w rytmie rocka w latach osiemdziesiątych. Koleś ten napisał muzykę i słowa do co najmniej piętnastu kawałków, które weszły do pierwszej dwudziestki listy przebojów, i (nie zadbawszy o skonsultowanie się z dobrym prawnikiem) przeniósł prawa

na te piosenki na swoją firmę płytową, za co drań będący właścicielem firmy wypłacił mu zaliczkę w wysokości jakichś dwudziestu pięciu tysięcy. I, cholera, łajdak cykał mu jakieś drobne, muzyk zaś zyskał tymczasem sławę, zaliczał trasy koncertowe, zarabiał coraz więcej forsy i świecił na firmamencie przez dwadzieścia lat, choć zespół dawno się rozpadł, a wraz z nim rozproszyły się tłumy fanów. Piosenki jednak stały się klasykami, chodziły we wszystkich amerykańskich stacjach ze starymi hitami, a drań z firmy płytowej sprzedawał wielkim korporacjom medialnym wszystko, do czego miał prawa, za sumę bliską miliarda dolarów. I co miał z tego mój muzyk? Ani centa, podobnie jak z emisji swoich kawałków w tych niezliczonych stacjach radiowych, ponieważ, czego praktycznie nikt nie rozumie, jeśli w radiu czy w telewizji puszczają piosenkę, to artysta, który ją wykonuje, nie ma z tego nic. Tylko właściciel praw zgarbia tantiemy.

Zasiadłem więc z przedstawicielami megakorporacji do rozmów i choć przyznali, że mój klient został wycykany, to przecież zainwestowali majątek w coś, co jest zasadniczo towarem, i fakt, że ten towar pochodzi z trzewi i serca mojego klienta, nie ma tu nic do rzeczy. Muzyk przyjął to, muszę przyznać, całkiem dzielnie. Wyszczrzył tylko zęby i wyraził zdumienie, że wymyślił coś, co przeobraziło się w olbrzymi majątek, na którym bazowało teraz potężne imperium komercyjne, i że on musi się zadowolić tym, że dostarczył tak wielkiej przyjemności tylu ludziom. Jak wspomniałem: duże, kudłate dzieci.

W przeciwieństwie do Szekspira, który zawsze dbał o odpowiedni zarobek. To prawda, sprzedał *Hamleta* za dziesięć funtów, co dziś trzeba pomnożyć przez jakieś czterdzieści, ale sprzedał go sobie, jako że był akcjonariuszem kompanii teatralnej, która sztukę zakupiła, i prawdopodobnie zarobił znacznie więcej, kiedy Dick Bracegirdle został jego rachmistrzem.

Uciekam w dygresje, bo to, co ma nastąpić, jest bardzo bolesne.

Po spotkaniu z kudłatym dzieciakiem pojechaliśmy z Edem Gellerem i Shelly Grossbart załatwiać z bandą prawników kurewsko trudną i złożoną sprawę; takie rzeczy zdarzają się często w dzisiejszych czasach, kiedy jedna firma medialna kupuje inną. Zabrali mnie ze sobą, ponieważ wiem sporo o zagranicznym prawie autorskim, a zagłębianie się w te kwestie jest bardzo nużące. Nie byłem jednak w najlepszej formie; cały czas myślałem o swojej zaginionej Mirandzie i o tym biednym

głupku muzyku. Nikt z zasiadających przy długim, wypolerowanym stole nie był kudłaty, nikt też nie stworzył niczego, co normalny człowiek chciałby zobaczyć albo usłyszeć. Ktoś poruszył kwestię dzwonek polifonicznych oraz stanowiska Unii Europejskiej w tej sprawie i Ed spojrział na mnie, bo pracowałem nad tym zagadnieniem intensywnie, ale zacząłem coś bełkotać i okazało się, że moja odpowiedź jest błędna. Musiała mnie wyręczyć Shelly, co zrobiła ze sztucznym ożywieniem.

W każdym razie byłem poza swoim biurem, kiedy zadzwonił telefon, jak się później okazało fatalny. Pani Maldonado nie zostawiła zwykłej drukowanej wiadomości na różowej karteczce w moim koszyku, tylko żółtą notkę pod lampą na biurku, co czyni zwykle wtedy, gdy ktoś telefonuje, a my nie chcemy odebrać. Na ogół oznacza to, że dzwoniła kochanka (choć kochanki rzadko dzwonią do mnie do pracy), ale dziś było inaczej. Podszedłem do pani Maldonado, machając w jej stronę karteczką; wyjaśniła, że dzwoniła Miranda Kellogg z Toronto. Natychmiast wybrałem zapisany numer - zgłosiła się poczta głosowa w Ministerstwie Edukacji i uzyskałem informację, że Mirandy Kellogg nie ma w pracy; czy chciałbym zostawić wiadomość? Używali znajomego systemu z nagrany fabrycznie uprzejmym komunikatem; tylko nazwisko abonenta zostało prawdopodobnie nagrane przez niego samego. Głos był przyjemny, lecz go nie zidentyfikowałem. Zaczęło mi burczeć w brzuchu ze zdenerwowania; nie zostawiłem wiadomości.

Potem zadzwoniłem na policję i umówiłem się z detektywem Murrayem, że udostępni mi akta śledztwa w sprawie Bulstrode'a.

Posłałem po nie Omara i czekając, wybrałem trzykrotnie numer w Toronto. Za trzecim razem dopisało mi szczęście: ktoś podniósł słuchawkę i usłyszałem jakiś nieznamy głos, niższy i bardziej flegmatyczny od głosu osoby, którą już zaczynałem nazywać „swoją” Mirandą. Powiedziałem nieznamym, kim jestem, i zapytałem, czy rozmawiam z siostrzenicą zmarłego profesora B., na co odpowiedziała, że tak i że właśnie dowiedziała się o jego śmierci, bo dopiero niedawno wróciła do Toronto. Była w Himalajach, gdzie nikt nie mógł się z nią skontaktować. W Himalajach? Tak, to nadzwyczajne; ktoś zadzwonił do niej pewnego wieczoru i zawiadomił ją, że wygrała wycieczkę krajoznawczą. Miała do wyboru Nepal, Tahiti lub Kenię, a ponieważ zawsze chciała zobaczyć Indie i Nepal, więc zdecydowała się na

tę pierwszą opcję. Początkowo myślała, że to jakiś żart, ale okazało się, że nie; następnego dnia otrzymała przesyłkę z biletami lotniczymi i wszelkimi dokumentami, musiała jednak polecieć jeszcze w tym samym tygodniu, bo w przeciwnym razie rzecz stanie się nieaktualna. Zapytałam ją, kiedy to było, powiedziała, że jakieś sześć, siedem tygodni temu, to znaczy na początku października, tuż przed powrotem Bulstrode'a do Stanów. W każdym razie przeczytała zaraz po przylocie do kraju o śmierci wuja i pomyślała, że powinna zadzwonić, choć przypuszczała, że ciało zostanie przesłane do Oksfordu i odebrane przez Olivera. Dodała też, że nie sądzi, by stary wuj zostawił jakieś pieniądze, bo biedak był splukany, ale czy mógłbym zatelefonować, kiedy zapoznam się z testamentem? Przypuszczała, że większa część tego, co posiadał, dostanie się Oliverowi, z wyjątkiem należącego kiedyś do jej babci wisiora, który jej swego czasu przyrzekł. Obiecałem, że zadzwonię, i odłożyłem słuchawkę, która ześlizgnęła się na widełki wilgotna od mojego potu.

Natychmiast połączyłem się z naszym wydziałem prawa spadkowego i zostawiłem pilną wiadomość dla Jasmine Ping. Spociłem się jeszcze bardziej i próbowałem się skoncentrować na zagadnieniach własności intelektualnej, ale nie mogłem, choć musiałem napisać odpowiedź w omawianej rano sprawie fuzji firm, przypominającej pożeranie Rodana przez Godzillę. Niestety, słowa nie trafiały do stosownych zakątków mózgu. A potem przyszedł Omar, niosąc dwa wielkie pudła pod pachami; przetrząsałem je natychmiast i znalazłem kopię prawdziwego testamentu Bulstrode'a, nie tę fałszywkę, którą pokazała mi moja Miranda. Tak jak przypuszczała prawdziwa Miranda, profesor zapisywał wszystkie materialne dobra Oliverowi Marchowi, wieloletniemu towarzyszowi życia, z wyjątkiem różnych drobiazgów dla konkretnych osób. Stwierdziłem z zadowoleniem, że prawdziwa Miranda dostanie swój wisior. W pudle było także małe, oprawione w skórę zdjęcie profesora Bulstrode'a z młodszą kobietą, która odznaczała się przysadzistą, nieco żabią sylwetką, będącą prawdopodobnie cechą rodzinną Bulstrode'ów. Pomyślałem, że to jest pewnie *echt* Miranda.

Panna Ping zastała mnie na podłodze pośród rozrzuconych papierów. Bez słowa podałem jej testament, a potem podzieliłem się z nią swoimi podejrzeniami. Usiadła i zagłębiła się w dokument; to było interesujące - przypatrywać się, jak jej

nieskazitelna porcelanowa twarz przeobraża się w maskę demona z rodzaju tych, jakie widuje się na festiwalach chińskich tańców ludowych. Nie jest rzeczą korzystną dla specjalisty od prawa spadkowego przedstawianie sądowi sfalszowanego testamentu. Jasmine rzuciła kilka gorzkich uwag na temat moich romansów, myślę, że trochę niesprawiedliwie, ale nawet się nie broniłem. Chciała wiedzieć, jak mogłem do tego dopuścić, i wyraźnie sugerowała (była zbyt grzeczna, żeby użyć takiego języka), że chyba sperma rzuciła mi się na mózg. Oświadczyła, że należy poinformować o sprawie moich partnerów z kancelarii; przyznałem jej absolutną rację. Zażądała ode mnie zapewnienia, że nie dopuściłem do przejęcia przez oszustkę jakiegokolwiek części majątku przed urzędowym zatwierdzeniem testamentu, i tu musiałem wyznać, że pewna wartościowa rzecz w istocie zniknęła razem z oszustką. Wyjaśniłem, jaka to rzecz, Jasmine zaś poinformowała mnie o czym już wiedziałem - że gdyby prawdziwy spadkobierca chciał z tego zrobić aferę i gdyby zainteresował się tym sąd, zostałbym oskarżony o popełnienie przestępstwa grożącego wydaleniem z palestry. W każdym razie nie mógłbym prowadzić żadnej sprawy związanej z majątkiem Bulstrode'a. Spojrzała na porozrzucane papiery wzrokiem niezbyt przyjemnym i pełnym niesmaku, jak gdybym szperał w pozostawionym przez zmarłego dobytku, licząc na jakąś przeoczoną skarbonkę. Bez dalszej dyskusji zadzwoniła do szefa kancelarii, mówiąc, że trzeba jak najszybciej wynieść pewne dokumenty. Kiedy z nim rozmawiała, udało mi się wsunąć notatnik Bulstrode'a pod biurową sofę.

Przyszli dwaj krzepcy tragarze, załadowali papiery i wynieśli pudła. Kiedy tylko zostałem sam, wyciągnąłem notatnik i przekartkowałem go pośpiesznie, przeglądając zapiski z ostatnich tygodni poprzedzających śmierć Bulstrode'a. Znalazłem to, czego szukałem: pod datą dwudziesty czwarty lipca, godzina jedenasta trzydzieści, zanotowano: „Rkp. Sz.? Carolyn R. Crosetti”. To musiało być to: fałszywa Miranda wspominała kiedyś o niejkiej Carolyn, która była zamieszana w sprawę, no i jeszcze to „Rkp. Sz.”. Carolyn R. Crosetti musiała być osobą, która sprzedała manuskrypt, albo agentką tejsze. Popędziłem do sekretariatu, skserowałem odpowiednią stronę, dałem pani Maldonado notatnik, mówiąc, że to część materiałów do sprawy Bulstrode'a, w jakiś niepojęty sposób przeoczona, i poleciłem jej, żeby niezwłocznie przekazała notes pani Ping. Myślę, że było to pierwsze rozmyślnie

kłamstwo, jakim poczęstowałem panią M., i zarazem jeszcze bardziej dobitna oznaka mojej degrengolady niż pomyłka z testamentem i pogarda ze strony Jasmine. To okropne, po prostu okropne, kiedy prawnik zaczyna okłamywać swoją sekretarkę.

Nazwisko Crosetti nie jest na szczęście szczególnie pospolite. Po przewertowaniu książki telefonicznej centrum Nowego Jorku i jego przedmieść znalazłem tylko dwadzieścia osiem osób o takim nazwisku, ale nie Carolyn R. Crosetti. Wróciłem do biura ze skopiowaną listą i zacząłem wybierać numery na swojej komórce. Oczywiście o tej porze tylko ludzie starsi lub chorzy byli w domu, a nie chciałem zostawiać zbyt wielu wiadomości na sekretarkach. Z jakichś niejasnych dla samego siebie powodów zacząłem od przedmieść i przechodziłem stopniowo do śródmieścia. Byłem przy Queens, gdy zajrzała do mnie pani M. i powiedziała, że chce się ze mną natychmiast widzieć pan Geller. Skinąłem głową i dalej wybierałem numery. Po wysłuchaniu licznych sekretarek i milczących telefonach usłyszałem głos kobiety, która mówiła gardłowym nowojorskim akcentem z warstewką kulturalnego nalotu. Zapytałem ją, czy zna może Carolyn Crosetti, na co odparła, że zna prawdopodobnie wszystkich Crosettich z nowojorskiego obszaru statystycznego i że taka osoba nie istnieje. Po krótkiej pauzie roześmiała się i dodała:

- Chyba, że mój syn się ożenił i nie powiedział mi o tym.
- Z kim? - zapytałem.

Znów pauza i po chwili bardziej oficjalnym głosem:

- A kto mówi?

W tym momencie spojrzałem na kartkę z notesu Bulstrode'a i zorientowałem się, że popełniłem drobną pomyłkę. Bulstrode bazgrał niedbale, „lekarskim” pismem i jego notka o spotkaniu dwudziestego czwartego lipca wyszła poza kreskę oddzielającą ten dzień od poprzedniego. A więc to nie było „Carolyn R. Crosetti”, lecz

Carolyn R.

A. Crosetti

Postanowiłem odpowiedzieć swojej rozmówczyni na wpół szczerze i przedstawiłem się:

- Nazywam się Jacob Mishkin, dzwonię z kancelarii adwokackiej Geller Linz Grossbart and Mishkin. Jestem prawnikiem, zajmuję się spadkiem po profesorze Bulstrodzie i próbuję prześledzić pewną transakcję, jakiej dokonał profesor w lipcu. Znalazłem w jego notesie zapisek o spotkaniu z A. Crosettim i Carolyn R. Czy pani coś o tym wiadomo?

- Owszem - odpowiedziała kobieta. - Albert Crosetti to mój syn. Chodzi, jak przypuszczam, o manuskrypt?

Słyszając te słowa, poczułem nagłą ulgę.

- Tak! Właśnie! - wykrzyknąłem i zabrakło mi słów, bo nie wiedziałem, czy rozmawiam z matką złodzieja, ofiary czy łajdaka?

- No i... ? - zapytała kobieta.

- Nie rozumiem...

- Czy sąd zamierza jakoś wynagrodzić straty poniesione przez mojego syna, którego pański zmarły klient nakłonił nikczemnym podstępem do sprzedaży cennego siedemnastowiecznego manuskryptu za psie pieniądze?

A więc ofiara.

- To jest oczywiście sprawa do dyskusji, pani Crosetti - powiedziałem.

- Mam nadzieję.

- Powinniśmy się spotkać.

- Mój prawnik skontaktuje się z panem. Do widzenia, panie Mishkin.

Chciałem natychmiast zadzwonić do niej jeszcze raz, ale teraz drzwi mojego gabinetu zablokowała masywna, wojownicza sylweta Eda Gellera. Na papierze wszyscy partnerzy kancelarii Geller Linz Grossbart i Mishkin są równorzędni, ale, jak to często bywa w takich firmach, władza przechodzi do tego, kto jej najbardziej pragnie, a w przypadku naszej kancelarii tym spragnionym był Ed i to on najczęściej stawiał na swoim. Poza tym wraz z Martym Linzem byli założycielami, a zatem partnerami równiejszymi. Ed aż podrygiwał z wściekłości, pewnie dlatego, że wezwany nie przyszedłem natychmiast, przez co teraz musiał rozmawiać ze mną na stojąco, a nie zza swojego biurka, które stoi na podwyższeniu, otoczone fotelami, w których człowiek głęboko się zapada. Wolałem nie wstawać, by nie górować nad nim wzrostem.

- Pewnie rozmawiałeś z Jasmine? - zacząłem.

- Owszem, rozmawiałem - odparł. - I czy mógłbyś mi łaskawie powiedzieć, co się tu, do jasnej cholery, dzieje?

- To tylko nieporozumienie, Ed. Jestem pewien, że wszystko się szybko wyjaśni.

- Aha. Więc nie przywłaszczyłeś sobie pewnej wartościowej części masy spadkowej swego klienta i nie przekazałeś jej swojej przyjaciółce?

- Nie, padłem ofiarą oszustwa. Pewna kobieta przedstawiła się jako spadkobierczyni majątku Bulstrode'a, pokazując mi testament, który wyglądał na autentyczny. ..

- Czy to my go sporządziliśmy?

- Nie. Przypuszczałem, że został znaleziony po śmierci Bulstrode'a wśród jego rzeczy osobistych. Ja... to znaczy byliśmy zaangażowani w sprawę tylko w ograniczonym zakresie: chodziło o oddanie w bezpieczny depozyt pewnego dokumentu, pomoc w ustaleniu jego statusu, a także wyjaśnienie kwestii praw autorskich do niego i do innych podobnych dokumentów, jakie mogą się z nim wiązać.

- Wiązać? W jaki sposób?

Zaczerpnąłem powietrza.

- Chodziło o siedemnastowieczny dokument sporządzony prawdopodobnie przez człowieka, który znał Williama Szekspira. Oprócz tego, że miał wartość naukową, zresztą dużą, zawierał też sugestię, że istnieje nieznaną sztukę Szekspira w rękopisie, i dostarczał pewnych wskazówek, gdzie należałoby jej szukać.

Ed jest bardzo dobrym prawnikiem procesowym, o czym chyba już wspominałem, a dobry prawnik procesowy nie okazuje nigdy zaskoczenia. Ale teraz rozdziawił usta.

- Ja pieprzę! I to było poświadczane jako autentyk?

- Nie wiadomo, ale Bulstrode uważał, że to autentyk, a był on jednym z najwybitniejszych ekspertów w tej dziedzinie.

- I ta rzecz, ten siedemnastowieczny dokument, jest teraz w rękach tej twojej panienki oszustki?

- Nie nazwałbym jej tak. Zgadza się, jest w jej rękach.

Przeciagnał dłonią po swoich wszczepionych włosach.

- Nie rozumiem. Jak mogłeś być tak głupi? Chwilę, nie odpowiadaj! Dymałeś tę panienkę.

- Chcesz usłyszeć całą historię, Ed?

- Owszem, chcę. Ale chodźmy najpierw do mojego gabinetu.

Tak to mniej więcej wyglądało plus jeszcze więcej obscenicznych wyrażonek. Ed należy do prawników, którzy utożsamiają twardość charakteru ze swobodnym użyciem dosadnego języka. Podczas tego krótkiego spaceru, odprowadzany pełnymi współczucia spojrzeciami personelu, zastanawiałem się, czy zdołam zataić pewne istotne fakty przed jednym z najlepszych nowojorskich speców od krzyżowego przesłuchania. Nie, bolesna prawda musiała w końcu wyjść na jaw, ale nie moje przypuszczenia, nie moje plany. Zasiadliśmy na wyznaczonych sobie miejscach, podałem mu podstawowe fakty, a kiedy już wyciągnął ze mnie tyle, by uznać to za satysfakcjonujące, oznajmił, że musimy zawiadomić policję, a następnie skontaktować się z rzeczywistym spadkobiercą, Oliverem Marchem, i powiadomić go o tym, co się stało. Jednak to nie ja miałem wziąć na siebie ten obowiązek. Odkąd zajęliśmy się tą sprawą, dostrzegłem u mnie wyraźne objawy roztargnienia; musiałem się z nim zgodzić. Omówiliśmy moje żalosne wystąpienie podczas porannego spotkania; Ed podkreślił, że planowana fuzja firm medialnych wiązała się z interesami pewnych ważnych klientów i że jest mało prawdopodobne, abym w swoim obecnym stanie ducha dobrze im się przysłużył. Zasugerował mi wzięcie krótkiego urlopu, a potem przybrał dobroduszny ton, jakiego nigdy nie używał w stosunku do mnie; wyglądało to trochę tak, jakby King Kong zajął się pomocą społeczną, zamiast rozwalać Manhattan. Ed zaczął truć, jak bardzo było mu przykro, kiedy rozstaliśmy się z Amalie, i jak często zastanawiał się nad tym, że od tamtego czasu nie jestem już tym samym człowiekiem. Kiedy tylko to powiedział, kiedy te słowa uleciały w powietrze, doznałem uczucia, jakby pękł mi w głowie jakiś balon, i... trudno to opisać, bo nie było w tym żadnej mistyki, żadnego pozacielesnego doświadczenia, raczej głębokie poczucie obcości. Miałem wrażenie, że Ed nawija o kims, kto w gruncie rzeczy nie jest mną.

Było to w przewrotny sposób dość interesujące: nie wiem dlaczego, ale pomyślałem o ostatnich dniach życia mojej matki i zacząłem się zastanawiać, czy tak

właśnie się wtedy czuła, sama w zagraconym mieszkaniu, bez dzieci, które już odeszły (owszem, ja zostałem, ale czy nie dawałem do zrozumienia, że trzyma mnie przy niej tylko ponury obowiązek?), z głupią pracą po co to ciągnąć, jaki w tym sens? Ed mówił teraz o przekazaniu moich zadań różnym współpracownikom - „tylko chwilowo, dopóki nie staniesz na nogi” dotyczyło to także sprawy dzwonek polifonicznych do komórek. I to zdanie opanowało bez reszty mój umysł (*dzwonki polifoniczne! DZWONKI POLIFONICZNE!!!*). Absurdalność tego wszystkiego uderzyła mnie w twarz jak rzucony tort: oto siedzimy sobie, dorośli mężczyźni, istoty ludzkie, ukoronowanie dzieła stworzenia, zatroskani o to, by pieniądze zostały wypłacone, komu trzeba, ilekroć komórka jakiegoś idioty zaśpiewa *bi bi-bup* zamiast *ding ding* - i wiązało się to w dziwny sposób z uczuciem wyobcowania i wspomnieniami o matce. Zacząłem płakać i śmiać się jednocześnie. I nie mogłem przestać przez boleśnie długą chwilę.

Wezwano panią Maldonado, która była na tyle rozsądna, aby zadzwonić po Omara. Podjechał pod boczne wyjście i błyskawicznie zabrał mnie stamtąd, żebym nie wprawiał nikogo w zakłopotanie i nie straszył sekretarek. W drodze do domu spytałem go, czy myślał kiedyś o samobójstwie. Przyznał, że owszem, zastanawiał się nad tym po śmierci swego najmłodszego chłopaka, który zginął od strzału w głowę, gdy rzucał kamieniami w żołnierzy podczas pierwszej intifady. Omar chciał wtedy wysadzić się w powietrze, zabijając przy okazji kilku Izraelczyków, a w al Fatah byli wtedy tacy, którzy do tego zachęcali. Ale potem pomyślał, że byłby to grzech zabić siebie i zwyczajnych ludzi. Najpierw zabić kogoś u władzy, a dopiero potem umrzeć - to zupełnie inna sprawa, ale nikt nigdy nie dał mu ku temu okazji. Nie pozostało więc nic innego, jak tylko wyjechać do Ameryki.

To właśnie tamtego popołudnia wyciągnąłem ze schowka na szczotki pistolet, który mam przed sobą, i po raz pierwszy zadałem sobie poważnie słynne pytanie Camusa, jako że, niestety, byłem już w Ameryce. Wtknąłem sobie nawet lufę do ust, żeby poczuć smak śmierci, i uruchomiłem na krótko wyobraźnię, zastanawiając się, komu właściwie przysporzyłbym zmartwień swoją śmiercią akurat w tym momencie. Amalie odczułaby ulgę i mogłaby bez przeszkód poślubić kogoś, kto byłby bardziej jej godny niż ja. Dzieci, prawdę powiedziawszy, nie bardzo wiedziały,

że w ogóle żyję. Paul by się wkurzył, ale w końcu by się z tym pogodził. Miriam sięgnęłaby po swoje leki i brałaby je przez parę miesięcy. Ingrid postarałaby się o nowego kochanka, podobnego do mnie pod każdym istotnym względem. Omar dostałby lincolna i sporą sumkę, więc i on by na tym skorzystał.

Oczywiście nie pociągnąłem wtedy za spust, skoro siedzę tu teraz i piszę. Właściwie otrząsnąłem się z hysterii bardzo szybko, co jest jedną z pozytywnych cech człowieka płytkiego jak talerz. Nie położyłem się też na tydzień do łóżka, nie przestałem jeść ani się golić. Pomyślałem wtedy, że osobowość Jake'a wskoczy z powrotem na swoje miejsce i że będę ciągnął to, co było dotąd moim życiem, tyle że bez dzwonek polifonicznych. Teraz wydaje mi się, że ocaliła mnie ciekawość. Chciałem się dowiedzieć, jak poszło Bracegirdle'owi ze szpiegowaniem, przekonać się, czy ta sztuka naprawdę istniała, i poznać Osipa Szwanowa. Tak, ciekawość i umiarkowana żądza rewanżu. Pragnąłem się też dowiedzieć, czyje intrygi spieprzyły mi życie, i dorwać kobietę, która grała Mirandę Kellogg, a mnie zagrała na nosie.

Byłem umówiony ze Szwanowem o dziesiątej w SoHo, ale wcześniej musiałem pojechać do nieco bardziej eleganckiej dzielnicy, bo obiecałem odwiedzić Imogen na próbę szkolną. Pani Rylands, instruktorka teatralna w Copley Academy, wystawia co trzy lata *Sen nocy letniej*, na zmianę z *R. i J. i Burzą*. Rok wcześniej Imo grała duszka, ale teraz dostała rolę Tytanii i była z tego powodu bardzo dumna. Nie oglądałem jej poprzedniego występu, bo, jak już chyba wspomniałem, nie chodzę do teatru. Nie żebym nie lubił współczesnych przedstawień. Po prostu nie mogę wysiedzieć w pograżonej w półmroku sali, patrząc na żywych aktorów na scenie. Zaczynałem się dusić trzy minuty po podniesieniu kurtyny, nie mogłem oddychać, imadło zaciskało się boleśnie wokół mojej czaszki, a przewód pokarmowy chciał wydalić swoją zawartość, i to z obu końców. Moja siostra ma oczywiście rację, kiedy mówi, że powinienem sobie zbadać głowę, czego zresztą odmawiam.

Nie przeszkadzają mi natomiast próby, kiedy to światła się palą, ludzie kręcą się po sali, reżyser wydaje polecenia, aktorzy myślą się i opuszczają kwestie. Jest to

nawet zabawne i w niczym nie przypomina sytuacji, kiedy człowiek siedzi w ciemnościach, przykuty do miejsca i zmuszony do milczenia, podczas gdy żywi ludzie w upiornej charakterystyce udają, że są kimś innym niż w rzeczywistości, tak jak ja.

Kiedy dotarłem do domu swojej żony, Imogen czekała już na stopniach ganku, rozmawiając z kilkoma młodymi ludźmi. Domyśliłem się, że przyjechali białym explorem z złoceniami, który parkował z otwartym bagażnikiem, żeby i inni mogli sobie posłuchać muzyki tak głośnej, że obudziłaby zmarłego. Moja córka najwyraźniej doskonale się bawiła, a ja z niechęcią przerwałem tę imprezę. Młodzi ludzie pozdrowili mnie uprzejmie, bo zostali przysłani przez Paula i mieli oko na mój dom, tak jak mi to przyrzekł. Imogen robiła wrażenie trochę złej, kiedy, już w lincolnie, jej o tym powiedziałem, bo myślała, że popełnia jakieś wykroczenie, zabawiając rozmową kilku członków gangu ulicznego. Kiedy sprawa się wyjaśniła, pojechaliśmy do szkoły w milczeniu, przynajmniej z mojej strony; Imogen zaczęła natychmiast rozmawiać przez komórkę z dziewczynami, z którymi właśnie spędziła cały dzień i z którymi miała się za chwilę zobaczyć. Wszystko lepsze niż miła pogawędka z tatą.

No cóż, nie ma to jak Szekspir, nawet wystawiany przez dzieci. Pani Rylands lubi *Sen nocy letniej*, bo może obsadzić w tej sztuce uczniów w różnym wieku, zarówno ze szkoły podstawowej, jak i z gimnazjum; jest na tyle pewna siebie, że daje prościutkie role elfów najmłodszym dzieciom, nieco starszym te bardziej skomplikowane, pierwszo- i drugoklasistów obsadza jako królów, królowe i kochanków, a najstarsze dzieci grają „prostych rzemieślników”. Gdy chłopcy zaczynają brykać i rzeć ze śmiechu, mówi im, że największe role kobiece we wszystkich dramatach grali kiedyś dwunastoletni chłopcy i nikomu nie wydawało się to śmieszne, a teraz przynajmniej wy, wielkie draby, gracie mężczyzn! I co zdumiewające, kiedy te szczerozłote kwestie płyną z ich ust, potrafią na tę chwilę porzucić piekło nastoletniego narcyzmu i zadomowić się w szerszym, bogatszym świecie. Tak przynajmniej ja to odbieram. Patrzyłem, jak moja córka wchodzi w pierwszej scenie drugiego aktu i wygłasza swój wielki monolog: *O, to są tylko fałszerstwa zazdrości*. Nie wiem, gdzie się tego nauczyła, skąd wie, jak mówić:

*Zejsć się nie mozem od początku lata
Na wzgórzu, łące, w gaju lub na błoniu,
Gdzie zdroj wśród głazów, strumyk szemrze w trzcinie,
Lub na piaszczystym brzegowisku morza -
Zejsć się na tańce przy wiatrów poświście.. .*

i jak operować mimiką i gestem, by stworzyć wizję tańca elfów. Pani Rylands była także oczarowana, jest więc pewne, że Imogen w przyszłym roku będzie Julią i poruszy serca widowni.

Jak wspomniałem, bardzo lubię próby i myślę, że obecność na nich wynagradza mi trochę to, co tracę, nie chodząc do teatru. Poza tym w sali roilo się od ślicznych młodych ciał i ich zachwycających mam, co również było miłe. Wymieniłem parę maślanych spojrzeń z kobietami, co nasunęło mi myśli o Ingrid. Kiedy Imogen skończyła swoją scenę, wyszedłem i zadzwoniłem do Tarrytown, żeby się dowiedzieć, czy mogę przyjść po spotkaniu z Rosjaninem, ale Ingrid potraktowała mnie chłodno i oznajmiła, że ma jakąś pilną robotę. Zawsze miałem nosa do kłamstw telefonicznych i wyczułem je także tym razem. To nie było w ogóle w stylu Ingrid, zwykle bardzo prostolinijnej. Czyżby miała nowego kochanka? Prawdopodobnie. Czy mnie to obeszło? Tak, odrobinę. Zawsze się trochę przejmuję, ale nie aż tak bardzo. Można powiedzieć, że stąd te wszystkie gwałtowne zwroty w moim życiu uczuciowym.

Po próbie zapytałem Imogen, czy chce gdzieś jechać. W przeszłości, kiedy była ukochaną córeczką tatusia, uwielbiała, jak ją zabierałem do jakiejś miejscowej restauracji i stawiałem jej lody z owocami, ale to już nie te czasy. Imogen uważa, że rozwód to nudziarstwo, praktycznie wszyscy jej rówieśnicy to dzieci z tak zwanych rozbitych rodzin, a ona wolałaby zachować status „nierozbitej”. Nie wiem zresztą. Nie mam pojęcia, co dzieje się w jej ślicznej główce. Jechaliśmy zatem do domu w niemal całkowitym milczeniu, choć zdążyła mi oznajmić, że Mały Kujon spędził ostatni tydzień, drukując niezliczone stronicie z wykresami genealogicznymi, i że nikt (to znaczy ona), nie mógł skorzystać z drukarki. I czy wobec tego

mógłbym mu coś powiedzieć? Mama daje mu wszystko, czego on tylko zapragnie. Obiecałem, że z nim porozmawiam, i kiedy przyjechaliśmy do domu Amalie, rzeczywiście tak zrobiłem.

W całym tym zamieszaniu zapomniałem niemal o zadaniu, jakie powierzyłem synowi, ale, jak już od dawna wiem, Niko potrafi sprawić, że jego obsesje i natręctwa wyglądają niczym elfy tańczące na „piaszczystym brzegowisku morza”. Znalazłem go w pokoju komputerowym, układającego kartki na długim blacie ustawionym na kozłach. Robił to z niezwykłą precyzją, z zachowaniem jednakowych odstępów pomiędzy szeregami. Obserwowałem go przez dłuższy czas, zanim się odezwał:

- Słuchaj, Niko, Imogen mówi, że znalazłeś coś dla mnie. Coś o Bracegirdle'u?

- Tak, znalazłem - odparł Niko.

Jedną z zalet firm zajmujących się tego rodzaju poszukiwaniami jest to, że ich researcherzy przychodzą, udzielają człowiekowi najlepszej odpowiedzi, jaką udało im się znaleźć, biorą czek i znikają. Ale kiedy prosi się o coś Niko, dostaje się całą historię z wyczerpującymi szczegółami, od pierwszych prób, z opisem zastosowanej logiki plus wszystkich przyjętych strategii, źródeł, naświetleniem wszelkich fałszywych tropów i prezentacją każdego odkrytego faktu. Jako normalna istota ludzka podsumuję:

Nasz Bracegirdle miał syna, także Richarda, który nie zmarł w dzieciństwie, ożenił się i miał siedmioro dzieci; pięcioro dożyło późnego wieku, założyło rodzinę i też miało dzieci. Pod koniec XVII i w XVIII wieku mężczyźni ciągnęło na morze lub do wojska, gdzie zostawali oficerami. Jeden z Bracegirdle'ow dowodził baterią w armii Wolfe'a na Równinie Abrahama pod Montrealem, inny służył w randze kapitana fizylierów pod Plessy. Byli także wielorybnikami i handlarzami niewolników; rzecz kończyła się na... ostatnim męskim potomku, który zmarł w 1923 roku na skutek ran odniesionych podczas pierwszej wojny światowej.

No tak, pomysł był dobry, ale nie dał spodziewanego rezultatu; myślałem o jakimś rodzinnym skarbie, kuferku starych papierzysek na strychu, które okażą się nieznaną dotąd sztuką Szekspira. Popatrzyłem na syna i jego beużyteczną robotę

i poczułem ukłucie smutku. Miałem ochotę przygarnąć go do siebie, ale się powstrzymałem.

- Szkoda, Niko powiedziałem. Ale warto było próbować. Nie zauważyłeś przypadkiem, czy kręcą się tu jacyś rosyjscy gangsterzy?

- Nie. Kręcą się jacyś dwaj czarni. Jeden ma białego forda explorera z nowojorską rejestracją HYT-620, a drugi zielonego pacera z numerem IOL-871. Nie skończyłem z tymi potomkami. Odszukałem tylko mężczyzn.

- Są jeszcze kobiety?

- Owszem. Przeciętnie połowa to kobiety. Troje z dzieci Richarda Bracegirdle'a juniora to córki. Najstarsza, Lucinda Anne, wyszła za mąż za Martina Lewesa w tysiąc sześćset osiemdziesiątym pierwszym roku...

I zaczęło się. Nie słuchałem go ze szczególną uwagą. Przebywanie z Niko przypomina często siedzenie na brzegu rwącego strumienia, co działa dziwnie kojąco. Myślałem o bliskim spotkaniu z Rosjaninem, o dzisiejszym popołudniowym załamaniu, a także o tym, jak będzie wyglądał mój następny układ seksualny, pod tym wszystkim zaś pulsowała wielka rana: Miranda Kellogg. Opowieść Niko dobiegła końca. Pozbierał poukładane starannie stosiki papieru i pieczołowicie je pospinał. Powiedział, że będę musiał je zabrać, bo matka twierdzi, że ma za dużo wszelkiej dokumentacji, a on sam stracił zainteresowanie genealogią Bracegirdle'ow. Odwrócił się do monitora, założył słuchawki i odpłynął. Znalazłem dużą kopertę, wetknąłem do niej papiery i też odpłynąłem. Nie zobaczyłem się z Amalie ani jej nie szukałem, choć byłem świadom jej obecności w domu, tak jak czuje się nadciągająca wojnę.

„Rasputin” to niewielka sieć punktów typu fast food założona przez parę imigrantów z Rosji, jedna z niezliczonych prób znalezienia kolejnej niszy na tym rynku. Podawali tam rozmaite pierożki, barszcz, rosyjskie ciasta i mocną herbatę w wysokich szklankach. Wnętrza utrzymane są w stylu „nasz stary, zacny Związek Radziecki”: socrealistyczne plakaty, te-rakota na podłodze, obsługa w rubaszkach i długich spódnicach, parujące samowary i przemyślnie poukładane militaria Armii Czerwonej. Jadłospisy wydrukowane pseudocyrylicą, z odwróconym „R” i tak dalej. Omar podwiózł mnie za pięć dziesiąta do jedyne go tajskiego baru na

Manhattanie, na Lafayette Street, i przyczał się w lincolnie na wypadek, gdyby nasz gangster próbował jakichś paskudnych numerów.

W środku było nawet przyjemnie: parność, woń cynamonu i zapach kapusty. Usiadłem pod oprawionym w bogato zdobioną ramę portretem patrona baru, tyłem do ściany, twarzą do wyjścia, i zamówiłem herbatę i pierożki. Stoliki były zajęte mniej więcej w połowie, głównie przez okolicznych mieszkańców, znudzonych modnymi chińskimi i włoskimi knajpkami. O dziesiątej do baru wszedł mężczyzna i stanął przed moim stolikiem. Wstałem, by uściśnąć jego wyciągniętą dłoń; przybysz usiadł i rozejrzał się z uśmiechem po salce. Był mniej więcej w moim wieku, o połowę szczuplejszy, miał gęste szpakowate włosy, długi nos i inteligentne, głęboko osadzone czarne oczy. Nosił flauszowy płaszcz, czarny golf i modną...

Ach, czy to, kurwa, ma znaczenie, jak wyglądał albo co miał na sobie?! Wróciłem właśnie z przechadzki po wiejskiej posiadłości Mickeya. Wszędzie panuje cisza, wokół snują się poranne mgły. Zajrzałem do szopy, w której stała łódź, do stacji pomp i do garażu na dwa samochody, gdzie zaparkowałem wynajętego ca-dillaca escalade, pojazd tak obszerny, że prawie się mieściłem w fotelu kierowcy. Teraz rozumiem, dlaczego jest tak popularny wśród tęgich Amerykanów. Obok tego wozu stoi harley-davidson Electra Glide, który Mickey kupił przed laty, gdy ja nabyłem motocykl BMW; jak przypuszczam, chciał mi pokazać, że on też jest chojrak, choć ja kupiłem swoją maszynę dlatego, że nie mogłem sobie pozwolić na utrzymanie samochodu.

Małe śniadanko i oto znów jestem przy klawiaturze.

Rozglądałem się zapewne pytającym wzrokiem, bo Szwanow spytał: „Cóż to, spodziewał się pan kogoś innego?”, na co odparłem, że według powszechnych wyobrażeń rosyjscy gangsterzy zawsze podróżują z obstawą. Roześmiał się, pokazując zęby z kosztownymi koronkami, założonymi w jednej z przemysłowych demokracji.

- Tak, sześciu zbirów w skórzanych kurtkach i kilka ukraińskich dziwek. Chce pan, to zadzwonię.

Mówił po angielsku prawie bez akcentu, tylko czasem opuszczał przedimki i zaimki, rzecz typowa dla ludzi, których macierzysty język jest bogaty w formy fleksyjne. Miał wyraźnie ochotę pogawędzić, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, którzy spotykają się po krótkim czasie. Pomyślałem, że zrobię mu przyjemność, więc zaczęliśmy rozmawiać o mojej siostrze i jej bajecznej karierze. Potem przerzuciliśmy się na Rasputina; powiedział, że był jednym z pierwszych inwestorów, a ja spytałem żartem, czy złożył komuś ofertę nie do odrzucenia.

Jego uśmiech nieco przygasł.

- Panie Mishkin, nie wiem, za kogo mnie pan uważa, a więc pozwoli pan, że coś wyjaśnię, aby uniknąć nieporozumień. Jestem biznesmenem. W przeszłości pracowałem dla radzieckiego rządu, jak każdy, ale od piętnastu lat zajmuję się biznesem. Prowadzę interesy w Rosji, na Ukrainie, w Kazachstanie, w Izraelu, a także tutaj. Chciałby pan pewnie wiedzieć, jakiego to rodzaju interesy. Przede wszystkim jestem inwestorem. Ktoś ma pomysł, ja mam pieniądze, a także kontakty. Kontakty są bardzo ważne w rosyjskim społeczeństwie, bo w taki właśnie sposób uczyliśmy się robić interesy w przeszłości. Zaufanie, rozumie pan? Nie mamy tego, co nazywacie zasadami w biznesie, systemu sądownictwa i tak dalej. W zamian za swoją inwestycję zostałem udziałowcem, zupełnie jak na nowojorskiej giełdzie.

- Jest pan rekinem pożyczkowym zauważyłem.

- Tak jak Citycorp i J.P. Morgan Chase. Myśli pan, że oni nie biorą wysokiego procentu? Ja udzielam wysoko oprocentowanych kredytów ludziom z tak zwaną złą przeszłością, nikt inny nie da im takich pieniędzy, a więc przychodzą do Szwanowa, dają mi pewną część i w ten sposób wszyscy są zadowoleni.

- A jeśli nie są zadowoleni, ma pan ludzi, którzy przychodzą i łamią im nogi, co jest jedyną rzeczą, jaka odróżnia pana od banku Morgan Chase.

Znów się uśmiechnął. Machnął lekceważąco ręką.

- Przepraszam, nie mam nic wspólnego z tymi typami od długów. To specjalność całkiem innych firm.

- Specjalność?

- Właśnie. Kupuje pan parę butów firmy Nike, a skąd pan wie, gdzie są robione? Może w Chinach przez jakąś uprowadzoną, przykutą do maszyny dziewczynę,

którą głodzą i biją. Jest napis „Nike”, tylko tyle pan wie, szacowna firma. Myślę, że nawet oni nie mają pojęcia, kto dla nich produkuje. Jeśli chce pan być taki czysty, powinien pan być księdzem, a nie zajmować się biznesem. Zgadza się pan?

- Nie bardzo. A skoro już mówimy o uprowadzonych dziewczynach, to myślę, że jedna z pana wyspecjalizowanych firm napadła przedwczoraj na mojego pracownika i uprowadziła z mojego domu młodą dziewczynę.

Szwanow przywołał gestem kelnerkę i zamówił herbatę i bliny. Kiedy się oddaliła, spytał:

- A dlaczego, według pana, miałbym to robić?

- Może sam pan mi powie.

Zignorował moje słowa i spojrzał zimno.

- Uprowadzenie jest poważnym przestępstwem. Myślę, że powiadomił pan władze?

- O napaści na mojego pracownika tak. Ale nie o uprowadzeniu. Wolę, żeby pozostało to między nami biznesmenami.

Kelnerka przyniosła zamówione bliny znacznie szybciej niż moje pierogi.

Szwanow napił się herbaty, napoczął blina, westchnął i powiedział:

- Niech pan posłucha, panie Mishkin, obaj jesteśmy zapracowanymi ludźmi, więc przejdźmy od razu do rzeczy, dobrze? Opowiem panu, jak było. Ten cały profesor Bulstrode przychodzi do mnie i mówi: „Szwanow, mam klucz do wielkiego skarbu kultury i zwracam się do pana jako człowieka kulturalnego, żeby pomógł mi pan go znaleźć i przywrócić światu. Potrzebuję w tym celu drobnej sumy pieniędzy”. Na to ja: „Oczywiście, profesorze, proszę, oto dwadzieścia tysięcy dolarów; jeśli będzie pan potrzebował więcej, niech pań powie”. Rozumie pan, nawet taki człowiek interesu jak ja ma duszę i nie chce spędzić całego życia w łaźni i przy pierożkach albo w barach z dziewczętami, poza tym widziałem w tym potencjalne źródło gotówki dla swojej firmy. A więc dałem mu pieniądze na poszukiwanie tego skarbu. Potem wyjechał z kraju i słuch po nim zaginął. Minęło kilka tygodni i dostałem niepokojącą wiadomość z wiarygodnego źródła. Powiedziano mi, że profesor wrócił i że znalazł swój skarb, ale nie chce się nim dzielić ze Szwanowem. Co więc robię? Dzwonię do niego, a on wszystkiemu zaprzecza nie ma skarbu,

trafił na ślepy zaulek. W mojej branży ludzie często nie chcą się dzielić zyskami i wtedy muszą sięgać po drastyczne środki...

- Kazał go pan torturować.

- Chwileczkę! Nic nie kazałem. Nie mam nic wspólnego z torturami, podobnie jak prezydent Bush. Tak czy inaczej moje źródła doniosły mi, że profesor zdeponował papiery - które w moim przekonaniu należą do mnie w pańskiej firmie, panie Mishkin. I dowiaduję się ze swoich źródeł, że pojawiła się spadkobierczyni, która może rozporządzać majątkiem profesora, a ja oczywiście mam nadzieję, że postąpi właściwie i odda mi te papiery. Że porozumie się z panem w kwestiach prawnych i że wkrótce skontaktuje się ze mną, abyśmy mogli ubić interes. A pan mi mówi, że została uprowadzona. Nie, o tym nie wiem, klnę się na Boga.

Dziwne, ale mu wierzyłem, co byłoby wykluczone, gdybym nie zdał sobie sprawy, że moja Miranda jest oszustką.

- Cóż, panie Szwanow - powiedziałem. - To stawia sprawę w zupełnie innym świetle. Ale jeśli nie przetrzymuje pan Mirandy Kellogg, to dlaczego się spotykamy?

- Dlaczego? Bo jest pan pełnomocnikiem zmarłego w kwestiach spadkowych, a zostawił on coś, co należy do mnie - napisany przez Richarda Bracegirdle'a manuskrypt z siedemnastego wieku. Widziałem go. Zapłaciłem ekspertom, żeby potwierdzili jego autentyczność. Mam dokumenty, z których wynika, że jestem jego właścicielem. Wszystko jest całkowicie legalne i jawne. Chyba nie w tej sprawie chciał się pan ze mną spotkać?

- Kiedy prosiłem siostrę, żeby nas umówiła, przypuszczałem, że próbował pan zdobyć ten rękopis siłą i groźbą.

- Jak to „siłą i groźbą”?

- Wysyłając ludzi, aby wykradli go z mojego domu. Wysyłając ludzi do siłowni, aby zagrozili jej właścicielowi, przez co straciłem kartę członkostwa. I, jak już mówiłem, prawdopodobnie uprowadzając Mirandę Kellogg.

Cały czas kręcił głową. W końcu pogroził mi palcem i oznajmił:

- Przede wszystkim nigdy nie posyłałem takich ludzi, żeby coś kradli. Jak już wyjaśniałem: dlaczego miałbym to robić? Co do siłowni, to jakieś nieporozumienie.

Chciałem tylko, żeby nawiązali z panem kontakt, dyskretnie, bez żadnych gróźb. Wie pan, trudno niekiedy kontrolować podwykonawców. Porozmawiam z kim trzeba, dostanie pan kartę członkowską z powrotem, z wyrazami ubolewania.

- Dziękuję.

- Drobnostka. No dobrze, co mam zrobić, żeby odzyskać swoją własność?

- No cóż, jest tu pewien problem. Z żalem muszę powiedzieć, że kobieta, którą uważałem za Mirandę Kellogg, nie była wcale Mirandą Kellogg, co więcej, manuskrypt zniknął razem z nią. Myślę, że obaj zostaliśmy wystawieni do wiatru przez tę samą osobę.

Na krótką chwilę Szwanow porzucił rolę biznesmena, w jego oczach pojawił się naprawdę straszny błysk. Potem jednak zniknął i znów zobaczyłem ten ponury uśmiech. Szwanow wzruszył ramionami.

- Cóż, to może być prawda. Coś się zyskuje, coś się traci, czyż nie?

Jeśli uda

się panu ustalić, gdzie jest Miranda Kellogg lub gdzie znajduje się rękopis, to mam

nadzieję, że da mi pan znać, zgoda? Mam stosowne dokumenty potwierdzające

fakt, że ten stary dokument należy do mnie.

Obiecałem, że na pewno się z nim skontaktuję, i poprosiłem go o to samo.

- Naturalnie powiedział. Odnosi się to też do innych papierów tego rodzaju.

- Co pan rozumie przez inne papiery?

- Mam informacje, że kiedy znaleziono rękopis Bracegirdle'a, były tam też inne dokumenty historyczne, i ci, którzy robili interes z Bulstrode'em, zatrzymali je dla siebie. Uważam, że nie jest to przyjęta praktyka w biznesie. Proszę mi powiedzieć, panie Mishkin, ma pan te papiery?

- Nie mam.

- Jeśli kiedyś pan na nie natrafi, niech pan pamięta, że też są moją własnością.

- Będę pamiętał, oczywiście - obiecałem i nagle uświadomiłem sobie, że prawdziwym powodem, dla którego zgodził się ze mną spotkać, była szansa na to, że mam te przeklęte szyfry. Natychmiast włożyłem między bajki wszystko, co dotąd powiedział.

- Dziękuję. Uważam, że to zamyka sprawę. Bardzo mi miło.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Szwanow wyjął z kieszeni gruby zwitek banknotów i rzucił dwudziestodolarówkę na stół.

- To dla kelnerki. Za resztę nie musi pan płacić, był pan moim gościem.

Przyglądał mi się przez chwilę, przekrzywiając głowę i mrużąc oczy jak wtedy, gdy człowiek porównuje coś, co widzi, z jakimś obrazem w myślach. Wreszcie wypowiedział słowa, które o mało nie powaliły mnie na ziemię.

- Wie pan, to zdumiewające, jak bardzo przypomina pan ojca.

- Pan go zna? spytałem zdumiony.

- Oczywiście. Łączą nas pewne inwestycje i tak dalej. W Izraelu.

Wstał i dodał: - Jeśli będzie się pan z nim widział, to proszę go ode mnie pozdrowić.

Wyszedł, a ja zostałem z szeroko otwartymi ustami.

Mój Panie, przesyłam Waszej Lordowskiej Mości ukłony i szczere życzenia dla Ciebie i całego domu Twego. Już od dawna nie otrzymałem żadnego listu ani od Waszej Lordowskiej Mości, ani od pana Piggotta, ale z pewnością macie ważniejsze sprawy na głowie. Nowiny są takie, że W.S. ukończył sztukę o królowej Maryi i kiedy mi to powiedział, uprosiłem go, żeby mi ją jak najrychlej przeczytał. Najpierw powiedział: Nie, niech zrobię na czysto, tu mogą być jeszcze poprawki, tak często robi, ale ja nalegałem, aż w końcu ustąpił. A więc przeczytałem tę jego plugawą pisaninę. Mój Panie, myślę, że popełniliśmy błąd może się mylę, ale nie zrobił tego, co mu kazaliśmy, może się Pan sam przekonać, bo spisałem tu z pamięci sedno owej dramy i materię niektórych kwestii scenicznych, jako że nie pozwolił mi skopiować nawet linijki.

Najpierw idzie prolog w którym mowa, że sztuka traktuje o dwóch wielkich królowych, pozostających w sporze, co wpływa na losy nie tylko królestwa, ale i ludzkich dusz. Spory rozdzierają Kościół i zagrażają państwu, lecz choć żałuje się tej, która przegrała, żałuje się także tej, która w owym sporze wygrała. Coś w tym rodzaju. Tak to zrobił. Wyobrażaliśmy sobie, że pokaże Elżbietę jako tyrana, i tak też uczynił, jednak ubolewając nad jej jałowym lonem i że syn innej kobiety przejmie królestwo, tej samej kobiety, którą musiała zamordować, i płacze z żalu nad swą samotnością, nad samotnością kobiety, która dla polityki musiała zabić istotę ludzką, co mogła być jej jedyną przyjaciółką.

Wyobrażaliśmy sobie, że przedstawi Maryję jako dobrą krześciankę, aby wzbudzić nasz gniew z powodu jej losu, i tak też zrobił, ale też uczynił z niej pożądliwą i lekkomyślną niszczycielkę samej siebie. Oddaje się spiskowi, który doprowadzają do zguby, bo (jak pisze W.S.) widzi, że Babbington to głupiec,

dobrze wie, że jej listy są czytane przez Walsinghama, jednak nie zaprzestaje intrygi. I w jakim celu? Rozpaczliwie pragnie ratunku i nie dba już o to, czy będzie królową Anglii czy Szkocji, czy jeszcze czegoś innego, byle tylko mogła swobodnie oddychać i jeździć konno. Ze swojego okna widzi przekupkę i chciałaby się z nią zamienić miejscami, oddać wszystkie swoje tytuły za haust świeżego powietrza. Żałuje swej dawnej nikczemności, ale myśli, że wybaczone jej papieskie przesady. Choć więziona, pyszni się i gardzi królową Elżbietą z powodu jej zwiędłego łona i niemożności uciech cielesnych, i mówi wielkiej Bess: Twoje państwo gorszym jest więzieniem od moich krat. Chętni są też, że zażywała miłości, gdy Królowa nie miała nic, jeno pozory. Dalej W.S. pisze o Maryi, że dowody przeciwko niej były częściowo fałszywe, bo, jak mówi, Maryja nigdy przeciwko niej nie spiskowała, a chciała tylko uciec spod jej władzy i być wolną. A więc Walsingham jest tu przedstawiony jako krzywoprzysięzca i szelma.

*Co do religii: jest tu rola kapelana Maryi, niejakiego Du Preau, który ma spór o prawdziwą wiarę krześcijańską z sir Amyasem i myślę, że wygrywa, choć tylko trochę. W.S. dał też dwóch błaznów, jednego purytani-
na i drugiego papistę, którzy spierają się, szydząc ze swoich religii. Być może już samo to wystarczyłoby, żeby powiesić W.S., ale to nie jest jeszcze największa czelność. Scena, w której Maryja idzie na śmierć, jest bardzo poruszająca i tak pomyślana, że ten, kto słyszy jej słowa, zapomina, że była podłą morderczynią i wywłoką. Może to zadowoli Pana, Lordzie, ale to, co tu opowiadam, jest niczym wobec całości, bo jest to bardzo przemyślnie i pełne konceptu, choć słaby ze mnie sędzia sztuk. Ale jak tylko będę mógł przysłać ją Tobie, ocenisz, czy Ci się nada do Twego celu. A tymczasem pozostaję jako Twój wierny i uniżony sługa, życząc wszelkiej pomyślności i długiego życia Waszej Lordowskiej Mości, Londyn, 28 października 1611*

Richard Bracegirdle

Crosetti stwierdził, że z bronią jest jak z rozpiętym rozporkiem: zawstydzala go i sprawiała, że czuł się głupio. Zastanawiał się, jak ojciec mógł to znosić przez cały okres swej aktywności zawodowej. A może policjanci reagowali inaczej. I przestępcy. Kiedy przyszedł do pracy, był w rozterce: zostawić rewolwer w torbie (mogli mu go ukraść! ktoś mógł go znaleźć!) czy przełożyć do kieszeni. Początkowo zostawił go w torbie, ale doszedł do wniosku, że w tej sytuacji nie mógłby jej spuścić z oka; po nerwowej godzinie wyjął rewolwer i przytroczył go do paska, ukrywając pod fartuchem, który wkładał, kiedy pracował w piwnicy.

Pan Glaser wyszedł na dłużej w sprawach handlowych, więc Crosetti zbyt szybko się nie przemęczał; musiał tylko przejmować obowiązki Pameli, dziewczyny pracującej na miejscu Carolyn (i całkiem do niej niepodobnej), kiedy miała przerwę. Antykwariaty z cymeliami nie są specjalnie oblegane, nawet na Madison Avenue, toteż Pamela przez większość czasu dzwoniła do przyjaciółek, które, sądząc po dobiegających z góry chichotach, musiały mieć fantastyczne poczucie humoru, albo przeglądała oferty pracy, wyjaśniając nie pytana, że chodzi jej o jakieś wydawnictwo.

Crosetti zdawał sobie sprawę z tego, że jest dla niej nieprzyjemny - nie umarłby przecież, gdyby okazał jej trochę sympatii ale nie mógł wyrzezać z siebie jakiegokolwiek zainteresowania dla studentki, której marzyła się praca w wydawnictwie.

Podczas jednej z takich zmian warty poprosiła, żeby zdjął jej jakąś książkę z górnej półki. Kiedy wszedł na drabinkę, usłyszał cichy okrzyk przestrawu. Podał jej książkę, a ona spytała z szeroko otwartymi oczami:

- Masz rewolwer za paskiem? Widziałam, kiedy sięgałeś...

- Tak. Książki to niebezpieczne zajęcie. Nigdy za dużo ostrożności. Są ludzie gotowi zrobić wszystko, żeby zdobyć pierwsze wydanie Emili Brontë... Cokolwiek.

- Nie! Poważnie?

- Czy poważnie? Jestem tajemniczym kosmopolitą.

Żart był kiepski, więc pomyślał przelotnie, czy nie powiedzieć, że miło mu ją widzieć, aby się przekonać, czy rozpozna kwestię z *Lady Lou*; mógłby ją wtedy zapytać, czy widziała ten film, komedię romantyczną, która przyniosła Mae West jedyną nominację do Oscara, i tak dalej, i tak dalej, gadka w jego zwykłym stylu, ale uznał, że nie warto się wysilać. Wzruszył ramionami, posłał jej błady uśmiech, podał książkę i stanął za kontuarem.

Kiedy wróciła z lunchu, odniósł wrażenie, że nie jest już tak przyjacielsko nastawiona jak przedtem. Wyglądało na to, że się go trochę boi, co bardzo mu odpowiadało. Resztę popołudnia spędził na wydzwanianiu do znajomych, którzy mogli mieć coś do wynajęcia, szukał też w Internecie. Po pracy udał się pod najbardziej odpowiedni adres, jaki znalazł; pokój w dużym lofcie niedaleko Brooklyn Navy Yard. Mieszkał tam jego przyjaciel z college'u, inżynier akustyk, ze swą dziewczyną, piosenkarką. Na liście lokatorów było mnóstwo niedoszłych ludzi mediów; przyjaciel zauważył, że niedługo Navy Yard zostanie drugim Williamsburgiem. Budynek cuchnął starymi toksynami, ale wszystkie pomieszczenia wypełniało blade ochrowe światło z wielkich i brudnych okien fabrycznych, co Crosettiemu kojarzyło się boleśnie z loftem Carolyn. Był typem masochisty, więc już samo to wystarczyło, by się zdecydował. Schodził po polamanym stopniu schodów uboższy o osiemset dolarów, ustaliwszy wcześniej, że przeprowadzi się po

Święcie Dziękczynienia. Wielokrotnie zmieniając autobus, wrócił do metra i dotarł na Sto Czwartą Ulicę przy Ozone Park.

Kiedy skręcił z Liberty Avenue w Sto Szóstą, gdzie mieszkał, zobaczył czarnego SUV-a z przyciemnionymi szybami. Nie była to dzielnica, w której spotykałoby się często nowiutkie, lśniące auta za czterdzieści tysięcy dolarów, a ponieważ Crosetti znał wszystkie samochody, które zwykle tu parkowały, na widok tego wozu natychmiast pomyślał o ostrzeżeniu Klima z poprzedniego wieczoru, więc choć nie był całkiem przygotowany na niespodzianki, nie zaskoczyło go zbytnio to, co się stało. Kiedy mijał pośpiesznie samochód, usłyszał szcęk otwierających się raptownie drzwi i odgłos kroków na chodniku. Odwrócił się i zobaczył idących ku niemu dwóch mężczyzn w czarnych skórzanych płaszczach. Obaj byli wyżsi od niego, jeden znacznie potężniejszy. Mieli naciągnięte na głowy kaptury i oczy zasłonięte wielkimi ciemnymi okularami, co w jego przekonaniu dowodziło złych zamiarów. Niewiele myśląc, Crosetti wyciągnął trzydziestkę ósemkę ojca i strzelił w stronę wyższego mężczyzny. Pocisk drasnął jego skórzany płaszcz i roztrzaskał przednią szybę samochodu. Mężczyźni przystanęli. Crosetti podniósł rewolwer i wycelował w głowę wyższego. Obaj wycofali się niespiesznie i wsiedli do samochodu, który ruszył z piskiem opon.

Crosetti usiadł na krawężniku i wsunął głowę między kolana, czekając, aż przejdą mu mdłości. Przez chwilę wpatrywał się w rewolwer, jakby był to wytwór jakiejś pozaziemskiej cywilizacji, po czym wrzucił go do torby.

- Albercie! Co się stało?

Crosetti obrócił się gwałtownie i zobaczył drobną siwowłosą kobietę w różowym dresie i grubym jasnoniebieskim swetrze, stojącą w progu swego domu.

- Nic, nic, pani Conti. Jacyś faceci próbowali mnie uprowadzić. Postrzeliłem jednego i uciekli. Już po wszystkim.

Chwila milczenia.

- Mam zadzwonić po policję?

- Nie, dziękuję, pani Conti. Sam zadzwonię.

- O Madonno! To była taka spokojna dzielnica! powiedziała pani Conti i wróciła do kuchni.

Crosetti podniósł się i ruszył chwiejnym krokiem w stronę domu. Przy krawężniku stał stary, lśniący karawan Cadillaca; Crosetti obrzucił go kwaśnym spojrzeniem. Chciał się wślizgnąć niepostrzeżenie przez kuchnię, może nalać sobie duży kieliszek czerwonego wina i pójść do swojego pokoju odpocząć, ale nic z tego nie wyszło - ledwie zamknął za sobą drzwi, zjawiała się Mary Peg.

- Allie! Nareszcie jesteś. Próbowałam się do ciebie dodzwonić przez cały dzień. Nie odbierasz wiadomości?

- Przepraszam, mam, ciągle miałem zajętą komórkę. Zaczepnął głęboko powietrza. - Prawdę mówiąc, szukałem mieszkania. I chyba znalazłem, na Brooklynie, u Becka, no wiesz, tego ze szkoły.

Mary Peg zamrugnęła zdziwiona, pokiwała głową i oznajmiła:

- No cóż, to twoje życie, kochanie. Ale chciałam z tobą o czymś porozmawiać: dzwonił tu prawnik Bulstrode'a.

- Bulstrode nie żyje odpowiedział głupkowato.

- Tak, ale zmarli też mają adwokatów. Chodzi o spadek. - Przyjrzała mu się uważnie. Albercie, czy coś się stało?

Crosetti chciał przez moment zataić zdarzenie, jakie rozegrało się przecnicę dalej, ale uświadomił sobie, że Agnes Conti rozpowszechniała informacje z prędkością, o jakiej inżynierowie z telekomunikacji mogli tylko marzyć, i wkrótce zadzwoni, żeby przekazać szczegóły, prawdziwe i zmyślane.

- Usiądź, mam, poprosił.

Usadowili się w kuchni. Popijając wino, Crosetti opowiedział całą historię. Mary Peg wysłuchiwała go, przyjmując te wieści nadzwyczaj spokojnie. W gruncie rzeczy było jej teraz łatwiej powiedzieć to, co miała synowi do przekazania.

- Mam! Dlaczego to zrobiłaś? - jęknął Crosetti. - Boże, nienawidzę, kiedy działasz za moimi plecami!

- A ty to co? Kradniesz broń ojca i zamieniasz dom w fortecę?

- To nie to samo. Musiałem to zrobić - powiedział Crosetti bez entuzjazmu.

Marzył, żeby się wreszcie położyć.

- No więc ja też pomyślałam, że należy coś zrobić, a ponieważ byłeś nieuchwytny i zbyt zajęty ucieczką z domu czy innymi sprawami, żeby odebrać ode mnie wiadomości...

Warkot samochodu podjeżdżającego pod dom kazał jej przerwać w pół zdania.

- Ach, to na pewno Donna powiedziała Mary Peg i poszła otworzyć.

Crosetti nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina. Kiedy je dopijał, do kuchni wszedł Radosław Klim, ogolony, w czarnej kurtce karawaniarza i pod krawatem. W rękę trzymał czarną czapkę z błyszczącym daszkiem.

- Chcesz wina, Klim?

- Nie, dziękuję. Za chwilę muszę jechać.

- Jest już ciemno. W nocy nie ma pogrzebów.

- To nie jest prawdziwy pogrzeb, tylko złot wampirów.

- Co takiego?

- Tak, to teraz bardzo modne: bogaci młodzi ludzie udają, że są wampirami, jeżdżą karawanami i urządzają imprezy w kryptach dawnych kościołów. Ach, idzie twoja mama. A to pewnie córka. Dobry wieczór.

Donna Crosetti albo po prostu Donna, jak ją nazywano w rodzinie, była chudym, rudowłosym klonem swojej matki i ozdobą nowojorskiego Stowarzyszenia Pomocy Prawnej, przyjaciółką uciśnionych (według matki) lub naiwną humanistką, za sprawą której zatwardziali kryminaliści wychodzili z więzienia i grasowali swobodnie na ulicach (jak utrzymywała jej siostra Patty). Była najmłodszą córką, tylko o rok starszą od Alberta, i miała nadmiar charakterystycznej dla średniego dziecka empatii dla skrzywdzonych; od samego początku świadomego życia skupiała ją na młodszym bracie, obiekcie nienawiści i pretensji, a jednocześnie stworzeniu, które należało strzec przed wszelkimi zagrożeniami i bronić do ostatniej kropli krwi. Crosetti żywił podobne uczucia w stosunku do niej i tak samo nie potrafił ich wyrazić: typowy przykład miłości w impasie.

Klim przedstawił się, uściśnął dłoń nieco wystraszonej Donny Crosetti, pocałował Mary Peg w oba policzki i wyszedł.

- A to kto?

- Nowy przyjaciel mamy - wyjaśnił Crosetti.

- Co takiego?! - zawołała Donna, która nie była wtajemniczona.

- To nieprawda - powiedziała Mary Peg.

- Prawda - zapewnił Crosetti. - Jeździ też karawanem.

- W nocy?
- Tak, na imprezy wampirów. Co u ciebie, Donno?
- On nie jest moim przyjacielem - oznajmiła zdecydowanie Mary Peg. - Jak możesz tak mówić, Albercie?!

- Jest - upierał się, czując, jak lata cofają się nagle, co było uczuciem nieprzyjemnie psychotycznym i jednocześnie dziwnie kojącym. Za chwilę Donna zaczęłyby wrzeszczeć i gonić go dookoła stołu z patelnią w małej piątce, a matka próbowałaby ich uspokoić, rozdając na chybił trafił klapsy i grożąc, że ojciec zrobi im piekło, jak wróci.

Donna Crosetti spojrzała na matkę, a potem na brata.

- No nie...

- No tak - powiedziała Mary Peg. - To przyjaciel Fanny, który pomaga rozszyfrować manuskrypt znaleziony przez Alliego. Pracował do późna, więc zaproponowałam mu, żeby przenocował w pokoju Patty.

- To było trzy dni temu - poinformował Crosetti. Objął się czule rękami i zaczął cmokać, imitując pocałunki.

- Och, dorodnij wreszcie! - skarciła go siostra.

Pokazał jej język, a ona wzniosła oczy ku niebu i przysiadła na kuchennym stole. Ze swojej pojemnej torby wyjęła oprawioną w skórę teczkę, otworzyła ją wprawnym ruchem zawodowca i oznajmiła:

- Jeśli ten facet wraca o ósmej, to nie mamy zbyt wiele czasu. Zaczynajmy
od początku.

Crosetti spojrzał na matkę.

- Nie rozumiem, dlaczego musimy to robić burknął.

- Ponieważ cię oszukano i jesteśmy tu po to, aby ustalić, czy wnośysz sprawę i domagasz się, żeby zapłacili ci kwotę odpowiadającą realnej wartości manuskryptu albo ci go zwrócili.

- A ja nie chcę, żeby mi go zwracali - oświadczył Crosetti niezadowolony; wino, które wypił na pusty żołądek, uderzyło mu do głowy. - Wolałbym, żeby się to nigdy nie wydarzyło. Tego właśnie bym chciał.

- No cóż, synku - rzekła Mary Peg. - Trochę za późno. Sprawę musi się zająć prawnik, a Donna jest naszym rodzinnym prawnikiem. I myślę, że docenisz jej

dobrą wolę i chęć pomocy, zwłaszcza że właśnie postrzeliliś kogoś przed domem...

- Co?! - zawołała Donna, prawnik rodzinny. - Postrzeliliś kogoś? Czy zawiadomiłeś...

- Nie, i nie zamierzam. Chciało mnie uprowadzić dwóch drabów...

- Co takiego? Kto?

- Uspokój się, Donno - prosił. - To nie film z Abbottem i Costellem. Chcesz się dowiedzieć, co się stało, czy nie?

Donna odetchnęła głęboko i znów przybrała profesjonalną postawę.

Wyjaśnienie historii zabrało prawie godzinę, tyle bowiem zajęły pytania Donny, powracanie do różnych wątków i wykręty w relacji braciszka, typowe i denerwujące, a także obszernie uwagi dotyczące szyfrów i roli Klima w domu czy szczególnego przypadku Carolyn Rolly. Zanim Donna poczuła się usatysfakcjonowana, w małej kuchni zrobiło się nieznośnie gorąco, a poziom czerwonego wina w czterolitrowym dzbanie obniżył się o jakieś dwa cale.

Donna przekartkowała notatki i zerknęła na zegarek.

- Okay, podsumujmy, zanim przyjdzie ten facet. Przede wszystkim to, że padłeś ofiarą rzekomego oszustwa, nie daje ci żadnych praw do spadku po profesorze. Nie miałaś prawa sprzedawać tego manuskryptu. Podobnie jak twoja kumpelka Rolly. Oboje konspirowaliście, żeby ukraść legalną własność waszego pracodawcy. Zacznę więc od tego, że przekonam Mishkina, aby zapomniał o tym cholernym rękopisie i dał sobie spokój. Trzeba było porozmawiać ze mną wcześniej...

- Nikt niczego nie ukradł, Donno - zapewnił ją brat. - Już ci to wyjaśniałem. Sidney kazał nam porozcinać książki i zrobiliśmy to. Dostał tyle, ile były warte mapy i ryciny, a resztę obejmowało ubezpieczenie. To jest tak jak ze złomowanym samochodem. Właściciel złomowiska płaci za niego dziesięć dolców, a jeśli znajdzie pod przednim siedzeniem płytę kompaktową, nie musi jej oddawać.

- Dziękuję, panie doradco. Widzę, że studiował pan prawo w innej szkole niż ja. Zasada „kto znalazł, to jego” obowiązuje tylko w piaskownicy. A gdyby ten twój facet ze złomowiska znalazł w rozbitym samochodzie pierścioneł z brylantem, to, jak myślisz, mógłby go dać narzeczonej?

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że nie istnieją żadne racjonalne powody, by oczekiwać, że w samochodzie znajduje się pierścionek z brylantem. Gdyby prawowity właściciel zobaczył przypadkiem ten pierścionek na palcu owej narzeczonej, mógłby wnieść o odzyskanie mienia i wygrałby sprawę. Kiedy Glaser dawał wam te książki, nie miał pojęcia, że zawierają manuskrypt dużej wartości. A kiedy go znaleźliście, waszym obowiązkiem było powiedzieć mu, że jego własność jest warta znacznie więcej, niż sądził, a nie przywłaszczając jej sobie.

- Jeśli więc znajdę na wyprzedazy obraz i rozpoznam w nim Rembrandta, a sprzedający nie, to muszę mu o tym powiedzieć? Nie mogę po prostu dać mu dziesięciu dolców i sprzedać obrazu za dziesięć milionów?

- To zupełnie inna sytuacja. Po pierwsze, odnosisz korzyść dzięki swojej wiedzy, co jest legalne, i zostajesz właścicielem obrazu, zanim go sprzedasz. Tak, nawiasem mówiąc, postąpił z tobą Bulstrode. To podstępne działanie, ale całkowicie zgodne z prawem. Po drugie, nigdy nie byłeś właścicielem książek, z których został wyjęty manuskrypt. Był nim i pozostaje Glaser. Radziłabym ci, abyś się z nim jak najszybciej skontaktował i powiedział mu o wszystkim.

- Och, wielkie dzięki.

- Głupi dzieciaku, skup się! Ukradłeś przedmiot o wartości od pięćdziesięciu do stu tysięcy dolarów. Za parę minut zjawi się tu gość, przekonany, że ten wartościowy przedmiot stanowi część spadku, który mu powierzono. Jak myślisz, co zrobi jako przedstawiciel sądu, kiedy mu powiemy, że ten wartościowy przedmiot należy właściwie do kogoś innego i należał już wtedy, gdy sprzedawałeś go jego klientowi?

- Słuchaj jej, Albercie - doradziła surowo Mary Peg.

Crosetti wstał od stołu i wyszedł sztywnym krokiem z kuchni, kipiąc ze złości. Na jakimś racjonalnym poziomie rozumowania zdołał przekonać samego siebie, że cała transakcja jest swego rodzaju psikusem, czymś w rodzaju zdjęcia znaku stopu ze słupa, za co został słusznie ukarany, padając ofiarą przekrętu Bulstrode'a. W sensie moralnym, tłumaczył sobie, rzecz jest błaha. Ale teraz siedział z dwiema spośród trzech kobiet, którym starał się zaimponować (Rolly była chwilowo nieobecna), tymczasem one zgodnie uważały go za absolutnego palanta i przestępcę.

I tu odczuł całe brzemienie rodziny: jej rozczarowanie, choć ukryte pod płaszczykiem serdeczności, że nie jest takim bohaterem jak ojciec, że nie jest człowiekiem sukcesu jak jego siostry, a zwłaszcza że nie jest absolwentem Princeton i wydziału prawa na Columbii jak Donna. Poza tym szumiało mu w głowie od wina i pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli wejdzie na górę i palnie sobie w łeb z rewolweru, co zaoszczędzi wszystkim wielu kłopotów.

On jednak - jako przyzwoity młody człowiek z kochającej rodziny, nie zaś udręczony neurotyczny artysta, jak sobie czasem (w tej chwili) wyobrażał wyciągnął komórkę i zadzwonił do Simona Glasera, który przebywał w Los Angeles. Miał jego numer w swoim telefonie i Glaser odpowiedział po trzecim sygnale. Z zasady był staroświecki, ale dla komórek robił wyjątek.

- Albercie! Coś się stało?

- Nie, nie, z antykwariatem wszystko w porządku, panie Glaser. Zaszła pewna okoliczność i przepraszam, że pana niepokoję, ale muszę o coś pilnie zapytać.

- Tak?

- Hm, to dość długa historia. Może pan rozmawiać?

- Tak. Właśnie wybierałem się na kolację, ale możemy chwilę pomówić. O co chodzi?

- Okay, chodzi o Churchilla. Tego, który został zniszczony podczas pożaru. Prosił pan Carolyn, żeby go porozcinała...

- Ach, tak? I co z nim?

- Zastanawiałem się właśnie nad... nad tym, co z niego zostało. Mam na myśli...

Chwila milczenia.

- Dzwonili z ubezpieczenia?

- Nie, to nie jest kwestia ubezpieczenia...

- Bo to, co wypłacili, równa się mniej więcej temu, co dostalibyśmy na aukcji, więc... słuchaj, Albercie, jeśli zadzwonią, jeśli w ogóle zadzwonią, odeślij ich do mnie, rozumiesz? Nie rozmawiaj z nimi o rozcinianiu książek ani o tym, co zrobiła Carolyn, o niczym. Mam na myśli ryciny i mapy, zdobione grzbiety, to są naprawdę banalne sprawy, a wiesz, jacy są ci faceci z firm ubezpieczeniowych...

- Przepraszam... zdobione grzbiety?

- Tak, Carolyn mówiła, że ma na nie klienta, i pytała, czy może je wypolerować, odświeżyć i tak dalej, i sprzedać. Dałem jej wolną rękę. W dokumentacji powinien być rachunek. Ale najważniejsze...

- Przepraszam, panie Glaser. Kiedy to było?

- Och, nazajutrz po pożarze. Przyszła i spytała, czy może się zająć spalonymi książkami, skórą i tak dalej. Wiedziałaś, że zajmowała się po amatorsku introligatorstwem?

- Albercie! - zawołała Mary Peg. - Wracaj tu!

Crosetti zakrył kciukiem mikrofon komórki i zawołał:

- Chwileczkę, mamo! Rozmawiam z panem Glaserem. Po czym zwrócił się do antykwariusza: - Ach tak, owszem, wiedziałem o tym. A więc właściwie sprzedał jej pan te książki?

- No tak, okładki ze środkiem, bez rycin i tak dalej. Zdaje się, że po trzydzieści dolarów za tom. Naprawdę nie lubię zawracać sobie głowy takimi sprawami, a Carolyn zrobiła z tego mały biznes, pięknie oprawiała bezwartościowe książki i sprzedawała je dekoratorom wnętrz, którzy potem wciskali je pewnie różnym analfabetom, żeby mogli chować za nimi swoje barki. Ale o co właściwie chciałeś mnie spytać?

Crosetti wymyślił coś na poczekaniu: jak zaksięgować straty powstałe w wyniku pożaru. Otrzymał krótką odpowiedź i zakończył rozmowę. To, czego się właśnie dowiedział, przyniosło mu ulgę i jednocześnie go zaszokowało. Ulgę, bo wyjaśniła się kwestia prawowitego właściciela manuskryptu; zaszokowało, bo Carolyn kazała mu myśleć, że transakcja miała w sobie coś niejasnego i podejrzanego, co w rzeczywistości nie było prawdą. A więc dlaczego pozwoliła mu wziąć ten manuskrypt? Dlaczego udawała, że została do tego nakloniona czymś w rodzaju małego szantażu? Dlaczego posłużyła się tym rzekomym przestępstwem jako emocjonalnym bodźcem, co zmusiło go do sprzedania rękopisu Bulstrode'owi? Nie było w tym wszystkim najmniejszego sensu. I jak miał to przekazać siostrze?

Wrócił do kuchni i zrelacjonował w głównych zarysach rozmowę, którą właśnie odbył; tak jak się spodziewał, Donna miała mnóstwo zastrzeżeń, które przed chwilą przyszły do głowy także jemu samemu. Przerwał jej jednak, bo wiedząc, że ma rację, stał się bardziej agresywny.

- Donno, na miłość boską, to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia! Jestem w każdym sensie właścicielem manuskryptu Bracegirdle'a. Carolyn tu nie ma, a Glaser nie będzie z tego robił afery, bo mam wrażenie, że orznął towarzystwo ubezpieczeniowe na tych zniszczonych książkach. Prawdopodobnie zażądał pokrycia całej wartości i zapomniał napomknąć, co zarobił na mapach i rycinach, czyli o jakichś pięciu tysiącach. A więc tu sprawa jest jasna.

- Nie jestem taka pewna rzekła Donna. - Towarzystwo ubezpieczeniowe może uznać się za właściciela manuskryptu. Zapłaciło za niego.

- No więc niech wystąpią do sądu - warknęła Crosetti. - Czy jest tymczasem jakaś szansa, żeby wyłączyć ten manuskrypt z masy spadkowej?

- Możesz wystąpić do sądu - odparła Donna z równą zaciękością.

- Dzieci - wtrąciła Mary Peg dobrze im znanym tonem. - Uspokójcie się. Jeśli nikt niczego nie ukradł, to mamy całkiem inną sytuację, dzięki Bogu. Poczekajmy, co nam powie ten pan Mishkin. Bardziej martwi mnie ta próba uprowadzenia. Zadzwońię do Patty. Myślę, że należy zawiadomić policję.

Mówiąc to, podniosła słuchawkę kuchennego telefonu, ale zanim zdążyła wybrać numer, ktoś zadzwonił do drzwi. Mary Peg poszła otworzyć i wpuściła rosnącego mężczyznę w czarnym skórzanym płaszczu. Był krótko ostrzyżony i miał ponure spojrzenie; Crosetti pomyślał, że może to być jeden z niedawnych napastników. Gdy jednak mężczyzna wszedł dalej, żeby się przedstawić, można się było zorientować, że mimo surowych rysów nie jest zbirzem i że ma jakiś smutek w czarnych oczach, smutek, który przypominał Crosettiemu ojca, także mężczyznę o surowej twarzy i posępnym spojrzeniu.

Mary Peg oznajmiła, że będzie im znacznie wygodniej w salonie (to znaczy z dala od tych kompromitujących kieliszków na stole i oparów wina), a zatem wszyscy udali się gęsiego do pokoju z meblami o wytartej tapicerce, bibelotami i portretem bohatera, gdzie gospodyni zapytała, czy może odebrać płaszcz od pana Mishkina, i zaproponowała kawę.

Kiedy się rozsiedli, Donna bezzwłocznie dała do zrozumienia, że to ona tu rządzi. Poinformowała wielkoluda, kim jest, i wyjaśniła, że tymczasowo reprezentuje rodzinę, po czym wyliczyła to, co uważała za podstawowe fakty w sprawie. Że brat udał się do profesora Bulstrode'a w dobrej wierze, aby ten ocenił wartość XVII-wiecznego

manuskryptu będącego w jego posiadaniu. Że Bulstrode postąpił niezgodnie z etyką eksperta, który ma obowiązek dokonać uczciwej oceny. Że, mówiąc wprost, skłamał co do treści manuskryptu, który był ważnym przyczynkiem do badań twórczości Szekspira, i nabył od Alberta Crosettiego ów dokument za kwotę stanowiącą ułamek jego rzeczywistej wartości, czyli dokonał transakcji, którą każdy sąd uzna za nielegalną. I co on, pan Mishkin, zamierza z tym zrobić?

- No cóż, pani Crosetti - odrzekł Mishkin. - Mogę zrobić niewiele. Jestem tu w pewnym sensie „pod fałszywym pretekstem”. Do osobistego zaangażowania w tę sprawę skłonił mnie fakt, że na krótko przed swą tragiczną śmiercią profesor Bulstrode przyszedł do mnie i zdeponował w naszej kancelarii rękopis, który zakupił od obecnego tu pana Crosettiego. Potrzebował rady w kwestii praw autorskich i ja mu jej udzieliłem. Manuskrypt był częścią jego masy spadkowej i kiedy zjawiła się kobieta, która przedstawiła się jako spadkobierczyni, zajął się tym odpowiedni dział naszej kancelarii. Mnie osobiście nie interesuje ten aspekt sprawy.

- A więc czemu pan tu przyszedł? - zapytała Donna, po czym uświadomiwszy sobie wagę tego, co przed chwilą powiedział, dodała: - I co pan rozumie przez sformułowanie „przedstawiła się jako spadkobierczyni”?

- No właśnie; wydaje się, że zostaliśmy oszukani. Ta kobieta, rzekoma siostrzenica zmarłego, Miranda Kellogg, zniknęła razem z manuskryptem. Miejsce jej pobytu jest chwilowo nieznane.

Zdumienie.

- Chyba pan żartuje! - wykrzyknęła Donna.

- Chciałbym, żeby tak było, pani Crosetti. I przyznaję, że był to wyłącznie mój błąd. Ta osoba zyskała moje pełne zaufanie, opowiadając mi absolutnie wiarygodną historię, i ja przekazałem jej dokument. - Mishkin przeniósł wzrok na Crosettiego. - Pytał pan, dlaczego chciałem się z panem spotkać. Czy ktoś groził panu lub jakiegokolwiek związanej z panem osobie?

Crosetti i Donna wymienili szybko spojrzenia.

- Tak. Jacyś osobnicy próbowali mnie uprowadzić przed godziną.

- Dwaj mężczyźni, jeden potężny i drugi trochę niższy? I jeżdżą czarnym SUVem?

- Zgadza się. Skąd pan wie?
- Mnie też zaatakowali w zeszłym tygodniu i próbowali ukraść rękopis. Wtedy sobie z nimi poradziłem, ale niedługo później ci sami albo jacyś inni ludzie wtargnęli do mojego mieszkania, pobili strażnika i zbiegli z manuskryptem i z kobietą, która podawała się za panią Kellogg. Byłem przekonany, że została uprowadzona, ale teraz jest jasne, że była w zmo-wie z napastnikami. Mogę się tylko domyślać, że pierwszy atak miał cel emocjonalny i służył uspieniu mojej czujności. Albo jest tak, jak mówię, albo mamy do czynienia z dwoma różnymi przeciwnikami. A skoro już o tym mowa, to przypuszczam, że zna pan osobę wymienioną w notesie Bulstrode'a jako Carolyn R.?

- Tak! Znam. Carolyn Rolly. To ona znalazła rękopis w książkach. Wie pan może, gdzie teraz jest?

- Nie, nie wiem, ale pani Kellogg zadzwoniła do mnie po swoim zniknięciu i powiedziała mi, że w sprawę zamieszana jest osoba imieniem Carolyn. Czy też jest ofiarą, czy współpracuje z gangsterami, trudno mi powiedzieć. Ale najwyraźniej wie, że nie rozstał się pan z całym rękopi-sem i że jest kilkanaście kartek, najprawdopodobniej w formie szyfru, które pan zachował. Ktoś jeszcze wie, że pan je ma, i ten ktoś chce je zdobyć.

- Ale one są bezużyteczne! zaprotestował Crosetti. - Nie można ich odczytać. Do diabła, ktokolwiek to jest, mogę mu te listy natychmiast od-dać. Chce je pan? Może pan sobie wziąć te cholerne papiery.

- Nie podoba mi się pomysł, żebyś oddawał swoją własność pod wpływem gróźb powiedziała Donna.

- Nie? To dlaczego ty sobie ich nie weźmiesz?

- Czego? - zapytała Mary Peg, wchodząc z kawą na tacy i talerzem ciasteczek.

- Albert chce oddać rękopis gangsterom poinformowała Donna.

- Nonsens. - Mary Peg wzruszyła ramionami i zaczęła rozstawiać fi-lizanki. Nie ulegniemy przemocy. - Usiadła na sofie obok syna. - Wyglą-da na to, że wszyscy jesteśmy zamieszani w sprawę w rozmaity sposób. Może więc niech każdy opowie swoją historię, tak jak to robią na filmach sensacyjnych, i uzgodnijmy plan działania.

- Mamo, to jakieś wariactwo! zawołała Donna. Powinniśmy natychmiast zawiadomić policję i przekazać jej całą tę gmatwaninę.

- Policja ma na głowie ważniejsze sprawy niż tajemnicze listy i próba uprowadzenia, kochanie. Powiem Patty o wszystkim, ale jestem pewna, że się ze mną zgodzi. Policja nie może zapewnić całodobowej ochrony każdemu członkowi naszej rodziny. Musimy sami to rozwikłać, z czym doskonale sobie poradzimy. Poza tym burzy się we mnie irlandzka krew. Nie podoba mi się, że takie zbiry próbują nas zastraszyć.

Córka i syn spojrzeli na nią zaskoczeni i po raz pierwszy od wielu lat przypomnieli sobie pewne straszliwe zdarzenia z dzieciństwa. Wszystkie dzieci Crosettich chodziły do szkoły prowadzonej przez siostry misjonarki Świętej Rodziny, stanowiąc ostatnie pokolenie małych amerykańskich katolików edukowanych przynajmniej częściowo przez zakonnice. W przeciwieństwie do innych rodziców Mary Peg często zjawiała się na kredowych korytarzach szkoły, aby zrobić siostrom awanturę o jakiś przejaw niesprawiedliwości, brak troski czy niekompetencję i pomimo błagań własnych dzieci nie dawała się uciszyć. One jednak w pewnym sensie nadal wierzyły, że ktoś, kto wytrzymał ataki zionącej ogniem siostry miłoserdzia, poskromi dowolną liczbę zwykłych gangsterów.

- Może pan zacznie, panie Mishkin? - zaproponowała.

- Jake - powiedział pan Mishkin.

- Jak w *Chinatown* - zauważyła Mary Peg.

- Mam nadzieję, że nie - westchnął Mishkin, wyciągając niewielki notes z kieszeni marynarki. - Zobaczmy. Jedenastego października Bulstrode przychodzi do mojego biura po radę w kwestii praw autorskich...

Tu Mishkin opowiedział całą historię, pomijając partie nieprzyzwoite i kończąc na rozmowie z Osipem Szwanowem oraz jego zapewnieniu, że nie ma nic wspólnego z jakimikolwiek brutalnymi działaniami.

- I ty mu uwierzyłeś? - spytał Crosetti.

- W żadnym wypadku. Właściwie to pytał mnie tylko o zaszyfrowane listy. Ludzie, którzy próbowali cię uprowadzić, chcą zdobyć coś, co jest w twoim posiadaniu, a tym czymś mogą być tylko listy, których, jak mówisz, nie potrafisz rozszyfrować.

Trójka Crosettech wymieniła szybkie spojrzenia i po pełnej napięcia pauzie Albert potwierdził, że nie udało się złamać szyfru, i wyjaśnił dlaczego.

- Rozumiesz, co to oznacza? - zapytała Mary Peg.

- Nie - odpowiedział i było to kłamstwo; nie chciał dopuścić do siebie strasznej prawdy.

- A dla mnie to całkiem jasne - oświadczyła matka. Żyje tylko dwoje ludzi, którzy wiedzą, że te zniszczone książki zawierały komplet zaszyfrowanych listów: ty i ta Carolyn, a ci, którym o tych listach powiedziałeś, są absolutnie godni zaufania...

- No dobrze. A co z Klimem?

- ...absolutnie godni zaufania, co oznacza, że od samego początku stoi za tym wszystkim ta Rolly.

- Akurat!

- Doprawdy, Albercie, spójrz prawdzie w oczy! Kto cię namówił, żeby sprzedać rękopis Bulstrode'owi? Rolly. Kto zaraz potem zwił do Anglii? Rolly. Bulstrode musiał znaleźć coś w Anglii i byli prawdopodobnie razem, kiedy to się stało. Potem wrócił, torturowali go i zamęczyli na śmierć, żeby wyjawiał to coś, a kto mógł wiedzieć, co to było? Rolly!

- Mamo, to jest takie... takie całkowicie niedorzeczne. Robisz z Carolyn przestępczynię; nie mając cienia dowodu. Równie dobrze może być ofiarą. Ją też mogli torturować i właśnie w taki sposób ten ktoś mógł się dowiedzieć o szyfrach.

- On ma rację, mamo - zauważyła Donna, w której odezwał się zawodowy obrońca. - Wiemy za mało, abyśmy mogli spekulować o winie Carolyn Rolly, choć jeśli informacja nie wyszła pośrednio od Alliego, źródłem przecieku o szyfrach musiała być ona. Tymczasem jest to czysto kryminalna sprawa i...

Trach!

Odgłos strzału dotarł z ulicy i trójka Crosettech natychmiast zorientowała się, co to jest, bo nie należeli do tych, którzy w takich wypadkach mówią: „To fajerwerk albo gaźnik”. Po chwili z dołu dobiegła strzelanina. Wszyscy zerwali się na równe nogi, a Mary Peg sięgnęła po bezprzewodową słuchawkę leżącą na stoliku.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, głośny tupot i do pokoju wpadło trzech zwalistych mężczyzn z dużymi półautomatycznymi pistoletami w dłoniach. Jeden z nich wrzasnął do Mary Peg, aby rzuciła słuchawkę. Nie posłuchała go, tylko wystukała 911. Kiedy zgłosił się dyżurny, podała dwukrotnie adres i poinformowała:

- Strzelanina. Wtargnięcie do domu.

Mężczyzna wyrwał jej słuchawkę, chwycił od tyłu za szyję i przyłożył pistolet do skroni.

PIĄTY ZASZYFROWANY LIST

Panie mój, nie miałem wieści od Ciebie od pięciu miesięcy i co powinienem zrobić? W.S. powiada, że nie odda swojej sztuki o Maryi nikomu, tylko do rąk własnych lorda Rochester'a lub kogoś z jego rodu. Czy mam ją wykraść i przestać Waszej Lordowskiej Mości? Pan Wales został zabity w tym tygodniu, znaleziono go zakłutego w Mincing Lane. Z Londynu, 2 grudnia 1611. Pozostając najwierniejszym i uniżonym sługą Waszej Wysokości

Richard Bracegirdle

Kiedy Szwanow wyszedł, zadzwoniłem z komórki do Miriam. Była oczywiście poza domem i miała wyłączony telefon (nigdy w ciągu ponad dwudziestu lat nie dodzwoniłem się do swojej siostry za pierwszym razem), toteż zostawiłem jej wiadomość. Trochę historyczną. Dlaczego? Dlatego, że nikt oprócz nas trojga miał nie znać naszego ojca? To śmieszne, ale poczułem paniczny lęk.

Nazajutrz, około dziesiątej rano, zadzwoniła do mnie na komórkę kobieta nazwiskiem Donna Crosetti i oznajmiła, że reprezentuje swego brata Alberta w sprawie pewnych papierów, które zmarły profesor Bulstrode nabył w wyniku oszustwa. Odpowiedziałem, że to się dopiero okaże, czy było w tym jakieś oszustwo, czy nie, ale że chętnie spotkam się z nią lub z Albertem, żeby wszystko omówić. Przez cały czas myślałem, że to dziwne jak na prawnika - reprezentować członka własnej rodziny, dziwne też wydało mi się miejsce spotkania, jakie zaproponowała dom w Queens, a nie jakaś kancelaria prawnicza. Po ustaleniu, że spotkamy się tego wieczoru, wybrałem numer, z którego dzwoniła, i zaskoczony stwierdziłem, że jest to biuro porad prawnych. Jeszcze jeden dowód świadczący o

tym, jak mi wtedy odbijało, bo gdybym był przy zdrowych zmysłach, nigdy nie zgodziłbym się na to spotkanie.

Na razie mój dziennik w ogóle mi nie pomaga, bo zostałem wyłączony ze swojej codziennej rutynowej roboty. Wszelkie spotkania zostały odłożone na czas nieokreślony, co okazało się nie takie znów dobre. Ludziom, którzy wykonują stresującą pracę, mówi się często, żeby odpoczęli, ale czasem to właśnie stres sprawia, że nie wypadają z formy; przypominają staroświecki dwupłatowiec, utrzymujący się w powietrzu dzięki gumkom i drutom, bez których spadłby na ziemię. A zatem teraz, przy tej bezczynności, do której nie przywykłem, trybiki się poluzowały albo zaczęły się zacinać. Chodziłem nerwowo po domu. Przerzucałem kanały w telewizorze. Przyglądałem się przez okno gołębiom i ruchowi ulicznemu. Miałem atak serca...

Tak mi się przynajmniej wydawało, bo w rzeczywistości był to tylko przyływ paniki: brak tchu, poty, mrowienie rąk, zaburzenia ruchu. Rozległ się standardowy, nagrany fabrycznie sygnał mojej komórki; chwyciłem ją, jakby to było samo życie. Dzwonił Omar: czy będę chciał dziś gdzieś pojechać? Właściwie to zamierzałem. Miałem pewną liczbę przyjaciół i znajomych w mieście, ale pomyślałem, że w sytuacji, gdy zostałem zwolniony z pracy za wykroczenie służbowe, jedyną osobą, do jakiej mogę się udać, jest moja żona. A więc odświeżyłem się, ubrałem skromnie, ale z niejaką starannością, i sprawdziłem, czy nie zdradzam zewnętrznych oznak deprawacji. Znalazłem ich wiele w swym wyglądzie, więc wziąłem xanax, żeby się tym za bardzo nie przejmować, i pojechaliśmy. Jeszcze większa *Dummheit!* Zawsze zapominam, że moja żona zbyt dobrze mnie rozumie.

Wspominałem chyba, że Amalie wydaje informator finansowy, redagowany w małym biurze w naszym domu. Jest to trochę mylące, bo istnieje także prawdziwe, pełne komputerów biuro na Broad Street i inne ważne dla międzynarodowych finansów biura rozrzucone na całej planecie w różnych strefach czasowych. Moja żona stara się je odwiedzać jak najrzadziej, bo lubi myśleć o sobie jako o zwykłej żonie i matce, która oddaje się tylko finansowemu hobby, tak jakby szydełkowała, a nie kierowała przedsięwzięciem, w którym ma do czynienia z wielomilionowymi sumami. Jest to swoisty żart w świecie finansów, jak słyszałem, ale okazuje się

(zapytajcie Mike'a Bloomberg'a), że z czasem takie imperium informacji finansowej zaczyna funkcjonować siłą rozpędu i głównym zadaniem jego założyciela jest opieranie się pokusie doradzania klientom.

Miałem zatem wszelkie powody sądzić, że Amalie znajdzie czas na krzepiącą pogawędkę, ale kiedy dotarłem na miejsce, Lourdes, która otworzyła drzwi, poinformowała mnie, że Amalie jest zajęta, bo ma właśnie spotkanie. Jeśli chcę, mogę poczekać w salonie.

A więc czekałem naburmuszony, żałując, że nie mam więcej tabletek; dręczyły mnie duszności w klatce piersiowej i wydawało mi się, że czekam tak godzinami, ale na zegarku, na który bez przerwy zerkałem, upłynęło niespełna czterdzieści minut, zanim wreszcie usłyszałem głosy w korytarzu. Zerwałem się i zdążyłem zobaczyć Amalie odprowadzającą trzech panów w garniturach, którzy spojrzeli na mnie zaciekawieni jak na jakiś eksponat (takie odniosłem wrażenie): oto bezrobotny były mąż, który czai się w pobliżu. Amalie natomiast nie okazała zdziwienia ani mnie nie przedstawiła, tylko z wdziękiem odprowadziła i pożegnała gości.

Kiedy wróciła, zapytałem, starając się mówić lekkim tonem:

- Ważne spotkanie?
- Owszem - odparła. - Co się stało, Jake?

Zrelacjonowałem całą aferę w kancelarii, w tonacji żalostnej i bezlitośnie samokrytycznej, siedząc na jej/mojej skórzanej sofie, podczas gdy Amalie przycupnęła sztywno na krześle naprzeciwko. Pomiąłem tylko strasznego Rosjanina z poprzedniego wieczoru.

- Biedny Jake - oznajmiła, kiedy skończyłem. - Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Odetchnę trochę, zastanowię się nad życiem. Może się rozejrzę za tą zaginioną sztuką.

- Och, nawet nie żartuj na ten temat!
- Dlaczego nie? zapytałem. Co się może stać?

- Jeden człowiek już zginął z tego powodu, jak twierdzisz, a moich dzieci muszą pilnować gangsterzy Paula. Nie zniosę takiej sytuacji, Jake. Już powiedziałam Paulowi: „Dziękuję ci bardzo, ale proszę, daj sobie spokój”.

- Co takiego? Nikt nie pilnuje dzieci?

- Tak, i nie ma powodu, by ktokolwiek zawracał sobie tym głowę, bo nie masz już tego, czego oni chcą. - Musiała zauważyć w wyrazie mojej twarzy coś, czego nie byłem świadom, bo dodała nieco bardziej dobitnie: W każdym razie tak mi powiedziałeś. A może jednak coś masz?

- Nie - odparłem pośpiesznie. - Oczywiście, że nie. Oni już zdobyli oryginał listu, a to jedyne, co w ogóle miałem. Sprawa jest skończona.

Patrzyła na mnie, jakby na coś czekając. W końcu zapytałem:

- O co chodzi?

- O nic. Ze swej strony nie mam nic do powiedzenia. To ty przyszedłeś do mojego domu.

- Wydawało mi się, że będziemy mogli porozmawiać - wyjaśniłem.

- O czym? Czy mamy rozmawiać o twojej nowej kochance?

- Nie ma nowej kochanki.

- To zdumiewające. Słuchaj, stoczyliśmy straszną walkę, kolejną straszną, gorszącą walkę o twoje kłamstwa i dziewczyny, a teraz przez jedną z nich zniszczyłeś swoją karierę zawodową i wracasz do mnie... po co właściwie? Żeby cię ukarała? Mam jak żona z kreskówki stanąć w drzwiach z założonymi rękami albo z wałkiem w dłoni i tupać nogą? Czy też przyjąć cię z powrotem? Na jakiej podstawie? Żebyś mógł sobie szaleć jak napalony kundel, kiedy ci się tylko zachce, podczas gdy ja będę czekać i palić lampę w oknie?

Nie pamiętam już, co odpowiedziałem. Nie pamiętam, czego chciałem od tej nieszczęśliwej kobiety. Chyba tego, by zgodziła się wymazać przeszłość i zacząć wszystko od nowa. Wydaje mi się, że upadłem nisko i zacząłem apelować do jej chrześcijańskiego miłosierdzia: czy uważa, że nie ma dla mnie wybaczenia? Wtedy oświadczyła coś, co już nieraz słyszałem: że nie ma przebaczenia bez skruchy i że nigdy tak naprawdę jej nie okazałem. A potem straciła panowanie nad sobą i zaczęła krzyczeć, że znów to robię, znów sprawiam, że czuje się jak jakaś cholerna nauczycielka ze szkółki niedzielnej, a przecież ona nie będzie pouczać mnie, swojego męża, i prawić morałów, bo sam powinien to wiedzieć.

I tak dalej. We wczesnym okresie naszego związku Amalie zwierzyła mi się, że kiedy miała trzynaście lat, wyszło na jaw, że jej ukochany ojczulek ma jeszcze jedną rodzinę po drugiej stronie tunelu Mont Blanc, kochankę i dwie córki, à la

Mitterand. Wszystko było oczywiście na najwyższym poziomie i cywilizowane, rozwód nie wchodził w rachubę, do przyjęcia była tylko kontynuacja tego piekła milczących posiłków, oddzielnych sypialni i dzieci wysyłanych do szkół z internatem. Amalie znała więc grozę niewierności, dlatego porzuciła wyrafinowaną dekadencją Europę dla purytańskiej Ameryki; jesteśmy otyli, głupi i brak nam kultury, ale być może amerykańscy mężczyźni nie są takimi hipokrytami, gdy w grę wchodzi przysięga małżeńska. I wyszła za mnie.

Potem zmieniła temat, wstała i lekko zgarbiona zaczęła się przechadzać po pokoju, z rękami w kieszeniach kaszmirowego swetra, jaki często wkładała do pracy. Powiedziała mi, że mężczyźni, których u niej widziałem, byli z organizacji Dow Jones. Już od pewnego czasu zamierzali nabyć „Mishkin's Arbitrage Letter” i Amalie właśnie zgodziła się sprzedać biuletyn za kwotę, która może nie pokryłaby kosztów nabycia eskadry nowoczesnych myśliwców. Dodała, że zamierza też sprzedać dom i przenieść się do Zurychu. Jej matka była coraz starsza, samotna i przygnębiona i dobrze by jej zrobiła opieka nad wnukami, poza tym Amalie była zła na mój naród, nie chciała wychowywać dzieci w chrześcijańsko-faszystowskim imperium, nie było to jej zamiarem, kiedy pierwszy raz przyjechała do Ameryki, wolnego kraju, i teraz chciała się bez reszty poświęcić działalności dobroczynnej w jakimś bardziej sensownym miejscu na Ziemi. Kiedy skończyła, wypaliłem:

- A co ze mną?

To bardzo boli, kiedy ktoś, kogo się kochało, patrzy na człowieka z politowaniem, tak jak zrobiła to wtedy Amalie. Powinienem był sobie uświadomić, jak mi się teraz wydaje, że moja miłość była wciąż żywa, bo inaczej nie cierpiałbym tak bardzo. Mogłem stać się modnym, „odseparowanym” mężczyzną, jak ci, których w niedziele widuje się w parkach i eleganckich restauracjach na Manhattanie: niespokojni, sztucznie weseli, pobłażliwi dla swych nieszczęśliwych dzieci. Amalie spuściła wzrok, jakby zakłopotana tym, co widzi, i wyciągnęła chusteczkę higieniczną z paczki, którą zawsze trzymała w kieszeni swetra. Otarła oczy, wydmuchała nos. W swej niegodziwości pomyślałem: Ach, płacze, to dobry znak! Mimo woli zacząłem ją błagać, by nie odchodziła, przyrzekać, że się zmienię, itd. Powiedziała, że zawsze mnie kochała i będzie kochać, i bardzo by chciała być miłą, ale nie może,

i gdybym się kiedyś zdecydował wrócić na honorowych warunkach, ona to rozważy, na co odparłem: „Zaraz, ja już zdecydowałem”, a ona rzuciła mi badawcze spojrzenie, jak to tylko ona potrafi, i odrzekła: „O nie, Jake, obawiam się, że się nie zdecydowałeś”.

Co było prawdą, bo dosłownie przed chwileczką, kiedy oczekiwałem, że może jednak da się ugłaskać, jednocześnie wciąż myślałem, że jakoś mógłbym odzyskać Mirandę, wyjaśnić nasze małe nieporozumienie i w efekcie mieć do dyspozycji obie Amalie, tę dawną i tę nową. Nie mogę kontynuować zapisywania tych wstrętnych myśli, które krążyły w moim szachrajskim mózgu. Nie ma to znaczenia.

Co zrobiłem, kiedy, całkiem zresztą słusznie, pokazała mi drzwi? Poszedłem do siłowni, gdzie Arkady objął mnie serdecznie na powitanie, choć w jego spojrzeniu czaiła się nieszczerłość. Bóg jeden wie, co zrobił Szwanow, żebym mógł tu wrócić, ale było jasne, że dawna poufałość ulotniła się bez śladu. Plotki musiały dotrzeć także do innych klientów siłowni, bo traktowali mnie jak radioaktywnego księcia: nie musiałem czekać na ławkę ani na wolne miejsce przy urządzeniach. Wyciskałem ciężary, aż zrobiło mi się niedobrze, a potem wziąłem piekielnie gorący prysznic; siłownia Arkadego słynie z niebezpiecznie wysokiej temperatury wody (są tu nawet znaki ostrzegawcze) i zastanawiałem się nawet, czy nie można się w ten sposób zabić, przypadkowo lub umyślnie. Kiedy byłem już czerwony jak surowe mięso, zakręciłem gorącą wodę i poddałem się torturze lodowatego prysznica, aż zacząłem szczekać zębami.

Ubierałem się właśnie, gdy odezwała się moja komórka: dzwoniła siostra. Bez zbędnych wstępów spytałem ją, czy wiedziała, że Osip Szwanow zna naszego ojca. Jasne, odpowiedziała. Znają się z Izraela. A o co chodzi?

Rzeczywiście, o co chodzi? Tamta informacja nappełniła mnie dziwnie infantylnym lękiem, takim, jaki odczuwa dziecko, gdy musi zataić coś przed rodzicami, nie bardzo wiedząc czemu, świadome jedynie tego, że jeśli to odkryją, zareagują złością albo, co gorsza, ulegną podświadome-mu impulsowi, aby zawładnąć częścią jego duszy.

- Jake, czy coś się stało?

Szczerze mówiąc, nie pamiętam, co takiego powiedziałem, że zadała mi to pytanie; musiałem coś bełkotać, czego zwykle nie robię. Powin-nem był zamilknąć,

bo Miri rzadko interesuje się kłopotami swoich bliskich, woląc rozmawiać o własnych, których ma tak wiele.

- Nie skłamałem. Słuchaj, Miri, czy ty... jak by to powiedzieć... dyskutowałaś z kimś o tym manuskrypcie, którym się zajmuję? Ze Szwanowem? Albo z ojcem?

- O jakim manuskrypcie?

- No wiesz, mówiłem ci o tym tamtego wieczoru u Amalie... Szekspir, profesor zamęczony na śmierć.

- Ach, o tym. Nie sądzę, ale wiesz, nie notuję wszystkiego, o czym rozmawiam. A o co chodzi? Czy to miał być jakiś wielki sekret? Nie, nie zostawiajcie tam tego! Przysuńcie do fortepianu!

- O czym ty mówisz?

- Ach, właśnie coś mi przywieźli. Słuchaj, kochanie, muszę kończyć, bo ci ludzie zdemolują mi salon. Pa, pa!

Po czym odłożyła słuchawkę, pozostawiając mnie z przekonaniem, że to ona, moja siostra, rozpowszechniła w kręgu swoich przyjaciół, do których zaliczali się także ludzie działający na styku biznesu i świata przestępczego, zabawną historyjkę o tym, jak to jej brat znalazł klucz do bajecznego skarbu. Miri nigdy nie zwracała sobie głowy właściwym dobrem znajomych, a to oznaczało, że Szwanow mógł mówić prawdę miasto roiło się od rosyjskich zbirów do wynajęcia i ci, którzy mnie zaatakowali, nie musieli mieć związku z jego najemnikami. Zresztą nie wiem. Może była to wielka konspiracja, która się przyczaiła, czekając na stosowny moment do ataku. Jak mogłem być tak głupi, żeby chodzić do siłowni pełnej rosyjskich brutalni? Myślę, że panika nie zagnieżdża się w umyśle na trwałe, jest ulotna jak zapach, choć i on może powrócić, jak u Prousta, pod wpływem jakiegoś pierwotnego bodźca. W tej chwili trochę mi odbija, nie mogę więc sobie dobrze przypomnieć tej irracjonalnej desperacji, która mnie wówczas ogarnęła, gdy tak siedziałem półnagi w szatni. Trzymałem w dłoni komórkę i niemal machinalnie wybrałem numer Mickeya Haasa. Zostawiłem mu wiadomość, żeby natychmiast się ze mną skontaktował. Musiał wyczuć w moim głosie nutę szaleństwa, bo oddzwonił jakieś dwadzieścia minut później, kiedy czekałem przy krawężniku, aż Omar zawróci samochodem.

- Zjesz ze mną lunch?
 - O to chodzi? Miałeś taki głos, jakby ci się paliło pod tyłkiem.
 - To rozpaczliwe zaproszenie. Ścigają mnie rosyjscy gangsterzy. Naprawdę muszę z kimś porozmawiać.
 - Okay. Jestem umówiony ze swoim wydawcą, ale mogę odwołać spotkanie. Przyślesz po mnie Omara?
 - Przyjadę po ciebie. Wybierzemy jakieś nowe miejsce.
- Oczywiście zakładałem, że będą obserwować lokale, w których bywam...

Pojechaliśmy do „Sichuan Gardens” na Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy, co nawet lekko rozbawiło Mickeya. Knajpka jest mroczna, na piętrze dużego budynku usługowego; usiadłem przodem do lustrzanej ściany, skąd mogłem obserwować wejście. Aby jeszcze bardziej wyostrzyć swą czujność, zamówiłem martini.

- A więc, lewusie - powiedział Mickey, kiedy złożyliśmy zamówienie - myślisz, że Wielki Max zlecił sprzątnięcie twojej osoby?

- Nie ma się z czego śmiać, człowieku odparłem. - To nie życie w moim stylu.

- Nie, twoje życie to długie, nudne godziny w biurze, praca, za którą nie przepadasz i której celem jest przekształcenie aktu twórczego w towar jeszcze bardziej chodliwy. I uganiecie się za laskami w czasie wolnym w poszukiwaniu romantycznego związku, który pozostałby romantycznym związkiem, mimo że już coś takiego znalazłeś przed laty. I jeśli jeszcze raz przekonasz sam siebie, że znalazłeś kobietę idealną, zaczniesz znów uganiać się za laskami, i to zaraz po ślubie, w ponurym cyklu, który skończy się dopiero wtedy, kiedy trafisz na kogoś solidnego, niezawodnego i interesownego, kto będzie przy tobie trwał i pielęgnował cię w twojej ostatniej chorobie, a potem zgarnie cały szmal.

- Dziękuję ci za wsparcie, Mickey - powiedziałem najbardziej lodo-watym tonem, na jaki mogłem się zdobyć. - I pieprz się.

- Gdy tymczasem teraz - ciągnął niezrażony - prowadzisz życie prawdziwego mężczyzny, każda chwila ma wielkie znaczenie, jest brzemnienna w niebezpieczeństwa i podniecająca. Szekspirowskie życie, można powiedzieć, życie godne Richarda Braccigirdle'a. Chciałbyś, żeby Hamlet wrócił do college'u i wstąpił do studenckiej korporacji? Upijał się, balował i dostał trzy minus ze scholastyki?

- Czy przypadkiem nie zabijają go na końcu sztuki?
- Owszem, ale czyż nie umrzemy wszyscy? Wybór polega tylko na tym, jak żyjemy przez wcześniejsze pięć aktów. A skoro już mowa o podniecających chwilach: czy jesteś choć odrobinę bliżej ustalenia, gdzie może się znajdować oryginał Bracegirdle'a?

- Nie, i nie zamierzam go szukać - odwar knąłem, bo byłem z nim szczerzy. - Nie żądałem od niego współczucia i było mi obojętne, czy uważa, że jestem w niebezpieczeństwie, co z premedytacją zasugerowałem swojej żonie. Nie chcę mieć nic wspólnego z Bracegirdle'em, chcę być tylko pewien, że rosyjscy gangsterzy, czy ktokolwiek, kto szuka tych szyfrów, zostawią mnie, kurwa, w spokoju. A co z tobą? Przebadałeś ten tajemniczy manuskrypt od naszego ostatniego spotkania?

- Nie, i nie zamierzam - powtórzył po mnie jak echo. - Przekazać coś takiego specjaliście to tak, jakby ofiarować głodującemu kolorowe zdjęcie krwistego befsztyka. Pocieknie mu ślinka, ale się nie pożywi. Bez oryginału, jak już chyba mówiłem, tekst sam w sobie jest niczym. Nie oglądając się na domniemany list jegomościa, który szpiegował naszego Williama, mógłbym w wolne popołudnie wysmażyć przekonujące faksymile osobistego dziennika Szekspira, odpowiadając na pytania, które dręczą naukowców od lat. Wspomniałeś o rosyjskich gangsterach?

Teraz wszystko runęło lawiną Miranda, Amalie, Rosjanie, firma prawnicza, dosłownie wszystko. Mickey atakował pałeczkami swój mocno przyprawiony befsztyk z gryczanymi kluskami i słuchał spokojnie, tak jak ja przez całe lata wysłuchiwałem jego. Kiedy zabrakło słów, zapytałem go o zdanie i zasugerowałem, żeby nie mówił po prostu, że zostałem wydymany, bo już to wiem.

- Chcesz się zobaczyć z tym małym Crosettim w sprawie szyfru? spytał.

- Tak, ale oni myślą, że zamierzam pertraktować w sprawie zwrotu oryginału, który wyłudził od niego Bulstrode. Nie mam absolutnie żadnych środków nacisku oprócz pieniędzy.

- Zawsze uważałem, że to całkiem niezły środek nacisku. A przy okazji: co zamierzasz zrobić ze swoim życiem? Sądzisz, że naprawdę mogą cię wykluczyć z palestry?

- Możliwe, jeśli spadkobierca wniesie skargę. Oczywiście wtedy się odwołam...

- Powinieneś się z nim zobaczyć.
- Ze spadkobiercą? Wykluczone!
- Dlaczego? Pogadaj z nim, wyjaśnij, co się stało, uderz się w pierś i błagaj o zmiłowanie. Wiesz, kłopot z wami, prawnikami, polega na tym, że czasem, usiłując działać absolutnie legalnie, zapominacie o zwykłych, międzyludzkich stosunkach. Co ci może zrobić? Nazwać cię fiutem? To już wiesz. A może uda ci się dowiedzieć czegoś o... no wiesz, o czym. Może Andrew wtajemniczył w to swego długoletniego towarzysza życia. W każdym razie miło sobie porozmawiacie. Jesteś prawdopodobnie jednym z ostatnich ludzi, którzy widzieli jego przyjaciela żywego - będzie ci pewnie wdzięczny za to spotkanie. I będziesz mógł mu oddać osobiste drobiazgi Bulstrode'a. Byłby to miły gest jako rekompensata twoich grzeszków.

Tak, to zdecydowanie Mickey był tym, który podsunął mi pomysł, żeby jechać do Anglii i porozmawiać z Oliverem Marchem. To, czy tak postąpię, było wciąż wątpliwe, kiedy odwoziłem Mickeya na kampus, ale późniejsze wydarzenia to zmieniły. Po lunchu poczułem się trochę lepiej. Z jakichś powodów dosłownie każda chińska restauracja w Nowym Jorku ma świetnie zaopatrzone bar, nawet spelunki, które wyglądają tak, jakby nikt tam nie zamawiał martini częściej niż raz na miesiąc. Wypiłem trzy kolejki, czego nigdy dotąd nie robiłem w porze lunchu.

Wspomnienie tamtego popołudnia mam dość mętne. Być może rozmawiałem z Omarem o instytucji małżeństwa, wpytując go o muzułmańskie praktyki na Wschodzie. Czy dochowanie wierności było łatwiejsze, kiedy miało się dwie albo trzy żony? Nie pamiętam dokładnie jego odpowiedzi. Wróciłem do mojego loftu i tam wypiłem jeszcze jednego drinka, szkocką whisky, a potem uciąłem sobie drzemkę. Wyrwało mnie z niej radosne dzwonienie komórki, na której zasnąłem. Nacisnąłem zielony guziczek i usłyszałem okrzyk: „Ty palancie!”, dzięki czemu już wiedziałem, że dzwoni mój brat.

Najwidoczniej zdążył rozmawiać z Amalie i Miri, kiedy jadłem lunch i spałem, i poznał całą historię przedstawioną z dwóch punktów widzenia, a teraz chciał mi powiedzieć, co sądzi o moim zachowaniu w ostatnim okresie.

- Czy to wszystko? - spytałem, kiedy impet jego ataku osłabł. - Bo za dwadzieścia minut jestem umówiony z młodocianą prostytutką w burdelu.

Zignorował tę odzywkę, tak jak na to zasługiwała, i powiedział...

Jakie właściwie ma znaczenie, co dokładnie powiedział? Byłem odurzony drinkiem i nieprzyjemnymi, pijackimi snami, a więc nie bardzo mogę sobie przypomnieć. Przypuszczam, że rozmawialiśmy o Amalie, o jej prośbie, żeby zabrał spod domu swoich zbirów, i o jej planach wyjazdu z kraju. Prawdopodobnie byłem dla niego niegrzeczny, jak mi się to często zdarza, bo nigdy nie wybaczyłem mu do końca tego, że okazał się człowiekiem lepszym ode mnie, a poza tym miałem serdecznie dość kazań ze strony rodziny na temat moich licznych wad. Mogłem go też spytać o naszego ojca, o to, czy coś go łączyło ze Szwanowem i jego działalnością. Odpowiedział mi, że nie wie, ale że było to możliwe, jeśli w grę wchodziły jakieś przekręty. Jakie przekręty?

Cała ta afera z Szekspirem, tępaku, - powiedział. - To wszystko nosi znamiona wielkiego oszustwa: jakiś tajny dokument, którego autentyczności nigdy nie potwierdzono, a który zaginął, bezcenny skarb, frajer Bulstrode, fałszywa spadkobierczyni. Śmierdziało to kantem na milę, a ponieważ przy okazji wykiwano bandę wyjątkowo niebezpiecznych gangsterów, byłoby rzeczą rozsądną nie pakować się w to więcej i dać do zrozumienia, że już nie uczestniczę w tej grze. Coś w tym rodzaju. Czy błagałem go, żeby porozmawiał z Amalie i odwiódł ją od zamiaru wyjazdu? Być może. Jak już mówiłem, nie jest to pewne.

Dla kontrastu odrażająco wręcz wyraziste jest to, co wydarzyło się później tego samego wieczoru. Mój żołądek szalał, jak zawsze, gdy przesadzę z alkoholem w ciągu dnia, zrobiłem więc sobie jajka sadzone na grzance i herbatę, a mniej więcej o szóstej poprosiłem Omara, żeby zawiózł mnie do zapomnianej przez Boga i ludzi części Queens, do Ozone Park. Było ciemno, kiedy dotarliśmy do dzielnicy zabudowanej przygnębiającymi małymi bungalowami; wszystkie miały mikroskopijne podwórka od frontu, ogrodzone słupkami i łańcuchami, przyozdobione posążkami Madonny i lustrzanymi kulami na cokołach. Przypomniało mi to brutalnie moje brooklyńskie korzenie i nieszczęśliwe dzieciństwo. Byłem pewny, że nie polubię mieszkańców.

Otworzyła mi szczupła kobieta o irlandzkich ustach i burzy rudych loków na głowie, ubrana w czarny bawełniany sweter i wytarte dżinsy. Miała miłą, piegowatą twarz, ale jej niebieskie, przenikliwe oczy trudno byłoby okłamać. Przedstawiłem

się, uściśnąłem jej dłoń. To była Mary Crosetti, matka. Poszliśmy do salonu: stare i podniszczone meble, dość porządnie utrzymane, typowy dom ludzi z klasy średniej, taki, w jakim sam się wychowywałem, zadbane, ale nie tak jak dom mojej matki, bez zapachu politory czy wybielacza. Za to z mocną wonią wina. Albert Crosetti okazał się dobrze odżywionym młodzieńcem średniego wzrostu, o szczerzej twarzy i dużych czarnych oczach, które bezskutecznie usiłowały być czujne. Siostra prawniczka była dla odmiany „jedną z nas” bystra, chłodna, niebezpieczna. Ale ładna i szczupła, też rudzielec, trochę jaśniejsze włosy upięte w nieco infantylny koński ogon, mniej piegów niż u mamy, jedna z tych, na które mój urok nie działa. Ojciec rodziny był gliniarzem; patrzył na nas z jednego z tych okropnych portretów wykonanych na podstawie zdjęcia, na których wszyscy wyglądają jak wypchani i pokryci winylem.

Po wstępnych uprzejmościach opowiedziałem swoją historię, odbyłem spowiedź. Dowiedziałem się, że mają zaszyfrowane listy, ale wciąż nie mogą ich rozgryźć. Porozmawialiśmy też o Carolyn Rolly, kobiecie, z którą Crosetti poszedł do Bulstrode'a, aby sprzedać mu rękopis. Wydawało się, że Rolly jest interesującą kobietą i kluczową postacią w całej aferze, i już miałem spytać, czy ktoś podjął poważne starania, by ustalić miejsce jej pobytu, gdy do mieszkania wtargnęli gangsterzy.

Chyba już pisałem, że nie jestem człowiekiem gwałtownym i że moje doświadczenie wojskowe ogranicza się głównie do opieki nad rannymi, a zatem to, czego dokonałem w ciągu następnych kilkunastu minut, nie powinno sugerować, że różnię się w jakikolwiek sposób od przeciętnego tchórza. Najpierw rozległ się strzał na ulicy, a potem istna pukanina. Myślałem, że to fajerwerki, ale trójka gospodarzy zerwała się na nogi, a młody Crosetti wyjrzał przez okno. Jego matka podniosła słuchawkę bezprzewodowego telefonu i wybrała 911. Zapytałem głupkowato: „Co się dzieje?”, ale nikt mi nie odpowiedział; rozległ się brzęk szkła i do pokoju wpadło trzech mężczyzn. Aby zrozumieć to, co stało się potem, trzeba sobie uświadomić, że przebywaliśmy w pomieszczeniu szerokim na jakieś trzy metry.

Rozpoznałem w nich mężczyzn, którzy zaatakowali mnie i Mirandę pod moim domem: olbrzymą, człowieka maczugę i tego trzeciego. Wszyscy mieli pistolety.

Było mnóstwo wrzasku, choć żadna z kobiet nie krzyczała. Bandyci próbowali chyba nas skłonić, żebyśmy padli na podłogę, ale nikt z rodziny Crosetti się nie poruszył. Pamiętam tylko, że człowiek maczuga podszedł do mnie i zamierzył się pistoletem, jakby chciał mnie uderzyć, chyba w odwecie za to, co niedawno z nim zrobiłem; pamiętam też, że odczułem ulgę, bo oznaczało to, że mamy do czynienia z amatorami. Schwyciłem zmierzający w stronę mojej głowy pistolet, potem złapałem faceta za przegub i wyrwałem mu broń. Całkowicie go to zaskoczyło, bo filmy, których się naoglądał i w których walenie pistoletem w głowę pokazywano nader często, nie przygotowały go na tak oczywisty manewr z mojej strony. Jak pouczył mnie kiedyś mój brat: jeśli chcesz kogoś załatwić i masz pistolet, należy po prostu strzelać. To właśnie po to są naboje w magazynku, powiedział, poza tym półautomatyczny pistolet jest delikatną bronią i nie można nim zadać mocnego ciosu w czaszkę.

Tymczasem ten wielki rzucił się i wyrwał telefon z ręki pani Crosetti. Zacisnął ramię na jej szyi i przyłożył pistolet do skroni. Coś krzyczał, ale miał tak silny akcent i był tak wzburzony, że ja w każdym razie nie mogłem nic z tego zrozumieć. Trzeci mężczyzna stał po prostu w drzwiach, wymachiwał pistoletem i też wrzeszczał. Kiedy zobaczył, że wyrwałem pistolet jego kumpłowi, strzelił, ale nie mógł dokładnie wycelować, bo zasłaniał mnie częściowo ów kumpel. Uniosłem broń, cofnąłem się o krok i obróciłem w stronę mężczyzny, który trzymał panią Crosetti.

Podniósł okropny wrzask, żądając ode mnie, bym rzucił broń, bo zastrzeli kobietę, i dla podkreślenia groźby przycisnął mocniej lufę do jej skroni. Miałem przed sobą innego kinomana, który imitował to, czego nauczył się z ekranu, ignorując w ten sposób tę oczywistą zaletę wszelkiej broni palnej, że mając ją, można stać z daleka od ofiary i trzymać ją w szachu, podczas gdy nieuzbrojona ofiara jest pozbawiona tej możliwości. Pani Crosetti potrafiła jednak odróżnić rzeczywistość od fikcji i odepchnęła raptownie pistolet, który wypalił w sufit, nie czyniąc nikomu szkody. W tym momencie strzeliłem gangsterowi w nasadę nosa z odległości, która nie mogła przekraczać półtora metra.

Poczułem, że chwyta mnie od tyłu człowiek maczuga, ale jednocześnie rozległ się huk kolejnego wystrzału i mężczyzna osunął się na mnie z jękiem, bo trzeci z

napastników postrzelił niechcący swego towarzysza, który próbując bohatercko unieruchomić mnie od tyłu, znalazł się na linii ognia. Ranny krzyknął coś w obcym języku (prawdopodobnie po rosyjsku) i opadł ciężko na stół, który się pod nim załamał. Mając teraz przed sobą odslonięty cel, dwukrotnie strzeliłem trzeciemu mężczyźnie w pierś. Upadł na podłogę, brocząc krwią.

Powiedziałbym, że upłynęło jakieś czterdzieści pięć sekund od chwili, gdy usłyszeliśmy pierwszy strzał. Mam przed oczami ten obraz: stoję z pistoletem w dłoni, podczas gdy zbir, któremu go odebrałem, podnosi się powoli ze szczątków stołka i przez chwilę stoi zgarbiony, jakby w tym krótkim czasie przybyło mu czterdzieści lat. Spojrzał mi w oczy i wycofał się w stronę drzwi, powłócząc nogami. W uszach dzwoniło mi od strzelaniny, ale miałem wrażenie, że słyhać też strzały na ulicy, i zastanawiałem się, jakby mimochodem, co się tam dzieje. Nie zrobiłem nic, by zatrzymać gangstera, a on, uświadomiwszy sobie moją obojętność, obrócił się i wytoczył niepewnym krokiem z pokoju. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Wszystko to jest niezwykle wyraziste; wryło mi się w pamięć i przemieniło w nieodłączny składnik nocnych koszmarów: budzę się zły potem, wyobrażając sobie, że zabiłem dwóch ludzi, i wtedy dopada mnie myśl, że to nie sen, że naprawdę ich zastrzeliłem. Wyjątkowo nieprzyjemne doznanie. Właściwie bardzo trudno zabić człowieka z broni krótkiej, bo amunicja pistoletu nie jest szczególnie silna, chyba że pocisk trafi i zniszczy rdzeń mózgowy albo spowoduje wewnętrzny krwotok. Standardowy pocisk dziewięć milimetrów generuje u wylotu lufy około czterystu siedemdziesięciu pięciu dżuli, co nie jest fraszką, jeśli cię trafi, ale nie dokonuje bezwzględnych spustoszeń, dlatego właśnie gliniarze strzelają do kogoś czterdzieści razy. Policjantów uczy się, aby strzelali, dopóki cel nie leży na ziemi, i czasem wymaga to właśnie takiej ilości ołowiu. Kule karabinowe są nieporównanie groźniejsze i właśnie dlatego żołnierze mają karabiny. Pocisk kalibru 30,06 razi z siłą prawie sześciuset jedenastu dżuli. Robię tu unik tą pisaniną o rzeczach, których dowiedziałem się od swojego brata podczas jego chwalebnej kariery wojskowej, bo takie wspomnienia są jednocześnie straszne i mętne jak w złym śnie. Wyobrażamy sobie, że mogło być jeszcze gorzej, niż zapamiętaliśmy, które to przekonanie potwierdza się jeszcze długo po wydarzeniu, gdy jakiś miłośnik zapomniał

szczegól wylania się nagle z mroku, by znów nas przerazić.

A więc stoję otoczony smrodem prochu, a rodzeństwo Crosettech pochyla się nad matką, podnosi ją z podłogi i sadza na kanapie, ona zaś pokryta jest krwią i strzępkami tkanki z rany faceta, którego mózg rozprysnął się przed chwilą. Patrząc z góry na martwą twarz trzeciego mężczyzny: strzeliłem do niego tylko dwa razy, ale widocznie miałem szczęście, bo najwyraźniej nie żyje, oczy ma na wpół przymknięte, twarz białą i zwiotczałą, kałuża krwi jest wielka, o rozmiarach małego basenu. Przy stojny chłopak, przed trzydziestką. No cóż, nie zamierzam mu się przyglądać, tak jak i facetowi, którego mózg obryzgał stolik pani Crosetti, podchodzę więc do okna i widzę strzelaninę, w której uczestniczy mężczyzna z czarnego SUV-a, jakiś nieznan mi gość celujący znad maski karawanu i Omar, który strzela zza lincolna. Patrząc na to obojętnie, wszystko wydaje się takie odległe, i dopiero teraz spostrzegam, że kolana trzęsą mi się tak, iż dosłownie nie mogę ustać. Opadam więc na fotel. Słyszę syreny, choć początkowo trudno odróżnić ich dalekie wycie od dzwonięcia w moich uszach. Teraz następuje przeskok, którego nie mogę sobie dokładnie przypomnieć; wydaje mi się tylko, że pani Crosetti pyta, jak się czuję.

Potem nagle pokój wypełnia się tłumem wrzeszczących policjantów, takich z pistoletami maszynowymi, w hełmach i czarnych mundurach, podobnych do tego, który nosił mój dziadek. (Jak to się stało, że amerykańska policja zaczęła się ubierać jak SS? Jak to możliwe, że nikt nie protestował? Albo te hełmy w nazistowskim stylu, które noszą teraz nasi żołnierze? Gdzie są semiotycy, kiedy ich potrzebujemy? Prawdopodobnie wszyscy żrą się o Szekspira). Automaty celowały we mnie; uświadomiłem sobie, że wciąż trzymam swój pistolet na kolanach jak dama w operze torebkę.

Kazali mi się położyć twarzą do podłogi i zapięli kajdanki, ale nie zostałem aresztowany, bo policjant kierujący akcją znał kiedyś świętej pamięci porucznika Crosettiego i skłonny był wysłuchać relacji pani Crosetti czy też Mary Peg, jak kazała mi się do siebie zwracać. Teraz jesteśmy wszyscy zakumplowani. Druga pani Crosetti - Donna podjęła się jako prawnik obrony zarówno mojej i Omara, jak i karawaniarza nazwiskiem Klim, który, jak się później dowiedziałem, był także

polskim kryptografem i pracował nad naszymi szyframi. Zjawilo się też pogotowie; oznajmiono, że moje ofiary nie żyją, i zabrano ciała, pozostawiając na podłodze mnóstwo galaretowatej krwi. Policja spisała nasze zeznania. Każdy z uczestników zajścia był wzywany kolejno do kuchni i opowiadał o przebiegu zdarzeń dwóm detektywom, których nazwiska zapomniałem, podobnie jak treść tego, co im mówiłem. Wyjaśnienie, że działałem w obronie własnej, najwyraźniej ich zadowoliło; odniosłem wrażenie, że Mary Peg cieszy się sporym autorytetem u nowojorskiej policji. Aresztowano jedynie kierowcę SUV-a i ранnego bandziora, którego zgarnięto kilka przecznic dalej.

W końcu policja odjechała. Mieli dwóch zabitych facetów, których mogli oskarżyć o sprowokowanie strzelaniny, i nie widzieli sposobu, aby aresztować kogokolwiek innego bez wplątywania w aferę wdowy po bohaterkim policjancie i jego syna. Mary Peg spojrzęła na zdemolowany salon i zaczęła lamentować, a ja bezwstydnie do niej dołączyłem. Klim objął ją i zaczął szeptać jej coś do ucha, a Omar zajął się troskliwie moją osobą. Jak mi wyjaśnił, siedział w lincolnie, kiedy pod dom zajechał SUV i wyskoczyło z niego, po czym wbiegło do środka, trzech uzbrojonych mężczyzn. Omar chwycił za broń i pobiegł za nimi, ale kierowca do niego strzelił, więc dał nura za nasz samochód i odpowiedział ogniem. Potem nadjechał karawan i do akcji włączył się Klim. Warto zauważyć, że nikt z tej trójki nie odniósł ran, co jeszcze raz dowodzi, jak nieskuteczna jest broń krótka przy poważnej rozróbie, jeśli nie liczyć przypadku czy sytuacji, kiedy strzela się z bardzo małej odległości do nieuzbrojonego przeciwnika.

Później zamówiliśmy pizzę, usiedliśmy przy kuchennym stole i jedliśmy, popijając czerwonym winem i gratulując sobie wzajemnie tego, że przeżyliśmy. Donna Crosetti pożegnała się, instruując wcześniej swych klientów, aby nie rozmawiali z policją; miałem wrażenie, że po jej wyjściu Mary Peg i Albert Crosetti trochę się rozluźnili, już swobodniej rozmawiając i popijając. Pani Crosetti podała kawę wzmocnioną porządą porcją whisky. Wydarzenia wieczoru nieco przyblakły i tylko ja rozpląkałem się jeszcze raz, choć zdążyłem uciec do łazienki, zanim wyrwał mi się z piersi pierwszy szloch. Stres pourazowy - tak się obecnie określa uczucie, które ogarnia człowieka po zabicu istoty ludzkiej, i nie ma naprawdę znaczenia, czy było to działanie usprawiedliwione, czy nie, choć morderstwo stało

się sportem narodowym wielu nacji na całym świecie i tysiące ludzi są najwyraźniej zdolne zabijać bez wyrzutów sumienia czy żalu. Pewnie nigdy się z tego nie otrząsnę.

Właściwie nie jest to prawdą. Człowiek ma wrażenie, że z tego nie wyjdzie, a jednak wychodzi. Przynajmniej ja wyszedłem. Być może jest we mnie więcej z mojego dziadka, niż sądziłem. Paul jakoś się uleczył, a przecież było mu zdecydowanie trudniej po tak bogatej karierze zabójcy, choć mówi, że modli się codziennie za dusze ludzi, których wysłał na tamten świat, kiedy wojował w Azji. W gruncie rzeczy nie bardzo wiem, co to znaczy „modlić się za dusze”.

W każdym razie kiedy wyszedłem z toalety, nikt nie zwrócił uwagi na moje zaczerwienione oczy. Klim był pochłonięty sporem z młodym Crosettim. Temat był intrygujący: Polak dowodził, że istnieje jeden sposób na powstrzymanie tej eskalacji brutalności: prześledzić losy Bulstrode'a w ostatnim okresie, odkryć to co on, jeśli cokolwiek odkrył, i zdobyć to coś. Kiedy już do tego dotrzemy, sprawa nabierze publicznego rozgłosu i nikt nie będzie chciał stosować przemocy. A jeśli, przeciwnie, niczego nie ma, to trzeba będzie przekonać o tym złych osobników, co jest trudne, ale wykonalne. Należało zwiększyć tempo działań, by nie pozostawać w defensywie, tylko przejąć kontrolę nad grą. Jak w szachach.

Crosetti się temu sprzeciwił; chodziło właśnie o to, aby nie zagłębiać się w tę sprawę, nie dociekać jej sedna. Jeśli ktoś pragnął zdobyć te papiery, to należało mu je dać, on nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Było mi żal tego chłopaka. Współczułem mu ja też wolałbym, żeby się to wszystko nie zdarzyło. Uważałem także, że Klim ma rację. Dopóki ktoś pozbawiony skrupułów i dysponujący uzbrojonymi ludźmi sądził, że jesteśmy na tropie czegoś, co może być warte sto milionów dolarów, żadne z nas nie było bezpieczne. Klim uważał, że może dostatecznie dobrze strzec Mary Peg przez krótki czas, a policja będzie miała oko na pozostałych Crosettich i przycisnie trochę różnych rosyjskich gangsterów. Ale to tylko tymczasowe rozwiązanie, nadmienił. Pogłoska o skarbie rozejdzie się po świecie przestępczym i ani się obejrzymy, gdy inny łotr spróbuje się do niego dobrać.

W końcu Crosetti oznajmił:

- Okay, powiedzmy, że się zgadzam. Co mam zrobić? Wędrować po Anglii w nieskończoność? A co z pieniędzmi?

- Masz chyba jakieś oszczędności? - spytała Mary Peg.
- Nic z tego! Przeznaczyłem te pieniądze na swoje studia. Harowałem na nie jak wół i niech mnie szlag trafi, jeśli przepuszczę je na jakieś wariactwo.
- Mogę wziąć trochę z konta emerytalnego - zasugerowała matka.
- Tak? I z czego będziesz żyła? To idiotyczny pomysł. Nawet teraz ledwie wiążesz koniec z końcem.
- Pieniądze to nie problem powiedziałem i wszyscy spojrzeli na mnie tak, jakbym obwieścił, że ziemia jest płaska. - Mówię poważnie. Jestem nadziany. I będzie mi miło, jeśli Albert pojedzie ze mną do Anglii na mój koszt.

SZÓSTY ZASZYFROWANY LIST (FRAGMENT 1)

czymże zasłużyłem na Twą łaskę, Panie? Bom wystąpił przeciwko swemu Królowi, ale klnę się, Panie, na wszystko, co tylko chcesz, że tego nie wiedział, oszukano mnie i uczyniono ze mnie zdrajcę przez fortele lorda Dunbartona, jak już mówiłem.

Teraz wyznam, jak do tego doszło, że zostałem zdradzony, i w taki sposób zdam się na miłosierdzie Waszej Lordowskiej Mości. Było to minionej zimy, parę dni po święcie Matki Boskiej Gromniczej, kiedy wypatrzył pana Piggotta idącego po Fenchurch Street. Skłoniłem mu się, ale dał znak, że bym tego nie robił, i szedł dalej. Jednak poczułem się nieswojo, bom od wielu tygodni nie miał wieści od lorda D. ani od samego pana Piggotta i zezłościło mnie to, że tak mnie lekceważą, jakbym był zbyt kłopotliwy dla ich intryg. Poszedłem za nim, on zaś skręcił ku rzece w St. Clements Lane i wszedł do gospody Pod Jagnięciem, miejsca nędznego i mrocznego. Dalem chłopcu od miotły szylinga, po czym uprosiłem go, żeby wszedł do środka, dałem mu też na piwo i mięsivo, żeby usiadł jak najbliżej pana Piggotta, którego opisałem najlepiej, jak umiałem, a potem wyszedł i powiedział mi, co usłyszał i z kim pan Piggott się spotkał, i obiecałem mu, że jeśli dobrze się spisze, dostanie jeszcze 6 pensów.

Tak więc czekałem w cieniu pod okapem i po jakimś czasie chłopak wyszedł i powiada, że mój człowiek spotkał się z Harrym Crabbe'em i Johnem Simpsonem i mówili cicho, ale słyszał, jak brzęczą pieniądze podawane w sakiewce. Poczekaliśmy trochę w cieniu i wkrótce wyszedł pan Piggott, a w chwilę po nim dwóch szpetnych jegomościów, jeden z obciętych nosem i skórzanym na jego miejscu i drugi bardzo gruby, czarny na twarzy, ale obwieszony błyskotkami, z długim żółtym piórem u kapelusza. Chłopak wskazał mi ich ukradkiem, mówiąc, że to są

ci, z którymi się spotkał. A jakiego to rodzaju ludzie, zapytałem go, na co odpowiedział, że Crabbe (ten ze sztucznym nosem) dobre ma nazwisko, bo kocha kraby tak bardzo, że karmi je ludzkim mięsem, a znów ten Simpson Janem Krzcicielem jest nazywany bo krzci w wodach Tamizy lepiej niż biskup, jako że ci, których okrzcił, nie grzeszą już więcej na tym świecie, przez co chciał powiedzieć, że ich topi. A więc nie słyszałeś nic z ich spiskowania? - pytam ja. A on na to: Tak, słyszałem, że ten od sztuk musi zginąć i Simpson powiada, że dziesięć złotych monet przysporzy tylko jednego anioła i musi zapłacić jeszcze dziesiątaka, jeśli chce, żeby on, Simpson, utopił tego Richarda w rzece, i ten pański się zgodził, ale niechętnie, i dał mu więcej i obyś, mój panie, był tak hojny jak on. A więc zapłaciłem mu i oddaliłem się stamtąd w wielkiej trwodze, nie wiedząc, do kogo się zwrócić o pomoc.

Z wielkim pomieszaniem w sercu doszedłem wzdłuż rzeki do teatru Globe i sposobilem się do swoich obowiązków, ale moją melankolię spostrzegli inni z kompanii, jako że nie masz większych plotkarzy niż aktorowie, a więc wiele się nasłuchał złośliwości tego wieczoru. Jeden mówi: Musi być zakochany, a drugi: Nie, dowiedział się, że złapał syfilisa, a jeszcze inny: Nie, przerznął wszystko w karty i musiał zastawić u Żyda swój płaszcz razem z rapcami. Aż wreszcie cisnąłem stolkiem w Samuela Gilburne'a, a potem w Thomasa Pope'a i dobyliśmy już prawie sztyletów, kiedy pan Burbage i paru innych nakazało nam przestać, grożąc, że nas będą pławić, ale nie posłuchaliśmy i wrzucili nas do rzeki dla naszego własnego dobra.

Potem odegraliśmy po południu „Hamleta” i ja zagrałem dworzanina z orszaku króla i wyszedłem na przód sceny ze wszystkimi, kiedy zaczął się actus primus, scena II, ale gdym spojrział tam, gdzie są najtańsze miejsca, serce o mało nie stanęło mi w piersi, bo na samym przodzie stało tych dwóch łotrów z gospody Pod Jagnięciem i przysięgam, że nie mógł się ruszyć bardziej niż jegomość namalowany na planszy i nie ruszyłem się, gdy przyszła moja kolej, aż Harry Condell musiał mi dać kuksańca w żebra, żebyśmy ruszyli.

Wątpliwości Crosettiego co do sensu tej wyprawy stłumił nieco dreszczyk, jaki odczuwał na myśl o locie prywatnym odrzutowcem. Nigdy przedtem ani on, ani żaden z jego znajomych nie podróżował w ten sposób. Pomyślał, że z czasem mógłby do tego przywyknąć. Mishkin najwidoczniej nigdy nie podróżował inaczej. Dostał od swojej firmy kartę, która upoważniała go do wykorzystania określonej liczby godzin przelotów prywatną linią, a jeśli zebrano się dostatecznie dużą grupę pasażerów, jak tym razem, wypadało tylko trochę drożej niż podróż pierwszą klasą, jeśli oczywiście uznać, że parę tysięcy dolarów za bilet to niewiele, a Mishkin właśnie tak uważał. Wyjaśnił to Crosettiemu w drodze do Teterboro. Jakby chciał go przekonać, że jest po prostu zwykłym facetem, a nie kimś niewiarygodnie bogatym. Owszem, miał dochody bliskie miliona, ale z trudem je osiągał. Chodziło głównie o to, że jakoś nie pasował, zwłaszcza pod względem wyglądu zewnętrznego, do linii komercyjnych. W przeciwnym razie z radością stanąłby w kolejce i zdjął w samolocie buty tak jak wszyscy inni. Crosetti nie wiedział, dlaczego Mishkin chce mu sprzedać taki wizerunek, ale zauważył podobną tendencję u paru ludzi poznanych dzięki kontaktom ze środowiskiem filmowym, u facetów, którzy

spieniężali scenariusze za sześćo-, siedmiocyfrowe honoraria i wychodzili ze skóry, aby pokazać, że są normalnymi gośćmi: kupiłem porsche carrera tylko ze względu na kręgosłup, ma najlepiej wyprofilowane pod względem ortopedycznym siedzenia.

Samolot, Gulfstream 100, był przystosowany do przewozu ośmiu pasażerów i Crosetti, ku pewnemu zaskoczeniu, naliczył ich sześcioro: oprócz niego i Mishkina była jeszcze pani Mishkin, dwa manczkiny (określenie, które przyszło mu do głowy, kiedy przyjechali na lotnisko i utknęli tam jak kawałek gumy do żucia przyklejony pod kinowym krzesłem) i facet tak podobny do Rutgera Hauera, że aż było to niesamowite. Okazało się potem, że to brat Mishkina, Paul. Żona i dzieci mieli się przesiąść w Londynie na samolot do Zurychu, ale Paul leciał dalej, by włączyć się do misji związanej z Bulstrode'em..

Crosetti pomyślał, że to trochę dziwne, ale potem przyszło mu do głowy, że być może Jake Mishkin jest w swym zachowaniu bardziej szczerzy, niż z początku sądził. Kiedy siedzieli w poczekalni dla pasażerów prywatnych odrzutowców, zjawił się tam pewien człowiek, jeden z tych, od których zależą biznesowe imperia i którzy ani na chwilę nie mogą stracić kontaktu ze światem zewnętrznym. O tym, że jego podwładni są jedną bandą niesubordynowanych leni, świadczył jego styl zarządzania, to znaczy podniesiony głos niemal krzyk i wulgarne słowa, jakimi się posługiwał. Nieustannie żądał od swoich rozmówców, żeby się, kurwa, zamknęli i słuchali, radził im też, aby powiedzieli jakimś innym głupim skurwysynom, że mają się odpierdolić. Panią Mishkin, podobnie jak innych obecnych w poczekalni, facet wyraźnie denerwował. W końcu cham zakończył rozmowę poleceniem: „Powiedz temu pieprzonemu sukinsynowi, że ma do mnie zaraz zadzwonić! Natychmiast!” Wpatrywał się w małeńki telefon przez prawie minutę, rzucając przekleństwa. Po chwili komórka znów zagrała melodyjkę, tym razem temat z *Walkirii* Wagnera, i facet wznosił swą tyradę pełną przekleństw. Mishkin wstał, podszedł do gościa, pochylił się, górując nad nim niczym Jungfrau nad Stechelbergiem, i powiedział coś półgłosem; kiedy zaś w odpowiedzi usłyszał tylko: „Pieprz się!”, wyrwał telefon z dłoni faceta, przełamał go na pół i cisnął do kosza na śmieci. Rozległy się brawa pozostałych pasażerów, Mishkin zaś wrócił do swoich. Po pełnej zdumienia chwili ordynarny osobnik wypadł z poczekalni; czy chciał poszukać

nowego telefonu, czy też policjanta tego już się nie dowiedzieli, bo akurat w drzwiach pojawiła się elegancka młoda kobieta w jasnobrązowym uniformie i poinformowała Mishkina, że można wchodzić na pokład maszyny.

Crosetti wszedł do samolotu ostatni i zajął wolne miejsce, gładkie jak skóra dziewczyny i tak wygodne, że można by je uznać za grzech śmiertelny. Stewardesa zapytała go, czy chce się czegoś napić; poprosił oczywiście o szampana i dostał butelkę idealnie schłodzonego kruga, kryształowy kieliszek, koszyczek małych krakersów i ceramiczny półmisek dojrzalego sera. Mężczyzna po drugiej stronie wziął piwo i również dostał koszyczek. To był ten brat Mishkina. Crosetti przyjrzał mu się ukradkiem, gdy samolot kołował na pasie. Paul miał na sobie czarny sweter i dżinsy, na nogach tanie sportowe buty. Ubogi krewny? Czytał poranne wydanie „New York Timesa”, a właściwie przeglądał gazetę pobieżnie, jakby wiadomości go nudziły albo jakby z góry wiedział, co w nich napisano. Crosetti doskonale to rozumiał, też tak czytał gazety, z wyjątkiem recenzji filmowych. Zastanawiał się, czy Paul jest aktorem, bo był niewiarygodnie przystojny; myślał też o genetyce, która sprawiła, że ten człowiek i Mishkin wyszli z tego samego łona.

Nagle mężczyzna złożył energicznie gazetę i wepchnął ją do kieszeni na fotelu. Odwrócił się do Crosettiego i powiedział:

- Jeśli nie liczyć wyników sportowych, straciłem zdolność odróżniania prawdy od fikcji w wiadomościach. Nie wiem, czemu się tym przejmuję. Tylko mnie denerwują, bez żadnej konkretnej przyczyny.

- Może pan podrzeć gazetę na strzępy i podeptać ją.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Owszem, ale coś takiego zrobiłby raczej mój brat.

- Ma temperament. Ta historia z telefonem...

- No tak. I zabił dwóch ludzi. Ale, co dziwne, nie ma takiego charakteru. Jest najłagodniejszym, najcierpliwszym człowiekiem na świecie. To ja jestem najbardziej porywczy w rodzinie.

- Akurat!

- Nie jest sobą - powiedział brat. - Czasem obcowanie z przemocą tak działa. Ludzie konstruują pewną osobowość, maskę i zaczynają wierzyć, że to naprawdę oni, do szpiku kości, a potem zdarza się coś, czego nigdy nie oczekiwali, i wszystko

pęka: zostaje wrażliwe, miękkie wnętrze wystawione na działanie żywiołów.

- Stres pourazowy?

Paul machnął lekceważąco ręką.

- Jeśli traktuje się na serio całą tę psychologiczną gadaninę. Kultura lubi wrzucać do jednej szufladki, z tym właśnie określeniem na etykietce, różne niepowiązane ze sobą symptomy nekające różnych ludzi w związku z absolutnie różnymi wydarzeniami. To tak użyteczne i intelektualnie nośne jak zbieranie znaczków pocztowych. Mój brat wiódł ściśle uregulowany żywot, który, choć niezwykle udany, został odcięty od ożywczych źródeł przez nałóg. Żył w kłamstwie, jak to się mówi, a takie życie jest z definicji czymś bardzo kruchym.

- A od czego był uzależniony?

- Ależ z pana wścibski facet...

Nie było w tym złośliwości, więc Crosetti wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przepraszam. Okropny nawyk. Zwykle tłumaczę się tym, że zgłębiam zakamarki duszy ludzkiej, bo wymaga tego moja praca.

- No tak, jest pan scenarzystą. Jake coś o tym wspominał. Niech pan wobec tego zgłębia własną duszę. Co pan myśli o Tarantynie?

- Nie jest zbyt głęboki w tym zgłębianiu. - Crosetti machnął lekceważąco ręką, imitując wcześniejszy gest Paula. - Po co pan leci do Europy?

- Sprawa rodzinna.

- Związana z tym wszystkim? Mówię o pogoni za tymi papierami, za tajemniczym manuskrypcem...

- Pośrednio.

- Aha. Pan też jest prawnikiem?

- Nie.

- Wie pan, jeśli chce pan, żeby coś pozostało tajemnicą, to może pan to osiągnąć nie przez wygłaszanie tajemniczych uwag, tylko przez wprowadzenie fikcyjnej nudnej postaci. James Bond zawsze mówi, że jest emerytowanym urzędnikiem państwowym, i to z reguły kończy konwersację. Taka mała wskazówka z dziedziny kina światowego.

- Okay. Jestem księdzem. Jezuitą.

- To dobra odpowiedź. Chyba startujemy. Nie mieliśmy nawet pokazu kamizełek ratunkowych. Czy to dlatego, że mają nas gdzieś, czy nikt nawet nie dopuszcza myśli, że klasy panujące może spotkać jakieś nieszczęście?

- Myślę, że to drugie - odparł Paul. - Bogactwo z reguły wypacza wyobraźnię.

Crosetti nigdy nie przeżył tak szybkiego startu. Silniki zawyły krótko, kabina przechyliła się do tyłu jak opuszczana leżanka i nagle w kilka sekund znaleźli się nad chmurami.

Kiedy samolot wyrównał, Crosetti powiedział:

- Przypuszczam, że zna pan tę historię. To znaczy sprawę lisów Braecgirdle'a, szyfru i tak dalej.

- Owszem, czytałem list i Jake opowiadał mi trochę o tym, co zdołał pan ustalić.

- I co pan myśli?

- O szansach złamania szyfru i znalezienia zaginionej sztuki? Są niewielkie. Z tego, co pan mówi, wynika, że potrzebna jest prawdziwa siatka, a jakie jest prawdopodobieństwo, że dziurkowana kartka papieru przetrwała czterysta lat? I jak ją w ogóle rozpoznać? A jeśli nie złamiemy szyfru, nie znajdziemy sztuki - to chyba oczywiste.

- A więc dlaczego pan się w to włączył?

- Włączyłem się, bo gdy pojawiły się te listy, mój brat po raz pierwszy w życiu poprosił mnie o pomoc. Dwukrotnie. Los dał nam szansę, której nie chciałem zmarnować. Jake potrzebuje tej pomocy. I jestem mu ją winien. Był dla mnie bardzo dobry, kiedy siedziałem w więzieniu i przez jakiś czas potem, chociaż głęboko mną gardził. Był to akt prawdziwego miłosierdzia i chcę mu się za to odwdziaczyć.

- Dlaczego siedział pan w więzieniu? - spytał Crosetti.

Jego rozmówca uśmiechnął się tylko, prychnął, potrząsnął głową, wyjął grubą książkę z torby i włożył na nos okulary. Zaintrygowany Crosetti rzucił okiem na okładkę: Hans Küng, *Czy Bóg istnieje?* Wydało mu się to dziwną lekturą do samolotu, ale co właściwie wiedział o tym człowieku? Wyjął swój laptop z pokrowca, postawił na solidnym pulpicie i włączył. Ku jego zaskoczeniu zaświeciła się ikonka sygnalizująca gotowość do połączenia z Internetem; no cóż, ludzie, którzy latali

prywatnymi odrzutowcami, nie znieśliby odcięcia od sieci podczas lotu. Komórki pewnie też działały. Włożył słuchawki i wsunął do napędu płytke z filmem *Elektryczne cienie*. Och, oczywiście przy fotelu było też zainstalowane gniazdko prądu zmiennego, nie daj Bóg, aby jakiś bogacz musiał być skazany na baterie w laptopie! Oglądał film z krytycznym niezadowoleniem, jakie odczuwał zawsze wobec debiutanckich filmów zrobionych przez kogoś z jego pokolenia. Do tego przez kobietę! I to Chinę. Xiao Jiang była całkiem niezła, starał się więc oglądać bez uprzedzenia i z uwagą, aby wykorzystać swoją szansę. Było to drugie *Kino Paradiso*, z rewolucją kulturalną w tle. Wydawało się, że nawet największy ładunek kiczu i najsurowsza kontrola państwa nie może odebrać filmowi elegancji. Retrospekcje i przeskoki w czasie o trzydzieści lat są płynne, ale sama fabuła i emocje wyzwalane przez aktorów nasuwają skojarzenia z operą mydlaną, myślał, pisząc w wyobraźni recenzję. Udany debiut utalentowanej reżyserki; trudno go oczywiście porównywać z filmem, jaki zrealizowałby według własnego scenariusza Albert Crosetti, który nigdy nie będzie miał takiej szansy...

Kiedy film się skończył, włączył edytor tekstu i zaczął pisać nowy scenariusz. Potrzebny był tytuł. Napisał *Carolyn Rolly* i pomyślał o filmach, które miały w tytule imiona i nazwiska kobiet: *Stella Dallas*, *Mildred Pierce*, *Erin Brockovich*, *Annie Hall*. Tak, ale... Skasował tytuł i napisał: *Introligatorka*, scenariusz oryginalny A.P. Crosetti. A. Patrick Crosetti. Albert P. Crosetti.

Crosetti pisał zwykle wolno, wciąż coś kasował, zastanawiał się nad tekstem, ale teraz szło mu, jak to się głupio mówi, gładko. Wkrótce miał już prawie gotowy pierwszy akt, od pożaru w antykwariacie aż do początkowej nocy w lofcie introligatorki i odkrycia manuskryptu, z pierwszą retrospekcją, krótką sceną z koszmarnego dzieciństwa Carolyn. Przeczytał to i stwierdził, że jest dobre, podejrzenie dobre, lepsze od wszystkiego, co dotąd napisał, lecz odznaczające się żywszym tempem niż w poważnych filmach z Europy. Spojrzał na zegarek: minęły prawie dwie godziny. Za oknem zaczęło się ściemniać; samolot leciał nad ogromną połącią gęstych i skłębionych chmur arktycznych.

Przeciągnął się, ziewnął, zapisał świeży urobek i wstał, żeby pójść do toalety. Kiedy wrócił, zastał w swoim fotelu Mishkina pochłoniętego gorączkową rozmową z bratem.

- Pozwolisz? - zapytał prawnik.
- To twój samolot, szefie - odparł Crosetti.

Wziął laptopa i przeszedł do przodu, żeby usiąść na miejscu zwolnionym przez Mishkina. Po drugiej stronie siedziała pani M. Albo była pani M., jeszcze nie zdążył się zorientować. Po drodze musiał minąć dwójkę dzieci i nie mógł nie zauważyć, że oboje są wyposażeni w najnowsze PowerBooki Apple'a. Nigdy nie znał naprawdę bogatych dzieci i ciekaw był, jak wygląda ich życie, czy są zepsute i czy próbują, jak ich tato, udawać biedniejsze niż w rzeczywistości, czy też są tak nawykłe do tego życia, że nie zaprzatają sobie niczym głowy. Dziewczynka oglądała jakiś muzyczny klip, raperów śniących na jawie o seksie i przemocy. Chłopiec strzelał do potworów w grze *Warcraft*. Crosetti usiadł w fotelu opuszczonym przez Mishkina. Żona, czy też była żona, wydawała się spać z twarzą przyciśniętą do szyby; widział tylko jasny zarys jej głowy i białą szyję nad szarym swetrem. Włączył laptopa i zanurzył się z powrotem w swoim fikcyjnym świecie.

Podeszła stewardesa z następnym kieliszkiem lodowato zimnego szampana i położyła na jego stoliku menu. Do wyboru był *filet mignon cordon bleu*, szkocki łosoś na zimno lub hot dog chili. Crosetti zdecydował się na fileta i wrócił do pisania, gdy nagle usłyszał jakby szczekanie małego pieska, nie, raczej pokasływanie - coś w rodzaju tłumionego popiskiwanie. Początkowo sądził, że to dźwięki z laptopów dzieci, ale kiedy spojrzął na panią Mishkin, zauważył, że odgłosy te są zsynchronizowane ze spazmatycznym drganiem jej ramion i głowy. Płakała.

- Przepraszam, czy coś się stało?

Wykonała gest dłonią, co mogło oznaczać „chwileczkę” albo „proszę się nie wtrącać”, i wytarła nos w garść chusteczek higienicznych, trąbiąc nadspodziewanie głośno. Zwróciła ku niemu twarz; pierwszą jego myślą było: Cudzoziemka! Crosetti zawsze uważał, że twarze Amerykanów mają w sobie coś nieokreślonego w porównaniu z tymi, które widywał na filmach zagranicznych, i to właśnie był przykład takiej różnicy. Żona Mishkina odznaczała się interesującą twarzą Europejki z Północy, twarzą, która wydawała się wprost stworzona do czarno-białego filmu. Czubek nosa i powieki miała zaczerwienione, co odrobinę psuło efekt, ale i tak nie mógł oderwać od niej wzroku. Był to jeszcze jeden dowód na to, że opuścił granice rzeczywistości i znalazł się w swoim scenopisie. Uchwyciła jego spojrzenie

i w odwiecznym geście kobiety przyłapanej w trakcie porannej toalety uniosła pośpiesznie dłoń ku twarzy i włosom.

- Och, Boże, muszę strasznie wyglądać! - powiedziała.

- Ależ skąd, wygląda pani świetnie. Czy mogę w czymś pomóc? Oczywiście nie chciałbym być wścibski...

- Nie, nie, wszystko w porządku. Po prostu normalne, głupie problemy życiowe. Czasem trzeba się wyplakać.

Miała też dobry akcent. Za kilka sekund z kabiny pilota wyjdzie Bergman albo Fassbinder i każe zmienić ustawienie świateł. Jaka była jego następna kwestia? Szukał gorączkowo czegoś odpowiedniego, czegoś świadczącego o znuzeniu życiem i egzystencjalnego.

- Albo napić się szampana. Uniósł kieliszek. Możemy topić nasze smutki.

Odpowiedziała na tę żartobliwą uwagę uśmiechem, najwspanialszym, jaki zdarzyło mu się widzieć w życiu, na ekranie lub poza nim.

- Tak odparła. Napijmy się szampana. W ten sposób można rozwiązać problemy ludzi bogatych.

Stewardesa ochoczo podała im zmrożoną butelkę.

- Pan jest tym pisarzem powiedziała, opróżniwszy pierwszy kieliszek. Odkrył pan ów koszmarny rękopis, który zniszczył nam życie. I mimo to pisze pan dalej. Przy całym swoim smutku słyszę to pańskie klikanie. Przepraszam, ale nie pamiętam pańskiego imienia i nazwiska...

Crosetti przedstawił się i poprosił, żeby mówiła mu po imieniu.

- Jestem Amalie. Co piszesz?

- Scenariusz.

- Tak? I o czym on jest?

Szampan go ośmielił.

- Powiem ci, jeśli mi zdradzisz, dlaczego płakałaś.

Zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem; zaczął podejrzewać, że poczuła się urażona, ale wtedy oznajmiła:

- Uważasz, że to sprawiedliwy układ? Prawda za fikcję?

- Fikcja to prawda. Jeśli jest dobra.

Znów milczała przez chwilę, a potem skinęła głową.

- Tak, masz rację. Okay. Dlaczego płakałam? Bo kocham swojego męża i on też mnie kocha, ale cierpi na pewną chorobę: musi sypiać z innymi kobietami.

Pewnie niejedna na moim miejscu by się z tym pogodziła, miewałaby romanse

i podtrzymywała małżeństwo jako swoisty układ towarzyski. W pewnych krajach

uważa się to za rozwiązanie cywilizowane. Połowa Włochów i cała Ameryka Łacińska musi tak robić. Ale ja nie mogę. Jestem osobą bardzo zasadniczą. Uważam, że małżeństwo to sakrament. Chcę być tą jedyną i żeby on był tym jedynym, nie potrafię inaczej żyć. Powiedz mi... jesteś człowiekiem religijnym?

- Hm, zostałem wychowany jako katolik...

- Nie o to pytam.

- To znaczy czy jestem naprawdę religijny? Chyba nie. Moja matka jest religijna i widzę różnicę.

- Ale wierzysz... w co? W kino?

- Tak sądzę. Wierzę w sztukę. Myślę, że jeśli istnieje coś takiego jak Duch Święty, to objawia się on w wielkich dziełach sztuki, między innymi w niektórych filmach. Wierzę też w miłość. Jestem pod tym względem pewnie bliższy tobie niż twojemu mężowi.

- Chyba tak. On nie potrafi w cokółwiek wierzyć. Nie, to niezupełnie tak. Wierzy, że jestem święta i że jego ojciec to diabeł. Ale ani ja nie jestem święta, ani ojciec nie jest diabłem, jednak on w to wierzy, bo wtedy nie musi myśleć, że mnie rani jest święta, a tym samym wznosi się ponad zazdrość, prawda? I nie musi wybaczać ojcu tego, co mu zrobił, a co pozostaje tajemnicą. To dobry, miły człowiek, ten Jake, ale chciałby, żeby świat był inny niż w rzeczywistości. Właśnie dlatego płaczę. No dobrze, o czym jest ten twój film?

Crosetti zaczął opowiadać; nie tylko o samym scenariuszu, ale także o jego inspiracjach, o Carolyn i ich żałosnym krótkim związku, o swoim życiu i planach. Słuchała uważnie i prawie się nie odzywała, inaczej niż jego matka, która miała mnóstwo idiotycznych pomysłów i bez skrepowania je forsowała. Kiedy skończył, Amalie spytała z niekłamanym podziwem:

- I sam to wszystko wymyśliłeś? Jestem zdumiona, bo osobiście nie mam ani

krzty zdolności twórczych, jeśli nie liczyć rodzenia dzieci i takich drobiazgów jak

urządzanie mieszkania czy gotowanie. I robienia wielkich pieniędzy. Czy można to nazwać czymś twórczym? Nie sędzę.

- To z pewnością użyteczne odparł Crosetti, który nie odznaczał się żadnym z tych talentów.

- Pewnie tak. Ale w końcu to niższy rodzaj sztuki, jak na przykład hydraulika. I człowiek ma zawsze dręczące poczucie jakiejś niesprawiedliwości. To dlatego bogatym tak trudno dostać się do nieba.

W tym momencie zza zasłony wyszła stewardesa i zaczęła roznosić obiad. Amalie kazała dzieciom wyjąć z uszu słuchawki i zjeść w cywilizowany sposób, jak się wyraziła. Fotele były obrotowe, więc Crosetti znalazł się naprzeciwko chłopca. Stewardesa nakryła obrusem dzielący ich szeroki stolik z blatem wyłożonym imitacją drewna, postawiła porcelanową zastawę i rozłożyła srebrne sztućce. Na środku stanął wazonik z białą różą. Mishkin postanowił najwidoczniej zjeść obiad w towarzystwie brata, nie zaś rodziny. Po kilku minutach Crosetti zorientował się dlaczego. Dzieciom nie zamykały się buzie podczas posiłku, który w przypadku chłopca składał się głównie z miseczki cheerios. Monolog dziewczynki obracał się prawie wyłącznie wokół tego, co sobie kupi, dokąd pójdzie, co będzie mogła robić w Szwajcarii, jakim zakazom się nie podporządkuje. Amalie postępowała z nią stanowczo, ale w jakiś męczący sposób, co zdaniem Crosettiego zapowiadało wybuchy płaczu i głośne awantury w scenerii majestatycznych Alp. Na grzecznościowe pytanie o grę komputerową chłopiec odpowiedział potokiem informacji na temat jej historii, cech wszystkich postaci, szczegółów dotyczących odnalezionych skarbów i pokonanych potworów. Monologu nie zdołała przerwać żadna z konwencjonalnych socjolingwistycznych sztuczek i nuda była tak intensywna, że niemal pozbawiła smaku soczysty filet i podanego do obiadu chambertina. Crosetti miał ochotę ugodzić dzieciaka nożem do mięsa.

Matka chłopca musiała coś wyczuć, bo w końcu mu przerwała:

- Niko, pamiętaj, umówiliśmy się, że kiedy coś powiesz, będziesz musiał dopuścić do głosu także drugą osobę.

Chłopiec urwał w pół zdania jak wyłączone radio i zaproponował:

- Teraz ty musisz coś powiedzieć.

- Czy możemy porozmawiać o czymś innym niż *Warcraft*? - zapytał Crosetti.

- Tak. Ile monet jednocentowych mieści się w stopie sześcienniej?

- Nie mam pojęcia.

- Czterdzieści dziewięć tysięcy sto pięćdziesiąt dwa centy. A ile w metrze sześciennym?

- Nie, teraz moja kolej. Jaki jest twój ulubiony film?

Odpowiedź zajęła trochę czasu, bo Niko uznał za konieczne dokonać przeglądu swoich faworytów, ale ostatecznie wybór padł na *Park Jurajski*. Chłopiec miał go oczywiście na twardym dysku (obejrzał go czterdzieści sześć razy, jak oznajmił) i Crosetti poprosił o puszczenie filmu, obiecując, że wyjaśni, w jaki sposób wykonano wszystkie efekty specjalne. Wyjął specjalną wtyczkę, która pozwalała korzystać ze słuchawek dwóm osobom jednocześnie. W tej sytuacji maniak trafił na maniak i Crosetti poczuł, że nie skompromitował się jako źródło nudnych faktów.

Pilot oznajmił, że podchodzą do lądowania na lotnisku Biggin Hill, wrócili więc na swoje miejsca i pozapinali pasy. Stewardesa rozdała gorące ręczniki.

Amalie uśmiechnęła się do Crosettiego.

- Dziękuję ci, że wykazałeś tyle cierpliwości wobec Niko - powiedziała.

To miłe z twojej strony.

- Żaden problem.

- Nie dla większości ludzi. Niko nie jest zdolny do miłości, ale nawet tacy jak on jej potrzebują. Trudno ich kochać, lecz przypuszczam, że jesteś jednym

z tych, których spotkał taki los.

Crosetti nie wiedział, jak zareagować, ale przyłapał się na tym, że myśli o Rolly. Bez wątplenia była niezdolna do miłości, czy jednak ją kochał? I czy miało to jakieś znaczenie, skoro było tak mało prawdopodobne, że kiedykolwiek jeszcze ją spotka?

Samolot wylądował łagodnie i kołował krótko po małym lotnisku. Zacinający deszcz smagał szyby. Crosetti i bracia Mishkin zebrali podręczny bagaż i części garderoby. Amalie uściśnęła Albertowi dłoń i nieoczekiwanie pocałowała go w policzek.

- Dziękuję - powiedziała. - Za rozmowę ze mną i z Niko. Teraz wyruszysz na spotkanie tej szalonej przygody, w jaką wciągnął cię Jake, i już się nie zobaczymy. Mam nadzieję, że nakręcisz swój film.

Jake Mishkin zatrzymał się w przejściu, górując nad Crosettim, który poczuł się jak zawalidroga i wyszedł pośpiesznie z samolotu.

Hala przylotów była mała i czysta, odprawa celna i paszportowa dokonywana przez niezbyt liczny damski personel szła sprawnie; była to usługa należna tylko bardzo bogatym pasażerom, Crosetti nigdy dotąd nie spotkał się z czymś takim. Na zewnątrz czekała limuzyna marki Mercedes i człowiek z ogromnym parasolem. Crosetti wszedł, a po dziesięciu minutach dołączyli do niego Paul i Jake. Samochód ruszył.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Crosetti.

- Do miasta - odparł Jake. - Mam do załatwienia drobną sprawę natury prawnej, naprawdę drobną, ale wystarczy, żeby odpisać koszty przelotu i żeby moja firma była ze mnie zadowolona, a w każdym razie mniej niezadowolona, niż jest obecnie. Nie powinno to zająć więcej niż jeden dzień. Jestem pewien, że nie będzie ci się nudziło w Londynie. Paul może ci pokazać miasto. Mój brat to obieżyświat.

- Brzmi interesująco - powiedział Crosetti. A potem?

- Pojedziemy do Oksfordu i spotkamy się z Oliverem Marchem. Zwrócimy mu rzeczy osobiste Bulstrode'a i spróbujemy się dowiedzieć, co profesor robił tu latem. Resztę trzeba będzie wydedukować.

Zatrzymali się w małym eleganckim hotelu w Knightsbridge. Mishkin już tu mieszkał wcześniej i personel dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że miło znów go widzieć i że to samo dotyczy Crosettiego. Paul nie meldował się w hotelu.

- Mój brat nie lubi blichtru i luksusu - wyjaśnił Mishkin, kiedy siedzieli w małym barze hotelowym. Wypił kilka szkockich, gdy Crosetti wciąż rzącał się szklanką piwa. - Pewnie poszedł nocować do swoich towarzyszy jezuitów. I załatwić dla nas ochronę.

- Jest ochroniarzem?

- Nie, duchownym, jezuitą.

- Naprawdę? Tak mi powiedział, ale myślałem, że mnie nabiera. Co ksiądz może wiedzieć o ochronie?

- O, Paul ma mnóstwo talentów i zainteresowań, jak się z pewnością przekonasz. Często sobie myślę, że należy do elitarnego papieskiego korpusu zabójców, o którym tyle się ostatnio czyta. No i co myślisz o mojej uroczej rodzinie?

- Robią wrażenie bardzo miłych - odparł Crosetti ostrożnie.

- Bo są mili. Mili aż do przesady. Zbyt mili dla kogoś takiego jak ja. Moja żona jest Szwajcarką, wiedziałeś o tym? Szwajcarzy są bardzo mili. To ich narodowa specjalność, podobnie jak czekolada i pieniądze. Czy wiesz, że przed drugą wojną światową Szwajcaria była bardzo biednym krajem? I nagle się wzbogaciła. Dzięki temu, że dostarczała nazistom wszelkie techniczne nowinki z fabryk, których nie można było bombardować, bo Szwajcarzy byli tak bardzo neutralni. No i jest jeszcze sprawa stu pięćdziesięciu milionów marek niemieckich, które Szwajcarzy ukradli eksterminowanemu Żydom. To prawie trzy czwarte miliarda dolarów. Ciekawe, gdzie się podziały? Nie mówiąc już o dziełach sztuki. Mój teść ma wspaniałą kolekcję obrazów impresjonistów i postimpresjonistów Renoir, Degas, Kandinsky, Braque, co tylko chcesz.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Przed wojną i podczas wojny był urzędnikiem bankowym. Jak zdołał zgromadzić taką kolekcję? Dzięki temu, że był miły? Moje dzieci są pół-Szwajcarami, a to oznacza, że są tylko półmiłe, jak pewnie zauważyłeś. Jesteś chyba dobrym obserwatorem, Crosetti, jako człowiek twórczy, pisarz, zawsze czujny i skłonny do refleksji. Prawdopodobnie masz już jakieś wyobrażenie o Amalie, o mnie i dzieciach. Znalazłeś materiał na scenariusz? Rodzina Mishkinów, film fabularny. Druga połowa jest pół żydowska, pół nazistowska, co już zdecydowanie nie wydaje się miłe. Napij się jeszcze, Crosetti! Zamów cosmopolitana. Drink twojego pokolenia.

- Myślę, że zostanę przy piwie. Właściwie to czuję się trochę zmęczony po podróży, więc...

- Nonsens! Stawiam ci cosmopolitana. Jest najlepszy na zmianę stref czasowych, wszyscy to wiedzą. Barman, cosmo dla pana! I drugi dla ciebie. A dla mnie jeszcze jedną podwójną whisky.

Barman, śniady chłopak, nieco starszy od Crosettiego, rzucił mu spojrzanie; kryło się w nim pytanie, czy temu wielkoludowi za chwilę urwie się film i czy uda

ci się go dość szybko wyprowadzić z baru?

Crosetti opuścił tchórzliwie wzrok.

- Myślisz, że jestem pijany, co? - zapytał Mishkin, jakby odczytywał te wibracje. - Myślisz, że stracę panowanie nad sobą? No więc się mylisz. Nigdy nie tracę panowania nad sobą. Tylko czasem. Ale akurat nie teraz. Zdaniem mojej teściowej Żydzi się nie upijają. To jedyny plus, jaki łaskawie dostrzegła w małżeństwie swojej córki. Nie ogłupiała ich przynależność do jednego, świętego, katolickiego i apostołskiego Kościoła. No a poza tym obrotni ci Żydzi. Pieniądze, trzeźwość... o tak, no i nie biją żon. Naprawdę tak powiedziała, leżąc na obitej jedwabiem kanapie pod ukradzionym zabitemu Żydowi Renoirem. Katolicy południowej Europy są skrajnymi antysemitami, wiedziałeś o tym, Crosetti? Większość najważniejszych nazistów była katolikami Hitler, Himmler, Heydrich, Goebbels. A jak z tobą, Crosetti? Jesteś antysemitą? Wściekałeś się kiedy na żydowską mafię, która kontroluje media?

- Jestem pół-Irlandczykiem wyjaśnił Crosetti.

- Ach, tak, więc to cię ratuje, bo Irlandczycy słyną z tego, że nie ma w nich cienia antysemityzmu. Ja sam jestem półantysemity z strony matki. Czy to nie zabawne, że wszyscy ci wielcy naziści wyglądali na Żydów? Goebbels. Himmler. Heydrich wciąż obrywał na szkolnym podwórku, bo dzieciaki brały go za mośka. Aryjskie rysy, ale wielka, tłusta, miękka żydowska dupa. Mój dziadek dla kontrastu był prawdziwym Aryjczykiem, podobnie jak moja matka a jego córka. I jak moja żona. Czy uważasz, że jest atrakcyjna, Crosetti? Pociągająca?

- O tak, jest bardzo miła - przyznał Crosetti i zmierzył wzrokiem odległość do wyjścia. Berek był tak mały, a Mishkin tak potężny, że on sam nie uciekłby daleko, gdyby musiał wiać. Czuł się jak ktoś zamknięty w łazience z orangutanem.

- Och, ona jest bardziej niż miła, Crosetti. W mojej Amalie płonie prawdziwy ogień. Zauważyłem, jak się do siebie nachylaliście. A na koniec dostałeś buziaka. Czy zdążyliście się gdzieś umówić? Nawiasem mówiąc, wcale by mnie to nie zdziwiło: najwyższy czas na rewanz. Pewnie wypieprzyłem ze czterdzieści, pięćdziesiąt kobiet, odkąd się pobraliśmy, więc cóż mogę powiedzieć, prawda? Powinieneś się tym zająć, człowieku! Daj sobie spokój z tym szekspirowskim gównem i leć do Zurychu.

Mieszkają przy Kreuzbuhlstrasse sto czternaście. Możesz ją dymać w jej małym, żółtym, dziewczynskim łóeczku. Mogę ci nawet podpowiedzieć, jak lubi: na przykład...

- Idę spać - powiedział Crosetti i zsunął się z barowego stołka.
- Nie tak prędko! - zawołał Mishkin.

Crosetti poczuł, że tamten chwyta go za ramię; miał wrażenie, że przytrzasnęły go drzwi samochodu. Bez zastanowienia schwycił swój nietknięty drink i chlusnął nim w twarz Mishkina, który skrzywił się i wytarł policzki drugą ręką, ale nie rozluźnił uścisku.

Barman wyszedł zza kontuaru i powiedział mu, żeby wyszedł.

Mishkin potrząsnął Crosettim, aż zadzwoniły mu zęby.

- Okay zwrócił się do barmana. Wyjaśniałem tylko temu dzentelmenowi, jak ma pieprzyć moją żonę, a on chlusnął mi drinkiem w twarz. Uważasz, że to w porządku?

W tym momencie barman popełnił błąd; ujął Mishkina za ramię, być może w nadziei, że ten da się wyprowadzić, ale Jake puścił Crosettiego i przerzucił faceta przez bar. Biedak runął na rześście oświetlone półki z butelkami. Crosetti wybiegł i nie czekając na windę, pognął na trzecie piętro i zamknął się w swoim pokoju.

Nazajutrz Crosetti wyszedł z hotelu bardzo wcześnie i poszedł do Brytyjskiego Instytutu Filmowego na South Bank, gdzie obejrzał filmy Renoira *Boudu z wód uratowany* i *Reguły gry*. Zostałby jeszcze na *Towarzyszach broni*, ale kiedy wyszedł do holu, żeby napić się wody, ktoś pociągnął go za rękaw, a gdy się odwrócił, zobaczył Paula Mishkina w skórzanym płaszczu i w koloratce. Crosetti pomyślał, że Paul wygląda jak aktor grający księdza.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?
- A gdzie mógłbyś być? Na pewno nie u Madame Tussaud. Chodźmy, nastąpiła mała zmiana planów.
- Mianowicie?
- Jedziemy natychmiast do Oksfordu. Samochód czeka na zewnątrz.
- A co z naszymi rzeczami, które zostały w hotelu?
- Spakowane, są w wozie. Chodź, Crosetti. Pytać będziesz później.

Na ulicy stał mercedes, Jake pólleżał z tyłu, okutany w trencz z podpinką i ciepły szal, tweedową czapkę miał nasuniętą na oczy. Paul wsiadł z przodu, a Crosetti zajął miejsce z tyłu, odsuwając się jak najdalej od Mishkina, który nie odezwał się słowem. Mały skrawek skóry widoczny nad kołnierzem był szary i wyglądał jak łuska węża.

Opuściwszy centrum miasta, ruszyli przez wilgotne przedmieścia pełne domków z czerwonej cegły; kiedy minęli Richmond, krajobraz zaczął stopniowo nabierać coraz bardziej wiejskiego charakteru, w końcu znaleźli się na autostradzie. Crosetti zauważył, że Paul patrzy w boczne lustro i przygląda się wyprzedzającym ich samochodom z większym zainteresowaniem, niż czyni to zwykle przeciętny pasażer.

- No więc dlaczego zmieniliśmy plany? - zapytał, kiedy po dłuższej chwili stało się oczywiste, że żaden z braci nie zamierza wyjaśnić mu tego dobrowolnie.

- Z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że śledzi nas kilka grup. Są w tym dobrzy, to prawdziwi zawodowcy, nie tak jak ci partacze, których wykiwałeś w Nowym Jorku. Drugi jest taki, że po nocnym występie Jake'a w barze poproszono go o opuszczenie hotelu i zamiast szukać innego w Londynie, postanowiliśmy jechać do Oksfordu od razu, przenocować tam i zobaczyć się z facetem jutro rano.

- Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tych zawodowcach - powiedział Crosetti. - Jeśli są takimi fachowcami, to jak ich zidentyfikowaliście?

- Bo zatrudniliśmy firmę, która zatrudnia jeszcze lepszych zawodowców. Prawda, panie Brown?

Pytanie było skierowane do kierowcy, który odpowiedział:

- Tak, sir. Śledzili pana Crosettiego od chwili, kiedy wyszedł rano z hotelu, i oczywiście pana, od domu noclegowego jezuitów do Świętego Olafa. Mają na nas oko z trzech niebieskich bmw, które jadą za nami, i z kasztanowego forda mondeo przed tą białą ciężarówką na zewnętrznym pasie, tuż przed nami.

- Brown jest pracownikiem renomowanej i niezwykle drogiej firmy ochroniarskiej wyjaśnił Paul. - Dobrze, że mamy forszę.

- Dojdzie do pościgu?

- Prawdopodobnie. I co najmniej do jednego wybuchu. Chcecie wiedzieć, co znalazłem u Świętego Olafa?

- Wskazówki, gdzie szukać Graala?

- Prawie. Pamiętacie, Bracegirdle napisał, że klucz do jego szyfru jest tam, „gdzie leży moja matka”, a jego matka jest pochowana w kościele Świętej Katarzyny. Niestety, kościół, który ocalał z wielkiego pożaru, padł ofiarą wyludnienia starego City oraz ogólnego kryzysu wiary i w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku został zburzony. Pięć lat wcześniej parafię włączono do kościoła Świętego Olafa przy Hart Street, więc tam właśnie poszedłem.

- I stąd ten strój księdza.

- Tak jest. Ksiądz Paul, który prowadzi małe badania nad czymś drzewem genealogicznym. Kiedy Święta Katarzyna została zburzona, groby przeniesiono na cmentarz Ilford, ale były też krypty pod kościołem. W średniowieczu zwłoki grzebano na małych cmentarzach przykościelnych, a po latach wykopywano kości i składano je w kostnicy, bo miejski cmentarzyk z pewnością nie pomieściłby więcej niż kilka pokoleń zmarłych z tej parafii. W drzwiach krypty było okienko zasłonięte małą prostokątną miedzianą płytką, podziurkowaną, aby wpadało przez nią trochę światła. Dziurki układały się w kształt wierzby płaczącej. Kiedy rozebrano kościół Świętej Katarzyny, płytka wraz z innymi kościelnymi precjozami i pamiątkami zawędrowała do Świętego Olafa i została umieszczona w szklanej gablocie w zakrystii.

- Widziałeś ją? - zapytał Crosetti.

- Nie. Wikary, z którym rozmawiałem, powiedział, że tego lata ktoś włamał się do kościoła i ukradł płytkę. Nie wziął nic innego, tylko to. Myślę, że możemy teraz być pewni, że to siatka. I jeszcze jedna ciekawostka. Na krótko przed włamaniem zjawiła się w kościele młoda kobieta. Robiła zdjęcia i odbitki kościelnych płytek mosiężnych i pytała, czy są podobne elementy w kościele Świętej Katarzyny. Wikary pokazał jej różne płytki, ozdoby i przedmioty. Zrobiła sporo zdjęć i odbitkę płytki z krypty. Parę dni później płytka zniknęła.

Jake Mishkin drgnął gwałtownie i odchrząknął.

- Miranda powiedział.

Na co Crosetti zawołał:

- Carolyn!

SZÓSTY SZYFROWANY LIST (FRAGMENT 2)

ale ci dwaj trzymali mnie krzepko i choć walczyłem z całej mocy, nie mogłem się uwolnić. Poza tym pudełko było puste i oskarżycielskie monety rozsypane dokoła. Pan W.S. przybliżył mi świecę do twarzy, mówiąc: Co to ma znaczyć, Dick? Czy okradasz swoich przyjaciół? Mnie? Rzekł to z takim wyrazem twarzy, że mi się rozplakał jak baba. Potem posadził mnie grzecznie na krześle, odesłał tego, który mnie pojmał, sam nie siadał, i mówi: Dick, ty nie jesteś złodziejem, a jeśli byłeś w potrzebie, czy nie mogłeś przyjść do swego kuzyna rodzonego, czy Will by ci nie pomógł? Tu jeszcze się bardziej zalał łzami, myśląc, że serce mi pęknie, i mówię: Nie, jesteś dla mnie za dobry, bom ja podły zdrajca i nieprzyjaciel dla ciebie, bom działał, by cię zniszczyć, przez tyle miesięcy, i teraz jestem tak uwikłany w spisek, że nie mogę się wywinąć, biada mi etc. A on na to: Teraz, Dick, musisz wyznać wszystko, ja będę twoim spowiednikiem i nikt się nie dowie, co będzie powiedziane między nami.

A więc, Wasza Lordowska Mość, powiedziałem mu wszystko to, com rzekł był Tobie wcześniej, o lordzie Dunbartonie, panu Piggotcie, sztuce o Maryi i całej intrydze. I jeszcze o tym, czego mi się dowiedział rano w Lamb St. Clements, i o dwóch mordercach, którzy depczą nam po piętach. Patrzył na mnie ponuro i gładził brodę przez pewien czas, a wreszcie powiedział: Dick, ty głupcze, teraz będziemy musieli nieźle się natrudzić, żeby wymknąć się z tej sieci. Och, kuzynie, ja na to, wybacz mi, i on powiada tak: Tyś jest dzieciuch w tych sprawach i zostałeś przymuszony, żeby ciągnąć intrygi tych łotrów, by ratować się przed tym głupcem Tyburnem. Ale nie wszystko stracone, bo ja nie jestem dzieckiem.

Potem zaczął kroczyć po izbie tam i nazad, aż w końcu rzecze: A wiesz ty, że lord Veney jest uwięziony w Tower, ten sam, który przyniósł ci list od lorda

Rochestera, ten, który rozpoczął te wesołe igraszki? A ja na to, że nie wiedziałem i co ta nowina oznacza dla nas? Otóż, powiada on, Veney jest człowiekiem lorda Rochestera i jeśli został uwięziony mówi nam to, że została wykryta intryga przeciw hispańskiemu małżeństwu, nieważne jak, i będzie wkrótce przesłuchany. W ten sposób wszystko zostanie odkryte i cała ta afera z naszą sztuką też się wyda, a zatem będą musieli zatrzeć ślady po sobie. I my obaj musimy się od tego odciąć, sztukę trzeba spalić, tak żeby lord Dunbarton mógł powiedzieć zapytany: Nie, mój panie, to tylko jakieś fantazmaty udręczonego człowieka, w czym ja nie miałem udziału, i nikt nie zarzuci mu kłamstwa.

Zapytałem, jak możemy się wywikłać z tych tarapatów, co mam począć, i zapytał: Czy władasz bronią, chłopcze? Na co odparłem, że tylko z rzadka jej dobywałem, bom puszkarz i nigdy nie uczył się fechtunku, a on na to: Nie szkodzi, będziemy mieli panów Spade a i Wyatta i pan Jonson będzie po naszej stronie, zabił już człowieka, tak często opowiadał, i ja też. Cóż powiadasz? - zapytałem. A tak, mówi, czyż nie stoczyłem więcej pojedynków niż połowa Ispanów we Flandryi? Tak, ale tylko drewnianymi rapierami, powiadam. Tak myślisz?, on na to. Ta szpada u mego pasa to nie ozdoba, chłopcze. Czyżem nie chodził w nocnej porze tysiące razy po Shoreditch z sakiewką srebra ze szkatuły i nie walczył z rzeźmieszkami moim stalowym ostrzem? Zapytaj Spade'a, czy nie umiem dzierżyć szpady bo to on mnie uczył, i założę się, że powie, iż niepośledni ze mnie uczeń. Przeto, jak mówi samo moje nazwisko, potrząsnę ostrzem dziś w nocy! Drzyjcie, mordercy!

A więc zebraliśmy nasze siły, Spade i Wyatt, i pan W.S., i pan Jonson, i ja, w gospodzie u George'a na Southwark i tejże nocy wyruszyliśmy, pan W.S. i ja przodem, reszta z tyłu w pewnej odległości, i oto obstały nas owe zbiry trzech czy czterech, jak mi się zdaje. Dobyłem szpady, ale któryś uderzył mnie w głowę i obalił i nie widziałem nic, tylko ciemne kształty i małe światełka, gdy się zdołał podnieść i zobaczył pana W.S. robiącego szpadą i usłyszałem krzyk bólu:

Och, zabiłeś mnie, ty psie!, i potem nasi kompani pośpieszyli nam z pomocą i zaczęła się walka, ale jam tylko klęczał i wyrzucał z siebie przekleństwa. Jednak ustąpili nam pola, dwóch morderców padło i pan Spode przyciągnął wózek, załadował na niego ciała. Nakarmię nimi ryby, powiedział, i pan W.S. rzecze: Żadnego mięsa, Dick, co najmniej dwa tygodnie, aby nie nazwali nas kanibalami, i żadnych krabów aż na święty Michał.

W dniach, które nastąpiły po „wieczorze śmierci”, zorganizowałem naszą podróż do Europy; oprócz mojej rodziny poleciał też Crosetti. Amalie lubi spędzać urlopy w Zurychu i choć mogła sama wycarterować samolot, skorzystała z mojej propozycji, musiałem tylko trochę popłakać i wywołać u niej współczucie z powodu traumy, jaką właśnie przeżyłem; nie wspominając już, że sporo na tym zaoszczędziła, a jak większość ludzi bogatych Amalie szczydzi się umiejętnością ograniczania wydatków.

Gliniarze - z nimi nie było problemu, ale też nie uzyskaliśmy żadnych informacji. Schwytni bandyci tylko się śmiali, gdy ich pytano, dla kogo pracują. Firma była zadowolona z mojego urlopu i z radością pozwoliła mi skorzystać z karty lotniczej, żebym mógł załatwić pewną drobną sprawę służbową w Londynie. Że zamierzam odwiedzić spadkobiercę Bulstrode'a nie wspomniałem.

Poszedłem się zobaczyć z Paulem; miła rozmowa o strzelaninie i trupach, chciało mi się płakać, ale się powstrzymałem, wspomagany dwoma miligramami xanaxu. Brat wyraził chęć wzięcia udziału w podróży aby zabezpieczać moje tyły, jak się wyraził. Nigdy dotąd nie słyszałem czegoś takiego z jego ust; roześmiałem

się, lecz po zastanowieniu wyraziłem zgodę. Zapytałem, czy nie obawia się zostawić swej uświęconej misji. Nie ma problemu, Bóg się nią opiekuje. Poza tym mój brat chciał spędzić Boże Narodzenie z Amalie i z dziećmi; zasłużył na wakacje po ciężkiej pracy na pastwiskach Pana. Zgodziłem się zatem. Od czasu do czasu, tak jak w tym wypadku, uświadamiam sobie, że Paul naprawdę mnie kocha, że nie jestem tylko godnym pogardy utrapieniem. Takie myśli zawsze budzą coś w rodzaju nerwowego lęku, nie wiem dlaczego. Omar chciał lecieć z nami, ale że widnieje na wszystkich listach potencjalnych terrorystów, miałby trudności z przekraczaniem granic. Powiedział, że będzie się za mnie modlił.

Następnego ranka podjechałem po Crosettiego i upewniłem się na wszelki wypadek, że ma wszystkie kopie zaszyfrowanych listów. Poinformował mnie, że oryginały są u kogoś godnego zaufania, w sejfie nowojorskiej biblioteki publicznej, za metalowymi drzwiami, co uznałem za dobre posunięcie. Spotkaliśmy się z pozostałymi na Teterboro, w wydzielonej poczekalni. Doszło tam do nieprzyjemnej sytuacji z małym dupkiem, który bluźnił do telefonu. Moja interwencja spotkała się z aprobatą obecnych, ale Amalie patrzyła na to z przerażeniem. O co chodzi? - warknąłem. Doszło do pyskówki. W samolocie, jak zwykle, doskonała obsługa. Zrządzeniem losu stewardesą była długonoga Karen McAllister; oboje w tej sytuacji udawaliśmy obojętność, choć podczas kilku poprzednich rejsów nieraz ją przeleciałem. Naturalnie Amalie to zwęszyła. Jak? Czyżbym zostawiał, jak dzikie zwierzę, zapach na kobietach? Czy zdradza mnie mimowolny wyraz twarzy? W każdym razie mieliśmy atak płaczu, bezgłośnie szlochy, a co najgorsze - odtrąciła moją rękę. Nie mogłem tego znieść, poszedłem na tył i wywaliłem Crosettiego z jego fotela, żeby porozmawiać z Pauliem.

Pamiętam, że skarżyłem się na swoją żonę nudna stara śpiewka, której nie będę przytaczał. - Paul słuchał, a potem jakoś tak rozmowa zesłała na ojca i *Mutti*, na to, który z nas był bardziej, a który mniej faworyzowanym synem nasz ulubiony motyw przy okazji wspomnień ze wspólnej przeszłości i z rozbawieniem przypomniał sobie pewien incydent. Paul, wtedy mniej więcej siedmioletni, stłukł cenną figurkę z miśnieńskiej porcelany i matka sięgnęła po szczotkę do włosów, zwykle narzędzie służące dyscyplinowaniu dzieci. Nie była to, nawiasem mówiąc, tandetna plastikowa szczotka, jaką można dostać w każdym kiosku, ale solidny

kawał niemieckiego klonu z powtykaną szczecina dzika ze Schwarzwald, oręż odpowiedni do odbicia Jerozolimy z rąk Saracenów. Paul usiłował uniknąć kary, biegając dookoła owalnego stołu w jadalni i wrzeszcząc histerycznie. *Mutti* uganiała się za nim, miotając groźby po niemiecku, a młodsze dzieci patrzyły zafascynowane. Kiedy już wycisnęliśmy ostatnią ciepłą kroplę z tego miłego wspomnienia, zauważyłem mimochodem, że w odróżnieniu od niego i od Miriam, jako dobry synek, rzadko miałem okazję poczuć szczytkę na własnej skórze.

Spojrzał na mnie dziwnie i powiedział:

- Tak, ciebie biła ręką. W sypialni.
- O czym ty mówisz? Nigdy mnie nie tknęła.
- Naprawdę nie pamiętasz? Niemal za każdym razem, kiedy tato jej przyłożył, zaczynała się z tobą szarpać, brała cię do sypialni, kładła przez kolano i biła gołą ręką w tyłek, a ty wyłeś jak potępieniec. A potem tuliła cię na łóżku i kołysała, i mruczała do ucha czule słówka, aż przestawałeś płakać. Miri i ja patrzyliśmy przez dziurkę od klucza. Mama mówiła do ciebie zawsze: *mein kleines Judchen*.

- Ach, gówno prawda! Wymyśliłeś to.

Wzruszył ramionami.

- Jak nie wierzysz, spytaj Miri. Już wtedy uważaliśmy to za dziwne, nawet w tym gabinecie osobliwości, jakim był nasz dom.

- A więc myślisz, że wyparłem to ze świadomości? Boże, ale banał! I to tłumaczy wszystkie moje problemy miłosne i rodzinne?

- Nie, chodzi o to, że Bóg obdarzył cię wolną wolą, a ty postanowiłeś wybrać grzech, zamiast wyzbyć się swojej monstualnej pychy i poddać się Jego woli, skoro już o to pytasz.

W każdym razie powiedział coś w tym rodzaju, a takie przemowy w ogóle do mnie nie trafiają. Inna ciekawa rzecz: nieco później spytałem go w zadumie, jak to się stało, że nasi rodzice stali się parą, a on znów spojrział na mnie dziwnie i odparł:

- Naprawdę nie wiesz?

- Zawsze myślałem, że to był namiętny wojenny romans. Choć nigdy nie mówili o stronie uczuciowej.

- Nie żartuj. Czy nigdy nie wydało ci się dziwne, że nazistowska księżniczka postanowiła wyjść za Żyda? I to za bardzo żydowskiego Żyda?

- Tajemnice egzogamii?

- Nie, była po prostu dobrą nazistką.

Musiałem mieć głupią minę, bo powiedział:

- Słuchaj, oni traktowali tę swoją teorię rasy panów bardzo serio. *Herrnvolk* miał prawo podbijać inne narody, bo był silny, prawda? A kto był ich głównym rywalem, jeśli chodzi o dominację światową?

- Rosjanie?

- Nie, Rosjanie to bydło. Żydzi są jedyną rasą zdolną rywalizować z kimkolwiek. Kontrolują Rosję i potęgę zachodnie, zwłaszcza Stany Zjednoczone. Ta wojna była przeciw Żydom. I Żydzi wygrali.

- Co? Przecież Żydów wyniszczono.

- Żydzi wygrali. To prawda, stracili sześć milionów, ale wrócili do Jerozolimy, Niemcy zaś stracili siedem milionów. A armie, które starły Niemców na proch, były poddawane tajnym machinacjom żydowskiej rasy. Nigdy ci tego nie mówiła?

- Nigdy.

- No to szczęściarz z ciebie. A zatem gdy Żydzi zwyciężyli, ich rasa stała się wyższa - przepraszamy za obozy koncentracyjne - i w konsekwencji aryjska dziewczyna postanowiła ofiarować swe łono przedstawicielowi wyższej rasy. To wszystko jest bardzo logiczne dla kogoś, kto oszalał.

Muszę wyznać, że nie przyszło mi to do głowy. Ani Paul, ani moja siostra nigdy nie poruszali tego tematu. Rodzice oczywiście walczyli ze sobą jak wściekli, ale ja osnułem wokół ich konfliktu romantyczny mit, który zaczerpnąłem z kina. Ludzie zakochiwali się w sobie, płodzili dzieci, mężczyzna dopuszczał się zdrady, żona tłukła talerze, wtedy mąż albo przyrzekał poprawę i uświadamiał sobie, że jego serce jest w domu, albo też odchodził i mama znajdowała sobie nowego i lepszego męża (Roberta Younga), a kiedy dawny mąż wracał, czołgając się u jej stóp, zostawał wyrzucony. Albo, co było jeszcze lepszym rozwiązaniem, umierał.

Po przerwie, która wydawała się długa jak wieczność aż dziw, że samolot nie runął na ziemię spytałem ochrypłym głosem:

- Więc co chcesz przez to powiedzieć, Paul? Że jesteśmy drugą fazą w procesie wyższej rasy? Sądziłem, że skundlenie było czymś, czego Niemcy próbowali unikać.

- Owszem, ale fascynowały ich kundle i idea krzyżowania ras. W obozach ratowali od śmierci w komorach gazowych żydowskie dzieci o aryjskim wyglądem i oddawali je porządnym nazistowskim rodzinom na wychowanie, czego, gdyby naprawdę wierzyli w ideę czystości rasowej, nie powinni byli robić. No i to ich mierzenie czaszek, eksperymenty Mengelego z bliźniakami...

Przypomniałem sobie, co powiedział przed chwilą, i zapytałem:

- Dlaczego nazwałeś mnie szczęściarzem?

- Och, chodzi tylko o to, że *Mutti* zrobiła nam wykład o krwi, którego najwidoczniej nie słyszałeś. Myślisz, że to wszystko sobie wymyśliłem?

- Powiedziała wam, że poślubiła ojca, by rozwijać teorie rasowe Trzeciej Rzeszy?

- Niedosłownie, często jednak mówiła nam, że naziści przegrali, bo byli zbyt czysti i szlachetni, więc ona poświęciła się, żeby pobrać do mieszanki trochę podstępnych jak węże żydowskich genów. Nie sądzisz, że zadziwiający dobór cech fizycznych w naszej rodzinie miał coś wspólnego z tym, jak traktowała naszą trójkę? Ach, racja, mogłeś to zapomnieć. W każdym razie rozczarowaliśmy ją jako *Übermenschen*, choć nasza powierzchowność była nieskazitelnie aryjska; ja byłem kryminalistą, Miri dziwką, ale ty, że tak powiem, złotym kundlem, który wynagradzał jej wszystko. To dlatego się zabiła. My dwoje byliśmy poza jej zasięgiem, ciebie zaś nie chciała odciągać od studiów i absorbować opieką nad starszą panią. *Ritterkreuz mit Eichenlaub, Schwertern und Brillanten* dla heroicznej *Mutti*. Wyglądasz na zaskoczonego, Jake. Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

- Nie, i chciałbym ci podziękować za zwrócenie mi na to uwagi... Powinniśmy częściej odbywać takie braterskie rozmowy czuję się teraz niebywale pokrzepiony. Cholera, jaka szkoda, że *Mutti* nie doczekała chwili, gdy syn marnotrawny powróci w chwale, by sądzić żywych i umarłych. Byłaby z ciebie taka dumna!

Paul zignorował sarkastyczny ton mojej uwagi, jak to robi prawie zawsze, i odparł łagodnie:

- Owszem, zawsze tego żałowałem. A tak nawiasem mówiąc, skończyliśmy z tym tematem? Bo mam pewne przemyślenia dotyczące twojej obecnej sytuacji.

Zaczęliśmy omawiać strategię na najbliższe dni. Jego zdaniem cała ta afera była jednym wielkim oszustwem, należało się więc zastanowić, jakie działania podejmiemy w Anglii. Pomyślałem, że ma chyba rację. Oczywiście, że to oszustwo. Czyż wszystko nie jest oszustwem?

Samolot wylądował. Pojechaliśmy do Londynu limuzyną wynajętą przez Paula w Osborne Security Service. Kierowca, niejaki Brown, był pracownikiem rzeczonyj firmy ochroniarskiej i, jak powiedział nam Paul, ekszołnierzem SAS, specjalistą od strun fortepianowych. Nie zrobił na mnie wrażenia; wydawał się jakiś niepozorny i łasicowaty. W hotelu trochę za dużo wypilem co, jak sądzę, w tych okolicznościach było usprawiedliwione i poszedłem szybko spać. Rano, zdecydowanie za wcześnie, obudziłem się z koszmarnym bólem głowy i spuchniętym, suchym językiem, a mój brat, w stroju duchownego, poinformował mnie, że natychmiast opuszczamy hotel. Najwidoczniej jego zespół ochroniarski wyparzył jakichś opryszków i musieliśmy się im urwać. Pozwoliłem, żeby doprowadził mnie do jakiegoś takiego stanu, a następnie poszliśmy po Crosettiego, który przez jedną noc przeobraził się we wrednego małego durnia. W drodze do Oksfordu ledwie dbał o pozory grzeczności.

Musiałem się zdrzemnąć, ale obudził mnie głos Paula, który opisywał coś, co znalazł w jakimś kościele w starym City. Uważał, że to siatka, którą posługiwał się Bracegirdle, szyfrując swoje listy. Byłoby to wielkie odkrycie, ale, szczerze mówiąc, w tym momencie nie mogłem rozbudzić w sobie większego zainteresowania. Jestem człowiekiem o ustalonych nawykach, jak już chyba wspominałem, i jeżdżenie samochodami po jakichś obcych okolicach nie jest dla mnie żadną atrakcją. Zauważyłem jednak, że młodemu Crosettiemu błyszczą się oczy. Mógłbym z powrotem odpłynąć w sen, gdyby nie napomknienie Paula, że siatka została zwędzona przez jakąś młodą kobietę. Z miejsca odrzuciłem przypuszczenie Crosettiego, że mogła to być Carolyn Rolly. Wszelkie znamiona przestępstwa świadczyły o tym, że popełniła je Miranda: niewinny wizerunek, nakłonienie do zachowania dyskrecji prawdopodobnie samotnego wikariego, błyskawiczne, raptowne rozwiązanie...

Miranda! Nawet się z nim nie spierałem. O ile sobie przypominam, pomyślałem, że to my mamy wszystkie szyfry, a więc będzie musiała przyjść do nas ze swoją siatką. Pamiętam też, że ogarnęło mnie uczucie wyczekiwania, jakie rzadko mi się zdarzało, zupełnie jakbym był dzieckiem w drodze na karnawał.

Do przedmieść Oksfordu dotarliśmy około południa; czułem coraz większy głód. Napomknąłem o tym Paulowi, na co odparł, że mamy się spotkać z Oliverem Marchem w wiejskim pubie. Gdy tylko dotarło to do Browna, zaczął prowadzić jak oszalały, śmigając po czterech pasmach M40, aby w ostatniej chwili skręcić błyskawicznie w szosę A40, a potem w lokalną drogę na zachód od Oksfordu.

Crosetti zapytał go, czy próbujemy urwać się naszym prześladowcom, na co Brown odparł: „Nie, tylko jednemu z nich”. Potem pomknęliśmy z rykiem silnika coraz węższymi drogami, wyrzucając w górę fontanny wody i błota i podskakując niemiłosiernie. Zerknąłem na swoich towarzyszy: im taka jazda chyba odpowiadała, a moje rosnące zdenerwowanie wydawało się sprawiać przyjemność. Potem, po szczególnie ostrym wirażu, skręciliśmy w zwykłą wiejską ścieżkę. Brown zatrzymał samochód, wyskoczył z niego, błyskawicznie otworzył bagażnik i wyciągnął długi, czarny nylonowy worek. Też wysiadłem z samochodu, oparłem się o niski płotek i długo wymiotowałem. Kiedy wreszcie przyszedłem do siebie, usłyszałem warkot nadjeżdżającego wozu i spojrzawszy w tamtą stronę, zobaczyłem Browna, który w rozwidleniu przydrożnej wierzby trzymał wielki, egzotycznie wyglądający karabin i celował w kierunku drogi. Pędziło ku niemu z wielką szybkością niebieskie bmw; kiedy zbliżyło się na odległość jakichś stu metrów, strzelił. Silnik zakrzuszył się, samochód zahamował raptownie i stanął, spod maski buchnęła para. Brown schował karabin do pokrowca i zauważył, że stoję nieopodal z wytrzeszczonymi oczami i ocieram usta chusteczką.

- Wszystko w porządku, sir?
- Nic mi nie jest. Zastrzelił pan kogoś?
- Nie, sir, trafiłem tylko auto. To jest barrett, sir, idealny do zatrzymywania samochodów. Ojciec Paul prosił, żeby zapewnić mu trochę prywatności podczas tego spotkania.

Gapilem się na niego bez słowa. Ujął mnie za łokieć i powiedział:

- Wsiądźmy do auta, sir.

Wsiedliśmy i po pewnym czasie dotarliśmy do małej, typowo angielskiej wioski, której nazwy zapomniałem: Dorking Smedley? Inching Tweedle? Coś w tym rodzaju. Wjechaliśmy na podwórko przed budynkiem, który wyglądał jak gospoda dla woźniców z ozdobnego pudełka z herbatnikami: strzecha, ciemne krokwie z epoki Tudorów, ciężkie szklance z liliowego szkła, z jakich Bracegirdle popijał małmazję. Weszliśmy wszyscy gęsiego do środka, z wyjątkiem Browna, który czekał przy samochodzie, rozmawiając przez trzeszczącą krótkofalówkę.

W środku było mroczno i przytulnie, na kominku płonął ogień. Za barem stał zwalisty mężczyzna ze staromodnymi rudymi bokobrodami. Na nasz widok skinął głową i wskazał boczne drzwi. Za nimi znajdował się mały pokój z gazowym kominkiem i pokiereszowanym okrągłym stołem, przy którym siedział szczupły, przystojny mężczyzna grubo po pięćdziesiątce, ubrany w tweedową marynarkę, koszulę w drobną kratkę i czarny wełniany krawat. Kiedy weszliśmy, wstał; Paul dokonał prezentacji, wymieniliśmy uściski dłoni i usiedliśmy. Był to Oliver March, towarzysz życia Bulstrode'a. Kolejny dowód, że Paul przejął przywództwo nad naszą ekspedycją. Było mi wszystko jedno. Czułem się jak jeden z tych wielkich czarnych pęcherzy z przemysłowymi chemikaliami, jakie widuje się na barkach w porcie, bezwładne i ogromne, przesuwające się pod wpływem kołysania.

Po krótkiej wstępnej rozmowie March powiedział:

- Tajne spotkanie. To wszystko wydaje się takie dziwne: „Kiedy widziałeś ostatnio swego ojca” i tak dalej.

Drgnąłem na te słowa i spojrzałem nerwowo na Paula, który wyjaśnił, że to aluzja do słynnego obrazu, przedstawiającego synka rojalisty przesłuchiwanego przez żołnierzy Cromwella, coś w rodzaju zwrotu retorycznego. Profesor ciągnął:

- Otóż to. I nie zgodziłbym się, proszę księdza, na spotkanie w takim nieodpowiednim miejscu, gdyby ksiądz nie zasugerował, że Andrew zginął w innych okolicznościach, niż ustaliła to policja.

W tym momencie po raz pierwszy usłyszałem o zaangażowaniu Paula w sprawę Bulstrode'a, słuchałem więc z zainteresowaniem, gdy zaczął wyjaśniać:

- Rzeczywiście, było inaczej. Znaleźli naćpanego chłopca nazwiskiem Chico Garza, który posługiwał się kartą kredytową pańskiego przyjaciela, i wymusili na nim zeznania. Ten chłopiec był męską prostytutką i nie miał nic wspólnego ze śmiercią profesora.

- Jakie są na to dowody?

- No cóż, po pierwsze odwiedziłem go w więzieniu. W chwili gdy profesora zamordowano, chłopak nocował w squacie, a kiedy się obudził, znalazł portfel profesora w swojej torbie. Nigdy w życiu go nie spotkał, ale został sprytnie wrobiony w to morderstwo. Policja znalazła ważne dla sądu ślady pozostawione przez Garze w mieszkaniu profesora, a więc wszystko było starannie przygotowane. Inny, jeszcze bardziej przekonujący argument jest taki, że nikt oprócz mojego brata i jego sekretarki nie wiedział o tym, że profesor przekazał papiery Bracegirdle'a w depozyt do firmy prawniczej, a jednak w ciągu paru dni po morderstwie rosyjscy gangsterzy zaczęli śledzić mojego brata. Skąd wiedzieli? Musieli wydobyć tę informację od pańskiego przyjaciela.

Słowo „wydobyć” zawisło w powietrzu i March na chwilę przymknął oczy. Pomyślałem w tym momencie: Szwanow wspomniał o „źródłach”, kiedy opowiadał mi o tym, dlaczego się mną zainteresował, a ja nie naciskałem go więcej w tej sprawie. Było oczywiste, że gangsterzy mieli swoje „źródła”. Ludzie mówią im różne rzeczy albo oni sami ich śledzą. Albo też Szwanow kłamał, może to on torturował Bulstrode'a...

(I znów, z perspektywy czasu, kiedy słabną emocje, rzeczy wydają się cudownie proste, ale w chwili, gdy wszystko się rozgrywa, spowija je gęsta mgła. A my jesteśmy tak bardzo skłonni do zaprzeczania temu, co rozgrywa się na naszych oczach, jak na przykład obrazowi moich relacji z *Mutti*, jaki przedstawił mi w samolocie Paul, obrazowi, o którym nie mogę przestać myśleć. Nie powinniście więc winić mnie za to, że nie zaproponowałem od razu czegoś, co później okazało się tak oczywiste).

W tym momencie weszła barmanka, nie taka, jakiej należałoby się spodziewać w starej gospodzie, a więc nie hoża, różowa i jasnowłosa dziewczyna w prostej, wiejskiej bluzce i płóciennym fartuszką, tylko chuda, śniada i szczupła brunetka w oliwkowym kostiumie, pochodząca być może z Malty albo i z Korsyki. Przyjęła

nasze zamówienia i odeszła bez żadnych falstaffowskich przekomarzań.

- Nie potrafię pojąć, jakim cudem Andrew mógł się zadawać z rosyjskimi gangsterami. To się po prostu nie mieści w głowie.

- Potrzebował pieniędzy na ekspertyzę, która potwierdzałaby autentyczność manuskryptu - powiedziałem. - A gdyby okazał się autentyczny, na zlokalizowanie rękopisu sztuki, o której wspomina Bracegirdle.

- Zaraz... Bracegirdle? - zapytał March. Spojrzeliśmy na niego zaskoczeni.

- To Andrew nie powiedział panu, dlaczego przyjechał latem do Anglii?

- Mówił tylko, że prowadzi pewne badania. Ale on zawsze prowadził

badania. Kto to jest Bracegirdle?

Wyjaśniłem mu pokrótce, a tymczasem wróciła barmanka, przynosząc jedzenie i drinki. Zamówiłem kufel piwa i zanim się oddaliła, zdążyłem go opróżnić, aby zamówić następny. March słuchał uważnie, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Kiedy skończyłem, pokręcił ze smutkiem głową.

- Andrew i ja spędziliśmy ze sobą niemal bez przerwy blisko trzydzieści lat - powiedział. I zawsze zwierzałem się sobie ze wszystkiego, choć bez nadmiernej wylewności. Muszę powiedzieć, że nie miałem najmniejszego pojęcia o tej sprawie. Andrew mógł oczywiście coś skrywać, zwłaszcza po tej cholernej historii, jaką przeżył, jednakże... poza tym to nie wyjaśnia najważniejszego: dlaczego, jeśli potrzebował pieniędzy, nie zwrócił się z tym do mnie?

- Jest pan zamożny? spytałem.

- Ach, bynajmniej, ale mam pewne środki, trochę nieruchomości, parę odziedziczonych rzeczy. Przypuszczam, że w razie potrzeby mógłbym zebrać co najmniej setkę, nie popadając przy tym w skrajną nędzę. Chce pan powiedzieć, że Andrew potrzebował większej sumy?

- Jeśli mówi pan o stu tysiącach funtów, to raczej nie. Nic nie wskazuje na to, żeby dostał od Rosjan więcej niż około dwudziestu tysięcy dolarów.

- Boże! To wszystko wydaje się jeszcze bardziej absurdalne. Dlaczego nie zwrócił się z tym do mnie?

- Może krępował się z powodu tego skandalu - powiedziałem, - wspominając, że Mickey Haas zadał mi identyczne pytanie.

Kiedy tylko padło to nazwisko, na kulturalnej twarzy Marcha pojawił się zaskakujący wyraz niechęci.

- To oczywiście, że nie mógł zwrócić się do Haasa powiedział. Haas go nienawdził.

- Co takiego? Jak pan może tak mówić? zaprotestowałem. - Przyjaźnili się. Mickey był jednym z nielicznych ludzi na uczelni, którzy go nie opuścili, kiedy wybuchł skandal z fałszywym quartem. Załatwił mu pracę na Columbii, gdy inni się odwrócili.

- Rozumiem, że Haas jest panu bliski?

- Owszem. To mój najstarszy przyjaciel i jeden z najprzychylniejszych i najbardziej wielkodusznych ludzi, jakich znam. Dlaczego Andrew wyobrażał sobie, że Mickey go nienawdzi?

- To nie miało nic wspólnego z wyobraźnią rzucił gniewnie March. – Niech pan posłucha. Ponad dwadzieścia lat temu Haas opublikował książkę o kobietach u Szekspira, o postaciach kobiecych w jego sztukach; postawił tezę, że traktowanie wielkiego dramaturga jako oryginalnego geniusza służy po prostu ugruntowaniu toksycznego indywidualizmu kultury burżuazyjnej. Zdaje się napisał tam, że *Makbet to* w rzeczywistości sztuka o trzech wiedźmach i mnóstwo innych bzdur. Andrew poproszono o recenzowanie książki dla „Times Literary Supplement” i on schlaśtał tę książkę, tak jak na to zasługiwała, nie tylko obnażając luki w logice wywodu i wiedzy autora, lecz także sugerując, że Haas, o czym świadczą inne jego teksty, wysmażył tę brednię z premedytacją, żeby podliznąć się marksistom, feministkom i wszystkim tym, którzy podobno kontrolują politykę personalną większości amerykańskich uniwersytetów. Nie znam się na Szekspirze, ledwie zdałem maturę z tego tematu, jestem tylko zwykłym biologiem. To zdumiewające, że Andrew i ja tak do siebie pasowaliśmy, może to kwestia braku rywalizacji, dwóch uzupełniających się półówek. Czytywał mi wieczorami fragmenty. Zrobił się wielki skandal, do gazety przychodziły pełne oburzenia listy, ukazywały się też długie wywody w mniejszych pismach. Pamiętam, jak pomyślałem sobie wtedy, że mam szczęście, pracując w dziedzinie, która opiera się na wymiernych, konkretnych

danych. W końcu burza ucichła, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, i kiedy Andrew przez tego okropnego oszusta stracił reputację, Haas wystąpił zdecydowanie w jego obronie, a potem zaproponował mu pracę. Jak pamiętam, żaden z nas nie wspomniał o tej wcześniejszej awanturze. Uznaliśmy, że rzecz została zapomniana, jak to zwykle bywa przy okazji akademickich sporów. Okazało się, że jest inaczej. Prawie natychmiast, gdy tylko Andrew przyjechał do Nowego Jorku, Haas zaczął go dręczyć. Początkowo były to tylko złośliwe prztyczki, drobnostki, które można by od biedy wziąć za przejawy prostackiego amerykańskiego humoru, ale potem się to nasiliło, pojawiły się drobne akty tyranii.

- Na przykład?

- Ach, obiecano Andrew, że poprowadzi seminarium szekspirowskie i zajęcia podyplomowe, a zamiast tego dostał zajęcia ze studentami pierwszego roku, co wyglądało tak, jakby neurochirurga poproszono o sprzątanie sal w szpitalu, wycieranie krwi z podłogi i opróżnianie basenów. Kiedy poskarżył się na takie traktowanie, Haas powiedział mu, że powinien się cieszyć, że w ogóle ma pracę, że nie musi żyć z zasiłku albo sprzedawać zegarków na ulicy. Andrew zadzwonił i opowiedział mi o tej paskudnej sytuacji. Oczywiście zażądałem, żeby powiedział Haasowi, co może zrobić ze swoim cholernym kontraktem, i żeby natychmiast wracał do Anglii. Ale on nie chciał tego zrobić. Myślę, że uważał to za rodzaj ekspiacji za swój dawny grzech. I... wiem, że to zabrzmiało dziwnie, zupełnie jakby pograżał się w jakimś piekle paranoi, ale powiedział mi, że w jego odczuciu Haas dręczy go także w bardziej podstępny sposób. Ginęły jego pobory. Znikały różne drobiazgi z teczek i z pokoju. Ktoś zmienił zamek w drzwiach jego gabinetu. Pewnego dnia przyszedł do pracy i stwierdził, że wszystkie rzeczy wystawiono mu na korytarz. Bez uprzedzenia przeniesiono gabinet. Grupy, z którymi miał zaplanowane zajęcia w określonej sali, w jakiś tajemniczy sposób lądowały w innej, na drugim końcu kampusu. Czasem musiał gnać tam w upale, aby odszukać swoich studentów. Lato w Nowym Jorku jest koszmarnie, bardzo źle to znosił. Nie był przyzwyczajony, wie pan, jako Anglik. A klimatyzacja w jego pokoju wciąż się psuła...

- I o to też obwiniał Mickeya? - zapytałem niezbyt uprzejmie.

- Tak. Wiem, co pan myśli, i przyznaję, że ja też myślałem podobnie. Czy on oszalał? Ale pozostawał ciężar dowodów, to znaczy mnogość okropnych szczegółów czy mógł je wszystkie wymyślić? Mało prawdopodobne. Moim zdaniem biedny Andrew w żadnym wypadku nie był fantastą. Żartowaliśmy sobie nawet, że jest w ogóle pozbawiony wyobraźni. No i co zobaczyłem, kiedy wrócił w sierpniu?

Przerwał i łyknął piwa. Widziałem, że oczy mu zwilgotniały, i modliłem się, żeby się nie rozkleił i nie załamał, wspominając przyjaciela. Pociągnąłem łyk ze swojego kufla, już trzeciego.

- Trudno to opisać. Był obłąkany i przerażony jednocześnie. Przyjechała z nim jakaś młoda kobieta. Nalegał, żeby mogła zamieszkać w naszym domu, choć w pobliżu jest kilka bardzo dobrych hoteli.

- Carolyn Rolly - powiedział Crosetti.

- Zgadza się, tak chyba się nazywała. Pomagała mu w pewnych badaniach...

- Czy mówił, jakie to badania? - zapytał Paul.

- Właściwie nie. Ale powiedział, że chodzi o najważniejsze odkrycie w dziejach szekspiologii i że to wielka tajemnica. Tak jakbym był papłą. W każdym razie wychodzili i wracali. Odniosłem wrażenie, że ma sporo gotówki, wynajął samochód, mieszkał parę dni poza domem, wracał w doskonałym nastroju. Powiedział tylko, że weryfikuje autentyczność pewnego starego manuskryptu i że nikt nie może tego zobaczyć. To był główny powód, dla którego woził ze sobą pannę Rolly. O ile dobrze rozumiałem, sprawdzali autentyczność tego dokumentu za pomocą jakichś środków technicznych. W końcu wyjechali do Warwickshire.

- Wie pan, dokąd konkretnie? zapytałem.

- Wiem, natknąłem się przypadkiem na jakieś papiery, które zostawiła panna Rolly, i wynikało z nich, że pojechali do Darden Hall. Andrew wrócił sam, wyglądał na oklapniętego i jeszcze bardziej wystraszonego. Spytałem go o pannę Rolly, ale nie chciał nic powiedzieć. Była „daleko”, prowadziła badania. Nie wierzyłem mu ani przez chwilę - pomyślałem, że może się poróżnili. W każdym razie, tak jak mówię, był innym człowiekiem. Nalegał, żeby zaciągać zasłony w oknach, i chodził w nocy po domu z pogrzebaczem, oświetlając latarką ciemne kąty. Błagałem

go, żeby mi zdradził, o co chodzi, ale odparł, że lepiej, bym nie wiedział.

Crosetti zaczął się dopytywać, co się stało z Rolly. Czy sądzi, że wróciła do Stanów z Bulstrode'em? March nie wiedział i na tym mniej więcej skończyła się nasza rozmowa. Zapewniłem go, że wszystkie rzeczy osobiste Bulstrode'a zostaną mu przekazane, i (zatajając naturalnie kwestię zaginionego manuskryptu) poinformowałem, że postępowanie spadkowe prowadzi pani Ping. Potem się pożegnaliśmy.

W samochodzie wyniknął mały spór co do naszych dalszych kroków. Paul uważał, że powinniśmy kontynuować realizację pierwotnego planu i podążać śladami Bulstrode'a, co oznaczało, że należy jechać do Warwickshire i odwiedzić Darden Hall. Crosetti przekonywał, że Bulstrode najwyraźniej niczego tam nie znalazł, i dopytywał się, dlaczego uważamy, że nam pójdzie lepiej niż ekspertowi. Był za tym, żeby zostać na miejscu, pogrzebać w domu Marcha i Bulstrode'a i rzucić okiem na te „papiery”, o których wspomniał March. Zauważyłem głośno, że robi wrażenie znacznie bardziej zainteresowanego odszukaniem panny Rolly niż lokalizacją Dzieła. Odpowiedział, że ona była źródłem, kluczem i siłą napędową całej tej afery. Znajdźmy Rolly, a będziemy mieli wszystkie dostępne informacje o Dziele i najprawdopodobniej też skradzioną siatkę. Przez chwilę przerzucaliśmy się argumentami, z rosnącą irytacją z mojej strony (bo ja oczywiście wiedziałem, że to Miranda ukradła siatkę!), aż w końcu Brown przypomniał nam, że po okolicznych drogach będą krążyć inni agenci i wypytywać miejscowych, czy ktoś nie widział mercedesa SEL, od których się zapewne nie roilo na szosach Oxfordshire, w związku z czym wkrótce znów zaczną nam deptać po piętach.

Paul zasugerował, żeby Crosetti wrócił do gospody i zapytał, czy March zgodziłby się udostępnić te papiery do przejrzenia; mógłby się zatrzymać w jednym z bardzo dobrych hoteli. March nie miał zastrzeżeń do tego planu, więc zostawiliśmy go z Crosettim. Ulżyło mi, bo doszedłem do wniosku, że ten facet coraz bardziej mnie denerwuje. Napomknąłem o tym Paulowi, kiedy odjechaliśmy spod gospody; Paul zapytał, co mnie tak złości, bo na nim Crosetti zrobił wrażenie człowieka dość łagodnego, podczas naszej podróży na północ prawie się nie odzywał.

- Nie lubię go - powiedziałem. - Typowy pozer z przedmieścia. Scenarzysta, akurat! Nie ufam mu ani trochę. Co mi strzeliło do głowy, żeby go zabierać?

- Powinieneś przyjrzeć się ludziom, - którzy cię drażnią doradził Paul.

- Co to niby ma znaczyć?

- Ach, myślę, że wiesz - powiedział irytująco pewnym tonem, jaki przybiera czasami. Zabrzmiało to jak głos z nieba.

- Otóż nie wiem. Powiedziałbym, gdybym wiedział. A może spłynęła na ciebie łaska i umiesz czytać w cudzych myślach?

- Hm. Nie przychodzi ci do głowy inny pozer z przedmieść, raczej aktor, nie scenarzysta? Z tym, że ten nie miał tak szczęśliwej rodziny jak Crosetti, nie miał kochającej mamy, nie miał ojca bohatera...

- Co, myślisz, że jestem o niego zazdrosny. Że jestem taki jak on?

- ...postanowił więc nie ryzykować i wybrał studia prawnicze, zamiast robić to, co naprawdę by chciał. A teraz widzi chłopaka, który ma serdeczną i kochającą rodzinę i który odważnie podążył za swymi marzeniami...

- Co za bzdury...

- Wcale nie. W dodatku niemal oskarżyłeś go o to, że próbował ci uwieść żonę, a nawet go do tego zachęcałeś. Tuż przed tym, jak zdemolowałeś bar w hotelu, a barman wylądował w szpitalu.

- Nic takiego nie zrobiłem - zaprotestowałem gwałtownie.

- Wiem, że tak uważasz, ale w rzeczywistości zrobiłeś. Miewałeś już wcześniej podobne zaćmienia?

- Ach, stokrotne dzięki! Jestem pewien, że w piwnicach twojego kościoła zbiera się grupa AA, do której bym doskonale pasował.

- Nie, nie uważam cię za pijaka, przynajmniej jeszcze nie, choć trzy duże piwa w środku dnia to sporo.

- Jestem roslym mężczyzną - oznajmiłem bez przekonania, bo wszystko zaczęło ożywać w mojej pamięci, wszystkie koszmarnie szczegóły. Zwykle nie piję na umór.

Do diabła z tym!

Około czwartej dotarliśmy do Darden Hall. Niebo było szare. Zaskakująco krótki jesienny dzień, typowy na tej szerokości geograficznej, prawie się kończył i w świetle reflektorów naszego samochodu tańczyły miotane wiatrem liście na długiej drodze dojazdowej.

Miejsce znajdowało się na liście Narodowego Funduszu Ochrony Zabytków od 1999 roku, czyli od śmierci ostatniego barona Reitha. Trwała jeszcze renowacja, posiadłość była niedostępna dla publiczności. Zadzwoniliśmy wcześniej, aby umówić się na rozmowę z mieszkającą tu konserwatorką, panią Randolph.

Rezydencja przypominała rozpadającą się budowlę z filmowych horrorów albo anglofilskich przedstawień telewizyjnego Teatru Arcydziel, choć pora dnia i pogoda nadawały jej wygląd przywodzący na myśl raczej ten pierwszy gatunek. Jakobicka w stylu, miała dwa georgiańskie skrzydła i trochę wiktoriańskich ozdóbek profanujących fasadę. Przed domostwem natknęliśmy się na robotnika na maleńkim traktorze. Skierował nas do dawnego wejścia dla służby.

Drzwi otworzyła krzepka kobieta koło czterdziestki, typowa ładna Angielka, w dwuogniskowych okularach, tweedowej spódnicy i dwóch grubych rozpinanych swetrach, co okazało się rozsądne, bo w pomieszczeniu, do którego nas zaprowadziła, było tak zimno, że niemal para buchała nam z ust. Mały elektryczny grzejnik buczał dzielnie, ale najwyraźniej na próżno. Jak wyjaśniła pani Randolph, była to kancelaria dawnego zarządcy, jedyne nadające się do mieszkania miejsce, które pełniło funkcję jej kwatery głównej.

Spytała, czym może służyć, na co odpowiedziałem, że przyjechaliśmy się spotkać z hrabią Drakulą. Uśmiechnęła się i odpowiedziała tonem stosownym dla widowisk Teatru Arcydziel:

- Tak, wszyscy tak mówią albo napomykają coś o wieśniakach ścigających Frankensteina. Nakręcono mnóstwo gotyckich powieści i filmów, ale myślę, że jest coś w tym nonsense. Nawet wtedy, w dziewiętnastym wieku, kiedy wydawało się, że styl życia, który zrodził te domy, będzie trwał wiecznie, pisarze wiedzieli, że coś jest z nimi nie tak, że wzniesiono je na straszliwym cierpieniu, co znalazło ujście w opowieści gotyckiej.

- Na jakim cierpieniu zbudowano ten dom?

- Ach, ma pan wiele możliwości do wyboru. Pierwszy właściciel, lord Dunbarton, ukradł go za łaskawym przyzwoleniem Henryka VIII jakimś benedyktyńskim zakonnicom, które prowadziły tu szpital dla ubogich. Barona to oczywiście nie interesowało, a później Dunbartonowie wzbogacili się na cukrze i niewolnikach. Dzięki temu dobudowali georgiańskie skrzydła, następnie doszedł do tego

węgiel, gaz i nieruchomości w Nottingham i Coventry. Nikt z tej rodziny nie przepracował uczciwie ani jednego dnia, a żyli jak cesarze. Ale...

- Co takiego? - zapytał Paul.

- Trudno to wyjaśnić. Chodźcie panowie ze mną, coś wam pokażę.

Ruszyliśmy za nią długim ciemnym korytarzem, gdzie paliły się piętnastowatowe żarówki w kinkietach. Ziąb panujący w biurze konserwatori ki wydawał się teraz przyjemny w porównaniu z wilgocią korytarzy, przywodzącą mi na myśl chłód grobu. Weszliśmy do jednej z komnat i pani Randolph zapaliła światło. Zatkąło mnie.

- Była to kiedyś jakobicka jadalnia, w której podawano obiady, a potem śniadania. Możecie panowie podziwiać jeden z najwspanialszych w środkowej Anglii przykładów orzechowej boazerii imitującej kotarę, nie mówiąc o rzeźbieniach na kredensach i o intarsjowanych parkietach. Przyjrzyjcie się szczegółom! Angielscy rzemieślnicy wykonali to dla kompletnych prostaków, a jednak włożyli w te boazerie z orzecha całą duszę. Dlaczego? Z miłości, i za to ich szanuję, dlatego zajęłam się konserwacją. Chodźmy, jest tu jeszcze więcej do obejrzenia.

Następna komnata była salą balową.

- Proszę spojrzeć na sufit. Giacomo Quarenghi, około tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego roku. Brytania królująca falom. Widzimy ją w morskim rydwanie ciągnionym przez delfiny, a czarnoskórzy na brzegach składają jej hołd. Komnatę projektował Adam. Spójrzcie na te proporcje! Na te okna! Na parkiet! Nikt już nie zbuduje takiego domu, choć mamy w tym kraju ludzi, którzy mogliby kupić dowolnego lorda Dunbartona za swoje kieszonkowe, a to oznacza, że coś cudownego odeszło bezpowrotnie. Chciałabym wiedzieć - dlaczego?

- Ja również rzekł Paul. Znam to uczucie. Często nachodziły mnie takie myśli w Rzymie. Powszechne zepsucie i rozpusta, upadek religii, a jednak... jakie wspaniałe dzieła tworzyli!

Przez chwilę rozmawiali z ożywieniem o Rzymie i zagadnieniach estetyki, gdy tymczasem ja gapiłem się na Brytanię i próbowałem zidentyfikować postaci na malowidle. Potem wróciliśmy do nieco cieplejszego biura i do sprawy, z którą przyjechaliśmy. Przedstawiał ją Paul, jako że wcześniej nawiązał kontakt, a poza

tym miał koloratkę a ktoś by nie zaufała księdzu? Kiedy skończył, pani Randolph spytała:

- A więc przyjechaliście tu z tak daleka tylko z powodu pomyłki sądowej? Idziecie śladami tego Bulstrode'a w nadziei, że znajdziecie nitkę, która doprowadzi was do prawdziwego mordercy?

- Zgadła pani powiedział Paul. Czy w ogóle pamięta pani tamtą wizytę?

- O tak, oczywiście. Nie mam tu zbyt wielu gości, z którymi mogłabym porozmawiać o czymś innym niż o pilce nożnej czy cenach paliwa, a więc jeśli tacy się trafią, rzucam się na nich i po prostu zagaduję ich na śmierć. Tak jak zrobiłam z panami, za co przepraszam. Tak, profesor Bulstrode, oddelegowany na jakiś uniwersytet w Stanach. Była z nim młoda kobieta, Carolyn Raleigh. Dobrze zapamiętałam?

- Mniej więcej. Czy może przypomina pani sobie, czego szukali?

Pani Randolph zastanawiała się przez chwilę, wpatrzona w spiralę elektrycznego grzejnika.

- Powiedzieli, że prowadzą badania nad historią rodziny Dunbartonów, ale myślę, że chodziło o coś innego. Wymieniali spojrzenia, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi, i mówili raczej ogólnikami. Naukowcy, jak zauważyłam, zwykle rozwodzą się nad przedmiotem swoich badań, a profesor Bulstrode i jego asystentka byli zdecydowanie małowówni. Ale to w końcu nie moja sprawa, miał stosowne referencje, dałam mu więc klucz do archiwum i zajęłam się swoimi sprawami. Spędzili tam cały dzień, co było naprawdę zastanawiające, bo w archiwum jest straszny bałagan, nic nie zostało porządnie skatalogowane, a kiedy wyszli, byli pokryci od stóp do głów wielowiekowym kurzem. Zapytałam, czy znaleźli to, czego szukali, odpowiedzieli, że tak, podziękowali, profesor wpłacił całkiem sporo na konto Funduszu, bo sto funtów, i poszli.

- Zabrali coś?

- Czy wynieśli jakiś dokument? Nie sądzę, ale mogli ich zabrać mnóstwo. Nie przyglądałam się i oczywiście nie zrewidowałam ich przed wyjściem.

W tym momencie zadzwonił telefon; pani Randolph podniosła staroświecką ciężką słuchawkę. Słuchała przez chwilę, po czym wyjaśniła, że to murarz. Podziękowaliśmy i wyszliśmy.

Siedząc już w ciepłym wnętrzu samochodu, spytałem Paula, co o tym sądzi.

- Przypuszczam, że coś znaleźli i Rolly z tym związała. Wydaje mi się, że to chytra sztuka.

- Też tak myślę. No więc co teraz, braciszku? Zdaje się, że wyczerpaliśmy możliwości.

- Tak, przynajmniej tutaj. - Spojrzał na zegarek. - Na dziś to wszystko. Proponuję, żebyśmy wrócili do Oksfordu, spędzili noc w dobrym hotelu, wstąpili po Crosettiego i pojechali do Aylesbury.

- Po co? Co takiego jest w Aylesbury?

- Springhill House, jedno z więzień Jej Królewskiej Mości. Chciałbym porozmawiać z Leonardem Pascoe, sławnym w świecie fałszerzem starych dokumentów. Panie Brown, czy mógłby pan załatwić, żeby ktoś za nami pojechał?

- Tak, sir. Znam podłego typka, który może dać komuś cynk, dokąd jedziemy.

- Tak, tak, wiele jest podłości na tym świecie - oświadczył Paul z taką satysfakcją, że miałem ochotę mu przyłożyć. - Aha, i jeszcze jedno, panie Brown dorzucił.

- Tak, sir?

- Czy mógłby pan zlokalizować na trasie fermę? Taką, na której hodują gęsi.

- Gęsi - powtórzył kierowca. - Dobrze, sir.

- O co chodzi, Paul? zapytałem.

- Ach, po prostu pojedziemy na spotkanie z Richardem Bracegirdle'em odparł i więcej już nie pisał słowa, zadufany sukinsyn.

SZÓSTY ZASZYFROWANY LIST (FRAGMENT 3)

śmy do gospody George'a i rozmawialiśmy do późna: Pan W.S. rzekł jakby do siebie: Zabitem człowieka, muszę się wypowiedzieć, a gdzie ja znajdę księdza w dzisiejszych czasach? Potem rzecze: Dick, posłaliśmy dwóch zbirów do piekła, ale w piekle jest więcej miejsca, diabeł trzyma ich w beczkach jak śledzie, więc jeśli twój Piggott usłyszy o tej burdzie, wyśle ich więcej i jeszcze więcej, aż w końcu zostaniemy pokonani, żebyśmy nie mogli uderzyć w korzenie i w lorda Dunbartona. Musimy się odwołać do potężniejszych niż my, bo większych władców może obalić tylko większy od nich. Jestem w dobrych stosunkach z Montague'ami, a Montague'owie w dobrych stosunkach z Howardami, jedni i drudzy są wyznawcami starej religii i Frances Howard podbił serce lorda Rochesterera, jak o tym wie cały dwór, i zanieś list, i przysięgnie, że to jest prawdziwy, bo będzie prawdziwy, i wtedy lord Dunbarton będzie skompromitowany, a ty ocalony. A jaki to list? - pytam ja. Nie, mówi on, powinienem powiedzieć dwa listy, jeden, coś go otrzymał od fałszywego Veneya, który podrabiał pismo lorda Rochesterera, i drugi, który musisz napisać dziś w nocy i w którym opowiesz całą historię. A więc napisałem, Panie, to, co czytasz teraz, a kiedy skończył, przeczytał go i postawił znaczki, gdzie miałbym go poprawić, ale ja powiedziałem nie, bo to mój list, nie rób ze mnie jednej ze swoich postaci, bo to wszystko, com napisał, jest szczere, a nie żadna sztuka. Uśmieł się do lez i mówi: Dzięki ci, chłopcze, masz rację, boja jak ten rzeźnik muszę dźgać każde ciele, czy moje ono, czy nie.

Potem zapytałem go: Sir, czy to na pewno nas ocali, czy musimy zrobić coś innego, i on na to, że na pewno ocali mnie, ale co do niego, nie wiadomo. Ale przecież sam mówisz, że masz możnych przyjaciół, powiadam, a on rzecze: Wszystko się ciągle zmienia i aura nie jest dla mnie łatwa. Król Henryk

francuski ostatnio zamordowany, i to przez mnicha, co znów zwróciło uwagę króla Jakuba na knowania papistów. Wyznaczył fanatycznego purytanina na arcybiskupa Canterbury i jego stronnictwo naciska jeszcze bardziej na nas, ludzi teatru. Ja sam jestem atakowany w publicznych pismach i nikt nie odważy się wystąpić w mojej obronie. Władza moich przyjaciół z rodu Montague'ów i innych mojej wiary słabnie, ich domy, kiedyś bezpieczne, są teraz przeszukiwane jak zwykle chałupy. Powiadają: Ale jednak napisałeś sztukę. Tak, mówi on, napisałem, tak jak więzień długo trzymany w okowach dziarsko stuknie piętami, gdy żelaza opadną. Ach, chłopcze, wyobrażasz sobie, że myślałem o tym, iż taka sztuka może być kiedyś wystawiona? Nie, ale spłynęła ze mnie za sprawą twej namowy i nie mogłem już przestać; wielka to głupota, wiem, ale oto jest, poroniony płód, i cóż mogę z nią zrobić? Musi być spalona, mówię ja. Tak, trzeba ją spalić, rzecze on, moje heretyckie dzieło.

Puk.

Crosetti poruszył się niespokojnie przez sen i próbował wrócić do bardzo przyjemnego marzenia sennego, w którym siedział na planie filmowym z Jodie Foster i Clarkiem Gable'em, gawędząc o filmach. Spoglądał znacząco na Jodie, bo oboje wiedzieli, że w rzeczywistości Gable nie umarł, i czekali, aż wyjaśni im, jak wyprowadził w pole cały świat, ale za ich plecami rozległ się jakiś grzechot i aktor powiedział, że musi iść i zobaczyć, co to takiego.

Puk puk puk pukpukpukpuk

Usiadł na łóżku w nieznanym sobie pokoju w hotelu „Linton Lodge” na przedmieściach Oksfordu. To przyjemne lokum zawdzięczał uprzejmości profesora Marcha. Potrójne wykuszowe okna wychodziły na ogród; w tej chwili była za nimi ciemna noc i to właśnie one stanowiły źródło hałasu, który wyrwał go ze snu. Kamyki znów zagrzechotały o szybę. Crosetti spojrział na zegarek: wpół do trzeciej w nocy.

Wstał, wciągnął dzinsy, podszedł do okna, otworzył je i dostał garścią żwiru w twarz. Zaklął i wychyliwszy się, dostrzegł na trawniku ciemną postać, która właśnie schylała się, żeby zgarnąć ze ścieżki kolejną garść kamyków.

- Kto tam, do cholery? - zapytał głośnym szeptem, jakim mówi się zwykle, gdy nie chce się obudzić domowników.

Postać na dole wyprostowała się i odpowiedziała takim samym szeptem:

- To ja, Carolyn.

- Carolyn Rolly?

- Nie, jakaś inna Carolyn. Zejdź i otwórz mi drzwi!

Przez dłuższą chwilę patrzył z góry na bladą, uniesioną ku niemu znajomą twarz, a potem zamknął okno, włożył koszulę i buty, wyszedł z pokoju, natychmiast cofnął się po klucz, zanim zatrzasnęły się drzwi, przemknął krótkim korytarzem i zbiegł po schodach, po czym wypadł do ogrodu. Stała przed nim w T-shircie z długimi rękawami i w dżinsach, przemoknięta; pasemka czarnych włosów lepiły się jej do policzków.

Przecisnęła się obok niego do holu.

- Boże, zmarzłam na kość powiedziała i rzeczywiście wyglądała na zziębniętą; w nikłym świetle czerwonej lampki nad drzwiami jej usta były sine. Spojrzała w stronę baru. Możesz mi postawić drinka?

- Wszystko jest już zamknięte. Ale mam butelkę w pokoju.

Rzeczywiście miał whisky kupioną dla matki w sklepie wolnocłowym na lotnisku.

Kilka minut później napuścił gorącej wody do wanny, wręczył Carolyn swój stary kraciasty płaszcz kąpielowy i kazał jej zdjąć mokre ciuchy. Poszła się przebrać do łazienki, on tymczasem nalał do hotelowych szklanek dwie porządne porcje. Kiedy wyszła w płaszczu i z głową owiniętą ręcznikiem, podał jej drinka.

Wypiła jednym haustem, krztusząc się i pokaszując, a on wpatrywał się w jej twarz. Napotkała jego wzrok.

- O co chodzi? zapytała.

- O co chodzi? Carolyn, mamy drugi grudnia, nie, już trzeci, a ty zniknęłaś... kiedy to?... pod koniec sierpnia. Bulstrode nie żyje, wiedziałaś o tym? Ktoś go zamordował. A jego prawnik zastrzelił dwóch facetów w saloniku mojej mamy. I próbowali mnie uprowadzić gangsterzy, i... Chryste, nie wiem, od czego... Carolyn, gdzie się podziewałaś i co, do cholery, robiłaś?!

- Nie wrzeszcz na mnie! - powiedziała zdławionym głosem. - Czy mogę usiąść i trochę pomilczeć?

Wskazał jej fotel przy oknie, a sam usiadł na łóżku naprzeciwko. Wydawała się groteskowo drobna i młoda, choć oczy miała podkrążone, a ich błękit przygasł nieco jak zmatowiały metal.

Dopiła w milczeniu whisky i wyciągnęła dłoń ze szklanką w jego stronę.

- Nie - powiedział. - Najpierw opowiadaj.

- Od jakiego momentu? Od urodzenia?

- Nie, możesz zacząć od swojego małżeństwa z H. Olerudem, zamieszkałym w Braddock w Pensylwanii przy Tower Road sto sześćdziesiąt jeden.

Głęboki wdech, znajome czerwone plamy na policzkach. Rolly nie potrafiła nad tym zapanować, choć uważał, że jak na taką skończoną klamczuchę powinna radzić sobie z tym lepiej.

- A więc wiesz wszystko? - zapytała.

- Tak. Nawet pojechałem tam, do tego domu. Pogadaliśmy sobie przyjaźnie z Emmettem.

Oczy jej się rozszerzyły, zacisnęła usta.

- O Boże, widziałeś go? Co z nim?

- Całkiem zdrowy, choć może trochę chudy. Wygląda na bystrego chłopca. Widziałem też dziewczynkę, też zdrowa, nie zdążyłem się jej przyjrzeć. Ojciec wygląda na gwałtownika.

- Delikatnie powiedziane. Harlan nie panuje nad rękami.

- Zauważyłem. Jak to się stało, że za niego wysłaś? Wygląda na znacznie starszego od ciebie.

- Był moim szwagrem. Mama umarła, kiedy miałam trzynaście lat, i Emily, moja siostra, zabrała mnie do siebie. Była cztery lata starsza ode mnie, a on sześć lat starszy od niej.

- A co z twoim ojcem?

Parsknęła pogardliwie.

- Nie znam go. Mama była małomiasteczkową kelnerką i barmanką, dorabiała do pensji, świadcząc usługi mężczyznom. Zapłać za mnie komorne w tym miesiącu, a dostaniesz dupy, ile zapragniesz. Była, jak to się mówi, przyjaciółką

kierowców. Pewnego dnia jeden z nich zastrzelił ją i faceta, z którym akurat się migdałiła. Chyba posądzal ich o prawdziwy romans. Wróciłam ze szkoły i w domu było pełno policji. Zadzwoiłam do Emily, a ta wzięła mnie do siebie. To było w Mechanicsburgu. Zamieszkałam z nimi. Chcesz o tym posłuchać?

- Tak. A więc nie było żadnego wuja Lloyd'a?

- Nie, kłamałam. Ale był Harlan. Zaczął ze mną kręcić, kiedy miałam czternaście lat i Emily nie zrobiła nic, żeby z tym skończyć, tak okropnie ją bił. Zaszłam w ciążę, kiedy miałam szesnaście lat, urodził się Emmett, cztery lata później Molly. Cóż mogę powiedzieć? Uważałam, że tak już jest na świecie. Harlan miał etat w fabryce akumulatorów, było co jeść i tak toczyło się nasze życie. Ja miałam Emily, ona mnie i obie miałyśmy dzieci. Zdziwiłbyś się, ilu ludzi w takich miasteczkach jak Brad-dock żyje podobnie. Potem Harlan stracił pracę, musiał wziąć gównianą robotę w magazynach Wal-Martu, Emily umarła i...

- Jak umarła?

- Pralka poraziła ją prądem. Zawsze trochę iskrzyła, a Harlan wciąż obiecywał, że naprawi, ale nigdy tego nie zrobił i musiałyśmy bardzo uważać. Myślę, że Emily mogła się zabić nie przez przypadek, ale umyślnie. Bił ją już wtedy regularnie.

- No tak. A jak doszło do tego, że zajęłaś się oprawianiem książek?

Nagle twarz jej się ściągnęła.

- Chcesz poznać całe moje życie? Dlaczego? Dlatego, że się pieprzyliśmy? I to ma cię upoważniać do nabycia pełnego żywota Carolyn Rolly na CD?

- Nie, Carolyn - powiedział Crosetti. - Nie upoważnia mnie to do niczego. Ale przyszałaś do mnie w środku nocy. Dlaczego? Żeby wziąć gorącą kąpiel? Napić się szkockiej? Pogadać o starych dobrych czasach w antykwariacie?

- Nie, ale... Słuchaj, potrzebuję twojej pomocy. Uciekłam im. Nie wiedziałam, dokąd iść. I nie mam czasu, żeby wdawać się w szczegóły. Kiedy się obudzą i zobaczą, że zniknęłam, przyjdą tutaj.

- Kto to są ci „oni”, Carolyn?

- Ludzie Szwanowa. Jest ich czterech, w hotelu, jakieś trzy kilometry stąd. Wiedzą, gdzie jesteś. Więc i ja wiedziałam, dokąd przyjsć.

- A teraz... co? Znów jesteśmy po tej samej stronie? Dlaczego mam wierzyć w to wszystko, co mówisz?

- Och, Boże! Już ci kiedyś powiedziałam, że nie wiem, jak się zachowywać wobec... prawdziwych ludzi, takich jak ty. Kłamię, wpadam z rozpaczy w panikę, uciekam i... Chryste, możesz mi jeszcze nalać? Proszę cię...

Spełnił jej prośbę. Wypiła.

- Dobra, nie mamy czasu na dłuższą wersję... Pewnego dnia pojechałam z dziećmi do lekarza na szczepienia szkolne i kiedy siedziałam w poczekalni... zobaczyłam tę książkę. Pozostałe to były atrapy, no wiesz. Czasem ludzie mają takie biblioteczki z niby starymi książkami w twardej oprawie. No więc ten lekarz też miał coś takiego, a Emmett i Molly bawili się tymi książkami, zdejmowali je z półek i układali jak klocki. Recepcjonistka kazała im przestać i ustawiła je z powrotem na półkach; była wśród nich właśnie tamta, zatytułowana *Sztuka oprawy książek*, świsnęłam ją. Miała okładkę z cielęcej skóry i złote tłoczone litery. Nie wiem, dlaczego ją wzięłam. Może dlatego, że wyglądała tak drogo, ta skóra i papier były zupełnie nie w stylu Braddock, przypominały skrawek innego świata, który znalazł się tam przypadkowo i wpadł mi w ręce jak klejnot. Po powrocie do domu schowałam ją, a później zaczęłam czytać; robiłam to co noc, miesiącami, i sama myśl, że ludzie mogą po prostu ręcznie robić książki i że mogą to być piękne przedmioty... nie wiem czemu, ale przemawiała do mnie głęboko. Potem Emily umarła, a ja codziennie obrywałam od Harlana. Wiedziałam, że jeśli się z tego nie wyrwę, to umrę jak Emily, z jego ręki albo z własnej. Albo sama go zabiję. A więc uciekłam. Za pierwszym razem złapał mnie, zamknął w piwnicy i pobił tak, że nie mogłam chodzić. Następnym razem odczekałam do dnia jego wypłaty, wzięłam mu pięćset dolarów, kiedy spał, i uciekłam. Dotarłam autostopem do Nowego Jorku i zamieszkałam w schronisku. Dostałam pracę przy sprzątaniu budynków, na nocnej zmianie. Dzięki temu znalazłam tamten loft. Mieszkałam tam nielegalnie, jak ci mówiłam, ale płaciłam grosze, bo właściciel potrzebował kogoś, kto pilnowałby budynku przed gangami złomiarzy, którzy pruli instalacje miedziane. To właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałam o Szwanowie.

- Jak?

- Był właścicielem budynku czy też jego części. Able Red Estate Management. No dobrze, więc miałam swój ką i pracowałam jako sprzątaczką przez ponad dwa lata, spędzając wolny czas w bibliotece; czytałam o introligatorstwie i księgarstwie, uczyłam się, co powinnam wiedzieć, żeby podrobić dyplom. Potem porzuciłam pracę sprzątaczką i zatrudniłam się w jednej ze średniojaskich restauracji jako kelnerka, bo chciałam się przyjrzeć normalnym ludziom, zobaczyć, jak się ubierają, o czym rozmawiają, jak gestykulują. Przeobrażałam się w dziewczynę z klasy średniej. Zajęło mi to prawie cały kolejny rok. A potem dostałam pracę u Glasera. Oto moja smutna historia. Chcesz się dowiedzieć, jak było z manuskrytem?

- Chcę.

- Znałam Bulstrode'a już wcześniej chyba ci wspominałam, że Sidney przedstawił nas sobie w Nowym Jorku, gdzie zapisałam się na kurs wiedzy ogólnej prowadzony przez tamtego na Columbian. Chodziło o rękopisy. Jak tylko zobaczyłam kartki, które wyjęłam z Churchilla, od razu wiedziałam, że to wielkie odkrycie. Łyknęła whisky i zapatrzyła się w czarną noc za oknem. - Chciałbyś pewnie wiedzieć, dlaczego skłamałam, kiedy pytałeś o prawo własności zniszczonych książek, dlaczego udawałam, że to nic wielkiego, i dlaczego kłamałam, że jestem uciekinierką, abyś sprzedał te papiery Bulstrode'owi za psie pieniądze.

- Zamieniam się w słuch.

- Okay, więc jestem pracownicą antykwariatu i znalazłam manuskrypty w okładkach książek, które jako „odzysk” odkupiłam tanio od swojego pracodawcy. Nie mam pieniędzy i uzyskałabym sporą sumkę, jeśli poświadczylabym ich autentyczność i sprzedała je na aukcji, ale gdyby rzecz przedostała się do wiadomości publicznej, Sidney zrobiłby piekło.

- Jak to?

- Ach, widzę, że nie znasz Sidneya. Powiedziałby, że rozcięłam okładki i znalazłam manuskrypt, a potem nakłoniłam go podstępnie, żeby sprzedał mi te książki jako „odzysk”. Tom znalazłby się natychmiast na indeksie i żaden dom aukcyjny nawet by go nie tknął. Sidney to wielka figura w tym świecie, a ja jestem nikim. Potrzebowałam figuranta, więc pomyślałam o profesorze Bulstrodzie. Zadzwoiłam do niego tego ranka, kiedy czekałeś na ulicy, powiedziałam mu, co znaleźliśmy,

i zaaranżowałam to, co później rozegrało się w jego gabinecie. Powiedział, że jeśli rzecz okaże się autentycznym, zapłaci mi pięć tysięcy, nie licząc tego, co zapłacił potem tobie. A więc od tej chwili był to manuskrypt Bulstrode'a. Nawet jeśli już raz go oszukano, pozostawał wybitnym naukowcem i paleografem, który ma dostęp do różnych rękopisów. Oznaczałoby to, że już nikt nigdy nie połączy tej sprawy ani ze mną, ani z Glaserem.

- No dobrze, Carolyn, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu.

- Och, Boże - nie znałam cię! Mogłeś chlapać o tym Glaserowi następnego dnia: cha, cha, Carolyn znalazła bezcenny manuskrypt z czasów króla Jakuba w tych książkach, które sprzedał jej pan za grosze. Musiałam więc udawać, że wciągam cię w tę aferę, i jednocześnie ukrywać przed tobą prawdę o manuskrypcie.

- Rozumiem. A to, co się stało później tej nocy, też było częścią planu?

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Crosetti usłyszał kiedyś od ojca, że patologiczni kłamcy zawsze patrzą śledczym w oczy i wytrzymują spojrzenie nienaturalnie długo. Z ulgą stwierdził, że Carolyn to nie dotyczy. Jej spojrzenie było niepewne i, jak mu się zdawało, lekko zawstyżone.

- Nie odparła. To nie było częścią planu. Wiedziała, że jesteś na mnie zły, i poczęstowała cię tą zmyśloną historyjką o wuju Lloydzie. Myślałam, że sobie pójdziesz, a kiedy jednak zostałeś i sprawiłeś mi tyle przyjemności... wiesz, nigdy w życiu nie spotkało mnie nic takiego, żeby ktoś zabrał mnie w tyle różnych miejsc, i ta piękna muzyka i wszystko, co mi kupiłeś, i to dlatego, że zobaczyłeś we mnie człowieka, a nie dlatego, że chciałeś się do mnie dobrać...

- Chciałem się do ciebie dobrać.

- Też tego chciałam, tylko żeby to był ktoś w moim wieku, ktoś miły i czuły. Nigdy nie byłam dziewczynką, nastolatką. Nigdy nie dawałam się obściskować w samochodach. To było jak narkotyki.

- A więc mnie lubisz?

- Och, uwielbiam cię - powiedziała tonem tak rzeczowym, że zabrzmiało to bardziej przekonująco niż wszelkie westchnienia, a jemu zaabiło mocniej serce. - Ale co z tego? - ciągnęła. - Jesteś dla mnie za dobry, to aż śmieszne, i nawet nie chodzi o moje dzieci, więc pomyślałam sobie... sama nie wiem... Tak jak po wiedziałeś:

jedna noc miłości, coś, co robią normalni ludzie, kiedy są w naszym wieku, a potem wszystko było jak w *Kopciuszku*, tylko bez szklanego pantofelka i księcia. Następnego dnia spotkałam się z Bulstrode'em, żeby zaplanować dalsze posunięcia, i wtedy mi powiedział, że znalazł źródło pieniędzy, jakich potrzebował. Poszliśmy więc spotkać się ze Szwanowem. Widziałeś kiedyś Osipa Szwanowa?

- Nie. Tylko ludzi, którzy dla niego pracują.

- Och, rzadko spotyka się kogoś takiego. Jest bardzo gładki, jeśli pominąć to jego spojrzenie. Przypomina mi Earla Raya Bridgera.

- Kogo?

- Kryminalistę, z którym przez pewien czas zadawała się moja matka. Nie chcę o nim teraz mówić. W każdym razie od razu wyczułam w Szwanowie złego człowieka, ale biedny Bulstrode się nie zorientował, a ja, broń Boże, nie chciałam go ostrzegać. Pobudził ciekawość Szwanowa, opowiadając mu o sztuce Szekspira. Powiedział, że sam manuskrypt *Bracegirdle'a* jest wart od pięćdziesięciu do stu tysięcy, ale że gdybyśmy znaleźli rękopis Szekspira, to trudno oszacować, jak wysoka byłaby jego cena. Sto milionów? Sto pięćdziesiąt? I Szwanow nie ryzykowałby nic, bo nawet gdyby poszukiwania zakończyły się fiaskiem, miałby jeszcze do sprzedania listy. W każdym razie Szwanow dał mu dwadzieścia kawalków, po czym kazał natychmiast jechać do Anglii i przeprowadzić badania dotyczące *Bracegirdle'a* i lorda Dunbartona, mogące nawet naprowadzić na ślad sztuki. Bulstrode wypełnił polecenie. A ja polecałam z nim...

- Bez pożegnania. Nie uważasz, że było to trochę niegrzeczne?

- To było najlepsze wyjście. Wiedziałam, że za nic w świecie nie będziesz chciał mieć do czynienia z tym sukinsynem.

- Ochraniałaś mnie?

- Tak mi się wydawało - przyznała, a potem, jakby się tłumacząc, dodała: - I nie wyobrażaj sobie, że nie potrzebowałeś ochrony. Nie znasz tego człowieka.

- A skoro już o nim mowa... Jak to się stało, że brytyjski naukowiec zadał się z takim bandziorem jak Szwanow?

- Nie mam pojęcia. Poznał ich ze sobą jakiś wspólny znajomy. Myślałam, że chodzi o pożyczkę na wysoki procent. Bulstrode był splukany; może próbował

znaleźć pieniądze na rękopis i tak wpakował się w tę kabałę. Boże, jestem taka zmęczona! Na czym skończyłam?

- „Odlatujesz odrzutowcem, kiedy wrócisz, nie wiem - zacytował piosenkę - i żadnych pożegnań”.

- Zgadza się. Okay, no więc w Anglii pojechaliśmy prosto do Oksfordu i zatrzymaliśmy się u Olliego Marcha. Bulstrode powiedział, że muszę z nimi zamieszkać, co Marchowi nie bardzo się podobało, ale jego przyjaciel wyjaśnił, że to dla mojego bezpieczeństwa. Miałam potwierdzić autentyczność manuskryptu, tak żeby nikt nie wiedział, że zamieszany jest w to Bulstrode. Kiedy więc otrzymaliśmy odpowiedź pozytywną, naprawdę mu odbiło. Nie wolno mi było nigdzie dzwonić, a ten list do Sidneya pozwolił mi napisać tylko dlatego, że go przekonałam, iż będzie bardziej podejrzane, jeśli nie zmyślę historyjki z rycinami i nie wyślę mu czeku. Bulstrode był obsesyjnie podejrzliwy, uważał na przykład, że pracuję dla Szwanowa i że mu powiedziałam, jakie mamy plany, po co te badania i w ogóle.

- Ale nie pracowałam.

- Pracowałam. Oczywiście, że pracowałam dla Szwanowa. Wciąż pracuję dla Szwanowa, on tak przynajmniej uważa. Dał mi numer swojej komórki przed naszym odlotem z Nowego Jorku i powiedział, żebym była z nim w kontakcie. Co miałam powiedzieć takiemu człowiekowi? Odmówić?

Crosetti milczał pod jej wyzywającym spojrzeniem. Ściągnęła ręcznik z głowy i zaczęła wycierać włosy z taką furją, że aż się skrzywił. Po chwili zapytał:

- Jak zareagował Bulstrode, kiedy powiedziałaś mu o zaszyfrowanych listach?

Znów oblała się rumieńcem.

- Nie powiedziałam mu. Szwanow to zrobił.

- Ale ty powiedziałaś Szwanowowi.

- Potwierdziłam tylko jego podejrzenia - przyznała pośpiesznie. - On jest kuty na cztery nogi, Crosetti. I ma wszędzie ludzi. Najwyraźniej słyszał o tobie od Bulstrode'a i musiał wszystko sprawdzić. Myślisz, że nie potrafi odkryć, co się zdarzyło w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej? Człowieku, on się może dowiedzieć, co się dzieje w CIA!

- Rzeczywiście trzymałaś mnie z daleka od sprawy zauważył ironicznie.

- Bardzo mi przykro. Jestem tchórzem, a on mnie przeraża. Nie potrafiłam kłamać. W każdym razie kiedy Bulstrode dowiedział się o szyfrach, wpadł w furję. Musiałam go dosłownie obezwładnić, żeby się uspokoił. Uświadomił sobie, że zaszyfrowane listy są kluczowe dla poszukiwań rękopisu sztuki i że kiedy Szwanow je od ciebie wyciągnie, nie będzie nas już potrzebował, co najpewniej może nam mocno zaszkodzić. Powiedziałam, że powinniśmy sprawdzić, czy oryginały szyfrowanych listów, które Bracegirdle słał do Dunbartona, wciąż się znajdują w dawnej siedzibie odbiorcy.

- I dlatego pojechaliście do Darden Hall.

- Właśnie. Ale ich tam nie było, w każdym razie my ich nie znaleźliśmy. Znaleźliśmy natomiast Biblię Genewską. Wiesz, co to takiego?

- Wiem powiedział Crosetti. Mała Biblia z epoki Tudorów, z szesnastego wieku, dziewięć cali na siedem. Podejrzewaliśmy, że była podstawą dla szyfru Bracegirdle'a. Ale skąd o tym wiedziałaś? Przecież nie miałaś zaszyfrowanego tekstu.

- Nie, ale Biblia Genewska, którą znaleźliśmy w bibliotece Dunbartona, była podziurkowana w różnych miejscach, na różnych przypadkowych literach. Bulstrode doszedł do wniosku, że te wybrane litery są kluczem do szyfru i że jego częścią musi być siatka. On wie cholernie dużo o starej kryptografii.

- I to dlatego ukradłaś płytkę z kościoła.

- Wiesz o tym? - spytała z cieniem niepokoju w głosie.

- Wiem wszystko. Dlaczego nie ukradłaś po prostu Biblii?

- Bulstrode ją ukradł. A potem zmusił mnie, żebym zwinęła płytkę.

Człowieku, on popadł w kompletną paranoję! Uważał, że cała banda naukowców jest na tym samym tropie, i chciał ich jakoś powstrzymać, jeśli przypadkiem mieli zaszyfrowany tekst. Zakładał, że dałeś komuś zaszyfrowane listy, na przykład swojej znajomej z biblioteki, i że zaczęło się ogólne polowanie. To dlatego wrócił do Nowego Jorku. Chciał dotrzeć do ciebie i wydobyć zaszyfrowane listy. Miał płytkę i...

- Szwanow dopadł go i torturował. Dlaczego?

- Myślał, że Bulstrode chce go przechytryć. Ktoś, nie wiem kto, zadzwonił do Szwanowa i powiedział mu, że Bulstrode kombinuje z inną grupą poszukującą rękopisu sztuki. Szwanow się wściekł i...

- Z inną grupą? Myślisz o nas? O Mishkinie?

Rozważała to przez chwilę, zagryzając wargę.

- Nie, nie sądzę, żeby myślał o was. To był ktoś inny, inni gangsterzy. Facet nazwiskiem Harel, też Rosjanin. To wszystko rosyjscy Żydzi, powiązani ze sobą w jakiś sposób. Rywale albo dawni współnicy. Mówią przeważnie po rosyjsku, więc niewiele się dowiedziałam...

- A kim jest ta Miranda Kellogg, o której wciąż truje Mishkin? Jaka jest jej rola?

- Widziałam ją tylko raz - powiedziała. - Nie mam pojęcia, kim jest naprawdę, jakąś aktorką czy modelką wynajętą przez Szwanowa, żeby wydobyć oryginał listów Bracegirdle'a od Mishkina. Prawdziwej spadkobierczyni zafundowali wycieczkę do Nepalu, a aktorkę przedstawili jako pannę Kellogg.

- I co się z nią stało?

- Zdaje się, że zażądała po odegraniu swojej roli więcej pieniędzy i że Szwanow się jej pozbył.

- Zabił ją?

- Tak. Nie żyje. Nie ma jej. - Wzdrygnęła się. - Martwa, tak samo jak Bulstrode. Szwanow nie lubi ludzi, którzy próbują go wykiwać.

- Czy Bulstrode oszukiwał Szwanowa?

- O tak. Choć o ile wiem, nie kombinował z innymi gangsterami. Ale gdybyśmy znaleźli sztukę, absolutnie nie miał zamiaru nikomu jej oddać. March powiedział mi, że profesor planuje przekazanie sztuki narodowi, naturalnie z zastrzeżeniem, że jako jedyny będzie miał do niej dostęp i prawa do pierwszego wydania. Mieli go zamknąć razem z rękopisem w Tower i wtedy Szwanow mógłby mu nagwizdać. Ten człowiek był szekspiologiem do szpiku kości. Kiedy o tym mówił, oczy mu błyszczały jak gwiazdy. Biedny sukinyń!

- O ile mi wiadomo, żadna dziurkowana Biblia się nie pojawiła, należy więc przypuszczać, że ma ją Szwanow. A co się stało z płytką?

- Pewnie też wpadła w ręce Szwanowa, bo Bulstrode zabrał ją ze sobą, kiedy wyjeżdżał z Anglii. I gdy się do niego dobrali, musiał im wyjawić, że Mishkin ma oryginalny list, a wiedział już, że najprawdopodobniej zatrzymałeś oryginały szyfrowanych listów. Nikt nie próbował wydobyć ich od ciebie?

- Owszem, próbowali powiedział Crosetti i krótko zrelacjonował wydarzenia, jakie rozegrały się ostatnio w Queens. A więc sytuacja wygląda tak dodał że my mamy tylko szyfry, a on ma samą płytkę: klasyczny pat. Czy też może znów coś przeoczyłem, Carolyn?

Ostatnie zdanie było reakcją na dziwny wyraz, który dostrzegł przelotnie na jej twarzy.

- Czy masz te szyfry tutaj? To znaczy dosłownie tutaj, w tym pokoju? - zapytała.

- Oryginały są bezpieczne w sejfie Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Ale mam elektroniczną wersję w swoim laptopie. Oczywiście zakodowaną. Mam też Biblię Genewską. Mishkin kupił dwa egzemplarze. I mam cyfrową wersję tekstu wydania z tysiąc pięćset sześćdziesiątego roku, którą wprowadziłem, kiedy byliśmy w mieście, zanim...

- A ja mam siatkę powiedziała.

- Naprawdę? Gdzie?

W odpowiedzi wstała, odchyliła połę płaszcza kąpielowego i postawiła stopę na oparciu fotela, odsłaniając wewnętrzną stronę uda.

- Tutaj - powiedziała, wskazując konstelację małych niebieskich punkcików na gładkiej białej skórze.

Uklęknął, żeby się przyjrzeć. Jego twarz dzieliły od niej centymetry. Zapach różanego mydła i ciała Carolyn sprawił, że zadrżały mu kolana. Na pierwszy rzut oka układ kropek wydawał się przypadkowy, ale potem dostrzegł wyraźny wzór: stylizowaną wierzbę płaczącą, symbol żaloby. Odchrząknął, ale pytanie i tak zabrzmiało ochryple.

- Czy to więzienny tatuaż, Carolyn?

- Tak. Zrobiłam to w swoim pokoju w mieszkaniu Olliego, kiedy ukradłam płytkę. Szpilką i tuszem z długopisu. Osiemdziesiąt dziewięć kropek.

- Jezu Chryste! Siatka jest dokładna?

- Tak. Przeniosłam to na kalkę techniczną i przyłożyłam do Biblii z Darden Hall. Dziurki się zgadzały.

- Ale dlaczego to zrobiłaś?

- Bo pomyślałam, że któregoś dnia natknę się na ciebie, a ty będziesz miał

jeszcze te zaszyfrowane listy. Papier, jak wiadomo, może zginąć, ktoś może go ukraść, nie mówiąc już o rewizjach, jakie robiły mi z pięćdziesiąt razy te sukinsyny. Ale oczywiście tej dziwce, która mnie rewidowała, nie powiedzieli dokładnie, czego ma szukać, wiedziała tylko, że nie mogę ukrywać niczego w żadnym zakamarku ciała. A tatuaże nosi mnóstwo ludzi. Masz kawałek kalki technicznej?

- Nie, ale mam cienkopis. Możemy wykorzystać szkło z tej oprawionej fotografii. Jest odpowiedniej wielkości.

Położyła się na brzegu łóżka na wznak, z jedną nogą wyprostowaną i drugą uniesioną prostopadle do ciała, a Crosetti ukląkł na podłodze między jej rozłożonymi udami. Wszystkie światła były zapalone. Przyłożył szkiełko do jej skóry i starannie naniósł na nie czerwonym cienkopisem każdą niebieską kropkę. Robiąc to, musiał przykładać lewą dłoń do jej ciepłego ciała i przysuwać twarz. Było to najbardziej erotyczne doznanie, jakiego doświadczył w życiu, z wyjątkiem jednego. Na myśl o tym niemal zachichotał. Nie rozmawiali. Rolly leżała nieruchomo jak martwa.

Kiedy skończył, okryła się płaszczem i powiedziała:

- Z układu dziurek w Biblii z Darden Hall Bulstrode wywnioskował, że zaczęli od drugiej strony Księgi Rodzaju i posuwali się dalej według określonego porządku. Umieszczało się skrajne dolne dziurki z lewej i dolne z prawej na pierwszych i ostatnich literach ostatniego wiersza na każdej stronie czyli na numerach indeksu i odczytywało się litery w każdej dziurce w zwykłej kolejności, od lewej do prawej, od góry do dołu.

Crosetti był już przy biurku z otwartą Biblią. Włączył laptop i otworzył Worda. Umieścił szkiełko na tekście Księgi Rodzaju i zgrał kropki z właściwymi literami. Tusz cienkopisu był półprzezroczysty i bez trudu można było przeczytać litery pod zaznaczonymi na szkle punktami.

- Ja będę odczytywał litery, a ty je zapisuj powiedział. - D.. .a.. .w.. .o.. .w...

Była to strasznie żmudna praca. Crosetti wykonał oczywiście statystykę znaków zaszyfrowanego tekstu było ich prawie czterdzieści tysięcy, nie licząc spacji, i był jeszcze nie powtarzający się biblijny klucz do każdej z nich. Policzył szybko w pamięci. Gdyby dyktował w tempie jednego znaku na sekundę, odczytanie całości zabrałoby prawie dziesięć godzin, nie uwzględniając przerw w pracy i sprawdzania.

Stanowczo za długo, biorąc pod uwagę, że ludzie, którym Rolly się wymknęła, szukali jej, o czym był przekonany. Należało wyjść i zaszyć się gdzieś w chwili gdy o tym pomyślał, przyszło mu do głowy odpowiednie miejsce ale strasznie mu zależało, żeby natychmiast przystąpić do odczytania szyfru. Przestał dyktować.

- Co się stało? zapytała Rolly.

- To do niczego. Musi być jakiś łatwiejszy sposób. Nie jesteśmy szpiegami z czasów króla Jakuba. Cholera! Patrzę cały czas na komputer i nie przyszło mi do głowy, że...

- Co ty gadasz, Crosetti?

- Spójrz na tę siatkę. Pierwsza litera klucza jest trzecią literą pierwszego wersu, następna piętnastą, kolejna dwudziestą drugą. Następny wers: litera druga, potem siódma, potem czternasta. Siatka tworzy ten sam wzór dla każdej wykorzystanej stronicy. Strony tytułowe opuszczali, prawda?

- Tak, posługiwali się tylko zaznaczonymi stronami z litym tekstem. I oczywiście co drugą stroną, żeby nie zmyliły ich dziurki przebite na wyłot.

- Oczywiście. Używali tylko nieparzystych stron, pełnokolumnowych. A więc jedyne, co musimy zrobić, to zeskanować wersję Biblii z tysiąc pięćset sześćdziesiątego roku, usunąć strony tytułowe rozdziałów i strony parzyste, a potem za pomocą funkcji „wyszukaj” wybrać tylko te litery, które wskazuje siatka. Możemy stworzyć klucz automatycznie. Mam w komputerze program do deszyfrowania metodą Vigenere'a. Jeśli to się uda, rozwiążemy tajemnicę Bracegirdle'a do rana.

- Czy mogę się przespać, kiedy będziesz to robił?

- Nie przeszkadzaj sobie - powiedział i wrócił do biurka.

Jak wszystkie przedsięwzięcia z użyciem komputera rzecz zajęła mu więcej czasu, niż oczekiwał. Zapowiedź świtu rozjaśniła okna, kiedy wreszcie nacisnął klawisz „Return” i wysłał długi ciąg liter, zawierający, jak miał nadzieję, klucz do wirtualnych trzewi programu deszyfrującego, który został już wcześniej zasilony całym szeregiem znaków z szyfru Bracegirdle'a. Na ekranie ukazał się napis ODCZYT... i na długim, pustym pasku u dołu pojawił się rząd prostokątów podobnych do wagoników na torach. Crosetti pił przez całą noc zalewaną wrzątkiem kawę; miał wyschnięte usta i odbijało mu się.

- Crosetti... Chryste, która godzina? - Stłumiony głos dochodził spod kołdry.

- Prawie siódma. Chyba skończyłem. Chcesz zobaczyć?

- Czuję kawę.

- Trochę zostało, ale jest okropna. Chodź, popatrz. To może być rozwiązanie.

Zwlokła się z łóżka i stanęła obok niego, pachnąc snem.

Pojawił się ostatni prostokącik, a po chwili tytuł pliku:

Bracegirdle tekstjawnny.txt

Crosetti naprowadził na niego kursor i powiedział:

- Ty powinnaś dostąpić tego zaszczytu. Naciśnij klawisz powrotu.

panfeminhdłwdwactygodnriezokłaidemodkhdpohegnałemstwojedomortwo

- Och, nie! - zawołała. - Nic z tego nie wyszło.

- Wręcz przeciwnie. Pamiętaj, że Bracegirdle i Dunbarton posługiwali się dwoma różnymi egzemplarzami i że jakość druku, zwłaszcza w wypadku tak masowego produktu jak Biblia Genewska, była na ogół bardzo marna i dwa egzemplarze jednego wydania mogły się różnić między sobą. Mieli wtedy ten sam problem co my. Siatka na egzemplarzu Bracegirdle'a dawała nieco inny zestaw liter do klucza niż ta na egzemplarzu Dunbartona, ale zbliżony. Patrz, teraz przekopiję to do nowego dokumentu o, w ten sposób powstawiam spacje, interpunkcję, poprawię oczywiste literówki - o tak - i... oto mamy pierwszą linijkę.

Panie, minęły dwa tygodnie z okładem odkąd pożegnałem Twoje domostwo

- O Boże, Crosetti, jesteś niesamowity!

Patrzyła na niego z zachwytem, tak jak w snach, które nawiedzały go od tyłu miesięcy, i poczuł, że on sam się uśmiecha.

- Przesada - powiedział skromnie. - Takie rzeczy są oczywiste dla każdego prawdziwego geniusza. Czy dostanę teraz całusa?

Dostał. W chwilę później leżał nagi pod kołdrą, a ona obok niego. Odsunął się nieznacznie i spojrzał jej w oczy.

- Chyba nie będziemy teraz łamać szyfrów? oznajmił.

Pocałowała go jeszcze raz.

- Te listy przetrwały czterysta lat. Godzina więcej im nie zaszkodzi. A ty jesteś pewnie skonany.

- Patrzeniem w ekran, ale nie tym.

Nastąpiło trochę więcej „tego”, po czym odsunął się od niej nagle i spojrzał jej w oczy.

- Zostaniesz teraz, prawda? zapytał. - To znaczy jutro i pojutrze...

- Myślę, że mogę przez tych kilka dni.

- A pozostałe dni? Czy będzie to kwestia codziennej walki wewnętrznej?

- Crosetti, proszę cię, nie...

- Ach, Carolyn, wykończysz mnie. - Westchnął ciężko. - Umrę, jeśli będziesz tak postępować.

I mówiłby dalej w tym stylu, gdyby nie zamknęła mu ust językiem i nie przycisnęła odnalezionej siatki szyfrowej Richarda Bracegirdle'a do jego łędźwi.

- To było szybkie powiedział.

- Tak. Szybkie i szalone.

- Podoba mi się, jak szeroko otwierasz oczy, kiedy się kochasz.

- Nieomylny znak - przyznała. - W ten sposób zapamiętuję.

- To mądre. A teraz, choć chciałbym to przedłużyć w nieskończoność...

- Chcesz dalej pracować nad szyframi. Och, ja też, ale wolałam o tym nie mówić.

- Żeby nie zostało to źle odczytane.

- Rozumiem.

- No, to skoro się dogadaliśmy, odwiedzmy po kolei łazienkę i niech się stanie, jak postanowiliśmy.

Pocałowała go przelotnie i wyslizgnęła się z łóżka, a on pomyślał, że dla mężczyzny nie ma chyba niczego piękniejszego niż widok kobiety, z którą się przed chwilą kochał, idącej przez pokój w świetle brzasku padającym na jej plecy i pośladki. Właśnie się zastanawiał, jak należałoby to nakręcić, żeby wyglądało tak samo jak w rzeczywistości, kiedy Carolyn jęknęła i przypadła nagle do podłogi.

- Co się stało?
- Są tutaj!

Patrzyła jak osaczony lis; zapamiętał to z Nowego Jorku: zwierzęcy strach w oczach. Przyprawiło go to o ból serca.

- Kto? - zapytał, choć łatwo było zgadnąć.
- Jeden stoi w ogrodzie, ma na imię Siemia. Pozostali muszą być od frontu.

Boże, co teraz zrobimy?

- Ubieraj się! I nie podchodź do okna!

Wślizgnęła się do łazienki jak jaszczurka, a Crosetti wstał i podszedł nagi do okna, przeciągając się i drapiąc po brzuchu jak ktoś, kto do tej chwili spał snem sprawiedliwego i nie miał się czego obawiać. W ogrodzie rzeczywiście stał jakiś mężczyzna, barczysty gość w skórzanej kurtce i wełnianej czapce. Spojrzał w górę, zobaczył Crosettię, przez chwilę zatrzymał na nim wzrok, a potem skierował uwagę gdzie indziej. A więc jeśli nawet znali jego miejsce pobytu i wiedzieli, że Carolyn mogła przyjść do niego, wciąż go nie rozpoznawali. Co było dziwne, bo na ulicy w Queens wypatrzyli go bez trudu. Chyba że była to całkiem inna banda. Carolyn wspominała o dwóch rywalizujących ze sobą organizacjach...

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Ubrał się, wyciągnął sznur telefoniczny z gniazdka, wsunął tam adapter i podłączył swój komputer, a potem skompresował i zakodował materiał Bracegirdle'a. Na koniec otworzył swoją skrzynkę e-mailową w Earthlinku. Nie używał tego łącza od lat, ale oczywiście działało. Kiedy po upływie jakichś pięciu minut, które mu się wydawały wiecznością, uzyskał połączenie, usunął z twardego dysku szyfr, klucz, Biblię i jawny tekst. Podniósł wzrok i zobaczył Carolyn w drzwiach łazienki.

- Co robisz? - zapytała scenicznym szeptem.

- Zabezpieczam nasze sekrety. To zabawne, widziałem tyle filmów z podobną sceną, że czuję się tak, jakbym postępował według scenariusza. Chłopak i dziewczyna muszą się wymknąć bandytom...

- Ach, pieprz się, Crosetti, to nie jest żaden film! Jeśli nas dopadną, będą nas torturować tak długo, aż wyciągną z nas te cholerne sekrety. Posługują się palnikami...

- Tego nie ma w scenariuszu, Carolyn. Wybij to sobie z głowy.

Usiadł znów do komputera, pracował jeszcze przez parę minut, potem wyłączył laptopa i włożył go do pokrowca.

- Teraz musimy spakować ciebie - powiedział i wyrzucił zawartość swojej torby podróźnej na podłogę. Mam nadzieję, że jesteś dostatecznie giętka, że by tego dokonać.

Była, ale udało się z trudem. Crosetti wiedział, że kiedy stosuje się tę sztuczkę w filmie, bohater nie niesie naprawdę dziewczyny, tylko styropianowy manekin. W rzeczywistości taszczenie w torbie po schodach pięćdziesięciosiedmiokilogramowej kobiety okazało się o wiele trudniejsze, niż to sobie wyobrażał. Był zlany potem i zdyszany, kiedy dotarł do recepcji.

Stało ich tam dwóch. Uważał, żeby nie okazywać zbytniego zainteresowania, ale dostrzegł kątem oka cechy charakterystyczne: zrogowaciałą skórę, imponujący wzrost, spokojną determinację. Wręczył recepcjonistce karteczkę, którą przygotował sobie wcześniej.

Proszę nie wymawiać głośno mojego nazwiska.

Próbuję wymknąć się ludziom, którzy się o mnie dopytywali.

Dziękuję.

W środku był dwudziestofuntowy banknot. Recepcjonista, młody Azjata, spojrzął mu w oczy, skinął lekko głową i wymeldował go w milczeniu, zegnając krótkim:

- Do widzenia, sir. Zapraszamy ponownie.

Crosetti otworzył torbę, wyjął leżący na wierzchu płaszcz przeciwdeszczowy, szalik i kapelusz i włożył to wszystko na oczach gangsterów, którzy patrzyli na niego bez zainteresowania, obserwując przede wszystkim schody główne i ewakuacyjne na drugim końcu holu. Podniósł torbę i mijając ich w drzwiach, wyszedł na zewnątrz. Na ulicy czekał mercedes klasy E, który zamówił przez Internet, a tuż za nim daimler V8, przy którym stał, opierając się o maskę i paląc papierosa, jeszcze jeden gangster. Kierowca limuzyny, sikh w białym turbanie, pomógł załadować torbę do bagażnika. Crosetti kazał się zawieźć do najbliższego domu towarowego. Pojechali na Templar Square; sklep wyglądał jak typowe małomiasteczkowe centrum

handlowe w Stanach, tyle że nie wyczuwało się tu amerykańskiej energii. To spostrzeżenie dziwnie zasmuciło Crosettiego.

Wróciwszy do samochodu, poprosił, aby kierowca otworzył bagażnik; Rolly wygramoliła się z jękiem, a on pomógł jej usiąść z tyłu. Pachniała wilgocią, płótnem i brudną odzieżą. Kiedy samochód ruszył, wręczył jej torbę z domu towarowego. Przejrzała zawartość.

- Wciąż kupujesz mi ciuchy, Crosetti. Czy mam powody do niepokoju? Tu są nawet majtki. To musi cię rajcować.

- Po prostu jestem pedantem. Taką już mam słabość. Jak ci się podobają?

- Koszmarne. Będę w nich wyglądać jak gwiazdka filmowa albo dziwka amatorka. A co ma znaczyć ta peruka a la Dolly Parton? Myślałam, że chodzi o to, by nie zwracać na siebie uwagi.

- Właśnie w ten sposób jej unikasz, jeśli na co dzień jesteś szatynką i ubierasz się zawsze na czarno. Musisz to wszystko włożyć.

Marudziła, ale zrobiła, co kazał; włożyła liliowy sweter, obcisłe żółte dżinsy, zbyt obszerną białą parkę z kołnierzem ze sztucznego futra i botki z kozuszkami.

- Wszystko pasuje - powiedziała. - Jestem zdumiona. Co tam masz?

- Makijaż. Odwróć się do mnie i nie ruszaj się.

Samochód mknął autostradą, a on tymczasem zaczął od podkładu, potem przysła kolej na róż, mocne śliwkowe cienie na powieki i ciemnoszkarłatną szminekę na usta. Obejrzała efekt końcowy w małym lusterku od puderniczki, którą również kupił.

- Hej, marynarzu, chcesz się zabawić? - spytała lusterka. - Crosetti, gdzie ty się tego nauczyłeś?

- Mam trzy starsze siostry, pracowałem poza tym przy wielu bardzo nisko-budżetowych filmach - wyjaśnił. - I nie dziękuj mi. Zanim wylecieliśmy ze Stanów, Mishkin dał mi kartę American Express.

- I dokąd się to udamy, korzystając z karty American Express Mishkina?

Crosetti zerknął na kierowcę.

- Do Casablanki. Polecimy do Casablanki, do wód. Mam stałe zaproszenie.

Powinniśmy tam być bezpieczni do chwili, aż sytuacja się wyklaruje. Możemy

studiować szyfry Bracegirdle'a i zastanawiać się, dokąd nas zaprowadzą, jeśli w ogóle gdzieś nas zaprowadzą.

- A jeśli oni mają swoich ludzi na lotnisku?

- To mało prawdopodobne. Nie uciekamy przed Goldfingerem. To tylko banda lokalnych gangsterów. W tej chwili prawdopodobnie włamują się do naszego pokoju, widzą stertę ubrań i książek i uświadamiają sobie, w jaki sposób zostali wystrychnięci na dudka. Zorientują się, dokąd jedziemy, bo widzieli, jak wsiadam do limuzyny przysłanej z lotniska. Ruszą za nami w pogoń, ale powinniśmy sobie dać radę.

Odetchnęła głęboko i zamknąwszy oczy, opadła na skórzane oparcie. Ujął ją za rękę, gorącą i wilgotną jak rączka dziecka, i też zamknął oczy. Samochód mknął na południe.

SZÓSTY ZASZYFROWANY LIST (FRAGMENT 4)

wyjął spod prasy gotową kopię, mówiąc: Musisz to spalić, i jużem miał to zrobić, przybliżając do ognia, alem w końcu nie mógł, nie wiem czemu, było to dla mnie jak zabicie dziecięcia; bo kochałem go i widziałem, że on kocha swe dzieło. Alem nie umiał wyrazić słowami, com miał w sercu; zamiast tego rzekłem po namyśle, że może powinniśmy zachować sztukę jako dowód tej niegodziwej intrygi. Patrzył długo w płomienie, milcząc i pijąc, a potem rzecze: Przyszła mi pewna myśl, mój Dicku, radosna myśl. Nie będziemy jej palić ani nie użyjemy jej do uszczelniania ścian czy na rozpalkę, ale ją utopimy bo kto wie, co może powstać z wody w nadchodzących czasach, kiedy ludzie spojrzą na to wszystko innym okiem. Potem roześmiał się i rzekł: Mniemam, że ta nieszczęsna nie wystawiona sztuka będzie po latach wszystkim, co pozostanie po Willu, a i to będzie jeno źródłem kpin. Nie, mówię ja, bo twoje sztuki przyciągają tłumy i nie ma wątpliwości, żeś najlepszy w komedyi. Tu zrobił minę, jakby zjadł nieświeżą rybę, i mówi: Ależ ty pleciesz bzdury, Dick. Czym jest sztuka! Nowa we wtorek, a po tygodniu wołają: Nie maszże tam czegoś innego? To już słyszeliśmy. Do tego interes marny, coś pośredniego między sprośnościami a grubiaństwem, rzecz bez znaczenia, utkana z powietrza i cieni. Nie, jeśli człowiek ma żyć w pamięci, kiedy już jego kości spoczną w ziemi, musi stworzyć ze swego mózgu coś większej wagi, epicką poezję lubo dramę historyczną, albo jego lędźwie muszą spłodzić synów. Historyczne i epickie dzieła mam tylko dwa, a i to blahe. Gdybym miał ziemię, bogactwa i wykształcenie, mógłbym być drugim Sydneyem, lepszym Spenserem, ale od młodości musiałem zarabiać na chleb i pióro może wyciągnąć żywą gotówkę tylko z drewnianego O, czyli z teatru Globe. A syn mój umarł.

Nie rozmawialiśmy więcej tej nocy o owych sprawach. Później wyruszyliśmy do Warwickshire i droga była ciężka, bo była zima i blocko, aleśmy dotarli do

Stratfordu 18 februara i poszliśmy w pewne miejsce, gdzie ukryliśmy bezpiecznie rękopis tej sztuki. Gdzie dokładnie, zapisałem szyfrem znanym tylko mnie i panu W.S. Nie tym szyfrem, ale nowym, którym wykoncyrował z panem W.S., bo powiedział mi: Ukryj, com napisał własną ręką, i zapisz mi natychmiast klucz, i tylko ja będę znał to miejsce, a każdy, kto to będzie miał klucz i tablice, żeby mógł się nim posłużyć na moje polecenie wydane z daleka, będzie mógł znaleźć miejsce, w którym sztuka spoczywa.

Panie mój, jeśli będziesz chciał tej sztuki o Maryi Szkockiej, wyślij tylko słowo, jako że jestem gotów podporządkować się Twojej woli we wszystkim. Pozostaję najuniżeńszym, najpokorniejszym sługą Waszej Lordowskiej Mości

*Richard Bracegirdle
Londyn, 22 februara 1611*

W więzieniu byliśmy oczekiwanymi, wręcz mile widzianymi gośćmi. Przywitała nas zastępczyni naczelnika, pani Caldwell, dama w typie premier Thatcher, ta sama elegancja i akcent. Zastanawiałem się, na jak długo przed tą wizytą Paul wszystko zaaranżował. Czy przewidział potrzebę spotkania z więźniem Pascoe, gdy tylko się dowiedział o moim zaangażowaniu w sprawę Bulstrode'a i sekretnych manuskryptów? Było to raczej nieprawdopodobne, a jednak wcale by mnie nie zdziwiło. Jak już zaznaczyłem, Paul jest bardzo bystry, a przy tym subtelny. Jego poprzednicy w Towarzystwie Jezusowym kierowali kiedyś całymi narodami, więc przechytrzenie bandy rosyjskich, a nawet żydowskich zbirów nie musiało być wielkim wyzwaniem. Czy w tym stwierdzeniu jest jakaś logika? Niekoniecznie, i może jest w nim także trochę przewrotnego antysemityzmu: Żydzi są sprytni, a więc podstępni, trzeba mieć się na baczności; w angielskim funkcjonuje czasowników, używany dość powszechnie wśród moich rodaków, zresztą ja sam nie jestem całkowicie odporny na uroki doraźnego antysemityzmu. A nawet wprost przeciwnie, jak często uświadamia mi to Paul.

Więzienie było przybytkiem klasy D, jak nazywa Jej Królewska Wysokość instytucje o złagodzonej do minimum rygorze; można by je raczej nazwać rekreacyjnym terenem zamkniętym. Springhill House stanowił kiedyś prywatną rezydencję i wszyscy jego lokatorzy byli obecnie, według słów pani Caldwell-Thatcher, poddawani procesowi rehabilitacji przez pracę. Oczywiście mogliśmy się zobaczyć z panem Pascoe, wzorowym więźniem, i rozmawiać z nim do woli.

Pascoe okazał się niepozornym, drobnym człowieczkiem, ubranym starannie w niebieską jedwabną koszulę, beżowy sweter, tweedowe spodnie i lśniące mokasyny. Małpie rozbiegane oczka kryły się za grubymi szklami okularów bez oprawki, a zaczesane do góry rzadkie, ufarbowane na okropny żółtawy kolor włosy opadały na kołnierz. Mówił z akcentem określanym przez Brytyjczyków jako wykwinntny i grzeszył pychą. Zatem religijnym obowiązkiem Paula było podkreślić tę przywarę i stworzyć szansę pokuty. Muszę jednak z przykrością stwierdzić, że nie wywiązał się z zadania, tylko wykorzystał tę okazję dla nas. Albo dla wyższego dobra, zależnie od punktu widzenia. Jak już mówiłem: subtelny gość z tego mojego brata.

Spotkanie odbyło się w celi, wygodnym gniazdku, które równie dobrze mogłoby się mieścić w jednym z tych obskurnych i jednocześnie przytulnych hotelików, jakie Anglicy najwyraźniej lubią. Meble były typowe, ale Pascoe przyozdobił wnętrze zdjęciami w ramach i reprodukcjami manuskryptów. Było tam też szerokie łóżko w stylu art deco, zarzucone kolorowymi poduszkami, oraz wytarty wschodni dywan, niewykluczone, że oryginalny. Więzień oparł się na stercie poduszek, my usiedliśmy na prostych krzesłach. Zaparzył nam herbatę, robiąc przy tym mnóstwo zamieszania.

Zaczęliśmy od rozmowy o starym profesorze Bulstrodzie. Pascoe słyszał o jego śmierci i spragniony był dokładniejszych informacji, których mu dostarczyliśmy, choć nie zdementowaliśmy policyjnej teorii, jakoby profesor padł ofiarą brutalnego partnera seksualnego. Potem pojawiła się kwestia, której wtedy nie zrozumiałem - pytanie, czy „wplata została dokonana”. Paul odpowiedział, że tak, i wręczył więźniowi skrawek papieru, który tamten uważnie obejrzał i odłożył na bok. Potem rozparł się na poduszkach jak pasza, splótł swe delikatne ręce na piersi i zapatrzył się z rozmarzeniem w podwieszany dźwiękoszczelny sufit.

W końcu zaczął nam opowiadać ze szczegółami, jak dokonał przekrętu. Oświadczył, że manuskrypt Bracegirdle'a to podróbka (tu zasypał nas informacjami dotyczącymi źródła papieru, receptury inkaustu, technologii podrabiania, postarzania rękopisu itd.) i że pewna osoba, której nazwiska nie wymieni, skontaktowała się z nim, dała mu tekst i zaopatrzyła we wszystkie stosowne materiały. W więzieniu? - zapytałem. Małe piwo, odparł. W tym domu wypoczynkowym mógłbym puścić w obieg banknoty dziesięciofuntowe i nikt by się nie połapał. Ukończył robotę, przeszmu-glował rękopis na zewnątrz i otrzymał zapłatę. Doradził też swemu tajemniczemu zleceniodawcy, jak dokonać przekrętu. Ważne było to, żeby działać stopniowo, poddać klienta lekkiej obróbce, tak aby był przekonany, że trafił na to sam. A więc najpierw należało za pomocą kuglar-skiej sztuczki - na oczach naiwnego świadka - wydobyć manuskrypt na światło dzienne, niby to ze starej książki. A potem włączyć w to Bulstrode'a jako eksperta.

Dlaczego Bulstrode'a? Pascoe roześmiał się złośliwie. Mądrość ludowa powiada, że kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha. To bzdura, mój synu. Najlepszym klientem jest człowiek, który chce sobie powetować straty - te biedne sukinsyny nigdy się niczego nie nauczą. Przynaglany przez Paula, opowiedział, jak sprokurował rzekome szyfrowane listy (nic bardziej intrygującego od szyfrów, moi panowie, trzeba dać klientom zajęcie), z „odkryciem” nieodzownej płytki włącznie, a potem, niemal mlaskając, wyłożył, jak zaaranżować znalezienie długo ukrytego skarbu. Wdał się w mnóstwo szczegółów, których tu nie przytoczę, ale wszystko było bardzo przekonujące i niezwykle skomplikowane. Ptaszek fałszerza w obozie klienta - bo to też miało zasadnicze znaczenie, a najlepiej, żeby to była dziewczyna, cizia nie zaszkodzi, gdyby klient się wahał - miał obmyślić sposób przekazania manuskryptu w ręce niewinnego frajera. Który potem miał go sprzedać prawdziwemu klientowi durniowi z forszą. Bo trzeba tu wspomnieć, że nabrać na coś takiego można tylko analfabetę. Nie da się naprawdę podrobić sztuki Szekspira - zwykły asystent wykryje oszustwo - więc trzeba znaleźć kogoś, kto ma więcej szmalu niż rozumu, pojmujecie, a potem dokonać po kryjomu przekazania, rękopis za gotówkę i do widzenia. Ostatnim aktem było sprzątnięcie forsy pierwszemu klientowi - zgoła banalna operacja - i oto macie całą historię.

I mieliśmy ją na moim małym notebooku. Nalegał na to Paul, upewnił się nawet, czy bateria jest nowa.

Kiedy Pascoe skończył, mój brat oznajmił:

- No dobrze, zobaczmy, co pan potrafi.

Wyjął ze swej aktówki kilka arkuszy starego na pierwszy rzut oka papieru, buteleczkę sepiowego tuszu i trzy gęsie pióra. Twarz fałszerza rozjaśniła się na ten widok jak twarz kochającej matki na widok dziecka. Wstał energicznie z łoża, wziął materiały i zasiadł przy małym biurku. Obejrzał dokładnie papier pod światłem lampy, pomrukując z uznaniem. Potem otworzył buteleczkę, powąchał tusz, posmakował go i roztarł kropkę między kciukiem i palcem wskazującym.

- Wspaniały materiał oznajmił w końcu. Papier to autentyk z siedemnastego wieku, a tusz jest z tłustej sadzy i żółci wołu. Domyślam się, że to wyciąg ze starych dokumentów?

- Oczywiście - zapewnił go Paul.

- Cudownie! Skąd pan to wziął?

- Z Biblioteki Watykańskiej powiedział Paul. Wyprzedaj kolekcji.

Pascoe wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- No cóż, do roboty powiedział i bez dalszych komentarzy wziął się do przycinania piór, posługując się nożykiem dostarczonym również przez Paula.

Kiedy to robił, mój brat wyciągnął z aktówki coś, co rozpoznałem jako fotokopię strony manuskryptu Bracegirdle'a. Pascoe przygotował pióro i po wypróbowaniu go na kawałku papieru przystąpił do pracy. Usiedliśmy. Paul wyciągnął swój brewiarz i zaczął mamrotać pod nosem. Atmosfera przypominała popołudnie w benedyktyńskim skryptorium, brakowało tylko dzwonów.

- Proszę - powiedział Pascoe, podając nam kartkę. Co o tym sądzicie, panowie?

Spojrzeliliśmy. Fałszerz skopiował trzykrotnie pierwsze dziesięć wersów rękopisu Bracegirdle'a; pierwsza wersja była nieco toporna, druga znacznie lepsza, trzecia, przynajmniej na moje oko, nie do odróżnienia od oryginału.

Paul też wyglądał na usatysfakcjonowanego, bo zaczął pakować do teczki wszystko, co przynieśliśmy, z kopią ćwiczebną włącznie. Kartkę ze schnącym inkaustem Pascoe odprowadzał spojrzeniem pełnym tęsknoty.

Powstrzymałem się od uwag, dopóki nie znaleźliśmy się z powrotem w mercedesie.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

- To fałszerstwo. Mówiłem ci już wcześniej, że cała ta sprawa to wyrafinowany przekręt.

- Na to wygląda. O co chodziło z tą zapłatą na samym początku rozmowy?

- Pascoe ma chłopaka i chciałby go wspomagać materialnie. Dlatego wykonał tę podróbkę i w ogóle z nami rozmawiał. Zadbałem o to, żeby ten przyjaciel otrzymał czek na okrągłą sumkę.

- Wspomogasz czyny przestępcze?

- Absolutnie nie. Pan Pascoe jest bezpieczny w więzieniu i niezdolny do popełnienia jakiegokolwiek nikczemnego czynu. Wykazuje godną pochwały troskę, żeby jego ukochany nie został zmuszony do wyjścia na ulicę jako męska prostytutka, i chciałby go wspomóc materialnie. Uważam, że to, co robię, to zwykła dobroczynność, która ma uratować człowieka przed upadkiem.

- Hipokryta z ciebie, i to doskonały, nie sądzisz?

Paul wybuchnął śmiechem.

- Daleko mi do doskonałości, Jake. Ciekawe, że ten młodzieniec, którego nasz Pascoe wspomaga, jest jednocześnie tym, przez którego zeznania wyłudował w więzieniu po aferze z *Hamletem*.

- A w jaki sposób ty się o tym dowiedziałeś?

- Ach, mam swoje kontakty. Towarzystwo Jezusowe jest organizacją ogólnoswiatową. Poleciałem komuś, żeby porozmawiał z Pascoe, i od niego usłyszałem całą historię, przy pełnej dyskrecji oczywiście. No i zadzwoniłem do Pascoe przed odlotem ze Stanów.

- Co teraz zrobimy?

- To samo, co byśmy zrobili, gdyby rękopis był autentycznym - odparł Paul. - Pokonamy kolejne przeszkody, zdobędziemy sfałszowaną sztukę i przekazemy ją gangsterom. To wyłączy ciebie i twoich bliskich ze sprawy.

- A co z bandziorami? Co z Bulstrode'em i z tymi, którzy nasłali zbiorów? Ujdzie im to na sucho?

- To zależy od ciebie, Jake. To ty jesteś funkcjonariuszem wymiaru sprawiedliwości, nie ja. Ja jestem zainteresowany wyłącznie tym, żeby ten cały bałagan się skończył.

Jechaliśmy w stronę Oksfordu; pan Brown poinformował nas, że byliśmy śledzeni w drodze do więzienia i że teraz też jadą za nami. Paul był z tego zadowolony, jako że gangsterzy uzyskali potwierdzenie, że naprawdę byliśmy u Pascoe, a poza tym ta wizyta wzbogaciła o ważny szczegół naszą historię fałszerstwa. O czym myślałem po tych wszystkich rewelacjach? Kombinowałem, jak je wykorzystać, aby jeszcze raz się spotkać z Mirandą Kellogg czy kimkolwiek ta kobieta była. Określiłem wcześniej swojego syna Niko jako ofiarę obsesji i natręctw i rzeczywiście nią był, biedaczek, ale wiadomo, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Wyciągnąłem telefon i wybrałem numer Crosettiego, nie dlatego, że bym jakoś szczególnie chciał z nim rozmawiać; po prostu odczułem potrzebę tego, co psychologia określa czynnością zastępczą. Zwierzęta w sytuacji stresu liżą sobie genitalia, ale gatunki wyższe sięgają po papierocha lub, w dzisiejszych czasach, po komórkę. Zdenerwowałem się, słysząc nagrany komunikat, że abonent jest chwilowo nieosiągalny. Czy ten facet był naprawdę aż tak głupi, żeby wyłączyć telefon? Zadzwoiłem do hotelu „Dorchester”, żeby zarezerwować apartament; dla ludzi takich jak ja wydawanie mnóstwa pieniędzy jest innym rodzajem czynności zastępczej. Podczas jazdy udało nam się przenieść zapis rozmowy z Pascoe na mój laptop, a potem na płytę CD, którą wziął sobie Paul. Powstrzymałem się i nie poprosiłem o kopię dla siebie.

Parę godzin później podwieźli mnie pod hotel. Atmosfera w samochodzie była dość lodowata i nie rozładowała jej żadna dramatyczna konfrontacja. Omawialiśmy kwestię bezpieczeństwa. Pan Brown zapewnił nas, że jego ludzie będą mnie pilnować także w „Dorchesterze”.

- To musi kosztować fortunę - zauważyłem.
- Owszem - przyznał Paul. - Ale nie ty za to płacisz.
- Co? Chyba nie moja firma prawnicza?
- Nie. Płaci Amalie.
- Czyj to był pomysł?
- Jej. Nalegała. Chce, żebyśmy byli bezpieczni.

- I niewątpliwie pragnie mieć raporty na temat moich poczynań - odparłem z nietypową dla siebie złośliwością.

Paul zignorował tę uwagę, jak czyni to zwykle, gdy przemawiam tym tonem. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Próbowaliśmy na tym poprzestać, ale on objął mnie na pożegnanie, na czym wcale mi nie zależało.

- Wszystko pójdzie gładko - obiecał z tak promiennym uśmiechem, że musiałem się przemóc i go odwzajemnić. Nienawidzę tego u Paula.

Przynajmniej panu Brownowi wystarczył krótki uścisk dłoni. Potem włączyli się do deprymującego ruchu lewostronnego.

Mój apartament był błękitny, upchany do granic możliwości meblami z wymyślną tapicerką i pikowaniami. Zadzwoiłem ponownie do Crosettiego, z tym samym rezultatem. Wypiłem szklaneczkę szkockiej, potem drugą, odbyłem parę rozmów służbowych, umawiając się na najbliższe dni. Nasza kancelaria reprezentowała wielonarodowe wydawnictwo i spotkania miały być poświęcone digitalizacji tekstów w krajach Unii Europejskiej i należnym z tego tytułu tantiomom. Był to dokładnie ten rodzaj koszmarnie nudnych negocjacji prawnych, w jakich się specjalizowałem, i spodziewałem się, że sam też będę krańcowo nudny w towarzystwie kolegów, w porównaniu z którymi byłem Merkućjem.

Przez cały następny dzień wydzwaniałem do Crosettiego, bez powodzenia. Pierwszego wieczoru, po nudnej kolacji z kilkoma specjalistami od prawa autorskiego, rozważałem przez chwilę, czy nie zamówić jednej z eleganckich prostytutek, z których ta część Londynu zasłużenie słynie: może długonogiej blondynki albo dziewczyny w stylu Charlotte Rampling, z przebiegłym uśmiechem i kłamliwymi niebieskimi oczami. Ale oparłem się pokusie; mogło to się spotkać z jawnym sprzeciwem niewidzialnych aniołów stróżów (i oczywiście ich pracodawcy), z drugiej zaś strony wiedziałem, że nie będę miał z tego wielkiej przyjemności, a po wszystkim popadnę w nastrój samobójczy. Dowodziło to, że już na zawsze jestem skazany na najbardziej autodestrukcyjne wybory, i ta świadomość sprawiła, że poczułem się groteskowo z siebie zadowolony.

Spałem snem sprawiedliwego, a rano zadzwonił do mnie Crosetti.

Kiedy powiedział, że jest u Amalie w Zurychu, poczułem ukłucie zażdrości, tak dojmujące, że o mało nie przewróciłem szklanki z sokiem pomarańczowym;

natychmiast przypomniałem sobie naszą rozmowę w barze hotelowym. W tej nikczemnej fantasmagorii seksualnej, jaką stało się moje życie rodzinne, nigdy nie przekroczyłem pewnej granicy, którą, jak wiedziałem, wielu uganiających się za spódniczkami przekracza bez zastanowienia: nigdy mianowicie nie przerzucałem winy na skrzywdzoną żonę, czy to oskarżając ją o niewierność, czy też szukając samousprawiedliwień dla swoich romansów. Tłumaczenie, że „każdy tak robi”, zwalnia człowieka z odpowiedzialności moralnej, a wtedy wszyscy możemy być podstępnie zdeprawowani. Czy naprawdę zachęciłem Crosettiego? Czy rzeczywiście to wykorzystał? Czy Amalie...?

Pot zalał mi twarz, musiałem rozpiąć kołnierzyk, żeby zaczerpnąć tchu. W jednym przerażającym momencie zrozumiałem, że byłem zdolny do ekscesów tylko dlatego, że moja żona stanowiła przykład złotego wzorca emocjonalnej uczciwości i niewinności. Gdyby to ona okazała się zepsuta, wszelkie cnoty zniknęłyby ze świata i wszelkie przyjemności straciłyby urok. Trudno mi teraz wyrazić, jak głębokiego wstrząsu doznałem na tę myśl. (Która oczywiście, jak wiele podobnych, wkrótce zbladła; taka jest potęga tego, co Kościół nazywa pożądlivością ciała, siły zrodzonej z nawyku - i z upadku człowieka, jeśli chcecie wykładni teologicznej która ciągnie nas z powrotem w bagno grzechu. Godzinę później, podczas pierwszego zebrania, rozmyślałem o Mirandzie i jednocześnie rzucałem spojrzenia młodej, świeżej asystentce).

Po dłuższej ciszy wychrypiałem do telefonu:

- Czy pieprzysz moją żonę, ty świński sukinsynu?

Zrobiłem to wystarczająco głośno, żeby odwróciły się w moją stronę głowy przy sąsiednich stolikach w eleganckiej sali śniadaniowej hotelu „Dorchester”. Na co odpowiedział, zaszokowany:

- Co takiego? Oczywiście, że nie. Jestem tu z Carolyn Rolly.

- Rolly? A skąd się ona wzięła?

- Zjawiała się w Oksfordzie. Ukrywa się przed ludźmi Szwanowa.

- I zawiozłeś ją do domu, w którym jest moja żona i dzieci? Ty dupku!

- Uspokój się, Jake. Pomyślałem, że to dobre posunięcie. Dlaczego miałiby jej szukać w Zurychu? Albo mnie na przykład. A tymczasem zrobiliśmy pewne postępy...

- Nie gadaj mi takich rzeczy! Wynoś się stamtąd i szukaj sobie innego miejsca!

Wiem, to było strasznie głupie, ale myśl o Crosettim w jednym domu z Amalie opiekła mi do żywego.

- Dobrze, wyniesiemy się do hotelu. Chcesz, żebym ci coś powiedział... coś

ważnego?

Odarłem opryskliwie, żeby gadał. Historia była niezła. Krótko mówiąc, Rolly uciekła gangsterom i przemyśliła kopię siatki; umożliwiło to rozszyfrowanie listów. Próbuję sobie przypomnieć, co czułem, słysząc to, i myślę, że odpowiedź brzmi: niewiele, bo wiedziałem już, że cała sprawa jest oszustwem. Powiedziałem mu, żeby przysłał mi e mailem kopię programu deszyfrującego, i zapytałem:

- I co, wiadomo, gdzie jest ukryta sztuka?

- Bracegirdle pisze, że zakopał swój egzemplarz, a sam czeka na odpowiedź od Rochesterera. Działal na dwie strony: oszukiwał Dunbartona i chciał wykorzystać sztukę jako dowód na to, że uknuto spisek. Mógł dostać tę odpowiedź i wykopać sztukę, a wtedy kto wie, co się z nią stało.

- Chwileczkę więc jeden z zaszyfrowanych listów był do kogoś innego?

- Tak, do lorda Rochesterera, człowieka, przeciw któremu spiskował Dunbarton. Ten widocznie odkrył intrygę i postanowił zatrzeć ślady, ułatwiając i Bracegirdle'a, i Szekspira. Bracegirdle przeraził się i próbował opróżnić szkatułę teatru, żeby zdobyć pieniądze na ucieczkę. Został przyłapany, wyznał wszystko Szekspirowi i obaj postanowili ujawnić sprawę. Brakuje paru kartek z tego listu, ale i tak wszystko jest całkiem jasne. Szekspir znał kilka wysoko postawionych osobistości, które mogły poręczyć za prawdziwość doniesień, i obaj napisali list tym samym szyfrem.

- A nie bali się, że przechwyci go Dunbarton i przeczyta?

- Nie, na tym polega piękno tego szyfru: wystarczyło mieć łatwą do skopiowania siatkę oraz odniesienie do odpowiedniej strony w Biblii Genewskiej i wszystko było proste, ale dopóki nie znało się numeru strony, od której należało zacząć, nic z tego. Bracegirdle musiał osobiście przekazać siatkę, zaszyfrowany list i odpowiedni numer strony jednemu z ludzi Rochesterera i...

Nie obchodziły mnie szczegóły, więc mu to powiedziałem, dodając:

- Więc nadal nie wiemy, gdzie może być ta sztuka?

- Nie. Napisał, że ma wskazówki, cokolwiek to znaczy. Najwyraźniej trzeba by jeszcze mieć ten wynaleziony przez niego przyrząd geodezyjny.

- Dobrze, poszukam go na Portobello Road. A więc tak to jest? Impas?

- Na to wygląda, szefie, chyba że ktoś przechował jakieś bracedirliana. Z drugiej strony wciąż pozostaje to największym odkryciem szekspirologicznym w historii. Dla Biblioteki Folgera byłoby warte fortunę.

- No tak. I jakie masz plany?

- Wrócę chyba do Nowego Jorku. Szyfry są własnością Carolyn, więc będzie chciała je sprzedać. Amalie mówiła, że znasz jakiegoś wybitnego szekspirologa...

- Znam. To Mickey Haas a o co chodzi?

- Może byś go poprosił, żeby zajął się sprzedażą w zamian za prawo do pierwszej lektury i tak dalej.

- Z przyjemnością. A gdybyś chciał wracać ze mną, to odlatujemy z Biggin Hill w czwartek wieczorem, czyli pojutrze. Wiesz co, Crosetti? Zapomnij, co mówiłem o Amalie i wyprowadzce z domu. Ostatnio trochę mi odbija.

Dlaczego nie powiedziałem mu w tym momencie, że to było oszustwo? Nie pamiętam dokładnie, ale brało się to pewnie z obawy, że jeśli zbyt szybko zdradzę puentę całej afery, to już nigdy nie zobaczę Mirandy. Może jednak odbija mi bardziej, niż przypuszczałem.

Poszedłem na zaplanowane spotkanie, poplirtowałem ze wspomnianą panną jakąś tam, zjadłem obiad w jej uroczym towarzystwie, ale potem, uściskawszy dłoń, odprowadziłem ją do taksówki nietkniętą. Następnego dnia rano spotkaliśmy się z Paulem w hotelu „Dorchester” i przy śniadaniu wręczyłem mu wydruki e maila wysłanego przez Crosettiego. Siedział i czytał je długo, a ja popijałem kawę. Kiedy skończył, zapytałem, co o tym sądzi.

- Wspaniale powiedział. Niemal żałuję, że to nie autentyk.

Potem rozmawialiśmy o Mickeyu, zmarłym profesorze Bulstrodzie, życiu naukowców, Marii, królowej Szkocji, i o tym, jak nikt nie potrafił z absolutną pewnością powiedzieć, co właściwie zrobiła. Czy rzeczywiście planowała zabójstwo swego męża, lorda Darnleya? Co ją opętało, że wyszła za mąż za takiego szaleńca jak Bothwell? Czy naprawdę napisała obciążające listy, w których knuła zamordowanie

królowej Elżbiety? Dlaczego nigdy, przez całe swoje życie, nie zastanawiała się nad swoim postępowaniem?

Odpowiedziałem, że nie wiem cała ta sprawa przypominała przedstawienie teatru BBC. Nie był to jednak pierwszy przypadek w dziejach, kiedy losy narodu zależały od kogoś, kto pragnął dupy, do której nie miał właściwie tytułu.

- Zgoda, ale co zrobiliby z niej Szekspir? Chodzi mi o to, że w przypadku Kleopatry, lady Makbet czy innych kobiet w sztukach historycznych nie miał żadnego materiału, a tu było go mnóstwo, bo rzecz dotyczyła wydarzeń, które rozgrywały się w czasach jego dziadków. Musiał słyszeć w dzieciństwie liczne opowieści, zwłaszcza w tak katolickim regionie jak Warwickshire.

- Nigdy się tego nie dowiemy. A skoro mowa o konspiracji: miałeś jakieś wieści od Rosjan?

- Nic a nic. Nie mogę uwierzyć, że nie jesteś już zainteresowany tą sprawą. Podobno w naszej rodzinie odgrywasz rolę romantyka.

- Ja? Jestem bardzo prozaiczny. Prawo autorskie? To ty byłeś bohaterem wojennym. I jesteś księdzem.

- To najbardziej antyromantyczna profesja w świecie.

- Daj spokój! Nie ma nic bardziej romantycznego od księdza. To, co nieosiągalne, stanowi esencję romansu. Fascynacja celibatem przyciąga różnych frajerów. No i to, że facet może się ubrać jak kobieta, nie narażając się na śmieszność.

- Albo na wielką śmieszność powiedział Paul z uśmiechem. Choć, o ile pamiętam, to ty lubiłeś się przebierać w sukienki *Mutti*.

- Ach, widzę, że próbujesz wyprowadzić mnie z równowagi. Nigdy nie przebierałem się w...

- Owszem, przebierałeś się, a Miriam zawsze przekopywała jej komodę. Zapytaj ją, jeśli mi nie wierzysz. A przy okazji: masz od niej serdeczne pozdrowienia.

- Gdzie ona teraz jest?

- W podróży. Dzwoniła wczoraj wieczorem. Pragnęła się dowiedzieć, co robimy w Europie, zastrzegając jednocześnie, że nie chce być wścibska - wiesz, jak ona potrafi podstępnie wyciągnąć z człowieka różne rzeczy, choć przecież gdyby zapytała wprost, sam byś jej chętnie wszystko powiedział.

- Właśnie, a wyciągnięcie czegoś od niej jest trudniejsze niż obieranie homara z mięsa. Czy „w podróży” oznacza, że przebywa w Europie?

- Tak wywnioskowałem odparł Paul z wahaniem. Miałem wrażenie, że jedzie na spotkanie z ojcem.

- A ty? Dołączysz do nich?

- Mógłbym, skoro tu jestem odrzekł z tym swoim denerwującym uśmiechem.

- Wszystko wybaczone, co?

- Jestem księdzem.

- I przeprasza za to, co zrobił?

- Bynajmniej. Nigdy nie powiedział słowa o Miri ani o matce. Uważa mnie za palanta i błazna, a Miri traktuje jak służącą. Moim zdaniem nie zmienił się ani na jotę od czasów brooklyńskich, tyle że jest starszy, bogatszy, bardziej zdegenerowany, no i posuwa coraz młodsze kobiety. Oczywiście pod względem politycznym jest skrajnym faszystą. Śmierć Arabom, Szaron zdrajca, zwykła gadka.

- Urocze. Dlaczego, do diabła, tracisz czas na takie spotkania?

Teraz on wzruszył ramionami.

- Synowski obowiązek. W ten sposób Miri nie musi sama brać tego brzemienia na swoje barki. A może mam nadzieję, że znajdzie się w sytuacji, kiedy będę mógł dać mu to, czego potrzebuje.

- I co by to miało być?

- Nie jestem pewien. Szansa okazania skruchy i pojednania z Bogiem? Modłę się o to, żeby wyczuł, kiedy ten moment nastąpi. A na razie wciąż pozostaje moim ojcem i choć to wredny sukinsyn, wciąż jest moją częścią i dobrze mi robi, kiedy spotykam się z nim od czasu do czasu. Też powinienęś tego kiedyś spróbować.

Odpowiedziałem, że sobie daruję, i Paul nie naciskał. Nigdy tego nie robi. Nie mogę sobie przypomnieć dalszego ciągu rozmowy, zostawiłem wtedy dyktafon w pokoju, ale wyraźnie pamiętam nasze następne spotkanie, kiedy to wpadł jak burza do mojego pokoju o dziesiątej wieczorem z wiadomością, że moje dzieci zniknęły.

Oczywiście już wcześniej dzwoniła do mnie Amalie, ale, jak się już pewnie zorientowaliście, nie cierpię komórek, zawsze wyłączam telefon podczas spotkań i tego wieczoru zapomniałem go włączyć z powrotem. Jak pamiętam, zapomniałem też poinformować ją, że zatrzymałem się w „Dorchesterze” zamiast jak zwykle w hotelu „Knightsbridge”. Nie mogła więc się ze mną skontaktować i zatelefonowała do Paula.

Natychmiast do niej zadzwoniłem. Dziwnie drewnianym głosem opowiedziała mi wszystko. Wzięła dzieci na pobliskie lodowisko. Jazda na łyżwach to jedyny sport, jaki uprawia Niko, więc matka zawsze jest gotowa go tam zabrać. Zwykle chłopiec krąży obsesyjnie, z oczami utkwionymi w lodzie. Imogen jest niezła w jeździe figurowej i uwielbia się popisować. Poszli z Crosettim i jego przyjaciółką, a w drodze powrotnej wstąpili do baru „Zic-Zac” na czekoladę. Dzieci skończyły wcześniej i wyszły poczekać na zewnątrz, jak to dzieci, zwłaszcza że matka uważa je za amerykańskich barbarzyńców, nie pasujących nawet do podrzędnego baru w Zurychu. Dorosli dopili kawę i zjedli ciastka, a kiedy wyszli, dzieci nie było. Jakiś przypadkowy świadek powiedział im, że w pewnej chwili zatrzymał się przy krawężniku sedan, wystawiła z niego głowę jakaś blondynka, wdała się z dziećmi w rozmowę, po czym oboje wskoczyli ochoczo do środka. Amalie przypuszczała, że dzieci znały kobietę z samochodu, bo inaczej natychmiast podniosłaby alarm. Oczywiście od razu przyszło mi do głowy, że to Miranda, i muszę tu wyznać, że przez chwilę odczuwałem pewną radość nawet jeśli była przestępczynią, która uprowadziła moje dzieci, to w pewnym sensie znów pojawiła się w moim życiu; mogłem ją znów zobaczyć!

- Natychmiast przyjeżdżam obiecałem żonie. Będę przed siódmą.

Ale ona odparła, że nie jestem jej potrzebny. Powiedziała, że powinienem tam być już wcześniej, że uprowadzono dzieci dlatego, że mnie przy nich nie było, bo doprowadziłem do rozbitcia rodziny, i że wpuściłem zło do naszego domu, który miał być bezpiecznym azylem. A teraz udajesz, że chcesz mnie pocieszyć. Nie jesteś do tego zdolny. I teraz, kiedy gangsterzy uprowadzili twoje dzieci, będziesz miał jeszcze większą swobodę. A chcesz wiedzieć, co ja czuję? Czuję, że byłam beznadziejnie głupia, skoro zdecydowałam się wychowywać dzieci z takim człowiekiem jak ty. Wyobrażałam sobie, że scementuję wszystko miłością, że otulę nas

wszystkich kokonem miłości, aby w tym przerażającym świecie istniał jeden zakątek, który byłby tylko dla nas. Ale nie, ty tego nie chciałeś, porwałeś na strzępy mój nieszczęsny kokon. I co teraz zrobisz, Jake, jakie masz prawo, żeby oplakiwać nasze dzieci? Czy będzie ci ich w ogóle brakowało? Nawet tego nie wiem, więc jak możesz przyjechać, usiąść koło mnie i mówić mi słowa pocieszenia?

I jeszcze więcej w tym samym stylu, a ja przepraszałem i broniłem się. Na litość boską, Amalie, co ty robisz? Czy zawiadomiłaś już policję? I mnóstwo takich emocjonalnych argumentów, na które chciałem skierować jej uwagę, zatajając przed nią podejrzenie, że jedynym powodem, dla którego ktokolwiek chciałby uprowadzić moje dzieci, był plan wymiany ich za rękopis. Rękopisu zaś nie posiadałem, a jeśli Crosetti miał rację na jego zdobycie nie było większej nadziei. I dalej w tym samym stylu, oboje naraz, jak postacie z jakiejś postmodernistycznej sztuki, aż w końcu Amalie powiedziała, że nie chce już w ogóle ze mną rozmawiać, i poprosiła, abym oddał słuchawkę Paulowi. Podałem mu telefon i siedziałem na łóżku otepiały i sparaliżowany, wpatrując się w biurko, które znalazło się akurat na linii mojego wzroku. Biurko pokrywały ułożone starannie stosy papieru i różnokolorowe teczki, do których powkladałem rezultaty swoich ostatnich prawniczych spotkań, laptop jarzył się kusząco światłkami, a szatan wciskał mi do głowy myśl, że, ach, no dobrze, mam jeszcze swoją pracę; nie ma rodziny, wielka szkoda, ale mimo to... A potem uświadomiłem sobie, czym właściwie jest moja praca, i wtedy dopadło mnie *matagalp*, jak to chyba nazywają na Filipinach.

Zawyłem jak King Kong i zacząłem demolować pokój. Przewróciłem biurko, roztrzaskałem krzesłem lustro, laptop pofrunął z trzaskiem do łazienki. Wyrzuciłem ciężki fotel w stylu regencji przez okno i próbowałem posłać za nim wszystkie papiery i swoją aktówkę, ale wtedy obezwładnił mnie Paul. Jestem oczywiście znacznie od niego silniejszy, ale zdołał unieruchomić mnie chwytem, jakim załatwia się wartowników, i po kilku sekundach daremnej szarpaniny moja furia zamieniła się w szloch. Myślę, że wrzeszczałem i płakałem przez jakiś czas, potem przyszła policja, zaalarmowana z powodu wybitego okna, ale Paul zdołał załagodzić sprawę, jako że księży zawsze traktuje się wyrozumiale.

Po paru godzinach, gdy otepiony środkiem uspokajającym pogrzyżłem się w apatii, odezwał się długo wyczekiwany sygnał. Paul podniósł i podał mi słuchawkę

hotelowego telefonu. Nieznajomy mówił z akcentem, chyba rosyjskim, ale nie był to Szwanow. Bynajmniej nie groził, wyjaśnił, że nie jest barbarzyńcą, że moje dzieci są bezpieczne i przetrzymywane w dobrych warunkach, nie siedzą przyklejone taśmą do krzeseł w nieczynnej fabryce ani w podobnym miejscu, i dodał, że chyba ani ja, ani moja żona nie będziemy na tyle głupi, by zawiadamić policję. Zapewniłem, że tego nie zrobimy. Powiedział, że wszystko można załatwić w cywilizowany sposób, bo z pewnością wiem, czego chcą, i że gdy tylko będę to miał, mam zamieścić ogłoszenie na takiej to a takiej stronie w sieci, a kiedy odparłem, że nie mam pojęcia, gdzie jest to cholerstwo, odpowiedział, że oni są cierpliwi, mają do mnie zaufanie, po czym się rozłączył. Prawie natychmiast telefon zabręczał, sygnalizując, że przyszła wiadomość; w poczcie głosowej było zdjęcie uśmiechniętych dzieci i komunikat od Imogen: „Cześć, tato, jesteśmy cali i zdrowi, nikt nas nie torturuje jak w filmach. Nie martw się, dobrze?” Potwierdzenie, że żyją, wszystko bardzo profesjonalne. I rzeczywiście głos miała pogodny.

No dobrze, teraz odrobinę do przodu. Paul wyjechał. Chciał zostać i porozmawiać, ale go wykopałem, głównie dlatego, że przeżywał uprowadzenie bardziej niż ja, a nie miałem ochoty na jego empatię. Jestem sam w zdemolowanym pokoju. Dyrekcja wstawiła w okno plastikową płytę, ale powiedziałem, że posprzątam sam, bo chcę pozbierać ważne, poufne papiery. Na posmarowanie personelu poszło mnóstwo pieniędzy. Teraz podnoszę z podłogi dokumenty, upychając je bezładnie w aktówce, i nagle mój wzrok pada na gruby pakiet wydruków, których na pierwszy rzut oka nie rozpoznaję. Przyjrawszy się bliżej, stwierdzam, że jest to genealogia rodu Bracegirdle'ów, którą przygotował dla mnie Niko. Już mam to wrzucić do kosza, gdy dostrzegam, że te kartki to linia żeńska, ta, której się nigdy nie przyjrzałem. Siadam na brzegu łóżka, wertuję strony i dowiaduję się o istnieniu jedynej krewnej Bracegirdle'a w linii prostej, niejkiej Mary Evans, urodzonej w 1921 roku w Newton w stanie Maryland, gdzie wciąż mieszka.

Jest wpół do dziesiątej wieczorem w Anglii, czyli popołudnie na Wschodnim Wybrzeżu. Znajduję numer i dzwonię. Kobięcy głos w słuchawce. Nie, bardzo jej przykro, ale panna Evans zmarła. Niedawno. Moją rozmówczynią jest Sheila McCorkle, współparafianka panny Evans, która była filarem miejscowego kościoła

katolickiego. Pani McCorkle pomaga sprzątać w świątyni. Mój Boże! Ileż tam różnych staroci! Mówię, że dzwonię z Anglii, z Londynu, co robi na niej wrażenie; pytam, czy przekazała komuś jakiegokolwiek rzeczy osobiste zmarłej. Nie, jeszcze nie. A o co chodzi? Mówię jej, że jestem prawnikiem rodziny Bracegirdle'ow i chciałbym sprawdzić, czy w domu panny Evans nie zostały jakieś ważne pamiątki - czy uważa, że to możliwe? Owszem, mogły pozostać. Podaje mi swój numer telefonu i umawiam się z nią na następny dzień.

Ha, byłem chyba szalony, żeby wierzyć w celny strzał z takiej odległości, ale, jak powiedział wielki La Rochefoucauld, są sytuacje, że trzeba być na wpół obłąkanym, by wyjść z nich żywym. Zadzwoiłem do Crosettiego i powiedziałem mu, żeby był gotów lecieć do Londynu, bo trafiłem na trop, który sprawdzałem w Stanach, i jeśli się okaże, że warto nim podążać, muszę mieć kogoś w Anglii. Krótka pauza po tamtej stronie. Czy nie powinien zostać z Amalie? Odpowiedziałem, że jest to nasza jedyna szansa, aby wejść w posiadanie Dzieła, i że będzie to może ważniejsze dla odzyskania moich dzieci niż jakakolwiek pociecha, jakiej udzieli mojej żonie. Umówiliśmy się, a potem zadzwoniłem do naszego pilota.

Nazajutrz rano byłem już przed szóstą w powietrzu, nad Atlantykiem. Mieliśmy wiatr z tyłu i po siedmiu godzinach wylądowaliśmy na lotnisku Baltimore-Washington. Trzy godziny później podjechałem wynajętym lincolnem pod skromny, podniszczony biały dom typu kanadyjskiego, otoczony dębami i dereniami, w Newton w stanie Maryland. Pani McCorkle okazała się krzepką damą po pięćdziesiątce, o swojskiej, szczerzej twarzy, ubraną w roboczy wiejski strój, w fartuchu i w rękawicach. Wewnątrz panowała ciężka atmosfera długiego życia spustoszonego przez śmierć. Pudła były wystawione i pani Mc. usiłowała mężnie oddzielić rzeczy nadające się do sprzedaży od rupieci. Mary Evans, jak mi powiedziała, była starą panną (użyła tego staroświeckiego określenia). Smutna historia: miała narzeczonego, który nie wrócił z wojny, ojca, który żył zbyt długo, opiekowała się nim, nigdy nie wyszła za mąż, biedactwo. Owszem, była Bracegirdle ze strony matki, oczywiście katoliczki, ze starej rodziny, jak mówiła, przybyli do Ameryki w 1679 roku jednym ze statków lorda Baltimore. No cóż, można było w to uwierzyć, proszę spojrzeć na wszystko, wygląda tak, jakby niczego nie wyrzucali od 1680 roku! Proszę, może się pan rozejrzeć. Tam przy kominku są rzeczy, które moim zdaniem

dałoby się sprzedać. Zapisała wszystko parafii Świętego Tomasza, dlatego tu jestem.

Najpierw zajrzałem do pudła z książkami. Stara Biblia Douay Rheims, splekana skóra, w środku drzewo genealogiczne sięgające korzeniami Margaret Bracegirdle, pierwszej emigrantki. Margaret najwidoczniej wyszła za mąż w Ameryce, jej córki i synowie też założyli rodziny i nazwisko rozpląnęło się w różnych rejestrach, ale przetrwało w pamięci, bo na drzewie genealogicznym było wielu noszących prastare nazwisko Bracegirdle: Richard Bracegirdle Clement, Anne Bracegirdle Kerr...

Odłożywszy Biblię na bok, sięgnąłem głębiej do kartonu.

Znalazłem tam quarto: czerwona okładka z cielecej skóry niemal całym poczerniała ze starości, wybrzuszone od wilgoci okładki i wyklejki pokryte były brunatnymi plamami, ale kartek nie brakowało, oprawa pozostała nietknięta, a na karcie przedtytułowej widniał podpis wykonany znajomym charakterem pisma, sepiowym atramentem: Richard Bracegirdle. Wydanie z 1598, jak zauważyłem, kartkując pierwsze stronicę. Księga Rodzaju miała maleńkie dziurki. Ostatnią czystą stronicę pokrywało wypisane tą samą ręką czternaście nierównych rzędów liter. Zamknąłem z trzaskiem książkę. Pani McCorkle podniosła wzrok znad rzeczy, które sortowała, i zapytała, czy znalazłem to, czego szukałem.

- Owszem, znalazłem. Wie pani, co to jest?
- Wygląda na Biblię.
- Bo to jest Biblia. Genewska, z tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Należała do Richarda Bracegirdle'a, przodka pani przyjaciółki.
- Naprawdę? Czy to coś cennego?
- Raczej tak - odparłem. - Myślę, że można by za to dostać dwa i pół tysiąca dolarów, biorąc pod uwagę stan tej książki. Nie jest to idealny egzemplarz i oczywiście z tego przekładu korzystał praktycznie każdy piśmienny człowiek w Anglii przez jakieś osiemdziesiąt lat, więc zachowało się ich jeszcze sporo.
- Boże, dwa i pół tysiąca dolarów! Zupełnie jak w programie *Objazdowy antykwariat*.
- Prawie. Mogę pani wypisać od ręki czek na dwa i pół tysiąca. To znacznie więcej, niż dostanie pani od jakiegoś antykwariusza.

- Jest pan niezwykle szczodry, panie Mishkin. Czy interesuje pana może piękny serwis Fiesty?

Rozpływaliśmy się w uśmiechach.

- Nie bardzo, ale poszukuję jeszcze jednej rzeczy, o której jest wzmianka w starych papierach rodzinnych, a mianowicie przyrządu mierniczego z mosiądzu...

- Przyrządu mierniczego? Nie, nie sądzę. Mówi pan może o takich lunetkach na trójnogu?

- Niekoniecznie. Mam na myśli coś przenośnego, o długości metra i szerokości kilku centymetrów, jak duża linijka...

- Chyba nie mówi pan o tym?

Wskazała ścianę nad kominkiem, gdzie wisiał wynalazek Dicka Bracegirdle'a, połyskując matowo, przechowywany i polerowany przez pokolenia kobiet, gotów do użytku.

Albo raczej wytwór tych samych oszustów. Raz jeszcze pomyślałem z podziwem o zawłości całej intrygi. Czy panna Evans była w to w jakiś sposób zamieszana? Czy naprawdę znaleźli rzeczywistego żeńskiego potomka Richarda Bracegirdle'a, czy też zaczęli od tej starszej pani i obudowali cały przekręt wokół zachowanego przyrządu i Biblii, a potem znaleźli odpowiedniego przodka? Nawet taki mistrz w kłamstwie jak ja nie mógł się powstrzymać od podziwu wobec tej zegarmistrzowskiej roboty.

Na lotnisku Baltimore-Washington udałem się do jednej z poczekalni dla zamożnych turystów i zadzwoniłem do Zurychu, do Crosettiego. Poinformowałem go, co właśnie kupiłem, a potem zeskanowałem i posłałem mu e-mailem szyfr z końcowej strony Biblii Bracegirdle'a. Powiedział, że zastosuje swój program deszyfrujący i prześle mi z powrotem. Wypiłem kawę i coś przekąsiłem, a po mniej więcej godzinie oddzwonił Crosetti, ale nie miał dobrych wieści. Szyfru nie udało się rozwiązać za pomocą siatki i klucza użytego przy odczytywaniu listów.

- Dlaczego on to zrobił? - spytałem. - Miał niemożliwy do złamania szyfr.

Po co ta zmiana?

- Nie wiem. Paranoja? Miał do czynienia z dwiema wrogimi stronami, Dunbartonem i Rochesterem; obaj mieli biblijny klucz do szyfru. Może chciał

coś zataić, a może już nie rozumował zbyt jasno.

O tak, tu się zgadzałem.

- A więc jest jeszcze jedna siatka?

- Niekoniecznie. Myślę, że to regularny system szyfrujący. To znaczy klucz

zmienny oparty na jakimś tekście.

- Na jakim tekście? Na Biblii?

- Nie sądzę. Pamiętasz tę historię z ostatniego listu, kiedy Bracegirdle rozmawia z Szekspirem o tym, gdzie ukryć sztukę, i wyjaśnia, jak działa klucz, a potem dodaje coś w tym rodzaju, żeby posłużyć się jego własnymi słowami?

Pamiętałem, ale mgliście.

- A zatem - odparłem - będziemy musieli przeczytać wszystkie dzieła Szekspira? To będzie trwało wieczność.

- Niezupełnie. Pamiętaj, że komplet dzieł Szekspira ukazał się dopiero w tysiąc sześćset dwudziestym trzecim roku. Bracegirdle nie użyłby sztuki pochodzącej z innych wydań, czasem zniekształconych. Chodzi mi o to, że był zorientowany w tych sprawach.

- A więc co robić?

- Mamy czternaście linijek zaszyfrowanego tekstu. Może to sonet.

Sonet

ukazały się w tysiąc sześćset dziewiątym.

- Więc wypróbuj to.

- Tak jest, szefie. A tak przy okazji, jeśli to znowu zakończy się kłapą, to będziesz musiał się spotkać z Klimem i moją mamą.

- Bo...?

- Bo to jedyny poważny kryptograf, jakiego znam. W przypadku klucza zmiennego, który nie jest oparty na znanym nam tekście, trzeba dokonać znacznie bardziej skomplikowanej analizy. Nie jest to niemożliwe, zwłaszcza z programem komputerowym, który Klim potrafi stworzyć, ale nie jest to też błahostka. Ja tego nie potrafię, lecz on - owszem. I jeszcze będzie tam moja mama.

- Też zajmuje się kryptografią?

- Nie, ale jest naprawdę bystra, rozwiązuje krzyżówkę w niedziel-
nym „Timesie” w mniej więcej dwadzieścia minut. Zadzwoń do niej i
powiem, że przyjedziesz.

A więc na lotnisko LaGuardia, stawiając po drodze Omara w stan po-
gotowia. Czekał na mnie i załamał się, kiedy powiedziałem mu o dzie-
ciach; uronił łzę, na co prawdziwy ojciec się nie zdobył. Nawet ludzie,
którzy mi służą, spiskują, żeby mnie zawstydzić taka podła myśl przyszła
mi do głowy, gdy przeciskaliśmy się jak zawsze zatłoczoną trasą ekspre-
sową Van Wyck. Z lotniska było niedaleko, co jest chyba jedyną zaletą
mieszkania w Queens. Kiedy podjechaliśmy pod domek, od razu zauwa-
żyłem, że coś jest nie w porządku. Przed wejściem parkował brudny pi-
kap z jednym kołem na krawężniku, a drzwi frontowe stały otworem,
choć panował ziąb. Powiedziałem Omarowi, żeby zatrzymał się trochę
dalej i z komórką w pogotowiu został w samochodzie, a ja tymczasem ro-
zejrzę się po okolicy. Sprzeciwił się, twierdząc, że powinniśmy iść obaj,
on z bronią, ale odrzuciłem tę propozycję. Nie powiedziałem tego, lecz
przyszło mi do głowy, że w tej godnej pożałowania aferze narażałem jego
życie wielokrotnie i nie mógłbym uczynić tego jeszcze raz. Jeśli ryzyko
istniało, rozumowałem, to lepiej, żeby poniósł je ten paskudny facet, a
spodziewałem się najgorszego. I dostrzegłem w tym szansę uwolnienia
się, przynajmniej częściowo, od bólu.

Ostrożnie podszedłem do domu od strony bocznej ściany i schyliwszy
się, zajrzałem po kolei do wszystkich okien. W salonie nic podejrzanego.
Szyba w łazience była z matowego szkła. Przed sobą miałem maleńkie
podwórko: dwa figowce z pniami okręconymi jutowymi workami, wyru-
działy spłachetek trawnika, uśpiony klomb z cementowym posążkiem
Matki Boskiej pośrodku. Z podwórka mogłem zajrzeć do kuchni i tu zo-
baczyłem żywy obraz. Pani Crosetti i Klim siedzieli na krzesłach przy
stole, z ustami zaklejonymi taśmą. Rosły, krótko ostrzyżony mężczyzna
stał tyłem do okna. Wyglądało na to, że wygłasza do nich jakąś przemo-
wę. W dłoni trzymał wielki, niklowany pistolet.

Bez namysłu wyrwałem posążek z ziemi - ważył chyba ponad dwa-
dzieścia kilogramów uniosłem go nad głową i ruszyłem biegiem w stronę
domu. Facet musiał coś usłyszeć, a może zobaczył rozszerzone w szoku
oczy pani Crosetti, bo obrócił się

do okna i w tym momencie Maryja (wraz z odłamkami szkła) wylądowała na jego gębie.

Potem znajomy już rytuał z policją i żmudnym wyciąganiem informacji. Pani Crosetti była mi wdzięczna, biorąc pod uwagę okoliczności, ale zastanawiała się nad moją skłonnością do aktów przemocy w jej domu, co wydało mi się nieco krzywdzące. Z ulgą dowiedziałem się, że facet przeżył, ale z pewnością musiał sobie darować studniówkę. Nazywał się Harlan P. Olerud i był ochroniarzem z jakiegoś miasteczka w Pensylwanii. Uroił sobie, że jego żona zbiegła z Crosettim, i chciał ją odzyskać. Najwyraźniej do Queens zaprowadziła go wydrukowana w komputerze mapka, którą młody Crosetti lekkomyślnie pozostawił na drodze koło jego domu, kiedy poszukiwał Carolyn Rolly. Policja znalazła mapkę w pikapie Oleruda, w którym siedziało dwoje wystraszonych dzieci. Naturalną kolejną rzeczą należało je przekazać odpowiedniej instytucji, która z urzędu zajmowała się bezdomnymi dziećmi w Nowym Jorku, ale ponieważ w sprawę była zamieszana Mary Peg, rzeczy przyjęły inny obrót. Wdowa po policjancie chciała zająć się dziećmi, dopóki nie ustalimy, jaka jest sytuacja tajemniczej C.R.; pewną rolę odegrał tu też, jak sądzę, syndrom pustego gniazda rozmiarów Montany. Mam nadzieję, że zrehabilitowałem się troszeczkę za użycie siły w jej domu, dzwoniąc do drogiego księdza Paula w Londynie. Paul wiedział wszystko o instytucjonalnej opiece nad dziećmi w Nowym Jorku; zadzwonił, gdzie trzeba, poręczył za Mary Peg, narobił wrzawy, nadzwyczajne okoliczności, dochodzenie policyjne, potencjalne niebezpieczeństwo, najlepiej pojęty interes dziecka itd. i sprawa została załatwiona, przynajmniej tymczasowo. Ze strychu zdjęto gry planszowe, wyczarowano pizzę z podstawowych składników, wszystkim było wesoło, z wyjątkiem mnie, bo przegrałem z Klimem w scrabble'a o pięćdziesiąt punktów, co, biorąc pod uwagę fakt, że angielski jest moim rodzimym językiem, wydało mi się nieco zbyt wysoką porażką.

Położywszy dzieci do łóżek, Mary Peg weszła do salonu rozpromieniona (tu bolesne wspomnienia Amalie w podobnej sytuacji, mój utraczony dom...) i usiadła na sofie obok Klimy. Po całym tym zamieszaniu z policją i dziećmi była to właściwie pierwsza okazja do spokojnej rozmowy. Poinformowałem ich o swoich najnowszych

odkryciach, pokazałem Biblię i dalmierz kupione w Marylandzie.

Oczywiście ani słowa o tym, że cała ta sprawa to przekręt. Rozdałem im też wydruki zeszyfrowanych listów, a kiedy je czytali, obudziłem Crosettego w Zurychu i zapytałem, czy jest jakiś postęp. Paul, jak się okazało, powiedział mu wczoraj, że ktoś przysłał Amalie pocztą elektroniczną zdjęcie dzieci, które trzymały aktualny numer „New York Timesa”. Oboje się uśmiechali i robili wrażenie całkiem spokojnych, nie było też widać w pobliżu żadnych groźnych typów w czarnych maskach. Powiedziałem, że to dziwne, i Crosetti się zgodził.

- Jakby byli na szkolnej wycieczce. To niepodobne do Szwanowa, jakiego znamy.

Przyznałem, że choć wiadomość jest dziwna, to jednak dobra. Potem opowiedziałem mu o Harlanie P. Olerudzie i dwojce dzieci. Obiecał, że powie o tym Rolly, a ja, że postaram się, aby dzieci mogły porozmawiać z nią przez telefon. I że dam mu znać, czy coś się ruszyło z nowym szyfrem. Chciał porozmawiać z matką, więc przekazałem jej słuchawkę.

Klim bawił się dalmierzem.

- Bardzo pomysłowe urządzenie, znacznie wyprzedza swoje czasy. Trzeba tylko zamontować nowe lustro, o, tutaj, i myślę, że będzie działało jak należy. Mogę zobaczyć szyfr z Biblii?

Kiedy mu go dałem, pochylił się nad nim w skupieniu, a potem powiedział, że wprowadzi szyfr do swojego peceta i zobaczy, co da się z tym zrobić.

- Wszystkie dzieła Szekspira są oczywiście dostępne w postaci cyfrowej, a więc jeśli klucz pochodzi ze znanego utworu, powinniśmy trafić na właściwy tekst.

- Chyba że Bracegirdle posłużył się cytatem z zaginionej sztuki - zauważyła Mary Peg. - To by było bardzo w jego stylu.

- W takim przypadku - rzekł Klim - musielibyśmy zastosować bardziej żmudne metody.

Wziął Biblię, uśmiechnął się i wyszedł.

Mary Peg zakończyła rozmowę z synem i zwróciła się do mnie:

- To straszne, ta historia z dziećmi. Twoja żona pewnie przeżywa męki.

nie powinienes być teraz z nią?

Czy

- Owszem, ale ona mnie nie chce. Obwinia mnie o całą tę aferę i ma rację. Poza tym wydaje mi się, że to uprowadzenie nie jest tym, na co wygląda.

- Jak to?

- Wolałbym na razie nie mówić. Ale poskładałem kilka rzeczy do kupy i nie sądzę, żeby dzieciom groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo. Może w przyszłości, ale nie teraz, zakładając, że znajdziemy to, czego szukamy.

- Och, przecież to całkiem jasne, gdzie to jest.

Wyraziłem zdziwienie.

- A tak - powiedziała. Wrzucili sztukę do studni, o której wspominał, do której trafił Bracegirdle, kiedy śledził Szekspira i jego strażnika pod czas nabożeństwa odszczepieńców. W ruinach klasztoru.

Zaczęła szukać wśród wydruków i znalazła odpowiednią stronę.

- Święta studnia Bosa. A gdzie indziej miałoby być? Bracegirdle pisze, że udali się do Stratfordu, a studnia jest o pół dnia drogi stamtąd.

- Możliwe powiedziałem. Ale gdzie dokładnie jest ta studnia? Bracegirdle mówi, że była to tajemnica nawet w czasach Szekspira. Dziś może być pod jakąś fabryką albo pod osiedlem mieszkaniowym.

- To prawda. W takim wypadku powinniśmy to ogłosić publicznie i przekazać cały ten kram władzom. Czasem myślę, że trzeba to było zrobić od razu pierwszego dnia. Ale - w tym momencie na jej irlandzkim obliczu pojawił się nietypowy wilczy wyraz - naprawdę chciałabym znaleźć tę sztukę. A więc należy tylko mieć nadzieję, że zapomniana od wieków studnia wciąż funkcjonuje.

Zaparzyła kawę, którą wypiliśmy z dodatkiem whisky Jameson. Pamiętam, że rozmawialiśmy o rodzinie, o dzieciach, ich radościach i smutkach. Pożałowałem, że nie lubię jej syna; uznałem, że to kolejny objaw mojego obłędu, i postanowiłem w przyszłości być dla niego miłszy. Gawędziliśmy sobie tak przez dłuższy czas, aż w końcu pojawił się Klim z ponurą miną.

- Z przykrością stwierdzam, że tego szyfru nie da się odczytać przy wykorzystaniu znanych utworów Szekspira. Ale sprawa nie jest przegrana, bo, jak już chyba wcześniej mówiłem, możemy porównać przypuszczalne teksty jawne z tekstem zaszyfrowanym i zobaczyć, czy otrzymamy coś, co będzie zrozumiałe.

Zacząłem już to robić, ale mam ochotę na twoją kawę po irlandzku.

Kiedy dostał swoją filizankę, zapytałem go, czy znalazł już coś zrozumiałego.

- Tak, oczywiście, zaczynamy od najpospolitszych słów angielskich i sprawdzamy, czy tekst zaszyfrowany daje nam, powiedzmy, *the* w obie strony, kiedy posługujemy się standardową *tabula recta*. Oczywiście Braecigirdle mógł się posłużyć tabelą niestandardową, ale dotąd tego nie robił, założmy więc, że się śpieszył i chciał się trzymać prostych rozwiązań. Posługujemy się zatem komputerem, aby się dowiedzieć, czy jakiegokolwiek trzy litery zaszyfrowanego tekstu wygenerują trygram *the* jako część naszego klucza; sami widzicie, że owszem: zarówno „TKM”, jak i „WLK” dają nam *the*, a kiedy znów zastosujemy ten klucz do zaszyfrowanego tekstu wspan, otrzymamy „ADI” i „DEG”, które szczęśliwie są pospolitymi trygramami w angielskim. Postępując podobnie z *and*, otrzymamy jeden wynik i tekst jawny „FAD”, który jest także dobrym angielskim trygramem. Stosując słowo *be*, uzyskujemy dwa trafienia i otrzymujemy dla tekstu jawnego „ENDF”, a także małą premię, ponieważ to pierwsze *be* poprzedza bezpośrednio *the*, które już wcześniej odkryliśmy, a zatem wiemy, że *be the* jest częścią tekstu kluczowego. I tak idziemy od tego miejsca dalej. Każdy kolejny krok daje nam więcej jawnego tekstu i tekstu klucza i te dwa elementy wzajemnie się uzupełniają dlatego właśnie klucz zmienny oparty na książce jest tak słaby. Z tego też powodu KGB używało tylko almanachów i raportów handlowych z wieloma tabelami i liczbami, dzięki czemu entropia jest wyższa. Następnym słowem, które wypróbujemy, powinno być moim zdaniem *is* albo *of*...

- Nie - powiedziała Mary Peg. - Spróbuj użyć słowa *Jezus*.

- Czy to rada o charakterze religijnym, moja droga?

- Nie, to po prostu słowo. Powiedziałeś, że zastosowałeś klucz do kompletu dzieł i nic nie znalazłeś?

- Nic. Oprócz kilku całkiem przypadkowych pseudosensownych ciągów.

- Ale Szekspir napisał też jedną rzecz, której nie ma wśród jego opublikowanych dzieł. Swoje epitafium.

Podbiegła do półki i wyciągnęła *Shakespeare's Lives* Schoenbauma; na pierwszej stronie widniało epitafium:

*O przyjaciele, na Chrystusa rany,
proch uszanujcie tutaj pogrzebany,
błogosławieństwo przyjaznej mi duszy,
a klątwa temu, kto me szczątki ruszy.*

- Przypuszczam, że trzeba sprawdzić archaiczną wersję - powiedziała.
- Powinna być w książce Wooda.

Rzeczywiście była. Klim zaszyfrował tekst w archaicznej pisowni za pomocą tablicy Vigenere'a i wyszło nam coś takiego:

zguystowrzmierzająckupołudniu
ustawpoosiedzięsiędmstopnizkażdeystr
onyspuśsięczyrysięgiistope
copingwdólnawschodnieyścianie

- To chyba dość proste. Człowiek stoi w miejscu nazywanym Guy's Tower i nastawia przyrząd Bracegirdle'a tak, żeby zerowy punkt pośrodku wskazywał na południe. Potem ramiona należy rozstawić pod kątem osiemdziesięciu siedmiu stopni, a następnie, jak się domyślam, drugi człowiek musi odejść z chorągiewką na pewną odległość i wtedy ten pierwszy patrzy przez wizjer, regulując przyrząd, aż chorągiewka i jej obręcz się zgrają, i w ten sposób otrzymuje odległość i kierunek. Później, kiedy już znajdzie się studnię, trzeba się opuścić na sznurze ze świecą przyklepioną do głowy gorącym woskiem i tam, na głębokości... co to jest siąg?

- Szań - sprostowała Mary Peg. - Metr osiemdziesiąt.

- Aha. A więc na głębokości, powiedzmy, siedmiu i pół metra na wschodniej ścianie rzeczony studni znajdziemy tę twoją sztukę. Albo jakąś pustą dziurę. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest ta Guy's Tower...

- To musi być w Warwick Castle - powiedziała Mary Peg z przekonaniem. - Bracegirdle napisał, że stojąc w ruinach przy świętej studni Bosa, można zobaczyć Warwick Castle.

Internet potwierdził w parę chwil, że w zamku Warwick istotnie znajdowała się wieża Guy's Tower, i to od południowej strony.

- To będzie ciekawe doświadczenie - zauważyłem. - Wypatrzeć ze szczytu wieży, która jest główną atrakcją turystyczną, faceta wędrującego z chorażewką przez przedmieścia Warwick.

Ale palce Klima już przesuwały się po klawiszach i po kilku minutach na ekranie pojawił się widok sponad blanków zamkowej wieży. Wyglądało to tak, jakby zdjęcie zrobiono z wysokości kilku metrów.

- Imponujące powiedziałem. To zdjęcie z satelity komercyjnego?
- Nie, z wojskowego, amerykańskiego. Uzyskałem dostęp przez anonimowy link, ale nie możemy tu pozostawać zbyt długo.
- Jak pan to zrobił? - zapytałem.
- Klim jest szpiegiem - wyjaśniła Mary Peg nie bez pewnej dumy.
- Jestem emerytowanym polskim szpiegiem, absolutnie nieszkodliwym. Ale zgromadziłem pewną wiedzę z tej dziedziny. Ameryka jest najgorszym krajem, jeśli chodzi o zabezpieczenia, w kręgach wywiadu to rzecz powszechnie znana, właściwie przedmiot żartów. Teraz posłużymy się pewnymi narzędziami, aby zrzucić bombę samonaprowadzającą na sztukę pana Szekspira.

Jeszcze parę kliknięć i na obrazie pojawiła się czerwona siatka oraz cała paleta narzędzi do rysowania po jednej stronie obrazu.

- Moja droga, czy mogłabyś zmierzyć ten przyrząd? zapytał Klim.
- Dokładnie trzy stopy: dziewięćdziesiąt jeden centymetrów czterdzieści cztery milimetry oznajmiła Mary Peg po dokonaniu pomiaru.
- A więc... obliczmy, dziewięćdziesiąt jeden przecinek czterdzieści cztery, celujemy w północno południową średnicę wieży... o tak... a potem rysujemy linię od obu końców na osiemdziesięciu siedmiu stopniach od tej podstawy i w ten sposób tworzymy dwie linie, które przecinają się... o tak. Jak powiedziałaś, tu jest skarb. Nie potrzebujemy wchodzić na wieżę i niepokoić turystów. Dziękujemy taktycznemu programowi satelitarnemu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Nacisnął klawisz, zamruczała drukarka. Spojrzałem na wydruk. Na południe od zamku i nieco na zachód widać było coś, co wyglądało na zaorane pole okolone kępami drzew. Czerwone linie biegnące od wieży spotykały się w jednym z mrocznych zagajników.

- Jak pan myśli, z jaką dokładnością to narysowano? zapytałem Kli-
ma.

Wzruszył ramionami.

- W każdym razie z taką, z jaką zostało określone w tysiąc sześćset
jedenastym roku. Nie wygląda na to, aby był tu parking czy kiosk z lemo-
niadą, a więc
pańska studnia pozostaje pewnie nie odkryta.

Zadzwoiłem znów do Crosettiego i powiedziałem mu, co ma zrobić.
Zabrało mi to trochę czasu. Ile sprytu i wysiłku poświęconego oszustwu,
ilu miłych ludzi przeżyje rozczarowanie! Idealny symbol mojego życia.

Carolyn Rolly długo nie mogła zapanować nad płaczem, gdy dowiedziała się o wypadkach w Queens spowodowanych przez Harlana P. Oleruda. Upierała się, że chce tam zadzwonić i porozmawiać z dziećmi, lecz Crosetti jej wytłumaczył, że w Nowym Jorku jest ciemna noc, a nie wczesny ranek jak w Zurychu. Potem na jego komórkę zadzwonił człowiek z Osborne Security Service, zawiadamiając, że na miejscowym lotnisku czeka na nich samolot. Pożegnali się zatem z Amalie, z którą Carolyn nawiązała zaskakująco serdeczną więź, jeśli zważyć na różnice pochodzenia i podejście do życia. Być może, myślał Crosetti, wynika to ze wspólnoty, jaką wytwarza macierzyństwo, i z osobliwej sytuacji ich dzieci, cierpiących podobny stres. Z właściwym sobie zaciekawieniem przyglądał się obu kobietom, gdy żegnały się czule. Właściwie nie były do siebie podobne zewnętrznie, ale obie prezentowały światu tę samą niezaprzeczalną wyjątkowość. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby cokolwiek mogło zmienić utrwalony wizerunek którejś z nich, choć Amalie była wcieloną uczciwością, a Carolyn łągała jak pies. Gdyby Carolyn była blondynką, doszedł do wniosku, mogłyby uchodzić za siostry, dobrą i złą.

Krótki lot małym mocnym learjetem, pilot niekomunikatywny, ale skuteczny, lawirujący maszyną po szlakach unikanych przez linie komercyjne. W połowie lotu Rolly dodzwoniła się do dzieci, tak przynajmniej wywnioskował: nie zwierzała mu się, tylko siedziała z wilgotnymi oczami, zapatrzona w jaskrawą biel chmur. Pozwoliła się jednak trzymać za rękę.

Wylądowali na jakimś lotnisku w Midlands, którego nazwy Crosetti nawet nie zauważył. Tam czekał na nich pan Brown z agencji Osborne, ubrany w żółty kombinezon z insygniami Severn Trent Water Board. Podczas jazdy przedstawił swój plan: udać się tam od razu, przystąpić śmiało do akcji, znaleźć to, co było do znalezienia, jeśli w ogóle coś tam było, i wycofać się. Pod Londynem czekał na nich kolejny samolot, który miał ich zabrać do Nowego Jorku. Crosetti zapytał go, czy wie, czego szukają.

- Ja nie - odparł Brown. - Nie muszę wiedzieć, jestem tylko pomocnikiem. Za nami jedzie wynajęty van ze sprzętem i zespołem do jego obsługi, radar, którym można penetrować ziemię, stroje zabezpieczające przed porażeniem prądem, takie rzeczy. Jeśli jest tam studnia, znajdą ją. Mam nadzieję, że wszyscy będziemy kopać.

- Piekielnie drogie to wszystko - zauważył Crosetti.

- O tak. Ale pieniądze nie są problemem.

- I nie interesuje to pana?

- Gdybym był ciekawski, sir, dawno już bym nie żył odparł Brown. O, widać Warwick. Za chwilę zobaczymy zamek.

Ukazał się, oślepiająco biały, nad linią drzew; zawisł tam na chwilę, a potem, gdy droga opadła, znikł jak wizja z jakiejś baśni. Kiedy jechaliśmy przez pozbawione charakteru przedmieścia, ukazał się znowu z lewej strony, ogromny, górujący nad rzeką.

- To nie jest coś w rodzaju Disneylandu, mam nadzieję?

- Nie, to prawdziwy zamek - zapewnił Brown. - Choć ci od Madame Tussaud przyozdabiają go, ile wlezie. Ale w te kamienie wsiąkała prawdziwa krew. Straszne to były czasy. Niegdyś taki zamek był ostatnim słowem w technice wojskowej, mimo to...

- Więc chciałby pan żyć w tamtej epoce?

- Chwilami. Wszystko było prostsze: ktoś, powiedzmy, działał człowiekowi na nerwy, to wkładało się blaszane ubranko i rąbało gościa na kawałki. Chyba za chwilę będziemy na miejscu.

Zjechał na pobocze wąskiej drogi i sprawdził coś na szczegółowej mapie sztabowej, potem złożył ją i skręcił w prawo, w wąską ścieżkę biegnącą przez dębówobukowy las.

- W vanie są dla was kombinezony - powiedział, kiedy wysiedli. - To ważne, żeby wyglądać na prawdziwych hydraulików z firmy.

Crosetti i Rolly podeszli do tylnych drzwi furgonetki, które otworzyły się, odsłaniając wnętrze: stalowy stół, stojaki na narzędzia, długie metalowe rury, drabiny, liny, sprzęt elektroniczny i dwóch mężczyzn, którzy przedstawili się jako Nigel i Rob - Nigel o swoich oczach za okularami, Rob barczysty i szczerbaty, z opaloną i wygoloną głową. Wręczyli Crosettiemu i Rolly żółte kombinezony, a także gumki i kaski tego samego koloru, z zamontowanymi lampami. Crosettiemu nie zaskoczyło, że ten strój idealnie na niego pasuje. Carolyn oświadczyła, że jej rzeczy także mają właściwy rozmiar.

- Osborne robi wrażenie bardzo operatywnej firmy - zauważył Crosetti. - Czy nie dziwi cię, że znają rozmiar naszego obuwia?

- Nic mnie już nie dziwi. Czym oni się zajmują?

- Nie mam pojęcia.

Dwaj mężczyźni wytoczyli z vana czterokołowy wózek ze stalowych rurek i zaprosili Crosettiego do wyładowywania ciężkiego sprzętu elektronicznego oraz akumulatorów samochodowych i układania ich na wózku.

- A tak nawiasem mówiąc, do czego to wszystko? - spytał Roba.

- To jest detektor radarowy z najwyższej półki. Przekazuje obraz z głębokości dochodzącej do dziesięciu metrów, w zależności od rodzaju podłoża. Tu nie będzie problemu. Triasowy piaskowiec.

- Chyba że natrafimy na warstwę gliny - wtrącił Nigel.

- I co wtedy?

- Wtedy jesteśmy załatwieni, kolego - odparł Rob. - Będziemy musieli przejść na rezystywność, a to zajmie nam tydzień.

- Pracujecie obaj dla Osborne'a?

- My nie - odpowiedział Nigel. - Jesteśmy z wydziału geologii uniwersytetu w Hull. Zostaliśmy przekupieni, no nie, Robbie?

- Bezwzględnie. A tak przy okazji, czego szukacie? Skarbu wikingów?

- Czegoś w tym rodzaju - odparł Crosetti. - Ale będziemy musieli was zabić, kiedy już to znajdziemy.

Roześmiali się obaj, trochę nerwowo, i rozejrzeli dokoła, szukając wzrokiem Browna, który najwyraźniej gdzieś sobie poszedł.

Rolly grzebała nieopodal w ziemi, więc Crosetti podszedł do niej, żeby zobaczyć, co robi.

- Nie musisz drapać palcami - powiedział. - Mamy przecież do dyspozycji całą tę supertechnikę.

- Spójrz, co znalazłam powiedziała i wyciągnęła rękę.

Trzymała na dłoni płaski, z grubsza trójkątny biały kamień, na którym wyłobiono idealnie prostą podwójną linię, a pod nią coś, co przypominało płatek róży.

- Tu musiał być klasztor oznajmiła. To jest właśnie to miejsce. Ciaraki mnie przechodzą.

- Mnie też. Fantastycznie wyglądasz w tym kombinezonie i kasku. Gwizdniesz na mnie, kiedy będę przechodził?

Skwitowała tę uwagę surowym spojrzeniem. Nigel i Rob zawołali ich, żeby pomogli przy wózku. Przeciagnęli go przez lasek, po wybojach i korzeniach; przodem szedł Nigel, wpatrując się w odbiornik GPS, a na końcu dreptała Rolly, z kilofami i szpadlami na ramieniu.

- No dobra, włączmy radar. Jeśli ten obraz z satelity jest właściwy, to pan GPS mówi, że to tutaj.

Stali na wąskiej polanie, grubo pokrytej złotymi bukowymi liśćmi, pomiędzy trzema starymi drzewami o szarych pniach, których rozłożyste gałęzie krzyżowały się na tle mlecznobiałego nieba. Nigel ustawił co trzeba i włączył swoje urządzenie. Zamruczało i ze szczeliny w jednej z metalowych skrzynek zaczęła się wysuwać szeroka papierowa wstęga. Geolog poprawił okulary na nosie i przyjrzał się kolorowemu wydrukowi. Wydał radosny okrzyk, a potem zawołał:

- Rany! Trafiliśmy za pierwszym razem. Tu jest jama wypełniona czymś, co wygląda na bloki ociosanego kamienia. Bez dwóch zdań. Zerknij na to, Robbie.

Rob spojrzął i potwierdził przypuszczenie kolegi. Odgarnęli liście oraz wierzchnią warstwę ziemi i zaczęli kopać. Wkrótce odkryli pozostałości czegoś, co wyglądało jak górna krawędź studni, z masą nieregularnych białych kamieni w środku.

- Wyschnięta powiedział Crosetti.

- Owszem - przyznał Rob. - System hydrologiczny bardzo się zmienił w ciągu ostatnich czterystu lat. Ma to związek z kopaniem kanałów i zakładaniem ozdobnych stawów dla szlachty, a także z rozwojem wodociągów publicznych. Zajrzał do otworu, marszcząc czoło. Ale i tak będzie sporo roboty. Jacyś dranie napakowali tu kamieni. Jak głęboko musimy dotrzeć?

- Na jakieś osiem metrów.

- O, w mordę! - zawołał Rob. - Robota na cały pieprzony dzień.

Była to mordercza, ciężka praca, z rodzaju tych, jakie ich przodkowie wykonywali codziennie przez całe życie w nie tak bardzo odległej przeszłości, przerzucając własnymi rękami twory planety z miejsca na miejsce. W dziurze mógł się zmieścić tylko jeden człowiek i musiał albo dźwigać kamienie i ładować je do płóciennej podwieszki przychepionej do łańcucha zwisającego ze stalowego trójnoga i bloczka zainstalowanego przez geologów na górze, albo, gdy kamień był zbyt wielki, by go udźwignąć, wywiercić otwór, zamocować śrubę oczkową i zacząć bezpiecznie ciężar na haku. Po godzinie zaczęło padać, był to jednostajny, ziębiący kapuśniaczek z niskich chmur wystarczyło, by się ślizgać, kaleczyć boleśnie i drętwieć z zimna. Crosettiego otepiało przy tej robocie. Zapomniał o Szekspirze i jego pieprzonej sztuce. Świat skurczył się do problemu kolejnego kamienia. Każdy z trzech mężczyzn pracował po pół godziny, a potem gramolił się po aluminiowej drabince na górę, by runąć na łóżko rozstawione w vanie. Rolly znalazła kuchenkę spirytusową, gotowała na niej wodę i poila ich mocną, słodką herbatą. W przerwach stawiała na krawędzi otworu studziennego ze stalową taśmą mierniczą, opuszczała ją po wydobyciu każdej kolejnej warstwy kamieni, a potem podawała na głos głębokość pięć metrów dwadzieścia, sześć metrów osiemnaście. Żartowała

i pokrzykiwała zachęcająco, śmiejąc się w odpowiedzi na powarkiwania i przekleństwa, którymi reagowali mężczyźni na dole.

O wół do pierwszej zrobili przerwę na lunch. Niezawodny pan Brown załadował swego landrovera mnóstwem artykułów żywnościowych; Rolly zrobiła zupę i kanapki, zaparzyła jeszcze herbaty, tym razem z dodatkiem rumu. Żeby schronić się przed deszczem, zjedli w vanie, skąd widzieli w oddali pana Browna rozmawiającego z mężczyzną w nieprzemakalnej kurtce i tweedowej czapce. Nieznajomy gestykułował, wymachując laską, i robił wrażenie zdenerwowanego. Po kilku minutach wszedł do swojego land-rovera i odjechał. Brown wrócił przez podmokłe pole do furgonetki.

- To był facet z National Trust - wyjaśnił. - Jest wściekły. To pole znajduje się w rejestrze miejsc chronionych i nie wolno nam pod żadnym pozorem zakłócać tu spokoju. Pojechał, żeby przywieźć tu kogoś z zarządu, kto zadzwoni do tych z wodociągów i zorientuje się, że nie jesteśmy tymi, za których się podajemy. Jak głęboko się wkopaliśmy?

- Sześć metrów osiemdziesiąt dwa centymetry odparła Rolly.

- A więc mamy do pokonania trochę ponad metr, potem bierzemy skarb, o ile tam jest, i zmywamy się w pół godzinki. Koniec przerwy, panowie.

Wrócili do studni i przez dziesięć minut ryli jak opętani; w końcu mogli trochę odetchnąć, bo następną warstwę tworzyły drobne kamyczki, które z łatwością ładowało się do podwieszki. Na dole był akurat Crosetti, gdy taśma opadła mu tuż przed nosem i uderzyła o kamienie, a Rolly obwieściła:

- Osiem szesnastcie.

Przykucnął i skierował światło lampy na wschodnią ścianę. Początkowo niczego nie dostrzegął, tylko niemal prostokątną cembrowinę studni. Wziął krótki łom i zaczął walić po kolei w każdy kamień; przy piątej próbie jeden z nich się poruszył. Crosetti wetknął ostry koniec pręta w szparę i nacisnął z całej siły; kamień przesunął się odrobinę. Po dwóch minutach tej mozolnej roboty udało mu się go wyjąć i zajrzeć do czeluści, z której wionęło zastarzałą wonią wilgotnej ziemi. Lampa oświetliła jakiś okrągły kształt rozmiarów puszeki.

Wstrzymując oddech, Crosetti wsunął zakrzywiony koniec łomu do otworu tak daleko, jak się dało, i manewrował nim na wszystkie strony, aż poczuł, że o coś

zahaczył, po czym wyciągnął tajemniczy przedmiot: była to ołowiana tuba o długości ponad trzydziestu centymetrów i średnicy równej dłoni, zamknięta z obu końców płytkami ołowiu. Crosetti wspiął się po drabinie, ściskając czule znalezisko jak ocalone dziecko.

- O to chodziło? - zapytał Rob.

- Z tego widać, jak dużo wiesz, Rob - oznajmił Nigel. - To testament króla Artura, zakonserwowany w brandy. Teraz Anglia może odzyskać dawną świetność.

Crosetti zignorował ich i poszedł do vana; Carolyn pośpieszyła za nim. Rob zamierzał im towarzyszyć, ale Brown położył mu rękę na ramieniu.

- Czas na was, panowie powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Proponuję, żebyście zdjęli te robocze ubrania i odjechali, zanim zjawi się tu policja.

- Nie możemy nawet rzucić na to okiem? zapytał Rob.

- Niestety, nie. Lepiej, żebyście nic nie wiedzieli. - Z wewnętrznej kieszeni kurtki Brown wyciągnął grubą kopertę. Miło robić z wami interes powiedział, wręczając kopertę Nigelowi.

Dwaj geolodzy odeszli potulnie, żeby pozbierać swój sprzęt.

Crosetti znalazł w furgonetce ciężkie zaciski, młotek i przecinak. Przytwierdził ołowiany walec do stalowego stołu i przeciął ołów z jednego końca. W środku znalazł ciężki rulon obwiązany czarną wstążką. Papier był niemal biały i wyglądał prawie jak nowy, nie był zrudziały ani kruchy, jak można by oczekiwać po czterystu latach. Crosetti uświadomił sobie z dreszczem, że ostatnią osobą, jaka go dotykała, był Richard Bracegirdle, a przed nim William Szekspir. Podzielił się tą myślą z Carolyn.

- Tak, teraz jesteś za pan brat z wielkim człowiekiem. Rozwiąż tę wstążkę, na litość boską!

Rozsupłał wstążkę i rozpostarł arkusze na stole. Atrament był czarny, lekko tylko wyblakły, jak zauważył, charakter pisma nie wskazywał na Bracegirdle'a. Stronice były starannie poliniowane i zapisane w trzech równych pionowych kolumnach: imię postaci, dialog, didaskalia. Oszczędny Łabędź z Avonu wykorzystał obie strony kartki. Crosetti policzył je automatycznie: dwadzieścia jeden arkuszy w formie folio. Na górze pierwszego było wypisane literami dostatecznie dużymi,

aby mógł je odczytać nawet przy swojej kiepskiej znajomości pisma z epoki króla Jakuba: *Tragedyja Maryi królowej szkockiej*.

Ręka trzymająca kartę drżała. Jak nazwała to Fanny? Najcenniejszym przedmiotem na planecie. Zwinął z powrotem kartki w rulon, włożył razem ze wstążką do tuby i schował ołowianą zaślepkę do kieszeni. Potem chwycił Rolly w objęcia, uściśnął ją z całej siły, zakręcił nią, wrzasnął jak obłąkany i przypieczętował wszystko całusem na jej ustach.

Kiedy już siedzieli w landroverze, Brown powiedział:

- Zakładam, że jest pan zadowolony? Że okrzyk, który pan wydał z siebie, był oznaką zwiąstwa, a nie szlochem kłeski?

- Tak, ziściły się nasze marzenia. Domyślam się, że porzuci pan ten samochód?

- Owszem, trochę dalej - odparł Brown. - Mam kilka innych, na wypadek gdyby coś nam zagrażało.

Skręcili w wąską uliczkę i tam czekał na nich znajomy mercedes, a przynajmniej podobny do tamtego, oraz anonimowy czarny furgon Forda z dwoma mężczyznami na przednim siedzeniu. Najwyraźniej żadne zagrożenie się nie pojawiło, bo dojechali na Biggin Hill bez jakichkolwiek incydentów. W vanie było przytulnie i Crosetti, który siedział z przodu, zaczął przysypiać. Trzymał ołowiany cylinder na kolanach. Brown nie pytał o znalezisko, nie chciał też zaglądać do środka. Po prostu przekazał oboje w macierzyńskie ręce pani Parr, kobiety o miłej twarzy, ich osobistej opiekunki, po czym sam usunął się dyskretnie w anonimowość.

Pani Parr zaprowadziła ich do poczekalni dla pasażerów i przyjrzawszy się Crosettiemu, zapytała, czy nie chciałby się trochę odświeżyć, na co odparł, że chętnie wzięłby prysznic i przebrał się, jeśli to możliwe oczywiście było to możliwe, bo cóż nie jest możliwe dla pasażerów prywatnych odrzutowców? A czy dałoby się załatwić dwie duże koperty i trochę taśmy? Kiedy dostarczono mu żądane przedmioty, Crosetti udał się do męskiej toalety, zabierając swoją torbę podróżną i najcenniejszy na całej planecie manuskrypt w ołowianym etui. Zamknął się w wyłożonym niebieskimi kafelkami pomieszczeniu, wyjął rękopis sztuki, włożył go

do jednej z kopert, zakleił i przyczepił taśmą pod podszewką swej sportowej sztruksowej marynarki, którą powiesił na haku za plastikową zasłoną. Potem rozebrał się i wziął prysznic, zdumiony niewiarygodną ilością mulistego osadu, który spływał z jego ciała. Cały czas się zastanawiał, dlaczego po prostu nie zostawił tego cholernego przedmiotu Carolyn i dlaczego na dobrą sprawę ukrył go przed nią.

Bo jej nie ufasz, padła odpowiedź Racjonalnego Alberta. Ale ja ją kocham i ona mnie kocha, odparł Al Kochliwy. Powiedziała mi to. Crosetti uświadamiał sobie jednak, że tym, co go w niej pociągało, była też jej absolutna nietypowość, niepodważalny fakt, że mogła zrobić dosłownie wszystko. Nawet w tej chwili nie mógł wykluczyć, że kiedy wyjdzie z toalety, już jej nie będzie, i że nigdy więcej nie zobaczy tej dziewczyny. Owa myśl spowodowała, że zaczął szybciej doprowadzać się do porządku. Pięć minut później, wciąż wilgotny, ale w marynarce, czarnych dżinsach i flanelowej koszuli, wrócił do poczekalni z torbą (w której znajdowała się ołowiana rura Bracegirdle'a) i z kopertą, wypchaną ulotkami reklamowymi dla turystów i zaklejoną taśmą. Carolyn siedziała w poczekalni. Ona też wzięła prysznic i przebrała się, a jej mokre włosy wydawały się ciemniejsze niż zwykle.

Usiadł obok niej.

- Jeszcze jeden lot - oznajmił - i koniec tej przygody.

- Mam nadzieję - odparła. - Nienawidzę przygód. Chciałabym być gdzieś, gdzie mogłabym codziennie widzieć znajome twarze i robić mniej więcej to samo.

- Oprawiać książki.

- Tak. Wiem, że dla ciebie to nudne. Wiem, że dla ciebie poważna sztuka to robienie filmów, a oprawianie książek to coś takiego jak... czy ja wiem... robienie swetrów na drutach. Nieważne. Tak będzie wyglądać moje życie. Postanowiłam wziąć dzieci i jechać do Niemiec, gdzie zamierzam studiować introligatorstwo; nie będę robić nic innego, tylko studiować introligatorstwo i oprawiać książki. To będzie moje ekscytujące życie.

- A ja co, przyjadę cię odwiedzić latem?

Odwróciła głowę i zamachała, jakby coś odpychając.

- Nie teraz, Crosetti. Chwilowo mam... dosyć. Czy nie moglibyśmy przez kilka godzin być razem i nie układać dalekosiężnych planów?

- Jasne, Carolyn. Jak sobie życzysz - odparł i pomyślał: - To jest to, co powinno być napisane na opakowaniu, gdyby nasz związek był produktem. Nie ZAWARTOŚĆ TRUJĄCA lub ŁATWOPALNA, tylko „JAK SOBIE ŻYCZYSZ”.

Odszedł na chwilę i zadzwonił do Nowego Jorku. Mishkin wysłuchał nowin, pogratulował i powiedział, że na lotnisku będzie czekał na nich samochód.

Tym razem lecieli samolotem Citation X, mniejszym i jeszcze zgrabniejszym niż gulfstream, przystosowanym do przewożenia sześciu pasażerów, z osobnym przedziałem z tyłu, gdzie znajdowały się dwa miejsca do spania. Zobaczywszy je, Crosetti już miał zasugerować, że mogliby oboje wstąpić do klubu podniebnych kochanków, ale się powstrzymał. Wyczuwał niedobre wibracje, jakie często emanowała Carolyn Rolly. Westchnął, zapiął pasy i sięgnął po szampana. Samolot za-ryczał, wbił pasażerów w siedzenia i wystrzelił w powietrze pod ostrym kątem. Crosetti poczuł, że Najcenniejszy Przedmiot na Planecie marszczy się mu na plecach. Koperta z manuskrypcem przynętą leżała na fotelu obok niego. Przejrzał jakieś czasopismo, a potem otulił się kocem aż po czubek głowy. Nie był to kocyk rozmiaru ręcznika, jakie rozdawano w komercyjnych liniach, ale gruby, porządny pled, niczym w najlepszych hotelach. Crosetti opuścił oparcie prawie poziomo i zapadł w kamienny sen.

Obudził go brzęk talerzy i sztućców i rozkoszna woń jedzenia. Stewardesa szykowała się do podania obiadu. Crosetti usiadł, podniósł oparcie i podążył wzrokiem na drugą stronę przejścia. Carolyn była w toalecie. Pomacał kopertę, którą zostawił na fotelu. Taśma była nietknięta, ale kiedy przyjrzał się bliżej, zauważył, że jeden z rogów został starannie rozcięty i zgrabnie zaklejony przez kogoś, dla kogo ani papier, ani klej nie miały sekretów. Powąchał brzeżek koperty i wyczuł nikłą woń acetonu. Wykorzystała zmywacz do paznokci, żeby rozpuścić klej, a potem zakleiła kopertę z powrotem, stwierdziwszy, że była tylko wabikiem. Zastanawiał się, co zrobiłaby z rękopisem i co sobie pomyślała, kiedy odkryła, że przygotował przynętę i zostawił ją na widoku. Kogo zamierzał oszukać, jeśli nie ją? Och, Carolyn!

Kiedy jednak wróciła, robił dobrą minę do złej gry. Zjedli obiad w napiętej, nieprzyjemnej atmosferze, po czym Carolyn wróciła na swój fotel. Crosetti obejrzał *Sokoła maltańskiego*, przypominając sobie coraz więcej dialogów, i gdy tak patrzył, zapragnął, żeby zapytała go, co to za film, i żeby mógł ją zaprosić do wspólnego oglądania, a wtedy przekonałby się, czy postać Brigid O'Shaughnessy poruszy jej sumienie. Obawiał się jednak, że gdyby jej to zaproponował, usłyszałby kolejną odmowę, doszedł więc do wniosku, że lepiej zostawić ją w spokoju.

No lotnisku Kennedy'ego przeszli razem przez odprawę celną i imigracyjną, a kiedy dotarli do hali przylotów, czekał tam na nich śniady mężczyzna z tablicą, na której było napisane Crosetti. Kiedy Carolyn go zobaczyła, dotknęła ramienia Crosettiego i powiedziała:

- A niech to, zapomniałam czegoś na cle.
- Czego, Carolyn? Miałaś tylko tę małą torbę.
- Czegoś, co kupiłam. Zaraz wracam.

Zniknęła w drzwiach. Crosetti podszedł do mężczyzny i przedstawił się, tamten zaś powiedział, że nazywa się Omar, że pracuje dla pana Mishkina i że szef polecił mu zawieźć pana Crosettiego i panią Rolly do swego domu. Czekali w kłębiącym się tłumie ludzi pół godziny, po czym Crosetti wrócił do terminalu, rozglądał się chwilę bez większej nadziei, aż w końcu się wycofał i odnalazł Omara. Wsiadli do samochodu i ruszyli wolno przez zatłoczone o tej porze ulice w stronę Manhattanu. Umysł Crosettiego nie pracował zbyt sprawnie: do oszołomienia spowodowanego zmianą stref czasowych doszło wyczerpanie fizyczne i emocjonalne. Mózg skurczył się do rozmiarów papki reagującej na bodźce i upłynęły dobre trzy kwadranse (limuzynę dzieliło teraz od Midtown Tunnel niepełna pół kilometra), nim Crosetti przypomniał sobie, że powinien zadzwonić do matki.

- A więc znalazłeś to, Albercie!
- Mamo, skąd...?
- Była tu twoja przyjaciółka i opowiedziała nam wszystko.
- Była?
- Tak. Przyjechała taksówką, przez dziesięć minut tuliła i ścisłała dzieci, a potem odjechała. Tą samą taksówką.

- Co takiego? Nie zabrała dzieci?
- Nie, powiedziała, że musi najpierw coś załatwić, i obiecała, że przyśle po maluchy w ciągu paru dni. Albercie, te dzieciaki są naprawdę miłe, ale mam nadzieję, że nie...
- Zapisiał numer tej taksówki? zapytał Crosetti.
- Oczywiście, że nie. A po co? Chciałbyś poprosić Patty, żeby nasłała na nią policję?
- Nie - skłamał bez przekonania.
- Owszem, chciałbyś, i powinieneś się tego wstydzić. To pachnie nagabywaniem. Dziewczyna jest czarująca, ale mogę się założyć, że chce żyć swoim życiem, a ciebie w nim nie ma.

Święta prawda, pomyślał, ale nie jest to coś, co człowiek chciałby usłyszeć od własnej matki.

Przerwał niegrzecznie rozmowę i do końca podróży usiłował już nie myśleć o Carolyn Rolly, ale mu się to nie udało.

Jeden z jego przyjaciół zrobił karierę, kręcąc reklamówki, i kupił sobie luksusowy loft w Soho. Ale daleko mu było do loftu Mishkina. Teraz Crosetti wspomniiał o tym swojemu gospodarzowi.

- Chyba powinienem iść na prawo oznajmił.
- Być może - odparł Mishkin. - Ale nie sądzę, żebyś był odpowiednio wyszczekany. Wydaje mi się, że jesteś na nieszczęście twórcą, który daje utrzymanie całej armii takich jak ja. A skoro mowa o twórcach: gdzie to masz?

Crosetti zdjął marynarkę i wyciągnął kopertę. Mishkin podszedł do długiego stołu i ostrożnie porozkładał kartki w dwóch rzędach, po jedenaście w każdym.

Przez chwilę patrzyli na nie w milczeniu. W końcu Mishkin zauważył:

- To naprawdę nadzwyczajne. Wygląda tak, jakby było napisane w zeszłym tygodniu.
- Były zapieczętowane w tym pojemniku - powiedział Crosetti i wyjął ołowiany cylinder z torby. - Ten walec nie przepuszcza powietrza i jest wodoszczelny, więc papier nie uległ rozkładowi, atrament też się nie utlenił. Bracegirdle wykonał dobrą robotę.

- Fakt. Kto wie, że znalazłeś tę sztukę?
- No cóż, jest trzech ludzi w Anglii, którzy wiedzą, że coś znaleźliśmy, ale nie wiedzą co, poza tym jeszcze ja i Carolyn, moja mama i pewnie Klim.

- A gdzie jest Carolyn?

- Nie wiem. Zniknęła na lotnisku, wpadła do domu mojej matki, żeby zobaczyć się z dziećmi, i pojechała nie wiadomo gdzie.

- Chryste! Dlaczego to zrobiła?

Crosetti zaczerpnął tchu. Teraz, kiedy miał to naprawdę powiedzieć, czuł, że słowa nie chcą mu przejść przez ściśnięte gardło.

- Myślę, że pojechała do Szwanowa, żeby go poinformować o naszym odkryciu.

- Do Szwanowa? Co ona, do diabła, ma wspólnego ze Szwanowem?

Crosetti powtórzył mu w skrócie, co mówiła Carolyn w hotelu w Oksfordzie tamtej nocy, kiedy rzucała w jego okno kamykami.

Mishkin wyglądał na zaszokowanego.

- A więc chcesz powiedzieć, że była cały czas agentką Szwanowa?

- Poniekąd, choć sądzę, że Carolyn pracuje przede wszystkim na swoje konto. Ale wyczuwam też między nimi pewien związek.

- Podobny do waszego, jak przypuszczam?

- Tak. Myślałem, że jesteście sobie bardzo bliscy, ale kto wie? Czy masz jakieś wiadomości o swoich dzieciach?

- Nie. Dali mi numer, żebym zadzwonił, kiedy już będę miał to, czego chcą.

- I co już masz. Skontaktujesz się z nimi? Oczywiście Szwanow dowie się wszystkiego bardzo szybko, o ile już się nie dowiedział.

- Owszem, ale nie jestem pewien, czy to Szwanow uprowadził dzieci.

- A kto inny mógłby to zrobić?

- Jak już mówiłem: nie wiem, ale przez pewien czas mi się wydawało, że są w to zamieszani jeszcze inni gracze.

Mishkin sięgnął po stronę tytułową i wpatrywał się w nią przez chwilę tak, jakby umiejętność odczytania tego dziwnego odręcznego pisma mogła wraz z nim przeniknąć do jego głowy.

- Nie wyglądasz na bardzo przejętego - zauważył Crosetti.

- Ach, przejmuję się. Jestem po prostu spokojny. Spojrzał na Crosettiego. Pewnie nie uważasz mnie za dobrego ojca. Zgadzasz się: nie jestem dobrym ojcem. Nie zostałem do tego przygotowany przez własnego, co, jak uważam, jest niezbędne. A jak z tobą, Crosetti? Miałeś dobrego ojca?

- O tak! Uważałem go za najwspanialszego faceta na świecie.

- Szczęściarz z ciebie. Rozumiem, że nie żyje?

- Nie żyje. Wraciał samochodem z pracy i zobaczył dwóch policjantów ścigających jakiegoś śmiecia. Wsiadł z samochodu, przyłączył się do pościgu i dostał wylewu. Zmarł w drodze do szpitala. Miałem dwanaście lat.

- No tak. Cóż, chyba najwyższa pora zakończyć interesy. Nie rozmawialiśmy jeszcze o zapłacie za twój czas. Na ile go wyceniasz?

Crosetti zapragnął nagle uciec jak najdalej od tego człowieka i od całej zawiłej intrygi, którą on uosabiał. Nie mógł się powstrzymać od refleksji, że Carolyn miała rację, mówiąc o ekscytującym życiu. Właściwą kwestią filmową byłoby tu: „Nie jesteś mi nic winien”, potem należało wyjść, trzasnąwszy drzwiami. Ale w realnym życiu Crosetti powiedział tylko:

- Co powiesz na dziesięć tysięcy teraz i czterdzieści, kiedy potwierdzą autentyczność?

Mishkin skinał głową.

- Wyślę ci czek.

Pada teraz śnieg, mokry i ciężki, jaki zdarza się na północnym wschodzie, gdzie jest dostatecznie zimno, żeby deszcz zamieniał się w białe płatki. Znowu siedzę przy klawiaturze po orzeźwiającej przejażdżce na mrozie. Wcześniej zajrzałem do hangaru i obejrzałem stary mahoniowy ślizgacz pięciometrową łódź Chris-Craft Deluxe Runabout z 1947 roku, z silnikiem o mocy dziewięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych. Wygląda na to, że jest w doskonałym stanie. Napełniłem zbiornik paliwem z dwustupięćdziesięciolitrowej beczki za pomocą pompy ręcznej. Kluczyk był w stacyjce, przekręciłem go. Silnik zakrzuszył się, ale po chwili zaryczał pięknie, napełniając hangar chmurą gryzącego błękitnego dymu. Następnie wetknąłem pistolet pod poduszkę przedniego siedzenia. Czy mam jakiś plan? Właściwie nie. Przygotowuję się na wszelkie ewentualności. Jeśli człowiek spodziewa się wizyty kilku uzbrojonych mężczyzn i sam także ma broń, może albo zacząć strzelać, jak tylko się pojawią, bo inaczej najpewniej go rozbiją, albo schować ją z nadzieją, że w razie potrzeby będzie jej mógł dobyć. Nie jestem przygotowany do wymiany ognia z nieznaną liczbą napastników. Zastanawiam się, czy śnieg pomiesza szyki moim gościom.

A wracając do tej relacji (a spodziewam się, że zmierza ona do zakończenia, w miarę jak czas przeszły śpieszy na spotkanie czasowi teraźniejszemu): po mojej rozmowie z Crosettim w Zurychu kilka dni upłynęło na oczekiwaniu. Był to okres martwoty, nie miałem się czym zająć. Naprawdę nie pamiętam, co robiłem oprócz tego, że dzwoniłem do Amalie kilka razy dziennie, aby zapewnić ją, że wszystko idzie dobrze, i dowiedzieć się przy okazji, czy miała telefon od porywaczy. Owszem, miała. Co rano przychodziło emailem nagranie wideo, ukazujące najwyraźniej odprężonych Niko i Imogen, przy czym moja córka uśmiechała się, jakby szykowała jakąś niespodziankę. Za każdym razem trzymali aktualną gazetę, a komunikat, który oboje wygłaszali, brzmiał zawsze tak samo: „Cześć, mamo, jesteśmy zdrowi, nie martw się, do szybkiego zobaczenia”. Ściemnienie. Żadnych ostrzeżeń, żadnych gróźb, żadnych wskazówek co do tego, gdzie byli przetrzymywani i przez kogo. Poza tym nie mieliśmy z Amalie o czym rozmawiać i myślę, że oboje z ulgą odkładaliśmy słuchawki.

Potem ten telefon od Crosettiego, że znaleźli to, czego szukali, i kolejny dzień czekania. Zostawiłem co najmniej sześć wiadomości mojemu bratu i siostrze. Siostra nie odpowiadała, lecz brat zatelefonował tej samej nocy.

Zapytałem go, skąd dzwoni; odpowiedział, że jest w Zurychu z Amalie, i zaznajomił mnie z nowymi szczegółami swojego planu. Powiedział, że rano dostanę pocztą lotniczą paczkę i że będzie w niej to, czego potrzebuję, a ja zapytałem go jeszcze raz, czy zidentyfikował innych uczestników tej gry, tych, którzy stali za Szwanowem. Odparł, że nie, ale ma przecucie, że byli oni powiązani z ludźmi, którzy dokonali największych przekrętów na europejskim rynku dzieł sztuki. Nie chodziło o takich, którzy kradli, żeby sprzedać lub wymusić okup, ale o takich, którzy dostarczali bardzo bogatym, niemoralnym ludziom obrazy Tycjana lub Rembrandta, by ci mogli je potem kontemplować w zaciszu domowym. Odrzekłem, że moim zdaniem tacy ludzie zostali stworzeni przez autorów marnych powieści sensacyjnych, a on zapewnił mnie, że jednak istnieją, że w aferę zaangażowane były z całą pewnością złowrogie siły i że jego plan był jedynym sposobem, jaki zdołał wymyślić, aby wyzwolić nas z ich szponów. Czuję, że coś przede mną ukrywa, ale nie umiałem skłonić go do tego, by się odkrył. Może to sprawa mojego wrodzonego paranoicznego respektu dla rodziny.

Następnego dnia przysłała kurierem paczka od Paula, a nieco później zadzwonił z lotniska Omar i zawiadomił mnie, że Crosetti wysiadł z samolotu. Po godzinie zjawił się w moim lofcie i wręczył mi kopertę. Oczywiście poinstruowałem wcześniej Omara, który był uzbrojony, żeby pilnował tego człowieka jak oka w głowie, ale mimo wszystko... Nie jestem pewien, czy sam potrafiłbym to zrobić, to znaczy oddać komuś rzecz wartą w jego przekonaniu co najmniej dziesiątki milionów, o nieustalanej własności, tylko po to, aby ratować dwoje dzieci, które ledwie znał. Przyzwoity człowiek, to jasne, i wyrzut sumienia dla wszystkich ludzi mojego pokroju; sądzą, że źle to o mnie świadczy, iż nie mogłem go polubić. Jak wielu mu podobnych miał też w sobie coś z frajera - ta Carolyn Rolly musiała mu dać nieźle do wiwatu i wcale nie zaskoczyła mnie wiadomość, że była, i to od dawna, agentką Szwanowa. Miałem ochotę zapytać Crosettiego, czy słyszał coś o Mirandzie, ale uznałem, że im mniej ludzi będzie wiedzieć o moim niesłabnącym zainteresowaniu jej osobą, tym lepiej. On również dał mi wyraźnie do zrozumienia, jakie żywi względem mnie uczucia, i szybko sfinalizowaliśmy interes.

Wkrótce po jego wyjściu zadzwonił telefon był to Szwanow. Pogratulował mi odnalezienia wielkiego skarbu kultury światowej i zapowiedział, że zjawi się niebawem, aby go ode mnie odebrać. Zapytałem go o swoje uprowadzone dzieci. Najpierw długa cisza, a potem:

- Jake, wciąż oskarżasz mnie o uprowadzanie ludzi z twojego otoczenia, a ja powiedziałem ci uczciwie, że nie robię takich rzeczy. To zaczyna być nudne, wiesz?

- Niemniej jednak sam rozumiesz, Osip, że nie będę mógł ci oddać rękopisu, skoro porywacze żądają go w zamian za uwolnienie dzieci. Jeśli sam ich nie przetrzymujesz.

- Wierz mi, Jake, żal mi ciebie i z radością bym ci pomógł w każdy możliwy sposób, ale to nie ma nic wspólnego z naszymi interesami. Rękopis został zlokalizowany dzięki informacjom pochodzącym od profesora Bulstrode'a, a te informacje są moją własnością, zatem i manuskrypt należy do mnie.

- Myślę, że miałbyś wielkie trudności, by dowieść tego przed sądem.

Kolejna długa pauza, a potem, głosem cichszym o kilka decybeli, pałdo pytanie:

- Zamierzasz mnie pozwać, Jake? - Tu rozległ się ponury śmiech. - Może to ja powinienem pozwać ciebie.
- Cóż, mamy w tym kraju rządy prawa, a przynajmniej mieliśmy. W odróżnieniu od twojej ojczyzny. Tak czy inaczej nie...
- Posłuchaj mnie, Jake: zrobisz to. Dasz mi ten rękopis.
- Bo co? Uciekniesz się do skutecznej perswazji?
- Nie - powiedział Szwanow tak cicho, że musiałem wyteńczyć słuch.
- Wierzę, że załatwimy to metodą pokojową.

Po tej niezadowolającej rozmowie nie bardzo wiedziałem, co mam dalej robić. Myślę, że w pewien sposób cofnąłem się do dni, które nastąpiły po samobójstwie matki, kiedy byłem zupełnie sam; główna różnica polegała na tym, że teraz miałem mnóstwo pieniędzy. Mówi się, że miłość pomaga przetrwać czas bez pieniędzy lepiej, niż pieniądze pomagają przetrwać czas bez miłości, ale, jak się przekonałem, jest to tylko częściowo prawda. Poprosiłem Omara, żeby przyszedł ze swoim małym pistoletem maszynowym, i postawiłem go na straży manuskryptu. Omar uwielbia takie sytuacje i zna mnóstwo chwytów taktycznych, które pozwalają ocenić, jak różni uczestnicy spisku się ujawniają, i potrafi przekazać te spostrzeżenia za pomocą dyskretnych sygnałów. Potem poszedłem na spacer, zamierzałem też wstąpić na drinka i lunch do baru na Broadwayu, do którego często zaglądam. Samotna przechadzka zawsze przejaśnia mi w głowie.

Chociaż dolna część Manhattanu stała się ostatnio gwarnym zbiorowiskiem butików, można jeszcze, zwłaszcza w dzień powszedni i przy kiepskiej pogodzie, przejść się samotnie po ulicach. Poszedłem na wschód i zmierzałem w stronę Franklin, kiedy minęła mnie jedna z tych okropnych długich białych limuzyn z przyciemnionymi szybami. Parę metrów dalej podjechała do krawężnika i zatrzymała się tuż obok. Drzwi otworzyły się z impetem i z cadillaca wysiadł rostry mężczyzna, który z kolei otworzył drzwi z tyłu, po czym zaprosił mnie do środka. Chciałem go obejść, ale przesuając się nieznacznie, zagroził mi drogę, wyciągnął z bocznej kieszeni skórzanego szoferskiego płaszczka półautomatyczną dwudziestkę dwójkę i wykonał bardziej zdecydowany ruch. Mój brat mówi, że należy zawsze uważać na ludzi, którzy noszą pistolety tego typu, ponieważ ta mała

broń jest także reklamą możliwości jej posiadacza; może on strzelić bardzo celnie, na przykład w oko, jeśli zajdzie taka potrzeba, może ci też odstrzelić duży palec u nogi, jeśli nie zrobisz tego, co każe. Mężczyzna miał inteligentną twarz i wyglądał jak nieco znudzony, lecz sprawny odzwierny. Miał też duże i bezlitosne piwne oczy foki. Od razu wyczułem, że mam do czynienia z bandziorem wyższej kategorii niż dotąd. Wsiadłem do samochodu.

Limuzyny tego typu mogą być różnie wyposażone, ale ta odznaczała się typowym układem wnętrza. Było tam oczywiście siedzenie kierowcy, a za nim dwie zwykłe ławeczki dla mniej ważnych pasażerów; siedzieli na nich dwaj opaleni, starannie ostrzyżeni osobnicy z typowym gangsterskim wyrazem zarozumiałej złośliwości na twarzach. Z tyłu, gdzie zamontowano drzwi tylko od strony chodnika, znajdowało się coś w rodzaju półokrągłej, obitej skórą kanapy, z barkiem, aparaturą stereo i telewizorem, usytuowanymi tak, aby ważna figura miała wszystko pod ręką. Wsiadłem ten z pistoletem wsunął się za mną i znalazłem się naprzeciwko ważnej figury.

- Gdzie one są? - spytałem.

- Piękne przywitanie z rodzonym ojcem powiedział. - Gdzie one są? A może „jak się masz, tato, miło cię widzieć”?

- Uprowadziłeś moje dzieci, swoje własne wnuki, i oczekujesz synowskiej serdeczności?

Skrzywił się z niesmakiem i wykonał dobrze mi znany lekceważący gest.

- O jakim uprowadzeniu mówisz? Jestem ich dziadkiem, czy nie mogę zabrać wnuków na małą wycieczkę?

- Nie mówiąc słowa rodzicom?

- Wysyłałem matce codziennie nagranie wideo. Widziałaś dzieci? Wyglądały, kurwa, na uprowadzone? Wierz mi, to najpiękniejsze dni w ich życiu.

Ach, wszystko powróciło w ułamku sekundy; siedziałem z rozdzieloną gębą, sfrustrowany, tak jak mi się zdarzało, gdy byłem chłopcem i słuchałem jego argumentów i usprawiedliwień, które z taką łatwością przedstawiał. Sama struktura rzeczywistości ustępowała przed tym potokiem słów i zawsze kończyło się na tym, że to my, jego żona i dzieci, byliśmy w błędzie. Przywoici ludzie mają prawo uważać mnie na podstawie tych zapisków za pozbawionego sumienia, samolubnego

sukinsyna, ale w tej chwili przede mną siedział mój mistrz. Pod tym względem nie byłem godny wiązać mu butów. Życie egoisty doskonałego wyraźnie mu jednak służyło; mając osiemdziesiątkę, wyglądał o dziesięć lat młodziej. Miał implanty, naciągniętą skórę wokół oczu i tę sztuczną opaleniznę, jaką widuje się u bogatych starych facetów. Robił wrażenie dostatecznie silnego, żeby przeżyć jeszcze co najmniej dziesięć kolejnych lat w absolutnym zepsuciu.

- A więc gdzie spędzają ten miły wieczór? - zapytałem głosem, który z trudem rozpoznawałem. Gardło miałem ściśnięte, serce waliło mi jak młotem, w oczach pociemniało. Słyszałem zgrzytanie własnych zębów. Gdybym się nie bał, że przestrzelą mi łokieć, z miejsca rozwalilibym mu łeb.

- Są w mieszkaniu mojego przyjaciela na East Side. Jest z nimi Miriam.

Oczywiście. To dlatego tak bystre miejskie dziecko jak Imogen wsiadło w Zurychu bez oporu do nieznanego sobie samochodu: w środku nie siedział nikt obcy, tylko ukochana cioteczka Miri.

- W takim razie chciałbym się z nimi zobaczyć oznajmiłem.

- Oczywiście. Weźmiesz z domu manuskrypt, pojedziemy na East Side, zobaczysz się z dziećmi, wszystko będzie okay.

- A jeśli tego nie zrobię, to co? Skończą się najpiękniejsze dni w ich życiu? Zaczniecie je ciąć po kawałku?

Westchnął teatralnie i powiedział coś w języku, którego nie znam, po hebrajsku, jak przypuszczam. Gangsterzy parsknęli śmiechem.

- Nie bądź głupi - zwrócił się do mnie. - Nie zamierzam nikogo skrzywdzić. Ale oddasz mi ten rękopis i dobrze o tym wiesz, więc po co te pieprzone komedie?

- A co ze Szwanowem? On uważa, że manuskrypt należy do niego. Znów ten lekceważący gest.

- Szwanow to palant. Drobnym lichwiarz z pieprzoną manią wielkości. Misza, jedźmy - rzucił podniesionym głosem do kierowcy.

Samochód ruszył gładko z miejsca.

- Dokąd się wybieramy? - zapytałem.

- Do ciebie, po rękopis. A co myślałeś?

- Nie - odparłem zdecydowanie.

- Nie? Jak to „nie”?
- Po prostu nie. Dlaczego miałbym ci go dawać? I jak, do cholery, wplątałeś się w całą tę aferę?

Przewrócił oczami i splótłszy ręce na brzuchu, opadł na miękkie oparcie. Jego czarne oczy (moje!) patrzyły na mnie z rozbawieniem pomieszanym z pogardą; pamiętałem to spojrzenie z dzieciństwa.

- Twój problem, Jake, polega na tym, że masz moją gębę i mózdzek matki. To nie jest dobre połączenie.

- Pierdol się!

- No właśnie, siedzisz w samochodzie z trzema facetami, dla których wycisnąć ci kciukami oczy to tyle, co podłubać w nosie, i pozwalasz sobie na taki język? W stosunku do mnie? Jesteś moim synem, więc nie wpadnę w szal, tylko wyjaśnię ci sytuację. Okay, mieszkam w Tel Awiwie, jestem właściwie na emeryturze, ale jeszcze prowadzę pewne interesy, jest sporo spraw, do których mogę się włączyć, i mam mnóstwo znajomości. Otóż ten Szwanow był trzy, cztery miesiące temu w Izraelu. Przechwalał się i wspominał coś o bezcennym, epokowym znalezisku, ale nie chciał powiedzieć, co to takiego. Można było przypuszczać, że chodzi o złoto albo o jakieś dzieło sztuki, bo rozmawiał o tym z ludźmi, którzy zajmują się takimi rzeczami. Zaciekawiał mnie, więc kiedy spotkałem się z Miriam, zapytałem ją, co też kombinuje jej kumpel Osip, a wtedy opowiedziała mi o nim, o profesorze Bulstrodzie i o manuskrypcie Szekspira. Oczywiście w tym czasie Bulstrode już nie żył, a dlaczego, nigdy nie doszedłem...

- Szwanow sądził, że Bulstrode przywiózł rękopis z Anglii i że chce go wystawić na sprzedaż.

- No właśnie, w tym cały szkopuł, Szwanow jest w gorącej wodzie kąpany, nie przemyśli sprawy, tylko idzie i zabija faceta, który jest najlepszym źródłem informacji. Miriam powiedziała mi, że jesteś w to zamieszany, masz papiery, w których są wskazówki, gdzie znajduje się rękopis, więc pogadałem z paroma ludźmi i założyliśmy mały syndykat, zaczęliśmy obserwować ciebie i Szwanowa, żeby się zorientować, czy możemy na tym położyć łapę. A wtedy okazało się, że ty i ten makaroniarz, jak mu tam...

- Crosetti.

- No właśnie że wy dwaj jesteście na najlepszej drodze do znalezienia tego rękopisu, więc zaczęliśmy was śledzić...

- A więc to twoi podwładni, nie Szwanowa, napadli mnie przed moim domem i wtargnęli do mieszkania Crosettiego, w związku z czym musiałem zabić dwóch ludzi?

Wzruszył ramionami.

- Zorganizował to ktoś związany z syndykatem i muszę powiedzieć, że jak się człowiek zadaje z byle kim, to dostaje byle co. To pieprzone miasto jest pełne ruskich partaczy, którzy nie odróżniają dupy od dziury w ziemi. Moi chłopcy to całkiem inna klasa, mówię to na wypadek, gdyby coś ci strzeliło do głowy.

- Ale wcześniej nasłałeś kogoś, kto udawał siostrzenicę Bulstrode'a, i ta kobieta ukradła rękopis, który przyniósł mi profesor.

- Nie wiem, kurwa, o czym mówisz.

Przyjrzałem mu się uważnie: nie ma lepszego łgarza od Izzy'ego, ale wyraz zaskoczenia na jego twarzy wydawał się autentyczny.

- Mniejsza z tym - powiedziałem. - I to ludzie z twojego gangu jeździli za nami po Europie?

- Nie stoję na czele żadnego gangu, Jake. „Izzy Buchalter”, nie pamiętasz? Nie mam nic wspólnego z bandyckimi numerami, nigdy nie miałem i nie będę miał.

- A więc kim są ci spece od wylupiania oczu, którzy siedzą w tym samochodzie?

- Pracują dla ludzi, których nazwisk nie musisz znać. Dla ludzi w Izraelu i w Europie - mówiłem ci, że to syndykat. - Szwanow zaproponował prosty układ. Jeśli zdobędzie ten manuskrypt, upewnimy się co do jego autentyczności Szwanow ma faceta, który może to zbadać i zgodnie z umową odkupimy go od niego. Zażądał dziesięciu milionów, rzecz jest warta jakieś sto, może sto pięćdziesiąt, zresztą kto wie?

- Ale teraz próbujecie to przechwycić bez Szwanowa, co?

- Oho, zapaliła się lampka. Oczywiście, że próbujemy, jeśli da się to przeprowadzić. Dziesięć milionów to dziesięć milionów; czemu mamy je dawać temu frajerowi?

- A więc dlaczego wysłali ciebie? Myślałem, że jesteś ponad to i że nie parasz się takimi rzeczami.

- Jeśli w grę wchodzi coś, co może być warte sto pięćdziesiąt milionów, to chcę, żeby się tym zajął ktoś uczciwy.

- Ty, uczciwy?

Znów teatralne westchnienie, jego specjalność.

- Tak, ja. Powiedz mi, doradco, czy kiedyś przyszło ci, kurwa, do głowy, jak to się stało, że jeszcze żyję? Powiem ci dlaczego. Bo siedzę w tym biznesie prawie sześćdziesiąt lat i obracam miliardami dolarów, prawie wszystko w nieodnotowanej nigdzie gotówce, i ani razu nie skubnąłem nawet centa. Jeśli „Izzy Buchalter” mówi, że kasa się zgadza, to kasa się zgadza. Jeśli mówi, że nie, chłopaki dostają wycisk. Tak to wygląda w biznesie pełnym drani, którzy gotowi są poderznąć ci gardło za parę butów. Więc nie patrz na mnie z góry!

- Ach, przepraszam najmocniej, masz nienaganną opinię u mętów. Porzuciłeś rodzinę, ty bydlaku.

- Och, a ty nie? Wiesz, na czym polega różnica? Ty zrobiłeś to dlatego, że nie mogłeś przestać się uganiać za dupami, a ja żeby nie odsiadywać dwudziestu lat w Sing-Singu. Byłbyś zadowolony, gdybym wylądował w pierdlu? Jak, do cholery, mógłbym was utrzymywać?

- Nie utrzymywałeś nas.

- Nie? Czy byłeś kiedyś głodny, nie miałeś dachu nad głową, ciepłego łóżka, brakowało ci zabawek, nie miałeś się w co ubrać? Myślisz, że to matka utrzymywała was troje ze swojej pensji, machając ścierką w szpitalu?

- Nie machała ścierką. Była administratorką.

- Gówno prawda. Ledwie mogła przeczytać „Daily News”. I ty, kurwa, myślisz, że dałaby sobie radę z dokumentacją medyczną? Posłuchaj, wysyłałem wam wszystkim trojgu listy z pieniędzmi na każde urodziny, na każde święta Bożego Narodzenia i zawsze wracały z adnotacją „adresat nieznanym”, wypisaną jej charakterem. I bez pieniędzy. Otwierała je nad parą, wyjmowała forsy i odsyłała listy. Pieprz się, Izzy!

- Nie wierzę ci - powiedziałem, czując, jak żołądek mi się skręca i żółć podchodzi do gardła.

- Więc idź do diabła i chowaj urazę do końca życia. No, jesteśmy na miejscu. Ludzie mieszkają teraz w fabrykach, nie mogą w to uwierzyć. Wał na górę, przynieś ten pieprzony rękopis, a potem, aj-waj, nie będziesz musiał oglądać mojej twarzy do końca życia. Eli, idź z nim, dopilnuj, żeby się nie potknął na schodach.

Kiedy wysiadłem z limuzyny, byłem tak wściekły, że czułem słabość w kolanach i się zataczałem. Musiałem na chwilę oprzeć się o drzwi frontowe i ręce mi drżały, gdy wkładałem klucz do dziurki. Wszedłem do budynku; pan „dwudziest-kadwójka” podążał za mną w dyskretnej odległości, na tyle jednak blisko, by móc wpakować mi parę kulek, gdybym próbował jakichś numerów. Kiedy doszedłem do drzwi swojego mieszkania, dostałem gwałtownego ataku kaszlu.

- Przepraszam - zwróciłem się do Eliego. - Cierpię na astmę, zwłaszcza kiedy jestem zdenerwowany.

Skinął obojętnie głową i wskazał zamek. Otworzyłem drzwi i wszedłem, a gangster za mną, nadal zachowując dystans i w tym momencie otrzymał potężny cios sztangą w głowę. Omar przyczaił się tuż za progiem. Symulowany atak kaszlu był jednym z naszych umówionych sygnałów.

- Co to za jeden? - zapytał Omar.

- Izraelczyk - odparłem z sadystyczną satysfakcją i musiałem go powstrzymać przed połamaniem tamtemu żeber obcasem.

Omar wiązał i knebłował faceta taśmą, a ja podszedłem do szafki na akta i wyjąłem z niej manuskrypt Szekspira, laptop, kurierską przesyłkę od Paula i swój niemiecki pistolet.

- Co robimy, szefie? - zapytał Omar.

Nie miałem pojęcia, ale rzucenie wyzwania Izzy'emu, nawet jeśli chodziło tylko o sfalszowany tekst, wydawało mi się teraz sprawą zasadniczą i po rewelacjach kilku ostatnich minut obmyśliłem błyskawicznie plan, który nie miał nic wspólnego z żadnym członkiem mojej rodziny.

- Na dach - powiedziałem.

Jedną z osobliwości tej części miasta jest to, że kiedy człowiek dostanie się na dach jakiegokolwiek domu, może przejść wzdłuż całej ulicy, przeskakując przez niskie murki, a potem zejść na chodnik po schodach ewakuacyjnych, których jest

mnóstwo przy tych pofabrycznych budynkach. Wiedzą o tym także włamywacze, więc włązy prowadzące na dach zaopatrzone są w alarmy, ale ponieważ jest to Nowy Jork, nikt nie zwraca na nic uwagi.

Pognaliśmy przez dachy i zeszliliśmy na Varick Street, gdzie nie można nas było dostrzec z limuzyny ojca. Stąd łatwo dostałem się do garażu, gdzie stał lincoln. Już z samochodu zadzwoniłem do Mickeya Haasa.

- Żartujesz! - zawołał, gdy oznajmiłem mu, co mam. - Zapewniłem go, że to prawda, opowiedziałem mu też to i owo o ostatnich analizach kryptologicznych i o przygodach Carolyn i Alberta w Warwickshire.

- Chryste Panie! Mówisz, że odzyskałeś te wszystkie szpiegowskie listy?

- Tak, ale to długa historia.

- O Boże, aż mi się zakręciło w głowie! Jake, musisz natychmiast przyjechać na uczelnię. Nie mogę w to uwierzyć trzymasz autentyczny rękopis nieznanej sztuki Szekspira w swoich cholernych łapach!

- Mówiąc ściślej, na kolanach. Ale jest pewien szkopuł, Mickey. Pamiętasz tych gangsterów, o których rozmawialiśmy? Ścigają mnie, a szefem jednego z tych gangów jest mój ojciec.

- Przyjedź tu, Jake, naprawdę, wal prosto do mnie...

- Mickey, w ogóle nie słuchasz. Ci ludzie depczą mi po piętach i od razu się zorientują, że pewnie będę chciał pokazać ci manuskrypt, a wtedy zjawią się i zabiją nas obu. I zabiorą rękopis.

- Ale przecież to jest Hamilton Hall, biały dzień. Możemy po prostu wyjść i przekazać go do depozytu w...

- Człowieku, ty nic nie rozumiesz. Posłuchaj mnie! To bezzwzględni ludzie, którzy dysponują prawie nieograniczonymi środkami. Bez wahania wybiją do nogi cały Hamilton Hall, żeby tylko dorwać ten rękopis.

- Chyba żartujesz...

- Wciąż to powtarzasz, ale mówię prawdę. Od teraz do chwili, w której ogłosisz istnienie tego manuskryptu i jego autentyczność, jesteśmy bezbronni wobec tych ludzi.

W każdym razie mówiłem coś w tym stylu. Pamiętam, że Mickey okropnie wrzeszczał do słuchawki, kłął i darł się, bo nie mógł od razu zobaczyć tych papierów.

Był to niezły popis, o jaki bym go nigdy nie podejrzewał. Uważałem, że jeśli chodzi o nas dwóch, to raczej ja jestem aktorem. Przedstawiłem mu mój plan: skombinuję wóz z napędem na cztery koła i pojedę do jego wiejskiego domu nad jeziorem Henry. Byłem tam już nieraz, wiedziałem, jak dojechać i gdzie są schowane klucze. Po pewnym czasie, może za parę dni, on przyjedzie do mnie i rzuci okiem na cały materiał, na szpiegowskie listy w moim laptopie i na manuskrypt, i wyda opinię, a także pobierze próbkę atramentu i papieru do przetestowania w laboratorium. Kiedy już to zrobimy i rzecz okaże się autentyką, pojedziemy do jakiegoś neutralnego miasta, może do Bostonu, i zwołamy konferencję prasową. Mickey się zgodził, jak zresztą przewidywałem. Zanim skończyliśmy rozmowę, kazałem mu przysiąc na Szekspira, że nie powie absolutnie nikomu, gdzie jestem i jakie mamy plany. Gdy tylko się rozłączyłem, zadzwoniłem do wypożyczalni samochodów na Broadwayu przy Waverly i zamówiłem cadillaca escalade, o którym już wspomniałem. Niespełna godzinę później mknąłem przez Henry Hudson swoim wygodnym pod ręcznym czółgiem.

No i teraz jestem tu, gdzie jestem. Pora chyba na podsumowanie, ale co mogłoby nim być? W odróżnieniu od Dicka Bracegirdle'a jestem nowoczesnym człowiekiem, a zatem dalszym niż on od prawdy moralnej. Wciąż odtwarzam sobie w pamięci rozmowę z ojcem. Czy to, co powiedział, mogło być prawdą? Kogo mógłbym o to zapytać? Nie swoje rodzeństwo. Miriam nie umiałaby mi powiedzieć prawdy, choćbym ją ugryzł w ten jej tyłek po liposukcji, a Paul... Paul, jak przypuszczam, uważa, że z racji swego zawodu ma obowiązek działania na rzecz prawdy, ale jest także w służbie Prawdy Wyższej, a tacy ludzie są często skłonni łączyć jak psy, kiedy jej bronią. A jeśli myliłem się całkowicie co do swojej przeszłości? Jeśli jestem kimś w rodzaju fikcyjnej postaci, karmionej kłamstwami w interesie innych albo całkiem bezinteresownie, dla czystej, sadystycznej przyjemności? To, że byłem teraz sam, bezużyteczny w sensie społecznym, wzmagало jeszcze to poczucie nierzeczywistości, a może wręcz rodzącego się szaleństwa. Być może zaczną się halucynacje, czymkolwiek są. Choć wrażenie, że popada się w obłąd, świadczy prawdopodobnie o tym, że nic takiego nie ma miejsca. Jeśli człowiekowi naprawdę grozi szaleństwo, wszystko wydaje mu się niezwykle sensowne i logiczne.

Co jest zatem fundamentem rzeczywistości, kiedy człowiek zakłada fałszerstwo pamięci? Rozważając tę kwestię, musiałem pomyśleć o Amalie. O ile wiem, ona nigdy w życiu nie dopuściła się poważnego kłamstwa. To znaczy uważam, że potrafiłaby skłamać, gdyby chodziło o uratowanie kogoś, na przykład człowieka ukrywającego się przed gestapo, ale nie w innym wypadku. Okazuje się jednak, że jeśli konsekwentnie kogoś okłamujesz, to jest on niejako zmuszony wycofać się z funkcji tworzenia twojej rzeczywistości, jak ślimak chowający rogi, i wtedy poruszasz się po omacku w gęstej i mętnej mgłę fikcji. Nie jest to z jego strony intencjonalne, to tylko pewien aspekt fizyczności moralnego kosmosu. I tak, błędząc w ten sposób, nie tworzę nic więcej, jak tylko dalszą fikcję. Jestem prawnikiem, a kimże jest prawnik, jeśli nie najemnikiem wynajętym po to, by tworzyć fikcyjne konstrukcje, które będą potem w sądzie konfrontowane przez sędziego lub ławę przysięgłych z inną fikcyjną konstrukcją, przedstawioną przez adwokata strony przeciwnej, i to oni zdecydują, który z tych fikcyjnych twórców bardziej przypomina fikcyjny obraz świata wytworzony w ich mózgach, i opowiedzą się po określonej stronie, by sprawiedliwości stało się zadość. A w życiu prywatnym nadal będę wymyślał ludzi, by mogli grać w niekończącej się powieści mojego życia. Na przykład Mirandę jako Idealną Partnerkę (a Bóg mi świadkiem, że wciąż o niej myślę, wciąż pożądam tego fantazmatu) i Mickeya Haasa jako Najlepszego Przyjaciela.

W połowie tego żalostnego bredzenia zadzwoniła siostra. Odbiór jest tu całkiem dobry, gdyż niedaleko znajduje się maszt, tak sprytnie pomalowany, że wygląda jak pień sosny. Oto jak załamał się plan. Ojciec ulokował ją razem z moimi dziećmi w jemu tylko znanym mieszkaniu i co zrobiła? Ano wybrała się stamtąd do swojego domu na Sutton Place, żeby wziąć trochę ciuchów i innych rzeczy, może botoksu, no i zabrała ze sobą dzieci, bo były już znudzone siedzeniem w jednym miejscu. Nie trzeba chyba mówić, że czekało tam na nią paru ludzi Szwanowa, którzy schwyтали dzieci. Tym samym na wpół fikcyjne uprowadzenie zamieniło się w rzeczywiste. Wszystko to rozegrało się tego dnia wczesnym rankiem; po paru godzinach kobieta, która u niej sprząta, znalazła ją związaną. Moja siostra nie jest naprawdę taka głupia, ale lubi sprawiać takie wrażenie.

Nie spodziewałem się podobnego obrotu sprawy. Ale byłem i jestem nadal pewien, że natychmiast pojawią się różni uczestnicy afery „Bracegirdle”. Przybędzie Mickey, by sfinalizować ostatni etap swojego cudownego szachrajstwa, ale nie przybędzie sam. Próbuję dla porządku przypomnieć sobie, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że to właśnie Mickey był owym *tertium quid*, o którym rozmawialiśmy, łącznikiem pomiędzy Bulstrode'em i Szwanowem. Pamięć scala ułamki informacji w swoim własnym rytmie i nagle następuje objawienie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego od razu tego nie dostrzegłem. Któż inny miałby to być? Może zorientowałem się wtedy, kiedy Oliver March opowiedział nam o tym, jak Mickey potraktował biednego Bulstrode'a, albo wtedy, kiedy się dowiedziałem, że Szwanow jest lichwiarzem i dorobił się na krachu, pożyczając pieniądze bogatym dupkom, którzy nagle stali się niewypłacalni. Czyż. Mickey nie był takim bogatym dupkiem z problemami finansowymi? I czy nie wyobrażałem sobie naiwnie, że jego żony - Mickey zawsze wszczywał awantury ze swoimi żonami - powstrzymały się przed użyciem w małżeńskich kłótniach tej swoistej broni nuklearnej, jaką było wyznanie, że pieprzyłem je wszystkie? I że nie znienawidził mnie z tego powodu i nie zaplanował jakiejś straszliwej zemsty? Dlaczego o tym wszystkim nie pomyślałem? Bo sobie oczywiście uroiłem, że Mickey jest moim Najlepszym Przyjacielem. Powiernikiem.

Musiałem też po naszym spotkaniu z fałszerzem Pascoe wiedzieć gdzieś w głębi ducha, że był tylko jeden znany mi osobnik zdolny wymyślić przekręt, do którego zostałby siłą rzeczy wynajęty, on, największy na świecie ekspert od Szekspira, jedyny, który miał powiązania ze Szwanowem, z Bulstrode'em i z Jakiem „Przygłupem” Mishkinem. Zamierza wynająć bandę żydowskich gangsterów za miliony dolarów i raczej wątpię, czy zdołam go jakoś powstrzymać. To dziwne, ale pod pewnymi względami przypomina mojego ojca: kiedy Izzy mówi, że rachunek się zgadza, nikt w to nie wątpi. Kiedy Mickey mówi, że to Szekspir *ditto*.

Pozostaje pytanie, dlaczego przyjechałem właśnie tu, zamiast ukryć się naprawdę w jednym z miliardów anonimowych i niemożliwych do wytropienia miejsc dostępnych dla faceta z mnóstwem forsy. Bo jestem już tym wszystkim zmęczony. Bo chcę być kimś realnym. Nie dbam za bardzo o to, czy mnie zabiją,

ale zanim to nastąpi, chcę się znaleźć w królestwie prawdy. Bardzo szlachetne uczucie, Mishkin, ale jest jeszcze jeden powód. Uświadomiłem sobie całkiem niedawno, że ów obraz, jaki zaprezentowała mi sobą Miranda jej uczesanie, jej suknia, cały jej wygląd - był pomyślany tak, aby przypominała mi moją żonę z okresu, kiedy się poznaliśmy, najbardziej jak to tylko możliwe. To właśnie strąciło mnie z mojej niezbyt bezpiecznej orbity, to była sprytna zagrywka. A kto wiedział, jak wyglądała ta dziewczyna z odległej przeszłości, kto ją widział niezliczenie wiele razy, kto słyszał z moich własnych ust, co mnie w niej tak podniecało? Oczywiście Najlepszy Przyjaciel. Boże, jakie to banalne! Każdy średnio inteligentny człowiek, który będzie to czytał, zorientuje się od razu, co mnie czeka, znacznie wcześniej ode mnie, ale czyż nie jest to typowe, czyż nie widzimy wszystkich sekretów innych ludzi oprócz swoich własnych, czyż nie dostrzegamy najpierw źdźbła w oku bliźniego? Tak, to stary pocziwy Mickey mnie wrobił i mam tylko nadzieję, że w ramach zemsty przywiezie ją ze sobą. Chciałbym ją zobaczyć jeszcze raz.

Jadąc metrem, Crosetti nie mógł się powstrzymać od śmiechu, co zwróciło uwagę pozostałych pasażerów. Kobieta z dwojgiem małych dzieci przesiadła się gdzie indziej. Śmiał się, bo znów jechał metrem po kilku tygodniach życia typowego dla wyższych sfer, życia w świecie prywatnych odrzutowców i pięciogwiazdkowych hoteli, za które nie musiał płacić. I nagle pozbawiono go pieniędzy równych budżetowi *Titanica*. Te dziesięć lub może nawet pięćdziesiąt tysięcy bardzo by mu jednak pomogło, gdyby je kiedykolwiek dostał. Wiedział, że Mishkin zapłaci. Był drańmiem, ale nie aż takim. Te pieniądze oznaczały, że mógłby na jakiś czas zwolnić się z pracy i dokładając oszczędności, ukończyć studia w nowojorskiej szkole filmowej.

Czuł się świetnie, kiedy wchodził do domu matki, toteż zaskoczyło go niemiłe przyjęcie, z jakim się spotkał. Mary Peg, jak się okazało, chciała zobaczyć rękopis i była oburzona faktem, że jej tępy syn znów rozstał się ze skarbem, a poza tym zdążyła już powiedzieć Fanny Dubrowicz, że sztuka została znaleziona, i oczywiście Fanny aż kipiała z niecierpliwości. Na próżno Crosetti wyjaśniał, że co najmniej dwa niezależne od siebie gangi również poszukują rękopisu i że w tej chwili

jest to obiekt równie poręczny jak uzbrojona bomba jądrowa. Zresztą tak czy inaczej Mishkin opłacił wszelkie koszty uwieńczonych sukcesem poszukiwań i zapewnił ochronę, bez czego on, Crosetti, w ogóle niczego by nie znalazł albo, gdyby znalazł, mógłby już leżeć w płytkim angielskim grobie.

Reakcją Mary Peg był szloch i zarówno Albert, jak i Klim musieli użyć wszelkich swoich talentów, aby panią Crosetti rozweselić i pomóc jej dojść do siebie. Pomogły im w tym wydatnie dzieci. Crosetti został na kolacji, na którą podano spaghetti z klopsikami (nie po raz pierwszy w tym tygodniu, jak zdradził Klim), i nie mógł się nadziwić, jak udało się stworzyć od podstaw atmosferę domu dziadków w sytuacji całkiem przeciw przypadkowej i zaskakującej. Wiedział, że coś takiego zawsze zdarzało się u Dickensa, ale nigdy się z tym nie spotkał we współczesnym Nowym Jorku. A może, pomyślał później, wszystkie epoki były takie same, potrzeba utrzymania klimatu rodzinnego zawsze się kryła pod zewnętrzną skorupą egoizmu. Najwidoczniej Mary Peg miała olbrzymie rezerwy babcinej energii, która nie znalazła dotychczas ujścia w jej relacjach z własnymi latoroślami, wciąż bezdzietnymi. Klim natomiast przeobraził się w dziadka z baśni: ileż naopowiadał im historyjek, ileż było zabawnych min, ile strugania fujarek i rozmaitych zabawek, ile przejażdżek na barana, ile znał głupiutkich piosenek, a wszystko przy akompaniamencie żartobliwych poszturchiwań i łaskotek! Dzieci, zwłaszcza mała Molly, rozkwitły w tej atmosferze, jak to zwykle bywa z maluchami. Wszystkie na ogół wierzą bez zastrzeżeń w baśnie i przeniesienie się z zamku złego ogra do krainy dobrych wrózek jest dla nich czymś absolutnie naturalnym.

Crosetti był szczęśliwy za wszystkich, ale teraz czuł jeszcze coś więcej, jak gdyby cała ta sytuacja umocniła go w instynktownym przekonaniu, że jego czas w domu matki dobiegł końca. Poza tym nie było tu dla niego miejsca; czuł się nieswojo, kiedy z dziecięcych twarzy patrzyła na niego Rolly. Spakował swoje manatki, wynajął przyczepę do rodzinnego samochodu i w ciągu jednego dnia wyniósł się z domu, zaopatrzone w czek na dziesięć tysięcy, który Mishkin przysłał mu kurierem. Nikt nie nalegał, żeby został.

Przy wtórce muzyki rozpakowywał właśnie kartony w swoim nowym, wynajmowanym na spółkę lofcie, gdy poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni. Wyciągnął komórkę i przyłożył do ucha.

- Zapisz to. Mam pół minuty.
- Carolyn?
- Zapisz to. Boże, musisz mi pomóc!

Podawała adres i drogę do domu nad jeziorem w Adirondacks.

Crosetti wyciągnął długopis i nagryzmołił informację na lewym przedramieniu.

- Gdzie jesteś, Carolyn? Co się dzieje, do cholery?
- Po postu przyjedź i nie dzwoń na ten numer. Oni zabijają... Resztę zagłuszyły trzaski.

Niedobrze, pomyślał Crosetti, właściwie banał, zwłaszcza to przerwane połączenie. Film miał się skończyć słodko-gorzka nutą przegranej, podążając za bohaterem, który wraca do swojej pracy, może sugestią, że ma kontakt z dziećmi, a życie toczy się dalej, może nawet dla pobudzenia ciekawości domysłem, że Rolly żyje. Ale nie aż tak banalnie. Myślał o tym dłuższą chwilę, układając książki na nieheblowanych sosnowych półkach, zanim dotarł do niego sens tego, co usłyszał. Pot wystąpił mu na twarz; musiał natychmiast usiąść w zakurzonej bujanej fotelu ze sterzącymi sprężynami, który przyniósł z ulicy. Ona naprawdę doprowadziła mnie do obłędu, pomyślał; nie, to powinien być czas przeszły. Okay, a więc jestem zwierzyną, jestem też agentem specjalnej troski. Co mi jest potrzebne? Smith & Wesson został w domu matki i nie było sposobu, żeby tam wrócić i tłumaczyć, w jakim celu chce go zabrać. Teraz, kiedy przyszło mu do głowy, że musiałby znów go użyć... nie, wielkie dzięki. Ale miał buty turystyczne, odhaczone; czarny rybacki sweter a la Richard Widmark, odhaczony. Bejsbolówka? Nie, wełniana czapka będzie znacznie lepsza, a także nóż wojskowy i granatnik... nie, to żarty, i wierny czarny płaszcz przeciwdeszczowy, wciąż z resztkami błota ze starej Anglii, portfel, klucze, ach, lornetka, żeby nie zapomnieć, no dobra, jestem gotów, zupełnie jakbym szedł na spotkanie z Bóg wie iloma uzbrojonymi po zęby rosyjskimi gangsterami...

- Że co?

W drzwiach stał Beck, jeden ze współlokatorów Crosettiego, i patrzył na niego dziwnie. Beck odznaczał się trupią białością, pracował jako inżynier dźwięku i pisał recenzje z filmów, których nikt prócz niego nigdy nie widział lub które może w ogóle nie powstały.

- Nic nie mówiłem - powiedział Crosetti.
- Owszem, mówiłeś, i to głośno, jakbyś był wkurzony. Myślałem, że ktoś jest tu z tobą, a potem przypomniałem sobie, że przyszedłeś sam.
- Ach, więc mówiłem do siebie. Po prostu mi odbija, to wszystko.
- O, kurwa, facet, witamy w klubie. Gdyby trzeba ci było zrobić lobotomię, to mogę zacząć ostrzyć śrubokręt.
- Chodzi o dziewczynę - wyznał Crosetti. - To dziewczyna doprowadziła mnie do obłądu. Najpierw mnie rzuciła, a teraz chce, żebym ją ratował. Już po raz drugi przydarza mi się taka sytuacja.
- Nieważne. Ja trzymam się raczej biblijnej zasady świętego Nelsona Algrena: nigdy nie dymaj kobiety, która ma więcej problemów niż ty. Oczywiście on sam dymał Simone de Beauvoir...
- Dzięki. Będę o tym pamiętał w przyszłym życiu. A na razie mężczyzna musi zrobić to, co do niego należy. Mogę skorzystać z twojego komputera? Potrzebuję kilku map.

Wydostanie się z miasta zajęło mu jak zwykle trzy kwadranse, ale na drodze szybkiego ruchu za Tappan Zee nadrobił stracony czas. Stara fury była utrzymywana w idealnym stanie; pod maską ukryto silnik V-8 o pojemności ponad siedmiu decymetrów sześciennych, na zewnątrz pysznił się woskowany granatowy lakier plus przeróżne tabliczki i dekalkomanie, jakich używają policjanci, żeby rozpozнали ich koledzy po fachu i żeby w ten sposób uodpornić swoje samochody na wszystkie praktycznie nalepki. Crosetti wycisnął z maszyny znacznie ponad setkę i dotarł do Albany w dwie godziny. Kolejne sto czterdzieści pięć kilometrów i siedemdziesiąt minut wystarczyło, by znalazł się w Pottersville, gdzie zatankował i zjadł na stacji benzynowej koszmarny posiłek z kuchenki mikrofalowej. Tymczasem zdążyło się ściemnić i zaczął padać śnieg. Grube płatki wydawały się wielkie jak piłeczki do golfa, gdy bombardowały szybę, choć było wciąż zbyt ciepło, by utrzymywały się na asfalcie, nie musiał więc zwalniać. Włączywszy autopilota, pograżył się w autostradowym półśnie, jego umysł zaś podążał tropami filmowych fabuł, krążył wśród dziwacznych faktów, usiłował przywołać spójne wspomnienia

banalnych zdarzeń z codziennego życia, zwłaszcza z żałości krótkiego okresu, kiedy towarzyszyła mu Carolyn Rolly.

Na drodze stanowej numer 2, w którą skręcił piętnaście minut później, czuł się tak, jakby smuga światła z reflektorów przebiegała wąski tunel przez szklaną kulę z wirującymi płatkami. Po błyskawicznym pokonaniu drogi szybkiego ruchu miał teraz wrażenie, że stoi w miejscu. Jechał tak przez nieznośnie długi czas i w końcu pojawiły się przed nim pojedyncze światła; było to miasteczko New Weimar, dwie stacje benzynowe, kilka pułapek na turystów, trochę porozrzucanych gdzieś domów, potem wypatrywanie znaku, który wskazywał szutrową drogę do jeziora Henry. Przegapił go za pierwszym razem, musiał więc zawrócić na ośnieżonej drodze i wypatrywać oczy, aż wreszcie go dostrzegł. Był przekrzywiony i podziurawiony kulami. W taki sposób uzbrojeni miejscowi manifestowali klasowy gniew bogaczom, którzy byli właścicielami jeziora.

Kolejny, jeszcze węższy tunel; tu śnieg przylgął do nawierzchni, co sprawiało, że samochód zarzucał na wzniesieniach. Czas zwolnił, Crosetti stracił jego poczucie. Fury mogła się poszczycić tylko staroświeckim radiem z falami długimi, które przez ostatnie kilkanaście kilometrów nadało jedynie zakłócaną trzaskami muzykę country. Crosetti je zgasił. Teraz słychać było wyłącznie syk wycieraczek i pełen zadowolenia pomruk potężnego silnika. Żółty błysk przed podwójną strzałką, droga kończąca się skrzyżowaniem w kształcie litery „T”. Zapalił lampkę w środku i sięgnął po mapę. Skręt w prawo i wkrótce pojawiło się kilka skrzynek pocztowych, oblepionych mokrym śniegiem, oraz zasypany podjazd. Przejechał jeszcze kilka metrów, wyjął wielką latarkę ze schowka i ruszył przed siebie. Było parę minut po trzeciej nad ranem.

I oto wyrósł przed nim dom, solidna wiejska siedziba z okorowanych bali, ze stromym dachem i szeroką werandą z trzech stron. Z okien od frontu padało nagle światło, tworząc na świeżym śniegu żółtą plamę. Obchodząc budynek, Crosetti wyczuwał raczej, niż dostrzegał, obecność jeziora, nieprzeniknionej czerni w miejscu, gdzie kończył się śnieg i gdzie wysuwał się cienki biały palec przystań.

Wszedł ostrożnie na schodki werandy, przycisnął twarz do oświetlonego okna i zobaczył duży pokój: rustykalne meble z polerowanego cedru obite szkocką kratą

i wielki kamienny komin, na którym płonął ogień. Na podłodze leżały indiańskie chodniki, nad paleniskiem zawieszono głowę łosia. Drugą ścianę zakrywała wbudowana półka z książkami, na której stała droga aparatura stereo. Żadnego dostrzegalnego ruchu ani dźwięku. Przekręcając mosiężną gałkę, spróbował otworzyć drzwi, ustąpiły natychmiast. Wszedł i zamknął je za sobą. Usłyszał teraz prócz trzasku ognia na kominiku dochodzące z sąsiedniej izby odgłosy domowej krzątaczki: brzęk naczyń, męski głos nucący jakąś melodyjkę. W domu pachniało cedrem, ogniem i, nieco słabiej, świeżą kawą. Przy bocznych oknach stał okrągły sosnowy stół, na nim mrugał włączony laptop. Obok leżała znajoma gruba koperta. Crosetti miał już rzucić okiem na ekran, gdy do pokoju wszedł Jake Mishkin z parującym kubkiem w dłoni. Zobaczywszy przyszła, stanął jak wryty.

- Crosetti? A ty co tu robisz?
- Byłem w okolicy. Pomyślałem sobie, że wpadnę.

Mishkin uśmiechnął się blade.

- Niezły tekst. Chcesz kawy? Takiej jak moja, z irlandzką whisky?
- Dzięki. Z przyjemnością.

Mishkin ruszył w stronę kuchni, ale po chwili przystanął, podszedł do laptopa i wyłączył go. Crosetti usiadł na sofie, twarzą do ognia, i próbował się odprężyć, doznając dziwnego uczucia, jakie na ogół pojawia się po samochodowym maratonie, że wciąż siedzi za kierownicą. Po chwili wrócił Mishkin z drugim kubkiem i postawił go na sosnowym stoliku przed sofą.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o czek - oznajmił, kiedy już napili się po łyku.

- Nie, z czekiem wszystko w porządku, dziękuję.

- A więc czemu zawdzięczam... ?

- Chodzi o Carolyn Rolly. Zadzwoiła do mnie przerażona i podała mi ten adres, więc przyjechałem.

- Tłukłeś się... zaraz... osiem godzin, i to w taką śnieżycę, bo poprosiła cię o to Carolyn Rolly?

- Tak, trudno to wytłumaczyć.

- Prawdziwa miłość.

- Niezupełnie, ale... coś w tym rodzaju. Właściwie jestem głupi.

- Doskonale to rozumiem. - Mishkin skinął głową. - Ale tak się składa, że jej tu nie ma. Muszę cię też uprzedzić, że spodziewam się innych gości. Może być tu nieprzyjemnie.

- Masz na myśli Szwanowa.

- I innych.

- Na przykład?

- Na przykład Mickeya Haasa, słynnego szekspirologa i mojego serdecznego przyjaciela. Ten dom należy do niego. Przyjedzie tu, żeby potwierdzić autentyczność rękopisu.

- Myślałem, że będzie to wymagało pomiaru zawartości węgla radioaktywnego, analizy inkaustu...

- Tak, ale sprytni fałszerze potrafią podrobić zarówno inkaust, jak i papier. Tym, czego nie można podrobić, jest indywidualny styl Szekspira i Mickey ma właśnie to ocenić.

- I on trzyma ze Szwanowem?

- Obawiam się, że to długa historia.

Crosetti wzruszył ramionami.

- Mam mnóstwo czasu, chyba że chcesz mnie zmusić pod groźbą użycia broni, żebym wyszedł w tę szalejącą śnieżycę.

Mishkin wpatrywał się w niego przez chwilę. Crosetti wytrzymał to uporczywe spojrzenie.

- Będziemy jeszcze potrzebować kawy - westchnął w końcu Mishkin.

A więc kolejny kubek, też z dodatkiem whisky, a pod koniec w ogóle dali sobie spokój z kawą. Rozmawiali jak dwaj obcy ludzie, którzy przeżyli katastrofę morską albo inny kataklizm, ale, choć podobnie doświadczeni, bynajmniej się do siebie nie zbliżyli. Ci dwaj mężczyźni nie byli przyjaciółmi, nigdy też nie mieli nimi zostać, jednak to, co przywiodło ich obu do tego domu w tę śnieżną noc, ów przedmiot, który leżał w kopcach na okrągłym stole, umożliwiło im prowadzenie rozmowy w sposób bardziej otwarty niż w innych okolicznościach, whisky zaś pomagała.

Mishkin przedstawił pełniejszą wersję swoich związków z Bulstrode'em, opowiadał też o swej smutnej egzystencji, nie pomijając przy tym własnych grzechów,

a kiedy doszedł do historii z rzekomą Mirandą Kellogg i związanych z nią nadziei, Crosetti wtrącił:

- Zdaniem Carolyn była aktorką wynajętą przez Szwanowa, chodziło o to, żeby wydobyć od ciebie manuskrypt.

- Tak, podejrzewałem coś podobnego. Czy... czy Carolyn mówiła, co mogło się z nią stać?

- Nic o tym nie wie - odparł Crosetti krótko, a potem zaczął mówić o swojej rodzinie i filmach, które uwielbiał, i tych, które chciał nakręcić.

Mishkin sprawiał wrażenie niezwykle zainteresowanego, wręcz zafascynowanego obydwoma tematami. Chciał wiedzieć, jak to jest, kiedy się dorasta w niesfornej i szczęśliwej rodzinie, i czy filmy rzeczywiście kształtują nasze zachowania, a nawet więcej nasze poczucie tego, co rzeczywiste.

- Z pewnością nie - powątpiewał. Z pewnością jest dokładnie odwrotnie: to filmowcy sięgają po popularne idee i wcielają je do filmów.

- Nie, najpierw są filmy. Na przykład w rzeczywistości nigdy nie dochodziło do pojedynku twarzą w twarz na zakurzonej głównej ulicy westernowego miasteczka. Wymyślił to jakiś scenarzysta. To klasyczny amerykański motyw, odkupienie przez przemoc, i bierze się to z filmów. Tak naprawdę na Dzikim Zachodzie niewielu miało broń krótką. Rewolwery były drogie i ciężkie. Tylko idiota nosiłby je w kaburze przy boku. I do tego na koniu? Kiedy chciało się kogoś zabić, czekało się na okazję i strzelało przeciwnikowi w plecy, zwykle ze strzelby. Teraz mamy te miliony rewolwerów, bo filmy nauczyły nas, że rewolwer to coś, co powinien mieć prawdziwy mężczyzna, i ludzie naprawdę zabijają się jak fikcyjni bohaterowie z westernów. I dotyczy to nie tylko gangsterów. Filmy kształtują powszechną świadomość w zakresie działań ludzkich - w polityce zagranicznej, w biznesie, życiu seksualnym, w życiu rodzinnym, pod każdym względem. Kiedyś czyniła to Biblia, a dziś filmy. Dlaczego istnieje coś takiego jak zaloty? Bo wiemy, że facet powinien wytrwale zabiegać o względy i robić z siebie durnia, dopóki dziewczyna nie wyzna, że go kocha. Wszyscy to widzieliśmy. Dlaczego są akceptowane randki, które kończą się gwałtem? Bo duppek czeka na moment, kiedy opór przerodzi się w namiętność. Widział to z pięćdziesiąt razy u Nicole czy Reese. Podejmujemy te drobne

decyzje każdego dnia i tak tworzymy świat. Ten świat, czy tego chcemy, czy nie.

- A więc scenarzyści są nieświadomymi prawodawcami ludzkości?

- Otóż to - przytaknął Crosetti. - Chcę przez to powiedzieć, że także w tej chwili jesteśmy w filmie. Dlaczego, do diabła, czekamy obaj w tym odludnym domu na bandę gangsterów? To jakiś obłąd. Dlaczego rękopis wart sto milionów leży na stole? Kompletne wariactwo. Powiem ci dlaczego. Bo obaj podjęliśmy szereg decyzji, a każda z nich była uwarunkowana motywem z jakiegoś filmu. Kiedy tajemnicza dziewczyna dzwoni do Johna Cusacka i prosi go, by ją ratował, facet nie odpowiada: „Bądź poważna!” Porusza niebo i ziemię, żeby ją uratować, bo wie, że tak jest w scenariuszu, i tu jest moja rola, a tuż obok mnie siedzi William Hurt, nieco skorumpowany gość z poczuciem winy, który wciąż usiłuje być przyzwoity, ale nie jest pewien, czy chce żyć, czy nie, i pakuje się w tę niebezpieczną sytuację, dlatego że... no właśnie, dlaczego? Ach, to jest oczywiście jego dziewczyna, ale chodzi głównie o rodzaj pokuty, o potrzebę przeżycia wstrząsu, który albo go unicestwi, albo pozwoli zerwać z jałowym i niesatysfakcjonującym życiem. Zostańcie z nami, nie zmieniajcie kanału.

- William Hurt. Nieźle.

- To prawda. A kiedy przyjadą tu gangsterzy, będą się zachowywać jak gangsterzy w filmach albo i tu może pojawić się subtelność, która występuje rzadko - zachowują się jak ich przeciwieństwo. To właśnie jest wspiane w *Rodzinie Soprano* filmowi gangsterzy udają prawdziwych gangsterów oglądających gangsterskie filmy i zmieniają swój styl tak, aby upodobnić się do tych fałszywych, ale to dzieje się naprawdę. Pewnym można być jedynie tego, że nie zamierzają być autentyczni. Nie ma śladu autentyzmu.

- Amalie jest autentyczna - zauważył Mishkin po namyśle.

- Tak, zgadzam się - powiedział Crosetti. - Amalie jest jednak odcięta od kultury albo może podłączona do czegoś innego, może do Boga. To wyjątek potwierdzający regułę, zauważ poza tym, że jej nie ma w tym filmie.

- To prawda. Ale powiem ci jedno: mylisz się co do mnie. Nie mówię tu o sobie jako o postaci w stylu Williama Hurta, tylko o tym, co tutaj robię. Nie chodzi wyłącznie o coś w rodzaju desperacji. To część intrygi.

- No tak, ale właśnie o tym mówiłem...
- Nie, nie chodziło mi o intrygę filmową. O plan, o sztuczkę, o manipulację, tak aby czarne charaktery dopięły swego.
- Na czym to polega? Pytam o tę intrygę.
- Nie powiem ci - odparł Mishkin. - Ujawnię to, kiedy wszyscy tu przyjadą.
- Jake, to strasznie ograny numer. Czy potem nastąpi odkupienie przez przemoc?
- Nie przeczę, że mam taką nadzieję. Martwi cię to?
- Bynajmniej. Postać grana przez Johna Cusacka musi uciec i zdobyć dziewczynę. Tobie może się to nie udać. - Crosetti ziewnął potężnie i dodał: Cholera, człowieku, to fascynujące, ale padam ze zmęczenia. Za parę godzin zrobi się widno, a ja muszę się trochę przespać. Ty też wyglądasz na wykończonego.
- Nic mi nie będzie - zapewnił Mishkin. - Na górze jest mnóstwo sypialni, łóżka pościelone, sterty ciepłych kołder, czuj się jak u siebie w domu.

Wybrał sypialnię z widokiem na jezioro, zrzucił buty, wślizgnął się pod kołdrę i zasnął natychmiast; obudził go ryk silnika wielkiej motorówki. Zwlókł się z łóżka, przetarł oczy i podszedł do okna. Na jeziorze ktoś usiłował nieudolnie przybić do przystani długą łodzią motorową Bayliner. Miała rozpięty brezentowy dach i podniesione plastikowe osłony na szybach, ale Crosetti wyobraził sobie, że mimo wszystko musi być zimno na takiej łodzi jak ta, przeznaczonej do letnich rejsów. Śnieg przestał padać, niebo było jasnoperłowe, wschodni wiatr smagał powierzchnię wody, wzbijając grzywacze. Niewprawny pilot próbował podejść do przystani od zachodniej strony, więc wiatr znosił łódź, a wysoki kadłub działał jak żagiel; pechowy żeglarz nie pozwalał łodzi zareagować na manewry steru, dodawał gazu, wałąc dziobem o pomost i odbijając się co chwila. Należało się po prostu wycofać i podpłynąć od drugiej strony, gdzie wiatr bez problemu osadziłby łódź miękko na gumowych ochraniaczach pomostu. Tak rozumował Crosetti, który w dzieciństwie spędzał każde lato nad zatoką Sheepshead, z rodzicami, siostrami i niektórymi kuzynami, tłocząc się na niebezpiecznie ciasnej wynajętej łodzi.

W końcu z kabiny wyszedł jakiś mężczyzna w skórzanej samochodowej kurtce i miejskich mokasynach. Próbował wkroczyć na pomost, ślizgając się na mokrych deskach z włókna szklanego, i rozłożył się jak długi, gdy łódź uderzyła o przystań po raz szósty. Crosetti pomyślał, że to błazeństwo potrwa jeszcze jakiś czas, poszedł więc do łazienki, włożył buty, zadzwonił z komórki i zszedł do kuchni. Mishkin już tam był i pił kawę.

- Zjawili się - oznajmił Crosetti, nalewając sobie kawy. - Przyrzadziłeś tarty?

- Tak, rozpieściła mnie córka, kiedy była mała. Poczęstuj się.

- Dziękuję - powiedział Crosetti, wkładając dwie grzanki do tosterka.

- Udało im się przycumować?

Okno było po niewłaściwej stronie, ale przysunąwszy się blisko, można było dojrzeć kraniec pomostu. Mishkin zerknął zza kretonowej zasłonki i odparł:

- Prawie. Zabezpieczyli dziób i teraz próbują manewrować rufą.

- Chyba są lepszymi gangsterami niż żeglarzami.

- Święte słowa. W Nowym Jorku nasłali na mnie paru kiepskich gangsterów, choć nie byli to ludzie Szwanowa. Jestem pewien, że w tym przypadku zmobilizował swój najlepszy zespół. No i co, wciąż uważasz, że to film?

- Nie, ale skoro już pytasz, to powiem ci, że zaczynam się bać.

- Mógłbyś prysnąć. Nikt się tu ciebie nie spodziewa.

- Ale jest tu Rolly.

- To prawda. Jakaś ostatnia rada scenarzysty?

- Cokolwiek zaplanujesz, będzie w tym jakiś błąd.

- Bo...?

- Po pierwsze, wszystkiego nie przewidzisz; po drugie, w ostatnich sześciu minutach potrzebny jest nagły zwrot akcji, bo inaczej spadnie napięcie.

- Przynajmniej nie będziemy mieli walki na pięści w opuszczonej fabryce. Chodźmy przywitać naszych gości.

Mishkin wyszedł z kuchni, a Crosetti zbliżył się do okna. Usłyszał, jak silnik gaśnie, i zobaczył, że łódź została już przycumowana i że pojawiają się ludzie: wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce, który wcześniej zszedł na pokład, facet średniego wzrostu we flauszowym płaszczu i futrzanej czapce (szef), potem gość o

posturze obrońcy piłkarskiego, też w czarnej skórze, który prowadził dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, za nimi kobieta w białej kurtce z kapturem naciągniętym na głowę, za nią mężczyzna w trenczu i tweedowej czapce, z dolną połową twarzy owiniętą wełnianym pasiastym szalem, a na końcu jeszcze jeden typ w skórze sięgającej pół łydki.

Crosetti wszedł do dużego pokoju.

Mishkin dokładał do ognia, który właśnie rozniecił, płomień buchnął i w powietrzu rozszedł się żywiczny zapach. Feralna koperta leżała wciąż na stole, ale laptopa nie było.

Frontowe drzwi otworzyły się z impetem i dwóch gangsterów wtargnęło do środka - wysoki i ten w długim płaszczu, który miał bladą i zdeformowaną twarz jak ciastowaty upiór z *Pogromców duchów*. Za nim wszedł mężczyzna, w którym Crosetti domyślił się słynnego Szwanowa. Powiedział coś po rosyjsku do swoich ludzi i ci natychmiast chwycili Mishkina, przewrócili go na ziemię i zaczęli kopać. Tymczasem do domu wkroczyła reszta towarzystwa z łodzi, popychana przez pokładowego. Crosetti zarejestrował mnóstwo szczegółów jednocześnie. Po pierwsze, Mishkin nie stawiał oporu, choć w Londynie Crosetti widział, jak cisnął wielkim facetem niczym krążkiem frisbee. Po drugie, dzieci. Imogen, wściekła, pośpieszyła ojcu z pomocą i udałoby się jej, gdyby pokładowy w porę jej nie złapał. Z Niko działo się coś niedobrego, głowę miał spuszczoną i nienaturalnie przekrzywioną, ręce kreśliły w powietrzu jakies bezsensowne wzory. Zdawało się, że nuci coś czy też mówi do siebie, czuć go było też wymiocinami, których ślady widniały na kurtce. I wreszcie kobieta. Zsunęła kaptur, odsłaniając długie, ciemne i niezbyt czyste włosy, a jej twarz, na której malowała się groza, zwrócona była w stronę Mishkina. Mężczyzna w trenczu także przyglądał się tej masakrze, ale bez zgrozy, raczej z chorobliwą fascynacją, a może nawet zadowoleniem.

Wszystko to Crosetti odnotował w bardzo krótkim czasie, który, jak wiedział doskonale, na ekranie odpowiadałby minucie z okładem. Kobieta krzyknęła do Szwanowa, żeby przestał, tamten coś jej odpowiedział, ale kazał swoim ludziom się uspokoić. Postawili Mishkina na nogi, podtrzymując go pod pachy. Zamrugał, otarł ślinę i krew sączącą się z ust i powiedział do dzieci:

- Przepraszam was, nie wiedziałem, że tak się stanie. Zrobili wam krzywdę?

- Właściwie nie powiedziała dziewczynka. Ale Niko pochorował się w motorówce i dziwnie się zachowuje.

Szwanow podszedł do Mishkina i uderzył go z całej siły w twarz.

- To wyłącznie twoja wina, Mishkin - oświadczył. - Próbowałem się zachowywać jak człowiek cywilizowany, żeby dostać to, co jest moją własnością, i co otrzymałem? Szacunek? Nie, musiałem cię ścigać aż tutaj, co jest dla mnie bardzo uciążliwe, a poza tym zmusiłeś mnie do uprowadzenia dzieci, a to już jest skandaliczne. Osip Szwanow nie uprowadza dzieci, mówiłem ci kiedyś, ale ty nie słuchałeś. I teraz musieliśmy się do tego posunąć. No dobra, oddaj mi moją własność, czyli rękopis Williama Szekspira.

Ale Mishkin patrzył na kobietę.

- Jak się masz, Mirando? Dlaczego zmieniłaś kolor włosów? I oczu? Kobieta milczała.

Szwanow znów uderzył Mishkina w twarz; krew trysnęła na ścianę, tworząc nad kominkiem nieregularny wzór.

- Nie, nie patrz na nią, patrz na mnie, ty głupia prawnicza świniolo! Gdzie jest moja własność?

- Leży w kopercie na stole - oznajmił Crosetti.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

- Kim jest ten facet? - warknął Szwanow.

- To Albert Crosetti - wyjaśnił Mishkin. - Człowiek, który znalazł oryginalny rękopis Bracegirdle'a i sprzedał go profesorowi Bulstrode'owi. A przynajmniej tak twierdzi.

Szwanow podszedł do stołu i wyciągnął rękopis z koperty. Przywołał gestem mężczyzną w trenczu, który zbliżył się pośpiesznie. Mishkin powiedział:

- Skoro już dokonujemy prezentacji: Crosetti, to jest profesor Mickey Haas, najwybitniejszy na świecie znawca Szekspira. Przynajmniej on tak twierdzi.

Haas wziął plik kartek od Szwanowa, usiadł przy stole, włożył okulary do czytania i zaczął studiować pierwszą stronę. Crosetti widział, jak trzęsą mu się ręce. Przez prawie pół godziny słychać było tylko trzask ognia, mamrotanie chłopca i szelest sztywnego starego papieru.

- No? I co pan powie, profesorze? - zapytał Szwanow.

- Zdumiewające! Oczywiście trzeba jeszcze przeprowadzić testy laboratoryjne, ale widziałem w życiu mnóstwo siedemnastowiecznych manuskryptów i moim

zdaniem ten jest autentyczny. Papier pochodzi z epoki, inkaust też, piśmo... no cóż, nie mamy właściwie próbek pisma Szekspira oprócz kilku autografów, jest też naturalnie część manuskryptu sztuki *Sir Tomasz Morus* przypisywana Szekspirowi, ale z pewnością, to znaczy najprawdopodobniej...

- Do rzeczy, profesorze, czy to ma jakąś wartość handlową?

Haas odpowiedział dziwnym, napiętym głosem, wymawiając słowa z nienaturalną precyzją:

- Myślę, że tak, ten język, ten styl, Boże, tak, trzeba to poddać, jak wspominałem, różnym testom, ale uważam, że tak, to rękopis nieznannej sztuki Williama Szekspira.

Szwanow rąbnął go w plecy tak mocno, że okulary zsunęły się uczonemu odrobinę z nosa.

- Świetnie! Doskonale! zapał i wszyscy gangsterzy uśmiechnęli się jak jeden mąż.

- A co spodziewałeś się od niego usłyszeć, Osip? - odezwał się Mishkin. - Ten rękopis to podróba. Zmontował tę całą aferę z fałszerzem Leonardem Pascoe. Mam na to dowód.

Haas zerwał się z krzesła i warknął do Mishkina:

- Ty sukinsynu! Co ty o tym wiesz? To jest autentyk! A jeśli ci się wydaje, że możesz...

Szwanow dźgnął Haasa w ramię i przerwał mu w pół zdania. Potem podszedł bliżej do Mishkina i odchylił jego głowę do tyłu, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Jaki dowód?

- Pokażę ci. Powiedz im, żeby mnie puścili.

Skinienie głowy i Mishkin został uwolniony. Podszedł do stojaka na gazety przy kanapie i wyciągnął z niego kopertę poczty kurierskiej, z której wyjął jakieś papiery i płytę CD.

- Najpierw dokumentacja. To jest kopia oryginalnego rękopisu Bracegirdle'a powiedział, po czym wręczył Szwanowowi jakąś kartkę. A na tej kartce Leonard Pascoe podrobił pismo Bracegirdle'a. Nawet ktoś tak niedoświadczony jak ty, Osip, może zobaczyć, że pismo jest identyczne. Ten twój kumpel znalazł list

umierającego człowieka z siedemnastego wieku i podrobił kilka dodatkowych kartek, a potem wysmażył całą tę historię z szyfrem i rzekomym manuskrypcem rzekomej sztuki, ukrytej rzekomo w miejscu wspomnianym w zaszyfrowanych listach.

- To jakiś obłęd! - zawołał Haas. - Pascoe siedzi w więzieniu.

- Raczej w klubie, w którym go odwiedziliśmy, o czym bez wątpienia poinformowali Osipa jego ludzie, którzy nas śledzili. Osip, czy nie zastanawiałeś się, dlaczego tam wpadliśmy?

Crosetti zauważył, że Szwanow i pokładowy wymienili szybkie spojrzenia.

- Wpadliśmy tam po to powiedział Mishkin. Podniósł do góry płytę CD. - Leonard Pascoe szczyli się swoim fachem, a to był jego największy wyczyn. Kiedy wyjdzie, będzie na niego czekać okrągła sumka, dzięki uprzejmości Mickeya, a raczej, powinienem powiedzieć, dzięki uprzejmości Osipa Szwanowa, bo te pieniądze, a przynajmniej ich część, dostał od ciebie. To była dla niego idealna transakcja. A nawiasem mówiąc, nie zadurzył się w tobie?

- Osip, to jakieś szaleństwo!

- Zamknij się, Haas! Uruchom tę płytę, Mishkin. I mam nadzieję, że to nie jest jakaś głupia sztuczka.

Mishkin włączył aparaturę i wsunął płytkę do odtwarzacza. Głos Leonarda Pascoe rozbrzmiał w pokoju; wszyscy słuchali w milczeniu, gdy fałszerz wyjaśniał, jak posługiwać się podrobionym listem i podrobionym szyfrem oraz rozmaitymi innymi czynnikami, żeby ten potężny przekręt się powiódł. Kiedy nagranie dobiegło końca, Mishkin powiedział:

- „Ptaszek” w tym wypadku to oczywiście tajemnicza Carolyn Rolly, która nadawała się idealnie do przeprowadzenia całej akcji - znała dobrze Szwanowa,

rozpaczliwie usiłowała się od niego uwolnić, potrzebowała pieniędzy, żeby ratować swoje dzieci i wyjechać z kraju. Przypuszczalnie to ona miała znaleźć rękopis w starej księdze, zrobić w to naszego przyjaciela Crosettiego, żeby to firmował, bo potrzebowaliśmy niewinnego frajera, prawda? I na każdym etapie tej awantury znajdowała się na właściwym miejscu, żeby rozwijać intrygę, choć nastąpiła pewna subtelna zmiana w pierwotnym planie Pascoe. Carolyn nie musiała kraść pieniędzy, bo już jej zapłacono, i głównym celem jej intrygi było pozbycie się Szwanowa,

A więc teraz masz manuskrypt, a ludzie z Izraela, gotowi go kupić, są w Nowym Jorku. Sprzedasz im rękopis, dostaniesz swoje dziesięć milionów - na podstawie rekomendacji wspaniałego profesora Haasa, którego dług zostanie w ten sposób umorzony i wszyscy będą zadowoleni do chwili, gdy nabywcy spróbują zaprezentować dzieło publicznie i wystawić je na sprzedaż za olbrzymie pieniądze. A wtedy nagle się okaże, że sztuka nie jest do końca tym, czego oczekivalibyśmy od Barda, że stanowi właściwie pastisz, wytwór jakiegoś miernego literata, na przykład Mickeya Haasa. A ponieważ jesteś, Osip, pieprzonym analfabetą i cudzoziemcem, doskonale nadajesz się na kolejnego niewinnego frajera, jak to przed chwilą ujął nasz przyjaciel Pascoe. Szekspira nie można podrobić, ale ty tego nigdy nie zrozumiesz. Jak myślisz, co się z tobą stanie, kiedy nabywcy odkryją, że zostali wykiwani?

Crosetti zauważył, że skóra wokół ust Szwanowa zbieleła, a żyłka na skroni pulsuje.

- Skąd wiesz, że to ma być sprzedane za dziesięć milionów? - zapytał gangster.

- Od swojego ojca. Jest człowiekiem syndykatu w Nowym Jorku i jego szefowie byliby z ciebie bardzo niezadowoleni.

- Powiedziałeś mu wszystko?

- Oczywiście. A teraz mówię tobie. Dlatego właśnie doprowadziłem do spotkania w tym domu wszystkich zamieszanych w sprawę, żebyśmy mogli dokładnie ją przedyskutować. Ach, oprócz Carolyn Rolly, która rozplynęła się w powietrzu. Ale jestem pewien, że ją dopadniesz.

Crosetti zauważył, że na twarzy Szwanowa pojawił się wyraz zdziwienia. Rosjanin wskazał na kobietę w białej kurtce.

- O czym ty mówisz? To jest Carolyn Rolly.

- Och, Carolyn! - jęknął Crosetti, na wpół do siebie.

Nikt go nie usłyszał. Wszyscy patrzyli na Mishkina, który zachwiał się jak rażony gromem. Na jego obliczu malował się szok, jakiego nie wywołało nawet niedawne bicie. Szwanow dostrzegł to z wyraźnym zadowoleniem.

- Owszem, dopadnę ją, tak jak powiedziałeś, Jake - powiedział i objął Rolly ramieniem. - Czy mam mu wierzyć, Carolyn? To prawda, że konspirowałaś z

obecnym tu profesorem, żeby mnie wykiwać? Mnie, Osipa, który znalazł cię na ulicy, załatwił ci własny kąt i pokazał, co to znaczy być z mężczyzną? - Przeszedł na fałset: - „Och, pieprz mnie w tyłek, kochany, tak mi dobrze...” - Ujął ją pod brodę i wykręcił jej brutalnie twarz. No i jak? Zrobiłaś mi to, ty dziwko? Pewnie tak, to jest coś, co potrafiłabyś zrobić, gdybyś przestała kochać swoje dzieci albo zapomniała, że znam miejsce ich pobytu w Pensylwanii. Ale nigdy nie wiadomo, co robi kurwa.

Podszedł do stołu, przy którym stał Haas, wpatrując się w niego z otwartymi ustami jak królik w kobrę, i sięgnął po manuskrypt. Wyrównał kartki i przez chwilę ważył je w dłoni.

- Ale ty, profesorze, nie jesteś dziwką. Łączą nas interesy, łączyły przez cały ten czas, mam do ciebie zaufanie jak człowiek do człowieka. Jak mogłeś mi zrobić coś takiego? Jestem bardzo zawiedziony.

- On kłamie! - wyrzucił z siebie gwałtownie Haas, zacinając się, a Crosetti mógł zobaczyć ze swego miejsca, jak trzęsą mu się nogi. - Wymyślił to wszystko, żeby... zamącić ci w głowie. To wielki spryciarz, myśli, że się z tego wywikła, on, wielki Jake Mishkin, ale kłamie, sztuka jest autentyczna, największe literackie odkrycie wszechczasów. Ja jestem, kurwa, ekspertem, Osip, na miłość boską, a zresztą jak mógłbym konspirować z tą kobietą, nigdy w życiu jej nie widziałem, nie byłem u Pascoe i niczego nie kombinowałem... to śmieszne... jak mogłeś w to uwierzyć? Ten rękopis, który trzymasz, te szyfry... to wszystko, jest bezcenne, bezcenne, nigdy mi się nie śniło, że będę coś takiego trzymał w rękach...

- Znał Carolyn Rolly - wtrącił Mishkin. - Studiowała na Columbii. Bulstrode ich ze sobą poznał. Zapytaj Crosettiego.

Crosetti odchrząknął, jakby miał gardło pełne introligatorskiego kleju, i powiedział:

- Owszem. Na pewno znała Bulstrode'a. A Bulstrode znał Haasa.

- No widzisz, profesorku? Coś się tu nie zgadza. Więc myślę, że on ma rację, że wszystko to jest oszustwo, a te papiery to makulatura. - Mówiąc to, podszedł szybkim krokiem do kominka i cisnął rękopis w ogień.

Haas wydał z siebie okrzyk, który zdawał się pochodzić z jego trzewi, dziki wrzask rozpacz, i rzucił się w płomienie. Schwycił oburącz plik papierów i próbował gołymi rękami gasić płomyki, które zaczęły się już wgrzyzać w kartki.

Jednocześnie wrzucał strony manuskryptu z powrotem do pokoju niczym pies wyrzucający za siebie ziemię z jamy. Parę kartek, jak zauważył Crosetti, porwał ciąg powietrza i przylepił do ściany w głębi kominka, ale Haas runął całym ciałem przez płonące polana i wyciągnął je stamtąd. Nie przestawał przy tym wrzeszczeć, nie zamilkł też, gdy wydostał się z ognia. Paliło się na nim ubranie, szal zamienił się w ognisty naszyjnik. Dreptał w kółko, tłukąc dłońmi płomienie, jego twarz wyglądała jak ohydna czarno-czerwona maska, okulary były skrzycone i częściowo stopione.

Mishkin schwycił płonącego profesora, jakby to była tylko wydrążona powłoka, i przewiesiwszy go sobie przez ramię, rzucił się w stronę drzwi. Pokładowy próbował go zatrzymać, ale został zmieciony jedną ręką na bok i runął na stolik, który załamał się z trzaskiem. Mishkin wybiegł na zewnątrz, dał nura w najgłębszą zaspę i zaczął zasypywać garściami śniegu płomienie, a kiedy zgasły z sykiem, chłodził śniegiem czerwone zięjące rany, które było widać przez zwęgloną odzież, i okładał nim poparzoną twarz.

Crosetti patrzył na to przez otwarte drzwi. Zobaczył, że pokładowy pobierał się ze stolika, podszedł do klęczącego Mishkina i kopnął go z całej siły w żebra. Kopałby dalej, gdyby Szwanow go nie powstrzymał.

- Wiesz, to mi podsunęło pewien pomysł - odezwał się gangster.

Crosetti drgnął; uprzytomnił sobie, że Szwanow zwraca się do niego. Zrozumiał natychmiast, że ten człowiek próbuje coś wyjaśnić, bo tak właśnie postępują gangsterzy wobec swoich ofiar, i zaczął się zastanawiać, czy dawniej też tak robili. Prawdopodobnie, pomyślał, bo i u Szekspira spotykało się samousprawiedliwiającego się łotra, który czerpie rozkosz z opisywania bezradnej ofierze perspektywy śmierci. Ale czy Bard to wymyślił, podobnie jak scenarzyści wymyślili strzelanie z biodra? Prawdopodobnie. Szekspir wymyślił mnóstwo reakcji, które uchodzą za naturalne ludzkie zachowania. Crosetti skupił się na tym, co mówił Szwanow.

- ...nie zgadzasz się? Każdy poświęca się dla czegoś, ale nie aż tak, nie poświęca własnego ciała, nawet dla pieniędzy. No, może dla dzieci. Tu spojrział chłodno na córkę i syna Mishkina. Albo, jak to przed chwilą widzieliśmy dla tego manuskryptu. A zatem jest on oczywiście autentyczny.

- Ryzykowałeś - zauważył Crosetti.

- Owszem, ale człowiek taki jak ja musi ryzykować, to wynika z ducha przedsiębiorczości. I teraz widać, że się opłacało. - Spojrzał na dwóch mężczyzn, którzy zbierali nadpalone kartki. I nie sądzę, aby takie drobne uszkodzenia obniżyły znacznie, o ile w ogóle, wartość tego rękopisu. Myślę, że będzie wyglądał bardziej autentycznie, niczym prawdziwy starość. Ale, jak powiedziałem, ta historia z ogniem nasunęła mi pewien pomysł. Profesor Haas zaprasza swego dobrego przyjaciela Mishkina z dwójką dzieci, a także swego nowego przyjaciela Crosettiego z jego dziewczyną Carolyn do swojego wiejskiego domu i wszyscy wybierają się na przejażdżkę motorówką po tym pięknym jeziorze, mimo że jest zimno, bo wygląda ono tak pięknie w śniegu. No i następuje tragiczny wypadek, eksplozja spowodowana wyciekami benzyny czy czegoś innego, i wszyscy płoną, a potem idą na dno razem z łodzią.

- Nie rozumiem. Nie miałem nic wspólnego z całą tą aferą, Carolyn też nie.

- Tak, ale jesteście świadkami. To takie rosyjskie podejście, jak sądzę. Stalin nas tego nauczył, a my wciąż pamiętamy. Jeśli pojawiają się jakieś wątpliwości, pozbyć się wszystkich oprócz tych, którzy są... zabrakło mi słowa... współ...

- Współsprawcami.

- No właśnie. Współsprawcami. A więc teraz wszyscy pójdziecie do łodzi.

Sięgnął za pazuchę, wyciągnął pistolet i krzyknął coś po rosyjsku do swoich ludzi.

Po chwili w stronę jeziora zaczęła zmierzać smutna procesja. Przodem szedł Mishkin, podtrzymując jęczącego Haasa, potem dzieci Mishkina, za nimi Crosetti i Carolyn.

Rosjanie trzymali broń w pogotowiu: pokładowy pistolet maszynowy, pozostali pistolety półautomatyczne. Ten pierwszy wprowadził jeńców do hangaru i kazał im wejść do łodzi. Drugi napełniał dwudziestolitrowy kanister. Szwanow i trzeci bandyta oddalili się, żeby uruchomić silnik ślizgacza.

Mishkin umieścił Haasa na tylnym siedzeniu, a potem pomógł pozostałym wsiąść do łodzi. Kiedy przyszła kolej Crosettiego, Mishkin zapytał szeptem:

- Umiesz tym pływać?

- Jasne.

- Więc siadaj za sterem.

Crosetti zajął miejsce z przodu, Mishkin obok niego.

Człowiek Szwanowa wsiadł z napełnionym kanistrem do motorówki i postawił go na tylnym siedzeniu. Powiedział coś do swego kompana i obaj się roześmiali. Potem gangster zagadał coś do Imogen, schwycił ją za rękę, przycisnął do swego krocza i znów zarechotał. Pokładowy coś odpowiedział, zrzucił cumę rufową i przeszedł na przód, aby odwiązać linę, która łączyła dziób z zaciskiem. Z zewnątrz dotarł do nich warkot zapuszczanego silnika baylinera.

Drugi wciąż coś mówił do Imogen, przysuwając twarz do jej twarzy. Dziewczynka krzyknęła i próbowała go odepchnąć. Schwycił ją za włosy, zmusił, żeby schyliła głowę, i jednym szarpnięciem rozpiął rozporek. W tym momencie Mishkin, ku zaskoczeniu Crosettiego, sięgnął błyskawicznie pod siedzenie, wyciągnął lugera i strzelił tamtemu w twarz. Gdy mężczyzna runął na pokład, Mishkin odwrócił się i wpakował pięć pocisków w jego towarzysza, klęczącego i jeszcze bardziej zaskoczonego.

- Gazu! - zawołał do Crosettiego. - Jazda!

Albert przekręcił kluczyk, silnik zakrzuszył się i po chwili zaryczał; dźwignia zmiany biegów do przodu - i łódź wystrzeliła z hangaru.

Gdy mknęli po wodzie, Crosetti czuł, jak w piersi wzbiera mu bezgłośny, absurdalny chichot. Minęło kilkanaście sekund, nim Szwanow i jego człowiek zrozumieli, co się dzieje, ale kiedy stwierdzili, że na ślizgaczu nie widać czarnych sylwetek gangsterów, natychmiast ruszyli w pogoń. Crosetti wiedział, że nie ma szans, że drewniany wiekowy chris craft ze staroświeckim silnikiem V 6 nie umknie nowoczesnemu baylinerowi, mającemu co najmniej trzykrotnie większą moc. Mimo to wcisnął gaz do oporu, czekając na kulminację i rozwiązanie.

Biała łódź doganiała ich stopniowo i kiedy zbliżyła się na niespełna dwadzieścia metrów do ich rufy, jeden z mężczyzn zaczął strzelać. Pocisk ugodził w pokład, pozostawiając na mahoniowym drewnie długą różową szramę. Z tyłu, ponad rykiem silnika, słychać było pełen przerażenia krzyk chłopca.

Z przodu zbliżał się szybko łańcuch małych zalesionych wysepek, rozciągający się od wschodniego brzegu. Na jego lewym krańcu wznosił się słup, do którego wierzchołka przymocowana była zielona lampa.

Mishkin pociągnął Crosettiego za rękaw i wskazał kierunek.

- Wal między ten znak i ostatnią wysepkę!

Motorówka śmignęła obok znaku, otarła się ze zgrzytem o ukrytą pod wodą skałę, przemknęła jeszcze piętnaście metrów i zagłębiła się w lodowatą wodę. Crosetti wygramolił się z wysiłkiem zza steru, chwycił poduszkę z siedzenia i zanurzył się w jeziorze. Rozejrzawszy się dokoła, dostrzegł odwróconą rufę motorówki podskakującą tuż nad powierzchnią, a za nią coś, czego w pierwszej chwili nie rozpoznał, ale gdy skoncentrował na tym wzrok, zorientował się, że to fragment dziobu baylinera, który sunął na boku. Przy swoim zanurzeniu motorówka musiała uderzyć w skałę z jeszcze większą siłą.

Dalej zobaczył mniejszy, biały obiekt, w którym rozpoznał kurtkę Carolyn Rolly. Dziewczyna unosiła się na wodzie, twarzą do dołu. Zanurkował, rozwiązał buty, zrzucił je z nóg i posługując się poduszką jako pływakiem, dotarł do dziewczyny. Kiedy znalazł się przy niej, zobaczył głowę Jake'a Mishkina, który zmierzał w ich stronę, wymachując energicznie ramionami. Razem obrócili Carolyn na wznak, układając jej głowę na poduszce.

- Trzymam ją! - zawołał Crosetti. - Gdzie twoje dzieci?

Na twarzy Mishkina pojawiło się przerażenie. Rozglądał się w panice na wszystkie strony, krzycząc. Jakieś dwadzieścia pięć metrów dalej zobaczyli mały ciemny kształt, rozchlapujący wodę na wszystkie strony. Był to chłopiec. Potem zniknął. Jake rzucił się w tamtą stronę, ale Crosetti widział wyraźnie, że wielki mężczyzna nie zdąży dopaść tonącego dziecka. I wtedy zza rufy ślizgacza wytrysnęła woda, a wraz z nią wystrzeliła jak błyskawica jakaś postać Imogen Mishkin płynąca perfekcyjnym kraulem. Zanurkowała i wynurzyła się z bratem w ramionach, trzymając go w regulaminowym uścisku zalecanym przez ratowników Czerwonego Krzyża. Skierowała się ze swoim brzemieniem ku najbliższej wysepce.

Wkrótce cała piątka znalazła się na skrawku łądu nie większym niż spora kuchnia. Crosetti przewrócił Rolly na wznak i zaczął wtłaczać jej powietrze do płuc, aż zakaszłała i zwróciła sporą ilość wody.

- Już dobrze, Carolyn?

- Zimno.

Otoczył ją ramieniem.

- Możemy się wzajemnie ogrzać.
Tkwiała sztywna w jego objęciach.
- Nie wiem, jak możesz mnie w ogóle dotykać.
- Dlaczego? Bo pieprzyłaś się z innymi? Domyślałem się tego wcześniej. Chciałbym tylko, żebyś już nie uciekała... To jest jedyne, co mnie kurczy. I te kłamstwa. Trochę tego za dużo.

- Poza tym jestem ideałem.
- Prawie. Oho, mamy drugą kulminację.

Spojrzała i zobaczyła Szwanowa i jego człowieka, brnących przez wodę. Żaden z nich nie miał broni. Ten drugi zataczał się, rana na jego głowie krwawiła obficie. Szwanow trzymał się za łokieć lewej ręki, twarz wykrzywił mu grymas bólu.

Mishkin odczekał, aż wyszli na płyciznę, gdzie woda sięgała im kolan, a potem podszedł do Szwanowa i wymierzył mu słaby cios, schwycił go za pasek i za kołnierz, podniósł do góry i rzucił nim w drugiego mężczyznę. Obaj zniknęli pod wodą. Mishkin zrobił to samo jeszcze raz, zanim pojęli, o co chodzi, i oddalili się wplaw do sąsiedniej wysepki.

- Nie należało tego robić, chyba że byłaby to komedia - zauważył Crosetti. Czarny charakter i odtwórca roli drugoplanowej toczą śmiertelną walkę i obaj giną albo czarny charakter zabija swego przeciwnika, a wtedy bohater powinien go załatwić. Ale może to jest komedia. Myślałem, że to thriller. O, nadciąga kawaleria, jak zwykle za późno.

W polu ich widzenia pojawił się nadlatujący z ogłuszającym warkotem helikopter i zawisł nieruchomo nad wrakiem łodzi. W oddali dostrzegli dwa szare kadłuby statków prujących wodę.

- Policja stanowa - wyjaśnił Crosetti w odpowiedzi na pytające spojrzenie Carolyn. - Zadzwoń rano do mojej siostry policjantki i widocznie zorganizowała tę akcję ratunkową.

- Mogłeś zadzwonić do niej wieczorem i policja już by czekała na nasz przyjazd.

- Nie, musiałem się upewnić, że gangsterzy na pewno przyjadą. Gdybym sprowadził tu policję wcześniej, Szwanow mógłby zabić dzieci. Ale, jak widzisz, wszystko zagrało.

- Gdzie jest Haas?
- Cholera! - zawołał Crosetti. Wstał i rozejrzał się dokoła. - Zniknął. Niemożliwe, żeby przeżył, był ciężko poparzony. I manuskrypt też przepadł.
- Nie powiedziała Carolyn. Taki papier może długo przetrwać w wodzie, a atrament z żółci też jest bardzo trwały. To jezioro nie jest prawdopodobnie zbyt głębokie. Jeśli manuskrypt był w kopercie, powinien przetrwać do przybycia nurków.
- Może. Ale jeśli Haas zginął, to nie ma mowy o komedii.
- Wiesz, byłbyś też ideałem bez tego swojego nawyku przerabiania wszystkiego na scenariusz. Jeśli przestanę kłamać i uciekać, skończysz z tym irytującym zwyczajem?
- Umowa stoi powiedział i pocałował ją w zimne usta, myśląc: ściemnienie, muzyka crescendo, napisy końcowe.

Znalazłem ten dokument, kiedy przenosiłem pliki do swojego nowego laptopa, i postanowiłem dodać tę kodę. Oczywiście finał całej afery sprawa zaginionej sztuki, cudowny szekspirowski manuskrypt Bracegirdle'a, zaangażowanie Szwanowa, scena w domu nad jeziorem, tragiczny los Mickeya Haasa - był zbyt szeroko dyskutowany publicznie, aby zanudzać czytelnika jego powtórnym omawianiem, ale chciałbym to uporządkować i powiązać luźne wątki natury osobistej, aby jakiś przyszły badacz, natrafwszy kiedyś na ten plik, tak jak my natrafiliśmy na ostatni list nieszczęsnego Bracegirdle'a, znalazł puentę tej historii.

Przykro mi to stwierdzić, lecz Amalie i ja nadal nie jesteśmy razem (a dziś jest dziesiąty czerwca), choć wciąż mam na to nadzieję. Amalie bywa często w Nowym Jorku, a wtedy spędzamy ze sobą sporo czasu i pozostajemy w przyjacielskich stosunkach. Byliśmy w tym roku w katedrze Świętego Patryka na wielkanocnych nabożeństwach; zrobiły na mnie wielkie wrażenie, a Amalie to zauważyła i posłała mi taki uśmiech, jakim dawno mnie nie obdarzyła. Myślę, że uczyniła to także dlatego, iż wkraczam w ósmy miesiąc najdłuższego celibatu, jakiego doświadczyłem

od czasu swoich schadzek z panną Polansky w służbowym pomieszczeniu biblioteki Farragut Branch. Amalie nie może zwietrzyć u mnie (czy też wyczuć w jakiś bardziej mistyczny sposób) zapachu cudzołóstwa i to, jak sądzę, bardzo nas zbliża. Myślę, że klątwa została zdjeta w tamtym momencie, na zimnych wodach jeziora Henry, kiedy to Crosetti zwrócił moją uwagę na fakt, że próbuję ratować raczej jakąś mityczną kobietę niż własne dzieci. Sprawił to też widok mojej córki ryzykującej życie, aby uratować brata, którym ja, jak mi się wydawało, pogardzałem. To zdarzenie uświadomiło mi, że mogłem się mylić co do swoich emocjonalnych relacji z bliskimi i że teraz, zamiast silić się na spryt, powinienem po prostu wkładać we wszystko tyle miłości, ile tylko zdołam wykrzesać ze swoich skromnych zasobów, bez względu na to, czy dostanę coś w zamian, czy nie. I to staram się robić.

Z przyjemnością się pochwalę, że byłem na premierze *Snu nocy letniej* z udziałem mojej córki (nawiasem mówiąc, przyćmiła wszystkich) i że nie dostałem mdłości, jak to bywało wcześniej, i choć pewnie nigdy nie zostanę teatromanem, owa neurotyczna reakcja ustąpiła raz na zawsze. Spędzam też sporo czasu z Niko, głównie siedząc przy nim w milczeniu, ale przed paroma miesiącami zapytał mnie, czy nauczę go pływać i podnosić ciężary. Wciąż nie patrzy mi prosto w oczy, ale bywa, że kiedy go dotknę, nie wzdyga się i nie odsuwa.

Paul wrócił do swojej misji, stosownie spokorniał i do głębi wstrząśnięty śmiercią Mickeya Haasa, choć powtarzałem mu, że to była moja wina, nie jego. Powinienem być bowiem wezwać policję i opowiedzieć całą historię; wdrożyliby śledztwo, kłamstwa Pascoe wypłynęłyby natychmiast na wierzch i wszystko poszłoby gładko potwierdzono by autentyczność listów oraz sztuki itd. Ach, ten Pascoe! Zjawia się amerykański ksiądz i pyta go, czy wie coś o podrobionym rękopisie nieznannej sztuki Szekspira, a ten oczywiście odpowiada: „Ależ tak, proszę księdza, sam to przecież zrobiłem i za pięćdziesiąt tysięcy wszystko księdzu opowiem”. I Paul dał się na to nabrać; myślę, że ze sprytem i podejrzliwością też można przesadzić.

Miri porzuciła pracę w swojej branży tu muszę ujawnić, że należała do światka luksusowych *cali girls*. Szwanow był w to oczywiście mocno zaangażowany, toteż jego aresztowanie wyszło jej zdecydowanie na dobre. Teraz przebywa częściej z

Paulem, czyniąc wiele dobrego. Nadal wygląda wspaniale i przy każdej okazji, do wszystkich sukienek, wkłada krzyż wysadzany drogimi kamieniami.

Ojcu udało się wykić w typowy dla niego sposób i po powtórnym spotkaniu stwierdziłem, że nie jest takim rakiem na mojej duszy, jakim był kiedyś. Czy wierzę w taką wersję swojej przeszłości, jaką przedstawił mi wtedy w limuzynie? Być może. Nie ma to w tej chwili większego znaczenia. Myślę, że mu wybaczyłem.

Brakuje mi Mickeya Haasa. Nawet urojony przyjaciel jest lepszy niż żaden. Jego trzy żony pojawiły się na pogrzebie i wszyscy udawaliśmy osoby cywilizowane, jak tylko to możliwe. W końcu był oddany swej profesji, przekonany o własnej kompetencji i smaku artystycznym, gotów dosłownie skoczyć w ogień, by ratować upragnione Dzieło. Ilu członków Stowarzyszenia Miłośników Współczesnego Języka mogłoby to powiedzieć o sobie?

Crosettiemu idzie chyba nie najgorzej. Spotkałem go jakiś tydzień temu z dwójką dzieci i z Carolyn Rolly nad kanałem na wschód od Lafayette. Była sobota; po lunchu w chińskiej restauracji, zjedzonym z paroma kolegami ze studiów prawniczych, którzy przyjechali do Nowego Jorku, rozglądałem się na ulicy za Omarem i lincolnem, gdy zobaczyłem całą gromadkę. Rozmawialiśmy chwilkę, nieco skępowani. Carolyn splukała kamuflującą czarną farbę z włosów, bo kolor jasnoblonde, w jakim ukazała mi się jako Miranda, jest jej kolorem naturalnym, a oczy miała jasnoniebieskie, nie zielone, co osiągnęła dzięki szkłom kontaktowym, robiąc to „na cześć Amalie”. Nie pozostał nawet ślad tego, co tak mnie w niej pociągało. Mieszkają oboje w najbardziej artystowskim rejonie Brooklynu, w bardzo pięknym lofcie, zakupionym za pieniądze uzyskane ze sprzedaży rękopisu *Bracegirdle'a*. Crosetti sprzedał też scenariusz o tej aferze, w czym, jak sądzę, pomógł niesamowity rozgłos towarzyszący sprawie. Ma nadzieję, że jego samego zagra John Cusack, choć o tym, żeby w moją postać wcielił się William Hurt, nie mam nawet co marzyć.

Powiedziałem mu, czym ja się z kolei zajmuję, i teraz to powtórzę: otóż zajmowałem się i zajmuję nadal skomplikowaną kwestią praw autorskich związaną z *Maryją królową Szkocji* Williama S. Manuskrypt, który jest jednym z dowodów w sprawie z oskarżenia publicznego przeciw Szwanowowi (morderstwo i uprowadzenie), został

tymczasowo złożony w skarbcu miejskim, ale kiedy tylko dostałem go od Crosettiego, pozwoliłem sobie dla bezpieczeństwa sporządzić cyfrową wersję, przekształcając stronicę we własność czysto intelektualną, czyli w ciąg słów. Naturalnie nie występuję tu jako prawnik, ponieważ jestem głównym zgłaszającym roszczenia do tej własności; w sądzie reprezentuje mnie Ed Geller, z którym znów jesteśmy kumplami. Walczymy o prawa z Koroną Brytyjską, a zatem stoję teraz w jednym szeregu z Jerzym Waszyngtonem i innymi ojcami założycielami. Jeśli wygram sprawę, będę pewnie po raz pierwszy w życiu bogatszy od swojej żony, i kiedy pomyślałem sobie na ruchliwej ulicy o takiej ewentualności, poczułem ukłucie winy. Odnaczam się nową wrażliwością moralną i boję się, że ograniczy ona w znacznym stopniu zakres mojej praktyki zawodowej. Stwierdziłem, że Crosetti i Carolyn zasługują na sporą część sumy, jaką uzyskam ze sprzedaży praw do sztuki, i że powinni wpaść do mnie do kancelarii, żeby to omówić, ale w tym momencie nadjechał z fasonem Omar i przecinając trzy pasma jezdni, zatrzymał się tuż przy nas. Zapytałem, czy mogę ich gdzieś podrzucić, ale powiedzieli, że mieszkają aż na Brooklynie, na co odparłem, że nie szkodzi, ale szybko wymienili spojrzenia, co mi uświadomiło, że nie zależy im aż tak bardzo na moim towarzystwie. Gdy mimo to nalegałem, ot tak, dla czystej formalności, Crosetti powiedział:

- Daj spokój, Jake. To Chinatown.
- Jestem pewien, że czekałeś lata, żeby zacytować to w życiu odpowiedziałem.

Parsknął śmiechem, a potem roześmialiśmy się wszyscy troje.